

STANISŁAW LEM

# ROZPRAWY I SZKICE

1974

## WSTĘP

*Artykuły okolicznościowe i rozprawki, zawarte w tym tomie, nie są ani pełnym zbiorem mojej publicystyki, ani wyborem dokonany wewnątrz takiego zbioru. Na ich dobór wpłynęła bowiem ta trywialna sprawa, że — nie mogąc dotrzeć do wszystkich moich ulotnych publikacji — z tego najpierw korzystałem, co było najłatwiej dostępne, to znaczy — z twórczości ostatniego czasu. Co do pism dawniejszych, te włączyłem tutaj, które mogłem odkopać w debrach moich archiwów (pomijając przy tym utwory felietonowe).*

*Mimo zastosowania, tak prymitywnego klucza, tom odznacza się, jak myślę, niejaką spójnością wyrażanych poglądów, choć zarazem ukazuje ich rozwijanie się w ciągu lat. Trzyczęściowy podział treści odpowiada z grubsza trzem dziedzinom moich zainteresowań, jakie stanowią teoria literatury, jej krytyczna praktyka oraz — niestety — „wszystko inne”, czyli kwestie sięgające od poznania pozazmysłowego i teorii informacji po międzycywilizacyjną łączność w Kosmosie. Za wspólny mianownik treści w tak horrendalnym rozrzucie śmiem uznawać moją specjalność pisarską, ponieważ siłą rzeczy wywodliwa z przeszłości dziejowej a zapatrzona w przyszłościowe dale fantastyka zakłada orientację jej autora „we wszystkim co ludzkie i pozaludzkie”. Oczywiście warunku postawionego takim założeniem niepodobna spełnić; nie spełnia go więc i ten wybór po trosze przypadkowy, lecz manifestuje przecież — mniej lub bardziej zawodne — mierzenie sił na tak zachłanne zamiary.*

*Wewnątrz każdego z wymienionych działów uszeregowano poszczególne eseje w czasowym porządku ich powstawania. Co się tyczy wyrywkowości niniejszego wyboru, do*

*którego przyznają się z obowiązku, to pociesza mnie trochę domniemanie, że wybór pełniejszy i bardziej reprezentatywny zagęściłby może koronę drzewa mych poczynañ umysłowych, lecz nie odmieniłby zasadniczego kształtu tego drzewa.*

*Stanisław Lem*

*Kraków, w grudniu 1974*

## DO MOICH CZYTELNIKÓW

Od kilku lat wyczuwam u Czytelników moich książek zaniepokojenie tym, że nie piszę już tak jak dawniej — dziesięć bądź dwanaście lat temu. Istotnie: nie opowiadam już z zupełną powagą historii o planetarnych eksploracjach, o niesamowitych przygodach ludzi w Kosmosie. Nie piszę książek, jak *Solaris* czy *Niezwyrodniony*, obrazujących starcie człowieka z zagadkami innych światów, starcie duchowe i badawcze jak w *Solaris*, bądź fizyczne i zbrojne jak w *Niezwyrodnionym*. Nie piszę też albo — żeby być ścisłym — mniej piszę utworów w stylu kosmicznej Muenchhauseniady, więc powiastek kosmiczno—fantastycznych jak *Dzienniki gwiazdowe*, lecz wypuszczam w świat albo opasłe dzieła teoretyczne (w rodzaju *Filozofii przypadku*, traktującej o teorii literatury, lub w rodzaju monografii jak *Fantastyka i futurologia*), albo dość cienkie książeczki, takie jak *Doskonała próżnia*, bądź jak (znajdująca się w druku) *Wielkość urojona*, której „próbkę” przynosi niniejszy numer „Polski”.

Zajmuję się więc albo — w tych grubych książkach — sprawami z pogranicza literatury, filozofii człowieka i futurologii, albo — w książeczkach beletrystycznych — eksperymentami, dość dalekimi treścią i formą od tego, co pisałem dawniej i co znalazło waszą, moich Czytelników, aprobatę.

Poczta przynosi mi listy, w których znajduję wyraz zaniepokojenia tymi zmianami; więc piszę ten list — otwarty — gdyż, niestety, nie jestem w stanie odpowiadać wszystkim korespondentom, zbitym z tropu, zaskoczonym, a nawet rozczarowanym moją „ucieczką” z terenu „klasycznej” Science Fiction. O tej mojej „ucieczce” pisali już zresztą nasi krytycy.

Otrzymuję prośby, apele, sugestie, bym pisał jak dawniej, pozostawiając filozofię — filozofom, a literacki eksperyment — prekursorom nowatorstwa, i w tekście lub podtekście takich listów słyszę wyrzut, że zdezercerowałem z SF, idąc za literacką modą czy też za moimi nowymi upodobaniami, a nie za tym, czego pragną czytelnicy. Korzystam więc z okazji, żeby złożyć wyjaśnienia — to jest, żeby wyjawic, czemu każda moja następna książka jest coraz mniej podobna do dawnych, jakie znalazły wasze uznanie.

Przyczyn po temu jest tyle, że nie wyliczę wszystkich, choćbym je wszystkie znał, co zresztą nie jest prawdą, więc powiem wam tylko, co sam wiem o tej przemianie.

Po pierwsze: prósb, bym pisał „dalsze ciągi” dawnych książek, takich np. jak *Solaris*, nie mógłbym spełnić, choćbym chciał, bo to niemożliwe. Chciałem w takich książkach obrazować spotkania człowieka ze zjawiskami tak odmiennymi od ziemskich, że do końca pozostają nie rozszyfrowane, gdyż prawdziwie Kosmos jest taką nieskończonością, że naszymi, ludzkimi, ziemskimi, bo wśród ludzi i na Ziemi powstałymi miarami nie można go zgruntować. Dążyłem więc w tych książkach do „eksperymentu antropologicznego”, z ukrytym pytajnikiem: co będzie z człowiekiem, jeśli zderzy się z czymś, co przerasta jego pojmowanie? Czy i jak będzie się umiał z tym pogodzić? Oczywiście, jak to w powieściach, sporo tam bywało innych spraw, lecz ten motyw wydaje mi się przewodni. A więc, nie wyjaśnionych do końca zagadek planet, jak *Solaris*, nie mogę wyjaśnić w „dalszym ciągu”, gdyż byłoby to sprzeczne z podstawowym założeniem: że będąc miarą rzeczy ziemskich, człowiek nie jest miarą całego Kosmosu.

Po wtóre: nie piszę książek w sposób już ustalony i wypróbowany, ponieważ nie chcę opowiadać przygód dla samego opowiadania przygód. Zazwyczaj kryła się w tych opowieściach jakaś myśl, jak na przykład wymieniona wyżej. Uważam też, że skoro coś się w życiu zrobiło, to nie należy do tego wracać. A nie należy wracać, nawet gdyby się miało największą ochotę, ponieważ taki nawrót jest odwrotem, jest sprzeniewierzeniem się światu, jest właśnie ucieczką od rzeczywistości, ponieważ w niej nawrót w przeszłość zawsze jest niemożliwy. Ani cywilizacja nie może się cofnąć, ani ludzkość wrócić do pastersko—

rustykalnego trybu życia, ani literatura nie może już opowiadać dziś dokładnie tak i dokładnie o tym, o czym opowiadali Cervantes z Balzakiem. Oczywiście, istnieje coś takiego jak eskapizm, nie tylko w literaturze, lecz i w życiu, są ludzie wierzący w możliwość powrotu do „dobrych dawnych czasów”, lecz jest to najczystsza utopia, a w moim przekonaniu nikt — więc ani przeciętny, ani ponadprzeciętny obywatel globu — nie ma, dziś właśnie, prawa uciekania się pod obronę utopii. Czy chcemy tego, czy nie chcemy, czy to nas napawa satysfakcją, czy lękiem, świat mknie naprzód, w przyszłość, niewiadomą wbrew wszelkim wysiłkom futurologów, więc ten, kto pisze w takim świecie książki, musi ów fakt — nieustannie gwałtowniejszej przemiany — uwzględnić, jeśli nie chce tylko kłamać sobie ani swoim czytelnikom. Otóż, co do mnie, nie uważam, żeby literatura była tylko pięknym lub dającym wytchnienie zmyśleniem, czyli kłamstwem. A więc odczuwam mus zmiany, i on mną powoduje, a nie wysiłek, żeby za wszelką cenę „być modnym” albo żeby „się wciąż podobać”.

Po trzecie: uważam, że tak „normalna” literatura, jak Science Fiction, znajduje się z każdym upływającym rokiem w coraz większym zagrożeniu. Zagrożenie to nie pochodzi stąd, że powstała „straszna konkurencja” w postaci filmu, telewizji, masowych środków przekazu, że ludzie wolą patrzeć w mały lub duży ekran, niż czytać książki. Zagrożenie pochodzi stąd, że tracimy orientację w natłoku światowych zająć, czyli że nie potrafimy rozpoznać ich realnej hierarchii — rozróżnić ustopniowania ich wagi dla naszego aktualnego i przyszłego losu. Czujemy, że cywilizacja w potężnym ruchu odrywa się, że jest odrywana od swych korzeni tradycyjnych, historycznych, że dlatego musi sondować swoją przyszłość, że musi podejmować dziś decyzje, których skutki uratują bądź porażą nasze dzieci i wnuków. Ten stan jest ponad nasze siły i zwie się go nieraz future shock, więc — porażeniem wizjami nieogarnionej, rozdartej sprzecznościami, a zarazem nieuchronnie nadciągającej przyszłości. Ten stan rzeczy zastał literaturę oraz Science Fiction nie przygotowanymi. To, o czym dziś prawi beletrystyka „normalna”, jak i to, co opowiadają kolorowe książki SF, rozchodzi się i rozwodzi się ze światem, który jest, i tym bardziej ze światem, który się staje — u bram wiodących w wiek XXI. „Zwykła” literatura często zamyka się w samej sobie lub uchodzi w mutacje mitologiczne, w „aleatoryzmy”, w mowę ciemną i splątana — a Science Fiction umyka w pseudonaukową bajeczkę lub straszy nas uproszczonymi wizjami przyszłych koszmarów cywilizacyjnych. Obie więc skłaniają się do nietożsamyh form — rezygnacji z działania, które nadało literaturze godność, a które J. Conrad nazwał „wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu”. Lecz aby sprawiedliwość wymierzyć, trzeba pierwiej zrozumieć racje sądzonych stron; toteż nic nie może być ważniejsze ponad wysiłek zrozumienia, dokąd świat nasz zmierza, i czy mamy mu stawiać opór, czy też, akceptując ten ruch, aktywnie w nim uczestniczyć.

Po czwarte: jakże więc może pisarz, rozumiejąc ten groźny stan rzeczy — groźny nie tylko dla jego rzemiosła, lecz dla wszystkich żyjących — udawać, jakoby właśnie tego nie rozumiał? Nie o to chodzi, żeby ratować literaturę przed „konkurencją” innych sztuk czy nowych technik, lecz o to, żeby wykuwać taki ryzostunek pojęciowo—artystyczny, więc takie miary intelektualne, etyczne i estetyczne, które nie rozsypują się w proch na najbliższym zakręcie historii. Nie ratowania literatury wymaga więc sytuacja, lecz ocalenia uniwersalizmu myśli ludzkiej — myśli, której piękne pisarstwo jest tylko jedną drobną fasetką. Nie uprawniony, by przemawiać w czyimkolwiek imieniu, mówię tylko za siebie: literatura na pewno nie może ani zbawić świata, ani go odmienić i nie uczyni tego czy tradycyjnie, czy nowatorsko pisana. Niemniej może ona być środkiem usypiającym lub budzącym, może być albo narkotykiem i odżywką mrzonek, snów, narkozą, albo nieustającym wysiłkiem ogarniania rzeczy ludzkich i antycypowania ich przyszłego losu. Nie powiadam: środkiem przepowiadania, nic podobnego. Literatura może być najwyżej w życiu duchowym czymś takim, czym w sferze cielesnej jest trening, zaprawa, potęgowanie

ćwiczeniem refleksów i sprawności, więc koncentracją umysłową, więc nawet w najgorszym to ma ocalić, co obrazuje Pascal, kiedy mówi o myślącej trzcinie. Z tego nauka dla mnie, że nie śmiem wracać do niczego, co już zostało zrobione, że nie wolno mi ani usypiać mych Czytelników obietnicami samoczynnych rajów technologicznych, ani straszyć ich tysiącem wyobraźalnych form technogennej, cywilizacyjnej Apokalipsy. A nie wolno, gdyż to już niezliczone razy powiedziano, zrobiono, napisano, przy czym wszystko jedno nawet, czy zrobiono to znakomicie, czy tandetnie, d5ść na tym, że od tego trzeszczą biblioteki, więc jeśli się nie ma nic innego, nic nowego do powiedzenia, uczciwość nakazuje raczej zamilknąć, niż dolewać wodę do oceanu.

Cóż więc ja takiego robię właściwie? Na przykładzie książeczki, której fragment znajduje się obok tych słów, wyjawiam: usiłuję sobie wyobrażać płody przyszłej kultury. Nie jest to żadne poważnie zamyślane przepowiadanie. Nie są to żadne zbeletryzowane prognozy — nic ponad wysiłek choć mikroskopijnego poszerzenia horyzontów naszej myśli. Ponieważ idzie o myśli, o płody kultury, o artystyczne dzieła, o traktaty nie istniejące, czyli fikcyjne, przedstawiając fikcję, tym samym znajduję się nadal *Wielkością urojoną* na terenie literatury. Jest to niejako fikcja w potędze, fikcja „drugiego stopnia”, skoro jej bohaterami nie są ludzkie postaci, jak to w powieści, wymyślone, lecz wymyślone dzieła. Czy to fantastyka? Nie wiem, w jakiej mierze nazwa ta jest odpowiednia. Nie wiem i wyznaję, że to mnie mało obchodzi. Jest to w każdym razie literatura, która żadnego świata, z jego mieszkańcami, wprost nie pokazuje ani nie opisuje. Jest to literatura o literaturze — lecz nie w rozumieniu np. antypowieści, więc nie zamykająca się w sobie, w procesach pisania utworów, lecz literatura wykraczająca poza siebie. Udaje więc ona przyszłą plastykę (*Nekrobie*). Udaje protokół przyszłego spotkania człowieka — z „potwornie mądrą maszyną”, będącą tworem jego własnych rąk — którą nazwałem G o l e m e m . Udaje przyszłą naukową dyscyplinę — „bitystykę”, badającą „piśmiennictwo bityczne”, czyli teksty, co mają autorów nie ludzkich — bo są nimi komputery rodem z XXI wieku. Gdyż sprawa „koegzystencji” dwóch rozumów — ludzkiego i „niehumanicznego” — inteligencji biologicznej i maszynowej — wydaje mi się jednym z kluczy przyszłości.

Udając jednak owe przyszłe dzieła, nie napisałem ich samych — byłoby to zarówno niewykonalne, jak nużące — lecz tylko pisałem „wstępy” do nich. Ten żartobliwy chwyt (stworzenia „introdukcjonistyki” jako „nowego gatunku literackiego”) ułatwił wykonanie nie tylko jako żart pomyślanego zadania. Zadanie to określa całość niniejszego listu. Nie wiemy, co zajdzie n a p r a w d ę, lecz winniśmy gotować się na to wszystko, co jest jeszcze w ogóle do pomyślenia — byle koherentnego, byle logicznego, byle wyraźnego.

Nie podlegając na tym polu tak srogiemu rygorowi, jakiemu nauka podlega, literatura — skoro działa ze współczynnikami zwanymi licentia poetica — może, a więc powinna, pozwalać sobie na więcej, niż jest w prawie czynić przewidywanie przyszłości n a u k o w e — futurologiczne.

Jeśli *Wielkość urojona* jest miejscami dziwaczna, miejscami trudna do zrozumienia, miejscami niepodległa orzeczeniu, czy tu się serio cokolwiek głosi, czy może drwi i szydzi, to — mogąc wprawdzie zauważyć, że dziwaczny, trudno zrozumiały, szyderczy i poważny jednocześnie jest świat, w którym mieszkam i piszę — gotów jestem jednak wziąć winę za ową „trudność” tych moich tekstów na siebie. Nie chciałbym być ani „trudnym”, ani „elitarnym” pisarzem i cokolwiek myślę, staram się wyrazić tak prosto, jak tylko mogę — niestety, to mi się nie zawsze udaje. Może i nad miarę obciążam „naukowością”, sejentyficznnością owe teksty, a to dlatego, gdyż sądzę, że literaturę odnawiać, literaturze pomagać, literaturę przysposabiać do świata można tylko z z e w n ą t r z, rozsadzając jej zakrzepłe postaci, że z jej wnętrza, tylko z niej samej, ratunek przyjść nie może.

Wzywam więc posiłki z filozofii, z przyrodoznawstwa, z futurologii, lecz nie zapożyczam się w ich dzisiejszym, realnym dorobku, lecz go fikcjami przedłużam — w przyszłość albo

raczej w tę zasłonę nieprzenikliwą, która ukrywa przyszłość przed nami.

To, co powiedziałem, ma być wyjaśnieniem, a nie usprawiedliwieniem, odpowiedzią udzieloną moim Czytelnikom, a nie próbą obrony czy wręcz wychwalania moich eksperymentów. Mogę się tym łatwiej mylić, że nie znam nie tylko świata przyszłości i świata teraźniejszości na wylot, lecz także samego siebie, własnych szans i własnych ograniczeń. Tak więc nie zalecam tych nowych tekstów, nie nazywam ich panaceami, nie mam ich za „jedyną słuszną” drogę, lecz robię po prostu to, co umiem i jak umiem — w literaturze.

Jeśli uda mi się napisać po Wielkości urojonej następną książkę, zapewne znów będzie w jakiś sposób inna, gdyż skoro świat nie chce się w kółko powtarzać, literatura nie powinna bez walki zrezygnować z dotrzymania mu kroku, jako malownicza gra z ukrytym zamysłem, jako żart, zaprawiony może i dramatycznym morałem, jako zabawa, nie z apodyktyczności pisarza, lecz z konieczności śmiertelnie poważna.

Przedruk z: „Polska” nr 5 1973

# CZEŚĆ PIERWSZA

## NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

### I

Jedenaście lat temu siedziałem w „Czytelniku” przed uczonym gronem, które zawyrokować miało o wydaniu Obłoku Magellana. Książkę tę, tak pocziwą, tak młodzieżową, posądzono o przemytnictwo, między innymi cybernetyki, której nie udało mi się skutecznie zakamufłować wydumaną nazwą „mechaneurystyka”. Zostałem zdemaskowany, książka się przeleżała. Mniejsza o to. Ale pamiętam minę idioty, którą musiałem przybrać, kiedy jeden z obecnych na sali (bo to sala była) polonistów drwił z innego terminu — z „termodynamiki logiki”. Musiałem udać idiotę, bo nie mogłem wyjaśnić, że termin ten określał, w pewnych wczesnych pracach, to, co stało się u nas wzięte i wyborne ostatnimi czasy, mianowicie teorię informacji.

Nie żeby wspominać z ubolewaniem czy uśmiechem, przedstawiłem tę anegdotkę, ale żeby odwrócić role.



## II

Teoria informacji stała się modna; czytam o jej zastosowaniach do teorii wiersza, do analizy poetyk, niespokojny raczej aniżeli zdziwiony. Autorzy prac — polonistycznych, humanistycznych — uwierzyli w moc klucza fizykalistycznego, jaki zdaje im się teoria wręczać. Mówię o niepokoju, bo siedzę w tej problematyce od dwunastu lat i gorączkę fascynacji, którą zaraziły mnie pierwsze prace Shannona, McKaya czy von Neumanna, mam już poza sobą.

Kłopoty z wprowadzeniem tej ostrej dyscypliny do literaturoznawstwa są wielorakie. Co prawda, w ostatniej postaci podobne do tych, jakie nękały witających Napoleona mieszczan: po pierwsze, nie mieli armat...

Bo już nie o to nawet chodzi, żeby wykazać, z jaką lekkomyślnością nadużywa się podstawowych pojęć; powiedzmy, że podkreśliwszy co grubsze błędy czerwonym ołówkiem, wskazawszy, że „nadmiar organizacji” nigdy nie może doprowadzić do „wzrostu entropii” (a oświadczenia takie, zdolne przyprawić teoretyka o zawal, są tam na porządku dziennym), uda się na tym najniepewniejszym z możliwych gruntów — poezji — uruchomić całą machinę teorii.

Ale te armaty bitwy nam nie wygrają, bo najciekawsze nawet z fizykalistycznego punktu widzenia rezultaty, te dojścia ostateczne, na jakie możemy liczyć, będą obarczone jednym strasznym grzechem: całkowitą beziłą różnicowania między utworami doskonałej poezji i doskonałej grafomanii. Stwierdzimy, owszem, iż wiersz posiada określoną pojemność informacyjną i żadnego z praw, przez teorię wykrytych, nie narusza, jak nie naruszają praw zachowania energii i materii — procesy życiowe, i cała puścizna Szekspira nie kłóci się z tym, że był on ssakiem. Czyżbyśmy się spodziewali jednak czegoś innego? Nie jest bowiem wiersz ani informacją „najmniej oczekiwaną”, ani „najwyżej uorganizowaną”, ani „najskuteczniejszym z możliwych sposobem zwalczania szumu” — przynajmniej w tym sensie, żeby się nie dało od ręki zbudować tekstu, który sprostą wszystkim takim wymaganiom, nic nie mając wspólnego z poezją. Rzecz kończy się zatem na stwierdzeniu, że nie o informację „w ogóle” idzie, lecz o „informację poetycką”, co jest wyjaśnieniem nasennego działania odwaru makówek — ich właściwością usypiającą. Cóż pozostaje w bilansie ostatecznym? Zastąpienie starej, tradycyjnej nomenklatury literaturoznawczej, która całymi garściami czerpała z geologii, z architektury, z biologii („złoża”, „warstwy”, „tkanki”, „szkielety” utworów), zapożyczeniami nowymi, daleko bardziej pretensjonalnymi, gdyż udają, że nie są tym, czym są — metaforyką, i wprowadzają w błąd. Bo każdy wie, że ani powieść czy wiersz nie należą do rzędu kręgowców ani do zbioru formacji geologicznych, napotykać jednak co krok „kody”, „szumy”, „negentropie” gotów uwierzyć, że to nie żarty, ale wprowadzenie obiektywnych badawczych narzędzi w dziedzinę, w której rządziła dotąd trójca nierównomiernie oświecona — normatywizmu, kierunków genetycznych oraz nie dających się przygwoździć przez swą mgławicowość apeli do intuicji. Powoływanie się na lingwistykę matematyczną też nam prochu do armat nie przysporzy, bo ona sama tkwi po uszy w sporach, których, o dziw nad dziwy, algorytmizacja „kodów” językowych automatycznie nie rozstrzyga.

Matematyka, jak wiadomo, to żarna mielące to, co się do nich wsypało. Ani piętrowość wzorów, ani formalna poprawność wynikania równań nie przesądzą o słuszności założeń wyjściowych. I nie do teorii informacji należy się odwoływać dla stwierdzenia, czy język posiada trzy, cztery, czy może aż pięć funkcji. Albo w kwestii, jaki stosunek zachodzi między znakiem językowym, umysłem ludzkim i światem zewnętrznym. Funkcji języka możemy sobie ustalić aksjomatycznie pięć albo i siedem, relacji „znak–umysł–świat” stworzyć najciekawsze warianty i jeśli się tylko potrudzimy, wyjdzie nam system wewnętrznie niesprzeczny, bo cokolwiek da się o filozoficznych, gnoseologicznych aspektach tych spraw

orzec (a to są właśnie kwestie poznawcze), z tego „niehumanicznego” punktu widzenia, jaki zajmują maszyny matematyczne, jeśli im damy nasze skłócone systemy do wyboru — wszystkie systemy logicznie spójne są równoważne. Włącznie z solipsyzmem. To nie znaczy, rozumie się, aby maszyny hołdowały idealizmowi subiektywnemu czy światowi idei platońskich, a tylko, całkiem zwyczajnie, świadczy o neutralnej postawie, jaką fizykalizm wobec tych sporów zajmuje, gdyż domeną jego badań są relacje; i tę, relacyjno–strukturalną, stronę języka maszyny opanowały na tyle, że tłumaczą proste teksty, w którą chcemy stronę, pozostając rozsądnie głuche na spory teoretyków lingwistycznego poznania. Tak więc nie do lingwistyki, nie do jej najbardziej zmatematyzowanych gałęzi trzeba apelować, aby się czegoś definitywnego dowiedzieć o „istocie poezji” czy choćby o swoistości „poetyckiej informacji”. Uparci uzyskają zresztą odpowiedź, niestety, wyciętą ze słów: bo analiza procesów słowotwórczych, posługująca się maszynami statystycznymi, stanowi dżunglę matematyczną, wobec której statystyka idealnego gazu jest igraszką dziecinną.

Mylą się nawet i ci, co sądzą, że nieprzydatność teorii informacji do badania utworów poetyckich (czy w ogóle literackich) płynie z jej osobliwego charakteru, który zasada się na oderwaniu miar informacji ilościowych od semantycznych, ilości informacji — od jej wartości, użyteczności od ceny, wreszcie, jaką przychodzi za nią płacić. Mylą się, bo z podobnymi problemami, z jakimi styka się (ale przygotowany matematycznie) neofita ucybernetycznienia humanistyki, już spotkała się przedtem biologia teoretyczna. Ponieważ ewolucja biologiczna ponad wszelką wątpliwość nie jest „osobą”, nie ma psychiki i nie myśli, z całym spokojem można wykluczyć istnienie uniwersaliów w tej mowie ściśle skodyfikowanej, wyposażonej w nadmiar organizacji, chroniący ją skutecznie przed zakłócającym działaniem „szumów”, mowie, jaką chromosomy przemawiają do chromosomów. Informacja, zawarta w plemniku wieloryba, „znaczy coś” tylko dla jaja wieloryba, wprowadzona natomiast w obręb jaja rekina czy łasicy, nie znaczy nic, jak słowo chińskie w polskim zdaniu.

Adresowy, operacyjny charakter tego „znaczenia” teoria informacji w swej postaci współczesnej, odciętej od semantyki, w pełni uwzględnia, a przynajmniej uwzględnić może, to znaczy, że stosunkowo prostymi przekształceniami i podstawieniami możemy ją o ten („docelowy”) rodzaj znaczeń wzbogacić.

Teoria, powtarzam, może pomieścić w sobie takie rozumienie „znaczeń” i stwierdzić, jakie zachodzą ilościowe różnice „ładunków informacji” komórek rozrodczych dwu czy dwustu rozmaitych gatunków. (Co prawda, tylko z przybliżeniem, ale odzwierciedla to tylko niedoskonałość wiedzy genetyków i cytologów). Informacji, podobnie jak energii, z niczego zaczerpnąć się nie da. To „prawo zachowania” jest, nawiasem mówiąc, w odniesieniu do informacji tylko jednostronne, bo w przeciwieństwie do energii, informację można zniszczyć.

Jednakże ta czysto ilościowa ocena informacji nie jest równoważna organizacji chromosomów. „Zwolniony wybuch sterowany”, jakim jest rozwój embrionalny, realizuje, z informacyjnego zapisu, kształt dojrzałego organizmu. Między początkową ilością informacji a stopniem jej organizacji zachodzą określone związki, nie tożsamościowe jednak.

Dopóki zabawiamy się pisaniem popularyzujących artykułów i wprawiamy czytelnika w należyty podziw wyjaśniając mu, że „ład”, „organizacja”, „uporządkowanie” — to jeden biegun zjawisk, „chaos” zaś, „bezład”, „dezorganizacja” stanowią drugi, i że tak samo jak „entropia” jest miarą systemowego bezładu, tak „informacja” stanowi miarę ładu — dopóki, powiadam, poprzestajemy na takich ogólnikach, wszystko jest dobrze.

Jest z tym trochę, jak z wyjaśnianiem teorii względności (ogólnej) na przykładach: „przestrzeń bezgrawitacyjna” — to prześcieradło gładkie, prześcieradło zaś, na którym położyliśmy parę ciężarów tak, że utworzyły się wokół nich zagłębienia, to nie najgorszy model analogowy, który uzmysławia, co to znaczy, jeśli fizyk powiada, że masa grawitująca zakrzywia przestrzeń. Ale sposobów transformacji inwariantów tak się nie wywiedzie. Jak

fizyk nie używa dla swych badań pofałdowanych prześcieradeł, tak teoretyk–informatyk nie zadowala się ogólnikowymi hasłami typu „chaos” i „porządek”. Nie mam zastrzeżeń, dopóki są te pojęcia kresem drogi popularyzatorskiej, ale uczynić z nich fundamenty gmachu ucybernetyzowanego wierszoznawstwa, to nawet nie na piasku budować, ale na próżni. Bo, wyjęte z fizykalnego kontekstu, słowa te stają się puste i nie znaczą nic.

Informacja, informacja, informacja! Ale jaka!? I jaki jej związek z organizacją? Weźmy dwa słowa: „drewniany” i „wóz”. Każde z osobna zawiera więcej informacji niż oba złączone, bo każde z nich może pojawić się w ilości kontekstów znacznie większej aniżeli ta ilość, w której wystąpić może złączona dwójka. „Drewniany wóz” jest to mały system zorganizowany. Organizację poznajemy po istnieniu związków między elementami ją stanowiącymi, a związki z kolei po tym, że jeden element, jedna część może nam powiedzieć coś (zawiera pewną informację) o drugiej. Jak wykryć tę zależność, to że każde ze słów niesie nieco informacji o drugim? Powiedzieliśmy, że słowa te, z osobna wzięte, zawierają więcej informacji niż połączone. Co się dzieje z tą różnicą ilości informacji? Staje się ona informacją nadmiarową. Co to jest informacja nadmiarowa? Jest to informacja „zbędna” w tym sensie, że niepotrzebna, gdy otrzymujemy wiadomość nie uszkodzoną, a umożliwiającą odtworzenie tekstu pierwotnego, gdy dociera do nas wiadomość uszkodzona szumem. W samej rzeczy, jeśli przesyłamy słowa pojedyncze i zamiast „wóz” otrzymamy „wół”, nie będziemy, w obrębie tej informacji, mogli znaleźć niczego, co umożliwiłoby nam wykrycie powstałego zniekształcenia. Ale jeśli przybędzie depesza „drewniany wół”, będziemy mogli tekst pierwotny zrekonstruować — w oparciu o nadmiar zawartej w wiadomości informacji. Powiadamy zatem: istnieje pewne „minimum” informacji, które równa się jej ilości niezbędnej dla ostrego wyróżnienia danego sygnału spośród wszystkich innych możliwych. Wszystko, co depesza zawiera ponadto, stanowi informację „nadmiarową” służącą nie selekcji (wyborowi), lecz, ewentualnie, umożliwiającą rekonstrukcję tej części informacji selektywnej, którą zniszczył szum. Gdy tworzymy „system”, „organizację”, łącząc, jak w naszym wypadku, słowa w tekst, to, co zyskujemy na informacji selektywnej, tracimy na nadmiarowej, i na odwrót, bo suma obu jest wielkością stałą. Suma informacji selektywnej oraz nadmiarowej systemiku „drewniany wóz” równa się sumie całkowitej informacji, jaką każde z tych słów zawiera z osobna wzięte. A teraz: gdybyśmy nie zwykłej depeszy oczekiwali, lecz tekstu poetyckiego, mógłby się w nim pojawić na upartego i „drewniany wół”, i „drwiący wóz”; z czego wynika, że informacja nadmiarowa tekstu poetyckiego jest mniejsza od nadmiarowej informacji tekstu niepoetyckiego. Ponieważ suma obu musi być wielkością stałą (wynikając z odniesienia do zbioru o liczebności zasadniczej stałej w danym czasie, jaką tworzy cały słownik wyrazów języka), zmniejszeniu, w wierszu, informacji nadmiarowej towarzyszy proporcjonalne powiększenie ilości informacji selektywnej (w tym sensie wiersz jest trudniej rekonstruowalny od prozy — akurat na odwrót, aniżeli sądzą niektórzy nowo nawróceni na cybernetykę).

Ale ta cecha tekstu poetyckiego nie jest jego wyróżnieniem jednoznacznym: te same stosunki wykryjemy w bełkocie schizofrenika. W każdym razie: problem „organizacji” wyłania się już przy łączeniu dwu słów. Co robić dalej? Z wprowadzeniem następnych elementów rzecz komplikuje się zastraszająco — gdy ich kilkanaście, analiza informacyjna organizacji staje się piekłem matematycznym. Zresztą nawet po takich móżdżkach strofa nędzna i świetna okazują się, w obliczu bogini Informacji, równoważne. A zatem trzeba się będzie odwołać do pewnych sytuacji modelowych.

### III

Nieokreśloność, trwająca do momentu nadejścia informacji, powinna po jej przybyciu zniknąć. Jeśliby pozostała, specjalista będzie zrozpaczony. Zwalczenie niszczącego informację działania szumu jest jednym z jego głównych celów.

Tymczasem przyczyna rozpaczy specjalisty może stanowić istotny czynnik oddziaływania utworu artystycznego. Można by konstruktywniej, estetyczny odbiór konstytuującej, roli szumu dopatrywać się w obrębie intencji artysty, który umyślnie wprowadza w dzieło szum, poprzez świadome uniemożliwienie ostrej selekcji niedookreśleniem, niedopowiedzeniem bądź środkami czysto formalnymi (usuwanie dużych liter, rozbijanie graficzne zdań, unikanie interpunkcji, gwałcenie reguł składniowych itp.), bądź „niejasnością” treściową. Szum nie może być oczywiście informacją, ale może stanowić w jej potoku takie puste miejsce, które swoiście uzupełnia mózg odbiorcy. Nawiasem mówiąc, jedna informacja może być „szumem” w stosunku do drugiej (np. gdy rozmowie przez telefon przeszkadza, przez równoczesne włączenie się, inna para rozmówców). Wszystko to nie jest niestety żadnym do problemu zbliżeniem. Najpierw, „świadomy zamysł artysty” mógł w ogóle nie istnieć. Efektami dezorganizacji, więc szumu, są okaleczenia, właściwe licznym rzeźbom antycznym. Nie odbiera się ich zazwyczaj jako czegoś, co zmniejsza lub niweczy doznanie estetyczne, ale, na odwrót, ta nieobecność jednoznaczności (bezręka Wenus milońska) może paradoksalnie wzmocnić doznanie estetyczne. Dalej, nie ma mowy o tym, aby ilościowe proporcje obecności szumu i informacji w obrębie dzieła poddawały się analizie, która wykazałaby określoną tych proporcji korelację z „klasą” dzieła; zawartość szumu w „słopiewniach” czy „mirohladach” może być taka sama, jak w dowolnym, zniekształconym od niezrozumiałości przekazie informacji, pozbawionym znamion dzieła sztuki. Nareszcie źródłem przeżyć estetycznych może być obraz „narastania entropii”, np. pożar lasu albo zejście lawiny, jak również językowy takiego zjawiska przekaz (informacje o wzroście „chaosu”). Przedstawiony zatem akt dezorganizacji, zniszczenia, może być dziełem sztuki. Przez odwołanie się do „ciemnych”, „ku zgubie dążących”, niszczycielskich namiętności duszy ludzkiej? Ależ musimy tu zamilknąć, bo te sprawy, wkraczające na grunt Wspomnień człowieka z lochu raczej aniżeli w kryształowe sfery teorii informacji, raz tylko jeszcze wykazują jej beziłość. Podkreślę tylko, że z semantyką nie ma ten problem związku. Barwne plamy płócien taszystowskich czy naturalne „piękno” wypolerowanego kamienia, „chaosu” jego pseudomorficznej (na przykład) krystalizacji nic nie „znaczą” semantycznie, ale reprezentują określony ład. Nie „same w sobie”, jak nie zawiera go bliski cień nocnej gałęzi i daleka smuga blasku na wodzie, obie scalone okiem widza w określoną „piękną” całość. Mózg jest „urządzeniem poszukującym ładu” wszędzie, nawet tam, gdzie go „nie ma” lub gdzie są tylko jego szczątki; usiłuje on (dla swego „właściciela” nieświadomie) uzyskać zawsze „pełną” informację, dla danych warunków, w danym kontekście sytuacyjnym, maksymalną, i tym więcej popełnia błędów, im sygnałów jest mniej i im trudniej je ujednoznaczyć (o zmierzchu, nocą, wobec zniekształconego „szumem” tekstu itd.). Mózg nie tylko „stwarza ład”, „widząc” trójkąt tam, gdzie są tylko trzy ciemniejsze plamy na ławicy piasku, ale go zawsze antycypuje, i w oczekiwaniu takim kryć się mogą wszelkie potencjalne odbioru artystycznego „zakłamania” (esteta „zachwyca się” dziełem, bo przyszedł doń w oczekiwaniu, że go ono „zachwyci”), jak również „przeżycia autentyczne” (gdy „negatywne oczekiwanie” przełamane zostaje w trakcie odbioru dzieła przekazaną „informacją”). Umyślnie używam tu wciąż cudzysłowów, bo terminy są nadużywane, a nie używane zgodnie z teorią. Utwór i odbiorca muszą być do siebie „przystosowani”, jak gatunek biologiczny do świata zewnętrznego. Odbiorca jest światem zewnętrznym utworu. Jak po wielkich zmianach środowiska pewne organizmy tracą zdolność przystosowawczą i wymierają, tak po określonych przemianach pokolenia, generacji, pewne utwory, wiersze „stają się martwe”.

Zjawiska tego sprowadzić do współgry „szumów”, „kodów” i „zbiorów odniesienia” nie sposób. Analogia bez wątpienia istnieje, lecz warta metafory raczej, epigramatu, impresyjnego szkicu, ale nie teorio—informacyjnego opracowania. Przecież od Horacego do Shapiry i Miłosza poeci pisali o poetyce, wiersze o wierszoróbstwie, lecz nie o taką ścisłość nam chodzi, jaką im się udało osiągnąć. Gdy o biologię otarliśmy się przed chwilą, przypomnę: był czas kwiecistego, lirycznymi ozdobnikami, metaforą quasi—poetycką strojnego wykładu naukowego w biologii właśnie; z wprowadzeniem metod matematycznych biofizyki, z wejściem na salę wykładową nauk biologicznych teorii informacji, te dawne, oratorstwem lśniące uroki, ustąpić musiały miejsca suchemu językowi ścisłości. I nie inaczej musi się stać w naukach humanistycznych, jeśli raz królowej nauk, matematyce, drzwi otworzą.

## IV

Istnieje pewien prosty język, jakim pilnujący porządku na drogach porozumiewają się z ich użytkownikami. Jest to ułożony umownie system znaków drogowych. Jadąc drogą, znajdujemy się w stanie „nieokreśloności” informacyjnej. Pojawiający się znak „czerwony trójkąt w kole na białym polu” oznaczający „stop”, stanowi akt elementarnego wyboru spośród dwóch możliwości (jechać—nie jechać). Dotychczasowa „różnorodność potencjalna” naszego zachowania została ograniczona. Formalny charakter znaku wyraża się w tym, że nie mówi nic o łańcuchu skutków i przyczyn, jakie spowodowały jego ustawienie. Może za zakrętem droga oberwała się i powstała tam przepaść. Może znak wystawił tylko patrol drogowy, aby ignorującego zawartą w niej informację ukarać mandatem. Różnica między tymi możliwościami, równa różnicy między życiem i śmiercią, nie wpływa na ilość informacji, jaką znak przekazuje. Przy wyborze dwójkowym, gdy obie możliwości obciążone są jednakim prawdopodobieństwem, ilość ta wynosi jeden „bit” (binary unit). Informacja zawsze stanowi ograniczenie różnorodności. Teoria nie interesuje się jej „ważnością”, jej konsekwencjami pozailościovymi. Jeżeli nie wiemy nic o tym, czy pan X kichnął, ani czy istnieje dusza nieśmiertelna, to odpowiedź „tak” na oba te pytania zawiera taką samą ilość informacji. Ale to są wypadki skrajne. Zazwyczaj jest tak, jak ze znakami drogowymi: informacja bowiem dlatego nazywa się selektywna, że zakłada wybór. Istnieje zamknięty zbiór możliwych „stanów” (znaków drogowych), „nadawcy” wybrali znak „stop”, odbiorca zaś dokonał „dekodowania” w swej głowie, czyli odczytał informację poprzez zestawienie jej z również znajdującym się w jego pamięci zbiorem znaków drogowych.

Dokładniejsze wniknięcie w nasz przykład wymagałoby wskazania, że oczekiwanie znaku drogowego stanowi funkcję zarówno mocy zbioru (ilości znaków możliwych), jak i sytuacyjnego kontekstu. Jeżeli oczekujemy depechy u „wyjścia” aparatu telegraficznego i nieokreśloność, jaka będzie jej treść, jest zupełna, ograniczą ją tylko „zbiór wszystkich możliwych depech”, jego entropia. Na drodze natomiast prawdopodobieństwo napotkania określonego znaku dodatkowo określają okoliczności zewnętrzne („entropia” okolicy, tj. stopień uorganizowania ze względu na oczekiwany znak). Na pustej drodze raczej nie spodziewamy się żadnego znaku i niespodzianie ukazujący się znak „stop” z tego względu, przez większe nieprawdopodobieństwo swego pojawienia, przynosi nam więcej informacji aniżeli taki sam znak „stop” przed torem kolejowym. Jednakże „wartość” informacji jest w drugim przypadku większa niż w pierwszym, bo nie usłuchawszy wezwania „stop”, można łatwo wpaść pod pociąg. Raz jeszcze widzimy brak związku między „ilością” informacji i jej „wartością”, „użytecznością”. Unaocznia to chyba wyraźnie, jak odległy jest termin „informacja” w teorii od swego znaczenia obiegowego.

Niech teraz zacznie padać śnieg. Działa jako „szum”, zalepiając znak drogowy, który staje się nieczytelny. Ilość przekazanej informacji spada do zera.

Ale śnieg pada dalej. Na koniec ten „ład”, który człowiek wprowadził w naturę budując drogę, zostaje „zakłócony” — śniegu jest tak dużo, że nie wiemy już, czy nasz pojazd porusza się jeszcze po drodze, czy też zjechaliśmy może w pole. Pojawienie się wówczas znaku drogowego, zalepionego śniegiem, więc pozbawionego znaczenia w obrębie kodu, informuje nas, że jesteśmy jeszcze na drodze. Tym razem wybór zachodzi w obrębie zbioru dwu stanów możliwych „jestem na drodze—nie jestem na drodze”.

Zaszło ciekawe przesunięcie. Znak był całkowicie umowny. Umowny znak nie może, zdawałoby się, nieść więcej informacji, aniżeli to wynika z mocy zbioru i rozkładu — w jego obrębie — prawdopodobieństwa selekcji. Możliwość odniesienia znaku do zbioru, dla dokonania tej selekcji, udaremnił mokry śnieg. A mimo to znak dostarczył nam określonej (nawet cennej) informacji. Jak to możliwe?

Znak „wypadł” ze zbioru, stracił doń odniesienie i stał się czymś innym. Stał się

elementem innego zbioru: tych wszystkich obiektów, jakie można spotkać na drodze, a raczej, które można spotkać tylko na drodze. Znaków drogowych nie stawia się na dachach domów ani w głębi jarów.

Znak stracił znaczenie konwencjonalne i zyskał nowe. Manifestuje się w tym uwarunkowanie przekazu informacyjnego kontekstem sytuacyjnym. Gdy ogólny poziom szumu wzrósł, znak, jako „resztkowa enklawa organizacji”, stał się czytelny — co prawda według innego kodu.

Tę sprawę warto wziąć pod lupę. „Zdekonwencjonalizowany znak” mówiący samą obecnością „tu pod śniegiem jest droga”, stoi niejako na granicy, oddzielającej sferę znaczeń umownych, przypisanych obiektom materialnym w myśl przyjętej konwencji (prawidła ruchu drogowego) od sfery znaczeń „niekonwencjonalnych”, nieumownych. Bo czy to jest umowne, że ten znak, nawet zalepiony śniegiem, można dostrzec poprzez zamieć? Że jest z metalu, drewna, blachy? Na pewno nie!

Powiedzmy, że nie kierowca zajmie się znakiem, lecz uczony, fizyk. Czy istnieje górna granica, pułap informacji, jaką będzie mógł ze znaku drogowego „wyekstrahować”? Oczywiście — granicę tę wyznacza „fizykalna zawartość informacyjna” obiektu.

Fizyk, zaznaczmy zaraz, nie może „ekstrahować” ze znaku czy jakiegokolwiek przedmiotu „informacji absolutnej”, bo takiej nie ma. Fizyk także odniesie obiekt (znak) do zbioru wszystkich możliwych obiektów albo lepiej: stanów, w jakich mogą się znajdować przedmioty materialne. Zna on różne możliwe stany atomowe, molekularne, energetyczne itd., jakie mogą zachodzić w przedmiocie materialnym. Fizyk (powtórzmy) dokonuje wyboru całkiem jak kierowca, ale podczas gdy tamten dokonywał wyboru między stanami *ja w nie umownymi*, zawartymi w ustanowionym spisie znaków drogowych, to ten zbiór, w którego obrębie wyboru dokonać musi fizyk, jest miliardy od tamtego liczniejszy. Bo wszak znaków drogowych jest kilkanaście, a możliwych stanów energetycznych atomów, nawet w obrębie niewielkiego słupka z blaszaną tarczą — stanów takich, z termodynamicznego punktu widzenia mniej lub bardziej prawdopodobnych, są krocie.

Jeżeli wszakże fizyk nasz badał słupek nie dzisiaj, lecz przed kilku laty, nie uwzględnił energetycznego stanu jądrowych mezonów, bo o nich wtedy w nauce było głucho.

Tak więc fizyk dzisiejszy dokona wyboru spomiędzy większej ilości „stanów” możliwych niż fizyk wczorajszy. Podobno odkryto nowe cząstki „subatomowe”, uwzględni je fizyk jutrzejszy. Co to znaczy?

To znaczy, że nawet ta, „pułap” wyznaczająca, ilość informacji fizykalnej, jaką można z obiektu „ekstrahować”, nie jest wielkością stałą, nie jest skończona, lecz rośnie w miarę postępu nauki.

A co by oznaczać miała w takim razie „pełna informacja” o obiekcie? Czyżby „całą prawdę”? A droga powiększania ilości wydobywanej z obiektu informacji byłaby analogiczna do drogi „wiecznego przybliżania się” do Prawdy Absolutnej?

Jakoś się nam te sprawy zaczynają komplikować, nieprawdaż?

I osobne pytanie: jaki jest stosunek informacji fizykalnej do tej, jaką znak przekazuje użytkownikom drogi? Przecież „drogowe” znaczenie znaku nie mieści się w obrębie informacji fizykalnej! Fizyka nic nie wie o istnieniu jakichś znaków drogowych.

No tak, powiadamy, bo ilość informacji, przekazywalnej przez jeden i ten sam obiekt materialny może być nieskończenie wielka! Bo ten sam znak może stanowić element nieskończonej ilości różnych zbiorów: fizyka, kierowcy, marynarza, alchemika, ale też może być tak, że powstaną nowe znaki drogowe, dajmy na to w związku z rozwojem pojazdów poruszających się na poduszce powietrznej. Część tych znaków zachowa „dawne” znaczenie i będzie stała przy drogach, do nich należy i nasz znak, ale część będzie porozstawiana po moczarach, łąkach, brodach, dolinach; okaże się wtedy, że potrzeba więcej różnych znaków (obecnie np. nie ma znaków, które by mówiły coś o tym, że

kierowca może wyjść z pojazdu na drogę. To nie jest potrzebne. Ale jeżeli „droga” będzie wiodła przez moczar, nad którym poduszka powietrzna przeniesie pojazd, ale który nieopatrznie człowieka, gdyby chciał wysiąść, pochłonie, wtedy trzeba będzie ustawić, umówiwszy się wprzód, znaki nowego typu, oznaczające np. „zakaz wysiadania z pojazdu”). Otóż, ponieważ wiemy już, że ilość informacji przekazywanej przez znak uzależniona jest także od mocy zbioru, do którego on należy, nasz, skądinąd nie zmieniony, znak „stop” będzie przekazywał w tej przyszłości inną ilość informacji aniżeli teraz. A że takich różnych umownych zbiorów można wymyśleć wiele się chce, stąd i twierdzenie o nieskończonej ilości informacji przez każdy dowolnie wybrany obiekt przekazywanej.

Rozprawialiśmy tak, a śnieg wciąż dalej pada, wiatr wieje i utworzył przy znaku — zasępę, w której ugrzązł nasz pojazd. Kierowca po namyśle wyrzucił znak z osady i używając go jako łopaty, wyswobadza się.

Co się stało? Sprawa jeszcze bardziej skomplikowana. Nikt nie tworzył żadnych nowych „zbiorów” ani dzięki odkryciom naukowym (fizykalnym), ani przez ustalenie nowego kodu porozumiewania (arbitralnych), a tymczasem znak przekazał kierowcy „nową informację” — że może być użyty jako łopata! W obrębie zbioru fizykalnego ani arbitralnego (drogowego) możliwości takiej nie ma. Skąd się wzięła?

Nasuwa się dosyć przerażająca możliwość, że informacja wcale „nie znajduje się” w znaku, tylko w głowie ludzkiej.

W pewnym sensie tak jest. Ale w przydrożny pień ta głowa nie mogłaby „winterpretować” możliwości „stania się łopatą”.

W zarysie, w fundamentach, bo dalej już nie — sprawa przedstawia się dość prosto. Nie ma ani „czystych” konwencji, tj. informacji całkowicie „umownej”, ani „całkowicie obiektywnej”. Są to tylko skrajności teoretyczne, granice nieosiągalne.

Informacja jest zawsze konwencjonalna, to znaczy względna, tylko stopień tej konwencjonalności, arbitralności wyliczenia stanów możliwych, dyskretnych, rozróżnialnych, jest zmienny. Informacja jest względna, bo stanowi funkcję sytuacji, a nie jakąś jej „istotę”. Zmiana kontekstu może informację zniszczyć albo obdarzyć znak inną, nową informacją. Podobnie jak zmiana zbioru, w którego obrębie zachodzi selekcja.

Ale teraz: gdyby fizyk chciał zbadać cały świat, nie tylko znak drogowy, gdyby jego fizyka wtargnęła w geologię, kosmogonię, biologię, socjologię, wykryłyby prawidłowości, które doprowadziły między innymi do zbudowania drogi i do ustalenia — i ustawienia — znaków drogowych. A także do powstania pracy, języka, narzędzi, łopat. Jednym słowem, w zasadzie przynajmniej, cały świat, także ludzki, jest opisywalny w tym jedynym, uniwersalnym dla nauk ścisłych, języku stosunków, struktur, relacji. Czy to jest język teorii informacji? Nie. W każdym razie — nie tylko. Bo nie jest ona ani uniwersalna, ani uniwersalistyczna. Teoria informacji może nam tylko powiedzieć, czym (ilościowo) wyróżnia się dana rzecz, dany stan ze wszystkich innych należących do określonego zbioru. Ale nie interesuje jej ani sposób, jakim te zbiory tworzymy, ani ich użyteczność, ani znaczenie operacyjne, pragmatyczne, semantyczne. To, „czym się ten stan wyróżnia”, stanowi właśnie „ilość informacji ekstrahowalną” względem zbioru. Teoria nie stwarza zbiorów, te są jej dane. Teoria nie umie, ponadto, dokonać analizy czegoś, co jednocześnie należy do całego szeregu różnych zbiorów, czy będzie to jakiś organizm żywy, molekula białkowa, napisany dowcip, czy wyrecytowany wiersz. Ilość informacji może być taka sama w poemacie, jak w cząstce białka, z czego wszakże nie wynika nic ani dla biochemii, ani dla poetyki, jeżeli chcemy dowiedzieć się o obojgu czegoś, czego się w języku statystycznym wyrazić nie da. Bo teoria informacji pokrewna jest statystyce: ale podczas gdy statystyka uśrednia, tj. usiłuje dowiedzieć się czegoś, pomimo iż istnieje różnorodność, teoria informacji mówi to, co może powiedzieć dzięki istnieniu różnorodności.

Przy całym swym skomplikowaniu, przy całej rozległości zastosowań, z całym wciąż się



rozbudowującym aparatem matematycznym, teoria informacji zawodzi, kiedy chcemy badać nią układy złożone hierarchicznie. Tym się zajmuje jej krewna, teoria samoorganizujących się systemów. Organizm żywy, molekula białkowa nie znajdują się w stanie izolacji, lecz współistnieją ze światem, „walczą o przetrwanie” — toczą z tym światem, z jego wpływami zakłócającymi, grę, której wygraną jest kontynuacja, a przegraną — „ustanie”, śmierć, wzrost entropii, chaos. Ale tym — wyborem najlepszej strategii — zajmuje się teoria gier, następna krewna teorii informacji. Są i inni członkowie tej rozrastającej się rodziny, np. teoria eksperymentu. I, nareszcie, zarysowuje się dziś jako możliwość, matematycznie prawie tylko jeszcze domyślna, teoria nadrzędna w stosunku do tamtych wszystkich: ogólna teoria układów. W tej teorii zmieszczą się już wszelkie możliwe relacje typu sprzężeń zwrotnych, działań teleologicznych i „losowych”, synergicznych i antagonistycznych i utworzy ona z nich, jak z drobniotkich elementów, wszechogarniającą, wszystko, co istnieje, przenikającą strukturę uwarunkowań, więzi, tak że będzie w niej miejsce na energetyczne i topologiczne „odczytywanie informacji” atomów i na fizykalizację semantycznych zjawisk dziejących się w neuronowych sieciach mózgów, na „języki umowne” znaków drogowych i drogi, jakimi ludzie dokonują odkryć, takich na przykład, że można znaku „stop” użyć jako łopaty. Jak również będą się w tym kosmicznie obszernym łonie matematycznym znajdowały — ujmowane czysto strukturalnie, bo innego języka niż strukturalny nauka ścisła nie zna — zjawiska o takim stopniu organizacji, jak elegie, sonety i wiersze. I będą one, w analizie, od grafomańskich odróżnialne.

Ale od tej teorii, nie wiem, wspanialej czy przerażającej, jesteśmy jeszcze bardzo daleko. Chyba jednak — na szczęście.

## V

Mam nadzieję, że przez przybliżenie, przez obrazowanie, więc sposobami sztuki raczej aniżeli nauki (ale cel, tym razem przynajmniej, uświęcał środki) doprowadziłem czytelnika do zrozumienia, że teoria informacji, ten kolos naukowy, staje się, gdy go wprowadzić w państwo sztuki, bardziej bezradna i zdolna pleść nonsensy naiwniejsze od trzyletniego dziecka. I to nawet wprowadzona w tę nierówno podzieloną dziedzinę (bo więcej w niej piekła klęsk niż nieba osiągnięć), w pełni swego matematycznego rynsztunku, z którego ogałają ją zwykle wierszoznawcy.

Czy to ma znaczyć, że należy cierpliwie oczekiwać rozwoju tej „ogólnej teorii systemów”, która za pięćdziesiąt, a może już za trzydzieści lat wkroczy, szumem elektronowych maszyn, do konwersatoriów i pracowni humanistycznych?

Proszę zwrócić uwagę na serię przekształceń, jakich dokonaliśmy w naszej, z jakże prostych elementów złożonej, historii o mokrym śniegu. Czy użycie znaku drogowego jako łopaty nie kryje w sobie jakiegoś pierwiastka twórczego, czy nie tkwi w tym akcie element humoru? A teoria humoru jest równie niedorozwinięta, równie nie istniejąca, jak teoria poezji. Sądzę, że jest to droga prowadząca do odkrycia struktur coraz zawilszych, struktur przekształcających się w trakcie ich „odbierania”, przy czym określonym przegrupowaniom, przemianowaniom towarzyszy narastanie swoistych napięć, odczuwane jako wzrost śmieszności, liryczności, tragizmu. — Wydaje się więc, że istnieją tu szansę wykrycia takich, i tylko takich, typów przestrukturowań, które miałyby moc praw ogólnych.

Innymi słowy: teoria informacji, ukazująca, jak daleko można w pewnych dziedzinach dojść i jak wiele nowego zrozumieć posługując się jedynie miarą ilościową organizacji, relacji, badaniem aspektu strukturalnego i formalnego zjawisk — winna stanowić dla humanistów niejako wytyczną postępowania w sensie najbardziej ogólnym. Powinna działać jako bodziec, jako zachęta do własnych, autonomicznych działań opartych na podobnej metodzie, lecz nigdy — jako zestaw gotowych narzędzi. Narzędzia te bowiem są, paradoksalnie, zarazem zbyt proste, nazbyt ostre i zbyt złożone — aby je można było użyć natychmiast; myśl humanistów powinny one zapłodnić, a nie skłonić ją do mechanicznego kopiowania, przenoszenia, że nie powiem już — ulegania snobizmowi, modzie, przez „dosmaczanie” prac groźnie brzmiącą terminologią.

Tak zatem eksperymentować warto. Ale ostrzegam przed pośpiesznym swataniem fizyki z poezją, bo ten niebezpieczny związek spłodzić może potwarki, do których żadne z szanowanych rodziców się nie przyzna.

Przedruk z: „Nowa Kultura” nr 21—22 1962

## GŁOS AUTORA W DYSKUSJI NAD FILOZOFIĄ PRZYPADKU\*<sup>1</sup>

Sądzę, że będzie na miejscu nazwanie przyczyn, które spowodowały powstanie omawianej książki. Motywacja jej napisania była intymna: wynikała z trwale zadziwiającego mnie konfrontowania opinii krytycznych o mojej beletrystyce, powstałych w rozmaitych odbiorczych kręgach — od Japonii po Francję. Nieprzywiedlna wzajemna takich opinii, wcale już znieruchomiałych środowiskowo, zadawała kłam wszystkiemu, co mogłem przeczytać na temat „istoty dzieła literackiego” w pracach, po jakie sięgałem — powodowany chyba zrozumiałą ciekawością dowiedzenia się, co warunkuje rozrzut w odbiorze beletrystyki. Teoria fenomenologiczna stała się przedmiotem ataku jako najbardziej kategorycznie zaprzeczająca moim doświadczeniom pisarskim, a także czytelniczym.

Tu włącza się, w moim rozumieniu, element empiryczności w motywację pracy. Systematyczne niepodobieństwo mych introspekcyjnych doświadczeń, jako czytelnika beletrystyki, do kanonów, jakie prezentuje Ingarden, mogło świadczyć tylko o tym, że jestem odbiorcą literatury nietypowym. Gdy jednak rozeznanie w tym, jak kształtują się w mojej świadomości książki czytane, stanowi część subiektywnej wiedzy prywatnej, nie należy już do niej los moich powieści: to bowiem, że ja je napisałem, nie było istotne; istotne były ich odmienne odczytania w różnych krajach, czyli stan obiektywny, na jaki najmniejszego wpływu mieć nie mogłem. Przyznaję się do grzechu polegającego na uproszczeniach Ingardenowskiego stanowiska, wydaje mi się jednak (nie jest to próba obrony, lecz tylko wyjaśnienia rzeczy), że artykulacjom fenomenologicznej analizy nie przysługuje cecha pełnej przekładalności na język podległy z założenia dyrektywie wywrotności empirycznej.

Prawomocność wprowadzenia w literaturoznawstwo takiego właśnie języka jest pochodną już dziś pewnej diagnozy, że język nie jest zjawiskiem rozpoznawalnym w pełni dzięki introspekcyjnej refleksji. Doświadczenia stwierdzają bowiem, że ani krańcowe wysiłanie tej refleksji, ani jej opatrywanie nazwami greckiego pochodzenia nie może likwidować jej zawodności. Trud językoznawcy—empiryka jest kumulatywno—statystyczny, a nie refleksyjno—analizacyjny, jego płodność zaś demonstrują powstające w oparciu o tak zgromadzoną wiedzę różne generatory artykulacyjne, algorytmy przekładów itp. Gdy tedy wynika z obserwacji, że człowiek mówiący, choć grzeszy przeciw składni, gramatyce, logice, regułom frazeologii, przecież słuchaczowi przekazuje w normie sensy wypowiedzi, i kiedy ten stan rzeczy potrafimy wytłumaczyć w oparciu o dowody, że język jest kodem samonaprawczym, którego generator działa kwantowo i stochastycznie, przekazując sensy kontynualnie właśnie — ustaleń tego typu żadną miarą nie da się ani w teorię fenomenologiczną wpasować, ani na język jej przełożyć. Tak więc widzimy, że kumulatywna moc doświadczenia pozwala nam dotrzeć do takich własności języka, które są poszczególnym mówiącym zasadniczo w samoobserwacji niedostępne, i to już jest wystarczającą motywacją zakwestionowania doktryny, której bazowe pojęcia nie są empirycznie sprawdzalne.

Po części jest Filozofia przypadku polemiką ze stanowiskiem fenomenologicznym dlatego, ponieważ przestrukturowanie pewnego uniwersum dyskursu jest łatwiejsze i bardziej precyzyjne w skutkach, kiedy się już dysponuje oparciem (nawet generalnie kwestionowanym) w postaci gotowej klasyfikacji i systematyki tego, co badane. Zresztą prawda o naturze dzieła interesowała mnie daleko bardziej aniżeli chęć pogrzebienia Ingardenowskiej koncepcji. Jakkolwiek nie mógłbym się wycofać z jej krytyki, jestem ostatnim skłonny do głoszenia, że narodziny tej teorii dzieła stanowiły błąd po prostu. Jeśli przyrównałem fenomenologiczny obraz dzieła do płodu Ptolemeuszowego, to bez cienia złośliwej intencji, ponieważ kosmos Ptolemeuszowy był krokiem wiodącym do

<sup>1</sup> Dyskusja odbyła się w Instytucie Badań Literackich, jej zapis opublikował „Pamiętnik Literacki” w z. 1 z 1971 r.

Kopernikańskiego, zarówno w sensie historycznym, jak logicznym: na tym właśnie polega etapowość wszelkiej diachronii poznania. Jeśli zaś w oku krytycznego czytelnika kroilem na samozwańca zwanego „besserwisserem”, to usprawiedliwiłbym się odwołaniem do ogólnych tendencji panujących w nauce, których wszak nie wymyśliłem sobie.

Powołałbym się na trzy takie tendencje, a mianowicie: powielania języków deskrypcji zjawisk badanych; operowania paradygmatami heurezy i teorii twórczości, typowymi dla nauk w danym czasie przodujących; podnoszenia poziomu odrywania przy tworzeniu generalizacji.

1. Popis erudycyjny nie był moim zamiarem, jeśli więc w książce dość namolnie te same rzeczy opisywane są raz w języku cybernetyki stosowanej, raz logiki, raz biologii rozwojowej, a raz teorii gier, to przyczyną owej wielokrotności opisów jest takie oto spostrzeżenie naukoznawcze. Rosnącą dojrzałość określonej dziedziny badań rozpoznaje się po tym, że istnieją do niej mnożące się dojścia ze strony możliwie wielu różnych naukowych dyscyplin. Tak np. można opisać jednostkę chorobową, jaką jest cukrzyca, w tradycyjnym języku medycznej fizjopatologii, językiem wywodliwym z teorii regulacyjnych zaburzeń, cybernetycznie uczłunkowanym, oraz językiem biochemii molekularnej. Zjawiska dziedziczności można opisywać stosując deskrypcyjną aparaturę informacjonistyki fizycznej, molekularnej biochemii, biofizyki, genetyki populacyjnej itp.

Wielość opisów jako wielość dojść do obiektu badanego z rozmaitych kierunków gwarantuje w rosnącym stopniu, że ten obiekt nie jest hipostazą ani innego typu bytem choć po części urojonym. To — ze względu na mocną niezawisłość eksperymentalnych procedur, na jakich się opierają poszczególne aparaty terminologiczne. Jeżeli bowiem w chromosomach faktycznie znajdujemy to, czego się od nich jako od kodu domaga teoria informacji, osobno zaś to, czego wymaga od nich obserwacja makroskopowa wielkich populacyjnych zbiorów, i jeśli tak niezawisłym sposobem utworzone modele silnie się pokrywają, domniemanie błędu w tych ujęciach ulega energicznej redukcji. Jeśli zaś pewne zjawisko — np. nowotworów w biologii — nie jest wielodostępne w powyższy sposób, stanowi to ważny sygnał niedostateczności rozpoznania i zarazem odbiera to wiarygodność przypuszczeniu, jakoby istniejący, na razie jako jedyny, język opisu był względem badanego wybornie adekwatny. (W wypadku nowotworów jest nieco inaczej, albowiem utworzone ich modele, jeśli pochodzą z różnych dyscyplin, nie chcą się pokrywać: to jest już dobitnie jawnym sygnałem niedostateczności rozpoznania zjawiska).

Zdaję sobie oczywiście sprawę z owej alergicznej niechęci, żywionej przez hermeneutyków pewnej dyscypliny dotąd izolowanej względem wtargnięć powyższego rodzaju. Lecz historia nauki poucza nas o tym, że nieprzekładalność całkowita systemów terminologicznych żadną zaletą poznawczą nie była nigdy, więc nią zapewne i teraz nie jest. Oczywiście nie można a priori twierdzić, że pełna przywiedlność wzajemna języków deskrypcji oraz paradygmatów heurezy stanowi niezmiennik całego uniwersum nauki. W tym sensie mogą tkwić w humanistyce pierwiastki tłumaczeniu na języki innych dyscyplin niepodległe lub podległe okólnie tylko, ze zubożeniami.

Moja rezygnacja z uwzględnienia w próbie empirycznej teorii literatury spraw estetycznych była objawem presumpcji, że spośród wszystkich aspektów dzieła te właśnie najtrudniej są dostępne uempirycznieniu. Przyznaję się w tym — jako we właściwym — miejscu do oscylacji stanowiska, którą można odnaleźć w *Filozofii przypadku*, a którą prof. Markiewicz wydobyl na wierzch zestawieniem cytatów. Wynikła ta oscylacja, jak sądzę, stąd, że omawiałem kolejne modele dzieła analogowe, lecz ponad wszelką wątpliwość nie izomorficzne. Embrion nie jest powieścią, nowela nie jest traktatem logicznym, sonet nie jest rodzajem szachowej rozgrywki! To całkiem pewne. Tak więc dostając się w trakcie wykładu pod władzę kolejnego modelu, uwypuklając te jego cechy, które upodobiają go do dzieła literackiego, ulegałem analogiom powiększając je i wchodziłem przez to w niejaka

sprzeczność z innymi ustępami książki. Niewątpliwie, pisząc *Filozofię przypadku* nie tylko innych zamierzałem pouczyć, lecz sam się sporo nauczyłem — i gdybym ją miał pisać ponownie, byłbym już ostrożniejszy, chociaż idealne utrzymanie liniowości wykładu byłoby nadal trudne, ponieważ książce brak kośćca dedukcyjnego oraz matematycznego uźbrowania. Obrazy utworzone ze słów nigdy się tak nie pokrywają pewnie, jak konstrukcje matematyczne.

2. Operowanie zasadniczymi paradygmatami heurezy jest w zasadzie korzystne zawsze, ponieważ te wzorce postępowania poznawczego, które w danym czasie dominują, są ze szczególną, bo wszechstronną, dokładnością weryfikowane w toku przeróżnych procedur gnostycznych. Główną taką przyjętą kategorią była w mojej książce kategoria przypadku rozumianego stochastycznie. Śmiałybym odeprzeć zarzut prof. Markiewicza, że jej nie zdefiniowałem porządnie — powołując się na to, że nie zdefiniowałem też porządnie większości podstawowych pojęć biologii, kiedy mówiłem o embriogenetycznym modelu, ani logiki, kiedy o logicznym itp. Próba wprowadzenia do książki wykładu teorii prawdopodobieństwa zakończyłaby się dla niej smutno, zważywszy jej i tak opasłe rozmiary. Ale to nie wszystko. Bezmatematycznie wyłożyć tej teorii po prostu nie można, przynajmniej kiedy się chce dotrzeć aż tam, gdzie pojęcia stochastyki i ergodyki mają właściwą rację bytu. (Jeśli, wreszcie, byłoby to możliwe, wyznam po prostu, że ja tego nie potrafię). Wprowadzenie zaś aparatury matematycznej, skoro raz dokonane, wymagałoby przez prostą konsekwencję jej dalszego stosowania. Cóż, kiedy się tego na razie wcale nie da zrobić! Chciałem tedy zasugerować jedynie to, że skoro ścisłe metody powiązane z problematyką probabilistyczną owocują w dziedzinach modelowych dla dzieła, to i ono samo w przyszłości może z ich interwencji skorzystać.

Jeśli mam być szczery, a sędzę, że powinienem — wyjawię, iż moją ambicją nie było i nie jest wcale pozyskanie wiernych wyznawców, doktrynalnych adherentów koncepcji wyłożonej, dość mgliście w końcu, w *Filozofii przypadku* — lecz raczej następców, kontynuatorów, gotowych jedne moje intuicje precyzyjniej doformułować, inne zaś przekreślić, jeśli błędne. W tym sensie książka ta żadną dogmatyką nie jest, lecz najwyżej szeregiem kierunkowskazów, jest ziarnem, oczekującym prac dalszych, które umożliwią wschód pewnej myśli.

Jestem przekonany o tym, że rozwojowego kierunku humanistyki światowej w niczym nie osłabi zupełny brak konwertytów na wiarę empiryczną, jaką u nas głosiłem. Tendencja bowiem ruchu w tę, empiryczną, stronę — już się przejawia, jakkolwiek wyraźniej aniżeli w samym literaturoznawstwie — w dziedzinach pokrewnych, bo w antropologicznie wykładanej historii sztuki, czego partykularnym dowodem może być książka George'a Kublera (u nas wydana w r. 1969 przez PIW): *Kształt czasu. Uwagi o historii rzeczy*. Byłoby zapewne doskonale, gdyby czołówkę tego ruchu udało się w literaturoznawstwie utworzyć w Polsce, ale jeśli nie powstanie u nas, powstanie gdzie indziej. O tym nie wątpię, ponieważ taki jest właśnie długookresowy trend, który wykryć tym łatwiej, im więcej rozmaitych dyscyplin ogląda się jakby z lotu ptaka. A zatem, skoro zajmowałem się robotą zwiadowczą, a nie pisaniem podręcznika, co byłoby ponad moje siły, czułem się w prawie niedefiniowania pewnych takich rzeczy, które można znaleźć w każdym dziele dotyczącym, w danym wypadku, probabilistyki.

3. I wreszcie — podnoszenie poziomu odrywania języka generalizacji jest także nader charakterystyczną cechą stanu nauki współczesnej, widomą w nadbudowywaniu poszczególnym fachom naukowych „metapięter”. Niebezpieczeństwa związane z przedwczesnym, niejako gwałcielskim narzucaniem jednej dyscyplinie, mniej zaawansowanej, poziomu odrywania prawomocnego w innej, dojrzałszej metodycznie, te niebezpieczeństwa są spore. Dlatego właśnie poświęciłem nieco uwagi strukturalizmowi. Jest on bowiem próbą utworzenia tak wysokiego poziomu odrywania dla dyscyplin typu

antropologii kulturowej, etnologii, historii z historiografią, lingwistyki semantycznej, literaturoznawstwa wreszcie, którego te dyscypliny' często znieść nie mogą bez szkody. Te szkody są powstającymi hipostazami, rozpoznaniem błędnymi (w sensie prymitywizującej złożoność badanego, bo właśnie „gwałcicielskiej” segmentacji, jako że sławetny „coupage” i „decoupage” może się stać dość bezmyślną rzeźnią), wynikaniem kontradycji, chowanych w obłokach pseudoprecyzyjnej retoryki itp.

Metoda strukturalistyczna jest sobie narzędziem jak inne, ani lepszym, ani gorszym; absolutyzowanie jej to tyle, co wyrzucanie w fizyce na śmietnik komór Wilsona dlatego, ponieważ już istnieją komory pęcherzykowe. Zarazem jednak błędne stosowanie skądinąd cennego wznoszenia poziomu abstrakcji nie może do niego zniechęcić; ponieważ najogólniejszymi ze wszystkich dyspozycyjnych są uchwytów matematyczne i z tego regionu pochodzące pojęcia, więc wprowadzałem je, chociaż zapewne, ze stanowiska ścisłości rygorystycznej — przedwcześnie.

Przyznaję, że teksty uwzględniające rolę przypadku w konstytuowaniu się wartości artystycznych nie były mi znane (prof. Markiewicz cytuje jeden z takich tekstów). Jednakowoż od obowiązku orientowania się w pracach tego typu zwalnia mnie ich zupełna marginalność wobec naczelnych paradygmatów literaturoznawczej humanistyki. Nie o to bowiem chodzi, żeby wygłaszaniem aforyzmów o losowości sukcesu artystycznego uspokajać niejako sumienie literaturoznawcy — iż dzięki takim uwagom niczego nie pomija w uniwersum literatury — lecz o to, że uważam przypadek stochastycznie rozumiany za jedną z centralnych kategorii literaturoznawstwa sprawdzalnego. Przypadkowość ta cechuje się tym, że przerasta w swoistą konieczność i jedność, której późniejsze zakwestionowanie bywa trudne lub niemożliwe. Dla systemowej treści wiary w Odkupienie chrześcijańskie jest chyba zupełnie przypadkowe to, że akurat w Judei jako narzędzia katowskiego używano krzyża. W tym sensie krzyż, jako symbol Odkupienia, wszedł w tę wiarę przypadkowo. Jednakowoż ten, kto — niechby jako papież — uznał, że można go zamienić na inny, np. na koło, postąpiłby w sposób szalony. Tak się przedstawia interwencja czynnika losowego w dzieje kultury: jako pewnego singularyzmu.

Losowość literatury jest inna, systemowa mianowicie. Myślę, że w tym kontekście można by wprowadzić pojęcia odbioru minimalnego i maksymalnego. Minimalny doprowadza do powstania spójnej całości ze zdarzeń obrazowanych, maksymalny zaś konstruuje budowlę, której częścią tylko jest zdarzeniowa oś; wokół niej rozpościerają się sfery wykrytych czytelnicze uwikłań faktów w pozaliteralne znaczenia. Lojalność dzieł epickiej klasyki była względem czytelników taka, że ten, kto prócz anegdoty niczego nie chciał lub nie umiał dostrzec, mógł ją rozpoznać — właśnie w ograniczeniach odbioru minimalnego. Perfidia zaś szkół prozy nowoczesnej w tym, że ten, kto nie spróbuje odpowiadać na pytania w porządku znaczeń odsyłaczowych i całościowych dzieła, nie zdoła uspojnić nawet ciągu zdarzeniowego. Kompozycyjna robota poddaje bowiem ten ciąg dystorsjom, których zawiadowcze centra znajdują się poza obrębem przedmiotowego kauzalizmu. Kto tam nie sięgnie, ten sensów też na przedmiotowym planie nie zintegruje. Wszystko w tym, że tak określona dystynkcja nie jest dychotomią, lecz widmem ciągłym; u stochastycznego zera znajdują się powieści kryminalne i inne, mocno szablonowe, na przeciwnym krańcu — eksperymenty w rodzaju nowej powieści.

Oczywiście modele dzieła, jakie proponowałem, są tylko przykładami, które mi się nasunęły; można by stosować inne, w duchu konstruktywistycznym (np. budownictwo złożone z elementów mających zarówno paradygmatyczne, jak syntagmatyczne charakterystyki lub malarskie płótno pocięte na kształt łamigłówek — im ono bardziej figuralne, tym bardziej jednoznaczna jego rekonstrukcja, im zaś mocniej abstrakcyjne, tym większy rozrzut możliwych całości). Wypada przyznać, że większość statystyczna

literackich utworów nie wymaga koniecznie w analizach stosowania kategorii przypadkowości. Teoria jednak musi z niej zdawać sprawę, ponieważ jest narzędziem generalizacji faktów, a nie ich dyskryminacji: jak wiadomo, wystarczy jedno zdanie nierozstrzygalne logicznie podług przyjętego systemu logiki, żeby go w całości kwestionować. Tak więc teoria musi zdawać sprawę z wszystkich elementów zbioru dzieł albo okazuje się niedostateczna.

Systematyczne pomijanie udziału losowości w literaturze wypada uznać za poznawczą ślepotę, w pełni usprawiedliwioną historycznie. Roboty kulturowe człowieka zawsze oscyływały między kategoriami ładu wyborczego i równie zupełnego bezładu; w zakresie formalnym prace te zawsze sprowadzały się do rugowania z obrębu zjawisk centralnych społecznie, więc najważniejszych, losowości, która jest ładem „częściowym”, wkorzenionym nierozdzielnie w statystykę. Nietrudno się o tym przekonać, sięgając do odpowiednich źródeł; wszystkie wiary systemowe, mity, podania, a także dekalogi i kodeksy etyczne są zbudowane zarazem logicznie i antyprobabilistycznie w tym sensie, że ukazują nielosowe porządki. Kategoria częstotliwości, pojmowanej probabilistycznie, nigdy nie była więc historycznie równoprawna z biegunowościami chaosu i determinizmu; nic tedy dziwnego w tym, że przekoczyła też w obręb literaturoznawstwa, skoro chodzi o kulturowy niezmiennik dziejów, usuwalny dopiero dzięki interwencjom lepiej poinformowanej empirii.

Nie jest to zresztą jedyna kategoria systematycznie nie używana w humanistyce; inną, niezmiernie istotną dla dzieł literackich, jest kontradycja, którą wykrywa się przy próbach logicznego rekonstruowania większości dzieł (a jak chcą niektórzy logicy, we wszystkich). Tradycyjnie przyjęło się uznawać rzeczową lub logiczną sprzeczność wykrywalną w dziele za błąd po prostu, lecz antynomia wcale nie musi być tylko skutkiem autorskiej nieuwagi; pełni ona niejednokrotnie rolę ogranicznika myślowych ruchów, ponieważ wprowadza myśl na tor kołowy, i w tym sensie staje się sprzeczność rodzajem pułapki, która często stanowi model jakiejś tajemnicy (egzystencjonalnej np.). Zjawisko to pominąłem w książce, być może z tego powodu, że nigdy, w żadnej dziedzinie poznania, nie przypisywano kontradycjom wartości, ale przeciwnie, empiria z matematyką uważa je za największe biedy, które należy usuwać wszelkimi dostępnymi sposobami. Inaczej z tym w sztuce (wspomina o tym L. Wittgenstein), ale ponieważ nie umiałem dać rady teoretycznie temu problemowi, przemilczałem go. Sądzę jednak, że poświęcenie uwagi aksjologicznej i semantycznej roli sprzeczności budowlano—znaczeniowych w literaturze może rzucić światło na wiele jeszcze nie uwzględnionych aspektów kreacji, lektury i wszystkich związanych z tym zagadnień.

Prof. Markiewicz — któremu wdzięczny jestem za dociekliwość uwag, jakie poświęcił mojej książce — wyraził żal, że nie tyle omówił sprawę fikcji literackiej, ile się jej pozbył na rzecz „kolegi”, tj. empirii. Powiedziałbym, że uczyniłem tak nie ze wszystkim, ponieważ omówienia fikcyjności twórców słownych beletrystyki są po książce rozsiane (świadczą o tym takie tytuły rozdziałów, jak *Reprezentacja jako obecna nieobecność* lub *Fatamorganowa teoria dzieła* np.). Fikcjonalność jest wszak niepozbawalnym akompaniamentem samego wyniknięcia znaków wszelkich, ponieważ znak pojawiający się wcale nie gwarantuje tego, że to, co przezeń oznaczone, istnieje realnie w danej sytuacji; sprawę tę poruszyłem też zrównując literaturę z grą, czyli z konwencjonalnością reguł zawiadujących pewnym znakowym działaniem skoordynowanym.

Do spraw tych wróciłem, bo musiałem, w kolejnej mojej niebeletrystycznej książce, która jest monografią Science Fiction. Co do tego wreszcie, że ograniczyłem się — przy omawianiu dzieł Tomasza Manna — do krytyki względnie konwencjonalnej, operując tylko nielicznymi z kategorii i modeli omawianych w teoretycznej części książki, zrobiłem tak, bo zastosowanie dodatkowych modeli fatalnie obciążałoby wykład (mit faustowski jako końcówka pewnej gry, jako program zdeterminowany etc.). Wychodziłem zresztą z powszechnego przeświadczenia, że teorie mogą być sobie nudne śmiertelnie, że mogą nas zanudzać nawet nowoczesne dzieła,

lecz nie dostąpiła jeszcze takich praw — krytyka.

Pozostaje mi, jako ostatni, obowiązek najmniej miłego dla mnie, bo niechlubnego, ustosunkowania się do uwag, jakie padały w dyskusji o pracach i szkołach, które poruszały już kwestie zawarte w *Filozofii przypadku*, a wyrażone w niej tak, jakbym był ich pierwoodkrywcą. (Dotyczy to np. szkoły praskiej, wspomianej przez dra Sławińskiego). Nie mogę niestety zrobić nic innego, jak tylko wyznać tu swoją ignorancję. To, że staram się doksztalcać i że po wydaniu *Filozofii przypadku*, a przed napisaniem wspomnianej monografii, czytałem dalsze prace literaturoznawcze, nie usprawiedliwia grzechu popełnionego przy empirycznej teorii literatury. Nie mówię tego, ani by ubolewać nad moim nie—oczytaniem, ani żeby się nim chełpić sekretnie (że niby doszedłem sam wynalazków nie znanych mi poprzedników), lecz tylko, by odpowiedzieć na takie uwagi.

Ponieważ może to zainteresować fachowców, dodam, że elementy metody wyłożonej w *Filozofii przypadku* stosowałem przy pisaniu *Fantastyki i futurologii* i przekonałem się, że, po pierwsze, niezbędne jest wprowadzanie ramowych założeń natury ontologicznej i epistemologicznej, kiedy się uprawia taksonomię genologiczną, po wtóre zaś, że podejścia teoriiinformacyjne, strukturalistyczne i te rodem z teorii gier są wcale skuteczne przy badaniu dzieł gatunkowo spokrewnionych jako zbiorów, jałowiej zaś, gdy się chce indywidualizować krytycznie utwory oryginalne. Krytyka bowiem, stosując metody ścisłe, działa poprzez wykrywanie paradygmatów stojących za elementami utworu; posunięta do ostatniej granicy, jest jego redukcją do owych paradygmatów, za czym autor w ten sposób potraktowany okazuje się najwyżej geniuszem plagiatu, skoro tak zręcznie po—ściągał z tak wielu źródeł. Ale przecież chwyt kompozycyjnego scalania wzorców owych jest właśnie tą zasługą, która powinna znaleźć odbicie w deskrypcji krytycznej: i tu właśnie metody ścisłe zawodzą, ponieważ chwyt, jeśli oryginalny, jest niepowtarzalny i pierwszy zarazem, natomiast metody te, będąc naukopochodnymi, chwycić mogą wyłącznie to, co stanowi zjawiska powtarzalne (jak wiadomo, wszelka unikalność, do niczego poza sobą nieprzywiedlna, obiektem naukowego poznania być nie może — i całe szczęście dla nauki w tym, że tak doskonałych unikatów właściwie prawie na świecie nie ma). Tak więc genus proximum dzieł daje się dobrze wykryć, lecz ich differentia specifica już o wiele gorzej.

Konstatacja ta, jakiej się z góry nie spodziewałem, zmusiła mnie do niejkiego rozdarcia monografii na dwie części, z których pierwsza jest metodologicznie wyborna, ale w rezultatach tylko generalizująca, druga natomiast metodycznie dosyć banalna, lecz przynajmniej uspokaja sumienie, że to, co nie uszczknięte przeszło przez fizykalne sita, nie zostało w całości zignorowane. Klęska ta była dla mnie przykrą niespodzianką. Dodam, że byłem zmuszony wprowadzić do języka opisów kategorię intencjonalności. Nieintencjonalnie powstająca groteskowość lub humorystyczność nie jest poważniejszym problemem w literaturze realistycznej, gdyż objawy takie natychmiast dyskredytują dzieła jako płody grafomanii, ponieważ paradygmatyka deskrypcji zjawisk realnych jest własnością powszechną — kto nie umie jej stosować, przejawia wręcz pisarskie kalectwo. Zresztą nieintencjonalnie powstająca groteska — widoczna np. w utworach P. Staški lub H. Mniszkówny — ma nawet swoich wyrafinowanych zwolenników.

Taka groteskowość jest skutkiem ignorancji (co do prawdopodobieństwa określonych zajęć) i wypełniania luk wiedzy — modalnościami opisu fałszywymi podług oceny odbiorcy (założeniem jest lepsza wiedza czytelnika o „życiu” i odpowiedniości jego wizerunków literackich). Natomiast w fantastyce zwanej naukową sprawa dyskredytowania nieodpowiednich paradygmatów deskrypcji jest już problematyczna, ponieważ świat przedmiotowy dzieła nie może być porównywany z realnym: ten pierwszy stanowi wszak czystą konstrukcję umysłu, a nie wizerunek czegokolwiek. Rzecz nie daje się zredukować do czegoś tak trywialnego, jak anachronizacja naukowych ustaleń, które były natchnieniem



pewnej książki. Bywa, że pod względem empirycznym zanachronizowane dzieła zachowują żywotność artystyczną.

W toku analiz fantastyki wykluła mi się taka prawidłowość: jeśli brak odpowiedniości między strukturalnymi wzorcami konstrukcji a treściowo—problemową zawartością kreowanego, ześlizg w nieintencjonalną groteskę jest nieuchronny. Wzorce bowiem, które patronowały tworzeniu, zwykle prześwitują przez budowę całości (aforystycznie można to wyrazić tak: ktoś, chcąc opisać mechanizmy zagłady pewnej wielkiej, bogatej cywilizacji, udziela odpowiedzi w porządku pytania „kto zabił bogatą wielką damę?”, co musi się okazać równie zabawne niezamierzenie, jak np. opis małżeńskiej kłótni oparty na strukturze opisu erupcji wulkanicznej). Lecz ponieważ mógłbym uwagi takie mnożyć bez końca, zamilknę, dziękując wszystkim zainteresowanym moją książką za to, że się zechcieli o niej krytycznie wypowiedzieć.

*Kraków, sierpień 1970*

## WYZNANIA ANTYSEMIOTY

### I

Wbrew pozorom istnieje coś takiego, jak tajemnica relacji „znak — oznaczenie”. I to dla dwu przyczyn co najmniej. Po pierwsze, ponieważ czegokolwiek o znakach tylko dzięki znakom można się dowiedzieć: językiem o języku mówimy, językiem język rozpatrujemy. Nie o to tylko idzie, że on ma być wówczas lustrem, które, lustro odbijając, ma nam odsłonić istotę „zwierciadlaności”, lecz o to, że tak zrealizowana relacja „samodbijania” czy raczej samozwrotności (self-reflexivity) kryje w sobie szkopuły dobrze znane logikom. Powstają bowiem wtedy niebezpieczeństwa antyno—micznych paradoksów.

Gdybyśmy mieli pewność, że język przewycięża samo—zwrotność (samoodniesienie) w sposób równie automatyczny i pewny praktycznie, jak to czyni kod pozaetniczny — dziedziczności, byłoby pół biedy. Kod ten pracuje także w pobliżu zagrożenia antynomicznością oraz regressus ad infinitum: albowiem gen, który wyznacza sporządzenie fermentu blokującego działanie wszystkich fermentów, a są takie, właściwie powinien by i sam siebie blokować. Wydaje się zrazu, że ów kod w tym miejscu musi okazać symptomy zapaści logicznego typu, takie same, jakim podlega antynomia kłamcy („oświadczam, że właśnie kłamię”). Lecz kod genowy daje sobie z samoodniesieniem radę bardzo prosto — uruchamia bowiem wtedy naprzemienną oscylację, złożoną z półcykli zablokowania i odblokowania, której odpowiednikiem w języku etnicznym byłoby uszeregowane parami bezustanne powtarzanie: „jeśli oświadczam, że właśnie kłamię, to znaczy, że mówię prawdę; jeśli mówię prawdę, oświadczając, że kłamię, to właśnie kłamię” — i tak dalej bez końca.

Wypowiedź samozwrotna jest błędnym kołem, które unieszczęśliwia logika, ale nic nie szkodzi biologowi, owszem, podejrzewamy już, że oscylacyjno—kołowy charakter procesów — właściwie niemal wszystkich! — z jakich się składa stabilizująca dynamika żywej komórki, wywodzi się właśnie z przewyciężenia owej antynomii, i to takiego przewyciężenia, które wyraża maksyma niemiecka „aus einer Not eine Tugend machen”. To, czego się nie udało urzeczywistnić jako procesu doskonale wyrównanego, wyzbytego drganiowej amplitudy, tę właśnie amplitudę drganiową bierze sobie za osnowę! Albowiem ewolucja, sprawczyni życia, jest skrajną pragmatystką, lecz my, jako myśliciele, na ogół wstydzimy się i wypieramy takiego pragmatyzmu.

Ma zresztą nasza podejrzliwość uzasadnienia: jeżeli bowiem język, segmentujący i oznaczający nam świat, jest stronniczy, niczym gospodyni, która dzieli pieczeń zgodnie z hierarchią familijną, a nie z anatomią pieczystego, to wydaje się nieprawdopodobne, żeby stronniczość tę można było wykryć, językiem ją badając, ponieważ wtedy Cygan świadczy się swoimi dziećmi. Na preparaty językowe patrzymy bowiem przez językowe szkła; należałoby raczej patrzeć na język od strony kodu, wszechstronnie do niego podobnego, ale nie będącego żadnym czysto ludzkim wynalazkiem, jak mowa. Istnieje taki kod — dziedziczności właśnie, i może kiedyś dopomoże nam w rozwiązaniu zagadki. W każdym razie ewentualna stronniczość języka, jego „bias”, jego presumptywność, jest częścią językowej tajemnicy, której nie można się pozbyć apodyktycznym oświadczeniem, że jej nie ma, jak to czasem czynią logicy. Drugi, bardziej może niebezpieczny, szkopuł w tym, że wbrew pozorom znak nie jest znakiem „prawdziwym” poza systemem znaków. Nie tylko tym znaczą znaki, co stanowi relację desygnowania, urzeczywistnioną przez ukazanie znaku i określenie jego desygnatu, definicją ostensywną. I nie tylko dodaną do tamtej relacji — relacją kontekstową, relacją denotowania, znaczą znaki. Można to udowodnić, bo gdyby denotowanie plus desygnowanie wyczerpywało „istotę znakowości”, tobyśmy już od dawna mieli wyborne algorytmy tłumaczenia maszynowego i kłęski wewnątrz translacyjnego projektu cybernetyka by się nie dorobiła — wbrew nadziejom, żywionym przed dwudziestu

laty\*.

Znaki denotują i desygnują pod patronatem bytów w wyższej mierze niepochwytłych i zagadkowych, jakimi są pojęcia. Właściwe sedno odmienności wszystkich teorii semiotycznych, semantycznych, semajologicznych, jakie tylko istnieją, redukuje się do różnej roli pojęcia „pojęcia” oraz interpretacji stosunków, w jakich ów byt tajemny stoi względem pozostałych funkcji sensownej komunikacji. W samej rzeczy, co było najpierw — pojecie czy nazwa? Znak czy sens znaku? Należy się obawiać, że tu nic nie było „najpierw” i że owe byty współwyloniły się z chaosów pierwotnego otoczenia mniej więcej tak, jak się baron Münchhausen sam za włosy wyciągnął z bagna. Należy się obawiać, że znaczące splotło się od zarania ze znaczoną w demiurgicznym uścisku, że sekcje synchroniczne ani z narodzin tych nie zdają sprawy, ani się do nich dostać nie mogą.

---

\* Jest rzeczą zdumiewającą, jak uporczywie powtarzane są fałszywe w tej kwestii. W *Les ordinateursmythes et réalités* (Paris, 1968) J. M. Font i J. C. Quiniou oświadczają, iż w ZSRR maszyna przełożyła „pewną” powieść Dickensa z oryginału na rosyjski i przekład „był zupełnie do przyjęcia” w zestawieniu z przekładem wykonanym przez zawodowego tłumacza literata! Jest to całkowitą nieprawdą. Źródła radzieckie nic o tym nie mówią i przekład taki w ogóle nie istnieje. Gdy kilka lat wcześniej J. Bar Hillel, autorytet w tej dziedzinie, pisał *Report on the State of Machine Translation in the United States and Great Britain*, oświadczając w nim, że „automatycznego przekładu maszynowego nie należy się spodziewać w najbliższej przyszłości”, miał na myśli wyłącznie przekłady tekstów naukowych. Adekwatnych przekładów utworów artystycznych nie spodziewali się rychło nawet entuzjaści programu translacyjnego, jak A. Oettinger, W. Locke czy A. D. Booth. Toteż twierdzenie autorów francuskich, niestety dość typowe dla pewnego typu „popularyzacji naukowej”, stanowi zwyczajne fałszerstwo będące wyrazem ignorancji lub złej woli. Automatyzacja przekładów notuje pewne dotąd nikłe sukcesy, którym jednak na pewno nie przynoszą pożytku podobne enuncjacje wprowadzające laików w błąd.

## II

Pomiędzy zupełnym zaufaniem, pokładanym w „automatyce” i w „zmaterializowanej”, „skryształizowanej” mądrości, jaką język sobą stanowi, a zupełnym brakiem takiej ufności rozpościera się strefa wahań interpretacyjnych.

Fenomenolog to ten, kto językowi solennie wierzy, kto tak mu zawierza, że nie spodziewa się żadnych odkryć możliwych na nasz temat poza operacjami językowymi podejmowanymi indywidualnie, myślicielsko i refleksyjnie. Lingwista natomiast ze szkoły matematycznej, behawiorystycznej i statystycznej językowi badanemu „od wewnątrz” najmniej ufa; chce się nim zajmować jak fizyk molekułami, stołkami lub kamieniami, przyjmując do wiadomości to jedynie, co można „od zewnątrz” zaobserwować, ślepnąc na to, czym i jak język rozumiany jest „w nas”. Ponadto są i „centryści”, radzi połączyć oba stanowiska lub wybrać z nich elementy dostateczne do syntezy kompromisowej. Należy do nich — bo może być tak klasyfikowany w tej kwestii — znakomity Noam Chomski. W jakim stopniu takie wątpliwości powinny zajmować humanistę–literaturoznawcę? Sądzę, że w niemałym. Rozprawianie o znakowości tekstów ma wlać w nas wyższą, uczoną świadomość, obiektywizującą dzieła. Przyjemnie i godziwie jest zostać zegarmistrzem, zdolnym wykonać coupage i decoupage każdego werku. Nie pytajcie jednak zegarmistrza o to, czym jest czas, który mierzą wszystkie jego zegary, bo nie zna lepszej odpowiedzi od odpowiedzi św. Augustyna, który mówił, że .wie, czym jest czas, dopóki go o definicję nie zapytają.

Nie brak zegarmistrzów języka: wypada jednak wiedzieć, że wszystkie ich orzeczenia są wysoce nieostateczne. Nie ma na razie żadnych kryteriów rozstrzygnięcia sporów międzyspecjalistycznych, kiedy do nich dochodzi, kiedy uczniowie mistrzów, takich jak Frege, Wittgenstein, Russell, oponują sobie wewnątrz teoretycznego językoznawstwa, ale nie mogą się nawzajem przeargumentować. Może być nawet i tak, że ustalenie ostateczne wszystkich relacji panujących między „pojęciem”, „denotatem” i „desygnatem” a znakami przedstawia tylko część daleko większego problemu. Sprowadzałby się on do konstatacji, że język jest zawsze systemem i że znak widzialny znaczy językowo, ponieważ wirtualnie koegzystują z nim te wszystkie związki i znaki, które w akcie objawienia znaku pozornie zgoła nie uczestniczą, bo nie są wprost wykrywalne.

Byłby wtedy znak czymś takim, jak ów punkt, którym koło styka się z linią prostą: tu przynajmniej chwytny w lot prostą prawdę, że punkt styczny okręgu zawdzięcza swoją styczność nie tylko pokrywaniu się z punktem prostej, ale i temu, że należy do okręgu jako krzywej zamkniętej; gdyby do niego nie należał, toby o żadnej styczności mowy być nie mogło. Rola widzialnego okręgu spełnia w tym modelu język jako system podczas oznaczania znakiem czegokolwiek; z tą różnicą, że owej „reszty” systemu, jako niewidzialnej i wprost niedoświadczalnej, nie umiemy ograniczyć, a tym samym i określić porządnie.

Okrąg jest niewątpliwie systemem danym, gotowym i zamkniętym; niewątpliwie język takim systemem nie jest; konstytuuje go wirtualność, potencjalność, ograniczona zapewne (wszak każda artykulacyjna niepoprawność poświadcza istnienie granic, których przekraczać nie wolno), lecz nieskończona zarazem. Królowa empirii, fizyka, zna już te same kłopoty, ponieważ wirtualność — np. elementarnych cząstek — jest dziś kategorią niepozbywalną dla jej (kwantowych, atomistycznych) teorii. Jak jednak cząstki wirtualne, tj. te, których „nie ma” (skoro być tylko mogą), potrafią determinować zachowanie cząstek realnych? A właśnie: fizyk mniej więcej wie, dlaczego musiał tę kategorię wprowadzić, lecz milczy w kwestii „sposobu istnienia” owych potencjalności. Lingwistyka broni się jeszcze przed czystymi wirtualnościami. Sądzę, że daremnie.

### III

Trzeba osobno, skoro mówimy jak humaniści do humanistów, zwrócić uwagę na różnice zachodzące, gdy o języku, narzędziu, podmiocie i przedmiocie literatury mówią lingwiści fachowcy — jak np. znakomity Jehoshua Bar Hillel — i kiedy my o języku mówimy.

Kiedy człowiek działający zawodowo językiem jak pisarz (a nie tylko badający język) opanuje inne języki poza ojczystym, jest przeświadczony, że nie są one równoważne, że nie mają tożsamej sprawności, co się tyczy pokonywania rozmaitych zadań typowo literackich. Przejawia się ów fakt w banalnym ustaleniu, że to, co można bardzo łatwo wykonać w jednym języku (jako rozwiązanie artystycznego zadania na lingwistycznym poziomie), w innym bywa albo trudne, albo zgoła nieurzeczywistnialne. I nie idzie w takim różnicowaniu tylko o odmienności fonematyczne, o „urodę” dźwiękową jednych języków i „chropawość” innych, bo ograniczenie się do tego aspektu rzecz trywializuje.

Nadmiarowość statystyczna wszystkich języków jest prawie taka sama, ale nadmiarowość mierzona długością artykulacji to samo znaczących i wyznaczających jest wcale różna. Pierwsza wyraża fakt, że każdy język musi być kodem samonaprawczym, czyli dysponującym nadmiarowością dla skutecznego przejścia przez kanał (akustyczny, optyczny) zawsze pełen zakłóceń. Wszystkie języki zorganizowały się nadmiarowo podług prawie tożsamej charakterystyki owych zakłóceń w ziemskich środowiskach. Druga wyraża fakt, że nietożsama jest lapidarność mowy — i precyzja wyznaczania sensów na różnych poziomach wypowiedzi. To, co można po polsku jednym słowem wypowiedzieć, wymaga w niemieckim czy francuskim zdania — i na odwrót! („Głodnyś?” — w tym słowie jest całe zdanie skompromowane).

Lingwista, jakim jest Bar Hillel, kwestię tę lekceważy. Oświadczył on, że niejednakowa długość to samo znaczących tekstów różnojęzycznych jest problemem wyłącznie dla drukarza. Na pewno nie tylko, bo ten, kto nie uwzględni stosunku długości zdań do ich pojemności sensowej, nie może być pisarzem. Nie idzie tutaj tylko o „estetyczność” wypowiedzi. Raczej o to, iż trafiają się w dziele sytuacje, w których albo trzeba coś wyrazić w sposób absolutnie zwięzły, albo z wypowiedzi zrezygnować, ponieważ tertium non datur. Zwięzłość nie będzie probierzem urody lingwistycznej, lecz zadaniem wyznaczonym kontekstowo i konstytucyjnie.

Można by opisać rzecz następującym przyrównaniem. Istnieją komputery czasu realnego i pracujące poza takim czasem. Komputer drugiego typu rozwiązuje np. zadanie matematyczne; jakość rozwiązania nie jest uzależniona od tego, czy sprawi się z nim w ciągu sekundy czy dziesięciu minut. Komputer czasu realnego musi pracować „krok w krok” z rzeczywistym (fizycznym) procesem, jaki nadzoruje lub jakim steruje (np. komputer naprowadzający raketę na cel musi pracować w czasie realnym, czyli nadażać za tempem zachodzącego — jako lot — procesu). W odniesieniu do tekstu literackiego spotykamy podobne sytuacje. Są teksty operujące czasem umownym, nie skorelowanym z tempami upływu realnych zajęć, i są takie, które muszą być zsynchronizowane z tym, co opisują. Jeżeli synchronizacja jest doskonała, powstaje efekt tak zwanej „przezroczystości semantycznej” języka. Jeżeli jednak, wskutek rozwlekłości, opis wyraźnie wlecze się za zdarzeniami, po kolei i wolno przedstawia to, o czym skądinąd wiemy, że musi naraz i szybko zachodzić — efekt symultanki ginie i bywa właśnie, że jeden język za przedmiotową akcją „nadaża”, a drugi nie. Pierwszy działa jak komputer czasu realnego, drugi — jak pracujący poza takim czasem. Pierwszy staje się zajęć symulatorem, drugi tylko protokolantem. Nie są to wyłącznie estetyczne różnice. Dziwne tedy, że pozostawiające obojętnym — lingwistę.

Sprawa ta prowadzi ku następnej: czy świat dzieła literackiego może być — dzięki sporządzeniu doskonałych przekładów — w pełni inwariantny przedmiotowo?

Pytanie to implikuje następującą alternatywę: albo dzieło jest językowym pośrednikiem

między odbiorcą a pewną przedmiotową, nieznakowaną rzeczywistością, albo jego tak zwana przedmiotowa rzeczywistość jest następnym w kolejności układem znaków, który należy wyinterpretować, bo nie wystarcza konstatacja czysto ewentystyczna lub procesualna.

Jest to pytanie podchwytliwe i równie nieprzyjemne dla logika, jak sławetne pytanie, czy obecny król Francji jest łysy. Król nie jest łysy tylko dlatego, że go nie ma, a nie dlatego, żeby nie był po prostu łysy; straszliwy spór gorzał wokół logicznego statusu tego zdania i nie wypalił się do dziś dnia. Sęk w tym, że podług logika zdanie „samo” powinno przesądzać o tym, co znaczy, jedyność zaś znaczenia implikuje jednoznaczność dychotomii prawdy lub fałszu. Cóż, kiedy język nie realizuje zawsze takiego przesądzenia; wyjątkowość kłopotów logika wobec kwestii uwłosienia króla francuskiego pochodzi stąd, że wyraźna nieokreśloność wyznaczania cechuje zwykle układy ponadzdaniowe, czyli wielością zdań (ich koniunkcją) wskazujące zakres swej sensowej odpowiedniości. Ograniczając się do zdań wyizolowanych, logicy i językoznawcy ułatwiają sobie życie, czego badacze sztuki i literaturoznawcy uczynić na pewno nie mogą.

Oto przykład dowodzący tego twierdzenia (zawdzięczam go Andrzejowi Wajdzie). Pewien film, wyświetlany przed widownią otrząskana z obaleniem barier cenzury erotycznej, pokazywał dwoje nagich kochanków w łóżku (chodzi więc o obrazy, lecz równie dobrze mógłby ich rolę pełnić językowy opis). Kamera pokazywała ciała z pominięciem okolic genitalnych, co było wyrazem konwencji stosowanej powszechnie do upadku barier cenzuralnych. Widownia zareagowała śmiechem na owo pominięcie, ponieważ opuszczenie uznała za drastyczność dubeltową; to, czego nie pokazano, co było pokazywania (ewentualnie opisu) luką, zostało uznane za znak osobny, za wyrafinowaną intencję nieprzyzwoitości, a nie za wyraz zwyczajnego przemilczenia. Cenzurę obyczajności pojęli widzowie nieobyczajnie, ponieważ z posunięcia ukrywającego stała się w ich oku eksponującym. Do pokazywanych genitaliów już przywykli i zaskoczyć ich mogło tylko — niezademonstrowanie części rodnych wewnątrz oglądanej sekwencji.

Tak więc odbiorcy dysponowali odmienionym repertuarem znaków, co nadawca pominął. Sytuacja taka dla logika nie może istnieć, ponieważ brak zdania jest dla niego pustką zupełną, tj. nieistnieniem niczego takiego, co mogłoby zostać jako znak wyinterpretowane. Brak zdania nie może być dla logika zdaniem określonym w sensach przez sam fakt niewyartykułowania.

Poświadcza to, że nie ma jednoznacznej odpowiedzi na postawione na początku pytanie: to bowiem, co artykulacja wyznacza przedmiotowo, może być równie dobrze zinterpretowane jako złożony z rzeczy i zająć kres postępowania odbiorczego, jak również jako następny zestrój znaków, już nie czysto językowych. Obciążenie zaś semantyczne rzeczy i zająć zależy od kulturowego treningu odbiorców, lokalnie rozmaitego.

Bazowe układy znaków — artykulacje językowe — znaczą we wszystkich kulturach tak samo, lecz to, co te artykulacje wyznaczają, w różnych może różnie znaczyć. Jest zasadniczą niemożliwością takie obwarowanie wypowiedzi, żeby udaremniło z kretelem aktywność interpretacyjną odbiorców, ograniczając ją do przedmiotowego minimum, czyli do konstatacji tego, co „widać” lub co „zachodzi”. W tym sensie tekst literacki jest desygnacyjnie i denotacyjnie „otwarty” i „zamknięty” go szczelnie niepodobna. Toteż mogą w nim znaczyć, czyli zdobyć funkcję znakową — wszelkie obiekty i zdarzenia — krajobrazy, wiatry, ciała zwierząt i ludzi, piasek, kamienie, gwiazdy, szafy, sentymenty na równi z głównymi kategoriami percepcji: przestrzenią i czasem. Jednak różne teksty w niejednakowy sposób otwierają pole aktywności semiotycznej nadjęzykowego poziomu. I w niejednakowy sposób otwierają pole takiej aktywności różnojęzyczne przekłady pewnego wyjściowego tekstu. A to, ponieważ składowa poziomu zerowego, czyli lingwistyczna, pełni w polifonicznym „odegraniu” utworu różną rolę — w różnych tekstach i w różnych językach. Jeśli w przekładzie udział konstytuancy lingwistycznej dzieła maleje, jego strona językowa schodzi

na dalszy plan i już przez to przedmiotowa rzeczywistość wysuwa się na plan pierwszy (bo w recepcji znaków panuje horror vacui — odbiorca domniemywaną pustkę wypełnia „odruchem semantycznym”). Jeśli się językowy plan uwyraźnia, może słabnąć przedmiotowa suwerenność dzieła.

To, że tłumaczenie kongenialne nie może stanowić klasy jednoelementowej (możliwe są tłumaczenia zarazem znakomite, a od danego świetnego odmienne), jest skutkiem powyżej nazwanego stanu rzeczy. Wkracza tu na scenę straszliwe dla teorii pojęcie nieskończoności, ponieważ liczby przekładów kongenialnych, lecz różnych, nie można ograniczyć. W zajadzie mogłoby ich być dowolnie wiele. Co to znaczy, że utwór znakomity w oryginale nie starzeje się tak jak jego tłumaczenie, przez co wypada co jakiś czas odświeżać wersje obcojęzyczne, sporządzając nowe przekłady? Oto wstępna propozycja wyjaśnienia tajemnicy: korelatem genialnego dzieła jest — ze znieruchomiałego historycznie orzeczenia odbiorców — całość (lub niemal że całość) kultury stojącej za dziełem. Przekład jest projekcją przez inny język — w obręb innego kulturowego układu, projekcją zawsze niepełną, bo uruchamiającą rezonansowo tylko tę połąć sensów, w jakiej zakresie pokrywają się kulturowe repertuary dwóch nacji. Odbiorcy oryginału nie odczuwają potrzeby zmiany, ponieważ oryginał stanowi nieusuwalną już część ich własnego kapitału kulturowego. Mogą zmieniać odczytania tekstu, ale sam tekst stoi dla nich pod ochroną nietykalności. Odbiorcy przekładu, wskutek niepokrywania się historycznego toru ich kultury i kultury, która oryginał wydała, notując wzajemne ruchy repertuarów znaczeń i odsyłaczy, dochodzą potrzeby sporządzenia nowego rzutu, nowej projekcji uwzględniającej zaszłe zmiany. Ale nikt nie dobrał się naprawdę ostrymi narzędziami do pobliża tej sprawy.

## IV

Wypowiadam te wątpliwości, podkreślam obecność zjawisk trudno zrozumiałych, aby się nie wydawało, że lingwiści wiedzą o języku, semiotycy o znakach już wszystko, a nam wypada jedynie słuchać ich w pokornym szacunku.

W tym kontekście ważne wydaje mi się stwierdzenie, że cele, jakie stawia sobie pisarz, mogą być sprzeczne z funkcją optymalizacji wyznaczania, pełnioną w normie przez językową wypowiedź. Język jest wprawdzie niejednoznaczny, ale przedział takiej niejednoznaczności ma w każdym języku wyraźne swe ograniczenia, ponieważ język nadmiernie chwiejny w wyznaczaniu (desygnowaniu i denotowaniu) pogarsza swą jakość jako narzędzie łączności. Tymczasem wysiłek pisarski, który stara się wyeksponować lub nawet przeeksponować lingwistyczny plan wypowiedzi, często usiłuje właśnie pogorszyć, i to z rozmysłem, łącznościową sprawność języka, ponieważ podwyższona nieokreśloność artykulacji zwiększa potencjalny zbiór jej sensowych odwołań.

Używa się po temu rozmaitych taktyk, od najprostszych, znanych z dawien dawna poetom. Polegają one na przykład na usuwaniu znaków interpunkcyjnych i rozłamywaniu tekstu na wersy, niezgodnie z dyskursywnym planem *prima facie* semantycznej zawartości, po to, żeby wyraźniej wystąpił tak zwany plan głębszych odniesień znaczeniowych, czyli głębia semantyczna — plan dalekiego perymetru stosunków, w jakie wyrażenia wchodzą z innymi wówczas, gdy ulega zaćmieniu bliższe, utarte okolę nawykowych sąsiedztw zdań i słów. Bardziej perfidny jest manewr polegający na wprowadzeniu neologizmów, słów, jakich w języku nie ma, a którym sensory nadają implicytnie znane każdemu mówiącemu reguły paradygmatyki nazwotwórczej oraz konsytuacja ewokowana całą wypowiedzią lub całym kontekstem. Słowa takie pełnią najczęściej funkcje ekspresywne, czyli powiększają tym samym informacyjną pojemność tekstu, liczoną na jednostkę wyrażen, ale taktyka owa może być też zastosowana odwrotnie niejako: może bowiem zmierzać do podwyższenia nieokreśloności w zakresie modalnym. Idzie wówczas o to, żeby czytelnik nie umiał dokonać samoczynnie i spontanicznie aktu klasyfikacyjnego przyporządkowania wypowiedzi, aktu, który wprawia ją w znane, względnie zamknięte uniwersum dyskursów. Wypowiedź, która się nigdzie „wpasować” nie chce, uzyskuje bowiem osobiłą suwerenność: zdaje się nie opisywać żadnego z „możliwych światów reistycznych”, z żadnego nie pochodzić, lecz stanowi sobą własne uniwersum, „świat słowem stworzony” — a nie słowem *e w o k o w a n y*, przyzwany tylko. Tak więc, gdy w wypowiedzi współistnieją wyznaczniki kierujące automatykę klasyfikacyjną odbioru w różne i sprzeczne z sobą strony *n a r a z*, tekst niejako *z a w i s a* — przez swą nieprzyporządkowalność — w dziwnym stanie — zdobytej przez kontradiktoryczność — autonomii.

Budowanie takich i podobnych wypowiedzi jest robotą z postanowienia antynomiczną. Jednymi wyznacznikami leksykograficznymi i stylistycznymi ciąży wtedy wypowiedź w jedną stronę, np. ku zbiorowi zdań „archaicznych”, udając, że pochodzi z głębokiej przeszłości. Innymi wybiega w fikcyjną „przyszłość”, co symuluje pojęcia *ad hoc* zmyślane, poprzez neologizmy sugerujące istnienie stanów rzeczy, jakich nie ma, ale jakie by kiedyś nadejść mogły. Jeszcze inne wyznaczniki kierują się „w bok” — więc w ogóle nie podlegają diachronicznie usegmentowanej klasyfikacji, ponieważ nie wiadomo, co by z nimi począć w porządku chronologii. Zdanie, szarpane niejako sprzecznymi postanowieniami semantycznego receptora w różne naraz strony, „zawisa” w stanie nieokreśloności lokalizacyjnej. Efekt ów z kolei może albo współgrać z jego centralnym znaczeniem (skąd właśnie rosnąca autonomia, suwerenność „językowo kreowanego uniwersum”), albo też może mu się przeciwstawić na prawach językowo wywołanej drwiny czy złośliwości (to wtedy, gdy lingwistyczne „uniwersum” nie tylko kontradycjami wyznaczników zostało do bytu powołane, ale nadto samo kontradiktorycznościami stoi, samo siebie nimi neguje, samo sobie



przeciwnie). Wtedy — w drugim przypadku — nawet skierowanie ostrza złośliwości, ironii, drwiny w jakąkolwiek stronę pozajęzykową okazuje się trudne. W takiej sytuacji modalność tekstu jakby się w sobie zamyka, tak że ładunek emocjonalny — nazwanej drwiny, powiedzmy — nie zdobywa sobie żadnego desygnacyjnego ujścia, lecz się owa emotywność rozlewa po tekście i w nim „siedzi”. Proponuję od strony takich mechanizmów przebadać np. teksty Kafkowskie, które, jak wiadomo, mienią się „obertonami” efektywnymi: nie zawsze są odczytywane jako ponure, pogrążone w deprymującej szamotaninie; mogą budzić nawet wesołość, jaką budziły w pierwszych słuchaczach fragmenty Zamku.

## V

Mówimy o tym dlatego, ponieważ są to sytuacje dość nagminnie spotykane w literaturze pięknej, a zarazem takie, w których osamotnienie twórcy i badacza jego tekstów dochodzi pełni. Albowiem mowy nie ma o tym, żeby takie „obertonalne” stosunki, podszyte w obszarze zadań semantycznych antynomicznością, stanowiły obiekt roboty badawczej lingwistów czy logików. Toż oni się kontrydykcji boją gorzej niż diabeł wody święconej! Oni się jeszcze tak daleko nie dobrali, więc w tym wielkim regionie literaci pospołu z literaturoznawcami lingwistów słuchać nie muszą, a tym bardziej nie mogą się spodziewać świadczonej pomocy. A przecież wiadomo, że wartość literacką (i zarazem tryb wyznaczania beletrystycznej wypowiedzi) jakże często determinują takie cechy leksyki, syntagmatyki, stylistyki, które — będąc dla teorii języka w rozumieniu ścisłym bytami nie—pochwytnymi, dla logika zaś skazanymi na banicję — stanowią jednocześnie dla każdego poety, pisarza i krytyka solidnie oczywistości o pierwszoplanowej wadze.

Jesteśmy tedy samotni tam, gdzie rządzi sprzeczność lub jej cień tylko. Sytuacja zarazem wygodna, skoro nie trzeba w niej okazywać pokory wobec autorytetów, ale też niebezpieczna, bo nie ma nic gorszego od pochopnego teoretyzowania ad hoc tam, gdzie brak kryteriów prawdy i wiarygodności. A przecież czymże innym są — często — wykładnie dzieł, jeśli nie teoriami ad hoc sporządzonymi po to i tak, żeby semantyczna „ekologia” dzieła uległa wyraźnemu i pełnemu rozpoznaniu? Gdy autor jest powszechnie znany, gdy jego dzieła stanowią w świadomości krytyki układ scalony — owa „ekologia” konstytuuje sama spójny, kolektywnie przez krytykę wzniesiony system. Gdy natomiast autor rangi takiej nie dostąpił, poszczególne krytyki jego pojedynczych utworów bywają odrębnymi „kawałkami”, które w całym zbiorze nie muszą wykazywać żadnego uporządkowania, żadnej koherencji. Niekiedy wokół dzieła powstają „ekologie” sobie oponujące (takim *embarras de richesse* obdarzono np. utwory Sienkiewicza), nie dające się uzgodnić ani połączyć.

W każdym razie pojawianie się krytyk, które utwór usiłują w izolacji „załatwić”, nie ustosunkowując się wcale do jego innych omówień, świadczy o nie uregulowanym definitywnie statusie twórcy i jego produktów, o przebywaniu w czyścicu doraźnych, ad hoc artykułowanych analiz i ocen. Jedni z czyścica przechodzą po prostu w zapomnienie, inni — znikoma mniejszość — dostępują konstytuowania się wokół ich dzieł otoku tak sztywniejącej strukturalnie „ekologii”, że potem już nikt nie może o tych tekstach mówić, jednocześnie nie ustosunkowując się wyraźnie względem zastygłej budowli interpretacyjnej. I jakże sądzić, że „znaki” zawarte w dziełach obywateli „czyścica” są tym samym po prostu, czym są „znaki” twórców, których książkom ofiarowała już krytyka nobilitujące mieszkanie składkowo zbudowane?

Rozpowszechnione jest przeświadczenie, że jakość sensu i kształtu oryginalnego dzieła rozpoznaje się (w trybie wyżej naszkicowanym) z nieuchronnymi opóźnieniami. Nowość jest czymś takim, czego się pierwiej nauczyć trzeba, nim się można tym będzie zachwycić. Na to zgoda — z zastrzeżeniem, że nie chodzi o wyróżnik beletrystycznych tylko wypowiedzi. W sferze ich rozumienia nie obowiązuje dychotomia, podług której albo się tekst rozumie, albo się go nie rozumie. Historia nauki obfituje w przykłady wielkich odkryć teoretycznych, które były wprawdzie po opublikowaniu „rozumiane” przez specjalistów, ale które de facto spotykały się z totalną obojętnością, trwającą lata albo i dekady. Tak było z klasyczną pracą Einsteina *Elektrodynamika dal w ruchu*, czyli z jego szczegółową teorią względności; nie inaczej z art. L. Szilarda, który na wiele lat przed Shannonem zestawiał pojęcia rodem z termodynamiki z pojęciami stanu poinformowania, czyli właściwie przerzucił mosty między fizyką a logiką (informatycznie pojmowaną). Tymi rewelacjami nikt się wtedy bliżej nie zainteresował.

Świadczą takie fakty — a można dziesiątki przytaczać — o tym, że „rozumienie tekstu”

(dowolnego) jest procesem kontynualnym. Może on być w jednostkowych odbiorach na j rozmaicie j ustopniowany i, na dobrą sprawę, nie ma dna ani granicy takiej, żeby o pewnym tekście można było orzec, iż to, co on wyznacza sensowo, już dokumentnie, do samego końca zostało wyczerpane. Ani teorie naukowe, ani literackie dzieła nie mają bowiem za fundament reistycznie bądź procesualnie widomego „świata” wprost. Naprawdę teorie — teoriami, a dzieła — dziełami stoją. Znaczą to, że teoriami już przyswojonymi, już wyposażonymi w prawa obywatelstwa nauki, bada się — jako kalibrowymi sprawdzianami — nowe teorie. To samo dotyczy dzieł. Znaczą to, że teoria i dzieło nobilitowane, bo zasymilowane (kulturowo czy przez naukę) przestają być obiektami do odzerowego zbadania i stają się częścią bazowego układu odniesienia, w którym — i którym — bada się zarówno świat, jak i nowe o nim utwory oraz nowe jego teorie. Znaczą to, że badane twory językowe z pozycji „zewnątrznej” względem układu przechodzą na pozycję „wewnętrzzną” — jego partykuł. To, co było w cęgi brane, samo staje się „cęgow” składową konstytutywną. W nauce ta akumulacja daje się jednak daleko wyraźniej i łatwiej prześledzić aniżeli w literaturze, ponieważ teorie z teorii wynikają logicznie (lub teorie są przez teorie logicznie negowane), natomiast ta sama dychotomiczna maszyna ekspertyzy nie daje się zastosować w literaturoznawstwie. Stąd i powątpiewanie w kumulatywny charakter rozwoju sztuki. Lecz już domyślamy się, że twierdzenia o jej niekumulatywności nie można ani totalnie potwierdzić, ani totalnie zanegować: stosunki na tym polu są po prostu bardziej złożone, jako logicznym sądom wprost niepodległe.

Ten stan rzeczy jest tak bardzo niemiły badaczom regionu logicznego, semantycznego, lingwistycznego, że dla ułatwienia sobie życia pomijają go jak mogą w swej praktyce. Stąd też język — we wszystkich segmentalnych funkcjach — bywa traktowany tak mniej więcej, jak wycięte z taśmy filmowej pojedyncze znieruchomiałe zdjęcia, czyli elementarne klatki. Jego aspekty dynamiczne ulegają przez to systematycznemu niemal zatarciu.

Spśród wielu szkód, jakie powoduje ta polityka, jedną mam za wyjątkowo fatalną. Oto segmentacje i klasyfikacje, stosowane przez nazwanych fachowców, objawiają skłonność do urastania w hipostazy. O tym, że tak jest właśnie, zaświadczy fakt zachnięcia się niejednego z czytelników — przy moim oświadczeniu, że „tak naprawdę” język nie jest układem relacyjnym, rozpiętym pomiędzy funkcjami desygnowania, denotowania i operowania pojęciami. Chodzi o wygodne konstrukty, o skutki prokrustowego unieruchomienia językowych wypowiedzi, o podziały praktyczne, udostępniające nam pokolejnie i oddzielnie to, co język sprawia de facto kontynualnie i symultatywnie. Trzeba się, niestety, wyżyć rozkosznej pewności, że znajomość terminów typu signifiant i signifie, plus kilkaset innych, z różnymi „strukturami” na czele, doprowadza tak wiednego do stanu zupełnej jasności w kwestiach językowych.

Względność ujęć, konwencjonalistyczny charakter klasyfikacji, należy uświadamiać sobie właśnie dlatego, że to, co jest skutkiem umowy (konwencji), zawartej dla zbadania jednego aspektu zjawiska, nie może być tym samym traktowane jako odkrycie stanu rzeczy. Chcę powiedzieć: badając twór językowy, ingerujemy w niego, ustawiamy się w perspektywie wyznaczonej naszymi zainteresowaniami i naszą badawczą presumpcją. Od obojga zaś nikt nigdy dozerowo nie może się wyswobodzić. A więc zapałowi badawczemu powinien tu asystować i niejaki sceptycyzm — bo nie ma nic śmieszniejszego niż neofita plus catholique que le pape lub amator lingwista, w jakiego obraca się literaturoznawca, biorący za pewniki wtajemniczenia językoznawczego to, co jest tylko heurystycznym domysłem i regułą prakseologiczną fachowców.

Przez to też nie może być żadnych świętych i nienaruszalnych tez wyjściowych w badaniu. Jedną z takich tez jest bodaj domniemanie de Saussure’a, że dzieło w całości odpowiada pojęciu języka (la langue). Jest to okropna nieprawda, sprzeczna z wszystkimi późniejszymi ustaleniami informatyki i lingwistyki, nieprawda, której nikt nie śmie nazwać po imieniu

przez szacunek dla mistrza. Nieskończona in potentia interpretowalność dzieła jest zjawiskiem zupełnie innego porządku. Wynika stąd, że ilość informacji ustala dla zdania (czy koniunkcji zdań) moc liczebna repertuaru dyskretnych stanów, którego to repertuaru używamy dla wyznaczenia sensownej i ilościowej zawartości informacyjnej ; a wszak od nas jako odbiorców zależy, jak bogatymi repertuarami będziemy przy lekturze operowali! Natomiast jako wypowiedź skończona, uporządkowana i w elementach przeliczalna należy każde dzieło do zbioru wypowiedzi językowych (la parole). Ustalanie informacyjnej zawartości języka (wypowiedzi) jest w pełni dopuszczalne (choć nacechowane wyżej określonym relatywizmem). Natomiast, jak podkreślał Bar Hillel, stosowanie informacyjnych miar do pola językowego (tj. do la langue) to zabieg bezsensowny: nie można mierzyć nieskończoności procedurami z definicji skończonymi.

A więc nie jest tak, jakby tylko sfera prac swoiście lite—raturoznawczych była zagmatwana niejasnościami, ponieważ niepewność i domysł tkwią też w fundamentach gmachu humanistyki, na którego wysokim piętrze beletrystyka gości.

*Przedruk z: „Teksty” nr 1 1972*

## TZVETANA TODOROYA FANTASTYCZNA TEORIA LITERATURY

### I

Ponieważ strukturalizm literaturoznawczy jest francuskim wytworem, niechże próbie tej — popsucia jego reputacji — za motto posłużą słowa Francuza, Pierre'a Bertaux, który w *Innowacji* jako zasadzie powiedział: „Pod naukami przekątnymi rozumiem te z grubsza, co zwać się też formalnymi, więc dyscypliny biegnące poprzecznie przez terytoria nauk właściwych. Takie dyscypliny—łączniki poprzeczne istnieją od dawna, jak matematyka czy logika. Od połowy naszego wieku doszłusowała do nich cybernetyka. (...) Przez pewien czas można było sądzić, że zaczątkiem podobnej formalizacji dyscyplin humanistycznych będzie strukturalizm. Dziś wygląda niestety na to, że właśnie najgłośniejsi przedstawiciele strukturalizmu zdeprawowali go i uczynili zeń mitologię — na dodatek bezużyteczną. Gadania, mianująca się strukturalizmem, bodaj śmiertelnie ugodziła skryty w nim pierwotnie zarodek naukowy”. Sąd ten podzielam w pełni. Lecz że trudno w jednym artykule obnażyć jałowość całej szkoły — rozmrowionej nadto na niezbieżne orientacje, bo tu każdy autor ma własną „wizję” przedmiotu — ograniczę się do przenicowania książki Tzvetana Todorova *L'Introduction d la litterature fantastique*, wydanej przez Ed. du Seuil w 1970 r.

## II

Historia zwyrodnienia aparatury pojęciowej rodem z matematycznej lingwistyki, po jej mechanicznym przeflancowaniu w obszar metaliteratury, jest jeszcze do napisania. Ukaże ona, jak bezbronne są pojęcia logiczne, wyprute z kontekstów, w których sprawdzały się operacyjnie, jak łatwo, pasożytując na wiedzy z prawdziwego zdarzenia, można zatumanić humanistów pretensjonalnym pustosłowiem, kamuflującym faktyczną niemoc na obcym terenie rzekomą doskonałością logiczną. Będzie to dość ponura, ale pouczająca historia obracania pojęć jednoznacznych w mgliste, konieczności formalnej w dowolność, a sylogizmów w paralogizmy. Zaraza specjalizacyjna, że nam naukę rozsadziła, umożliwia takie szalbierstwa z ducha osławionych lekarzy Molierowskich, ponieważ fachowcy z autentycznego naukowo sąsiedztwa nie troszczą się o los własnych wynalazków konceptualnych, przejmowanych z tupetem typowym dla ignorancji. Będzie to, jednym słowem, rzecz o regresie francuskiej myśli krytycznej (ale nie tylko francuskiej), która, sięgając po niezawodność teoretyzowania aż logiczną, obróciła się w niepoprawny dogmatyzm.

Strukturalizm miał być lekarstwem na niedojrzałość humanistyki, widomą w braku wierzchnich kryteriów rozstrzygalności między prawdą a fałszem uogólnień teoretycznych. Formalne struktury lingwistyki pochodzą z matematyki, jest ich wszakże wiele — rozmaitych, podług działów matematyki czystej, a zarazem klasycznej, od teorii prawdopodobieństwa i mnogości po teorię algorytmów. Niedostateczność wszystkich skłania lingwistów do używania nowych modeli, na przykład rodem z teorii gier, ta bowiem odwzorowuje konflikty, język zaś na wysokich, semantycznych poziomach uwikłany jest w sprzeczności niepozbywalne. Ta ważna wieść nie dotarła jednak do literaturoznawców, którzy przejęli mikroskopijną część arsenału językoznawczego i usiłują modelować dzieła bezkonfliktowymi strukturami dedukcyjnymi niezwykle prymitywnego typu — jak pokazemy na przykładzie książki Todorova.

### III

Autor ten rozprawia się wstępnie z obiekcjami powstającymi przy budowaniu teorii literackich gatunków. Podrwiwszy z badacza, który by poprzedzał genografię nie kończącymi się lekturami dzieł, oświadcza, powołując się na K. Poppera, że generalizującemu dość obznajomienia z reprezentatywną próbką badanego zbioru. Popper, fałszywie przywołany, nic nie winien, albowiem reprezentatywność próby w przyrodoznawstwie i w sztuce to dwie różne rzeczy. Każdy normalny tygrys jest reprezentatywny dla tego gatunku kotów, lecz nie takiego jak „normalna powieść” nie istnieje. „Normalizację” tygrysów sprawia bowiem dobór naturalny, więc taksonomista nie musi wartościować tych kotów krytycznie (nie może nawet). Natomiast literaturoznawca tak samo neutralny aksjologicznie to ślepiec przed tęczą, nie istnieją bowiem organizmy dobre w odróżnieniu od złych, istnieją za to dobre i nędzne książki. Jakoż „próbka” Todorova, pokazana w jego bibliografii, poraża. Wśród jej 27 tytułów nie znajdujemy Borgesa, Verne’a, Wellsa, nic z nowożytnej fantazy, dwie nowelki przedstawiają całą Science Fiction, mamy za to E.T.A. Hoffmanna, Potockiego, Balzaka, Poe’go, Gogola, Kafkę i to niemal wszystko. Jest jeszcze dwu autorów powieści kryminalnych.

Dalej oświadcza Todorov, że kwestie estetyki przemilczy w całości, bo tych metoda jeszcze się nie ima. Po trzecie, rezonuje nad relacją Gatunku i jego Egzemplarzy. W przyrodzie, mówi, powstanie mutanta nie modyfikuje gatunku: znając gatunek tygrysów, możemy wydedukować zeń własności każdego tygrysa. Zwrotny wpływ mutantów na gatunek jest tak powolny, że wypada go zlekceważyć. Inaczej w sztuce: tu każde nowe dzieło zmienia gatunek dotychczasowy. Jest ono o tyle dziełem, o ile odstąpiło się od ustanowionego gatunkowo wzorca. Dzieła nie spełniające tego warunku należą do literatury popularno—masowej, jak powieści kryminalne, romansidła, Science Fiction itp. Godząc się tu z Todorovem, widzę, co czeka jego metodę od tego stanu rzeczy: będzie wykrywała struktury tym łatwiej, im późniejsze, paradygmatycznie skamieniałe teksty weźmie na sekcję. Konkluzję tę Todorov (co nie dziwota) pomija.

Dalej rozważa kwestię, czy należy badać gatunki powstałe historycznie czy raczej teoretycznie możliwe. Drugie widzą mi się tym samym, czym historia ludzkości a priori, że jednak głupstwo łatwiej wyartykułować zwięźle, niż zwięźle obalić, rzecz przemilczę. Zamieszczę tu za to uwagę o różnicy między taksonomią w przyrodzie i w kulturze, której strukturalizm nie dostrzega. Akty klasyfikacji przyrodniczej, np. owadów czy kręgowców, nie wywołują żadnej reakcji ze strony klasyfikowanego. Można by rzec, że taksonomii Linneuszowej obcy jest efekt Edypa (Edyp zaznał bied, bo zareagował na diagnozę swego losu). Natomiast akty klasyfikacji literaturoznawczej są zwrotnie sprzężone z klasyfikowanym, czyli w literaturze efekt Edypa się przejawia. Zapewne, nie wprost. Nie biegają pisarze do pracowni po lekturze nowej teorii gatunków, by obalać ją kolejnymi książkami. Sprzężenie jest bardziej okólne. Sztynwienie barier międzygatunkowych, czyli skleroza paradygmatyczna, pobudza autorów do reakcji, objawiającej się m. in. krzyżowaniem gatunków i atakowaniem norm tradycyjnych. Robota teoretyków jest katalizatorem przyspieszającym ów proces, gdyż ich generalizacje ułatwiają pisarzom ogarnięcie całego przestworu prac twórczych, z właściwymi mu ograniczeniami. Tak więc genolog, publikujący skończoną listę gatunków, buntuje przeciw niej pisarzy, ustanawiając aktem klasyfikacji sprzężenie zwrotne: ogłosić tedy taką listę to tyle, co sporządzić samoniszczącą się prognozę. Cóż bardziej kusi od napisania tego, czego teoria wzbrania! Nazwane sprzężenie uskromnia wprawdzie pozycję teoretyka, bo udaremnia mu zajęcie boskowiednej pozycji nad tłumem pisarskim, zarazem jednak czyni literaturoznawcę współautorem mutacji kreacyjnych — nawet mimowolnym, bo i wtedy, gdy mu na tym wcale nie zależy.

Zawężenie wyobraźni, typowe dla umysłowości dogmatycznej, jaką reprezentuje strukturalista, przejawia się w mniemaniu, iż tego, co on wykrył jako bariery, nikt nigdy nie przekroczy. Być może, istnieją struktury kreacji nieprzekraczalne, lecz do takich strukturalizm ani się dobrał. To natomiast, co objawia się nam jako jej granice, jest dość starym meblem, bo łożem Prokrusta — jak pokażemy.



## IV

Wchodząc w meritum, Todorov pierwszej demoluje antecedencje definicyjne fantastyki. Przekreśliwszy trud Northropa Frye'a (którego bronić nie myślimy), znęca się przez chwilę nad Rogerem Caillois, który miał nieszczęście napisać, że „kamieniem probierczym fantastyki jest wrażenie nieredukowalnej niesamowitości” (*l'impression d'étrangeté irréductible*). Podług Caillois, kpi Todorov, gatunek utworu zależy od stopnia zimnokrwistości czytelnika: jeśli się złęknie, mamy do czynienia z (niesamowitą) fantastyką, jeśli zachowa zimną krew, wypadnie utwór pod względem genologicznym przeklasyfikować. O tym, jak tu prześmiewca wystawił samozgubnie na sztych swą metodę, powiemy we właściwym miejscu.

Todorov rozróżnia trzy aspekty dzieła — werbalny, składniowy i semantyczny, nie ukrywając, iż dawniej zwały się stylem, kompozycją i treścią. Lecz niezmienników ich szukano tradycyjnie a błędnie „na powierzchni” tekstów; Todorov oświadcza, że będzie struktur poszukiwał w głębi, jako relacji abstrakcyjnych. N. Frye — sugeruje Todorov — mógłby rzec, iż las i morze manifestują strukturę elementarną. Nie tak; te dwa fenomeny konkretyzują strukturę abstrakcyjną o typie relacji między statyką a dynamiką. Tu po raz pierwszy natrafiamy na plód fałszywej uczoności metodycznej, tej nieodrodnej cechy strukturalizmu, gdyż jasno widać, czego nasz autor szuka; opozycji wyłączających się na poziomie wysokiego odrywania; otóż kulą w płot, ponieważ statyka nie jest opozycją dynamiki, lecz jej wypadkiem szczególnym, a mianowicie granicznym. Sprawa to drobna, lecz problem za nią ważki, albowiem tak samo konstruuje Todorov swą integralną strukturę fantastycznego piśmiennictwa. Stanowi ją, z orzeczenia naszego strukturalisty, oś jednowymiarowa, ze zlokalizowanymi na niej podgatunkami, które się wzajem wyłączają logicznie. Obrazuje to Todorovowski schemat:

niesamowitość czysta	Niesamowitość fantastyczna	cudowność fantastyczna	Cudowność czysta
-------------------------	-------------------------------	---------------------------	---------------------

Czym jest „fantastyczność”? To wahanie — wyjaśnia Todorov — istoty znającej tylko prawa naturalne w obliczu Nadnaturalnego. Inaczej: fantastyczność tekstu jest stanem lektury przejściowym i ulotnym, jako niezdecydowanie, czy opowiedziane należy do naturalnego czy do nadnaturalnego porządku rzeczy.

Niesamowitość czysta zadziwia, poraża, budzi lęk, ale nie budzi niezdecydowania (które my nazwalibyśmy ontologicznym). Tu jest miejsce powieści grozy, pokazującej wypadki okropne, niezwykle, lecz racjonalnie przecież możliwe; gatunek schodzi ze schematu w lewo — rozplywając się w literaturze „zwyczajnej” — jako „człon przejścia” wymienia nasz teoretyk Dostojewskiego.

Niesamowitość fantastyczna daje już asumpt do wahań, wywołujących wrażenie fantastyczności; to historia wywołana, jak myśli zrazu czytelnik, wtargnięciem Nadprzyrodzonego; epilog przynosi jednak zaskakującą eksplikację racjonalną (tu należy Pamiętnik znaleziony w Saragossie).

Utwór fantastycznie cudowny wręcz na odwrót — dostarcza finalnie wyjaśnień w porządku pozadoczesnym, irracjonalnym — jak Vera de l'Isle Adama, bo finał opowiadania zniewala nas do uznania, że nieboszczka prawdziwie wstała z martwych. I wreszcie cudowność czysta, która znów nie budzi żadnych wahań między wykluczającymi się typami łańców ontycznych, aż cztery posiada prowincje:

a) „cudowności hiperbolicznej” — idącej z elefantiazy narracyjnej: tak w podróży Sindbada, gdy mówi o węzach zdolnych słonie łykać; b) „cudowności egzotycznej” — i tu pasuje Todorovowi Sindbad, kiedy prawi, iż ptak Rok miał nogi jak dęby: to nie absurd zoologiczny, bo dawnym (historycznym) czytelnikom taka^ ptasia postać mogła wydać się

„możliwa”; c) „cudowności instrumentalnej” — instrumentami są obiekty baśniowe, np. lampa czy pierścień Aladyna; d) na koniec czwarty typ stanowi „cudowność naukowa” — czyli Science Fiction. „Są to — rzecz Todorov — opowieści wychodzące z przesłanek irracjonalnych, które jednak narracja układa w łańcuch logicznie poprawny”. Albo: „Nadnaturalne ulega wyjaśnieniu racjonalnemu, lecz podług praw, jakich współczesna nauka nie uznaje”. I wreszcie: „Dane początkowe są nadnaturalne: roboty, stworzenia pozaziemskie, tło międzyplanetarne”.

Bibliografia naukowa teorii „robotów” to gruby tom; istnieje międzynarodowa organizacja światowej sławy astrofizyków, zajęta poszukiwaniem sygnałów, wysyłanych przez „nadnaturalne stworzenia” Todorova, bo istoty pozaziemskie; własności irracjonalne posiada, za naszym teoretykiem, nawet „międzyplanetarne tło”. Uznajmy jednak wszystkie te kwalifikacje za lapsus. Możemy to uczynić, ponieważ zaiste znakomita byłaby teoria Todorova, gdyby tylko takie usterki zawierała\*.

Jak wiemy, Todorov czyni fantastyczność stanem przejściowo–granicznym na osi, której przeciwstawne krańce zanurzone są, odpowiednio, w ładzie racjonalizowalnym Natury oraz w porządku cudów, irracjonalnym trwale. Aby dzieło mogło przejawiać swoją fantastyczność, musi być czytane literalnie, z pozycji naiwnego realizmu, więc ani poetycko, ani alegorycznie. Także te dwie kategorie wykluczają się w mniemaniu Todorova z koniecznością logiczną, więc zawsze: niemożliwa jest tedy ani poezja fantastyczna, ani fantastyczna alegoria. Druga kategoria jest prostopadła do pierwszej. Wyjaśnimy owe stosunki na własnym „mikroprzykładzie”, danym tylko jednym prostym zdaniem. Wyrażenie „Czarna chmura pożarła słońce” można uznać najpierw za metaforę poetycką (do cna wytartą, lecz to nieistotne). Chmura, wiemy, została tylko obrazowo porównana do istoty zdolnej zjeść słońce, bo ‘naprawdę tylko je przesłoniła. Dalej, można by — wskutek sugestii kontekstowej — podstawić za chmurę kłamstwo, a za słońce — prawdę. Zdanie staje się wtedy alegorią; powiada, że kłamstwo może zaćmić prawdę. Znowu okropny banał, lecz widać wyraźnie zachodzące stosunki, a na tym nam zależy. Gdy natomiast będziemy wykładali zdanie dosłownie, pojawią się wątpliwości decyzyjne, umożliwiające wyniknięcie niezdecydowania, a tym samym fantastyczności. Chmura, wiemy, naprawdę zezarła słońce — lecz w jakim porządku rzeczy — przyrodzonym czy cudownym? Jeśli połknęła je tak, jak by to mógł zrobić bajkowy smok, znajdujemy się w bajce, czyli w „cudowności czystej”. Jeżeli jednak pochłonęła słońce tak, jak to pewna chmura kosmiczna uczyniła w powieści astrofizyka Freda Hoyle’a (Black cloud), przenosimy się do Science Fiction: chmura — tak w tej powieści — zbudowana z pyłu międzygwiazdowego jest organizmem „cybernetycznym”, a słońce pochłonęła, bo żywi się gwiazdowym promieniowaniem. Wytlumaczenie staje się tedy

---

\* Genograficzną nieodpowiedniość osi Todorova można pokazać wprost, bo np. ustanowione na niej stosunki sąsiedztwa wykluczają takie utwory, co są zarazem niesamowite, irracjonalne, a podstaw do niezdecydowania odbiorczego nie dostarczają, implikując dawnego czytelnika, który w duchy wierzył akurat tak dobrze, jak Todorowski czytelnik implicytny bajek z 1001 nocy miał wierzyć w ptaka o nogach jak dęby. Czytelnik, skłonny do wiary w duchy, uprawiał — powiemy — ontologię „łaciatą”, bo po części racjonalną (za swym kontuarem, na ulicy, więc niejako na co dzień), a po części irracjonalną, gdyż dopuszczał napotkanie duchów w pewnych porach i miejscach (np. o północy, na cmentarzu, w domu powieszzonego itp.). Prestidigitatorstwo Todorova w tym, że operuje opozycjami („racjonalne — irracjonalne”, „przyrodzone — nadprzyrodzone”), jak mu w danym kontekście wygodniej. Pod względem empirycznym opowieść, beletryzująca zdarzenia wzięte z Ewangelii, podlega irracjonalizmowi, skoro pokazuje cuda Jezusa, jego zmartwychwstanie itd., lecz nie jest, podług opinii naszego kręgu kulturowego, „fantastyką”, nie jest też baśnią, gdyż utwór to religijny właśnie. Wykład Todorova roi się od dowolności, widomych w apodyktycznym pomijaniu wszystkich takich szkopułów. Korzysta też z niejasności, właściwej użytym terminom naczelnym. To, co zwiemy „niesamowitym”, Todoroy nazywa l’etrange, a to pojęcie we francuskim jest szersze, lecz cytując niemieckich autorów, za l’etrange umieszcza w nawiasie das Unheimliche, któremu w polskim „niesamowite” dokładnie już odpowiada. Także „cudowne” nie jest jednoznaczne, gdyż cud w rozumieniu teologii to coś innego aniżeli cudowność wróżki baśniowej. Ostre dowodzenie (do którego pretenduje strukturalizm) — pojęciami nieostryimi — jest grubym błędem iście szkolnym.

racjonalne jako hipotetyczna ekstrapolacja z nowszych dyscyplin w rodzaju teorii samoorganizacji, systemów itd.

Co prawda wyniki naszej klasyfikacji nie pokrywają się z Todorovowskimi, bo dla niego Science Fiction to irracjonalizm, w pseudonaukowość wcielony. Spierać się o czarną chmurę Hoyle'a nie warto, dość uwagi, że Science Fiction żywi się naukowymi rewelacjami, np. w ślad za przeszczepami serca powstały chmury dzieł, opisujących gangi, co wyrwywają młodym ludziom serca z piersi — dla starych bogaczy. Gdyby to nawet nieprawdopodobne być miało, na pewno nie należy do nadnaturalnego porządku rzeczy. W końcu jednak arbitraż mógłby uzgodnić sprzeczne stanowiska, np. dokonując w obrębie osi Todorova przeprowadzki co najmniej części tytułów Science Fiction w stronę „Racjonalnego”. Gorsza sprawa z takimi podgatunkami fantastyki, których w ogóle nie da się na osi Todorova umieścić. Jaka jest przynależność genologiczna Borgesowych Trzech wersji Judasza? Borges zmyślił w tym utworze fikcyjną herezję skandynawskiego teologa, według której Judasz, a nie Jezus był prawdziwym Odkupicielem. Nie jest to historia „cudowna” — nie bardziej niż każda historyczna herezja, jak manichejska czy pelagiańska na przykład. Nie jest to apokryf, bo ten symuluje autentyczność, a tekst Borgesa literackości swej nie tai. Nie jest to alegoria, nie jest też poezja, a że takiej apostazy nigdy nikt nie wypowiedział, nie można umieścić rzeczy w porządku realnym zająć. Mamy na j oczy wiście j do czynienia z teologią (herezją) fantastyczną.

Zgeneralizujmy tę ciekawą sprawę: sądy niedowodliwe, typu twierdzeń metafizycznych, ontologicznych, religijnych, uznajemy za „prawdziwe wyznanie wiary”, za „prawdziwe systemy filozoficzne”, jeśli jako takie właśnie uległy wcieleniu do skarbnicy kultur historycznych. W immanencji nie poznać po takiej wypowiedzi, czy była artykułowana z przekonaniem, iż doprawdy jest tak, jak ona głosi, czy tylko „ludycznie”, więc nieasertorycznie. Gdyby nigdy nie istniał filozof Artur Schopenhauer i gdyby Borges zmyślił sobie i zamknął w nowelkę doktrynę znaną pod tytułem Świat jako wola i wyobrażenie, mielibyśmy ją za fragment beletrystyki, a nie historii filozofii. A jakiej beletrystyki, proszę? Filozofii fantastycznej, ponieważ nieasertorycznie ogłoszonej. Oto literatura idei zmyślonych, niebywałych cywilizacyjnych wartości naczelnych, jednym słowem — fantastyka „odrywania”.

Na Todorovowskiej osi nie ma też miejsca dla fantastycznej historii, co nie zaszła, chociaż mogła zająć. Tu zacytujemy tzw. Politic Fiction, wcale dziś modną (PF), opowiadającą, co by się stało, gdyby Japonia, a nie Ameryka, sporządziła bombę atomową, gdyby Niemcy wygrały II wojnę światową itp. Nie są to historie niesamowite — nie bardziej w każdym razie niż to, co prawdziwie zaszło w naszym stuleciu — nie są „cudowne”, boż nie trzeba było aż cudu, żeby fizycy japońscy wzięli się do budowania reaktorów, nie ma też mowy o niezdecydowaniu czytelniczym, czy opowiedziane jest racjonalnie, czy nieracjonalnie — a przecież tak buduje się przedmiotowe światy, których nieistnienie w przeszłości, terażniejszości i w przyszłości to pewnik niezbity. Cóż to więc za książki? Ani chybi — sporządzające fantastyczne dzieje powszechnie. Tak więc nasz Prokrust nawet realnie istniejących rodzajów fantastyki nie umieścił na swojej chudej osi, cóż dopiero mówić o gatunkach „teoretycznie możliwych”, dla których a fortiori miejsca na jego łożu męczarni nie staje.

## V

Przyjrzyjmy się teraz nieco bliżej osi Todorova. Jest ona matematyczno–logicznej proveniencji. Strukturalista zapożyczył się u lingwistów, ci zaś z kolei przejęli tę najprostszą strukturę wyłączenia z teorii mnogości, bo w niej obowiązuje zasada wyłączonego środka: element albo do zbioru należy, albo nie należy; przynależność 45–procentowa jest niemożliwością. Todorov trzymając się swojej osi, jak Marek powracający z jarmarku po wiadomej transakcji, tej osi przypisuje główny, ba, wyłączny walor definicyjny na najwyższym „poziomie odrywania. Tymczasem nie w „osi” rzecz, lecz w akcie decyzji czytelniczej. Lektura dzieła istotnie wymaga decyzji — nie jednej co prawda, lecz ich uporządkowanego zbioru, którego wypadkową staje się gatunkowa kwalifikacja tekstu.

Decyzje czytelnicze nie oscylują w jednym tylko wymiarze. Przyjmując roboczo tezę, że są to zawsze decyzje wewnątrz alternatywy prostej (binarne), można wymienić takie inne osie:

1. Powaga — ironia. Ironia to zakwestionowanie wypowiedzi, jej planu lingwistycznego (stylistycznie: Gombrowicz) lub przedmiotowego; zwykle bywa częściowo sa—mozrotna, aby zaś akt „odpoważnienia” artykulacji nie dotarł do granicy autodestrukcyjnej, taktyka ta stabilizuje chwiejność czytelniczą, czy udaremnia definitywną diagnozę wewnątrz nazwanej opozycji: zdobywa optymalną trwałość, gdy oddzielenie w tekście „składowej ironicznej” od „składowej serio” jest nie do urzeczywistnienia. Trzy wersje Judasza takie są właśnie.

2. Tekst samozwrotny — tekst odsyłający. „Alegoria” Todorova to worek, do którego wrzucono bezlik heterogeniczny odsyłaczy; alegoria lokalna kulturowo jest czymś innym od uniwersalnej; co w kręgu kultury autora alegoryczne, to dla odbiorców etnoekscentrycznych może być „pustą zabawą” lub „czystą fantazją”, zgodnie z orzeczeniem „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen”. Z kolei, symboliczność tekstu to niekoniecznie alegoryczność. Symbole same mogą być kolektywne lub indywidualnie ukute. To, co jest normotwórczym (np. tabuistycznym) symbolem danej kultury, dla jej członków tym samym nie jest ani fantastyczne, ani dowolne. Symbolika zawarta w japońskiej prozie bywa dla nas nie—rozpoznawalna. Symbole indywidualne są biograficznego pochodzenia i, jako unikalne, tylko kontekstowo zdobywają zasadniczość.

3. Tekst: szyfr rozłamywalny — tekst pseudoszyfr, nie do rozłamania. Rozłamanie szyfru nie pokrywa się z odczytaniem alegorii. Alegoria to pewna generalizacja, dyskursywnie artykułowana, natomiast treścią szyfru może być „cokolwiek” — m. in. inny szyfr. Zadaniem szyfranta jest rozłamać szyfr. Niedostępna treść jest tu końcowym celem roboty. Dzieło może natomiast samą robotę rozszyfrowania uczynić celem i to samo może też czynić pewna kultura. Z tego, że istnieją szyfry, nie wynika, iż wszystko jest szyfrem. Z tego, że w pewnych kulturach funkcjonują treści, zatajone w relacjach (socjalnych, rodzinnych), nie wynika, jakoby w każdej kulturze jej relacyjność (jej „struktura”) była kamuflażem czegoś starannie — jako sensy — zatajonego. Stąd rozczarowanie poznawcze towarzyszące lekturze analiz Lévi–Straussa: nie można bowiem rozpoznać żadnej dobrej racji (socjalnej, psychologicznej, logicznej), co sprawia, że jedne sensy funkcjonują społecznie w relacjach jawnych (tzn. publicznie nazywanych po imieniu), inne natomiast są „schowane” w sieci stosunków zachodzących i trzeba je odrywaniem rekonstruować. Na etnologiczny strukturalizm czyha tu ta sama zapadnia bez dna, która zagraża psychoanalizie: albowiem, jak w ostatniej można każdemu słowu psychoanalizowanego imputować status „maski”, pewną prawdę głębszą skrywającej, tak w strukturalizmie zawsze można utrzymywać, że to, co jako relacja w kulturze zachodzi, jest i nieostateczne, i nieważne zgoła, albowiem przedstawia „kamuflaż” pojęć całkiem innych, tych, które dopiero abstrakcyjny model ujawni. Żadnej z tych hipotez niepodobna

zweryfikować, więc są nieempiryczne z metody i założenia. W literaturze pseudo–szyfr to tekst, który „doprasza się” rozłamywania, lecz daremnie, gdyż wikła tylko odbiorcę w grę labiryntowa bez finalnego dojścia. Wyliczenie takich opozycji można by kontynuować. Nakładając na siebie ich osie, aż utworzą wielowymiarową „różę wiatrów”, więc układ współrzędnych krotnej mocy, uzyskujemy model formalny wielodecyzyjnej sytuacji czytelnika wobec kompleksowo zbudowanego tekstu. Nie wszystkie teksty uruchamiają decydowanie wzdłuż wszechmożliwych osi, lecz teoria gatunku musi uwzględniać co najmniej tę klasę decyzji, która przesądza kumulatywnie o genologicznej kwalifikacji czytanego.

Podkreślić trzeba, że poszczególne decyzje do podjęcia są zmiennymi zależnymi: ustaliwszy np., że tekst jest ironiczny, tym samym zmieniamy prawdopodobieństwo określonych zajęć decyzyjnych — na innych osiach.

Perfidia nowożytnej kreacji w tym właśnie, żeby czytelnikowi życie, to jest decyzje semantyczne, utrudniać. Pisarstwo to zapoczątkował dobitnie Kafka. Todorov, że nie mógł dać rady jego tekstom swoją osią, uczynił z zapaści metody cnotę, wprowadzającą własną bezradność na głębokie wody hermeneutycznego objawienia. Podług niego Kafka nadał tekstowi „pełną autonomię”, czyli odciął go wszechstronnie od świata. Tekst wydaje się alegoryczny, lecz taki nie jest, bo nie można ustalić adresu jego apelacji. Nie jest zatem ani alegoryczny, ani poetycki, ani realistyczny, i jeśliby go można nazwać fantastycznym, to wyłącznie w rozumieniu, że „logika snu” — a zatem niejaki apodyktyczności — pochłonęła narrację wraz z czytelnikiem. Ita dixit Todorov, nie spostrzegając, że tym samym rezygnuje z całego swego strukturalizowania.

Koncepcja, głoszona przez Todorova — totalnej bezadresowości dzieł Kafki w świecie rzeczywistym — zyskała i poza strukturalizmem popularność, jak sądzę, na skutek umysłowego lenistwa bądź zmęczenia. Te jakby bezkreśnie zawoalowane w sensach dzieła zdają się tyle naraz znaczyć, że nie wiadomo, co konkretnie znaczą — niechże zatem będzie, iż nie znaczą — odsyłaczowo, przywołaniami, aluzjami — nic zgoła.

Gdyby istniało literaturoznawstwo eksperymentalne, rychło udowodniłoby dość prostą prawdę — że tekst, faktycznie sensami od świata odcięty, nikogo nie może obchodzić. Odwołania artykulacji do poza językowych stanów rzeczy są widmem ciągłym, rozpostartym od ostensywnej denotacji po „aurę” trudną do określenia w sensach — akurat tak, jak odwołania widzialnych obiektów do naszego doświadczenia wizualnego rozpościerają się od percepcji ostrej w blasku dnia po nieokreśloność nocnego zwiidu. Toteż granicę pomiędzy „odwoływaniem się” a „hermetyczną autonomią” tekstu można tylko arbitralnie przeprowadzić, bo obiektywnie jej nie ma wcale. Kafkowskie pisarstwo mieni się mirażami znaczeń, mógłby rzecz przedstawiciel impresyjnej krytyki, lecz rzecznik krytyki naukowej ma wykryć taktkę, sprawiającą ów stan rzeczy, a nie wręczać akty nadania niepodległości — tekstom — względem widzialnego świata.

Naszkcicowaliśmy powyżej sposób, jakim można wykonać stopniowane przejście od tekstów jednomodalnych decyzyjnie prostych, jak powieść kryminalna, do n—modalnych. Utwór, wcielający relacyjną paradygmatykę „róży wiatrów”, ustanawia tym samym niedecydowalność co do swego znaczenia, skoro trwale poraża ów przyrząd diagnostyki semantycznej, który mieści się w każdej ludzkiej głowie. Dochodzi wtedy do stabilizowania równowagi chwiejnej na rozstajach, jakimi jest tekst, bo nie umiemy orzec ani czy jest zdecydowanie poważny, ani czy tak samo ironiczny, czy odnosi się do tego, czy do tamtego świata, czy więc podnosi nasz padół do transcendencji (co jedni mówili o Zamku), czy degradowe raczej zaświat do doczesności (co inni o Zamku głosili), czy jest przypowieścią z morałem, wyartykułowaną symbolami nieświadomości (to głos krytyki psychoanalitycznej), czy też „fantastycznością bez granic i dna”, którym to wykretem posłużył się nasz strukturalista. Dziwne, jak nikt nie chce uznać stanu faktycznego: utwór zderza łbami mrowie

wykładni sprzecznych, dających się, każda, argumentować w jej właściwym porządku. Gdybyśmy przed sobą mieli rachunek logiczny, sumą byłoby oczywiście zero, boż sądy sprzeczne wzajemnie się znoszą. Lecz dzieło nie jest właśnie logicznym traktatem i dlatego, w swojej nierozstrzygalności znaczeniowej, staje się nam zagadką urokliwą. Strukturalizm „jednoosiowy” zawodzi przy nim całkowicie — lecz mechanizm nie gasnącej oscylacji czytelniczych domysłów formalizuje topologia wielodecyzyjności, która granicznie obraca „różę wiatrów” w płaszczyznę bezustannych błędzeń odbiorczych. A jednak i taki, usprawniony przez nas, model strukturalistyczny nie jest właściwą aproksymacją dzieła Kafkowskiego typu. Nie jest, ponieważ zakłada aksjomatycznie wyłączenie się biegunowych kategorii („alegoria–poezja”, „ironia–powaga”, „naturalne–nadenaturalne”) — najzupełniej fałszywie. Sęk w tym, że utwór może być naraz umieszczony w porządku naturalnym i nadprzyrodzonym, że może być poważny oraz ironiczny, a jeszcze fantastyczny, alegoryczny i poetycki. Wypowiedziane tu „naraz” zakłada sprzeczności — cóż jednak robić, skoro taki tekst właśnie sprzecznościami stoi: uwidacznia to mrowie diametralnych wykładni, darmo wojujących z sobą o prymat, tj. o jedyność. Wykładnie te są — w całym ich zbiorze — kontradycjami, wyprowadzonymi z dzieła w eksterytorialność (pozatekstowość) krytycznego otoczenia. To tylko matematyka, logika, a za nimi — lingwistyka matematyczna boją się sprzeczności jak diabeł święconej wody. To tylko one nic konstruktywnego nie mogą począć ze sprzecznościami, które kładą kres wszelkiemu poznaniu racjonalnemu. Idzie o pułapkę, będącą klęską i nieszczęściem epistemologii, skoro o taką artykulację, która sama sobie przeczy (jak klasyczna antynomia kłamcy na przykład). Literatura wszakże umie się — byle strategicznie umieszczonymi — antynomiami żywić, one są właśnie jej perfidnym pożytkiem! Nie z samej siebie zresztą. Nie zmyśliła sobie tak horrendalnych uprawnień. Sprzeczności logiczne znajdujemy, *p r i m o*, w kulturze, albowiem — to pierwszy z brzegu przykład — podług kanonów chrystianizmu cokolwiek zachodzi, naturalnie zachodzi, a jednocześnie z Bożej woli zachodzi, bo bez niej nic. Porządek doczesny współlistnieje tedy z pozadoczesnym; wieczność jest w każdej chwili i każdym calu. Kolizje działania, wywołane tym „dwuwłasceniowym” orzeczeniem, amortyzują sukcesywne wykładnie, np. w rodzaju teologicznej zgody na ubezbolesnienie porodów; niemniej idzie o sprzeczność, która w *Credo*, *quia absurdum est*, kulminuje. *S e c u n d o*, dwu- lub wielowłasceniowa kategoriaлизация postrzeżeń jest normą snu oraz stanów hipnoicznych, więc nie tylko działem fenomenalistyki psychiatrycznej (patrz E. Kretschmer: *Psychologia kliniczna*). Współlistnienie, w rozumiejącej, percepcji, takich stanów rzeczy, co się wyłączają tak empirycznie jak logicznie, to zatem dubeltowa prawidłowość — kultury i psychologii — na której strukturalizm łamie sobie ostatecznie gnaty swych wszystkich „osi”. Toteż cała literaturoznawcza prokrustyka, czyli katalog błędów, uproszczeń i zafałszowań, jakim jest *Wprowadzenie w literaturę fantastyczną* Todorova, ma wartość tylko okazu pogładowego, ilustrującego porażenie ścisłej aparatury pojęciowej wprowadzonej tam, gdzie nie jej miejsce.

## VI

Pozostał nam jeszcze dylemat zimmokrwistego czytelnika, który, że nie boi się upiornej powiastki, przemianowuje ją genologicznie. Todorov ani chybi miałby takiego odbiorcę za ignoranta, któremu wara od literatury. Gdy jednak zważymy sytuację, w której ktoś czytając tekst „niesamowity” bądź „tragiczny” pokłada się ze śmiechu, uznamy, że można ją na dwoje wykładać. Albo czytelnik jest w samej rzeczy prymitywnym głuptakiem, który do dzieła nie dorósł, co problem likwiduje. Albo też utwór jest kiczem, a śmieje się nad nim wytrawny znawca literatury, bo tego, co utwór poważnie oznajmia, on poważnie brać nie może, czyli dzieło przerósł. W drugim przypadku tekst doprawdy zmienia swą przynależność genologiczną: z opowieści o duchach (intencjonalnie niesamowitej) lub o monarchach galaktycznych (intencjonalnie fantastyczno—naukowej) czy o życiu wyższych sfer (intencjonalnie podniosłego romansu obyczajowego), obraca się w humoreskę nieintencjonalną. Todorov zabrania mówienia czegokolwiek o autorskich zamiarach — wspomnieć o nich, to okryć się hańbą wulgarniej fallationis intentionalis. Strukturalizmowi przystoi badać teksty tylko w ich immanencji. Lecz jeśli wolno, jak robi Todorov, uznać, że tekst implikuje czytelnika (jako pewną konstrukcję odbioru, nie jako konkretną osobę), to zgodnie z regułą symetrii można też uznać, że implikuje autora. Oba te pojęcia łączą się niezbywalnie z kategorią przekazu, bo przekaz, twierdzimy za teorią informacji, musi mieć nadawcę i odbiorcę.

Słowa Rogera Caillois o „nieredukowalnym wrażeniu niesamowitości” jako probierczym kamieniu fantastyczności są psychologicznym korelatem lingwistycznego stanu rzeczy, jakim jest pełnowartościowość artystyczna tekstu, gwarantująca, że nie jest kiczem. Nieredukowalność wrażenia poświadcza autentyczne walory tekstu, usuwając tym samym relatywizm, właściwy pisarstwu z pretensjami bezprawnymi, produkującemu kicz jako nieodpowiedniość intencji i realizacji.

Relatywizm kiczu w tym, że nie jest on kiczem dla wszystkich czytelników, więcej, przez tych, co go cenią i poszukują, za kicz uznany być nie może. Kicz jako kicz rozpoznany to szczególnie wypadek antynomii w zbiorze dzieł literackich: mianowicie sprzeczności pomiędzy reakcjami, przez tekst antycypowanymi, i reakcjami, co rzeczywiście towarzyszą lekturze. Niesamowitość wyklucza bowiem brednię, fizyka —magię, socjologia arystokracji — kuchenne o niej wyobrażenia, a proces poznania — awantury kukieł, nazwanych uczonymi. Kicz jest tedy produktem sfalszowanym tak, by uchodził za to, czym nie jest. Sprzeczności Kafkowskiego pisarstwa — to jest kontradiktoryczność należnych mu wykładni — czytelnik nie tylko może, lecz powinien ogarniać: dopiero wtedy, od „niezdecydowania wielozakresowego”, zazna aury tajemnicy, ustanawianej przez tekst. Sprzeczność właściwa kiczowi musi natomiast pozostać nie rozpoznana przez jego czytelników, bo w przeciwnym razie nastąpi „ge—nologiczna wywrotka” czytanego. Lektura kiczu jako kiczu nie jest immanentna; czytelnik odwołuje się do swej lepszej wiedzy o tym, jak dzieło danego rodzaju wyglądać powinno, rozróżnia zaś tę powinność i stanu rzeczy śmieszy go (lub oburza). Ponieważ lepszej wiedzy posiadamy tym mniej, im bardziej odległe od „tu i teraz” tematy bierze na swój warsztat literatura, kicz umiejscawia się tam, gdzie czytelnik wstępu nie ma: w pałacu, w odległej przyszłości, w historii, w kraju egzotycznym. Każdy gatunek literacki ma pułap arcydzielnosci; kicz taktykami prostackiej mimikry udaje, że wzbił się tak wysoko\*.

---

\* Kiczu od niekiczu nie dzieli ostra granica. Wypadkiem szczególnie ciekawym są parodie kiczu (np. Na ustach grzechu M. Samozwaniec), które dla znawców stanowią parodię właśnie, dla miłośników kiczu natomiast — utwory „poważne”. Intencja autorska powagi (typowa np. dla utworów Pawła Stański) nie może być zawsze dokładnie rozpoznana, gdyż rekonstruujemy ją wtórnie, w oparciu o całość znamion tekstu, a więc decyzji ostatecznej w tej kwestii dochodzimy probabilistycznie, czyli w oparciu o statystyczny rozkład cech dzieła, w tym miejscu pogrzebany jest pies, którego ekshumacja wyjaśnia wiele prima facie niezrozumiałych własności, jakie teoretycy typu Todorova przypisują swym „strukturom”. Struktura, teoriomnogościowo rozumiana, to zbiór

Todorov, zakuty w immanencję swych procedur, pozbawił się szansy rozpoznawania mimikry wartości, toteż jego implicytny czytelnik musi z nakładem solennych mozołów dbać o to, by najgłupsza bajęda o duchach puściła mu ciarki po grzbiecie. Nie wolno mu, pod groźbą klątwy strukturalistycznej, wyśmiać takich banialuków, gdyż strukturalizm zaprowadził zupełną równość w literaturze: obywatelstwo tedy, jakie tekst sobie przypisuje, to rzecz święta.

Możliwa byłaby tu riposta głosząca, że kretyńskie historie pisane są dla kretynów — czytelników — jakoż ten stan rzeczy obserwujemy na rynku księgarskim, zdominowanym przez prawa popytu i podaży. Nie jest to jednak okoliczność łagodząca dla teorii literatury. Nazwa „teoria” jest synonimem generalizacji, przebiegającej przez wszystkie elementy badanego zbioru. Ponieważ uogólnienia strukturalistów nie chcą tak przebiegać albo raczej, kiedy się je stosuje powszechnie, rodzą nonsensy, do których żaden rzecznik szkoły się nie przyzna (bo „demokratycznie” zrównują fałszyfikat z arcydziełem, jeśli należą do analogicznego gatunku) — teoretycy dokonują pewnych prestidigitatorskich machinacji, gdy szykują materiały do publicznego sekcjonowania. Biorą mianowicie na stół operacyjny to tylko, co się już uczciwie zasłużyło w historii literatury, eskamotując pod stół dzieła genologicznie takie same, lecz artystycznie tandetne. Muszą tak postępować, bo metoda pcha ich ku tekstom najprostszy, jak powieść kryminalna, natomiast wielkie ambicje — ku utworom znakomitym. (Kicz nie jest dziełem najprostszy strukturalnie, bo podlega relatywizacji w odbiorze: jednym chce być, drugim jest w samej rzeczy, tj. podług diagnozy znawcy; za to powieść kryminalna, że nie w pretensjach, jest jednomodalna decyzyjnie). Teraz łatwiej pojmiemy skład bibliografii Todorova, w jej nazwiskach (Balzac, Hoffmann, Poe, Gogol, Kafka) i dziełach. Teoretyk wziął sobie za „próbkę” to, co nie mogło mu

---

relacji, zachodzących pomiędzy elementami zbioru badanego (bazowego, właściwego). W teorii mnogości relacje podlegają, jak się rzekło, zasadzie wyłączonego środka, lecz nie dotyczy to innych struktur, pochodzących z osobnych gałęzi matematyki czystej, np. z matematycznej teorii oczekiwania. W topologii znów własności badane to niezmienniki strukturalne, nie mające żadnych naocznościowych odpowiedników geometrycznych w rodzaju „osi”. Jeżeli pisarstwo jest — aż tym się godzi Todorov — transformowaniem paradygmatów genologicznie wyjściowych, czyli każdy nowy utwór stanowi skutek zastosowania grupy przekształceń (w wypadku beletrystyki drugorzędnej — grupy zeroelementowej) do paradygmatu gatunku, to należałoby poszukiwać jako adekwatnych pojęć opisu formalnego — niezmienników transformacyjnych (co topologia właśnie czyni), a nie jakichkolwiek struktur naocznie prostych. Tu mści się na strukturalistach ich matematyczna ignorancja. W szczególności strukturaliście nic nie wiadomo o tym, że ten sam obiekt można badać różnymi aparatami matematycznymi, sporządzając jego modele abstrakcyjne, bliskie sobie, lecz do końca się nie pokrywające, co właśnie nagminnie czyni lingwistyka posługująca się na zmianę pojęciem naczelnym algorytmu (funkcji rekurencyjnej) zbioru w sensie teoriomnogościowym oraz statystycznego rozkładu z jemu właściwymi prawidłowościami. Pojęcie struktury nie jest w strukturalizmie literackim definiowane ani wprost (analitycznie), ani w uwikłaniu, lecz stanowi ozdobnik o konsystencji gumy i o własnościach terroryzowania czytelników, co tam się zwłaszcza przejawia w wykładzie, gdzie Todorov wypowiada się o semantyce fantastyki. Tej partii tekstu nie streszczamy, bo przez mętność streścić się nie daje; wrażenie ścisłości mają sprawiać wtrącenia sugerujące, iż tu dalej mówi się o strukturach logicznych. Dość na tym, że Todorov rozróżnia dwa kręgi semantyczne: „ja” i „ty”. „Ja” wchodzi w stosunki ze światem wprost, „ty” w upośrednieniu przez drugą osobę, skąd też w tym następnym kręgu naczelną jest problematyka seksualnego typu. Że „ja”, „ty” oraz „świat” to troje, Todorov dodaje uczenie, iż u podstawy „sieci relacyjnej spoczywa troistość”. To tylko pretensjonalne; dalej dowiadujemy się wszakże, iż fantastyka kręgu „ty” powstała jako zamaskowane wyminięcie cen — zuralnych barier, które artykułowania wyobrażeń seksualnych wprost nie dopuszczały. Teraz, po upadku tej tabuizacji, fantastyka o seksualnych treściach możliwa już nie jest! Tutaj znów widzimy maniackalny stosunek strukturalisty do opozycji, co wszędzie tkwią i wszędzie muszą się wyłączać logicznie. Todorov wie co prawda, iż de Sade za nic miał seksualne tabu, rzuca tedy w przypisie na odczepne czytelnikowi, iż de Sade pisał w XVIII w., a podówczas wolno było więcej niż w wieku XIX — purytańskim. Lecz nonsens, tkwiący w tezie, że swoboda wypowiedzania pewnych rzeczy wprost uniemożliwia beletrystyczne artykułowanie ich sposobem okólnym, to jedynie pendent do fałszu, traktującego sprawę de Sade’a. Autor ów, choćby w Julii, obok rozdziałów sprośnych naturalistycznie umieścił rozdział fantastyki seksualnej (*Moscovite Miński*), co jest podług Todorova właśnie niemożliwe. Skoro de Sade wyrażał swe zboczenie wprost, po cóż mu była jeszcze okólnosc fantastyki? Na to pytanie Todorov nie odpowiada.



sprawiać kłopotów, bo zdało już egzamin arcydzielności.

Terapeuta, postępujący analogicznie, brałby sobie za pacjentów wyłącznie chorych po kryzysie, właściwie — krzepkich ozdrowieńców. Fizyk sprawdzałby swą teorię na faktach, o których wiedziałby z góry, że ją sprawdzą, unikając troskliwie wszystkich innych.

Oszczędzimy strukturaliście naukoznawczego zakwalifikowania takiej metodyki wyboru „próbek reprezentatywnych”. Teoria literatury albo ogarnia wszystkie dzieła, albo żadną teorią nie jest. Teoria dzieł, wyselekcjonowanych uprzednio poza jej obrębem, nie stanowi generalizacji, lecz jej odwrotność, partykularyzację mianowicie. Nie można, teoretyzując, pewnej grupy dzieł dyskryminować z góry, tj. w ogóle nie wprowadzić ich w obszar analizy. Teoria taksonomicznie skierowana może, a nawet musi niekiedy hierarchizować badane, tj. ustalać niejednakową wartość elementów całego zbioru, lecz ma to czynić własnym przemysłem, w całym swym zasięgu pokazując, jakie stosuje kryteria apokryzy i jak one wykonują pracę aksjometyczną: jeśli zaś nie ma po temu mocy rozdzielczej, powinna się do takiego mankamentu przyznać.

Obligie te nie dotyczą specjalnie humanistyki. Pochodzą ze zbioru dyrektyw, któremu podlega wszelkie naukowe poznanie. Nie może zoolog pomijać karaluchów, że to takie paskudne stworzonka, ani kosmolog energetycznego bilansu kwasarów, że mu on rachunki rozsadzi. Nie w każdym czasie i miejscu działalność prestidigitatorska zasługuje na uznanie. Jeśli tedy, konkludujemy, chciałby strukturalizm uniknąć relegowania z nauki, musi się cały na nowo od korzenia odbudować, gdyż w swym obecnie stanie jest — za słowami P. Bertaux — procedurą, co z wyjściowej logiczności zesła w mitologię bezużyteczną.

*Kraków, w kwietniu 1973*

Przedruk z: „Teksty” nr 5 1973

## O NIEKONSEKWENCJI W LITERATURZE

### I

W piątym numerze „Tekstów” pisałem, że powieść *20 000 mil podmorskiej żeglugi* zawiera dwie wersje kapitana Nemo: jedną — *explicite* — bohatera bez skazy, drugą zaś — *implicite* — męczyciela załogi, bo z figurujących w tekście wymiarów statku wynika, że marynarze pędzili w kubryku życie na stojąco. W następnym numerze „Tekstów” A. Zgorzelski replikował, że załozde było całkiem wygodnie, bo „logika świata fikcji, ukształtowanie bohatera, tła, akcji wymagają nieraz pozornych niekonsekwencji, które nie są rzeczywistymi lapsusami, o ile mają swoją określoną funkcję w całości tekstu”. Zgorzelski opiera się na opiniach Tynianowa i Goethego; powiada, że nie krytykuje dzieła poprawnie ten, kto wnioskuje w oparciu o tekst po to, aby dowiedzieć się czegoś takiego, czego ów tekst *explicite* nie zawiera.

Ponieważ większość krytyków nagminnie robi to, czego zabraniają Zgorzelski i Goethe, przyszła mi do głowy okropna myśl, że *licentia poetica* obejmuje, o czym nie wiedzieliśmy dotąd, również działalność krytyczną. Krytyk wykracza poza tekst bądź nie wykracza wedle tego, jak mu się żywnie podoba i nie ma w tym żadnego lapsusu, ponieważ chodzi o niekonsekwencje pozorne, co mają swoje funkcje w całości recenzji. Powiedzmy jednak dla uspokojenia ducha, że to żart. Sprawa niekonsekwencji w literaturze zasługuje na poważniejsze potraktowanie. Aby urządzić się na teoretycznym przedpolu, zacznę od tego, że koherencja dzieła w samej rzeczy zrelatywizowana jest do instancji wyższej w literaturze niż logika, mianowicie do paradygmatu gatunkowego. Paradygmat ów powstaje historycznie i zmienia się z upływem czasu. Jeśli dzieło porządnie „siedzi” w gatunku, wolno wykraczać poza jego tekst wnioskowaniem, o ile dopuszcza to norma paradygmatyczna. Ponieważ jednak w literaturze i krytyce mamy oprócz synchronii diachronię, można, jeśli pominąć współczynnik czasu i rodzaju, zestawiać w naszym przedmiocie pary dyrektyw sprzecznych. Na przykład:

1. „Te same sprzeczności tekstu nie mogą być mu poczytywane raz za błędy, a raz za zasługi”. — „Właśnie, że mogą”.

2. „W utworze realistycznym nazwiska bohaterów nie powinny jawnie sygnalizować naczelných cech ich charakterów”. — „Właśnie, że powinny”.

3. „W utworze niefantastycznym nie wolno autorowi przeinaczać ze strony na stronę bohatera, na przykład chwilowo wyprostować garbatego i obdarzyć go mistrzostwem w bokserskiej młocce, żeby mógł powalić antagonistę zgodnie z całościowym morałem narracji, że zwycięża racja sprawiedliwa”. — „Właśnie, że wolno”. I tak dalej.

Przypadek pierwszy zachodzi względem dzieł zrazu niedocenionych, a potem wynoszonych pod niebo. Historia literatury roi się od odpowiednich przykładów. Co do trzeciego, utwór taki można by napisać, co prawda tylko jako groteskowy. Ale powiedziałem przecież, że sprzeczność dyrektyw powstaje, kiedy pomijać współczynnik czasu i rodzaju. A zatem pomijać go nie można. Spektrum gatunków nie jest liniowe, lecz możemy dla uproszczenia przyjąć jego linearność i wtedy rozpostrze się nam od krańca realizmu do poezji. Co się tyczy uprawnień autorskich, pasmo ich, równoległe do naszego widma, rozciąga się od postawy fizyka po stanowisko prestidigitatora. Realistycznie wolno mniej więcej tyle, co fizykowi. Wolno mu dokonywać wszechmożliwych eksperymentów, w warunkach dozwolonej izolacji, przy arbitralnie sporządzonych warunkach brzegowych i granicznych, ale nie wolno mu przy tym oszukiwać. Na przykład pomagać magnesom niteczkami, kiedy nie przyciągają jak należy. Natomiast zręczność prestidigitatora ograniczeniom takim nie podlega. Różnica ta, przełożona na język epistemologii, oznacza, że od pokazów fizyka nie tylko wolno, lecz koniecznym trzeba odwoływać się do pozalaboratoryjnej rzeczywistości,

natomiast od pokazów prestidigitatora można się odwoływać jedynie do tego, czego uczą w szkole sztukmistrzów. Realizm ma nam sprawdzać po prostu świat, poezję sprawdza tylko poezja.

Stąd różne bywają przyjemności w krytyce. Rozkosze, jakie miewa krytyk z realistycznym tekstem, są całkiem innej natury niż te zimne satysfakcje, jakich dostarcza hermeneutykom antypowieść. Ale te rozkosze nieraz są podszyte udręką.

L. B. Grzeniewski (por. jego *Drobiazgów duch wspaniały i powietrzny*) widział już Wokulskiego w opalach, bo to pan Stanisław i panienek z półświatka nie tykał, i żony ani myślał choćby przez sumiennność zadowolić, i fertycznej wdówce, co się miała ku niemu, przepuścił, a ponieważ był w gorącej wodzie kąpany („gryzłbym ją” — dyszał), pozostawała już tylko alternatywa fatalna w obu członach: albo Wokulski onanista, albo Prus autorem pruderyjnym. Na szczęście znalazły się w *Lalce* literalnie trzy słowa o rozpuszcieniu Wokulskiego w Paryżu, które uratowały zarazem potencję kreacyjną autora i płciową bohatera.

Choć to może i śmieszne, wyznaję, że odkrycie tych trzech słów przyjąłem z ulgą, ponieważ Prus p o w i n i e n był pamiętać i o tej stronie rzeczy (ale ja w *Powrocie z gwiazd* nie pamiętałem). Brak tych słów popycha ku domniemaniom, uwłaczającym postaci lub jej twórcy — tertium non datur. Realizm to nie tylko prawa, lecz i obowiązki; sfera płciowa nie może być objęta klauzulą milczenia, o ile, a tak jest przecież w *Lalce*, stanowi palenisko utworu. Potencja nie jest czymś takim, co można na dwadzieścia lat zawiesić, a potem, gdy ucichnie marsz Mendelssohna, wyjąć jak miecz z jaszczura. O tym, że bohater używał serwetki, a nie palców, i w bucikach, a nie na bosaka wkraczał do salonów, nie trzeba mówić, bo to się samo rozumie. Lecz tamtej sprawie należała się przynajmniej jakaś furtka, jeśli nie opis, a tymczasem, skoro się już powiedziało, że kobiety przez próg nie puścił, że od każdej chętnej opędzał się niczym Józef od Putyfary, wykluczenia te tak osaczyły ze wszystkich stron Wokulskiego, że Prus m u s i a ł choć trzema słowami pospieszyć mu na ratunek; był już czas! Gdyby Wokulski zniknął nam zmierzchem z oczu, gdyby miał coś do ukrycia, tego by starczyło — jako poszlaki, bo jak napisałem kiedyś spierając się z pewnym amerykańskim krytykiem, recenzent to nie oskarżyciel, lecz obrońca dzieła, ale taki, który nie ma prawa kłamać, wolno mu tylko przedstawiać fakty w najkorzystniejszym świetle. Więc i Yerne nie musiał nam pchać w oczy dokładnych wymiarów „Nautilusa” i jego salonów, skoro to jednak zrobił, wypadało pamiętać i o kubryku. A kiedyśmy to powiedzieli, możemy przejść do teorii.

## II

Za niekonsekwencje utworu literackiego będziemy uważali wykroczenia przeciw logice jako sprzeczności w sensie rachunku zdań, sprzeczności antynominalne w rozumieniu logiki semantycznej oraz naruszenia znormalizowanej paradygmatycznie narracji. Wykroczeniom tym czy naruszeniom nie należy apriorycznie przypisywać wadliwości: człowiek np. powstał dzięki kompleksowemu naruszeniu gatunkowego wzorca pramałpy.

Dla pamięci powtórzmy, że wszelka paralogiczność i „parafizyczność” jest zrelatywizowana do gatunku, czyli naczelną jest w literaturze natura świata przedstawionego, a nie — realnego. Z powyższym zastrzeżeniem: skrajnia amplitudy czynnościowej sięga od niekonsekwencji, konstruujących utwór, poprzez niekonstruktywne, lecz konieczne, aż po burzące go ze szczerem. Najłatwiej określić sprzeczności logiczne i semantyczne, jako nieswoiście literackie.

W logice pojmujemy pod sprzecznością stosunek pary zdań, z których jedno przeczy drugiemu, a też taką własność zbioru zdań, że można zeń wyprowadzić parę zdań sprzecznych. Niesprzeczny jest zbiór, z którego sprzeczności wyprowadzić nie można. Antynomię tworzy taka para zdań, że każde jesteśmy zniewoleni przyjąć. „Człowiek jest ssakiem” i „człowiek nie jest ssakiem” to para zdań sprzecznych, lecz nie antynominalnych. Antynomia pozbawia nas swobody refutacji. „Pewien Kreteńczyk rzekł, że wszyscy Kreteńczycy kłamią” to antynomia, gdyż wprowadza w znane błędne koło.

Za najciekawsze mam sprzeczności konstruujące. Jednym z ambitniejszych zakusów literatury jest chęć dorównania

Panu Bogu w stwarzaniu światów, które nie byłyby plagiatowymi powtórkami Bożego produktu. Kreowanie „innego świata” zasadza się na konsekwentnym uprawianiu określonych niekonsekwencji, czyli na odstępstwie od danych empirykologicznych, urastającym w system (zazwyczaj wewnętrznie sprzeczny, którą to własność ukrywa się albo eksponuje podług artystycznego celu).

Przed kandydatem na stwórcę stoją otworem dwie drogi. Albo przekształca jeden podstawowy parametr naturalnego świata (co najmniej jeden), czyli działa *explicite* (na przykład zmienia własności czasu lub entropii, jak powiemy). Albo też twórca milczy o tym, co i jak pozmieniał i prowadzi narrację tak, żeby świat w niej przedstawiony odchylił się od rzeczywistego, a zarazem (to bardzo ważny warunek!) — żeby nie mógł się pokryć z żadnym światem standardowej imaginacji. Repertuar tych wyimaginowanych światów obejmuje ontologię wiary, baśni, mitu oraz snu. Ze snem najtrudniej się rozstać, bo wszak potrafi naśladować „wszystko” — lecz i na to są sposoby (drobiazgowość, bo rojenia sensenne raczej takie nie są; oschła rzeczowość, bo głębiny snu pochodzą z piętrzenia się potencjałów uczuciowych, wielkie zdarzenia toczące się w bezmiarach przestrzeni i czasu, bo pole widzenia snu jest zazwyczaj wąskie itp.).

Czytelnik, nawet otrząskany z literaturą, jest stworzeniem leniwym i przez bezwładność usiłuje włożyć czytane w tę przedziałkę genologii, która zdaje się choć mniej więcej odpowiednia, więc trzeba go z tej inercjalności uporczywie wytrącać. Tylko wtedy bowiem, dzięki kolejnym wykluczeniom (to jednak ani mit, ani baśń, ani sen, ani realność!) diagnoza suwerenności świata stworzonego okaże się nieuchronna. Co prawda na taką diagnozę stać nie byle kogo — zazwyczaj konstytuuje się ona dopiero po długiej serii kontaktów światostwórczego dzieła z czytelnikami. Lecz tej kwestii, jako należącej do socjologii odbioru, tutaj nie tykam.

Jawnym zmienianiem podstawowych parametrów uniwersum nałogowo para się Science Fiction. Najlepiej widać to w jej chronomocyjnej prowincji. Jak już o tym pisałem, zmiana parametru czasu — nadająca mu odwracalność — konstytuuje nowy wszechświat, w którym okropne rzeczy spotykają logikę. Implikacja tautologiczna: „Jeśli Jan obcuje ze swą matką, to

Jan jest kazirodcą”, traci wartość prawdy, choć jest analityczna, kiedy Jan uda się w przeszłość i pocnie z obcą kobietą samego siebie. Ponieważ nie była jego matką, gdy z nią obcował, nie był kazirodcą. Jak widać, Kosmos z chronomocją dopuszcza zamknięte koła kauzalne, czyli takie skutki, co są własnymi swoimi przyczynami, a zatem uprawomocnia *creatio ex nihilo*.

Do czego może służyć konstrukcyjnie tak mocna paradoksalność? W SF jest zwykle autoteliczna: podlega wyeksponowaniu, żeby szokowała czytelników. Ponadto moc autorów usiłowało wprowadzaniem dodatkowych hipotez co do natury chronomocji zracjonalizować wynikające z niej paradoksy kauzalno–logiczne tak, żeby jednak świat z podróжами w czasie pokrył się z naszym światem, co się jednak nikomu nie udało i na pewno się nie uda.

Paradoksalność tkwi bowiem w rdzennej strukturze takiego świata i można ją najwyżej zręcznie kamuflować. Wtedy jednak niekonsekwencje narracji służą zamaskowaniu podstawowej niekonsekwencji ontycznej świata przedstawionego. Takie właśnie formalne gry uprawia SF na tym poletku. Ich sensy antropologiczne są nikłe lub żadne zgoła (gdyż oprócz zadziwienia nic przecież nie wynika z tego, że ktoś płodzi samego siebie, a jeszcze *ex nihilo*, o ile między poszczególnymi ekskursjami w czasie zdążył zmienić płeć). SF wymija pewne szansę refleksji antropologicznej na tym terenie, bo tkwią w groteskowych zastosowaniach chronomocji, SF natomiast, z właściwą sobie niedojrzałością, dąży do śmiertelnej powagi, a nie do ironii czy satyry (z rzadkimi wyjątkami). W jednej z podróży Ijona Tichego usiłowałem zaprzęgnąć chronomocję do prac złośliwych, czyniąc Tichego dyrektorem XXVII–wiecznego instytutu, który ma zhumanizować, wyporządzić etycznie i estetycznie oraz upostępowić ziemskie dzieje powszechne, odpowiednio w przeszłość skierowanymi interwencjami chronomocyjnymi. Ponieważ jednak w samym instytucie panuje bałagan, intryganctwo i nieudolność, optymalizacja doprowadza historię do wyglądu znanego dobrze z podręczników szkolnych. W nadziei, że nikt się o to na mnie nie pogniewa, dodam, że „wydajność semantyczna” mojej „chronomocyjnej historiozofii” jest w opowiadaniu dość niska. Można było, chcę powiedzieć, włożyć w narrację daleko więcej złośliwości, adresowanych do natury człowieka i do natury dziejów, niż to zrobiłem. Wspominani zaś o tym, by podkreślić, że dany we właściwej mu topologii świat kontradiktoryczny — jakim jest tutaj chronomocyjny — niczego nie przesądza swoją strukturą oprócz nieuchronności kontempirycznych i antynomialnych zderzeń. Kolizje takie zachodzić muszą, a już od pisarza zależy to, do czego je zaprzęgnie, w sferze całościowych sensów utworu.

Przed opuszczeniem tego pierwszego regionu światostwórstwa parametrycznego i eksplicytnego zarazem, godzi się rzec parę słów o twórczości Ph. Dicka, która stanowi sferę przejścia w obszar literatury „normalnej”.

Ten przypadek graniczny wymaga małego wprowadzenia. SF nie podaje chronomocyjnego uniwersum za bytowo rozłączne z naszym, a tylko utrzymuje, jakobyśmy się na razie nie umieli dobrać do technik, eksploatujących odwracalność czasu, latentną w naszym wszechświecie. Idzie o niekonsekwencję jako rozszczepienie wewnątrzgatunkowego stanowiska, gdyż z jednej strony SF głosi programową podległość racjonalizmowi i przyrodoznawczemu empiryzmowi, więc tym samym zobowiązuje się nie wykraczać z Kosmosu danego — jednakowoż z drugiej strony, ponoszona ambicjami i niedokształceniem, zaciera granicę między tym, co stanowi nie rozpoznane dotąd własności tego wszechświata, a tym, co stanowi własności, których temu światu nie można choć ze szczyptą wiarygodności przypisać.

Na mieliznach tej niekonsekwencji, która udaje, jakoby nie było różnicy między odkryciem nieznanego cech znanego świata a wyjściem z niego w jakiś totalnie zmyślony, osiada mnóstwo dzieł SF, ponieważ kanon gatunkowy żąda dostarczenia, w epilogu zwykle, „naukowych wyjaśnień” zaszytych dziwów i wtedy autorzy płaczą się w zeznaniach, bo szkoda im tak cudów irracjonalizmu, jak triumfów instrumentalizmu. Jakoś nie przychodzi im do

głowy, że należy po prostu postulować zmianę relacji „instrumentalizm — ontologia” taką, żeby powstały techniki, nadające bytowi własności, jakich wcale nie miał. Nauka nie ma na razie uprawnień ani ataku, ani obrony tego „postulatu pantokreacyjnego”, więc jest względem niego neutralna. (Wiary nie mogą być względem niego neutralne, gdyż implikuje konkurencję ze Stwórcą. Lecz dogmatyki można by tak prze—transformować, żeby w końcu postulat ten zaakceptowały, co może nastąpi, jeśli dojdzie do wdrożenia owej dziś mrzonką będącej techniki).

Nazwany dylemat SF można także przekraczać, a to wówczas, kiedy się nie powiada wyraźnie, co w bycie pochodzi z Natury, a co z Kultury (tj. jakie składniki „mieszanki bytowej” utworzyła Natura naturans, a jakie Natura transformata). Popada się wtedy w inne niekonsekwencje, co prawda o tyle mniej naganne, że ich rola konstruuja wizję staje się wtedy naczelną, więc co najmniej usprawiedliwioną. Właśnie Ph. Dick zajmuje się światostwórstwem, udaremniającym rozróżnianie pomiędzy faktami i artefaktami egzystencji. Światy jego tworzą bogate spektrum koszmarów, przy czym wspólny im jest postępujący zrost jawy z majaczeniem, fatalny przez to, że diagnozy stanu rzeczy (jawa czy zwid) zdobywają pewność pozorną — po to, by tym okrutniej runąć.

Dominantą światów Dicka jest żywioł rozkładu, niejako rozpędzona monstrialnie, ślepo buszująca entropia, przeżerająca nawet czas, przy czym w głównym ciągu dzieł Dicka każda książka stanowi inne wcielenie lawinowej agonii.

Rzecz nie ma nic wspólnego z owym sążnistym spisem końców świata, jaki namolnie powiększa Science Fiction. Nie o to idzie, że słońce wybucha, ziemia się pali, pęka, tonie, że ludzie tracą płodność, miejsce do życia, powietrze, że wybuchną wszystkie bomby itp. Idzie o to, że rozkład leży w naturze rzeczy, że się rozprzestrzenia jak zaraza, bo taki jest świat, a nie ponieważ przybyli Marsjanie pod okienko, pukają wirusy itp.

Właściwie Dick nadaje tylko działającym powoli, skrytym i dlatego w codzienności niedostrzegalnym tendencjom entropijnym świata — monumentalny rozmach, pełne groźnej (ale i poczwarnie komicznej) ekspresji przyspieszenie, wprowadzające w ową niszczącą grę, której tempo narasta zawsze w toku akcji, także narzędzia cywilizacyjne (techniki halucynogenne, telepatyczne itp.). Gdy zważyć, jak się nam już wyszczerbiła wiara w doskonałość jako dobroć instrumentalnego postępu, pomysł Dicka — takiego zrostu natury z kulturą, fundamentu z instrumentem, który nabiera gwałtowności nowotworu — pomysł ten nie wydaje się czystą fantasmagorią.

W osnowie światów Dicka mogłaby spoczywać wizja Kosmosu wprawdzie bezintencjonalnego, to znaczy nieosobowego, który swym mieszkańcom nie życzy ani dobrze, ani źle, lecz jednak stronnego, gdyż o własnościach pułapki zastawionej na rozum praktyczny — pułapki, pozwalającej ovladnąć swą materią, ale tak, że to się zawsze w końcu skrupi na pyrrusowych zwyciężcach. Chodzi o pułapkę z opóźnieniem, obsypującą zrazu Prometeuszów łaskami i dopiero na niebotycznej wysokości, gdzie nie ma odwrotu, zatraskującą ich w sobie, żeby nie wiedzieli nawet, czy klęska płynie z ich nieudolności, czy też była nieuchronna. Klęskę cywilizacyjną zwykło się utożsamiać fałszywie i wąsko z regresem do jakiejś minionej fazy dziejów, choćby jaskiniowej czy zwierzęcej, lecz koncepcja, którą mam na myśli, dotyczy rozwoju, poczwarniejącego na wysokościach, niezdolnego już nawet odwołać się do czegokolwiek naturalnego, ponieważ chodzi o pojęcie anachroniczne. Może być przecież tak, że potęga, jaką daje coraz głębsze ovladnięcie zjawiskami, jest karykaturą instrumentalnego ideału, a zarazem nie ma na tej drodze innego odwrotu niż przez szczyt, który trzeba osiągnąć nie z woli, lecz z bezwładności cywilizacyjnego ruchu. Ogólniki takiej filozofii przyrody można wypełniać rozmaicie imaginowanymi treściami. Trudno powiedzieć, czy ta właśnie wizja, trzęsawiska wiedzy, prześladuje Dicka, bo zbyt skutecznie rozpętał swoje chaosy, a jeszcze utopił je w malignie. Toteż nie wiadomo, co jest w nich płodem samo—pas puszczonych czy zrakowaciałych

technik, a co zwidem umysłu, sparanoizowanego ciśnieniem egzystencji.

Dick nie jest przewodnikiem po swoich światach, robi raczej wrażenie zbląkanego w nich, jego powieści idą nierówno, halucynacyjnymi zrywami, skażone kiczem i melodramatycznością, które obracają misteryjność w mistyfikację, a dramat w awanturę. Mimo tych kiksów zdają się przecież prawdziwe, o ile prawdziwa jest myśl, że postęp cywilizacyjny nie gwarantuje bytowego i że dziejowa relacja obu może być zmienną niezależną od człowieka. Te pełne kiksów powieści są przecież wizjonerskie, pozwalają bowiem włożyć w hasło „szok przyszłości” treść konkretnych przeżyć (oczywiście nie w sensie jakiegokolwiek prognozy, lecz tylko zdumiewającej Inności).

Naszkcicowaliśmy światostwórczą metodę Dicka, w niejednym pokrewną aleatoryzmowi, stapiającą takie kategorie, które zdrowy rozsądek każe trzymać trwale rozłączone. Światostwórstwo, wyrastające z pnia fantastyki zwanej nauką, nosi na sobie jej piętna — jako pochodne scjentyzmu oraz instrumentalizmu. Science Fiction przeszła, skrótowo mówiąc, drogę od chowu wsobnego po hybrydyzację małowartościową wskutek lichego doboru w nowych związkach egzogamicznych. Przeszła mianowicie od amatorszczyzny bajdurzących w zadufaniu inżynierów poprzez naiwne próby utopii i schematyzm kosmicznie rozdymanych mitów amerykańskiej kariery do dzisiejszego baśniopisarstwa, złożonego z anachronicznych i brutalizowanych infantylnie snów o potędze, przy czym bajania te, w rdzeniu intelektualnie jałowe, nurzane są w popłuczynach ekspresjonizmu czy innych parnasizmów, a po wierzchu inkrustowane zbiorowo wykoncypowanym pseudoscjentyficznym żargonem. Trudno tedy rzec, co lepsze — dawniejszy chów wsobny czy dzisiejsza pretensjonalność. Jakkolwiek jednak związki SF ze sferą poznania zawsze były niepewne i skażone farsowymi nieporozumieniami, przecież chciała, choć głucha, wsłuchiwać się w naukę, co w końcu zaangażowało ją w problematykę przyszłości, prawda, że kulawo, lecz jedno bodaj pojęła dobrze, to mianowicie, że współczynnik technologiczny jest już nie do usunięcia z cywilizacji jako zrosnięty z nią na śmierć i życie. Co prawda degustujące sposoby, jakimi ten fakt objawia, nie sprzyjają raczej jego uwierzytelnieniu — lecz rolę jego głosiciela przejął dziś po prostu świat, w jakim żyjemy. Jeśli (błuznię) pominąć sprawy artystyczne, ta orientacja SF pozostaje jej zdobyczą, gdyż inwazja, w kulturę, usamodzielniających się narzędzi będzie trwała, i temat literacki, wyzbyty współczynnika technopochodnego, prędzej czy później okaże się tematem czysto bajkowym.

Natomiast ów trend światostwórczy, któremu początek dał Kafka, znajdując kontynuatorów w antypowieści i pokrewnych typach kreacji, wziął niby na zawsze rozbrat z taką postawą. Wynika to nie tylko z radykalnej odmienności zainteresowań czy światopoglądów pisarzy w obu sferach, lecz i z wyjściowo przynajmniej bardzo silnej odmienności stawianego kreacji zadania. Światostwórstwo, którego Kafka był prekursorem, buduje autonomiczną rzeczywistość jako niezbędną przesłankę wypowiedzi. Nie jest świat tej fikcji tożsamy z rzeczywistością nawet w szczątkowych pretensjach, nie jest też czysto mentalny w substancji swojej niczym sen bądź majaczenie i właściwie jego ontyczny status można określić uciekając się tylko do nomenklatury informatycznej: idzie o sporządzenie takiej wersji bytu, która w całości będzie stanowiła aparat sygnalizacyjny, nastrojony na określone przesłanie — aparat dlatego konieczny, gdyż żadnym innym, mniej suwerennym bytowo środkiem, przesłania zakomunikować się nie da. Jest to więc świat znaczący, lecz niekoniecznie w sposób alegoryczny, albowiem nad światem alegorii rozpościera się niczym niebo nad ziemią układ jej zaadresowań w realności; w przypadku idealnym alegoria posiada klucz tak dokładnie działający jak klucz do szyfru i stosując go, można przyporządkować wszystkim istotnym elementom jej fikcji — odpowiednie rzeczy, zjawiska czy kategorie. Otóż sama zasada owej rozdzielności (ziemi — utworu alegorycznego i nieba — konstelacji jego adresów) uległa dzięki Kafce unieważnieniu. Czasem powiada się, że ten tryb światostwórstwa umożliwia konstruowanie sytuacji modelowych, że jest z tym trochę jak z

eksperymentem, któremu wyjątkowe warunki całkowitej izolacji, swoista sztuczność podłoża, a też warunków brzegowych i granicznych są nieodzowne. Można też powiadać, że chodzi o świat stworzony na jedną okazję po to i tylko po to, aby coś w nim zaszło takiego, że owo zajście, razem z tym światem, będzie pełniło funkcję komunikatu. Jednakże można też utrzymywać, że autonomia tej kreacji posunięta jest jeszcze dalej i nie jakowyś komunikat— świat mamy przed sobą, lecz po prostu fikcyjną rzeczywistość w stanie kulminacyjnej suwerenności. Powtarzam tę ostatnią wersję lojalnie, chociaż się z nią nie godzę w przeświadczeniu, że suwerenność prawdziwie doskonała, jeśli osiągalna, musi się równać całkowitej niezrozumiałości, która sens przedsięwzięcia przekreśla.

Gdy już jako tako wiemy, o co w tej ewolucyjnej linii pisarstwa chodzi, spytajmy o to, jak się w niej działa. Właściwie pisałem już o tym w eseju, przedstawiającym krytycznie T. Todorova teorię fantastyczności i nie chciałbym orzeczonego tam powtarzać. Więc tylko dla porządku i całkiem zwięźle: pragmatyka tej kreacji musi mieć dwie rzeczy na oku jednocześnie. Należy upewnić czytelnika w tym, że świat przedstawiony nie jest fragmentem znanego mu realnego świata i w tym celu trzeba sukcesywnie udaremniać mu orientację, inercjalnie ciężącą oczywiście ku takiemu ujednoznaczeniu czytanego, którą zwiemy swojskością miejsca i czasu. Równocześnie środki, wytrącające z wygody rozpoznania tej swojskości czytelnika, nie mogą go kompletnie ogłuszyć i zatumanić do tego stopnia, żeby po prostu stracił kontenans i zniechęcony albo odłożył książkę, albo powodowany snobizmem ślepo zawierzył ekspertom, poręczającym wagę i świetność dzieła. Tekst działa więc tak, że dostarcza wyznaczników kierujących odbiorcę w różne, a niewspółwykonalne strony n a r a z . Można prześledzić tę robotę np. na Przemianie. Rzecz zaczyna się niczym realistyczna narracja środowiskowa, aż tu bohater, Samsa, zmienia się w robaka; gdyby szło o konwencję baśniową lub fantastyczno—naukową, można antycypować reakcje bliskich przeobrażonego — powinni wszak osłupieć, zdjąć grozę, szukać pomocy (w bajce — u czarodzieja, w SF — u naukowców), lecz nic z tego — jak widzimy, za jedną „niekonsekwencją” (przemianą w robaka) podąża następna — jako „niewłaściwe” zachowanie otoczenia. Tekst musi, co warto podkreślić, aktywizować swą autonomię na dwa fronty: względem naiwnego realizmu, tej opoki wszelkiej codzienności, i względem czekających w gotowości wzorców kulturowych mitu, baśni, legendy religijnej itp.

W utworze, któremu intencja światostwórcza jest obca, rola niekonsekwencji przedstawia się zupełnie inaczej nawet wówczas, kiedy są dla niego konstytutywne. Przykładem może być dość błaha nowelka E. A. Poeego Okulary, w której młodzieniec krótkowzroczny, lecz przez ambicję nie noszący szkieł, od pierwszego zamazanego spojrzenia zakochuje się w damie ujranej na sali teatralnej i ze wszelkich sił dąży do ożenku, po którym od jej nalegań nakłada okulary. Okazuje się, że jest to jego przybyła z Francji praprababka, że osoby z towarzystwa, co pomagały w ożenku, urządziły tylko komedię pozorów, a te, które nic nie wiedziały, preadresowały—wały zachwyty młodzieńca do towarzyszek starej damy, jej uroczej krewnej. Opowieść roi się od niekonsekwencji: skoro tak fatalnie widział, to czym właściwie zauroczyła go obca kobieta, i to jeszcze przez całą szerokość sali teatralnej; jeśli dobrze mógł się napawać jej wizerunkiem z wręczanej miniatury, to czemu z tejże nikłej odległości nie rozpoznał

92

należycie twarzy wiekowej kochanki w tete a tete; jeśli taki zakochany, to jakże mógł, ledwie włożywszy szkła, wykrzykiwać „ty stara wiedźmo!” itp. Lecz te sprzeczności fizjologiczne, psychologiczne i sytuacyjne były naturalnie konieczne, gdyż bez nich nie powstałoby całe *qui pro quo*. Narracja potyka się na nich, lecz ważniejsza będzie uwaga, że gdyby potrafiła wyminąć je i na j z ręcznie j, zawsze w końcu iść będzie o zasłonięcie ich i tym samym uniewidzialnienie. Lecz niekonsekwencje utworu, jak Przemiana, są innego rodzaju: utwór Poeego zdobywa pewną sprawność mimo swych sprzeczności; utwór Kafki



powstaje dzięki nim. Pierwsze więc są to istotnie „niekonsekwencje pozorne”, domagające się od czytelników taryfy ulgowej, przymrużenia oka; drugie żadnych sprawdzeń się nie boją i co więcej muszą zostać dobrze rozpoznane, bo temu, kto ich nie dostrzeże, Przemiana nie powie tego, co miała powiedzieć. Odpowiednik światostwórstwa realizowanego sprzecznościami postrzegania znajdujemy w dziedzinie złudzeń optycznych. Jeśli wnętrze eksperymentalnego pokoju ukształtuje się z takim rozmysłem, żeby oko nie mogło uspołnić jednoznacznie postrzeganego, obserwator ulega szczególnej chwiejności. Pokój taki może mieć ściany, okna i drzwi ukształtowane tak, by się sprzeczały z prawami perspektywy optycznej. Pokój jest mocno trapezowaty, lecz prezentuje się patrzącemu od wejścia jako kwadratowy. (Ponieważ obiekty bliższe względem obserwatora czyni się nadmiernie małymi, a odleglejsze umyślnie się powiększa, przez co dostarczają oku mylących danych o swych rzeczywistych proporcjach). Obserwator patrząc na dwu ludzi, stojących w przeciwległych kątach takiego pokoju, odnosi wrażenie, że jeden z nich jest olbrzymem, a drugi karzełkiem. Jeśli natomiast doskonale zna te osoby i tym samym wie, że są normalnego wzrostu, odruchowo dokonuje poprawki ich rozmiarów, a wtedy niepokojącym zmianom podlega całe widziane wnętrze. Krzywo zwisa sufit, wykoślawione są futryny okien, drzwi — aż ustabilizowanie obrazu staje się niemożliwe. Patrzący oscyluje między wersją olbrzyma i karzełka w pokoju zwyczajnym a wersją dwu normalnych ludzi w pokoju niewiarygodnym. Wypadkową jest poczucie zmiany praw, jakim podlegać zwykło widziane — jak gdyby nie mogło stanowić fragmentu zwyczajnego świata.

Budowanie tekstów, udających zupełną autonomię względem rzeczywistości, także zasada się na porażeniu standardów naszej recepcji — tyle że semantycznych, a nie optycznych.

Kontradyktoryczność tekstu jest wszakże własnością stopniowalną w sposób ciągły. Może się zatem nasilać w kolejnych dziełach tego samego autora. Pod tym względem późniejsze utwory T. Parnickiego wykazują narastający gradient usprzecznień, ich swoistą eskalację.

Pod względem „wytrzymałości odbiorczej” na dawkę aplikowanych kontradycji czytelnicy mocno się między sobą różnią. Dlatego ci sami krytycy, którzy wyrażali uznanie wcześniejszym powieściom Parnickiego, odmawiali go czasem jego dziełom późnym — choć jego kreacyjna metoda nie zmieniła się w sposób zasadniczy, a tylko uległa amplifikacji.

Trzeba też dodać, że zachodzi obiegowo nie uwzględniana różnica pomiędzy absurdem a nonsensem. Absurd to wyrażenie sprzeczne, lecz sensowne (Maria jest bezdzietną matką), skoro można zrozumieć, o co w nim idzie, jakkolwiek idzie o niemożliwość. Nonsens to wyrażenie nieskładne jako niespójne i nieuspójnialne — czyli niezrozumiałe. Można rzec „credo quia absurdum est”, gdyż można uwierzyć w cudowne współzajście sprzeczności (niecudownie zachodzą w podróży po czasie). Nie można jednak uwierzyć w nonsens, czyli w nie wiadomo co.

Otóż dla zdań prostych i ich niewielkich koniunkcji rozróżnianie pomiędzy absurdem i nonsensem jest łatwe, natomiast wobec utworów będących pod względem logicznym bardzo długimi koniunkcjami zdań, rozróżnianie takie może się okazać niewykonalne. W każdym razie Kafka, który stał u początków tego kierunku beletrystyki, nie usprzeczniał silnie samego tekstu, lecz raczej współprawniał kolidujące wykładnie wielkofragmentowych znaczeń. Droga od Kafki do Parnickiego to stopniowe przechodzenie od labiryntu kołowego do labiryntu splątanego.

### III

Z kolei powiemy kilka słów o typologii niekonsekwencji tekstowych, które najchętniej nazwalibyśmy sprzecznościami konstruującymi. Wiemy już, że oprócz konstruujących, używa pisarz kamuflowanych, czyli takich, które winny — jak w *Okularach* Poego — ujść uwadze czytelnika, bo jeśli jej nie ujdą, mogą ulec przekwalifikowaniu w niekonsekwencje burzące, czyli zwykłe przejawy narracyjnej nieudolności. Literatura tradycyjna знаła tylko te drugie i o nich tylko mówił Goethe (cytowany przez Zgorzelskiego w 6 numerze „Tekstów”), ponieważ niemiecki Olimpijczyk pragnął je przede wszystkim usprawiedliwić, podczas kiedy nowożytne pisarstwo awansowało sprzeczności pozorne do stanowiska głównych dźwigarów światostwórczej kreacji.

Użyteczne pisarstwo niekonsekwencje mogą być rozmaitej mocy. Najsilniejsze są sprzecznościami w rozumieniu logiki bądź semantyki logicznej. Słabsze powstają od ekwiwokacji. Najśłabsze wreszcie są kulturowej, więc pozallogicznej natury. Przedstawimy je kolejno, jakkolwiek pokrótce.

Semantyczne sprzeczności znajdujemy często w dogmatyce wiar religijnych. W buddyźmie Zeń np. figury paradoksalnych kontrydktorycznie sylogizmów, dających zwięzłe jak porzekadła absurdy, pełnią daleko ważniejszą rolę aniżeli sprzeczności w chrystianizmie — jakkolwiek ze stanowiska logicznego i w nim ich nie brak, bo np. jest sprzecznością powiadać, że trzy osoby są jedną osobą.

Struktura utartego (dzięki religii na przykład) paradoksu może posłużyć za kreacyjną matrycę, podobnie jak struktura absurdalnego, dziecinnego wierszyka, ponieważ obie mamy nieścieralnie odcisnięte w pamięci, przez co ich nawet niewyraźnie echowa ewokacja stwarza osobliwe współbrzmienia emocjonalne (Miłosz mówił o tym w kontekście o „magiczności” spływającej na każdy tekst, włożony w kształt dziecinnego wierszyka). Nie wchodzimy dokładnie w podobne uszczegółowienia, nie zajmujemy się bowiem strategią kreacji, a tylko niektórymi jej instrumentami. Niemniej wydaje się nieodzowna uwaga, że pisarze nie posługują się narzędziem kontrydktacji świadomie, niejako poszukując sensowych zderzeń tekstu, jego wewnętrznych kolizji i zmierzając ku nim z zaplanowaną perfidią. Pisarz nie może zastosować taktyki antynomizacyjnej z podobnym wyrachowaniem, z jakim mógłby jej użyć dowódca w bitwie, ponieważ ten ostatni potrafi obmyślać mamiące fortele, mając na oku szyki zgrupowanych wojsk, podczas kiedy pisarzowi te szyki powstają dopiero pod piórem, rosnąc i zdobywając bezwładność bądź autonomię podług tego czy mu źle, czy dobrze poszło.

Jednym słowem, poziom kreacji nie jest poziomem pełnej racjonalizacji, teoria zaś pozwala wykrywać zasadę zorganizowania dzieła w retrospekcjach, lecz niczym nie wspiera tych, co mają jeszcze przed sobą pusty papier.

Sprzeczności logiczne, najmocniejsze z możliwych, omówiliśmy już na przykładzie „chronomocyjnej” Science Fiction. Ich rola konstruująca jest peryferyjna — łatwiej odnaleźć je w dowcipach, paradoksach, aforyzmach, więc w formach małych, aniżeli w typowej narracji beletrystycznej. Bierze się to stąd, że są właśnie „bardzo mocne” i dlatego skupiając na sobie uwagę, kiepsko nadają się do pełnienia służb, podległych innym (tj. nieparadoksalnym wprost) celom.

Narracja może też wykorzystywać inne rodzaje sprzeczności, słabsze zarówno od logicznych, jak semantycznych, któreśmy dotąd wymienili.

Mogą to być sprzeczności poetyk literackich, wykluczające się w sensie kulturowym, tak jak ucałowanie kogoś z dubeltówki wyklucza równoczesne kopnięcie całowanego w kostkę. Gdyby jednak dojść miało do podobnego ekscesu, jego nieumiejęscowialność w gotowej przedziałce obyczajowych zachowań uczyni go — przez tę nielokalizowalność właśnie — osobnym znakiem, którego sens będzie w utworze niepospolity (sławetne ugryzienie ucha przez Swidrygajłowa jest z tej parafii). Sprzeczności kulturowe to po prostu zachowania lub

modalności wypowiedzi niewspółwzględne, ponieważ „nie do przyjęcia”. Jeśli poetyka opisu jest liryczna, to nie jest skatologiczna; jeśli pokazuje cnotę, to nie sposobem zohydzającym, itp.

Są to oczywiście sprzeczności pozalogiczne, wywołane odpowiednimi zakazami w życiu i normatywizacjami w literaturze. Źródło ich stanowi hierarchia wartości i tabuistycznych norm społecznych oraz skryzalizowany historycznie układ kreacyjnej paradygmatyki. Lecz znamy już modalnościowy „incest” w beletrystyce, który szokuje i właśnie tym zwraca na siebie uwagę. Dlatego robi wrażenie podniosła wulgarność jako styl patetycznego hymnu w pornograficznym opisie (por. książki Henry’ego Millera) lub dorabianie najwstrętniejszym, po koprofagii, zboczeniom — wysokich, programowo filozoficznych uzasadnień, jako kategorię imperatywu perwersji zbrodniczej (u de Sade’a).

Układa się więc nam taka hierarchia typów: sprzeczności najsilniejsze — logiczne — są narzędziem kreacji specjalistycznym, konstytuującym absurdalność (która może być upozowana na paradoks jako żart, bądź też na „powagę” jako „uzasadniona naukowo” chronomocja w SF). Semantyczne służą pisarstwu na rozległym froncie, stwarzają bowiem labirynt znaczeń, których przemierzanie przynosić może swoistą aurę Tajemnicy. Ze względu na to użycie ich dostarcza nowożytnego odpowiednika mitu, ponieważ mit jest grą wyzbytą strategii wygrywającej w tym samym sensie, w jakim nie może być takiej strategii dla pana K. w *Procesie*. Tu i tam toczy się pościgowa gra partnerów, nierównych siłami i wiedzą — jeden jest zawsze niedocieczony niczym Bóg Augustiański, drugi — zawsze wydany na łup tajemniczych intencji pierwszego. Konstruuje „mimikrę mitu” rola sprzeczności w tym, że wprowadza ona czytelnika, w ślad za figurami akcji, w nieprzekraczalny *circulus vitiosus*.

I wreszcie najsłabsze sprzeczności narracyjne jako amalgamaty dotąd odpychających się poetyk są dziś polem szczególnie intensywnej eksploatacji.

Z przełamywania barier między nie skrzyżowanymi dotąd poetykami zrodziły się już nowe konwencje. Strategia takiej antynomizacji jest silnie agresywna, ponieważ ten, kto działa w tym porządku, musi szukać nowych ofiar w poetykach jeszcze nie dogwałconych, skoro efekt każdego „znieprawienia” jako „kazirodztwa” prędko wietrzeje, toteż nadaje niejaki rozgłos tylko dziełom prekursorskim. Stąd dyrektywą tej twórczości jest „dopaść to, czego nikt jeszcze dopaść nie zdażył”.

A ponieważ najwolniej ulatnia się szokorodny efekt zderzenia poetyk najodleglejszych wzajemnie w przestrzeni estetyczno—kulturowej, działanie to podlega prawom eskalacji i współzachodzącej inflacji znaczeń, a tym samym — wartości, które coraz jawniej stają się paradoksalne, powstają bowiem z niszczenia wartości innych — tradycyjnych mianowicie.

Zachodząca intensyfikacja takich poczynań, jako poszukiwanie czystości jeszcze nie zdeflorowanej, pochłonęła już na naszych oczach i niewinne bajeczki dla dzieci, bo je po—przerabiano na pornografię.

Jako pozycję szczytową wymienilibym na tym polu *Histoire d’O* Pauliny Reage, swoiste pendant do dzieł de Sade’a, ale i coś więcej ponad połówkę masochistyczną, przystawioną do sadystycznej — jaką stanowi dzieło osławionego markiza. Jest to bowiem historia wielkiej miłości, potęgowanej wielkością upodleń, doznawanych od ukochanego. Te z postaci de Sade’a, co uległy konwersji na wiarę libertyńską, niczym niewinne dziewczę z Filozofii w buduarze, oddając się wyuzdaniu ze skwapliwością właściwą neofitom, jednocześnie zatracają wszelką uczuciowość wyższą. Natomiast bohaterka Pauliny Reage tym mocniej kocha (nie — pożąda), im haniebniej prostytuuje ją kochanek. Nie ma granicy poniżeniu; nakazane bohaterce i spełniane przez nią akty, jak rozwarcie ud nawet w czasie snu, będące symbolem totalnej uległości płciowej, czynią z niej własność, rozkochaną w poniewierającym właścicielu. Notabene niezbyt wiele jest w powieści obscenów, a konieczne dla przewodu są raczej omawiane niż opisywane. Utwór istotnie uwierzytelnia możliwość wzejścia uczuć,

zwanych wyższymi, z tego, co mamy za ostatnie poniżenie. Jest on zresztą antywerystyczny w nader banalny sposób. Dziewczyna, maltretowana tak bezustannie jak „O”, nie mogłaby — okryta ranami i bliznami — stanowić atrakcyjnego obiektu dla lorda Stephena, wykwintego dandysa, który zboczone kopulacje poprzedza estetyczną kontemplacją (w czym także, notabene, przejawia się wymyślna dysonansowość poetyk). Gdyby nie ów nieustanny cud, dzięki któremu bohaterka przechodzi cało przez udreki niczym fakir przez płomień, powieść obsunęłaby się z atmosfery buduarowej w obozową, aby ukazać prawdziwy, niestety, koszmar izby przyjęć jakiegoś doktora Mengele. Feniksowa natura bohaterki jest niemożliwością potrzebną, idzie bowiem o psychiczny efekt zadawanych udreń, a nie o ich skutki fizjologiczne, które naruszyłyby subtelność gry psychologicznej. Autorka nie chce bowiem zrezygnować z estetyczności, na odwrót, kanon estetyczny ma okazać taką rozciągłość, żeby fornikacje z ich duchowym okolem uległy wyeksponowaniu jak klejnoty na atłasie. Idzie więc też o zamysł kompozycyjny, gdyż dystans wzajemny poetyk — lirycznej i sodomicznej — wzbogaca utwór kontrastującymi tonacjami. De Sade był niekonsekwentny inaczej, nierozmyślnie, pozaestetycznie, jego skatologiczną narrację wyradzającą się w rzeczowo oschle wyliczanie kto, jak, którzy, z kim, wiele razy, przerywają uczone oracje zdyszanych koprofałów, uzasadniających teoretycznie to, co zrobili i co zaraz jeszcze zrobią bez oglądania się na prawdopodobieństwo sytuacyjne i nie zamierzony komiczny efekt popisów retorycznych nad kloaką. Estetyczność pełni u de Sade’a funkcję przyprawy, piękno jest po to, żeby zbrodnia czuła się należycie uhonorowana, estetyczność jest do rozszarpania, tak jak wszystkie inne akcesoria orgii, zresztą de Sade był beztalenciem i ekspresję zawdzięczał furii zboczenia, a nie artyzmowi. Właśnie dlatego Historia O jest bardziej gorsząca. Zresztą stanowi wyjątek z reguły, albowiem stręczenie do promiskuityzmu niepokalanych tradycyjnie poetyk dostarcza zazwyczaj szoku jako namiastki wartości.

## IV

Czym są konstruuujące niekonsekwencje literatury? To wartości poświęcane w imię jakichś wartości innych. Ponieważ aksjometyka porównawcza jest tylko mrzonką paru fanatyków optymizmu poznawczego, opłacalności takich poświęceń nie można zmierzyć. Jakiśmy widzieli, najpłodniejszymi kreacyjnie niekonsekwencjami są skierowane na światostwórstwo. Zarazem jednak trudno znaleźć prace teoretyczne, poświęcone ich osobliwościom czynnościowym, jak sądzę dlatego, ponieważ literaturoznawstwo działa obecnie pod urokiem nauk ścisłych, którym pragnęłoby dorównać w precyzji badawczej i w zwierchnym paradygmacie, programowo bezaksjologicznym. Oprócz słów potępienia i zgrozy nie można się niczego innego spodziewać od dyscyplin przyrodniczych na temat antynomii i sprzeczności. Dlatego ich płodna artystycznie otchłań jest i przez literaturoznawców omijana. Tych kilka stron nie równało się jej zgłębieniu — pragnąłbym raczej, aby zostały zrozumiane jako zachęta do porządniej niż moja zorganizowanych ekspedycji.

*Przedruk z: „Teksty” nr 6 1974*

## CZĘŚĆ DRUGA

## O DOSTOJEWSKIM NIEPOWSCIAĞLIWIE

Przeczytałem tę książkę dwa razy\*. Za pierwszym pochłonałem ją. Za drugim przestudiowałem powoli. Między obiema lekturami sięgnąłem, by tu rzec, do przeciwległego bieguna — przeczytałem artykuł Tomasza Manna, jedyny, jaki napisał on o Dostojewskim.

Książka jest świetna. Mackiewicz ma tę wyższość nad Mannem, że nie tylko zna epokę, ale czuje ją. Relacjonuje fakty jak ktoś, czyje dzieciństwo upłynęło w aurze dziewiętnastowiecznego caratu. Nadaje to jego narracji piętno bliskości opisywanych wydarzeń. Co chwila jakiś pozornie drobny szczegół ukazuje ciężką, groźną i śmieszna zarazem, do niczego na świecie niepodobną architekturę ludzkich stosunków starej Rosji.

Ta wyższość i siła Mackiewicza staje się niekiedy jego słabością. Gdyby Dostojewski tylko wchłonał ową duszną i zawiłą atmosferę caratu, gdyby stężył ją w sobie do ostatnich granic i dał jej rządzić swoim piórem, nad dziełami jego zawisłaby groźba niezrozumiałości dla obcych. W miarę oddalania się od owych czasów książki jego blakłyby, stając się tylko jakimś panopticum groteskowych czy strasznych postaci i zdarzeń, obcych współczesnemu odczuwaniu. Istnieją pisarze tak nasiąkli aurą kraju, który ich wydał, że poza jego granicami tracą czytelników. Dostojewski, pozostając pisarzem rosyjskim do szpiku kości, przenika swobodnie wszystkie granice i czasy. I tu, paradoksalnie, mimo całą odległość kulturowa, bliższy jego zrozumienia staje się Mann, którego specjalnością, jeśli wolno się tak wyrazić, był wielki dystans.

Namiętne kopanie się Mackiewicza w szczegółach, jego tropicielski talent odnajdywania życiowych śladów Dostojewskiego, pasja tworzenia hipotez o pierwowzorach bohaterów powieściowych wielkiego Rosjanina, nieraz tak śmiała, że pochopna, cała ta skrzętna metodyka jego roboty biograficznej, nie cofająca się przed beletryzacją, niezawodna w ukazywaniu splątanej, rozległej dżungli korzeni, które żywiły twórczość tytana prozy rosyjskiej, nie zawsze dociera do szczytów jego pisarstwa.

Aby dać przykład: w tej książce, tak kochającej się w soczystym obrazie, w szczególności nie znajdziemy uwagi o jednym z najosobliwszych utworów Dostojewskiego, rzeczy stosunkowo niewielkiej, stojącej jak gdyby nieco na osobności, a przecież nad wszelką wątpliwość wybitnej — choćby przez swą niezwykłą ryzykowność. Mam na myśli *Wspomnienia człowieka z lochu*. W samej rzeczy Mackiewicz zlekceważył po prostu ten utwór, może dlatego, ponieważ jest on właśnie mało „rosyjski”, a może dlatego, że jego najbardziej ważką część pierwszą, stojącą na pograniczu filozoficzno-maniackiej eseistyki raczej niż wśród obszarów dramatu, stanowią „nagie”, pozbawione bohaterów ludzkich wywody małego, zdeptanego przez życie człowieczka, wypowiadającego przeraźliwe prawdy, którymi po dziś dzień żywi się cała „czarna” literatura świata. Ona jest zawarta w tej małej książeczce, jak drzewo zawiera się w drobnym nasionku. W tej zacieklej, obolałej, z jakąś masochistyczną pasją prowadzonej polemice z wszelkim optymizmem społecznym, z meliorystami każdej maści, używa Dostojewski argumentów, które nie zwietrzały po dziś dzień, przetrwały upadek caratu, odejście w niepamięć całej epoki historycznej, gdyż zostały wizjo—nersko wycelowane w ów spór ludzki, który, przybierając rozmaite maski w różnych czasach, nigdy nie traci na aktualności, a dziś, w obliczu rozszerzającego się rozziwu między osiągnięciami nauki a wielkim do nich nieprzygotowaniem ludzkości, jest, jak może nigdy jeszcze, aktualny.

I to dziełko Mackiewicza przemilcza. Zagadkę tego przemilczenia wyjaśnia chyba to, co nazwałem jego słabością. Wielką, choć subiektywizmem nacechowaną wiedzą o duchu, miejscu i czasie Mackiewicz przykuł niejako „swego” Dostojewskiego do ziemi rosyjskiej. Nadto — a może skutek tego — w sposób chwilami uproszczony potraktował kapitalny

---

\* S. Mackiewicz: *Dostojewski*, Warszawa 1957

problem „surowców”, z których korzystał pisarz, a to przy ukazaniu całej galerii rzeczywistych ludzi — prototypów postaci powieściowych. Nie chodzi tu bynajmniej o spór, czy i które z takich hipotez genetycznych są słuszne. Nawet jeśli nie trafiają w sedno, to zawsze wzbogacają naszą wiedzę o tych pełnych sprzeczności ciemnościach, w których żył i działał Dostojewski. Są one cenne jako anegdoty, jako przyczynki biograficzne, jako podpory historiozoficznych koncepcji autora i o jedno tylko należy się i warto przy badaniu ich sprzeczać, a mianowicie o rolę, jaką „prototypy postaci” odgrywały w inspirowaniu twórczości Dostojewskiego. Aby wypowiedzieć podstawowy zarzut wobec książki Mackiewicza, muszę go wyolbrzymić ponad miarę, a wtedy będzie brzmiał tak: Mackiewicz zanadto zbliżył się do olbrzyma rosyjskiego, nazbyt dokładnie poznał, odkrywał, dotykał w dokumentach powierzchni każdej niemal godziny jego życia, a przez to rozciąga się przed nami ów nieskończony szereg klęsk, szalonych postępów, wstydów sromotnych, erotycznych upokorzeń, śmieszności napawających rozpaczą, które składały się na miesiące i lata genialnego twórcy. Sam jego geniusz natomiast jest nie tyle pokazywany, co nazywany i przez to zdaje się właściwie unosić gdzieś poza książką, która czyni do niego tylko aluzje, gęsto przetykane właśnie hipotezami genetycznymi.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie twierdzę, że zadanie, którego podjął się Mackiewicz, mógłby skuteczniej pokonać ktoś inny. Wydaje mi się raczej, że byłoby to przedsięwzięcie daremne. Nic wszakże nie może być rozsądniejszego, jeśli rzecz dotyczy geniusza, to jest człowieka absolutnie niepowtarzalnego, od założonego na wstępie pracy badawczej umiaru, powściągliwości, uświadomienia, że stoimy przed zjawiskiem, którego do końca, w pełni, całkowicie pojąć, ogarnąć, zrozumieć, sekcjonować w przekonaniu, że to jest droga do wnętrza jego tajemnicy — niepodobna. Brak takiej przezorności grozi jeśli nie klęską, to przeinaczającym, skrzywiającym proporcje ześlizgiem w gąszczu spraw drobnych, w dociekliwość poszukującą wreszcie źródeł procesów twórczych w popędach, ciemnych instynktach, przywarach, jeśli nie w kruchtach i alkowach. Niebezpieczeństwo takiego ześlizgu czyha na najlepszych. Coś podobnego zagrażało Boyowi, gdyż tak samo nie można sprowadzić postaci Mickiewicza do jego stosunku do Towiańskiego, do żony, do Ksawery Deybel, jak nie wolno zakładać, że poznanie wszystkich ludzi i zdarzeń z życia Dostojewskiego zawiedzie nas wprost do źródła, z którego tryskały jego powieści. Nie znaczy to, oczywiście, że istnieje, poza zdarzeniami materialnymi, jakiś niedotykalny „duch geniusza”, a tylko to, co prosto, choć nieszczęśliwie można by nazwać „niesprowadzalnością funkcjonowania geniusza” do takich wydarzeń. Głosiłbym zatem nie agnostycyzm, lecz raczej pewien sceptycyzm umiarkowany: ma się rozumieć, że cały faktograficzny materiał książki Mackiewicza jest niezmiernie cenny (nie mówiąc już o rozkoszy, jaką daje taka lektura), stwierdzenie wszakże, które wypadki, sprawy drobne czy małe, które osoby wywarły określony wpływ na Dostojewskiego, co się tyczy nie kolei jego życia, ale twórczej motywacji jego pisarstwa — takie stwierdzenia bywają nad wszelki wyraz ryzykowne.

Pajaki, o których w *Zbrodni i karze* mówi Swidrygajłow w swej wstrząsającej improwizacji na temat „tamtego świata”, wywodzi Mackiewicz wprost z owadziej fauny okolic zesłania Dostojewskiego. Cóż można o tym powiedzieć? Takie konstatacje ex post są tym niebezpieczniejsze, że dość łatwe. Mając bogate relacje o życiu twórcy oraz jego dzieło, można szperaczymi sposobami próbować podobnego przyporządkowywania i pasowania realiów. Ta robota badawcza, nie mogąca siłą rzeczy uwzględnić potężnie aktywnej roli umysłu twórcy, jego bezwzględnie — w danym okresie czasu, podczas pracy nad danym dziełem — „wąsko” (tj. ad usum operis) wybiórczej pracy umysłowej — zagraża popadnięciem w scholastykę i spekulację.

Cóż, w końcu, zależy od tego, czy uznamy całą rodzinę Karamazowych za „rozszczepioną na osoby i głosy” postać samego Dostojewskiego, czy już raczej zdecydujemy, że Dostojewski — to tylko trzech bracia Karamazow, rozpustnik, święty i ateista, stary natomiast



Karamazow i epileptyk Smierdiakom już projekcji osobowości Dostojewskiego nie stanowią? Jest to problem i nierozstrzygalny i, ważniejsza, pozorny, całkiem jałowy.

Rozważania takie, przy całym ich niepospolitym uroku, stwarzają niebezpieczną iluzję, że kiedy uda się nam ukazać i wykryć pierwowzory postaci, będziemy tym samym mogli zajrzeć do wnętrza niesamowitego tygła, w którym się narodziły. Otóż nic bardziej fałszywego.

Aby znów użyć przykładu: prototypem starego Karamazowa ma być ojciec Dostojewskiego. Możliwe, że to prawda. Cała rzecz nie kończy się jednak z takim stwierdzeniem, lecz na dobrą sprawę dopiero rozpoczyna. Jak należy rozumieć przemianę rzeczywistego człowieka w postać powieściową? Mackiewicz zdaje się przypuszczać, że kiedy Dostojewski wystawiał ojcu w listach jak najlepsze świadectwo, kierował się zrozumiałym przywiązaniem, ale siadając do pisania, odrzucał wszelką hipokryzję, choćby i dyktowaną najszlachetniejszymi uczuciami. A przecież Dostojewski mógł stworzyć w powieści podobiznę ojca jako „lubieżnego i sentymentalnego” starca nie zdając sobie z tego sprawy. Mógł też, w trakcie konstruowania postaci, doznać zniechęcającego olśnienia, rozpoznając w tym powstającym pod jego piórem, rozpustnym potworze — ojca. Takie hipotezy też są zresztą dość prymitywne, bo nie uwzględniają w dostatecznym stopniu owego specyficznego stanu tworzącego umysłu, dla którego wszystko, co zawiera pamięć, wszelkie wspomnienia najstraszniejsze czy najświętsze zostają sprowadzone do swoistego „surowca”, bezwzględnie podporządkowane wewnętrznej architekturze dzieła i pełnią wobec niej rolę elementów służebnych.

Pewien niepokój wzbudziło we mnie sformułowanie Mackiewicza, powiadające, że uznanie *Fomy ze Wsi Stiepanczikowo* za Bielińskiego stanowi rozwiązanie zagadki tego utworu. Nie chodzi tu już przecież o prototyp postaci, lecz o problem natury jeszcze bardziej ogólnej, mianowicie o pierwszy impuls wyboru tematycznego, o motywację twórczą. Jakoś ciężko zgodzić mi się z koncepcją, żeby wielki pisarz zasiadł do dzieła z myślą wzięcia odwetu na zniechęconym człowieku. I nie o to chodzi, żeby motywacja twórczości bić musiała jedynie z „czystych moralnie” źródeł. Nic podobnego. Rzecz w tym, że Foma przedstawia przykład bezzasadnego, alogicznego dominowania jednostki nad grupą ludzi i właściwie tylko to może w jakiejś mierze przypominać stosunek Bielińskiego do umysłowego środowiska, w którym się ten krytyk obracał, analogia ta jest wszakże tak odległa, że znowu nie do sprawdzenia. Zasadniczo pisarz niechętnie „bierze z życia gotowego człowieka”, bo nacisk znajomej mu, żywej osobowości może wywrzeć destrukcyjny wpływ na jego zamysł, gotów rozsądzić zamierzoną konstrukcję. Normalny tryb sprowadza się do bezlitosnego rozkładania na czynniki, trawienia, analitycznego przyswajania cech osobowości, tak przyjaciół jak wrogów, jednakowo obcych czy najbliższych; z powstającego w tym procesie „surowca” poprzez wtórną niejako reinkarnację w głębi umysłu twórcy, poprzez zadziwiające nieraz tworzenie hybryd, zgeśtków cech bądź ich rozrzedzeń, wyanieleń bądź „udiableń”, powstają bohaterowie utworu. Właśnie ową kombinatoryczną pracę konstruktorską można wspaniale obserwować u Dostojewskiego na materiale tych postaci kobiecych, które są „wariacjami na temat” jego pierwszej żony, jak to wyraźnie ukazuje Mackiewicz. Zbliżając się w tym miejscu do prawdy twórczych metod Dostojewskiego, zdaje się Mackiewicz od niej oddalać, kiedy mówi, że osobliwością Dostojewskiego było czynić z jednej żywej osoby kilka postaci powieściowych. Nie był to bynajmniej jego przywilej ani wynalazek, bo tak postępuje właściwie każdy „liczący się” pisarz, a zresztą, gdy zachodziła potrzeba, miał się sposobu odwrotnego — scalania fragmentów różnych osobowości w kreowanego bohatera.

Jeżeli mówić już o jakiejś „metodzie Dostojewskiego”, to wyróżniać ją zdają się takie cechy: pisarz unika, jak może, uczynienia z wprowadzającej charakterystyki bohatera czegoś w rodzaju „ostatecznej, nadrzędnej formuły charakterologicznej”, tak że kiedy mówi nawet od siebie, stroni za wszelką cenę od postawy typowej dla dziewiętnastowiecznej prozy „wszechwiedzy autorskiej”, zastępując ją podawaniem mnogich relacji („mówiono, że...”;

„chodziły słuchy...”; „jakoby” — oto najprymitywniejsze przykłady), i to kłócących się, nie przystających do siebie, często sprzecznych, pełnych niedomówień, jaskrawych insynuacji, częściowych sprostowań, nawrotów do tego samego motywu w odmiennym ujęciu itp. Jeżeli w matematyce plus i minus znoszą się, dając zero, to w „matematyce powieściowej” obowiązują reguły odmiennie, tak więc przemieszane sądy, na przemian „pozytywne” i „negatywne”, pozostawiają po sobie pewne ślady, tworząc w umyśle czytającego trudny do zdefiniowania „otok emocjonalny”, specyficzną, niepokojącą niejasność, będącą zarazem załącznikiem określonego napięcia dynamicznego, które przyczynia się walenie do stworzenia swoistej atmosfery utworów Dostojewskiego, kiedy to, nim jeszcze cokolwiek się stało, aż gęsto jest od złowieszczonego oczekiwania. Tak zainicjowaną „poliwalencyjną” konstrukcję postaci kontynuuje potem pisarz już nie wypowiedziami osób trzecich ani strzępami odległych rzekomo w czasie relacji, lecz ukazywanymi postępkami bohatera, układającymi się, jeśli je zestawiać, w szereg cechujący się swoistą „niekonsekwencją” działań, którą należy rozumieć tak, że czyny pozornie nielogiczne, przypadkowe, kłócące się z sobą, po prostu czasem bezsensowne, nabierają przecież spójności i wyrazu na dłuższą metę, w szerszym planie powieściowym, mamy przeto do czynienia z fenomenalnie prowadzonym „orkiestrowaniem” cech, manifestujących się w działaniu, przy czym wszystkie „niekonsekwencje” czynów tej samej postaci podlegają pewnej scalającej nadrzędnej, której po imieniu Dostojewski nigdy nie nazywa, żadnych „wiązących”, „autorskich” kwalifikacji jej nie daje, a jeśli to czyni, to tylko po to, aby po pewnym czasie ze swego stanowiska samemu się znów wycofać czy przenieść na inne, mamy tu zatem przed sobą całe piętra i hierarchie „mistyfikowanych” ocen, służące nie budowaniu jakiegoś chaosu, lecz określonej konstrukcji dynamicznej, to jest osobowości pewnego człowieka. To „mistyfikowanie”, niedopowiadanie, to przemilczanie, stanowiące wręcz określony system konstrukcyjny, świadczy najlepiej o tym, że „gadulstwa” Dostojewskiego niepodobna traktować dosłownie, podobnie jak nie można twierdzić, że ów „pospieszny tok akcji” jego książek ma bezpośrednie źródło w tym, że Dostojewski żył i pracował w wiecznym pośpiechu. Zazwyczaj pośpiech rodzi po prostu niedbałość, persewerowanie figur stylistycznych i fatalne załamania w charakterystykach postaci. Takich nikt się, rzecz prosta, u Dostojewskiego nie dopatry. Jeżeli problem rozważyć na płaszczyźnie wyższego rzędu, nie budowy postaci, lecz całego „strumienia akcji”, to przekonamy się, że i w jego budowaniu dominują u Dostojewskiego wytyczne „antyracjonalizmu”. Mackiewicz nad wyraz trafnie uchwycił intuicyjnie tę zasadę, określając ją pyszną metaforą, kiedy zestawia kształt *Braci Karamazow* z cerkwią Wasyla Błazennego. O co chodzi? Fikcja literacka „szeregowego” pisarza cechuje się w zestawieniu z „miazgą rzeczywistości” wyraźnym zagęszczeniem zborności, celowości uczynków, racjonalności ludzkich działań, a w szerszym planie — ujednoznacznieniem i zaakcentowaniem wszelkich „sensów”. Obiekcja, iż owo stężenie „znanzeń”, przedstawianych przez zjawiska otaczającego nas świata, jest nieodjemną cechą wszelkiej w ogóle sztuki, zasługuje na dokładne rozpatrzenie — w żadnym wypadku nie można jej truistycznie zaakceptować. Ludzkość od początku swego świadomego istnienia wkłada, to jest „rzutuje” znaczenia (sensy) w otaczający ją świat, i jest rzeczą godną uwagi, jak olbrzymiego i długotrwałego wysiłku intelektualnego trzeba jej było dla uświadomienia sobie tego właśnie procesu. Stwierdzenie, że całe mnóstwo faktów i prawd „odkrytych” stanowi tylko wyraz milcząco, nieświadomie przyjętej i upowszechnionej konwencji (umowy), było dziełem fizyków, przyrodników, astronomów dopiero na schyłku XIX wieku. Podobne procesy zachodziły i zachodzą w naukach społecznych. Nie inaczej ma się rzecz ze sztuką — odróżnienie znaczeń, sensów „wkładanych” w zjawiska, rzutowanych w nie od ich obiektywnego przebiegu doprowadziło do takich na przykład osiągnięć, jak konstruowanie „strumienia świadomości”, jak behawioryzm w prozie, jak „czarna literatura”. Granicą tych ciągów jest koncepcja „bezsensu” obiektywnego świata, która nie musi bynajmniej oznaczać

automatycznego przyjęcia skrajnego agnostycyzmu i pesymizmu. Świat ludzki i pozaludzki jest na pewno „bezsensowny” w tym przynajmniej rozumieniu, że nie jest jedno—jedynoznaczny, że przedstawia jak gdyby palimpsest, który, zależnie od dyspozycji intelektualnych i uwarunkowań historyczno—kulturalnych, człowiek może odczytywać na wiele rozmaitych sposobów. Cechą arcydzieł literackich bardzo różnych od siebie, jak np. dzieła Kafki i Dostojewskiego, jest taka konstrukcja obrazów rzeczywistości, która stanowi określony odpowiednik „wieloznaczności”, potencjalnej „poliinterpretacyjności” otaczających nas zjawisk. W niej właśnie, jak sądzę, kryje się zagadka „ponadczasowości” czy raczej odporności na działanie czasu utworów wybitnych. Ponowne, odmienne od dokonanych przez poprzednie pokolenia, odczytanie utworu, warunkujące jego żywotność, umożliwiające jest jego „poliwalencyjnością”. Stworzenie „całkowicie pozaludzkiego”, „absolutnie obiektywnego” obrazu rzeczywistości jest oczywiście niemożliwe, bo każdy proces twórczy zaczyna się od selekcji, a każdy opis zawiera już implicite interpretację zjawisk, ale może to być właśnie interpretacja „wielowartościowa”. Dostojewski żywił określone przekonania polityczne i poglądy religijne, ale jako pisarz wiedział, a raczej „czuł”, iż rzeczywistość jest od nich bogatsza, bardziej kapryśna, podporządkowana przypadkowi, i że każdy człowiek może jej nadać taki sens „światopoglądowy”, jaki mu odpowiada (albo raczej: do jakiego go wdrożono). O tym, że się Dostojewskiemu portret tej nieokiełznanej mistrzyni wszystkich twórców, jaką jest rzeczywistość, udał, świadczy fakt, że intencjonalna ewangeliczność i zbożnie przypowieściowy charakter *Idioty* czy *Zbrodni i kary* jest, na dobrą sprawę, do odczytania tylko dla tych, którzy są skłonni tak właśnie interpretować świat. Gdyby w jego utworach szlachetna dydaktyka i najwznieślijszą miłością do człowieka inspirowane apostołstwo moralne przeważały nad „wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu”, powstałyby, być może, lektury podnoszące na duchu, ale na pewno nie arcydzieła. Oczywiście artystyczne sposoby konstruowania dzieła, jakie stosował Dostojewski, nie są jedynie możliwymi gwarantami wielości interpretacji. Innych używał Cervantes, innych Kafka. Rzecz tylko w tym, że postawa jednoznaczności epistemologicznej, właściwa empirycznemu racjonalizmowi, skłonna jest stan aktualny wiedzy (więc świata znaczeń) mimowolnie petryfikować, zamykając drogę antycypowaniu przyszłych, możliwych, odmiennych od współczesnego punktów widzenia, i tutaj artysta przejawia istotną wyższość nad empirykiem. Wiemy przecież dobrze, że obrazy świata, dawane w różnych czasach przez naukę, starzeją się bez porównania szybciej od dzieł sztuki. Gdyśmy już zrobili parę uwag na temat formalnej strony konstruowania obrazu rzeczywistości, warto je może uzupełnić, zastanawiając się nad wypełniającą te formy treścią poznawczą. Zaryzykowałbym uogólniający sąd, że zasadniczo istnieją dwa sposoby interpretowania świata. Nazwę je skrótowo socjologicznym i ontologicznym. Pierwszy wyprowadzi wszelkie treści przeżyciowe z faktu istnienia społeczeństwa. Cierpienia i klęski grup społecznych, systemy filozoficzne, sprzeczności i dysharmonie nękające jednostkę, wszystkie zjawiska, powodowane, jak by się zdawało, ścieraniem się w człowieku „pierwiastka cielesnego” z „duchowym”, „zdrowej normalności” z „chorobliwą nieprzeciętnością” itd., są w tym rozumieniu warunkowane zjawiskami społecznymi jako pochodne życia zbiorowego w określonym ustroju.

Ukazanie zatem przez sztukę zmagania, cierpienia i konfliktów ludzkich, wszystko jedno, czy pełne współczucia, czy gniewnej pogardy lub ironii, behawiorystycznie obiektywne czy skrajnie psychologizujące, sprowadzić można w tym rozumieniu do krytyki danego typu stosunków międzyludzkich, a więc do krytyki ustrojowej.

Ujęcie drugie, które nazwałem „ontologicznym”, widzi źródła wartości, sprzeczności i konfliktów w samym fakcie „istnienia”. Są one nieodjemną częścią bytu, a określone warunki społeczno—historyczne wpływają na nie tylko o tyle, że nadają im kształty, jak naczynie — wodzie, i stąd bierze się historyczna zmienność ich wyrazu. To drugie ujęcie przedstawia

także szeroki wachlarz możliwości od skrajnego biologizmu aż po postawy coraz bardziej sublimowane w racjonalizację, w filozofię (egzystencjalizm).

Przykładem dzieła poczętego w kręgu pierwszej interpretacji wydają mi się *Grona gniewu* Steinbecka, podczas kiedy Caldwellowskie *Poletko Pana Boga* mieści się raczej w obrębie drugiego sposobu interpretacyjnego. Grona gniewu stanowią w samej rzeczy krytykę określonych warunków społecznych, doprowadzających ludzi do nieszczęść i groźby zagłady. Te natomiast konflikty, w których uwięzieni są bohaterowie Caldwell, płyną nie tyle ze sfery panujących stosunków społecznych, co z ich własnej natury — impulsywnej, skazanej na przypadkowość postępowania, na niewolę pod panowaniem „pierwiastka cielesnego”. Rozstrzygnięcie o przynależności do jednego z dwu wymienionych kręgów staje się szczególnie trudne, a nieraz wręcz niemożliwe w odniesieniu do utworów najwybitniejszych, jakie zna literatura światowa — do arcydzieł.

Pewien wysiłek interpretacyjny doprowadzi, powiedzmy, do uznania centralnego problemu *Zbrodni i kary* za zrodzony warunkami społecznymi, ale zabieg ten będzie już daleko trudniejszy wobec *Braci Karamazow* (postać ojca!), jeśli nie całkiem daremny.

W pewnych warunkach dolegliwości nękające człowieka płyną jawnie z przyczyn natury społecznej, w innych na pierwszy plan zdają się wysuwać przyczyny „istnieniowe”, „ontologiczne”. Niewątpliwie zawsze oddziałują tak jedne, jak i drugie. W powieściach Witkacego zarysowuje się stosunek obu tych kręgów interpretacyjnych, który oddałby model, umieszczający krąg socjologiczny, jako węższy, w obrębie ontologicznego, szerszego — na podobieństwo owych zabawek, składających się z umieszczanych jedna w drugiej bab drewnianych. Istnieje wybieg pozwalający wszelkie zło, wszelkie cierpienie nazwać zrodzonym przez siły społeczne. Jeśli się to zło przejawia, może w odmiennej masce, w nowym ustroju, dość powiedzieć, że i ten ustrój nie jest (jeszcze) doskonały. Po zburzeniu jego kopuły ukazuje się za nią następna — kolejnego systemu, w którym meliorysty obiecują rozwianie się cierpień. Gdy i to nie zachodzi, następują przenosiny nadziei w obręb systemu następnego — jeszcze nie wypraktykowanego. Taki regressus ad infinitum jest jednak raczej ucieczką od rzeczywistości niż jej poznawaniem. Rzeczywistość przedstawia chyba pomieszanie obu rodzajów zjawisk i podwójną jednocześnie możliwość interpretacji, zachodzi więc swoiste dopełnianie się obu punktów widzenia, które wykluczają się wzajem tylko pozornie. Arcydzieło odzwierciedla zatem i „byt jako taki”, i „byt społecznie uwarunkowany”, odbywa się w nim synteza i pogodzenie obu sposobów interpretacji poprzez jednorodne wtopienie w materię utworu czynników o charakterze „zmiennych ustrojowych” i „niezmienników” czy „inwariantów ontologicznych”.

A zatem termin „bezsens rzeczywistości” należy rozumieć jako jej wieloznaczność, mnogość (co najmniej dwoistość) potencjalnej jej interpretacji, a nie jako chaos przemieszanych bezładnie zjawisk. Dostojewski był mistrzem na tym właśnie, największymi trudnościami najeżonym, polu. Wspomniałem poprzednio o artykule Tomasza Manna. Dał on mu szczególny tytuł: *Dostojewski mit Massen* — o Dostojewskim z umiarem. Krążył w nim z dala od olbrzyma rosyjskiego, zamiast mikroskopowych zdjęć wnętrza jego życia dał widoki jakby z głębi horyzontu, obrazy przymglonego masywu górskiego zamiast geologicznej jego analizy. Z odległości odmiennego kręgu kulturowego najostrzej widział to, co w Dostojewskim ogólnoludzkie — właśnie „ontologiczne” — a zarazem szukał odpowiedników jego postaci i dzieła w kulturze niemieckiej i sądził, że odkrył taki odpowiednik w człowieku nieprzeciętnym, obciążonym chorobą, twórcy własnego poglądu na świat — w Nietzschem. Poza tym Mann z wielką, pełną ostrożności delikatnością dotykał obolałych, najbardziej drażliwych szczegółów życia Dostojewskiego. Sprawę tak zwanej perwersji seksualnej Dostojewskiego uznał za obsesję myślową. Impetyczny Mackiewicz zrazu też mówi tylko o myśli natrętnej, ale pod koniec książki ni stąd, ni zowąd niefrasobliwie przekształca obsesyjną myśl w realny fakt, wypowiadając tonem pewności przekonanie, że

Dostojewski zgwałcił za młodu dziewczynkę i dręczyła go pamięć tego występku. Jest to dość charakterystyczny przykład lekkomyślności Mackiewicza, któremu podobna zmiana sądu przydarza się w książce parokrotnie. Trudno ją jednak usprawiedliwić, gdyż dzieło biograficzne w przeciwieństwie do powieści nie powinno używać, jako środka artystycznego wyrazu, mistyfikacji...

Przeczytałem to, co napisałem dotąd, i zdziwiłem się, bo miałem szczerzy zamiar wyrażenia podziwu dla książki Mackiewicza, a wychodzi na to, że się z nią wciąż spieram. Mackiewicz dał rzecz bardzo własną, niezawisłą od wielu ujęć tradycyjnych, a taka samodzielność kształtowania tematu, nie mającego bodaj równych sobie trudnością, budzi zastrzeżenia i opory, prowokuje do dyskusji. Ale to chyba dobrze w czasach, kiedy literaturze naszej doskwiera tak doskonały brak samodzielnych rozwiązań intelektualnych, przemyślanych, a nie odgrzewanych koncepcji, rozważnych, a nie krzykliwych propozycji artystycznych, ujęć naprawdę własnych, przeżytych i wynoszonych do dojrzałości bez niezdolnego, bezustannego oglądania się na Wschód czy na Zachód. W otchłani, zwiedzanej przez całe pokolenia, zwanej Dostojewskim, wytyczył Mackiewicz swoją książką ścieżki idące gdzieniegdzie na skróty, może nie wszędzie docierające do szczytów, ale świadczące o głębokiej, osobistej, pełnej fascynacji znajomości jej groźnych uroków — i za to należy mu się nasza wdzięczność.

1957

Przedruk z: *Wejście na orbitę*, Kraków 1962

## LOLITA, CZYLI STAWROGIN I BEATRYCZE

### I

Jedną z najbardziej zasmucających mnie rzeczy w literaturze jest brak kryteriów. One, oczywiście, istnieją. Oczywiście, jest mnóstwo znawców, którzy to moje wyznanie poczytają za bzdurę i jeśli w ogóle będą chcieli ze mną dyskutować (w co wątpię), gotowi unicestwić mnie dokładnym wyliczeniem i obiektywnie ustalić się dających znamion wartości dzieła literackiego, i niezmiernie długą listą tytułów dzieł znakomitych a wybitnych, których powszechne uznanie dowodzi niezbicie, że moja desperacja nie ma żadnego uzasadnienia. Wszystko to niby prawda. Cóż jednak począć, jeśli się wie, że od czasu do czasu powstaje gdzieś książka, na której przez całe lata nikt jakoś poznać się nie potrafi, książka–tułacz, wędrująca od wydawcy do wydawcy, rękopis nie do odróżnienia w oczach fachowych lektorów od miernoty czy zgoła krzykliwej pretensjonalności albo (co może jeszcze gorsze) książka wydana gdzieś, kiedyś, ale tak, jak nie istniejąca, bo stanowi martwą pozycję w bibliografiach, aż za sprawą niejasnych okoliczności znajdzie się nagle w centrum uwagi znawców i dzięki ich spóźnionemu wyrokowi rozpocznie swoje drugie, a właściwie pierwsze prawdziwe życie?

O wstępnych dziejach książek wybitnych, które w świat czytelniczy wchodziły jak kamień w rozmiękle błoto, mówi się niechętnie, półgębkiem. A czy nie takie były pierwsze koleje dzieła Prousta, zanim stało się biblią wyrafinowanych estetów? Czy błyskotliwości, rozeznania, smaku Francuzów starczyło od razu, by się na pisarstwie Prousta poznać? Dlaczego grube dzieło Musila zostało „odkryte” w wiele lat po jego śmierci jako godne miana klasyki? Co miała do powiedzenia krytyka rozważnych i obiektywnych Anglików o pierwszych powieściach Conrada? Ktoś by rzekł, że wszystko może i tak było, ale sprawa nie jest godna szczególniejszej uwagi, skoro każdy z tych autorów zyskał w końcu należne uznanie, a jego dzieła poczytność, nad rozmiarami zaś czasu, jaki upłynąć musiał od wypowiedzi artystycznej po jej zasłużoną ocenę, nie ma co rozdzierać szat.

Trudno mi się z tym zgodzić. Przecież książka otwiera się czującym i rozumnemu czytelnikowi (o znawcach wszak mowa!) od razu, mówi mu wszystko, co ma do powiedzenia, i jakież to tajemnicze procesy zająć jeszcze muszą, aby z ust jego wyrwał się, po miesiącach czy latach, okrzyk zachwyty? Ile wart jest ów zachwyt, przybywający z takim opóźnieniem? Dlaczego mamy wierzyć w jego autentyczność? Dlaczego to, co było hermetyczne, nudne, nic niewarte albo trywialne, skandalizujące, bezwstydne czy wreszcie zbyteczne i jałowe — staje się głosem epoki, spowiedzią dziecięcia wieku, nowym, wstrząsającym nami odkryciem człowieka, jakiegośmy nie znali?

Wszystkie te pytania stawiałem sobie po zamknięciu *Lolity* Nabokova, książki, która parę lat temu była zarazem ewenementem i skandalem literackim. Dokładnych kolei jej nie znam. Wiem tylko, że odrzucona szereg razy przez wydawców amerykańskich jako niecenzuralna, zawędrowała do Francji, gdzie wreszcie odważył się opublikować ją tamtejszy wydawca, nie akuszer dzieł elitarnych bynajmniej, lecz taki, który z pomocą biegłych w materii lektorów przewidział w niej właśnie szansę skandalu sporej miary. Potem przyszła oszałamiająca kariera. Rozważny wydawca angielski (czytałem *Lolite* w edycji „Corgi Books”) dołączył do tomu całą antologię pochwał krytycznych, wypowiedzi znamienitych pisarzy i krytyków, których jakoś książka, w swej wędrowce pomiędzy szufladami wydawniczymi, spotkać nie mogła. Sądy ich, pełne uznania, entuzjazmu nawet, wykazują nam, iż *Lolita* jest dziełem na miarę światową, że z pornografią, jako żywo, nic wspólnego nie ma, że jest porównywalna z *Ulissesem* Joyce’a i tak dalej. Nie mam zamiaru pisać studium krytycznego o *Lolice*. Tym bardziej nie jestem do tego uprawniony, że poza nią nie znam właściwie nic z pisarskiego dorobku Nabokova, który, jak się orientuję, nie jest mały. Trzyńście jego opowiadań, które

wpadły mi w rękę przed rokiem, obilo się o moje oczy z całkowitą obojętnością. To, co miał w nich do powiedzenia, najzupełniej mnie nie obeszło. Być może, stanowiły utwory świetne i wyznają nie letniość ich, lecz własną głupotę artystyczną; na *Lolite* nie okazałem się jednak w takim stopniu głuchy, i stąd te uwagi. Nie wiem, co prawda, czy to jest książka „epokowa”, „wielka”, chociaż niektórzy z czcigodnych znawców, cytowanych przez angielskiego wydawcę, wywodzą prozę Nabokova od Eliota, Baudelaire’a, Jamesa i Bóg raczy wiedzieć, od kogo jeszcze. Szanowne te powinowactwa mało mnie obeszły. Sam Nabokov w posłowniu do *Lolity* mówi rzeczy bardzo ciekawe — o tym, jak długo książka ta powstawała, jak zrodził się jej pierwszy zamysł, jeszcze w Paryżu w latach czterdziestych, gdzie stanowiła nieduże opowiadanie o człowieku, który żeni się z chorą kobietą, aby po jej śmierci i nieudanej próbie gwałtu na córeczce tej swojej żony skończyć samobójstwem, jak później przenosił ową główną oś intrygi do Stanów Zjednoczonych, jak ją nasycił mięsem realiów Nowego Świata. Był zresztą, może dzięki własnemu doświadczeniu, a może za poradą życzliwych, na tyle ostrożny, że poprzedził utwór — fikcyjny pamiętnik — równie fikcyjną przedmową pióra „doktora filozofii, Johna Raya Juniora”: „pamiętnik” przedstawiony jest przez owego doktora filozofii jako spisane przez zmarłego w więzieniu na atak serca wspomnienia mężczyzny, ukrywającego właściwe swe imię i nazwisko pod pseudonimem „Humbert Humbert”. Wszystkich tych chwytnościowych nie starczyło jakoś — i lektura rad przychylnych skądinąd edytorów, wewnętrznych recenzji wydawniczych czy wręcz napiętnowań, jakimi obrosła powieść w długiej swej drodze od biurka do biurka, staje się chwilami niewiele gorszym „dokumentem epoki” od właściwego utworu, gdyż zawarta w nich mieszanina bezradności, pseudoznawstwa, nareszcie — nieświadomego komizmu ocen stanowi znakomite pendant do atmosfery *Lolity*.

Jako że powieść nie ukazała się u nas, moje — powtarzam, nie mające bynajmniej charakteru systematycznego studium — uwagi zacznę od streszczenia akcji. Bohater przedstawia się nam jako Europejczyk, kulturalny esteta, właściwie bez zawodu, umiarkowany, „nie praktykujący” anarchista, z ojca Francuza, a trochę Szwajcara, z matki, która odumarała go dzieckiem — po tym wstępie wchodzi od razu pamiętnikarską narracją w strefę pierwszych doświadczeń erotycznych. Odtąd ze streszczeniem będzie kłopot. Opowiedzieć, jak to tam było, nazwać sytuację po imieniu to zniekształcić proporcje i coś więcej, bo ducha tej książki, bez względu na to, czy się ją potem zaakceptuje, czy odrzuci. Przedstawić intrygę obiektywnie można także językiem psychiatrii stosowanej; z dwojga złego wolę już podejście „psychiatryczne”.

„Przypadek” więc, jakim jest Humbert, odczuwał od najwcześniejszej młodości pociąg do dziewczynek, nie do dzieci, lecz do podlotków, co w swej autobiografii wiąże z pierwszymi doświadczeniami erotycznymi chłopięctwa (niejeden biegły orzekłby zapewne, że to hipoteza fałszywa, bo u olbrzymiej większości mężczyzn nie pozostawiają analogiczne kontakty żadnych śladów dewiacji, preformującej na całe życie dziedzinę doznań erotycznych; mniejsza jednak o to). Po równie nieszczęśliwym co przypadkowym małżeństwie, zakończonym rozwodem (historia o posmaku tragikomicznym, z farsowym nawet zacięciem), po przeraźliwych rozczarowaniach i wstydach, jakich doświadczał, gdy nękający go pociąg wprowadzał go w środowiska płatnej miłości zawodowej, otrzymawszy niewielki spadek, przenosi się do Stanów. Tu znów, po niedługim interludium, po uczestnictwie raczej przypadkowym w wyprawie naukowej, po opublikowaniu jakichś tam artykułów, dostaje się (dla przyczyn nie całkiem jasnych: depresja, melancholia) do sanatorium. Tę stronę anormalności bohatera, która stanowi niejako medium unoszące jego równie anormalną libido, ukazuje autor marginesowo, choć i dosyć ostentacyjnie, bo z jednej strony jest owa „niedyspozycja umysłu” na tyle znaczna, że zawiedzie go, raz i drugi, do lecznicy dla nerwowo chorych, z drugiej wszakże tak nikła, iż dzięki swej inteligencji Humbert oszukuje lekarzy i w kartach choroby podejrzewają go o homoseksualizm, o impotencję — tylko nie o

pieczołowicie także przed światem lekarskim ukrywane zbrodzenie.

Ozdrowiawszy na dobre, dostaje się do domu pani Charlotty Haze, wdowy, która wynajęłaby mu chętnie mieszkanie. Odstęczony wszakże nieznośną atmosferą tego pseudokulturalnego domostwa amerykańskiego i osobą samej, do „rozwodnionej Marleny Dietrich” podobnej, fatalną francuszczyzną rozmawiającej pani Haze, gotuje się już do odwrotu, gdy fatum ukazuje mu dwunastoletnią córeczkę wdowy. Ta mała, Dolores, Lolita albo Lo, jak będzie ją nazywał w swoich rozpaczliwych majakach i na równie rozpaczliwej jawie, przesądza jego decyzję. Zostaje w owym domu amerykańskim i zaczyna prowadzić pamiętnik, w którym piekielnymi eksplozjami pożądania i marzeń infantylnych otaczana jest postać dwunastoletniej dziewczynki. Nikłe i przypadkowe zetknięcia z nią są wyłączną treścią jego egzystencji, naturalnie pieczołowicie skrywaną. Prawie katastrofą staje się wyjazd małej na letni obóz dziewcząt. Tymczasem matka Lolity zakochuje się w Humbercie, on, zrazu spłoszony, widząc w tym szansę zbliżenia się do obiektu pożądania, żeni się; na wiadomość, że nowa małżonka pragnie wysłać na dobre Lolitę z domu, do zakładu wychowawczego, Humbert dochodzi do rozmyślań nad możliwością „morderstwa doskonałego”, ale gdy się podczas kąpieli szansa urzeczywistnia, nie umie się na taki czyn zdobyć. Następna katastrofa: kochająca małżonka odkrywa wszeteczny pamiętnik, porażony wybuchem pogardy Humbert kryje się w kuchni, gdy dzwoni telefon: jego żonę (biegła do skrzynki z listami napisanymi po fatalnym odkryciu) zabił samochód.

Cichy pogrzeb i wyjazd „taty” po „małą sierotkę”, której na razie nie powiadamia jeszcze o śmierci (nie kochanej zresztą) matki. Wsiadają do auta. Tak rozpoczyna się seksualna odyseja po motelach, hotelach turystycznych, parkach narodowych i wszelkich możliwych i niemożliwych „godnych widzenia” miejscach Stanów. Pierwsza wspólna noc. Nic drastycznego w opisie, a tylko szok, nie pierwszy, nie ostatni, dla tego „zbrojeńca” rodem z Europy, gdy dowiaduje się od „córeczki”, że sprawy seksu nie są jej obce. Był tam na obozie dziewcząt jakiś trzynastoletni chłopiec, jej pierwszy, nie z miłości ani z pożądania, ale z ciekawości, bo podobnie postąpiła, dając przykład, jakaś Lolity koleżanka, a teraz sama Lo uwodzi — by użyć słów Humberta — tego swojego „ojczyma”.

Dalej szczegóły — nie z zakresu fizjologii ani psychopatologii seksualnej nawet, lecz psychologiczno-obyczajowe — zaczynają grać rolę główną, czyniąc zadanie streszczenia coraz mniej wdzięcznym. Mała, żeby powiedzieć od razu, pozostaje nie rozbudzona seksualnie do samego końca tego zarazem makabrycznego i komicznego, a w swojej esencji — rozpaczliwego dla obu stron pożycia. Zarówno najczulsze pieszczoty, jak i po zwierzęcemu srogie akty płciowe nie są dla Lo niczym innym, po niedługim czasie przyzwyczajenia zwłaszcza (bo do czegoż nie może w końcu przywyknąć stworzenie ludzkie), jak trybutem płaconym „ojczymowi”, któremu nie będą oszczędzone żadne z możliwych poniżeń wobec tego dziecka–dziewczynki. Nieustanne podróże, podarunki, na jakie Humberta stać, zabiegi płaskie, wzniosłe, śmieszne, bezskuteczne usiłowania wprowadzenia małej w świat duchowy Humberta, poprzedzielane awanturami, nocnymi łkaniem, dalej — atakami dzikiej zazdrości (policzkuje dziecko) o byle przystojnego mechanika garażowego, o każdą parę oczu, która spocznie na Lolicie, ta część powieści, „motelowa”, przechodzi w następną „stacjonarną”, gdy „dobry ojciec” oddaje „córeczkę” do „nowoczesnej szkoły amerykańskiej”, w której roztropna wychowawczyni usiłuje wyjaśnić mu, staroświeckiemu Europejczykowi, że winien zgodzić się, między innymi, na wstępne preseksualne kontakty „córeczki” z dorastającymi młodzikami, jej rówieśnikami. Nowe zazdrości, klótnie, degrengolada moralna pożycia, bo dochodzi do opłacania przez „tatę” pieszczot, których skąpieniem mała skutecznie go szantażuje; on straszy ją z kolei widmem zamknięcia w jakimś surowym zakładzie wychowawczym, gdyby łączący ich stosunek zdradziła, przez co poszedłby do więzienia. Ten „raj z niebem piekielnych płomieni” kończy się wyruszeniem w następną podróż, podczas której Lolitę, za jej zgodą, wykrada pewien



znany pisarz, też po trosze zboczeniec. Humbert poszukuje i jej, i „uwodziciela” daremnie przez dwa lata, żyje z dnia na dzień, aż nadchodzi list od Lo, która wyszła już (siedemnastolatka) za męża, spodziewa się dziecka i potrzebuje pieniędzy, bez których mąż jej nie może dostać posady na Alasce. Humbert rusza w przedostatnią podróż. Dziecko stało się kobietą w funkcjonalnych, amerykańskich okularach, ostatnie miesiące ciąży, poczciwy, nie ogolony mąż, trochę kaleka (głuchy po odniesionej na wojnie kontuzji) — „tata” oddaje jej wszystkie pieniądze, jakimi dysponuje, i czyni propozycję, żeby rzuciła tego „przypadkowego Dicka” i poszła z nim, taka, jaka jest, jak stoi, na zawsze. Lo odmawia. Wydobywa od niej nazwisko „uwodziciela”, jedzie do niego i w samotnym, pustym domu rozgrywa się scena ostatnia tragifarsy: mord. Strzela do tego człowieka, zmusiwszy go wprzód, aby odczytał utwór poetycki, jaki napisał (Humbert) o jego podłości, a swym nieszczęściu. Zabójstwo, porozdzielane na szereg scen na wpół sensownych, dokonywane na pograniczu absolutnej bzdury (ofiara jest porządnie pijana, padają same fałszywe, mijające się słowa, nic z możliwej teoretycznie przynajmniej „vendetty”, chaos ataków i obrony, ale żadnego poniżania się ani mordowanego, ani mordercy) — cała ta sekwencja ujawnia swą daremność, to, że nie jest żadnym autentycznym „porachunkiem”, a stanowi tylko kodę, zamknięcie historii równie okropne, równie potępieńczo śmieszne, jak „romans”, i kończy się aresztowaniem i uwięzieniem Humberta.

Tak to wygląda. Oskarżenia o pornografię, które w posłowie Nabokov odtrąca ze wzgardą, nie traktując ich serio, są — zapewne w zestawieniu z plejadą masowo produkowanych w USA „thrillerów”, owej „czarnej serii” pobudzającej seksualne apetyty pewnego typu czytelników — na dobrą sprawę wyrazem już nie pruderii nawet, ale horrendalnego bezwstydu tych, którzy je wypowiadali. Innymi słowy: gdy książkę rozwłóczyć, porozdzielać na części, nie ma w niej żadnego szczegółu, którego gdzieś, kiedyś nie przelicytowały już utwory pozbawione wszelkich artystycznych ambicji. Że jednak sprzęgnięte w całość niedomówienia, napomknienia, reminiscencje zmieniają się w ciosy, uniemożliwiające czytelnikowi zajęcie wygodnej, estetycznej postawy, że klasa transformacji artystycznej i metoda konsekwentnego od pierwszego do ostatniego słowa wykładu autoszyderczego i przez to ośmieszającego nawet to, co najbardziej ponure, utrudnia, jeśli nie udaremnia z kretesem jednoznaczność oceny moralnej dzieła (powtarzam: dzieła, nie bohatera) — co do tego nie mam wątpliwości.

Aby „oczyścić” Nabokova od zarzutów pornografii po pierwsze, grzebania się w psychopatologii seksu po wtóre, antyamerykanizmu po trzecie — krytycy powiadają, iż powieść to o miłości, nie o seksie, że każdy temat, więc i psychicznego wnętrza zboczeńca, może narodzić przeżycie estetyczne, że wreszcie *Lolita* nie jest bardziej „antyamerykańska” od książek wielu rodowitych Amerykanów. Nie wiem, czy warto zajmować się takimi oskarżeniami i taką obroną.

## II

Powieść nie o seksie, lecz o miłości? Powieść—szyderstwo z cywilizacji Zachodu? Ale dlaczego bohaterem jest zboczeniec? To pytanie nie dawało mi spokoju. Nabokov uważałby je za pozbawione sensu, jak wnioskować mogę z jego poglądu na literaturę, bo nie chce być moralistą ani realistą, ma się za „opowiadacza historii gdzieś, kiedyś dziejącej się”, ale w końcu nie musimy słuchać autora potem, kiedy położy słowo „Koniec”. Powiedział to, co chciał powiedzieć, tu kończą się jego, a zaczynają nasze, czytelników, kłopoty.

Wydało mi się zrazu, że wybór bohatera otwiera pewne specyficzne możliwości już w planie socjologicznym. Bo ponadto, cokolwiek można, a nawet konieczne trzeba, powiedzieć, *Lolita* jest książką o szerokim tle socjalnym, o tych, dodajmy, stronach życia Zachodu, którymi się on chlubi. Będą to: wysoki standard życiowy, „unaukowienie” wychowania, ten „stosowany freudyzm” w wydaniu pedagogicznym, zmierzający do optymalnego przystosowania jednostki; będą to wspaniałości przemysłu turystycznego, penetracja usług w najdziksze zakątki natury i to szczególne, w kontaktach społecznych przejawiające się, sprawne działanie z mechanicznym uśmiechem, mającym nadać im posmak „podejścia indywidualnego” do przybysza, gościa, klienta, i takie przesylenie życia reklamą, że ze zjawiska atakującego człowieka z zewnątrz w interesie pragmatyki handlowej dawno już stała się integralną częścią jego wnętrza psychicznego, wnuknąwszy w nie tysiącem schludnie, „naukowo” opracowanych metod. Skrytykować ją, tę olbrzymią maszynę zadowolonych mrówek, znieważać, wyśmiać bezpośrednim opisem, byłoby publicystyką, więc niewypałem artystycznym, więc prawieniem banalnych oczywistości. Ale uczynić to mimochodem niejako, i do tego z pozycji skazanej z góry na przegraną, ustami człowieka, którego każde słowo, każdy przytyk zjadliwy można zakleić hasłem określającym jego nienormalność, a równocześnie tak, żeby ten zwyrodnialec miał, w zestawieniu z szanownie normalnym ogółem, przekłętą rację — to dawało już pewną wyjściową szansę. Ów świat zewnętrzny zresztą, owo tło, owa przeciętność i normalność stanowiąca nieustanne dla Humberta i jego sprośnej tajemnicy zagrożenie wnikają we wszystkie luzy powieści, stykając się bezustannie, bezwiednie z okropnością jego faktów „prywatnych”, i chłodem swej obecności wszechotaczającej pogłębiają jeszcze intymność jego spowiedzi. Samo takie sąsiedztwo daje olbrzymią różnicę temperatur, napięć, stwarza niezbędny niejako ładunek kontrastu, po czym przychodzi kwestia następnego z kolei i szczegółowiej motywowanego wyboru: kim jest ów anormalny, ów psychopata, i na czym polega jego monomania?

Aby rzecz określić najpierw językiem czysto strukturalnym, dotyczącym konstrukcyjnego szkieletu wewnętrznych, właściwych utworowi napięć, trzeba zauważyć, iż monomania jako zacieśnienie, zawężenie pewnego typu niezmiernie może sprzyjać powstaniu takiej gęstości atmosfery, takiego zogniskowania środków artystycznych, jakie nieraz już rodziło dramatyczne novum. Przykładów można by wyliczyć wiele: monomaniakami byli don Kichot i Raskolnikow, Shylock i don Juan.

A teraz kwestia „napędu psychologicznego” anormalności, jej siły koncentrującej. Co może stać się owym szczególnym pożarem, który rozgrzeje całą tkankę dzieła, da jego frazie nośność, umożliwiającą płynne wzięcie przeszkody każdego społecznego „tabu”, otworzy nareszcie te wszystkie ciemne schowki duchowe, które miarowa powtarzalność życiowych funkcji, rutyna codzienności czynią niewidzialnymi? Co może tutaj być skuteczniejsze i bardziej uniwersalne zarazem od miłości? Tu jednak, wobec podobnej decyzji, rozpoczyna się strefa niebezpieczeństw. Powstrzymajmy jeszcze przez chwilę rozstrzygnięcie „adresu” kumulatywnie nagromadzonej w bohaterze namiętności i zastanówmy się nad nią samą. Miłość, erotyka, seks. Może sprawa w przełamaniu obowiązujących konwencji, zakazów, w wyzywającej śmiałości? Tu klasykiem czy raczej przykładem „odwagi” może być Lawrence’owski Kochanek Lady Chatterley. Ale ta książka wzbudziła we mnie tylko

niesmak. Te sposoby upiększania aktów kopulacji, ta rustykalna falliczność, upostaciowana w osobie krzepkiego ogrodnika („powrót do natury”!), zalecała mi nie tyle „raportem Kinseya o zachowaniu seksualnym ludzkiego samca”, co po prostu artystycznym fałszem, ponieważ artysta, który chce pokazać miłość „z wielką odwagą”, łatwo wpaść może na rafy cukierkowego sentymentalizmu. Lawrence zawierzył metodzie prostej do prostactwa: poszedł w kierunku przeciwnym.

Miłość jest zakłamana pruderią, należy pokazać ją całą, rzekł sobie autor i wziął się do dzieła. Tam, gdzie dotąd przychodziło piano, ściszenie lub zgoła cenzura milczenia, wprowadził fizjologię. Spór o to, czy powieść jest pornografią, gorzał długo; rozstrzygnięcie mało mnie obchodzi, bo czy to pornografia, czy nie, wyszedł artystyczny kiks. Najpierw, jak długo mógł, szedł wzdłuż anatomicznej dosłowności, po czym nabudował na niej uwznioślających komentarzy, hymnów na cześć „piękna nagości”, genitalia nawet w swym zuchwalstwie zauważył, lecz nic nie mogło go uratować — żadna „sublimacja jako przeciwwaga drastyczności” — od artystycznej kłęski; przy takich założeniach nie uchroni pisarza nic prócz drwiny. Dlaczego? Przede wszystkim pisarz jest — z racji samych najgłębszych założeń erotyki — obserwatorem. To słowo pozwoli nam zrozumieć jedną z najistotniejszych trudności przedstawiania sfery życia płciowego. Jakimi tylko sposoby będzie pisarz usiłował zatrzeć ślady swej obecności w dziele, ono samo, przedstawiona scena miłosna, zaświadcza, iż w pewnym, psychologicznym sensie był tam. Jest to fatalny błąd postawy „podglądacza”, którego nie uniknął właśnie Lawrence. Jedyne wyjście jest postawa pamiętnikarska, wcielenie się w narratora bez reszty, opowieść prowadzona w pierwszej osobie; niestety, usuwa to tylko połowę dysonansu, ponieważ drugi „podglądacz”, którym jest już sam czytelnik, pozostać na miejscu musi. Otóż uczestniczyć osobiście, że się tak niezręcznie wyrażę, w akcie płciowym jako jeden z partnerów — to coś całkiem innego aniżeli scenie takiej przypatrywać się z zewnątrz. Akt płciowy, jeśli ma być pozbawiony przymieszki choćby szczątkowej anormalności, musi być hermetycznie samotny. To naturalnie niemożliwe. Uświadamiając sobie, w mniejszej lub większej mierze, konieczność wprowadzenia w obręb ostatecznej intymności, jaka może być udziałem dwojga ludzi, intruza—czytelnika, pisarze chwyтали się rozmaitych sposobów. Rezultaty są z reguły żałosne. Ponieważ zewnętrznego, fizycznego wyglądu kopulacji czymś pięknym, czymś estetycznie podniosłym uczynić niepodobna, stosuje się środki stylistyczne, które natychmiast demaskują miejsca „klajstrowane”.

Zazwyczaj (a jest tu cała tradycja!) pisarz stosuje w pewnym momencie „przerzutkę”, uciekając od faktów fizjologicznych w zdania oznajmujące, ogólnikowe, które mają unaocznic aktualnie doznawaną przez bohaterów rozkosz (co nie jest możliwe, bo między nazywaniem a przeżywaniem uczuć nie ma mostów). Kiedy indziej znów wprowadza się wątpliwej jakości pseudopoetyczną metaforykę, chętnie czerpaną z pewnych zjawisk natury, takich jak ocean, więc zaraz mamy jakieś falowania, rytmy, zapadania się, zaprzepaszczania i tym podobne. Ale wytknięcie lichoty podobnych chwytów uważam za oczywiste aż do banalności. Istotną przyczyną kłęski jest trzecia para oczu, ta, której zamknąć niepodobna, oczu czytelnika, i ani rejterada w nędzną lirykę — jako ekwiwalent orgazmu — ani cytowanie podręcznika seksuologicznego z transfiguracją artystyczną nie mają nic wspólnego. Istna to kwadratura koła i nadto popadnięcie z jednego, pruderyjnego zakłamania w drugie, usiłujące fakty fizjologiczne upiększyć. Tymczasem każdy lekarz wie, że człowiek przeżywający rozkosz seksualną to ani Apollo belwederski, ani Wenus mилоńska, i pisarz, idący na „wierność naturze”, na behawioryzm konsekwentny, sam siebie skazuje na układanie mozaiki z elementów noszących naukowe nazwy tumescencji, frykcji, szczytowania, których akompaniament, w zakresie wszystkich zmysłów i efektów, także wokalnych, do symfonii przyrównać ciężko. Cóż pozostaje? Albo kompromis estetyki z fizjologią (a w sztuce kompromisy, jak wiadomo, wyjątkowo nie popłacają!) i możliwość oskarżenia o pornografię

(z artystycznego, a nie moralnego punktu widzenia stanowi ona jeden z „niskich chwytów”; chwytem analogicznym jest np. „ukazanie życia sfer wyższych”, „robienie niesłyszanej kariery przez ubogą dziewczynę” itp.), albo, sposób wynaleziony stosunkowo późno, świadome akcentowanie zwierzęcej, trywialnej strony stosunku, przez co się czytelnikowi całą historię na tyle przynajmniej obrzydza, żeby mu się we wszeteczny sposób nie sprawiło przyjemności. Gdy partnerka podobna jest bardziej do wiedźmy niż do gwiazdy filmowej, a partner to brudny drab, któremu dla pewności śmierdzi jeszcze z gęby, szansę zgorzenia spadają do zera, a pozostaje na placu teza „pokazywania autentycznej brzydoty życia”.

Tego rodzaju antypornografia stanowi właśnie dla swej pseudofilozoficznej pretensjonalności artystyczną tanioczę. Nim zamknę ten ogromny ustęp o „kopulacjonizmie”, w którego pułapkę wprowadziła niektórych artystów szkoła behawiorystyczna, wspomnieć muszę jeszcze o dwu kwestiach dodatkowych. Napomknąłem wyżej, jednym słowem, o szansie konkretnej, jaką jest sterowanie na drwinę. Szyderstwo, integralnie stopione z opisem aktu lub nawet opis zastępujące, może być artystycznie cenne. Z naszych prozaików sposobu tego miał się, w groteskowej co prawda deformacji, najchętniej Witkacy. Ratunek to rzeczywisty, nie skłamany, bo w samym kontekście przeżyć seksualnych z ich konieczną zewnętrżnością tkwi między innymi nabój komizmu, który powstaje często tam, gdzie wyjątkowa wzniosłość (a to przecież atrybut miłości) kulminuje w jakimś swoim przeciwieństwie. Jeśli się już tak rozgadał, muszę ten wywód prowadzić dalej. Z punktu widzenia konstruktora, który dzieło ogląda jako całość, każdy element, więc i nasz kontakt seksualny, jest artystycznie niezbędny, jeśli cechuje go wobec owej całości określona służebność. Jeśli życzliwy czytelnik zechciał dostrzec, że starałem się dotąd jak mogłem nie być drastyczny, pozwoli mi może na wyjaśnienie powyższego w oparciu o przykład zaczerpnięty, by się tak wyrazić, z pobliża anatomicznego.

Funkcja fizjologiczna, oderwana od rozbudowanej w dziele psychosocjologicznej sytuacji człowieka, nie jest śmieszna oczywiście, chyba dla prostaka, ale już wprowadzenie np. aktu defekacji może być śmieszne, i nie tyle przez trywialność znowu (choć skądinąd wiadomo, jak chętnie humor ludowy czerpie ożywczo ze skatologicznych źródeł), ile przez kontrast, który może całkiem nieoczekiwanie wzbogacić albo zwichrować czy w innym niż dotąd kierunku poprowadzić tonację dotychczas utrzymywaną. Gdy np. świeżo koronowana królowa pobieży, ze wszystkimi insygniami władzy, do ubikacji, gdyż takie ujście zechcą znaleźć koronacyjnyemu akty emocje, turbacji takiej, jej tam towarzyszących problemów — czy należy np. zdjąć koronę z głowy, czy też nie jest to konieczne, cóż bowiem martwemu przedmiotowi może w samotności uchybić — powieść dziewiętnastowieczna na pewno by nam nie ukazała (Rabelaisowska za to wcale chętnie). Krytyk mógłby nie bez słuszności odpowiedzieć na to, że defekacyjne kłopoty monarchów nie mogą stanowić ani j o randze, ani o odkrywczoci dzieła, że to, jednym słowem, idiotyzm. W zasadzie zgoda, ale zgłoszę jedno zastrzeżenie. Zdarza się, wcale często, że utwór przedstawia grupę albo paru tylko ludzi, na dobitkę odmiennej płci, zamkniętych jakąś sytuacją (tratwa z rozbitkami na pełnym morzu, zaplombowany wagon, wiozący więźniów czy repatriantów, lub coś w tym rodzaju), otóż skrupulatnie realistyczny autor pokazuje nam zazwyczaj z wszelkimi szczegółami, jak się ci ludzie zachowują, jak się posilają, jak rozmawiają, jak się do siebie z wolna zbliżają, podczas kiedy problematyka „siusiu i kaku” pozostaje całkowicie zapomniana, niby niechcący, a to jest wtedy zupełny fałsz, dlatego że przynaglone, a nawet, powiedziałbym, sterroryzowane sferą fizjologicznych konieczności „niższego rzędu” stosunki, i niekoniecznie tylko towarzyskie, bardzo szybko grawitować zaczynają ku swoistej zażyłości. Proszę mnie tylko nie brać za przedstawiciela jakiegś „szkoły logicznej dedukcji”, tj. za wariata, który by serio żądał, abyśmy się od autora pięknej powieści *Pięć tygodni balonem nad Afryką* dowiedzieli, jak szanowny profesor i uroczy jego towarzysze rozstrzygnęli kwestię zachowania angielskiego dystansu wobec nieodzownych żądań swych jestestw organicznych. Nic

podobnego; rozumiem wprowadzanie w takich wypadkach konwencji „udawania Turka”, ale w końcu ten balon leci przed oczami czytelników młodzieżowych. Jeśli natomiast powieść ma być realistyczna całą gębą, to już wtedy trudno i darmo: realizm to nie tylko przyjemności, ale i obowiązki. Myślę sobie, że autor, któremu przemilczanie takich spraw jest drogie, winien przynajmniej wspomnieć o jakimś krzaczku, a skoro go nie stworzył, to już musi wyciągać z przedstawionych założeń sytuacyjnych te konsekwencje fizjologiczne, które stanowić mogą, i to nieobojętne dla dalszego toku akcji, przesłanki działań psychologicznych. Przepraszam raz jeszcze, ale naprawdę realizm, jeśli się już ktoś przy nim uprze, zobowiązuje i może zmusić do takiego połączenia biegunki z czymś anielstwem, którego autor wolałby może uniknąć.

I tu jest właśnie miejsce na to, co Niemcy nazywają *aus einer Not eine Tugend machen* — bo otwierają się drogi niespodzianych krótkich spięć. Wszystko to powiedziałem na marginesie głównego problemu, bośmy, chcąc nie chcąc, wtargnęli w fizjologię, która jest niejako przedprozem tematu głównego, patologii. Jak na razie wynik naszych roztrząsań jest doskonale negatywny: przekonaliśmy się bowiem, że frontalne atakowanie spraw seksu wiedzie do klęski artystycznej. Wprawdzie akt spełnienia miłosnego ma w skali wartości artystycznych taką samą wartość funkcjonalną, jak przedstawienie agonii, drzewa czy jakiegokolwiek innego zjawiska lub rzeczy, ale przez swą szczególną pozycję w hierarchii ludzkich przeżyć posiada, ukazany w dziele sztuki, taką zdolność ekscytowania, która jest estetycznie szkodliwa, bo stanowi dla czytelnika potencjalne źródło doznań, na jakich autorowi najmniej zależy. To znaczy, ekscytując akt wyrывa się z kompozycji, autonomizuje się w sposób wybitnie niepożądany i jeśli aura psychiczna, stężenie atmosfery dzieła nie podporządkują go swym celom skutecznie, staje się grzechem nie tyle przeciwko moralności (co nas tu mniej martwi), ile przeciw sztuce komponowania, wyłomem w środkach integracji utworu. Co innego, jeśli wywołany dysonans był właśnie zamierzeniem artystycznym, jak to na niezbyt świetnym przykładzie owej monarchini usiłowałem przedstawić, wprowadzając go na dowód służebnych możliwości estetycznych zjawiska skądinąd skrajnie niesmacznego. Można by dodać dla ostrożności, że skatologia też pewne natury ekscytuje, ale to są już anormalności odbioru, a nie nadawania: my mamy jednak omawiać literaturę o zbroczeniach, a nie dla nich pisaną.

Wróćmy wszakże, bo czas najwyższy, do naszych zbroczeńców. Traktat o przydatności anomalii, dewiacji paranoidalnych czy epileptycznych (Smierdiakow, książkę Myszkin) można by naturalnie napisać, ilustrując go przykładami dzieł znakomitych. Wypadłaby książka gruba i pożyteczna. Ale o żadnym automatyzmie, który taki wybór bohatera czyni przesłanką powstania utworu co się zowie, nie ma mowy. Przykładem może być *Mur* Sartre’a. W psychopatologię niektóre opowiadania tego tomu wchodzą głębiej aniżeli Nabokov w *Lolice*. Ale we wspomnieniu pozostało mi po lekturze tylko uczucie wstrętu. Nie powstałoby oczywiście, gdybym czytał książkę jako zbiór historii chorób, ale to miała być wszakże literatura. Jest niedobra. Żadnego współbrzmienia, współczucia nie budzą zmaltretowane postaci Sartre’a. Napisał zimne studium, tak zatracające o kliniczność, że sobie pozwolił naszkicować kiedyś żartem pseudorecenzję, w której traktowałem *Mur* jako zestawienie psychiatrycznych przypadków. Można by je, w oparciu o byle dzieło medyczne, mnożyć do woli i też nic by z tego nie wynikło. Szaleństwo może być tematem „nośnym” artystycznie, ale trzeba tu tej transmutacji, tej za każdym razem na nowo odkrywanej metody, tego przekształcenia, które rodzi dzieło sztuki. Oczywiście udaję tylko, że nie wiem, o co szło Sartre’owi, szło mu o filozofię własną, bo *Mur* zawiera ilustracje do „mdłościowej” ontologii egzystencjalizmu, ale ilustrowanie beletrystyką filozofii, nawet szanownej, uważam za kiks, za nadużycie literatury, którą życzę sobie widzieć autonomiczną, na własny egzystującą rachunek, i w tym zgadzam się z posłowiem Nabokova do *Lolity*.

### III

Zboczeniec Nabokova jest maniakiem erotycznym na punkcie podlotków. Dlaczego? Upierałbym się przy tym, że potrafię i na to odpowiedzieć sensownie, to znaczy, utrzymując się w kategoriach rozeznania artystycznego, a nie psychiatrycznego. Jakiś ekshibicjonista, transwestyta, fetyszysta czy diabli wiedzą kto jeszcze byłby postacią wstrętną, co by literatura wytrzymała, ale byłby nadto postacią zbędną, niepotrzebną, a z takim bohaterem pisania powieści lepiej nie próbować. Nie mamy (uwaga prawie medyczna) w przypadku tego nieszczęsnego Humberta do czynienia z pedofilią „czystą”, bo podłotek to już nie całkiem dziecko, tkwi w nim jakiś kawałek kobiety, i tu jest pierwsze przejście, pomost ku normalności, który umożliwi kontaktowanie stanów psychicznych Humberta z czytelnikami, ale z drugiej strony taki podłotek jest na tyle dzieckiem, że natychmiast budzi się w nas potępiający sprzeciw, pogarda — jednym słowem jużesmy się w rzecz zaangażowali, co (jak się okaże) było artystycznie zamierzone.

Dlaczego zboczeniec Nabokova jest osobnikiem z pogranicza tego, co jeszcze intuicyjnie pojmowame, i tego, co odcięte od naszych introspekcyjnych możliwości?

„Normalny”, tj. „pełny” zboczeniec znajduje przeszkody dla zaspokojenia swych spaczonych namiętności w świecie zewnętrznym pod postacią tych wszystkich możliwości skandalu, uwięzienia, potępienia społecznego, na jakie, realizując swe cele, musi się narazić. Istnieją takiego zboczeńca rozmaite odmiany. Najpierw, i to najczęściej, jest to osobnik umysłowo bardzo nisko stojący, nieraz po prostu debil, kretyn, ale w rozmaitych wariantach, od imbecyla łagodnego, który gdzieś, kiedyś zgwałci zniecka staruszkę pod wpływem animalnego impulsu, zrodzonego w przyćmionej świadomości, po agresywnego, wtedy będzie to casus dla kryminologów, erotoman-sadysta np., jakiś Kuba-Rozpruwacz, w którym żądza mordu jako jedynej szansy zaspokojenia libido łączy się w szczególny sposób ze swoistą chytrą postępowania (postać takiego chytrego idioty-mordercy ukazał niemiecki film *Diabeł przychodzi nocą* — doskonale odtworzył ją aktor, którego nazwiska niestety nie pamiętam). Człowiek o umysłowości przeciętnej a spaczonym pociągu płciowym dzięki działającym nań od dziecka wpływom społecznym: rodziny, szkoły, środowiska, wykształca w sobie, nieraz nie całkiem świadomie, system hamulców, zakazów, tak że albo zupełnie się nie orientuje, dokąd zmierza strzałka jego popędów, albo zorientowawszy się kiedyś kosztem wielkich wysiłków wewnętrznych te ciemne siły skrywa w sobie i zabarykadowuje; może wówczas dojść do sublimacji popędu i z potencjalnego pedofila powstaje naprawdę świetny i moralnie czysty wychowawca np. W innych wypadkach rekrutować się mogą z takich ludzi psychopaci i histerycy czy nerwicowcy, których przeróżne dolegliwości somatyczne i duchowe są niejako powierzchownym wyrazem zatopionych w głębi ich psychiki przeklętych, niezawinionych ciężarów, przy czym istnienie takich skaz duchowych uzewnętrznia się dla otoczenia w sposób moralnie neutralny.

I zdarzają się na koniec jednostki o umysłowości nad—przeciętnej, które zdolne są do analizowania samodzielnego wszelkich zastanych w społeczeństwie norm i zakazów, psychopaci o wybitnej inteligencji, nieraz obdarzeni talentem i przypisujący sobie, w oparciu o tę samowiedzę, o świadomość własnej wyjątkowości, prawo do łamania obowiązujących norm. Uzurpacja taka zrodziła czyn Raskolnikowa. Wyróżnikiem tego rodzaju anormalności jest jej rzadkość, takiego przynajmniej wypośrodkowania, takiego złączenia cech charakterologicznych, popędowych i intelektualnych, żeby człowiek tego formatu nie traktował świata zastanych wartości zawsze jako wroga. Gdyby to był monomaniak przeświadczony o prawowitości swego postępowania (w sferze erotycznej albo innej, np. dysponowania życiem innych ludzi, jak Raskolnikow) w sposób bezwzględny, to — czy nadbudowywałby swym czynom motywację „wyższego rzędu”, jak czynił to bohater Dostojewskiego, czy działałby z pobudek pozbawionego takich „usprawiedliwień” egoizmu,

jak Humbert — przedstawiałby zawsze okaz czystej moral insanity. Zamiast problemu humanistycznego, artystycznego, pisarskiego, mielibyśmy przed sobą tylko kliniczny, zupełnie jak w przypadku zwyrodnialca–idioty, tyle że na wyższym pięttrze sprawności intelektualnej. Ale właśnie tak jest, że granica oddzielająca to, co można, od tego, czego nie można, zbrodnię od cnoty, grzech od czystości i piekło od nieba, przebiega wewnątrz takiego człowieka i autorytetem osądającym, przeciwnikiem staje się niekiedy on sam dla siebie w stopniu daleko intensywniejszym od czyhającego na nieprawość (aby ją skazać) społeczeństwa. Problem odwieczny skłonnej do grzechu natury ludzkiej, pytania o konwencjonalną (dla osobowości wybitnej przekraczalną) czy też ponadhistorycznie niezmienną linię zakazów, z którymi rudymmentarnie już chyba neandertalczyk zaczynał mieć kłopoty, u tego zbrojca są skoncentrowane szczególnie, podniesione do potęgi — i oto dochodzimy do zrozumienia, że „zbrojeniec” jest po prostu szkłem wyolbrzymiającym, że nie o studium perwersji idzie, tylko o artystyczny wybór środków, które umożliwią, w swym rezultacie ostatecznym, nowe (a to w literaturze najtrudniejsze!) przeżycie spraw seksu i miłości.

Dlaczego nowe, jeśli problem sam stary jest jak świat? Otóż casus Humbert–Lolita w taki sposób wprowadza problematykę erotyczną, że pisarz, niczego istotnego nie przemilczając, wykazuje całkowitą zbędność wulgarnego opisywactwa techniki seksualnej przy wkraczaniu w to jądro ciemności, okolone łuną spalającego nienasycenia, jakim jest miłość przerastająca wbudowany w człowieka przez naturę mechanizm utrzymania gatunku. Możemy obcować z nią, pozbawioną okiełzań pieczołowicie nawarstwianych zabiegami cywilizacyjnymi, tak oddaloną od norm uświęconych, że zamiera wobec niej nasz odruch klasyfikacyjny, usiłowanie określenia jednoznacznego. W tłumnym centrum nowożytnego kraju zbiegają się, niby w obręb próżni hermetycznie z zewnątrz zamkniętej, czułość wzniosła i wstrętna dwojga „kochanków”, okrucieństwo, zarazem tragiczne i bezradne, nareszcie śmieszności zbrodni, a przemieszanie to, ta synteza, czyni natężenie przeżycia silniejszym od potrzeby rozstrzygnięcia, kto był oprawcą, a kto ofiarą. W wystygłej reminiscencji, w oczach każdego sądu, nareszcie zgodnie z wszystkim, co dzielimy na dobre i złe, nie ma naturalnie miejsca na podobne wahanie, ale czytając ostatnie słowa książki nie stać nas na wydanie wyroku, nie dlatego, żeby to było niemożliwe, ale dlatego, że odczuwamy jego zbędność, i to uczucie, z jakim odkładamy tom, stanowi, w moim rozumieniu, jedyny właściwie przekonujący dowód sukcesu pisarskiego.

Na pewno można by, analizując, powiedzieć o *Lolice* wiele rzeczy mądrych. Niedojrzałość Lo, zamaskowana pseudopewnością siebie, jest w gruncie rzeczy jakimś obrazem infantylności kultury amerykańskiej, ale kwestię tę, puszczającą dalekie korzenie w głąb socjologii tamtejszego życia, pomiję. Los dziewczynki, prawdziwie nie do pozazdroszczenia, mimo iż Nabokov nie wyposażył jej w żadne właściwie cechy „pozytywne”, że ta mała duszyczka po brzegi wypchana jest komiksowo–peppermintowo–reklamowym śmieciem, że odebrał jej nawet na wstępie szansę „zdeptanej niewinności”, obdarzywszy podlotka trywialnym doświadczeniem płciowym, że powiedział tyle, abyśmy nie mogli wątpić w zupełną zwyczajność, bylejąkość nawet jej osoby, której nic wspaniałego nie oczekiwano w życiu, nawet gdyby nie pojawił się w nim fatalny Humbert — los ten jest tragiczny i wydobyć takiej nuty z owej pustki stanowi sukces odrębny: bo jest to ukazanie immanentnej wartości najbardziej nawet stereotypowego, pozbawionego wszelkiej atrakcyjności i urody duchowej — człowieczeństwa. Co prawda jednym z uprawnionych zresztą psychofizycznie sposobów, jakim pisarz tego dokonał, jest uczynienie Lolity „frygidą”, ale trudno mieć mu to za złe.

Humbert w późniejszych zwłaszcza partiach książki wyjawia, od jak dawna orientował się w tej sytuacji nie do zniesienia (o jej psychologicznej stronie myślę), jaką małej stworzył, i jak konsekwentnie wiedzę tę ignorował, bo mu z tym było wygodnie. Był on w ogóle wielką

świnią, jak przystało na współczesnego bohatera, wiedział o tym i nie żałował sobie wcale epitetów nawet mocniejszych — a już niektóre sceny czynią go wprost wstrętnym, na przykład uplanowanie uśpiania Lolity w pierwszą wspólną noc jakimiś pigułkami, aby móc, nie kalając niewinnej duszyczki (streszczam myśli Humberta), zaspokoić własne pożądanie. Ta troska o duszyczkę, okropnie faryzeuszowska, nie doszła zresztą do skutku, bo środek nie chciał działać i okazało się nadto, że duszyczka nie jest niewinna. Są tam i historyjki paskudniejsze jeszcze. Mówię o tym dlatego, iż posługiwałem się wyżej tak wielkimi słowami, jak tragizm, tragiczność, a realia, gdy im się przyjrzeć, zwłaszcza w części pierwszej, są właśnie takie, jak przykładowo wspomniane. Gdyby lekturę powieści po jakichś stu stronach urwać (a irytowała mnie na początku niemało, zwłaszcza pewne fragmenty prehistorii Humbertowego zboczenia podane są manierą podobną do tej, jakiej używał Sartre w Murze), pozostałoby — właśnie jak po Murze — tylko wrażenie niesmaku. Ale potem przychodzi miłość i chociaż obecność jej uświadamiamy sobie późno, prawie tak późno, jak sam Humbert, w miarę sumowania się jego wciąż jednakowo konsekwentnych postępków zadziwiający trybem oddalamy się od przeświadczenia o obrzydliwości tego człowieka, bo tyle w nim rozpaczy. Zastanawiałem się nawet, czy nie rozpacz jest głównym motywem całości. To kontynuowanie stanu nie dającego się kontynuować, to prowadzenie od jednej sytuacji nieznośnej do następnej, jeszcze psychologicznie dotkliwszej, to schodzenie z ponizenia w ponizenie — przywodzą na myśl aurę pewnych stronic Dostojewskiego, których znieść prawie nie sposób, tak są przytłaczające. Wypadałoby może powiedzieć kilka słów o „teorii” Humberta na temat „demonicznej”, do grzechu kuszącej natury pewnej odmiany podlotków, owych „nymphets”, których umiejętność rozpoznawania posiadał rzekomo, według wielokrotnie składanych w swej spowiedzi zapewnień, w tak niezawodnym stopniu. Teorię tę uważam za plód jego dewiacji, za próbę racjonalizacji wtórnej i obiektywizacji własnego odchylenia od normy, a zatem za projekcję w świat zewnętrzny własnych emocji. Widać łatwiej było mu pogodzić się ze swą naturą, gdy choć część odpowiedzialności za to, co robił, mógł przesunąć z siebie na „aniołkowate succuby”. Nie chciałbym udawać, że w ogóle żadnego problemu, oprócz psychiatrycznego, tu nie ma, bo rola niedojrzałości, jej siła atrakcyjna stanowić może, i nie tylko nawet w sferze erotycznej, czynnik pierwszorzędnej wagi, aż do całkowitego nią zaabsorbowania wyobraźni artysty (Gombrowicz!). Ta jednak sprawa wydaje mi się marginesowa w zestawieniu z osią główną powieści.

Odrębna jest kwestia środków zapobiegających ześlizgom ustępów lirycznych w sentymentalizm. Nie to, żeby go w dziele nie było. Lecz gdy ani dokonywany na każdej stronicy psychiczny samosąd, ani autoironia, ani zgryźliwa cierpkość nie mogą zniweczyć Humbertowej czułości, od popadnięcia w kicz ratuje ten nurt dzieła wyłącznie adres uczuć i towarzyszące ich manifestacji okoliczności. Ładny bo mi to sentymentalizm, szpikowany lirycznymi westchnieniami, które dobywają się z piersi „tatusia”, zmuszającego „córeczkę”, żeby oddała mu się rano, inaczej nie poda jej śniadania do łóżeczka! Trzeba zważyć, że ten dodatkowo komplikujący i tak solidnie już upiekielnioną historię erotyczną melanz tkliwości i bezwzględności, ocierając się o motyw kazirodztwa, faktycznie tej ostatniej granicy nie przekracza, choć w końcu mógł Nabokov uczynić z Humberta autentycznego ojca Lolity. Myślę jednak, że wtedy kumulatywnego działania wszystkich środków zastosowanych przez pisarza byłoby mało i doszłoby do katastrofy (artystycznej, rozumie się, bo wciąż operujemy kryteriami estetyki raczej aniżeli moralności).

Rzeczy prawdziwie dziwne, z punktu widzenia „normy psychopatologicznej” przynajmniej, dzieją się u końca powieści. Otóż to, że odnalazłszy Lolitę już właściwie dorosłą, oczekującą dziecka, zamężną, Humbert dalej jej pragnie i poza nią na niczym mu nie zależy, stanowi w pewnym sensie przekreślenie wyjściowych założeń, że to jest o takim, który był zboczony, bo mógł tylko z małymi dziewczátkami. W scenie ponownego spotkania po dwu latach Lolita, zabiedzona, w ostatnich miesiącach ciąży, w okularach, nie budzi w



Humbercie oczekiwanych przez nas (w konsekwencji niby), „zwyrodniałych” ex definitione chuci. Co się stało? Czyżby Humbert „znormalniał”? Ze Stawrogina jakiegoś zrobił się Dante, stojący przed Beatrycą? Czy to może błąd konstrukcyjny? Przeciwnie: to realizacja świadomego zamierzenia. Bo sprzeczność jest i wyraźna, i licznymi akcentami kładzionymi wcześniej przygotowana! Gdy matka Lolity w początkach książki wysyła małą na obóz letni, Humbert nie tyle nawet samą aktualną rozłąką jest przerażony, ile tym, że upływ czasu pozbawi go wszelkich w ogóle szans ziszczenia rojeń, w introspekcji uwidoczniona zostaje pełna świadomość tego, że Lolita jest dlań bezcenna dzięki tej fazie przejściowej i przelotnej życia, w jakiej ją spotkał, że za jakieś dwa — trzy lata, zmieniając się w kobietę, jedną z istot, na których powaby najzupełniej jest obojętny, szczególnie dlań tak, jakby miała umrzeć. Tymczasem mijają nie dwa, nie trzy, ale cztery lata i wszystko się odmienia. Co się zatem stało? Czyżby Humbert pożałował wspomnienia, zwracał się ku wyobrażeniu przywołanemu z przeszłości?

Odpowiedzi udzielimy później. Pierwej wskazane będzie wprowadzenie czynników dodatkowych, dlatego zajmijmy się raczej samym zamknięciem powieści. Jest nim morderstwo owego „uwodziciela”, makabryczno-farsowe niejako w spiętrzeniu, bo, po pierwsze, jeden zwyrodnialec, który „grał tatusia”, zabija drugiego, który pijany, konający, ukazuje zadziwiająco wiele całkiem niespodziewanej godności, a po wtóre, samo zabójstwo przedstawia się jako sekwencja czynów tak chaotycznych, tak z obu stron bezradnych, że trudno znaleźć podobne w literaturze.

A jednak wypowiem teraz dwa generalne zastrzeżenia; pierwsze wobec introdukcji, drugie wobec tej właśnie kody, finału *Lolity*. Wstęp wydaje mi się jakby skądinąd wzięty, celujący w stronę inną niż ta, w którą książka poszła. Wiem, że i to było zaplanowane, jak postaram się wykazać niżej, ale jakoś nie wyszło. Pewne sceny zautonomizowały się nadmiarem (o podobnym niebezpieczeństwie mówiłem a propos „śmiałego kopulacjonizmu”). Są tam, w partiach pierwszych zbliżeń z Lolita, głuche, wewnętrzne zgrzyty, zwłaszcza jedna scena wstrętna do perfekcji, zalatująca atmosferą „pamiętnika oszalałego onanisty”, której czytelnikowi nie dość wyrozumiałemu starczyć może, aby powieść odrzucił. Mogło tych drastyczności nie być, nie dlatego, że są za silne, ale że, na odwrót, powieść osłabiają. To schodzenie w głąb piekła erotycznego odbywa się przecież na setkach stronic, żadne ze stopniowych upokorzeń nie zostają ani Humbertowi, ani Lolicie oszczędzone, po cóż więc Nabokov tak od razu przebrał miarę, jakby nie mógł na wodzy utrzymać swego bohatera? Jest to jedno z niewielu miejsc tej powieści krzykliwych do naturalizmu. A pretensja wobec zakończenia już inna. Będę mówił o odległych koneksjach Lolity z twórczością Dostojewskiego i pozwolę sobie te, ku końcowi zmierzające, uwagi uprzedzić przywołaniem jego potężnej obecności. Ten wielki Rosjanin (proszę wybaczyć, że mówię w jego imieniu) zabójstwem może by i rzecz zakończył (bo mógłby powieść tak monotematyczną napisać), ale całkiem inaczej. Jak? Jak on by to zrobił, tego nie wiem, ale wiem, co mnie w epilogu razi: świadomie artystowski wysiłek, taki, który jest widoczny. Centrum książki jest dokładne artystycznie jak kula ognista, żądzą, namiętnością, zmaltretowaniem bez granic spojona w jedność niejako naturalnie, wstęp natomiast ma zacieki dosyć taniego w gruncie rzeczy cynizmu, poprzedzianego lirycznymi okrzykami bólu psychicznego (bo wszystko jest wszak spisywanym w więzieniu pamiętnikiem Humberta), ale wstęp można zapomnieć, przebrnąwszy przez rozpalone centrum, zakończenia jednak zapomnieć nie można, z nim się już zostaje. Otóż, powiedziałbym, Nabokov chciał ukazać scenę zabójstwa realistycznie, więc zmieszał w swoim kotle farsowość i okropność mordy, ale jakoś przefajnował, przeciągnął, poosłabiał akcenty, aż pokazały się w tym gąszczu zworniki konstrukcji, nośny jej szkielet, pieczołowicie przemyślany, dlatego że miało być inaczej niż w thrillerach. Tu sztydło wychodzi z worka. Mówię „na intuicję”, ale wyobrażam sobie, że scenę finałową chciał Nabokov uczynić jakimś superpastiszem thrilleru, tego bękarta romansu epoki wiktoriańskiej i

pamiętników markiza de Sade, czy raczej takim owego sensacyjnego paskudztwa seryjnego przeciwieństwem, które by tysiącrotnie piórami nędznych skrybów spetryfikowany stereotyp „mordu z premedytacją” strzaskało. Może nie był to zresztą zamysł świadomy. W każdym razie, podczas gdy trzon akcji przy całej jej potencjalnej melodramatyczności (pożądliwy samiec, niewinne dziewczątka, orgie itp.) usamodzielniał się, uprawdopodobnił artystycznie, tak że z całą nędzą thrillerów stracił wszelki związek i podobieństwo, moment zabójstwa wysunął niejako ów, przewyciężany dotąd, izomorfizm na plan pierwszy.

Facet przychodzi do faceta z rewolwerem i zabija go. Trzeba to było zrobić inaczej, lepiej, prawdziwie] niż w thrillerach i tak też zostało zrobione. Niestety, okazuje się, że tego było mało. Za dobrze wyszło to szamotanie, zbyt precyzyjny tam chaos, zanadto rozmijające się z sytuacją słowa, akt morderstwa jak akt płciowy ma w sobie, trudno i darmo, coś z banału (artystycznego, proszę o wyrozumiałość!), a Nabokov boi się banału jak ognia. Dostojewski by błędu takiego nie popełnił, bo nie bał się niczego. Sam był sobie światem, sam stanowił prawa swych dzieł i żaden wpływ zewnętrzny nie wszedłby mu w paradę. W ostatecznym rozrachunku okazuje się, że z dwu pisarzy, z których jeden nie chce się liczyć z konwencjami, a drugi po prostu ignoruje je pisząc, ten pierwszy jest słabszy: działa przeciw czemuś, jak człowiek, a drugi tylko działa, jak demiurg. Jeszcze chwila, a powiedziałbym „jak żywioł”. To znaczy jak Natura, z dorównującą jej obojętnością na wszystko zastane. Ale może w takich ogólnikach czai się już głupstwo. Przejdźmy do epilogu tych uwag.

## IV

Tak się rozzuchwaliłem, że wyjawię teraz relacje, jakie, moim zdaniem, łączą powieść Nabokova z pisarstwem Dostojewskiego. Zaczniemy skromnie. Być może, przydarzy mi się splagiowanie czyichś sądów krytycznych — nic o nich nie wiem. Skończywszy *Lolite* sięgnąłem z musu niejako po *Zbrodnię i karę*. Jedną z najbardziej mnie tam fascynujących postaci jest Arkadiusz Swidrygajłow. Czyżby Humbert miał być o sto lat późniejszym jego wcieleniem? Szukajmy przesłanek takiej hipotezy. Gdybym był krytykiem analitycznym, wziąłbym się do istnego śledztwa. Ukazałbym pewne fizyczne nawet podobieństwa obu postaci: naiwna literatura chętnie wyposażała zbrojeńca w rysy anormalności cielesnej, w każdym razie jakiejś szpetoty, tymczasem Swidrygajłow i Humbert to mężczyźni co się zowie, barczyści, rośli, przystojni, obdarzeni ponadprzeciętną inteligencją. Jeden jest jasnym blondynem, drugi — brunetem. Ha! — rzekłby nasz krytyk—detektyw — proszę, Nabokov usiłował odmienić pierwowzór, przefarbował mu więc włosy! Ale nie na wykazaniu takich podobieństw mi zależy. Pragnąłbym raczej wskazać, że jedyną właściwie postacią Zbrodni i kary, której (poza bohaterem głównym) wewnątrz psychiczne ukazuje pisarz, jest Swidrygajłow. Zachodzi wówczas niezmiernie dla naszych celów doniosła przemiana. Przedstawiony z zewnątrz, jest Swidrygajłow, co tu dużo mówić, potworem. I żonę zgładził, w każdym razie przyczynił się do jej śmierci, i szpicrutką sobie poczynał, i do dziewczynek ma słabość taką, że doprowadził nie „nymphet” jakąś, ale sierotę, niemowę, do samobójstwa — chyba wystarczy? Z chwilą jednak, gdy znajdujemy się wewnątrz niego, gdy uczestniczymy w jego zwidach i koszmarach sennych, staje się coś szczególnego: potrafimy, po części przynajmniej, to monstrum zrozumieć, współczuć mu chwilami, co więcej, jego monstrualność zdaje się w szczytowych punktach przeżyć zanikać i pozostaje wtedy, jako jedyna materia, psychiczna rozpacz, tak uniwersalna, że wciela się jakby w świat cały, że poza nią nie zostaje już nic i dlatego, z braku punktu odniesienia, nazwać jej nawet nie można; i jest jakaś autentyczna ulga w przejmującej niezrównaną prostotą i surowością chwili samobójstwa (które zarazem stanowi akt nie powtórnego w literaturze świata ekshibicjonizmu, ostentacji kroku „tam”, w tę swidrygajłowską wieczność, przedstawioną przez brudną, pełną pajaków klitkę), jest w tym wstrząsające ukojenie i pogodzenie z ową w ułamkowym mgnieniu człowieczeństwem wypełnioną kreaturą. Wszystko dzięki introspekcji. Humbert, opisany z zewnątrz, byłby, myślę, jeszcze bardziej wstrętny od Swidrygajłowa, bo jest od niego „subtelniejszy” i tchórzliwszy, i śmieszniejszy, a właściwie po prostu śmieszny; postaci bowiem Swidrygajłowa brak komizmu.

Wszystko, co powiedziałem, było wstępem do właściwego wywodu. Swidrygajłow, jak wiemy, dwie miał namiętności: jedną była siostra Raskolnikowa, Dunia, drugą — mniej lub bardziej anonimowe podlotki. Dunia była, żeby tak rzec, do kochania, a podlotki do wyuzdania. I, co się tyczy tych dziewczynek, miał Swidrygajłow manię szczególną: w rzeczywistości uwiódł, zhańbił dziecko, ale marzyło mu się, żeby było akurat na odwrót. Bo w ostatnim swoim śnie, tym, który poprzedza bezpośrednio akt samobójczy, zwiduje mu się, że nocą odnaleziona w zakamarku brudnego korytarza hotelowego dziewczynka, którą, splakaną i zziębniętą, kładzie do swego łóżka, najpierw udaje sen, a potem usiłuje — ona jego! — uwieść!

Dokładnie to właśnie stało się, już na jawie, z Humbertem i Lolitą, ona uwiódła go, co prawda w pokoju m o t e l o w y m, ale też sto lat minęło od powstania *Zbrodni i kary*.

Teraz, myślę, wszystko staje się jasne. Dwie postaci, dwie strony namiętności Swidrygajłowa, miłość do kobiety dorosłej i pociąg zbrojeńczy do dziecka, Nabokov scalił. Jego Humbert to seksualny dr Jekyll i mr Hyde, który, sam o tym nie wiedząc, zakochał się w obiekcie swej spaczonej żądzy.

Teraz wyjaśnia się zarazem owa zaskakująca pozornie sprzeczność, która Humbertowi—

zbożeniowi każe pod koniec powieści stać się wiernym *Lolice*, „ta wierność” zbożeniowa wobec swej ofiary wyjaśnia się nie tyle nawet dlatego, że doszło do zlania dwu prawzorów — Swidrygajłow uganiał się za dziewczynkami (nb. miał jeszcze w Petersburgu „rezerwową” ofiarę w nieletniej „narzeczonej”), ale kochał tylko Dunię — w *Lolice* tkwi coś ponadto. Oczywiście, dokonawszy syntezy, musiał Nabokov zamienialność obiektów żądy, właściwą „normalnemu zbożeniu”, zastąpić niezamienialnością „hiperfiksacji” erotycznej, która jest wyróżnikiem dojmującym miłości. Nie było to jednak rezygnacją z praw psychologii, ale z praw kliniki: poprzez najniższe kręgi zwierzęcego seksu, przez bezwzględny jego egoizm, drogą niejako odwrotną, niż ją zazwyczaj toruje sztuka, dotarł do miłości, i tak dwa nie do pogodzenia zdawałoby się bieguny, diabelstwa i anielstwa, okazały się jednością. Narodziło się tak uwzniośnione z poniżenia uczucie, że powstało z tego dzieło sztuki.

Ponieważ tyle powiedziałem o afiliacjach *Lolity* z częścią kręgu tematów Dostojewskiego, niezbędne są pewne zastrzeżenia. O tym, aby książka Nabokova wywodziła się stamtąd w prostej linii, nie ma mowy. Najpierw, dzieje się z Humbertem coś, co dla Dostojewskiego nigdy by nie było możliwe. Pociąg do dziecka, zhańbienie go przedstawiały mu się jako piekło bez możliwości zbawienia, jako grzech dorównujący potępięczością morderstwu, tyle że przewrotniejszy jeszcze, albowiem stanowiący źródło najbezwzględniejszej ze wszystkich zakazanych człowiekowi (choć naturalnie diabelsko kuszącej przez to) rozkoszy. Granica, na której stawał Dostojewski, a raczej jego Stawroginowie i Swidrygajłowowie, brak szansy uwznioślenia takiego grzechu, nie dlatego była nienaruszalna, że brakowało mu odwagi — już to o jej brak nikt nigdy nie mógłby go posądzić — ale dlatego, że był bezkompromisowy i wcielał tę swoją bezkompromisowość w postaci kreowanych potworów. Były to postaci wielkie nie tylko rozmiarami swych występków. Nadprzeciętność ich nie ograniczała się do sfery intelektu, ale rozszerzona była na całokształt osobowości. Choć odpychający, mieli w sobie Swidrygajłow i zwłaszcza Stawrogin coś niezmiernie urzekającego. W takim zestawieniu Humbert wyraźnie maleje. Jest on klerkiem, jest par excellence intelektualistą, estetą, europejskością samą, nie pożąda Grzechu ani nawet grzeszków (pierwszego, bo za nic ma religijną metafizykę, drugich, bo mu to nie w smak), a tylko po prostu przyjemności, jego bezwzględność wynika z samozakłamanania i samolubstwa, nie z sadyzmu ani okrucieństwa, dowiadujemy się nieraz, że sama myśl o przemocy, o gwałcie byłaby mu wstrętne, jednym słowem ten zbożeniec to przy całej szczerości wyznań faryzeusz, który rad by się wygodnie urządzić, a i Lolitę zadowolić, tyle że się to niestety ku jego trosce, zmartwieniu, rozpaczy całkowicie nie udaje. Nie dręczą go wyrzuty sumienia, dopóki ma nad Lolitą władzę, tylko strach, najzupełniej świecki, że tak powiem, a i fizyczne z postaciami Dostojewskiego podobieństwa nie sięgają daleko. To bowiem, co pociąga w nim kobiety, to typ urody podobny do ideałów męskości, jaką lansuje Hollywood. Jednym słowem, ten przestępca seksualny nie jest wielkim zbrodniarzem; określiło go zresztą już jedno słowo, które padło wcześniej: to świnia. Świnia Stawrogina nazwać doprawdy niepodobna.

Wszystko to tak. Tym niewdzięczniejsza jest rola Nabokova, bo daje on Humbertowi szansę ekspiacji w kulminacyjnej dla mnie scenie dzieła, kiedy, stanąwszy przed „Lolita odnalezioną”, Humbert odkrywa, że tę pozbawioną wszystkich „nymphetycznych” uroków, ciężarną, wyblakłą Lolitę, która woli każdą parodię, najlichszą nawet, życia rodzinnego od losu, który „ojczym” jej zgotował — kocha dalej, a może: kocha dopiero teraz czy wreszcie: nie wiadomo właściwie, od kiedy, bo metamorfoza zachodziła stopniowo. Uczucie, wbrew własnym jego przypuszczeniom, nie gaśnie, a tym samym niezamienialność *Lolity* na całe zastępy znajdujących się we właściwym stadium niedojrzałości „nymphetycznych” hurys objawia się Humbertowi jako coś ostatecznego, przerastającego jego zdolność pojmowania, jego talent wyszydzenia, wykpienia wszystkiego, co go spotykało, jako tajemnica, z którą walczyć ani chce, ani umie. Rozpacz tego odkrycia, pogłębiona jeszcze kategorycznością jej odmowy odejścia z nim i ponad wątpliwość nie mogąca znaleźć żadnego ujścia w sferze

działań zewnętrznych, pozbawiona szansy odkupienia w przyszłości, czyni dla czytającego możliwą do zniesienia całą wstrętną przeszłość, i więcej jeszcze: ta rozpacz kulminuje w niewysłowionym *explicite* stanie duchowym, którego ekwiwalentem religijnym byłby szczery żal i skrucha oraz natężeniem nie ustępująca im czułość, nie skażona już w owej sekundzie niczym wobec ofiary. Powiadam: ekwiwalentem religijnym, aby znaleźć skalę wartości porównawczych, gdyż scena ma atmosferę całkowicie laicką, bo w powieści nic oprócz tego, co doczesne, nie jest uznane za możliwe. W taki sposób *Lolita* staje się z przypadkowej i jednej z wielu jedyną i niezastąpioną, bezcenną nawet w antycypowanej brzydocie cielesnej porodu, przejrzenia, gaśnięcia. I tak w owej, sekundy właściwie trwającej, chwili zniweczony zostaje mechanizm żądzy występnej już nie przez podeptanie zakazów prawnych i społecznych, ale przez fakt całkowitej obojętności i nieczułości na los, na krzywdę nieodwracalną, na świat duchowy erotycznego partnera z przymusu. Gdy dokonuje się na oczach czytelnika w owym mgnieniu synteza przedmiotu pożądania „nymphetycznego” z przedmiotem miłości, jego upodmiotowienie, zjawisko staje się obce posępnej krainie postaci Dostojewskiego i przedstawia jednoznaczną własność Nabokova i osobliwość jego dzieła.

Tyle co się tyczy losu postaci. Jest jeszcze trzecia różnica, nie pozwalająca ustawić książki Nabokova na linii pisarstwa Dostojewskiego. Stanowi ją warstwa stylistyczna utworu i wtopiony integralnie w spowiedź Humberta czynnik wszędzie obecnego humoru. Udało mu się ośmieszyć nawet to, czego komizm pozornie mieć się nie może — żądę, poprzez ukazanie rojeń Humberta o jakimś przyszłym małżeństwie z *Lolita*, o nadziei pocieszenia się, gdy będzie miał z nią córeczkę, następną „nymphet”, która umożliwi mu repetycję wszetecznych rozkoszy. Bezmierne obrzydlistwo tych rojeń nie zatrzymuje się tu wszakże, lecz rozwijana dalej fantasmagoria na jawie przedstawia Humbertowi jego samego jako krzepkiego starca, który igra jeszcze sprośnie z własną wnuczką, poczętą w kazirodczym, z następną *Lolita*, stosunku, a w taki sposób przemakabryczne staje się nagle przez monstrialność wyolbrzymienia po prostu komiczne. Ów „hiperoptymizm priapiczny” kompromituje, ośmiesza, ad absurdum sprowadza żądę, a zbudzony w czytelniku śmiech ratuje w owej sytuacji Humberta, tak jak ratuje go w wielu innych, trudniejszych może nieraz do wykpienia pisarskiego, a przez to — do równie lakonicznej jak ta analizy.

\*

Uwagi te zawierają istotną sprzeczność. Najpierw dziedzinę tak ludną, jak krytyka literacka, ogłosiłem próżnią, aby potem tę rzekomą próżnię powypelniać własnymi apodyktycznymi sądami. Nie mogę odeprzeć tego zarzutu nawet wyjaśnieniem, że chciałem tylko spróbować, co sprawdzalnego orzec się da o tworzeniu dzieł literackich w jednej z tych stref przejściowych, gdzie drażliwość tematu obciąża do granicy wytrzymałości nośność środków literackich. Nie mogę tego zrobić, bo nie wiem, czy każdy (a raczej wiem, że na pewno nie każdy) zgodzi się z moimi założeniami. Odwołać się mogę dla swojej obrony tylko do szacownych przykładów, jakie stanowią filozofowie solipsyści, którzy piszą o solipsyzmie dzieła, postępując niekonsekwentnie, bo skoro wierzą, że oprócz nich nikt nie istnieje, nie mogą liczyć na czytelnika tych swoich o solipsyzmie traktatów. Dla kogoś *Mur* i *Kochanek Lady Chatterley* mogą być właśnie wyborną literaturą, a *Lolita* — książką, w której jedyną rzeczą większego kalibru jest świństwo. Nie ma na to rady. Nie wierzę bowiem w to, żeby ktokolwiek (krytyk wnikliwy np.) mógł czytelnika, który już rzecz przeczytał i z niechęcią odrzucił, przekonać do dzieła i wzbudzić zachwyt. Nigdy mnie biały niedźwiedź do nurkowania pod lodami arktycznymi nie przekona, chociaż nie wątpię, że jemu sprawia to przyjemność. Ale *Lolita*, gdy już tak idealnie się nie pogodzimy, jak to tylko możliwe, wprowadza problem osobny, tych stref przejścia, o których wspomniałem. Tkwi ona na gruncie niepewnym, który oddziela thriller od psychologicznego dramatu; takich stref jest

więcej. Między studium psychopatologicznym a powieścią kryminalną, między fantastyką naukową a literaturą bez przydawki czy wreszcie — między pisarstwem „dla mas” a literaturą elitarną. Bo co do tego, że rozziw między notowaniami ekskluzywnej giełdy artystycznej a poziomem produkcji typu mass culture rośnie, nie ma chyba wątpliwości. I jakkolwiek próby krzyżowania tak horrendalnie odległych gatunków wydają się szalone, a eksperymentator na tym polu może ujrzyć się pozbawionym zarówno czytelników intelektualistów, bo już go czytać nie zechcą, jak czytelników masowych, bo to jeszcze za trudne, odważyłbym się na takie hybrydy stawiać. Mogą okazać się żywotne nawet bez tej aury skandalu, który z tłumu bezustannie ukazujących się na świecie książek wyniósł *Lolite*.

Przedruk z: „*Twórczość*” nr 8 1962

## MINIATURA NIHILISTY

### I

*Dzień oszusta*\* jest książką przerażającą. Nie przedstawionymi w niej faktami, ale naszą wiedzą o ich charakterze. Gdyby bohater Iredyńskiego był zjawiskiem wyjątkowym, odpowiednikiem — na planie psychologicznym — anomalii ustrojowej, typu wrodzonego potwornictwa, za którego powstanie „winę” ponosi nadzwyczaj rzadki „lapsus” działania chromosomów, to znaczy nikt — mielibyśmy przed sobą książkę niegodną uwagi niczyjej oprócz snobów i klinicystów. Jako utwór literacki bowiem, przedstawiający jednostkę psychicznie zdefektowaną, której egzystencja wynika z dających się wymyślić sposobów nadużywania norm sytuacyjnych, nadawałby się *Dzień oszusta* do ustawienia na półce kolekcjonera dziwolągów raczej niż miłośnika beletrystyki. Cokolwiek mianowicie pozytywnego można powiedzieć o pisarskich umiejętnościach autora, nie one same w tym wypadku decydują, nie one czynią z tej long short story rzecz zasługującą na dokładną analizę, tak jak potrzeby owej analizy nie czynią zbędnymi wszystkich obciążających Iredyńskiego słabości artystycznych. Wartość książki leży w jej reprezentatywności, w tym, że przedstawia ona zjawisko z zakresu patologii społecznej, a nie indywidualnej. Dlatego bez względu na pobudki, jakie spowodowały napisanie *Dnia oszusta*, a choćby nawet wbrew nim, książkę uważam za cenną, ponieważ stoję na stanowisku, że wiedza jest zawsze lepsza od ignorancji.

Nie wydaje mi się, żeby Iredyński napisał dokładnie to, co chciał napisać. Mówię to niechętnie, ponieważ jestem przeciwnikiem krytyki insynuującej, to znaczy wykraczającej poza tekst napisany i sięgającej do pozaartystycznej informacji o samym autorze, o sposobach, jakimi doszedł do wiedzy o zawartych w dziele faktach. Z takich praktyk wywodzące się przypisywanie zbrodni bohaterów ich twórcom wydaje mi się zakazane, nie tyle nawet przez wzgląd na obelżywość podobnego postępowania, co przez jego nieistotność. Plotkarski charakter tego rodzaju informacji ekscytujący współczesnych, a szczególnie już znajomych autora, nie ma bowiem, a raczej nie powinien mieć wpływu na ocenę utworu. Oczywiście, jeśli sam autor, jak na przykład Rudolf Hoess, oświadcza, że przedstawia nam swój pamiętnik, jesteśmy w prawie przypisać mu ukazane w tekście postęпки. Wówczas jednak mamy do czynienia z autentykiem, a nie z utworem literackim. W praktyce stosowanie tego zabiegu różnicującego jest niezmiernie utrudnione przez rozwój prozy, która do swoich chwytów włączyła mistyfikację, imitowanie dokumentalnego charakteru relacji, czy też takie gmatwanie sprawy, przeprowadzane przez autora najzupełniej świadomie, żebyśmy nie umieli odróżnić autopsji od zmyśleń. Przy tym krytyk spotyka się z kulminacją trudności wtedy, gdy autor wszelkimi stojącymi mu do dyspozycji środkami utożsamia się z bohaterem tyleż wiarygodnym, co ohydny. Takie pozory autentyku cechują np. pewne opowiadania Tadeusza Borowskiego, w których dystans pomiędzy autorem i bohaterem zredukowany zostaje do zera. Rzecz jasna, dylemat krytyka nie sprowadza się do kwestii ewentualnego naruszenia zasad *savoir vivre*'u, przenikliwość zaś jego nie wtedy okaże się największa, kiedy autor potwierdzi mu jej osiągnięcie pobiciem. Narażając się na takie potraktowanie, krytyk ukazuje być może odwagę osobistą, ale na pewno nie profesjonalną biegłość. Cała sprawa ociera się metodologicznie o absurd, z drugiej bowiem strony krytyk nie ocenia dzieła jako „rzeczy w sobie”, lecz musi dysponować wiedzą pozatekstową, sprawdzalną społecznie i psychologicznie, a konstatacja, że łajdak doskonale opisał łajdaka albo oszust — oszusta, niczego, poza trywialnym raczej uprawdopodobnieniem samego powstania dzieła, do analizy nie wnosi.

---

\* I. Iredyński *Dzień oszusta*, Kraków 1962

Wynikałoby z tego, że krytyk powinien opierać się na dostępnej każdemu wiedzy o zjawiskach zarówno literackich, jak społecznych i że tylko z taką wolno mu utwór zestawiać, przez co nie tylko uchroni się przed ewentualnymi przykrościami natury pozaartystycznej, ale podporządkuje się wytycznym metodologii, która na myśzkowanie w biografii artysty zezwala dopiero w jakiś czas po jego śmierci. To ostatnie zjawisko posiada, nawiasem mówiąc, wcale szerokie koneksje w innych dziedzinach. Wiadomo, że jak poważny występek uważa się, i to bynajmniej nie tylko w kręgach spirytualistów, wtargnięcie do czyjegoś grobu. Gdy jednak od daty śmierci upłynie odpowiedni czas, nikt już jakoś nie widzi w postępowaniu takim profanacji i dlatego archeologowie mogą spokojnie rozkopywać groby, zupełnie jakby majestat śmierci był z natury swej czymś lotnym i opuszczał zwłoki przy dostatecznie daleko posuniętym rozkładzie. Pozostawmy jednak umarłych w spokoju, tym bardziej że mowa o pisarzu jak najintensywniej żywym. Rozstrzygnięcie nasze okazuje się pozorne, cóż bowiem mamy począć, kiedy utwór, jak właśnie *Dzień oszusta*, stanowi zmieszanie elementów o charakterze autopsji z innymi, których sytuacyjna niewiarygodność jest oczywista? Czy krytyk ma wówczas udawać, że nie wie, kiedy autor sam działa poprzez bohatera, a kiedy, z natychmiastowym spadkiem wiarygodności, oddala go od strefy własnych doświadczeń i autonomizuje go w innych działaniach? Czyli: co począć, kiedy dystans między autorem i bohaterem utworu nie jest wielkością stałą, lecz zmienia się, przy czym ta zmiana nie jest funkcją akcji, to znaczy zjawiskiem usprawiedliwionym artystycznie, lecz spraw pozaliterackich, na przykład biografii pisarza?

Można to wreszcie wyrazić jeszcze inaczej. Jeśli autorowi uda się tak „zniknąć” w dziele, tak się z nim, z bohaterem, zespolić, żeby tekst nie ukazywał żadnego luzu, żadnej szpary, krytyk może zdecydować się konsekwentnie na metodologicznie poprawną analizę obiektywną. Jeśli jednak do takiego zrośnięcia się nie dochodzi wskutek artystycznego niedowładu transformacji, wtedy sama niejednorodność elementów akcji spycha niejako krytyka na pozycje insynuatorskie. O tym właśnie myślałem, mówiąc wyżej, że Iredyński nie całkiem to napisał, co zamierzał. Mimo bowiem niepospolitej, wyraziście dającej się prześledzić w utworze powściągliwości w przedstawianiu faktów, godnej nieraz podziwu ze względu na drastyczność sytuacji, w których się ta powściągliwość przejawia, nie udało się Iredyńskiemu przekonać nas o tym, że „znielubił” swego wstrętnego bohatera. To „resztkowe” przywiązanie wystaje z poszczególnych sytuacji wbrew stosowanej metodzie demaskowania „oszusta” introspekcją. Przywiązanie to nie ma przy tym charakteru fascynacji takiej, jakiej doświadczamy w obliczu czegoś potwornego, co jest choćby częściowo poza nami, fascynacji, jakiej ulegał np. Balzak wobec swego Vautrina czy Dostojewski wobec Swidrygajłowa. Jest ono prawie narcystycznym utożsamieniem, prawda, że momentalnym, ale nie jednorazowym ani nawet występującym w tekście tak rzadko, żeby można myśleć o przypadkowości tego zjawiska. Inna rzecz, że gdyby ten bohater nie był Iredyńskiemu aż tak bliski, książka nie miałaby swej siły uderzeniowej, która bije także z nie nazwanych dotąd niekonsekwencji. Dzięki nim właśnie, paradoksalne, to, co jest artystycznym potknięciem, staje się argumentem wywodu już dokumentalnego. Iredyński — żeby wreszcie nazwać rzecz po imieniu — stworzył nie tylko swego bohatera, ale i świat dla niego; otóż ten świat zaludniają wyłącznie kobiety, które chcą iść z nim do łóżka. Nie jesteśmy zbyt wymagający — jakiś jeden wyjątek z tej prawidłowości ogólnej uspokoiłby nas. Jednakże, kiedy nawet lekarka pogotowia nad trupem dziewczyny otrutej przez bohatera doznaje owego przyciągania, nieuchronnego jak fatum, jak grawitacja, w rumieńcu jej odczytujemy już nie nadzwyczajne całkiem powodzenie erotyczne młodego człowieka, które nie opuszcza go nawet przy spuchniętej od pobicia twarzy, lecz przejaw ingerencji autorskiej. I nie o to chodzi, czy to się nie mogło zdarzyć „w życiu”. Nie będziemy przecież wdawali się w banalne spory na temat prawdopodobieństw i wiarygodności powieściowych i realnych. Chodzi o to, że się ta rzecz nie powinna była wydarzyć w *Dniu oszusta*. Niedobrze jest, kiedy autor bardziej



wierzy we właściwości swego bohatera niż czytelnik. Wynika to albo z braku biegłości pisarskiej — której Iredyńskiemu nie odmawiam — albo z takiego utożsamienia, w którym życzenia zastępować poczynają rzeczywistość.

## II

Bohater tej książki jest człowiekiem, którego „rozsmarowanie” po powierzchni życia osiąga godne podziwu szczyty. Jest on nie tylko rozsmarowany w okolicznościach, ale zachowuje się niemal jak zjawisko natury: miałoby się ochotę powiedzieć, że nie on kłamie, wyłudza pieniądze, oszukuje, śpi z kobietami, lecz że dzieje się to z nim, jak z błyskawicami — kiedy mówimy, że „się błyska”. Jego aktywność determinowana jest ułamkowymi mignięciami, mikrostrukturą wydarzeń, z pozoru przedstawia on typ postępowania najzupełniej niezborny, porównywalny z pozbawionym celu torem cząstki heisenbergowskiej. Ten jego indeterminizm, potwierdzany dodatkowo introspekcją, znika przy obserwacji długodystansowej, ale o tym zaraz. Lafcadio Gide’a, obozowy narrator Borowskiego, pedofil Nabokova wreszcie są wspaniałymi bohaterami pozytywnymi i szczytami konsolidacji osobowościowej wobec tego śluzu, ściekającego po przypadkowo ułożonych płaszczyznach wypadków. Bohater ten osiąga fenomenalny stopień nieistnienia poza ludźmi, coś w rodzaju autoanihilacji a la yoga, ale zupełnie bez postulowanego przez nią dla unicestwienia „ja”, kumulowanego ascezą wysiłku, wchodząc zaś między ludzi, zachowuje nadal najistotniejszą cechę nieistnienia, pozostaje bowiem nie określony przez nich. W samej rzeczy żadna spośród osób, z którymi się styka, nie potrafi go określić, nikt nie może „zrobić mu gęby”, ponieważ ma on ich dowolną ilość na podorędziu, przy czym wszystkie są skłamane. Jego egzystencja to generalne wymigiwanie się z życia, przez to, że w samym zarodku złamane zostają wszelkie możliwe do wyobrażenia konwencje. Nie jest to mitoman „totalny” ani człowiek cierpiący na tak zwaną pseudologię phantastica, ponieważ wcale nie musi kłamać: robi to z wyboru, jest to jego wynalazek, którym się nawet przed sobą chlubi. Ten mikroklamca odparowuje każdą próbę określenia go czy choćby jednoznacznego osadzenia w wytwarzającej się dopiero sytuacji przez dorobienie sobie, a wskutek tego i jej, fałszywego miana. Dopiero ze scałkowania licznych jego kontaktów z ludźmi, podporządkowanych analogicznej zasadzie, wynika jego „lejtmotyw” — dezercji ze wszystkiego i zewsząd. Analiza motywów jego postępowania to sprawa niełatwa, której nie rozjaśnia nawet jakaś próba „szujologii komparatywnej”. Lafcadio zabija „bezinteresownie”, ale w gruncie rzeczy po to, aby wypróbować samego siebie, aby stwierdzić, do czego jest zdolny i jak daleko może pójść w rozprzestrzenianiu swej wolności działań. Bohater Borowskiego ma motywy bardzo konkretne — jeśli nie będzie szubrawcem, pójdzie do pieca. Stawrogin i Swidrygajłow to olbrzymy zła, a motorami ich czynów są wielkie namiętności, tym bardziej godne zrealizowania, że zachodzi ono w pełnym świetle przewrotnej świadomości grzechu. Doktor Céline’owskiej *Podróży do kresu nocy* w ogóle nie jest, w takim towarzystwie zwłaszcza, łajdakiem — i nie ma w nim żadnej właściwie innej winy poza okrutną zgodą, z postępów wynikającą, a nie z myśli, na coraz niższe kręgi ziemskiego świata. Humbert Nabokova w końcu to hedonista, zboczeniec, który wie, że robi źle, i bardzo się konsekwencji swego postępowania boi. Hoess (coraz rozpaczliwiej bowiem, w obliczu fiaska, szukamy dla komparatystyki naszej potworów) robił to, co robił, z poczucia obowiązku. Inni zabijali, ponieważ sprawiało im to żywą przyjemność, okoliczności zaś (np. służba w SS) czyniły ów proceder legalnym, mile nawet przez władze widzianym. Kuba-Rozpruwacz był mordercą-sadystą, Landru zabijał, aby się bogacić. Cóż to za powszechny egoizm służenia własnym przyjemnościom, żądom, wyższym ideałom! I jakże występuje, na tym tle, bezinteresowność potworka z powieści Iredyńskiego! Kłamie on od niechcenia, nie tylko tym, którym jest drogi (jak Monice), ale i tym, których nic nie obchodzi (jak szoferom taksówek). Biję w mordę, ot tak; potem sam dostaje; z tego też nic właściwie nie ma. Jedzie skradzionym autem, bez najmniejszego powodu całuje jakiegoś obcego faceta w rękę, sam jest całowany w rękę przez innego, udaje impotentą z dziewczyną, której na nim zależy, nie udaje go z inną, której na nim mniej zależy, ale kiedy sytuacja, po wspólnej nocy, zaczyna stawać się zbyt konkretna i

uwarunkowana przez to, co się stało, wali w głę, żeby ją (sytuację, nie dziewczynę) zniszczyć. Byłby ten mikrołajdak, który nawet zabija tak sobie, ot, bo znalazł w kieszeni tabletkę i zarazem znalazł się ktoś, kto gotów ją był połknąć dzięki małemu kłamstwu, że to na ból głowy — otóż ten mikroskopijny Attyla byłby do strawienia, gdyby przynajmniej miał coś z tego wszystkiego, gdyby smakowała mu wódka, pita za wyludzone pieniądze, gdyby lubił jazz, gdyby, kłamiąc albo śpiąc z kobietami, doznawał rozkoszy, jednym słowem, gdyby do czegoś dążył, a choćby do tego bogactwa, którego miraż jawi mu się przed wystawą jubilera. Ale on nawet milionerem być nie chce, czując, że to w niczym nie zmieniliby jego sytuacji, on nie zna wielkich pożądań, a tylko mikrozachcenia, ani dramatów, a tylko momentalne niepewności, rozchwiania, pustki, trwające tyle co mrugnięcie, co polizanie własnego podniebienia, nic nie jest mu ani drogie, ani nienawistne — naprawdę. Może — i wie, że może — wprowadzić się np. w stan nienawiści, przy czym nie opuszcza go wtedy świadomość, że stan ten sam sobie sfabrykował. Jest, dodajmy, potwornie leniwy i z tej właśnie jego cechy, a nie z jakiegoś demonizmu, bierze się znaczna część postępów, którymi nadtruwa swoje otoczenie — i kto wie, czy jego metoda wszech—nonszalancji nie jest tego lenistwa owocem, jako zasada „działania minimalnego”, ponieważ on bynajmniej nie poluje na swoje ofiary, ale natyka się na nie przypadkiem. Oczywiście, tego psychicznego nihilizmu nie posuwa Iredyński zbyt daleko. Gdyby był konsekwentnie logiczny (wcale nie twierdzą, że powinien być — nic podobnego: człowiek nie zachowuje się przecież logicznie), jego bohater przez cały czas akcji powinien by właściwie leżeć w łóżku, robić pod siebie i nie otwierać drzwi.

Cała rzecz w tym, że kłamstwem są nie tylko te kręactwa i fałszerstwa, do których popełnienia bohater się zaraz w introspekcji przyznaje, ponieważ „samoodkłamanie” jest zawsze tylko częściowe i odnosi się nie do sytuacji jako całości, ale do jej dopiero co sfalszowanego ułamka. Zabiegowi owych często powtarzanych „mikrosamosądów” towarzyszy chwyt polegający na takim otwieraniu blendy świadomości, żeby z następstwami zdarzeń, przez nią notowanych, szeregowały się także asocjacyjne konteksty, najczęściej, i to umyślnie, bardzo luźno albo i wcale nie związane z tym, co aktualnie zachodzi. Fenomen takiego odskakiwania myślą od doraźnej treści przeżycia nie jest żadnym odkryciem psychologicznym, a natręctwo jego stosowania wynika stąd, że Iredyński odczuwał, jak przypuszczam, potrzebę wypełnienia czymś przejść od jednego osądu sytuacji przez bohatera do drugiego; gdyby tego chwytu nie zastosował, miałby kłopot z lukami, „dziurami” w kreowanej świadomości, ponieważ, jak każda świadomość, jest ona względnie wąska i nawet najszczersze wysiłki „samozgłębienia siebie” są daremne. Inaczej mówiąc, człowiek może „poznać sam siebie” w niewiele tylko większym stopniu, niż to potrafią inni, i winien przeanalizować w tym celu swoje czyny przede wszystkim, to jest całą przeszłość, a nie ograniczać się do bieżącej introspekcji badawczej, gdyż procesy warunkujące powstawanie działań i reakcji biorą początek poza granicami dającej się wysondować introspekcyjnie świadomości i dlatego o ich genezie psychicznej wbrew pozorom, jak również wbrew tradycjom prozy dziewiętnastowiecznej, wie się tyle, co nic. Czasem nawet mniej niż nic, ponieważ poszukiwanie motywów własnego postępowania może zakończyć się, i bardzo często właśnie się kończy, pseudoodkryciem, polegającym na samookłamaniu. Z tych zatem przyczyn, z tych prawidłowości mechanizmu psychicznego wywodzące się fałszerstwa bohatera książki trzeba ująć z rachunku jego perfidii, a zapisać na konto jego naiwności. Oczywiście świadomość może, ale nie musi, być świadkiem i wykonawcą tego, co wpływa w nią z obszaru umysłowego, niedostępnego autopenetracji, i dlatego człowiek odpowiada za swoje czyny w wyższym stopniu aniżeli za myśli. Chwyt relacjonowania luźnych skojarzeń, dosyć monotony i mało przekonywający z czysto psychologicznego punktu widzenia, ponieważ na ogół, zwłaszcza kiedy człowiek nie jest sam, „biegunka asocjacyjna” odbywa się na peryferiach świadomości i przemieszczanie jej raz za razem w centrum uwagi sprzecza się

z subiektywnym doświadczeniem każdego normalnego człowieka, chwyt ten spełnia jednak swoje zadanie, przyczyniając się do integracji bohatera, zachodzącej na planie szerszym niż w danej sytuacji. Chwyt ten, a raczej przedstawiane w nim skojarzeniowe treści — także podlegają często autokompromitacji, niekoniecznie zgodnej w emocjonalnym wydźwięku z tym, co zachodzi obiektywnie. Jednym słowem mniej lub bardziej wiarygodne psychologicznie zjawiska tego rodzaju wspomagają, na wyższym piętrze syntezy, budowę osobowości „oszusta”, i rosnąca przez to jej wiarygodność usprawiedliwia ich skądinąd podległe zastrzeżeniom zastosowanie.

Wspomniany chwyt, pełniący też dzięki potencjalnemu uniwersalizmowi rolę „znaku przestankowego” w strumieniu świadomości, ułatwia autorowi przekonanie nas o tym, że bohaterowi jego naprawdę na niczym nie zależy inaczej aniżeli przez chwilę i od niechcienia. Gdyby bowiem czule sceny były po prostu przemilczane, można by podejrzewać, że wynika to z autorskiej powściągliwości, a nie z oziębłości emocjonalnej bohatera. Kiedy jednak bohater biorąc się do pieszczot zaczyna myśleć o nodze kogoś nieobecnego albo o kwartecie murzyńskim (nie cytuję, a tylko dają równoważne przykłady), oziębłość ta, uczuciowa pustka, staje się wiarygodna. Trzeba jednak powiedzieć, że nie jest tak, by bohaterowi nie zależało w ogóle na niczym. Do abnegata mu daleko. Istotnie, nie zależy mu na wielu rzeczach, na których zależy ludziom „przeciętnym” — i wcale nie musi zadawać sobie przymusu, żeby tak było. O tym, że jest mu ze swymi praktykami wcale nieźle, przekonuje przede wszystkim jego spokój wewnętrzny, jak również to, że gra jego wyobraźni wyzwolona jest od obecności „samonadzoru moralnego”, tak że potrafi na jawie pomyśleć wszystko i pozostaje subiektywnie bez winy, nawet gdy opracowuje myślowo technikę bezinteresownego mordu. Całość tych od—ruchowo—momentalnych praktyk podporządkowana jest wszakże nigdzie nie wypowiedzianej, bo nie istniejącej w obrębie jego samoświadomości nadrzędnej wytycznej działania. Wytyczna ta prowadzi go poprzez sytuacje i ludzi, spaja jego luźną bylejakość wszarza, który udaje tylko, że na niczym mu specjalnie nie zależy, ponieważ jego mechanizmy samozachowawcze działają doskonale, i nigdy np. nie obraca swej inteligencji przeciwko własnym interesom. Wprost przeciwnie, indeterminizm jego zachowania nie dotyczy sfery finansowej i kiedy układ wypadków ukazuje korzystną możliwość, zachodzi konsolidacja i przejaw sprawności, zwieńczony mniejszym czy większym zyskiem. Bohaterowi zależy jednak nie tylko albo nie tyle na samej gotówce, ile na sposobach jej osiągnięcia i nie jest wykluczone, że dla upewnienia siebie o swej wyjątkowości odrzuciłby łup nazbyt łatwy albo przychodzący nie w porę, chociażby tego potem i żałował. Ale to są już moje supozycje, mające tylko luźny związek z tekstem książki.

Ostatecznie, z rzekomego bezładu zygzaków jego całodobowej egzystencji można wyczytać determinizm wyższego rzędu, polegający na działaniu zgodnym z kanonami pewnego, *expressis verbis* nie sformułowanego, kodeksu czy fasonu, którego nakazy może naturalnie zawieszać w realizacji kaprys. Konsekwentne — w tym całościowym oglądzie — zachowanie bohatera nie jest bynajmniej jakimś przejawem buntu wobec świata, istnienia czy społeczeństwa. Traktuje on po prostu rzeczywistość jak skład martwych przedmiotów, jak ogród, w którym jest najzupełniej sam, bez bliskich, bez sumienia, bez Szatana i bez Boga (a także, rozumie się, bez patosu, którym ktoś mniej wytrawny mógłby taką kreację przyprawić po melodramatycznemu i w ten sposób całkowicie ją zepsuć); jak ogród, w którym jedno jabłko można z nudów napocząć, inne rozdeptać, a jeszcze inne wsadzić sobie, ot tak, do zadka. To, że tymi „jabłkami” są ludzie, nie przeszkadza mu wcale, owszem, od czasu do czasu to go nawet odrobinę ekscytuje. Odrobinę tylko, zapewne dlatego, że już się w ten tryb postępowania uczciwie wdrożył, stąd i pewna monotonia, ustępująca dopiero wobec propozycji „silniejszych”, w rodzaju morderstwa. Jest zatem cała jego działalność dezintegracją wszystkiego, co go otacza; oczywiście wie, że nie przechadza się sam po składzie czy ogrodzie, że nie jest Robinsonem, ale wiedza ta obchodzi go tylko o tyle, o ile

ustrzec go może przed niepotrzebnymi kłopotami. Do kłopotów takich nie zalicza się ryzyko, które sprawia mu nawet przyjemność; widzi je raczej w każdej szansie stabilizacji czy choćby jednoznacznego ułożyskowania i wycelowania działań na obraz i podobieństwo stereotypów społecznych. Prawie że wyłącznym źródłem żywszych emocji negatywnych są takie właśnie myśli, o jakiejś żonie, o jakimś małżeństwie, o własnym domku, o obiadach we dwoje — to są jego lęki. Oczywiście, że nie trzeba mu żadnej stabilizacji, ponieważ on już jest ustabilizowany, tyle że po swojemu. Napłodził już tyle fałszerstw, tyle kłamstw, że może swobodnie mówić od czasu do czasu prawdę, bo i tak nikt w nią nie uwierzy, co stanowi dodatkowe źródło uciechy.

Rzecz jasna, że mamy do czynienia z koncentratem sytuacyjno–przeżyciowym, właściwym utworowi literackiemu, z portretem wyolbrzymionym, ale wiernym zarówno indywidualnie, jak i typologicznie. Reprezentatywność bowiem głównych dynamicznych osi tej osobowości względem określonego środowiska jest oczywista. Gdyby ilość takich ludzi przekroczyła pewną granicę, istnienie społeczeństwa skądinąd dla nich niezbędnego stałoby się niemożliwe. I to, dodajmy od razu, każdego społeczeństwa, ponieważ dezintegrująca działalność podobnego typu uniemożliwia w ogóle dotarcie do strefy różnic ustrojowych.

### III

Bohatera tej książki nie obowiązuje, jakeśmy się przekonali, nic. Społecznie wytworzony język, narzędzie informacji, służy mu do dezinformacji. Normy społeczne, towarzyskie, obyczajowe, są mu niezbędne po to, aby je mógł łamać. Trudno się nawet zadowolić nazwaniem jego egzystencji pasożytniczą, jest to coś więcej, ponieważ tak, jak on w społeczeństwie, zachowują się wszystkie żywe organizmy w przyrodzie. Każdy taki organizm, aby kontynuować swe istnienie, musi się żywić porządkiem; pochłania ład tego, co służy mu za pożywienie, i egzystuje dzięki zachodzącej w trakcie tego pochłaniania i przyswajania dezorganizacji. Otóż bohater Iredyńskiego zachowuje się całkiem podobnie, tylko że jego ofiarami są ludzie, pożywieniem zaś — porządek społeczny; i już całkiem dosłownie można powiedzieć, że pozostawia za sobą, oprócz oszukanych, okłamanych i „napoczętych”, jak Monika czy Wanda, trupy.

Społeczne niebezpieczeństwo tego rodzaju osobników paradoksalnie kończy się właśnie z popełnieniem przez nich pierwszej „pełnokalibrowej” zbrodni, ponieważ wówczas następuje ich eliminacja ze społeczeństwa, czasowa przynajmniej (uwięzienie). Rzecz jednak w tym, że ich większość — a już jest przecież jasne, że mówimy o reprezentancie określonej grupy, nie o jednostce — działa na stosunkowo szerokim marginesie, jaki prawo pozostawia między tym, co dozwolone, a tym, co karalne. Ta „nisza ekologiczna” jest schronieniem dla „oszustów” pewnym dopóty, dopóki sami jej granic, właśnie jakimś grubszym przestępstwem, nie przekroczą. Praktycznie bowiem (choć nie w teorii) sankcja karna nie może osiągnąć tego, kto bezustannie okłamuje otoczenie, bije po twarzy kobiety, które dały mu się ze sobą przespać, kto starszym paniom sprzedaje trzyzłotowe szpargały po stówce, a potargane rękawiczki, jako należące ongiś do Foche’a, za pięć stówek; nie jest wykluczone, że i morderstwo, przeprowadzone tyleż bezmyślnie, co zręcznie, ujdzie mu na sucho...

Typ łajdaka, jaki dotychczas prezentowała nam literatura, nie był nim bezzasadnie, „dla sportu”, „dla idei”, ale zawsze z całkiem konkretnych powodów, poza tym on i jego łajdactwa miały charakter teleologiczny. Ponieważ nie można dążyć do celu, zmierzając we wszystkie strony naraz, łajdak „deterministyczny” czy „klasyczny” (przez analogię do klasycznej i deterministycznej fizyki...) zachowywał się jako taki nie we wszystkich sytuacjach i pewne kierunki jego działalności były od „łajdactw” wolne. Przecież i Vautrin, i Hoess, i Swidrygajłow, i narrator Borowskiego, i doktor Celine’a, i byle kapo obozowy mieli swoich bliskich, podopiecznych, tych, których nie torturowali ani nie okłamywali, posiadali jakiś wycinek życia ustrukturuwanego względnie normalnie, tak jak człowiek zwyczajny. Myśleliśmy, że tak być musi, że „uniwersalny, bezinteresowny łajdak” nie jest możliwy. Okazuje się, że byliśmy w błędzie. Przywołanie na pomoc koncepcji zboczenia psychicznego byłoby daremne, ponieważ bohater Iredyńskiego wcale nie jest zboczeńcem (za co autorowi należy się uznanie). W samej rzeczy, jakże łatwo byłoby wytłumaczyć, a raczej „odtłumaczyć” jego praktyki, gdyby się stwierdziło, że to człowiek sfrustrowany stłumioną komponentą własnej osobowości, np. homoseksualizmem, przez co mści się, sam o tym dobrze nie wiedząc, na kobietach. Tymczasem nic podobnego; on jest właśnie „normalny” — jego zboczenie dlatego nie jest zboczeniem, że sama nazwa domaga się jednoznacznego wskazania wektora, zboczony to odchylony w określoną stronę od normy; tymczasem mamy jakby odchylenie we wszystkich kierunkach naraz. Obląkany też nie jest. Zapewniam, że nie jest. Jest po prostu w swoim poczuciu wolny od wszelkich w ogóle więzi, jakie złączyć mogą człowieka z człowiekiem, i z tą potwornością, która w osłupieniu, a może i podziw wtrąciłaby rutynowanych esesmanów, jest mu całkiem niezłe.

Problem trzeba wreszcie zdemistyfikować, a zarazem „odmystyczyć”, bo takie idealistyczne praktykowanie zła kroi już na jakiś laicki satanizm. Nadałoby to problemowi piękną rangę, zarazem jednak tak określony bohater wszedłby do szanownego (choć myszką

tracącego) grona paktujących z diabłem czy opętanych, podobna zaś tradycjonalistyczna klasyfikacja równocześnie tyleż wywyższyłaby bohatera, co poniżyłaby autora. Na szczęście dla Iredyńskiego tak nie jest, a pozory biorą się stąd, że tradycyjna analiza uwzględnia tylko, czy przede wszystkim, aspekt osobowości singularny, indywidualny, a bohater Dnia jest w znacznej mierze wynikiem zjawisk zbiorowych, społecznych. Jemu się tylko zdaje, że on sam siebie ze swą metodą postępowania wymyślił. W rzeczywistości wzmocnił tylko, dzięki posiadanej inteligencji, tendencje działania, typowe dla określonego środowiska. Znamy dobrze z prasy, jeśli nie skądinąd, praktyki chuliganów, ich bezinteresowne zamiłowanie do niszczenia, ich gry i zabawy, polegające na tym np., aby wychodzących nocą z dworca przyjezdnych pytać: „Pan z Bochni?”, i aplikować odpowiednio za odpowiedź „tak” — cios w szczękę, a za „nie” — kopniaki. W *Dniu oszusta* mamy właśnie to samo, tylko wypolerowane, doprowadzone do intelektualnej dojrzałości. Plastyczność umysłowych funkcji człowieka umożliwia mu naśladowanie zbrodni, nawet kiedy one są mu obce, a raczej, szczególnie wtedy, ponieważ działający pod wpływem swoich spaczonych impulsów zbrodnię łatwo staje się bezbronny, ten natomiast, kto go tylko udaje, zachowuje pełnię inteligencji i możliwość zastosowania dowolnego manewru; mogą sobie doskonale wyobrazić bohatera Dnia udającego pederastę, aby wprowadzić prawdziwego pederastę w sytuację możliwie koszmarną, wstrętną i śmieszną zarazem; co by ją zamknęło? Nie wiem; najprostsze byłoby naturalnie pobicie. Tak więc bohater wciela się w rozmaite role, najczęściej mikrorólki, to są te jego kłamstwa, błaga, pozerstwo, od czasu zaś do czasu waży się na kreację większą, w rodzaju morderstwa. Dająca przewagę działania i zapewniająca w takim środowisku szacunek ponadprzeciętna inteligencja działa zatem jako „natchnienie autorskie”, podszeptując kolejne wcielenia, i zarazem jako namiastka, jako proteza zastępująca nie daną temu człowiekowi w subiektywnym doświadczeniu żądzę mordu, manię przebierania się itd. Trzeba jednak zaznaczyć, że mówiąc o normalności takiego osobnika pojęcie to rozszerzamy maksymalnie, a wtedy obejmuje ono emocjonalny rezonans wobec zbrodni, ponieważ przynajmniej w jakimś zarodku każdy nosi w sobie elementy sadyzmu, masochizmu itp. Zastępowanie w świadomości bohatera nieobecnych w niej napięć emocjonalnych konstruktami intelektualnymi, mimikrą „pod sadystę”, „pod pederastę”, „pod masochistę” nie jest więc w rzeczywistości operacją tak „matematycznie czystą”, jak by to się prima facie mogło wydawać. On w samej rzeczy jest po trosze wszystkim, może trochę bardziej niż człowiek przeciętny (ale pozostaje w granicach normy, powtarzam). Nienormalny jest w nim za to brak hamulców. W końcu sporo jest ludzi inteligentnych; każdy może usiąść i wymyślać rozmaite rzeczy, w rodzaju rozsypywania na miejscach zabaw dzieci — zatrutych cukierków, nie mówiąc już o psikusach, jak cementowanie rury wydechowej auta. Jednakże dorośli tego nie robią, ponieważ mają dobrze rozwinięte nadorbitalne części płatów czołowych mózgu; u dzieci, dopóki nie nastąpi tam myelinizacja włókien nerwowych, obserwujemy tę właśnie niestabilność emocjonalną, ten brak hamowania, jakim później odznaczają się przede wszystkim debile, u których zarówno intelektualne, jak i emocjonalne życie ulega poważnemu „spłaszczeniu”. Bohater Dnia jest tu trochę unikatem ze względu na inteligencję ponadprzeciętną przy infantylnie niedorozwiniętej osobowości.

W tym sensie jest to „genialny debil”.

Bardzo roztropnie postąpił Iredyński przydając swemu bohaterowi jako ofiarę kogoś, kto zachowuje się podobnie do niego. Dziewczyna, otruta antabusem, też była uniwersalnym kabotyńcem, ale początkującym raczej (siedemnaście lat — brak praktyki), dlatego przegrała. Zresztą w jakiejś mierze zadecydował i przypadek; powiedzmy, że chorowała na serce, bo śmierć zdrowego alkoholika po jednym antabusie byłaby czymś niezwykłym. Mniejsza jednak o to. Tak więc konwencjonalna moralność głupiej wobec sytuacji, w której łajdak usiłuje potraktować drugiego człowieka jako ofiarę swych zachcianek, przy czym ma go oczywiście za „zwykłego” — podczas kiedy tamten jest też takim samym łajdakiem i chce

zrobić to samo, tylko na odwrót. Spotkania takich osobników, wydrążonych w środku z człowieczeństwa, praktykujących ciągle przerzutki z jednej mistyfikacji w drugą, to prawdziwie niezwykła szansa budowania pasjonujących rozgrywek, bo wszak można tu wznosić piętra kłamstw na piętrach — i byłoby to bardzo ciekawe, ciekawsze bez wątpienia od powieści kryminalnych, gdyby nie to, że powieści kryminalne kłamią, a *Dzień oszusta* mówi prawdę.



## IV

Mówi prawdę? W pewnym sensie, oczywiście... Mamy tu do czynienia z rozwinięciem starego paradoksu Eubulidesa o kłamcy, który powiada, że kłamie. A skoro kłamie, ta mówi prawdę, a więc kłamie itd. Z tego kręgu nie ma wyjścia; a przez to, zamykając książkę i raz jeszcze spojrzawszy na tytuł, pojmujemy nagle, że autor jej zadrwił sobie z nas, ponieważ chwyt, który dotychczas stosowany był w obrębie powieści między bohaterem a jego partnerami z woli autora, przenosi się teraz na wyższą płaszczyznę i poczyną działać — już między książką a nami...

Nie umiem powiedzieć, czy Iredyński zastosował ów chwyt świadomie, czy też „to mu samo tak wyszło”. W każdym razie taka jest obiektywna wymowa utworu. Nie ma wyjścia z owego raz stworzonego kłamstwa, ponieważ utworowi obcy jest proces tego samooczyszczania się, jaki cechuje literaturę nawet schodzącą do najwstydlivszych piekieł człowieka; nie ma odwołania, nie ma w tej książce miejsca nie skłamanego, choćby na chwilę, choćby przejściowo, choćby dla wytchnienia. A nie ma go, dla wytchnienia, ponieważ stan, w jakim znajduje się bohater, jest stanem równowagi. Nie jest on wcale z kategorii tych łajdaków, których rozdziera coś od wnętrza, którzy są łajdakami i bardzo im z tym źle, choć równocześnie czerpią z tego korzyści, a nawet rozkosze — jak wiadomo, literaturze tacy są wielce potrzebni, ponieważ dopiero tego rodzaju napięcia rozdzierające wytwarzają wewnątrz dzieła niezbędną dla „manewru ontologicznego” przestrzeń operacyjną. Można to określić inaczej także, szerzej. Literatura, wielka literatura nie jest możliwa bez tragizmu. Źródła jego mogą być widoczne na pierwszy rzut oka lub głęboko skryte. Mogą bić z konfliktów międzyludzkich albo z tego typu niezrównoważenia w obrębie jednostki, które nazwałem wyżej „rozdarciem”; z tła socjalnego lub egzystencjalnego; wreszcie akcja utworu może nie zawierać ich pozornie w tym rozumieniu, że żaden jej element nie nosi na sobie takiego stygmatu, ale owa rzekoma nieobecność wypełniona zostaje związkiem utworu jako całości ze strefą zjawisk w nim nie tkniętych, czyli wynika z kierunku, w jakim utwór popycha nasze uczucia i myśli. Jakkolwiek rzeczy się mają, ta różnica napięć musi zostać w dzieło wprowadzona. Jest to jeden z powodów, dla których w literaturze nie jest możliwy inny raj oprócz szyderczego ani inne piekło oprócz takiego, w którym nie ma na nie pełnej zgody. Piekło przystosowanych, piekło tak pogodzonych, że niczego innego nie pragną, nic nas nie obchodzi, ponieważ mieszkańcy jego nie są już ludźmi. To także jest powód, dla którego niemożliwe są powieści z życia ryb czy owadów. W wersji antropomorfizującej są infantylne i fałszywe; w wersji autentycznej, gdyby były w ogóle do napisania, nie byłyby czytelne, ponieważ między światem owadów a światem ludzkim brak kontaktu, brak możliwości przekazania czegokolwiek poza relacjami o faktach, odartymi z wszelkiej aury emocjonalnej.

Jak wykazuje „szujologia komparatywna”, postulat tragiczności zawsze był dotąd spełniany. Nawet w debilu (*Myszy i ludzie*) można doszukać się emocjonalnych rudymetów pełnowartościowego człowieczeństwa, gdyby zaś literatura zapragnęła sportretować „łajdaka pełnego”, „doskonałego”, to powstająca groza, równoważnik tragizmu, rodzi się między nim a innymi, a nie wewnątrz niego; taki bohater, którego psychiczne wnętrze nigdzie nie przystaje do naszego, jest konstruktem chwiejnym — to znaczy odbieramy jego potworność raz jako karykaturę, raz jako makabrę, to znów po prostu jako coś nie do przyjęcia; jest to corpus psychicum alienum, psychiczne ciało obce.

Jeśli sięgniemy do przykładów, nie zacieśnionych „szujologicznie”, to, cośmy powiedzieli, ukaże się raz jeszcze, ale pełniej. *Ulisses* Joyce’a jest także, jak *Dzień oszusta*, opisem zdarzeń jednej doby. Jednakże jest to powieść „otwarta” na cały wszechświat ludzki, który staje się jej olbrzymią i najważniejszą częścią, dzięki czemu bohaterowie są sobą i zarazem czymś więcej, Leopold Bloom jest Odyseuszem, jego żona, Marion — Penelopą, młody Stefan Dedalus — Telemakiem, wizyta w burdelu — zejściem do piekieł, i tak dalej.

Zrozumiałe, jakie napięcia mogą powstać na tak rozległym obszarze; oczywiście nie wdaję się tu w omówienie *Ulissesa*, wspominam go jako przypadek skrajny utworu „otwartego”, to jest takiego, który zawiera w sobie „wszystko”, tj. „wszystko ludzkie” *explicite*, a nie tylko przez odniesienie, już w umyśle czytelnika zachodzące, przez implikację, jak to czyni utwór z przeciwnego końca skali — zamknięty. Oczywiście to „zamknięcie”, to ograniczenie do ukazanych, konkretnych losów jest właśnie zabiegiem paradoksalnie mającym doprowadzić nas do tego samego miejsca, do którego wiedzie uniwersum *Ulissesa*, jest wskazaniem milczącym, oszczędnym, liczącym na nasze domniemanie. Krótko: dzieło „otwarte” wypowiada pełnym głosem swoją metafizykę i mitologię, utwór „zamknięty” ją tylko implikuje.

Najbliższy książce Iredyńskiego pod względem zamknięcia formalno—treściowego jest świat obozowy, który stworzył Borowski. Jednakże w świecie tym obowiązują liczne znane nam normy, tyle że *a rebours*. Nie trzeba pomagać innym, trzeba dać im ginąć, żeby zwiększyć własną szansę przeżycia (Stary powstanie). Nie trzeba współczuć mordowanym, trzeba ich nienawidzić, inaczej nie będzie można żyć (Proszę państwa do gazu). Ale nawet w tej piramidzie zwierzęcego strachu czają się ludzkie odruchy. Narrator, którego Borowski miał odwagę nazwać własnym imieniem, daje idącemu „do komina” staremu Bekerowi swoją porcję, kiedy sam ma co jeść. Jest okrucieństwo w tym akcie miłosierdzia, ale to przecież miłosierdzie. Zresztą całkowitym i wystarczającym wyjaśnieniem podłości jest fakt jej wyniknięcia wtórnego, pod wpływem bezwzględego nacisku z zewnątrz. Podłość jest tu funkcją przystosowania; uniknięcie jej — kwestią manewru taktycznego, nie zawsze możliwego. Oczywiście że podłość wciela się w ludzi, ale jako produkt działania śmiertelnej struktury zbiorowej. A przy tym bodaj że najokrutniejsze ze swoich opowiadań uznał Borowski za właściwe nazwać *Proszę państwa do gazu*. To znaczy „Ja, były obozowiec, ja, Tadek, ja, autor”. Nie ktoś inny, nie „ja, zmuszony”, nie „ja, złajdaczony”, ale po prostu: „ja”. Uważał, i słusznie, że taka właśnie nazwa niezbędna jest jako prowokacja moralna, właśnie dlatego, że to nie on prosił do gazu, nie jemu przyszło to do głowy. Otóż zbliżona szansa stała przed Iredyńskim. Mógł nazwać swoją książkę nie *Dzień oszusta*, ale *Mój dzień*. Wtedy wyzwanie mieszczące się w takim tytule, skłoniłoby nas do przeświadczenia, że to właśnie nie jest jego dzień, gdyż postępek taki byłby próbą podjęcia odpowiedzialności za ów dzień — i za wszystkie inne, niekoniecznie jego własne, rozumie się, ponieważ pisarz staje się, jak to było z Borowskim, w podobnej sytuacji tym, który przemawia za innych, identyfikując się z nimi i wyrażając ich — z wyboru. Iredyński chciał się jednak odciąć, odzegnać. Chciał tylko, bo mu się to nie udało. Sytuacja, w której nazwał książkę tak, jak ją nazwał, staje się automatycznie równoległa, izomorficzna z sytuacją, w której bohater jego sprzedaje swoje pomysły literackie. Cieszyłbym się, gdybym był pewien, że nastąpiło to tylko na skutek pomyłki. Cieszyłbym się jako osoba prywatna, że tak powiem, nie jako krytyk, którym w tej chwili jestem, ponieważ literatura nie zna, niestety, żadnych okoliczności łagodzących. Nie znaczy to, abym nie doceniał trudności sprawy. Nazwa *Mój dzień* nie byłaby może, w samej rzeczy, wystarczającym stworzeniem dystansu pomiędzy autorem i jego kreaturą. Nie byłaby, ponieważ utwór posiada szczególną właściwość: jest *atragiczny*. Dynamikę swoją zawdzięcza nie różnicy między „bytem” i „powinnością”, ale temu rodzajowi stosunku, jaki zachodzi między rdzą i żelazem. Rdza niszczy żelazo, jak bohater — żywą tkankę społeczną; proces tego zniszczenia staje się namiastką konfliktu dramatycznego, namiastką tylko, ponieważ o samej owej tkance niczego się z książki nie dowiadujemy. Może i są w niej miejsca godne zagłady, może cała zasługuje na potępienie, może jest na odwrót; tego jednak z tekstu się nie wyczyta, ani idąc za tokiem spostrzeżeń bohatera, ani drażąc go na przekór niemu. Jest bowiem tak, że nie tylko jego nikt nie może określić: ta relacja jest dwukierunkowa, obosieczna. On nic nie wie o nikim, czy raczej: wie tylko o tyle, o ile inni ludzie nadają się dla jego celów, tworząc ów skład czy martwy ogród, w

którym jest sam. Ale nawet ta samotność nie jest ani zimna, ani gorąca: jest letnia. Jedno tylko miejsce akcji zbliża się do możliwości tragizmu, obiektywnie rodzącego się, nie do pojęcia dla bohatera, kiedy pierwszy i ostatni raz podczas trwania akcji budzi się w nim horror vacui nad trupem dziewczyny i kiedy zaczyna grać sam przed sobą, sam ze sobą, żeby tę pustkę wypełnić. To, co mówi, i okoliczności, w jakich się to dzieje, stają się na moment pobliżem tej szczypty szaleństwa, która wszystko mogłaby uratować. Niestety, rzecz wraca w siebie i szansa zostaje zaprzepaszczona.

Ze względu na powiedziane *Dzień oszusta* wydaje mi się nie tyle pozycją artystyczną, co dokumentem. To w dokumencie, nie w literaturze, decydują przedstawienia stanów faktycznych, a mało ważne są zakłócenia opisu nieudolnością (której u Iredyńskiego ani śladu) czy efekciarstwem (którego w Dniu nie brak). *Dzień oszusta* odstrzelił także dość daleko od wcale u nas obfitej literatury „lumpa”. Publikowane utwory były, jak się teraz okazuje przy ich zestawieniu z Dniem, napisane pod nazbyt silnym wpływem tradycji literackiej. Może nie tylko literackiej zresztą; w każdym razie nie dochodziło w nim do takiej doskonałości utożsamienia, w lekturze czuje się tam autorski wysiłek, dbałość o to, żeby i „frustracja” była, i żeby barw moralnych nie zabrakło na palcu tworzącego. Dopiero Iredyński oczyścił tak zwanego „lumpa” z wszelkich rudymentów „normalnej” moralności, dzięki czemu stworzył jego wierny portret.

## V

Ustaliliśmy, że geneza kodeksu postępowania „oszusta” jest grupowa. O mechanice powstawania takich grup nie wiemy właściwie nic. Gałąź psychosocjologii mianująca się „dynamiką grup” jest ledwo w powijakach i ani jej marzyć o modelowaniu procesów do tego stopnia zagadkowych. Prawdę powiedziawszy nie wiemy nawet, czy analogiczne grupy o wspólnej tendencji transformowania zasad współzależności społecznych na ich absurdalne przeciwieństwo nie powstawały już dawniej, może przed wiekami, a tylko dla ich opisu nie znalazło się miejsca (a być może i pojęć) na kartach kronik historycznych.

Nie jest ani moim celem, ani zamiarem przedstawiać na tym miejscu hipotezy o przyczynach, jakie dzisiaj powołały do życia to zjawisko, tak nieoczekiwane, tak powszechne, występujące zarówno w cywilizacjach najwyższej stopy życiowej, jak i w krajach „nie doinwestowanych”. Osobiście przypuszczam, że ten potworek, urodzony w toku socjogenezy, jest bękartem poziomej uniformizacji mas i pionowej wzlotu cywilizacyjnych horyzontów, że wymodelowały go przyczyny, splecione w sieć gęstą i powikłaną, sięgającą w głąb masowych zjawisk zbyt daleko, zrosniętą z nimi nazbyt integralnie, aby można było liczyć na jej dokładne wypreparowanie, a przez to, w konsekwencji, i na jej rychłą likwidację. Ze względu na statystyczno—masowy charakter zjawiska próby jego odwzorowania w epice są, moim zdaniem, skazane na niepowodzenie. Przedstawić można rezultaty: przekrój takiej grupy, jej działalność wewnętrzną, normatywną i wartościoburczą oraz zewnętrzną, niszczącą, i nic więcej. Epickie prześledzenie wszystkich społecznych przebiegów, z których powiązania i zestrzelenia rodzi się stereotyp, tak za nic mający wszystko, czym żyjemy, nie jest możliwe. W każdym razie zasada życia w poprzek życia i na przekór niemu staje się wcale istotnym brzmieniem dla cywilizacji, która obok „oszustów” piastuje w swoim łonie również pilotów gwiazdowych. Jakkolwiek potoczą się te sprawy wielkie — młodzieniec z Dnia oszusta ma dane po temu, aby stać się bohaterem literackim niejednego jeszcze utworu. Tym lepiej dla autora, który swym homo fictus stworzył, być może, pierwopis powstającej odmiany homo sapiens — ale czy tym lepiej także dla literatury?

Kraków, grudzień 1962 Przedruk z: „*Twórczość*” nr 3 1963

## PRZEDMOWA DO *TORPEDY CZASU* A. SŁONIMSKIEGO\*

Nieraz już szukałem sposobu przedstawienia życiorysu Science Fiction i zawsze okazywało się, że czyste literackie kryteria nie wystarczają. Może należałoby opisać jej koleje językiem rozumiejącym światłego psychologa, który bez skandalizowania, ale i bez czułościowości, ukazuje to, co się w XIX wieku nazywało upadkiem porządnej kobiety.

Historia literatury, podobnie jak kronika towarzyska, pewne sprawy okrywa dokładnym milczeniem. W wielkiej *Literary History of the United States* (Mc Millan Company, New York, 1515 stron, 59 autorów, 6 redaktorów) — której ostatnie z 1964 roku wydanie leży na moim biurku — na próżno by szukać w rzeczowym indeksie hasła Science Fiction. W spisie omawianych autorów (56 szpalt najdrobniejszej czcionki) nie ma ani jednego nazwiska pisarza tego gatunku — z wyjątkiem H. G. Wellsa, zacytowanego zresztą w związku z jego „pozafantastyczną” działalnością. Są jednak w tym tomie wymienieni pisarze i pisarki, których oprócz historyka ze stopniem uniwersyteckim nie zna nikt — postaci czwartorzędne, ale z „dobrego towarzystwa”.

Zarazem obecności Science Fiction na rynku książkowym USA nie dostrzec niepodobna. Książki te wychodzą w masowych nakładach, w takiej ilości, że wszystkich nie przeczyta nawet maniak rakietowy, zaprzysiężony gwiazdoman. Należy do nich doliczyć dwakroć tyle utworów w magazynach i publikacjach specjalnych. Piszą te utwory setki ludzi, setki mózgów wytłaczają z siebie do ostatniego atomu pomysłowość, kulminującą w stwarzaniu wizji najbardziej groteskowych, szokujących, dramatycznych — czy sama liczba w tym trudzie mrówczym zaangażowanych nie powinna gwarantować, że choć część owych dzieł godna jest wstępu do *Literary History of the United States*? Byłoby milczenie jej tylko wynikiem uniwersyteckiego zarozumiałstwa, lekceważącej nonszalancji profesjonalów, kiperstwa akademickiego, zakamieniałego w konserwatyzmie, ślepego na wartości gatunku, który jest — jak głoszą jego wyznawcy — solą nowoczesności, prawdziwym lustrem przemian naszego świata?

Obawiam się, że nie problem „zlokalizowania winy” należy badać, lecz tylko w miarę pouczających, w miarę żalonych losów owej literackiej istoty, co — choćby w dziełach Wellsa — tak świetnie się przecież na przełomie wieku zapowiadała.

Otóż zdarzyło się ze Science Fiction — nie w jednym miejscu i czasie, lecz to klęski nie umniejsza — szereg niedobrych rzeczy, które jej życie złamały. Ona sama nie bardzo nawet, zauważmy, zdaje sobie z nich sprawę — tym gorzej dla niej.

Zapadła mianowicie — prawie już u początków — na dwuznaczną rozrywkowość, a gdy zaczęła się podobać, dostała olbrzymich nakładów; powodzenie zaszkodziło jej reputacji, lecz brnęła dalej — puściła się z powieścią kryminalną, aż wreszcie wylądowała w brukowych magazynach, gdyż okazała się niezwykle „chodliwym” towarem.

Aby — przed zstąpieniem w ślad za Science Fiction do podejrzanych jej przybytków — jeszcze przez chwilę ogarnąć rzecz z ptasiej perspektywy, to, w jaki sposób poszczególne gatunki literackie zdobywają sobie rangę w hierarchii całej literatury, jest, przynajmniej, sprawą tyleż ciekawą, co niejasną. Kiedyś powieść była rodzajem literackim o wiele „gorszym” od poezji i na miano „epiki” mógł sobie zasłużyć poemat, ale nie jakaś historia opisująca prozą perypetie codzienności. Dramat, dzięki dobremu greckiemu pochodzeniu, jako szlachetnie urodzony, nigdy nie grał roli arywisty — lecz na przykładzie powieści daje się badać kariera, wychodząca z nizin, pięcie się wzwyż, które własnym, olbrzymim wysiłkiem zdobywa sobie wreszcie szacunek powszechny. Gdy jednak koryta poszczególnych gatunków w ocenie społecznej definitywnie zastygną, utwór, powstający wewnątrz jednego z nich, jeśli to jest

---

\* A. Słonimski *Torpeda czasu*, Warszawa 1966

gatunek choć trochę podejrzaną konduity, nie może nobilitować niczego prócz siebie. Innymi słowy: *Zbrodnia i kara* nie jest uważana za znakomitą powieść kryminalną, ponieważ ramy naszej klasyfikacji takiego ustalenia nie dopuszczają. Dostojewski w obrębie „powieściowej kryminalistyki” się nie zmieścił, przekroczył granicę — lecz uczynił to we własnym, a nie gatunku imieniu. Gdy zatem „gatunkowo” utwór nawet daje się zaklasyfikować do „kryminałów”, jak książki Chestertona, ale gdy zarazem go cenimy, natychmiastową decyzją konstatuje się, że „kryminalność” jego (albo w innym wypadku, „romansowość”) jest tylko pretekstem, udaniem autorskim, dowodem pisarskiego wyrafinowania subtelnego, lecz nie — rozpusty. W ten sposób gatunek nadal zachowuje znamiona podejrzanego prowadzenia się, a książkę ocalamy dla „prawdziwej literatury”. I wilk jest syty, i owca cała.

Z biegiem czasu jednak przekroczyć książce — najlepszej nawet — granicę gatunkowego getta staje się coraz trudniej. Wspomnieliśmy *Zbrodnię i karę*, przypomnijmy więc sobie postać występującej w niej Soni, prostytutki o sercu czystym i szlachetnej duszy; skądinąd jednak dobrze wiadomo, że klienci podobnych osób nie w takich kontaktują się z nimi sytuacjach, które sprzyjałyby wyjawieniu wyższych walorów duszy i serca, a bardzo trudno wykryć w kimś lub w czymś to, czego się nie szuka. Zresztą — trudno i darmo — wykonywanie każdej profesji ma swoje konsekwencje nieuchronne; zachować — jak Sonia — czystość wewnętrzną nie tylko łatwo nie jest, ale zakrawa to — niestety — na niemożliwość prawie, ponieważ każdy staje się w końcu taki, jak ci, z którymi przestaje. Rozpoczynają się wszak procesy przystosowania nieuchronne, na których służbę idą umiejętności skądinąd dobrze urodzone, cenne, jak bystrość, inteligencja, wdzięk, talent podobania się — to wszystko, w co była Science Fiction od urodzenia bogato wyposażona. Lekko przejawiając powiemy, że rozrywkowość gatunku jest szczególnym rodzajem służby, takim, w którym ten, kto rozrywki dostarcza, ją ma przede wszystkim sprezentować odbiorcy, a nie siebie, nie swoją osobowość, bo ta się nie liczy. A przecież sztuka do tego właśnie się sprowadza i tym jest szlachetniejsza, w im jawniejszym stopniu artysta staje się przed nami, jako pewien człowiek, niepowtarzalny, który to i w taki sposób ma nam do powiedzenia, że go w tym nikt nie zastąpi; dojsć ma do kontaktu najbardziej osobistego, intymnego nawet, ale na poziomie, który wszelką uległość, płaskie schlebianie gustom wyklucza. Stajemy się powiernikami prawd autorskiego przeżycia, które utwór nam komunikuje w największym zaufaniu, w sekrecie nieomal — a nie nabywcami towaru z metra i sztuki.

Mówiliśmy już mimochodem o dwuznaczności, jaka cechuje pozycję Science Fiction, ponieważ nie jest tak, jakoby się ona dokładnie w ten sam sposób wulgarny puszczała, tak się z żadnymi względami nie liczyła, takim przepojona bezwstydem działała, jak, powiedzmy, powieściidla pornograficzne lub „czarne” powieści kryminalne. Była to istota dobrze urodzona przecież, z rodziców pełnych uczoności i fantazji, o rodowodzie sięgającym klechd, mitów, baśni, a zarazem — racjonalności encyklopedystów i empiryczności filozofów angielskich, dysponowała też błyskotliwością dyskursywną, umiała być poważna lub drwiąca i stała — tak przynajmniej można było sądzić — przed zgoła olśniewającą karierą. Mogła wszak pójść racą w górę, ku elitarnym wyżynom wtajemniczania w najgłębsze problemy nauki i filozofii człowieka, w — jakże doniosłą dzisiaj — moralną problematykę technologii działającej, mogłyby się wewnątrz niej toczyć olbrzymie dyskusje o prawdy trwałe naszego rodzaju, mogłyby tam powstawać całe metafizyki w przyszłość skierowane, a przeszłość odzwierciedlające. Wszystko to być mogło, ale nie stało się, gdyż każdy omal z talentów, każda z cnót w powiciu już była lekko naznaczona piętnem potencjalnego przynajmniej nadpsucia — czy upadku po prostu.

Najpierw — naturalnie — należałoby powiedzieć wiele o przyczynach ekonomicznych, którym w sposób wyłączny (jak można by mniemać) nieszczęsna Sonia Dostojewskiego zawdzięczała swoje zejście na ulicę. Lecz zauważmy trochę marginesowo, ale doprawdy nie

cynicznie, że ekonomia ekonomią, a gdyby nie walory pewne, na ulicy właśnie popłatne, żalosa ta w dół schodząca kariera okazałaby się niemożliwą, gdyż taki na przykład garb zmusiłby Sonię do zachowania cnoty nie tylko duchowej. Otóż Science Fiction objawiła się światu nie tylko inteligencją obdarzona przeszywającą, ale i urodą, dosyć, dodajmy, łatwą, a przynajmniej nie aż tak trudną, żeby nie mogła liczyć na odbiór masowy. Przyczyny popularności bywają rozmaite — niekiedy są tylko rezultatem posłusznego nakazom mody snobizmu — dotyczy to, po części przynajmniej, zgody, z lekka zrezygnowanej, szerokich kręgów odbiorczych na malarstwo abstrakcyjne. O ileż jednak wygodniej jest, kiedy można — występując w szanownej roli konesera sztuk — zarazem i modzie hołdować snobistycznej, i sobie w cichości ducha dogadzać — przed aktami naturalistycznej szkoły, które tak umieją urozmaicać przeżycia odbiorcze, jak tego żaden akt Picassa nie uczyni. Są to sprawy drażliwe trochę, zapewne, lecz trudno je przemilczeć. Rolę reklamującą seksu odgrywała — w początkach drogi życiowej Science Fiction — przygoda zawsze w niej obecna. Gdyż jako awanturnicze i przygodowe, sensacyjne nawet, można było odbierać wszystkie bez mała powieści Wellsa. Można było zamykać oczy na ich filozoficzną, scjentystyczną problematykę, a przecież stać się pilnym, z uszami czerwonymi, czytelnikiem *Wojny światów* czy *Wyspy doktora Moreau*. A jeśli moje wywody wydają się naciągane, oto dowód, którym się legitymują: powieści Wellsa wychodzą w USA — w tych samych seriach, w jakich „szeregowa” SF się pojawia, ale wychodzą tak tylko jego fantastyczne książki. I podobnie z Poego, powiedzmy, „wydłubuje się” to, co będzie pasowało do zbiorów „Horror-Stories”, albowiem gatunek zdominował autorów, podporządkował ich sobie, szczerze otorbił, tak że co za jego granicę „wystaje”, ulega amputacji. A przecież dla każdego czytelnika Wellsa czy Poego jasne jest, że się ich książki liczą jako pewna myślowa, pojęciowa całość, lecz prawa gatunku okazały się silniejsze od wewnętrznej mocy spójnej utworów nawet pisarzy tej miary. Więc „łatwiejszej” urodzie zawdzięczać musi Wells to, że część jego książek prowadzi skarłały tryb życia wewnątrz kolorowych okładek, „wessana” w głąb Science Fiction; więc ulega dzieło autorskie rozdarciu, które wyobrazić sobie możemy, myśląc, jakby się Tomasz Mann prezentował „rozbity” na utwory „O hochsztaplerach”, „O lekarzach” czy „O muzykach”.

Swoistość wszakże Science Fiction nie tylko rzeczą możliwą, ale i konieczną uczyniła — w trakcie jej „ubrukowienia” — zachowanie znamion niektórych dobrego urodzenia, przynajmniej na czas wcale długi. Literatura rozrywkowa ma swoje piętra, jak Stevensonowskie, gdzie myślenie jeszcze jest dopuszczalne, ale ma i takie, ujednoznacznione w tandetności, gdzie tylko wysługiwać się może, tylko łechtliwą daje przyjemność, nic w zamian — to znaczy wysiłku czytelniczego, domyślności intelektualnej czy wręcz „próby serca” — nie wymagając. Na owym poziomie ułatwień maksymalnych stanowi już tylko surogat przeżyć albo nieosiągalnych, albo zgoła — przez konwencje społeczne — zakazanych. Jako podobny czynnik zastępczy jeszcze najniewinniejsza jest angielska postać powieści kryminalnej — która z życia detektywa i zbrodniarza czyni rozrywkę szachową po prostu, więc wciągającą grę intelektualną, opatrzoną surowymi regułami. W swojej „czarnej”, amerykańskiej mutacji zaspokaja już apetyty sadystyczne i masochistyczne, a w na poły pornograficznych romansidłach, w owych „łózkowcach”, które mają swe wcielenia „detektywistyczne”, „towarzyskie”, „historyczne”, zaspokaja zastępczo seksualne marzenia. Science Fiction długo, należy przyznać, przed aż takim sprostytowaniem się broniła. Była przygodą ludzi myślących, więc choć trochę myślącego też wymagała czytelnika. Lecz działała, o czym nie wolno zapominać, pod stałą presją czynników ekonomicznych. Skoro wytwórcy towaru muszą jak najwięcej produkować, pierwszym obowiązkiem odbiorcy, iście obywatelskim, jest konsumpcja najżarłoczniejsza z możliwych. Tak więc — w wypadku literatury totalnie skomercjalizowanej, jaką przedstawia SF w Stanach — o wszystkich tych procesach, które powodują powolne „dojrzewanie” książki w kontaktach z czytelnikami, o

tych procesach naturalnych selekcji, co odsiewają w ciągu lat tylko pozycje najbardziej wartościowe — nawet pomyśleć niepodobna. Wszystko, co się pisze i drukuje, stanowi zjawisko efemeryczne, publiczność, odpowiednią tresurą wdrożona, przerzuca w podmiejskich pociągach kartki barwnych magazynów, wyrzuca je i wyciąga ręce automatycznym już gestem — po nowe wydania. Któż z klientów Soni wdaje się w długie z nią, nocne rozmowy, kto bada niepokoję jej serca i ducha cierpienia? Gdyby sama spowiadać się z nich próbowała, rychło by wystraszyła wszystkich i zamiast żyć w pohańbieniu, z głodu by umarła. Science Fiction musi obecnie to produkować, czego od niej oczekują, a oczekują tego, co skwapliwie rzuca na rynek — oto zamknięty krąg procesów utowarowienia literatury.

Jak wiadomo, nie ma zwyczaju mieszania skarpetek ze swetrami i krawatami — każdy gatunek towaru ma w sklepie własną szufladę. Prawdziwej literatury aż tak się nie szufladkuje. *Faust* nie stoi na półce pod hasłem „Czarownice, Diabły, Romanse Łózkowe” ani *Pan Tadeusz* pod napisem „Awantury w domach jednorodzinnych”. Trzeba pierwszego szukać pod „Goethe”, drugiego pod „Mickiewicz”. Do takiej indywidualizacji SF dawno już straciła prawo. Jest ona raczej jak swetry sprzedawana — osobną szufladkę wypełniają utwory „Science Fantasy”, osobną — „Space—Opera”, inną — „Horror—Stories”, „Aliens” i tak dalej. Każdy autor ulega więc poszatkowaniu nawet wewnątrz gatunku albo się sam po prostu aż tak specjalizuje, by wszystkimi książkami zmieścić się w obrębie jednej szuflady.

Prawa fizyki nie działają na terenie literatury w sensie dosłownym, lecz można mówić o pewnych ich odpowiednikach. A więc prawo wielkiej liczby, które w fizyce uśrednia, w literaturze — przyćmiewa, poszarza. Odłamek bursztynu, położony na czarnym aksamicie, to obiekt godny uwagi; sto miliardów takich odłamków to tylko olbrzymia kupa mętnożółtawego szkliwa, przywodząca na myśl nie tyle klejnoty, ile rozjechany traktorem ładunek butelek po piwie. Wszelka oryginalność, wyjątkowość, niezwykłość zostaje liczbą wygaszona, ulega w tłoku totalnej inflacji, nieznośny nadmiar sprawia, że nawet brylanty upodobniają się do szkła tłuczonego — czego wymagać od książek, które tylko rzadko są do brylantów podobne? Jakież z kolei reakcje budzi w autorach sytuacja tak nieznośnej stadności? Wysilek wybicia się za wszelką cenę prowadzi do eksploatawania tematów coraz mniej liczącego się z klasycznym „savoir vivre” gatunku. Nie wiem, kto pierwszy z autorów pojął, że od skafandra jest nagość, od rakiety — łóżko w niej — do sprzedania łatwiejsze. Był to zaiste odkrywca „à rebours”. Otwieram wrześniowy numer (1964 rok) „Fiction” — francuskiej mutacji amerykańskiego „The Magazine of Fantasy and Science—Fiction”. Pozycja pierwsza: *Poświęcenie humanoida* — niezemska cywilizacja z popsutym regulatorem klimatu po to angażuje do jego naprawy młodego Ziemiianina, żeby znalazł w muzeum zamrożoną osiemnastoletnią dziewczynę z 1852 roku i mógł ją pomału wprowadzać w sprawy płci. Pozycja druga: *Czarna magia* — zamknięci w popsutym statku kosmicznym, naprawić go nie mogąc, uczeni ziemscy za pomocą „czarnej magii” wzywają diabła, który wprawdzie umożliwi im powrót na Ziemię, ale średniowieczną, z płonącymi stosami Inkwizycji. Trzecia: *Raport o zachowaniu się seksualnym mieszkańców Arktura W*. A więc po to, żeby ktoś mógł z kimś do łóżka pójść, uruchamia się rakietę, mózgi elektronowe, kosmosy i całą resztę. Seks zwyciężył nie tylko przygodę intelektualną — razem z nią znikł z kartek Science Fiction nieodłączny od niej — jak się zdawało — racjonalizm. Diabły, demony, wampiry nie są już podawane w nowej wersji „elektronowych mózgów” — one wróciły dosłownie i tylko posługują się takimi aparatami, dbając o „nowoczesność”. Tak nacisk konkurencji, który gdzie indziej przetwarza się w selekcję odsiewającą, prowadzi do „erotycznego i racjonalnego” odhamowania.

Lojalność każe przyznać, że seksu jako przyprawy używają autorzy raczej pośledni. W Science Fiction zachodzi niewątpliwie znaczny rozrzut talentów i należałoby spytać czy całe przyrównanie, na którym zbudowaliśmy nasz osąd, nie jest tym samym, czym byłoby oskarżenie Balzaków i Dostojewskich za przestępstwa popełnione przez czwartorzęd—nych



pismaków? Jednakże osobliwością gatunku tak zamkniętego jest to właśnie, że się w nim utwory o bardzo różnej wadze artystycznej definitywnie rozwarstwić nie mogą. Jak wiadomo, jest nie do pomyślenia, żeby ten sam literacki periodyk publikował obok siebie Eliota i Courts–Mahlerową. Natomiast utwory najgorszych i najlepszych „fantastów” tkwią obok siebie między tymi samymi kolorowymi okładkami i wychodzą w tych samych seriach „pocketów”. Na kimś, kto się z podobnym sąsiedztwem styka po raz pierwszy, robi ono wrażenie raczej osłupiające. Lecz to właśnie przekonuje nas, że wszystkie takie utwory łączą się w dziwacznie „uśredniającym” pokrewieństwie, które sprawia, że najlepsi oceniani są poniżej, najgorsi zaś — powyżej własnych walorów, ponieważ poszczególne indywidualności autorskie zostały zdominowane przez fantastyczną konwencję. W każdym razie średni czytelnik, ten co od opowieści wizjonerskich, rzadkich, lecz przecież istniejących, bez mrugnięcia oka przechodzi do bzdur, w których prymitywizm narracji walczy o lepsze z nonsensownością intrygi, wydaje się osobą w najwyższym stopniu zagadkową. Mimo woli znów na myśl ciśnie się paralela upadku, ponieważ zapity awanturnik, zataczający się w stronę domu publicznego, i wykwintny arystokrata, który bawi u kurtyzany wspanialej, szukają przeżyć raczej podobnych. Z tej strony oglądana dwuznaczność gatunku, co miał być aż ciężki od problemów, obnaża się szczególnie jaskrawym sposobem. Niektórzy „zwolennicy z zastrzeżeniami” uważają Science Fiction za rodzaj zbeletryzowanego eseju, w którym przygodowa forma jest lukrem, osładzającym treść intelektualną niezliczonego mnóstwa hipotez, rozbitych na partie dialogowe i odautorskie komentarze. Lecz owa treść intelektualna — bez względu na jej jakość, z reguły wątpliwą — nigdy nie jest wchłonięta artystycznie przez narrację, ale tkwi w niej jak balast, z grubsza tylko opakowany schematyzmem wykładów i rozmów. Bardzo charakterystyczną, jak sądzę, jest próba poddania utworu kompresji dla sumiennego streszczenia; w wypadkach dzieł wybitnych każde streszczenie jest względem oryginału bezradne, do śmieszności nawet (*Doktor Faustus* T. Manna: „Jeden kompozytor dostał za młodu syfilisa i dlatego najpierw komponował, a potem zwariował”). Tymczasem utwory SF można streszczać bardzo skutecznie, czego efektem pośrednim są zjawiska typu „gorączki złota”: każdy utwór odznaczający się oryginalnością w rodzaju *The Puppet Masters* Heinleina, natychmiast pociąga naśladowców, których stada rozdeptują temat do niemożliwości, przy czym, co nas tu najbardziej interesuje, nie tylko siebie kompromitują, ale po części i wzorzec, ponieważ w ich wersjach koncepcja książki wiodącej zostaje obnażona i zredukowana do akcyjnego szkieletu, objawiając tym wszystkie swoje słabości. Nie jest możliwe analogiczne eksploataowanie jakiegoś Faulknera czy Kafki. W wypadkach obu tych autorów utwory, dziełem ich inspirowane, wyraźnie rozpadają się na bezwartościowe, minoderyjne manieryzmy i na takie, które własną mają już autonomię, z pierwowzorem bardzo luźno związaną.

Drugim „prawem fizycznym” w wersji literackiej jest bezwładność. Tematycznie tkwi SF w XXX, narracyjnie w XIX wieku. Używa przedtostojskiej psychologii oraz klasycznych schematów akcji — klasycznych też w dziewiętnastowiecznym rozumieniu, ponieważ to wtedy stworzono model mechaniczny zjawisk i deterministyczne powiązanie przyczyn ze skutkami. Science Fiction ma być wysforowana awangardowe jako czołówka współczesności, zarazem jednak, czerpiąc ze skarbnicy gotowych form, żyjąc na artystyczny kredyt „zwykłej”, ale starawej literatury, jest zacofana i zgoła konserwatywna. Może jeszcze najlepsza jest Science Fiction wydrwiwiająca sama siebie, lecz znów, aby ocenić takie utwory, trzeba znać niezliczone ilości wyszydanych — nawet dla pamfletu okazuje się tedy odniesieniem nie tyle świat realny, ile gatunkowe getto. Nie zna wyjścia na świat z półświatka. Science Fiction jest zarazem niedojrzała wewnątrz i przedwcześnie opancerzona mechanicznym zawodowstwem, jak puszczańska, która udaje więcej doświadczenia, niż go ma w samej rzeczy, której nie tylko cnota, ale i dorosłość są pozorem, udaniem czasem cynicznym, a czasem — przynajmniej — dość rozpaczliwym.

Powiedzmy dla lojalności, że większość utworów „zwykłej” prozy amerykańskiej to czułościowe romanse kuchenne, co się w cadillacach dzieją, których autorzy ustępują szeregowcom SF inteligencją i wiedzą. Lecz taka jest trochę zabawna, a trochę szydliva paradoksalność sytuacji, że każdy, kto startuje książką w konkurencji „współczesnej”, niejako z góry opatrzony zostaje przywilejem „buławy w tornistrze”. Nie wiadomo, jak daleko zajdzie swoją książką, ale zasadniczo nikt i nic mu nie broni, by dostał się, może po latach, w obręb światowej czołówki pisarskiej. Oto sytuacja otwarta, w przeciwieństwie do zamkniętego getta SF, gdyż w nim startując, można tylko dolary takie same zarobić, jak w każdym innym fachu, ale nie sławę taką samą. Nie jest Science Fiction zwykłą ulicznicą, bo, nie pozbawiona wdzięku, bystrości, dowcipu, zachowuje się wcale przykładowie, jak wysokiej klasy „call-girl”, która przybywa ubrana przez najmodniejszych krawców i potrafi przy koktajlach nawet o filozofii porozmawiać, gdyż tego wymaga jej status ekskluzywny. Lecz doskonale wiadomo, że nie o żadną tam filozofię chodzi, że się z nią na serio spraw decydujących o być albo nie być naszego rodzaju nie będzie w cztery oczy omawiało, bo nie po to została wezwana. Przeciw niczemu nas ona nie zbuntuje, do niczego nie namówi, inaczej niż „call-girl” nie wzruszy, a chociaż przyjechała w lśniącej maszynie i tak samo wytworna w niej odjedzie, dojrząwszy na rogu którąś ze swoich pośledniejszych koleżanek, które ani mają na zachowanie pozorów, ani dbają o nie, poczuje może przeszywającą iskrę żalu za owym rajem utraconym pełnego odwagi, wyzywającego świat, naiwnego swojego dziewictwa, które już tylko wspomnieniem się stało, przeszłością nie do odzyskania, ponieważ w literaturze, jak w życiu, zachodzą procesy nieodwracalne.

Dlatego może sobie literatura bez określeń dodatkowych na to wszystko pozwalać, czego w swej dwuznacznej sytuacji SF robić nie śmie; poczynając od tego, że literatura waży się problemy stawiać i pytania nawet takie zadawać, na które nie ma odpowiedzi (Science Fiction tak nie postępuje), a na tym kończąc, że tylko literatura — jak wielka dama — dzięki pozycji nieposzlakowanej może nieraz i mocnego użyć słowa, co dla osoby w położeniu eksponowanym byłoby zgubne. Jakoż nikt słów takich w SF nie znajdzie, choćby nie wiedzieć jak szukał.

Książka, którą tym — może zaskakującym czytelnika — wstępem poprzedzam, powstała właśnie w najpierwszych, młodzieńczych, dziewiczych latach życia Science Fiction. Napisał ją młodzieniec 28-letni, wyszła, kiedy miałem dwa lata, nie muszę więc wyjaśniać, czemu jej wtedy nie przeczytałem. Jakże zdumiewającą świeżością, zapewne naiwną, ale urzekającą tym właśnie, odcina się od wielkiego, przybrudzonego tła współczesnej nam, profesjonalizowanej, fantastyki! Widać z niej, jak bardzo wszystko było jeszcze w owym zaraniu możliwe, jak nic nie zdeterminowane — była to przygoda myśli po prostu, nie wiedząca nic o istnieniu notowań jej giełdowych na księgarskich rynkach. Gdy miałem — gimnazjalista — lat czternaście czy szesnaście, znałem Słonimskiego z „Wiadomości Literackich” jako następcę Prusa w „Kronikach tygodniowych”, a bodaj w 1939 czytałem — w odcinku — jego *Dwa końce świata*, powieść fantastyczną, nic o tym nie wiedząc, że kilkanaście lat wcześniej napisał *Torpedę czasu*. Powiadano o Słonimskim, także na łamach „Wiadomości”, że jest nie tylko wyznawcą, ale i uczniem Wellsa; gdy pominąć sprawy sądów w eseistyce jego czy „Kronikach” wygłaszanych, nie byłbym gotów podpisać się pod tym poglądem. Jako autor *Torpedy* okazał się, co dużo mówić, antyutopistą, jednym z pierwszych chyba, ponieważ w dosyć (co się tyczy „dekoracji”) konformistycznej formie zawiera ta książka treść wysoce nonkonformistyczną. W Wellsie funkcjonowała właśnie osobliwa mieszanina racjonalizmu i utopii, raz pierwsza, jak w *Wojnie światów*, raz druga, np. w *Ludzie jak bogowie*, brała górę. Natomiast ukryte żądła *Torpedy* są do końca, konsekwentnie, czysto racjonalistyczne. A przy tym nie jest ona wyrazem jakowegoś rozczarowania tylko naturą niedobrą człowieka i świata, wyrazem owej historycznej chęci oszkalowania marzeń, co się w realizacjach wywichnęły, jak to bywa z „czarnymi antyutopiami” rozmaitych

Orwellów. Jest ona zadziwiająco spokojna, rzeczowa, skromna zwłaszcza i przedstawia nam — na pierwszy rzut oka przynajmniej — kolejny, po Wellsowskim, wariant „wehikułu czasu”, to jest podróży pod prąd wydarzeń. Lecz znów zbieżność jest tylko szczątkowa, wziął Słonimski tylko ramę, tylko klocki startowe od wielkiego poprzednika, ponieważ niczego nie chciał — w przód patrząc — wyprorokować, a jedynie po Wolterowsku opowiedział nam historię, która do tego się sprowadza, że próba — środkami instrumentalnymi podjęta — zmiany łożyska historycznego rozwoju, uszczęśliwienia ludzkości dzięki zastosowaniu wynalazków niewymownie potężnych, jest w zarodku już skazana na zagładę. Można, owszem, do jednych nieszczęść — takimi sposobami — nie dopuścić, lecz wyprodukuje się równocześnie — a niechcący — tyleż albo i więcej jeszcze nieszczęść i cierpień ludzkich trochę innego, lecz pokrewnego, rodzaju. Wydawać by się mogło, że książka ta, głosząc niejako program „niemożności melioryzowania”, jest pesymistyczna. To nieprawda, jest tylko mądra, ponieważ wskazuje, jakimi sposobami niepodobna osiągnąć wysokich celów. *Wyprawa profesora Panktona* przedstawia typ przygody według „pętli czasowej” (działanie w czasie poprzedzającym narodziny bohaterów), którym SF posługiwała się niezliczoną ilość razy. Nigdy jednak — rzecz ciekawa i godna zastanowienia — dla celów zbliżonych do tych, jakie przyświecały Słonimskiemu. Powiadam, że to jest zastanowienia godne, bo zaciekłość wytłaczania z każdego tematu maksimum kombinatorycznych możliwości jest pierwszą regułą autorów—zawodowców. Dlaczego więc pominieli wersję, którą przynosi *Torpeda czasu*? Otóż wiem dlaczego. Wyrosła z pragmatyzmu Science Fiction amerykańska była najpierw zajęta apologetyką działania, po czym zesłała do bieguna przeciwnego głosząc horrory apokalipsy maszynowej. Nigdy jednak w amerykańskich głowach, niestety, nie powstało, że działanie może być nawet jako apokalipsa nieskuteczne. Dlatego w utworach jej każde zadanie postawione — jest rozwiązywane u końca, choćby kosztowało to i życie całej ludzkości. Tego, jak tani jest ów demonizm i jak mało ma z historiozofią realną wspólnego, Science Fiction uświadomić sobie nie może. Nawiasem mówiąc, rezygnacja z badania zjawisk ponad- czy pozainstrumentalnych mści się szerokim wachlarzem konsekwencji, tak np. dla tej samej przyczyny wszystkie roboty i zastępy całe genialnych elektrycznych mózgow, co ją zaludniają, nie tylko genialne nie są, ale nie ukazują się nam w ogóle w żadnych psychologicznych aspektach egzystencjalnego funkcjonowania, a musiałyby się przecież narodzić jakaś ich „metafizyka”, gdyby naprawdę stać się miały „osobowościami”. Lecz SF oślepiła na taką problematykę, bo motorów zjawisk szuka zawsze w instrumentach raczej aniżeli w ludziach, w tym co technologiczne, a nie w tym, co psychologiczne bądź socjalne i co bieg historii wyznacza. Technologie i ich płody na jej kartach raz wspomagają człowieka, raz przeciw niemu występują, ale nie są oceniane z zewnątrz, z dystansu antropologicznego (a wszelkie próby wejścia w ów obszar kończą się żalonymi karykaturami, zupełnym „spłyciarstwem”, wreszcie — ckliwością tak naiwną, podszytą takimi odwołaniami umysłowo bezbronnymi do politeizmów jakowychś, że aż strach bierze.

Warto zauważyć, że *Torpeda czasu* jest wyraźnym argumentem przeciwko tezom tych, co chcieli — w swoim czasie — widzieć w Słonimskim posłusznego ucznia Wellsa, szczególnie tego nurtu książek wielkiego Anglika, który stanowi apologię wszechmożliwości działania instrumentalnego. Przecież ta książka jest owego nurtu, w najszerszym z możliwych, bo do historii ludzkiej przyłożonym zastosowaniu, przekreśleniem, jest wyzwaniem rzuconym mu — z pozycji racjonalizmu, który nie tyle działanie kompromituje, ile naiwność lub wręcz głupotę owo działanie uruchamiającą.

Zapewne poza ową historiozoficzną i ogólną postawą przynosi *Torpeda czasu* wiele elementów przygody po prostu w stanie nieskażonym jeszcze, bo, jak się powiedziało, dziewiczym omal — młodości fantastycznego gatunku. W tej, aby tak rzec, wynalazczo—fantazjującej warstwie jest też *Torpeda* miejscami nieco anachroniczna (nie inaczej zresztą niż

liczne maszyny i balony latające Wellsa), lecz anachronizm ów ma właśnie swoisty wdzięk, podobnie jak wizje optymistyczno-inżynieryjne niektórych ilustratorów Verne'a czy Wellsa z końca ubiegłego wieku. I wreszcie — rzecz tyleż ciekawa, co raczej rzadka — jest to książka tym mniej oryginalna, tym bardziej stereotypowa, jako historia opowiedziana, w im mniejszych badać ją fragmentach, im bliżej podchodzić ku jej powierzchni opisującej, oddalając się od całościowego punktu widzenia autorskiego, od owych pozycji, z których ją pisano. W Science Fiction bowiem współczesnej spotykamy sytuację dokładnie odwrotną: tu pozycja ogólna, koncepcja generalna, jako postawa rozumiejąca i wartościująca, jest autorowi dana, wzięta z którejś tam ręki, jest martwą, sztywną kukłą, wypchanym trupem, a właściwie dziesiątą wodą po tym, co z filozoficznych nurtów ostatnich dwu stuleci pomieszało się z myśleniem obiegowym; więc wszystko, co w państwie idei jej funkcjonuje, jest wersją prymitywną — wszystkiego: psychoanalizy, antropologii, religiologii, filozofii człowieka. Natomiast w detalu, w szczególe machizmu narracyjnego działa SF wcale sprawnie, tu przejawia się dodatnio rezultat długotrwałej i zacieklej konkurencji pisarskiej; stolarka przygo—dowo—awanturczka musi być uczciwa, bo na każdej fuszerce redaktor się pozna i wrzuci maszynopis do kosza. Oczywiście są sytuacje SF schematyczne, ale schematy są współczesne — inaczej w tej książce. Schematyczność jej postaci ma swój wdzięk — z dziewiętnastego wieku rodem — wynikający z umowy między autorem a czytelnikami, co się już przeżyła; profesor musi być w miarę właśnie sędziwy, reporter — przebojowy i po amerykańsku zawadiacki, ale zarazem biznesem podszyty, dziewczica — wprost cudowna i w najwyższym stopniu niewinna. Książka tedy w warstwie takich wątków literackich trochę zwietrzała, ale uczyniła to z wdziękiem, z gracją, która ma w sobie coś zarazem anachronicznie bawiącego i poważnie wzruszającego, ponieważ wszystko tam bardzo solennie, uczciwie, do końca przemyślane. Takie choćby imię bohaterki, Haydnee, toż to wprost fenomenalna rekapitulacja, to wprost symbol całego rozdziału pewnych form romansowych, pewnych konwencji, które na myśl przywodzą de l'Isle Adama (też się fantastyką zajmował i niejaki renesans przeżywa dzisiaj w swojej ojczyźnie!) i jeszcze bardziej historycznych autorów; umowność pisarstwa owego taka była czcigodna, że dzisiaj, gdy ostatni dech życia się z niej ulotnił, nie rozpadła się w proch — ponieważ ocalała ją — na innym niejako planie, skądinąd przychodząca siła: owa wiara czy powaga autorska, rzetelność dziewiętnastowiecznych, miazmatami nowoczesności nie przeżartych sceptycznie twórców, co narodzinom ich bohaterów patronowała. W zawiły sposób usiłuję dotrzeć do sedna zjawiska, którego dobrze nie rozumiem, bo niełatwo jest ustalić, czemu szanowne konwencje pisarskie, co początek swój w XIX miały wieku, potrafią — starzejąc się na naszych oczach — zachowywać szczególną godność, którą można by ludzką nazwać po prostu, podczas kiedy współczesne, sprzed kilku czy kilkunastu lat, poddawane pod naciskiem masowej produkcji przyspieszonemu przejrzewaniu wraz z aktualnością mody panującej tracą wszystkie punkty oparcia i czeka je los magazynów Science Fiction w kolorowo lśniących okładkach, takich samych jak barwne i błyszczące opakowania innych towarów, co lądują na śmietniku, skoro konsumpcja się już skończyła.

Przypuszczam, że na rynku amerykańskim źle by Torpedę czasu przyjęto, i to nie tyle przez jej niejaką, w warstwie „wynalazczej” zlokalizowaną anachroniczność, ile przez to, że nie spełnia ona jednego z najbardziej fundamentalnych kryteriów każdej „story”. Taka „story” MUSI bowiem koniecznie stanowić beletryzację pewnego POMYSŁU, natomiast Torpeda czasu zamiast niego prezentuje nam MYŚL pewną — a jedno nie jest z drugim tożsame. Nie ma „pomysłu” w książce, która nie jest ani apologią, ani apokalipsą działania, ponieważ odnosząc się doń z dystansującej odległości, wykazuje jego DAREMNOŚĆ — w historiozoficznie umotywowanej sytuacji. Należy tedy sądzić, że uległaby *Torpeda* w rywalizacji — produktom fachowej, zawodowo sprawnej Science Fiction — ale chyba nie muszę wyjaśniać, co taki sąd znaczy.

*Kraków, lipiec 1966*

## POSŁOWIE DO *WOJNY ŚWIATÓW* H. G. WELLSA\*

*Wojna światów*, najświetniejsze dzieło H. G. Wellsa, jest zarazem jedną z nielicznych powieści, które, wykraczając poza fantastyczność swych założeń, weszły do skarbca literatury światowej. To dubeltowe twierdzenie domaga się uzasadnienia. Najpierw zaskakuje swoją częścią pierwszą, ponieważ Wells dał wiele książek, a ta należy do najwcześniejszych (powstała jako czwarta z kolei, po *Wehikule czasu*, *Człowieku niewidzialnym* i *Wyspie doktora Moreau* — w roku 1897). Jak o tym mówi dedykacja, pomysł zawdzięczał swemu bratu; planował rzecz długo i starannie, dwudziesto—ośmioletni, wędrując pieszo i rowerem po wzgórzach Wokingu, żeby rozpoznać tereny inwazji marsjańskiej, badał więc topografię okolicy niczym strateg w przeddzień bitwy. Sumiennosci takiej można pozazdrościć — lecz nie da się do niej sprowadzić wizjonerskiej mocy *Wojny światów*. Tysiące autorów atakowało po Wellsie temat, którego on był pierwoodkrywca — starcia ludzkości z pozaziemską inteligencją — i oto, po tylu dziesiątkach lat, książka ta nadal wznosi się nad mrowiem Science Fiction jak szczyt, tylko raz jeden osiągnięty. Toteż bez przesady trzeba wyznać, że im więcej poznaje się tekstów nowożytnej fantastyki, w tym wyższym stopniu przychodzi podziwiać nadrzędność pozycji, co tę fantastykę zapoczątkowała. A przecież udziałem późniejszych autorów był i przybór wiedzy Wellsowi nie znanej, i technik artystycznych, sownie doskonalonych w tym niemal wiekowym czasie.

Tak więc stajemy przed zagadką podwójną, niezdolni pojąć ani czemu sam Wells nigdy już nie dał dzieła równego monolitowością i rozmachem *Wojnie światów*, ani czemu książka, od której idzie rodowód Science Fiction, trwa nieprześcigniona. Zagadka ta intrygowała mnie, więcej powiem, niepokoiła przez lata.

Wizja musi się złączyć z intelektem w sposób szczególny, nad wyraz ryzykownie zrównoważony, by jej plód zdobył arcydzielność, którą poznać po tym, że utwór nie tylko nie mierzchnie w oku następnych generacji, lecz odwrotnie: zdaje się wzbogacać sensami, jakich jego współcześni nie dostrzegali. Upływ czasu historycznego działa na literaturę niczym wiatr na ogień: małe płomyki gasi, a silne roznieca. Proces ten przybiera w fantastyce postać szczególnie drastyczną: utwory realistyczne niskiego lotu starzeją się i przez to stają się jakby nieme; fantastyczne natomiast ulegają złośliwszej kompromitacji, gdy to, co w nich miało być poważne czy aż groźne, może tylko śmieszyć. Gdy degradacja taka zachodzi sposobem złagodzonej, książki nie giną, lecz zmieniają adres czytelniczy, jak powieści J. Verne'a pisane dla dorosłych, a dziś czytane tylko przez dzieci.

Lecz *Wojna światów* nie drgnęła w raz zajętej pozycji — owszem, ostatnia wojna, która okazała się tak niszczycielskim probierzem dla tylu dzieł realistycznych, tę powieść Wellsa zaktualizowała nowym, okrutnym znaczeniem, bo sprawdziła — wśród okoliczności nie do przewidzenia — jej historiozoficzną wymowę. Tak stało się z książką fantastyczną, gdy ludzie mego pokolenia, w tym kraju, właśnie przez to, że tak straszliwie nawiedzonym, pamiętają, jak niewiele było wtedy książek zdatnych do lektury bez zzymania się, bez poczucia złośliwej i fatalnej zarazem wyższości, które zawdzięczaliśmy osobistemu wtajemniczeniu w mechanizmy rozbicia kultury. I nic to, że czynnikiem miażdżącym na s była inwazja ludzi powodowanych doktryną ludobójstwa, podczas kiedy zagładę tejże skali sprawia w powieści Wellsa wyimaginowany najazd z Marsa. Młodzieniec piszący *Wojnę światów* obdarzony był najradszą — socjologiczną — wyobraźnią, skoro tworzył, nie zaznawszy żadnej wojny. Lecz właśnie ci, co, jak ja, przeżyli ją w postaci nowożytnej, wynalezionej przez faszyzm, wojny totalnej — czyli na całkowite wyniszczenie pokonanych — rozpoznają w tym „fantastycznym” utworze niezapomniane obrazy chaosu masowej ucieczki, rozpadu

---

\* H. G. Wells *Wojna światów*, Kraków 1974

więzi społecznych, chyżości, z jaką cały bieg życia, cała obyczajowość tradycyjna, to wszystko, co mamy za naturalne prawo człowieka, idzie w proch, jak w takim konaniu społecznym objawy nikczemnej podłości sąsiadują z równie bezgranicznym heroizmem, do jakich wreszcie skrajnych postaw prowadzi tak całkowita klęska — gdyż Wells potrafił dotrzeć intuicją do indywidualnych i zbiorowych reakcji wewnątrz kultury zdruzgotanej, a nie tylko do stanów społeczeństwa pokonanego w wojnie, mającej — przy całym swym okrucieństwie — jakieś tego okrucieństwa granice. Utwór, zdolny z takiej odległości czasowej z taką precyzją dojść uniwersalnej prawdy, wypada zaliczyć do epiki.

Wojna, którą przeżyliśmy, była jak najbardziej realna, pozostawiła po sobie stopy dokumentów, a jednak jakże często nie mogę bez gniewnego oporu, wywołanego przemożnym uczuciem, że tu się kłamie — czytać książek poświęconych jej czasowi, pisanych przez ludzi następnej generacji. Wydaje się wówczas, że żadnym wysiłkiem wyobraźni nie można zastąpić osobistego uczestnictwa w łamaniu się i waleniu epoki — i to w obrębie realistycznego pisarstwa — lecz właśnie powieść Wellsa zadaje kłam podobnym przypuszczeniom. Niewątpliwie można tego dopiąć, skoro jemu się udało. Podnoszę więc lakoniczną, suchą, rzeczową sprawność, z jaką Wells obserwuje krach porządku ludzkiego, ową koszmarną ł a t w o ś ć jego zniszczenia, to, jak w gruncie rzeczy delikatne są osnowy naszego wielowiekowego dorobku i jak niewiele starannie wymierzonych ciosów trzeba, by go unicestwić.

Rozpisuję się o tej całkowicie pozafantastycznej stronie sprawy, ponieważ tej prawdzie zawdzięcza Wojna światów swoją żywotność. Jak widzimy, tylko na bezwzględnym realizmie szczegółów osadzona, we wszystkich indywidualnych i zbiorowych reakcjach wiarygodna opowieść może — z takiej bazy — wkroczyć w mistrzostwo; więc wizjonerstwo fantastyki okazuje się o tyle sprawdzalne, o ile potrafi z wymaginowanych elementów złożyć rzeczywistość potwierdzoną przez historyczne doświadczenie. Czynniki fikcyjny, który powoduje skutki narzucające się jako prawdziwe na pewno — oto najzwięźlejsza formuła tej kreacji.

Tak więc nazywam bohaterem *Wojny światów* ludzkość, potraktowaną jako „niższa rasa”, jak gatunek, któremu nic zgoła od jego zwycięzców się nie należy.

Mówię to oczywiście patrząc na tę książkę przez własny los — czyli mierząc jej wartość wiedzą, pochodzącą z przeżyć a nie z jakichkolwiek idei, mając je za wtórne względem rzeczywistości, bo to ona jest najwyższym sędzią wszystkich naszych dzieł — więc także literackich. Ostatecznie więc wypada uznać, że trwałość swoją zawdzięcza Wojna światów realizmowi wizjonerskiemu, jako zdolności docierania dalej, niż to jest możliwe w granicach każdorazowej współczesności: ta powieść jest tedy mniej fantastyczna dla mnie dzisiaj niż trzydzieści kilka lat temu, gdy czytałem ją po raz pierwszy, i właśnie dlatego więcej ma mi do powiedzenia.

Kiedy zwracamy z kolei spojrzenie ku najeżdżcom z Marsa, winniśmy sobie uświadomić, jakie tu przeraźliwe zadanie stało przed pisarzem, gdyż rachunek r e a l i z m u, raz otwarty, domagał się — i tutaj — zarazem konkretnego precyzyjnego oraz takiej niesamowitej i n n o ś c i, która uniemożliwiłaby rozpoznanie w kosmicznych przybyszach maszkar — więc przebierańców. Znaczący to, że tak oni sami, jak ich rynsztunek, jedno i drugie musiało zostać opatrzone — naraz — pełnią nieludzkości i funkcjonalności. Jako twórca marsjańskiej technologii wojennej Wells jest znów nieprześcigniony. Ich Machiny Bojowe i Robocze są dziś dla nas po prostu tym, co sami urzeczywistnimy, w niezbyt dalekiej zapewne przyszłości, nie podług wyglądu, lecz z a s a d y — przy tym pierwociną Machin Roboczych są tak zwane „pedypulatory”, których prototypy już istnieją. Machiny Robocze uznałby znów współczesny cybernetyk za pewien typ „symbiontów”, to jest zespolenia mechanizmu z istotą żywą, przeznaczonego do wykonywania prac uniwersalnych, a nie tylko do lokomocji — której mają służyć „pedypulatory”. W *Snopie Gorąca* można się dopatrzeć potężnego lasera, Czarny

Dym to oczywiście gazy bojowe; należy wszakże podkreślić, iż owe wcielenia wyobraźni technologicznej nie tylko są „futurologicznie” uwierzytelnione, ponieważ wstrząsającą znamienitość nadaje im postać, w jaką przyoblekła je Wellsowska imaginacja.

Gdyż, przynajmniej dla mnie, wyznając, nic nie ma bodaj niesamowitszego w Marsjanach ponad ów niebywały kontrast pomiędzy ich osobniczą, fizjologiczną, ociążałą nieporadnością a zwinnym ogromem ich kroczących machin, owych trójnogów, tak do niczego ziemskiego niepodobnych. Współczesny ekspert zobaczy w tych machinach wcielenie koncepcji najnowszych i najwięcej pono rokujących — bioniki, to jest sztucznego naśladowania i doskonalenia takich rozwiązań, jakie stworzyła naturalna ewolucja życia.

A jednak nie tym, technologicznym, przewidującym realne możliwości wynalazcze ładunkiem pomysłów stoi ta powieść, lecz właśnie nieomylnym stopieniem wszystkich swych realiów w jedność, bo w niej każda rzecz z osobna służy całości i ma właściwą sobie miarę. Dotykam tu pewnej tajemnicy pisarstwa nie dającej się do końca wyłożyć dyskursywnie, którą nazwę dwa razy po kolei. Najpierw, że dzieło wybornie udane obiektywizuje się i uniezależnia od swojego twórcy tak, iż staje się niejako mądrzejsze od niego samego, skoro potrafi — co właśnie usiłowałem podkreślić uprzednio — mówić późnym swoim czytelnikom nawet i to, czego sam autor nie wiedział z równą jasnością. Zdobywa więc ono jakby pewien stopień pokrewieństwa z uniwersalizmem teorii naukowej, która będzie w przyszłości potwierdzona faktami, jakich nie znał, bo znać nie mógł, jej budowniczy.

A gdyby do tejsze tajemnicy podchodzić z innej strony, we wszystkich działaniach, tak społecznych i grupowych, jak indywidualnych, manifestuje się zawsze właściwa im struktura jako porządek pomieszany z przypadkiem, akcydentalność zrosnięta z prawidłowością, to, co zaplanowane, z tym, czego nikt nie przewidywał, co losowo wynikło; rzeczywistość wszelka ma swoje żelazne prawa i swoje kaprysy, ład w nieobliczalności i nieobliczalność w logice; otóż ten zawiły stop pierwiastków heterogenicznych trudno jest odtworzyć we wszelkiej narracji powieściowej, a w fantastycznej zadanie to staje się najtrudniejsze z możliwych. Bodajże nikt, o ile mi wiadomo, nie przeprowadził takiej analizy bojowego działania Marsjan i kłęski ludzkiej, pokazanych w powieści Wellsa, jaką stosuje każdy historyk wojenny do wielkich batalii, więc tylko intuicyjnie oświadczę, że w postępkach obu stron tkwi niepodważalny ładunek prawdopodobieństwa: tu akurat takie środki wprowadzono w akcję, taka działała strategia i taktyka, jakich trzeba było dla osiągnięcia celu, koszmarne ze stanowiska ludzi, a pożądane przez Marsjan.

Skoro taki hołd oddałem już temu dziełu, niech mi będzie wolno wypowiedzieć jedyny zarzut przeciw niemu skierowany. W Marsjanach razi mnie całkowity brak kultury, oczywiście rozumianej nie jakoś solidarystycznie i antropocentrycznie, bo to byłby postulat nonsensowny.

Obraz ich jest w powieści zborny: są to istoty bezpłciowe, rozmnażają się przez pączkowanie i nie znają innej etyki poza etyką współpracy czysto rzeczowej, więc na Ziemi — bojowej, gdyż, oczywiście, muszą współdziałać dla skutecznego zawojowania planety. Otóż istoty tak całkowicie zredukowane w swej motywacji czynów i myśli do wartości zwanych instrumentalnymi wydają mi się niemożliwe, a przynajmniej po prostu nieprzekonywające. Rozum, jeśli prawdziwie jest Rozumem, musi oznaczać wykraczanie poza przyrządy, jakie wytwarza, by podtrzymać to życie, które nadało mu przywilej istnienia. Rozum musi być tedy ciekawy, i ta jego właściwość zawsze zawiera pewną przymieszkę bezinteresowności. To można udowodnić nawet odwołując się do historii nauki: gdyby ona zajmowała się zawsze i tylko tym, co zdaje się rokować wykrycie jakiegokolwiek praktycznej użyteczności, niedaleko by zaszła w swym rozwoju. Tak więc, Marsjanie powinni by zajmować się ludźmi co najmniej w tym stopniu, w jakim my zajmujemy się najniepotrzebniejszymi nam skorupiakami czy roślinami, więc badać ich, zarówno pod względem fizjologicznym, jak umysłowym, a nie tylko wysysać im krew po uznaniu naszego



gatunku za niegorszy typ pożywienia. Lecz oni zachowują się w sposób niejako instynktowny, niczym jakieś drapieżniki wampiropodobne, a to nie daje mi się pogodzić z założeniem rozumu, nawet skrajnie okrutnego w praktykowanej moralności. Nie pozostawiają też po sobie żadnych śladów własnej kultury, żadnych pojemników załadowanych informacją, dokumentów, absolutnie nic, poza zagadkowymi machinami. To również mam za istotną lukę powieści. Wells zredukował ich do agresywnego, czystego funkcjonalizmu, jak gdyby sami byli zaprogramowanymi maszynami, a nie wielkimi mózgami, przez co sędzę, że uczynił tak, ponieważ w tym, czym może być, więc — jakimi wartościami stać, jakim celom oddawać prymat nieludzka, innoplanetarna cywilizacja — po prostu nie był zainteresowany. Tutaj dopiero natrafiamy na — głęboko ukrytą! — alegoryczną intencję tego dzieła, objawiającą się w całkowitej obojętności autorskiej na wymienione właśnie pytania. Marsjanie są bowiem narzędziem, dokonującym straszliwego eksperymentu z woli pisarza, aby otworzyć ludziom oczy, to jest, aby umieścić ich znikome dokonania na gigantycznym tle historii tak ziemskiej, jak kosmicznej. Na ten trop naprowadza też osobliwa zbieżność pewnej koncepcji powtarzającej się w powieściach Wellsa. Artylerzysta, jeden z bohaterów utworu, rozmawiając z narratorem, przewiduje rozdzielenie ludzkości: po klęsce jedna jej część, pozostając we władzy Marsjan, będzie ich rzeźnym bydłem, będzie ich może obsługiwać, popadając w skrajne stany mistycznej psychozy jako ostatniego azylu umysłowego, bądź doraźnego promiskuityzmu czy nیکczemnej do zaprzęstwa uległości. Druga część ukryje się pod ziemią, w starych kanałach, i tych uciekinierów będą tropili, z rozkazu Marsjan, odpowiednio ułożeni do tego i wytresowani — ludzie——niewolnicy.

Ponieważ wielką, zasłużoną estymę, jaką dzieło Kafki cieszy się u literatów, wspierano uwagami, że on, *Kolonią karną*, przewidział obozy koncentracyjne, czyli tę rozpiętość zdrady, do jakiej jest człowiek zdolny względem człowieka, ośmielę się, korzystając z okazji, zauważyć, iż myśl osiową dla tego proroctwa Wells wypowiedział był ćwierć wieku wcześniej. Ludzie dla Marsjan mieli ludzi łowić: jak widzimy, ten humanista i meliorysta nie żywił nadmiernie błogich przekonań co do naszej natury.

Rozdzielenie ludzkości, tylko przelotnie wypowiedziane jako przypuszczenie człowieka zrozpaczonego katastrofą w Wojnie światów, urzeczywistnił Wells już wcześniej — w *Wehikule czasu* — pokazując ludzkość roku osiemset tysięcznego, w którym Arkadię naziemną zamieszkują Eloje, podczas gdy podziemia roją się od Morloków. Jak wolno przypuścić, w tych podobnie rozwarstwionych obrazach odciska się, niejako odruchowo przyjęty przez Wellsa, motyw mityczny — Arkadii i Hadesu, nieba i piekła. W *Wehikule czasu* niebo nie jest oczywiście rajem prawdziwym, lecz jego szyderczą karykaturą, boż niewinni i piękni Eloje są zarazem otepiałymi od bierności, bezmyślnymi potomkami klas panujących, podczas gdy Morlokwie — „proletariat do cna zdegenerowany” — utrzymując maszynę cywilizacyjną w ruchu, nie tylko służą Elojom, lecz i żywią się ich mięsem. *Wojna światów* wyraża odwrotność tej myśli: tylko pod ziemią może jeszcze człowiek odnaleźć ostatek niepodległości — po klęsce. A zarazem obu tym motywom wspólny jest głęboko niepokojący motyw kanibalistyczny: Morlokwie żywią się Elojami, jak Marsjanie — ludźmi.

Nie przyniosę chyba ujmę Wellsowi oświadczając, że tego mi trochę nadto — i znów nie dla jakowychś względów moralnych czy aż moralizatorskich, ponieważ na zarodki okrucieństwa, tkwiące we wszelkim bycie cywilizowanym, pisarz, naszej zwłaszcza epoki, oczu zamykać nie ma p r a w a . Rzecz w tym, iż owa wampiropodobna fizjologia Marsjan jest podwójnie zbędna. Najpierw, w planie czysto przyrodoznawczej refleksji, gdyż jest nadzwyczaj nieprawdopodobne, by organizmy powstałe wewnątrz jednej ewolucji planetarnej życia mogły służyć za pokarm ustrojom ukształtowanym w łonie innego ewolucyjnego porządku. Nawet na Ziemi, z jej jedynym, wspólne korzenie mającym drzewem ewolucyjnym, nie każdy rodzaj zwierząt mógłby żywić się dowolnym innym, cóż dopiero gdy

ogrom kosmicznej izolacji czyni wzajemnie obcymi sobie — anatomie i fizjologii istot powstałych w pełnej niezawisłości wzajemnej. Wreszcie — choć to trywialnie zabrzmie — przyrodnik wie, jak niską kaloryczność ma krew jako pokarm; istota rozmiarów człowieka czy Marsjanina musiałaby spożywać co najmniej kilkanaście litrów krwi na dobę, by żyć; a już wprowadzenie owej krwi do naczyń bezpośrednio jest biologicznie całkiem niewiarygodne. Lecz ta pretensja, zahaczająca o weryzm, traktowany czysto naukowo, ma drugorzędny charakter. Znacznie istotniejsze wydaje mi się to, że dosłowna krwiożerczość Marsjan w jej malowniczym horrorze jest pod względem artystycznym całkowicie niepotrzebna i tym samym stanowi jedyny, jak myślę, tani, bo z rozmysłu na szok obliczony, efekt narracyjny. Zapewne idzie tu o kwestie kompozycyjnego gustu, które żadnym kryteriom sprawdzalnym rozstrzygnięcia podlegać nie mogą.

Niechże sobie, u końca tej części uwag, pozwolę wreszcie na bezwstyd impersonacji: gdybym to ja pisał *Wojnę światów*, kazałbym Marsjanom ludzi badać, choćby i w wiwisekajach, lecz nie wprowadziłbym motywu „konsumpcyjnego”, a nadto, co ważniejsze, nie uczyniłbym celem najeźdźców podboju ludzkości, tego podboju, który nam, współczesnym, tak dokładnie wstrząsająco przystaje do ludobójczego planu faszystów.

Uczyniłbym raczej zrozumiałym, bo naocznym, samo tylko starcie wojenne, lecz właśnie cele Marsjan zasłoniłbym przed ludźmi, robiąc je dla nich nierozpoznawalnymi. Nie przyświecałby tedy Marsjanom plan zgruchotania cywilizacji w celu zniewolenia Ziemi ani obrócenia ich w „rezerwuariat żywności”, lecz jakiś cel inny, ustanowiony w odmiennym od ludzkiego porządku działań. Gdyby ktoś pragnął zrozumieć, jaki rozdział pojmowania dzieliłby ludzi od Marsjan, niechaj pomyśli na przykład o tym, że gdy wysiedlano całą ludność archipelagu, na którym miało dojść do próbnej amerykańskiej eksplozji wodorowej, tubylcy owi na pewno nic nie rozumieli z tego, co się dzieje, jakkolwiek w jednej chwili pozbawiono ich odwiecznego terytorium i dobytku. Tak więc, w owym moim hipotetycznym utworze Marsjanie działaliby wprawdzie podobnie jak w Wellsowskim dziele, lecz tylko aby się od ludzi opędzić, żeby im ludzie nie przeszkadzali we właściwym zamierzeniu, któremu miała za bazę posłużyć Ziemia. Racją takiej konstrukcji byłaby zasada, podług której różnica stopnia cywilizacyjnego rozwoju prowadzi do rozbieżnej wichrowatości poczynań celowych, czyli skutkiem odmiennych radykalnie nakierowań wysiłku zbiorowego jest niepojmowalność asymetryczna: młodszy w historii mogą starszy w niej nie rozumieć dla braku niezbędnych po temu wiadomości, a więc i pojęć po prostu. Plan taki wydaje mi się historiozoficznie bardziej racjonalny, artystycznie zaś dość szyderczy w wymowie, skoro ziemską cywilizację ma być „tylko uprzątnięta” przez najeźdźcę, będąc mu zawadą, i wyłącznie przez to — ofiarą zagłady. Zdaję sobie jednak dobrze sprawę z niejakiego ahistoryzmu mych uwag: koncepcja taka była w czasach Wellsa nierealna jeszcze.

Wells osłabł w późniejszych książkach, jakkolwiek nie brak pośród nich utworów pełnych inwencji, lecz nigdy już nie stworzył panoramy tak rozległej, opatrzonej taką głębią i tym samym tak odpornej na niszczące działanie czasu upływającego, przy czym ośmielam się sądzić, że wiem, czemu tak było. W dniach wspaniale obchodzonego jubileuszu panowania królowej Wiktorii, więc w apogeum wiktorianizmu, gdy brytyjskie imperium było pierwszą potęgą planety, w centrum tego doskonałego, stagnacyjnego zadufania, kiedy kulminował optymizm dziewiętnastowieczny, pełen zadowolonej pychy z dokonań, Wells, aby rozerwać owe zakrzepłe, wąskie horyzonty, zadawał etnocentrycznej pysze swoich współczesnych kolejne ciosy. Pierwszy — z czasu — powieścią *The Time Machine* — w której pokazał przemijalność, więc ulotność epok i porządków społecznych, to, jak giną, choć w każdej generacji mają się za opoki niewzruszone; zarazem kreślił umonstrualnioną ekstrapolację z porządku, jaki zastał — burżuazję i proletariat przepoczwarzając w Ełojów i Morłoków.

Z przestrzeni zadał cios drugi — właśnie *Wojną światów*, ale w powieści tej znajdujemy, podane jako rzekome cytaty z pism uczonych, wyraźne orzeczenia, iż wygląd oraz sposób

działania Marsjan to jest nie tylko aktualna własność innej pozaziemskiej kultury, lecz jest to zarazem przyszłość samego człowieka.

A więc tę samą naczelną myśl dwukrotnie przyoblekał w ciało realistycznej fakturą alegorii.

Wizjami tymi uderzał w skamielinę wiktorianizmu, niby Archimedes literatury, szukając takiego punktu oparcia, żeby mógł ruszyć z posad bezwład powszechnego myślenia. Lecz tego było mu potem mało; z wizjonera-artysty, z trzeźwiciela, przemawiającego alegoriami, obrócił się w aktywistę melioryzmu społecznego. Toteż jego intelekt podporządkował sobie jego artyzm, aż jał płodzić dzieła — zbeletryzowane traktaty, socjalne utopie i antyutopie, których krytyczno-racjonalny ładunek przytłaczał suwerenność wyobraźni (jak choćby w *Pierwszych ludziach na księżycu*, książce jawnie skierowanej przeciwko porządkom ziemskim i właśnie przez tę jawność rozpadającej się w narracji na kawały — już to bardziej fantastyczne, już to czysto dyskursywne). Szlachetność tych utworów godna jest szacunku, lecz ta właśnie intencja uczyniła na koniec samego Wellsa w jego działaniu pisarskim — utopistą, w tym prostym sensie, że postępował tak, jakby wierzył w szansę odmienienia świata — literaturą. Rojenie to, najambitniejsze, jakiego może się dopracować pisarz, jest niestety tylko urojeniem. Wells swym późnym książkom grzbiety połamiał, waląc na nie ciężary, jakich nie mogły podźwignąć — rezygnując z wizji na rzecz racji, obracając książki w instrumenty bezpośredniego, wyraźnego oddziaływania, nawracania, perswadowania i pouczenia. Tak przeniósł zalecenia i dyrektywy nad siłę wyrazu artystycznego, wykłady nad sztukę, wdał się w dyskusję socjologiczną, antropologiczną na wszystkich jej frontach, dał też dzieła ważkie, jak choćby swoją *Historię świata*, lecz nie dał już żadnej tak wielkiej, jak *Wojna światów*, p o w i e ś c i . Toteż można by rzec, że ofiarował swoją twórczość, swój talent światu w sposób, który niewiele mógł dać temu światu realnej korzyści — lecz przecież złożył ofiarę z tego, co było w nim najlepsze i najwyższej miary; i przekładał tak, napominał, wojował słowem j aby u kresu życia pogрузić się w głębokim pesymizmie co do dalszych losów naszego gatunku, gdyż doczekał się wyzwolenia energii atomowej w świecie, w którym nikt lub prawie nikt nie chciał go wysłuchać.

Czyn tej ofiary, rozłożony na kilkadziesiąt lat niebywale pracowitego żywota, nieposzlakowany moralnie, był, jak się rzekło, utopijny. Chcąc ludziom nieść pomocy zbyt wiele — literaturą — Wells ją, we własnym dziele, poraził — a w zamian nie mógł dać niczego — równej wartości.

Wywód ten jest oczywiście tylko moją hipotezą i mogę się w nim mylić; wyrażam wszak tylko własne przekonania. Podług nich, od literatury należy wymagać wiele — lecz nie bez pomiarkowania. Wymagania bez granic porażają ją tak samo, jak minimalistyczne, czyniące z niej pustą zabawę. O rozwiązanie drugiej z kolei zagadki — wymienionej na wstępie tych uwag, czemu nie tylko sam Wells, lecz i nikt po nim nie wznosił problematyki perspektyw cywilizacyjnych zainicjowanej *Wojną światów*, na wyżyny tej właśnie powieści, pokusiłem się kilka lat temu, pisząc monograficzną rzecz o Science Fiction.\*

Wywodów, jakimi wypełniłem tam niemal tysiąc stron, ani tu nie zamieszczę, ani nie powtórzę, wypowiem tylko w postaci zwięzłego spostrzeżenia to, co w nazwanej monografii omieszkalem powiedzieć. Jakkolwiek przedstawione w tamtej mojej książce czynniki natury historyczno-literackiej, komercyjnej oraz inne, jakich nie wymienię, miały swój udział w wyradzaniu się fantastyki, aż zeszała na poziom artystycznego kiczu i tandety intelektualnej, wypada lojalnie dodać, że w ciągu bez mała dziewięćdziesięciu lat, jakie nas dzielą od powstania *Wojny światów*, sytuacja cywilizacyjna odmieniła się o 180 stopni — czyli uległa pełnemu odwróceniu. Wells pisał w świecie do znieruchomienia zastygłym i co najważniejsze, przeświadczonym o własnej trwałości, o tym, że nie będzie podlegać żadnym kataklizmom ani metamorfozom. Toteż jego pierwsze, najcenniejsze dzieła były otwarciem

---

\* *Fantastyka i futurologia*, Kraków 1970

horyzontów, zapowiedzią nadciągających trzęsień cywilizacyjnych.

My natomiast żyjemy w świecie, w którym nic nie jest już tak pewne jak to, że jutro nie będzie powtórzeniem dnia dzisiejszego. Świadomość zmiany, w jej narastającym przyspieszeniu, które ani samo nie objawia tendencji zastygnięcia, ani nie daje się powstrzymać na granicy wytyczonej za pospólną zgodą, ta świadomość jest już własnością powszechną.

A zatem, gdy mowa o zadaniach literatury, nie możemy włączyć w ich poczet zadania, jakie stało przed Wellsem. Nie można zbudzić już zbudzonego ani powtórnie odkryć Ameryki.

Tak więc Wojna światów może mieć tylko epigońskie kontynuacje, o tyle bezprzedmiotowe historiozoficznie, że źródeł katastrofy człowieczeństwa szukać dzisiaj w jakowychś dalach gwiezdnych to tyle, co oświecać sobie zapalkami drogę — w blasku jupiterów. Problematyka cywilizacyjnej zapaści oraz problematyka rozumu innoplanetarnego mogą być, zapewne, atakowane literacko, lecz nie w tym sprzężeniu, które im Wells nadał. Własną potęgą, w jej wzroście, zagrażamy sobie, cóż więc nam po alegorycznych opowieściach, które infantylnie chcą zawrócić rzekę historii kijem? Wells — powiedziałem — przepowiedział Gigantyczną i Nieustającą Zmianę w epoce całkowitej stagnacji. My, mieszkańcy tej właśnie Zmiany, nie możemy już zwracać się o pomoc do ojca i mistrza gatunku. Możemy jedynie podziwiać jego młodzieńcze dzieło, uczyć się zawartej w nim sumienności, rygoru wizji podporządkowanej ogniskującym władzom rozumu, ponieważ wszelkie inne, mianujące się wyzwolonym, fantazjowanie jest w istocie taką ucieczką od płonących spraw świata, która własnej dezercji kłamie.

## POSŁOWIE DO UBIKA PH. DICKA\*

Nikt zdrowy na umyśle nie szuka psychologicznej prawdy zbrodni w powieściach kryminalnych. Zwróci się po nią raczej do *Zbrodni i kary*. Instancją wyższego odwołania od Agaty Christie jest Dostojewski, lecz nikt zdrowy na umyśle nie będzie czynił z tego powodu zarzutów powieściom angielskiej autorki, ponieważ korzystają z uprawnień sensacji rozrywkowej i zadania, jakie sobie stawiał Dostojewski, są im obce.

Analogicznego przejścia od literackich uproszczeń do artystycznej pełni nie da się wykonać, gdy Science Fiction nie zadowala kogoś jako refleksja nad przyszłością i cywilizacją, bo nad tym gatunkiem nie ma wyższej instancji odwołania. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby fantastyka amerykańska nie pretendowała, wykorzystując fakt swej wyłączności, do sadowienia się na szczytach myśli i sztuki. Drażni pretensjonalność gatunku, który odpiesza zarzuty prymitywizmu, powołując się na swą rozrywkowość, a ledwie takie zarzuty ucichną, wznawia swe uroszczenia. Będąc jednym, a podając się za drugie, uprawia Science Fiction mistyfikację, zresztą za milczącą zgodą czytelników i wydawców. Zainteresowanie fantastyką na amerykańskich uniwersytetach niczego nie odmieniło w tym stanie rzeczy — wbrew temu, czego można się było spodziewać. Ryzykując *crimen laese Almae Matris* trzeba rzec, gwoźli prawdzie, że krytyczne metody teoretyków literatury objawiają swą bezradność wobec mistyfikacyjnych taktyk Science Fiction, lecz nietrudno pojąć przyczynę tego paradoksu. Gdyby problematyce zbrodni były poświęcone wyłącznie utwory typu dzieł Agaty Christie, do jakich właściwie książek miałby się odwołać choćby i najuczestniejszy krytyk, żeby udowodnić detektywistycznej sensacji jej myślowe ubóstwo i artystyczną podrzędność? Standardy i pułapy jakości ustalają w literaturze konkretne dzieła, a nie postulaty krytyków. Nie ma takiej góry rozważań teoretycznych, która mogłaby zastąpić obecność wybitnego utworu powieściowego jako wysokiego wzorca. Krytyki ekspertów historiografii nie zachwiały pozycji Sienkiewiczowskiej *Trylogii*, ponieważ nie było polskiego Lwa Tołstoja, który poświęciłby epoce wojen kozackich i szwedzkich swoją *Wojnę i pokój*. Jednym słowem, inter caecos monoculus rex, tam gdzie brak pierwszorzędności, rolę jej wypełnia drugorzędność, stawiająca sobie ułatwione zadania i rozwiązująca je ułatwionymi sposobami. O tym do czego prowadzi nieobecność takich dzieł, więcej niż elaboraty mówi zmiana przekonań, jakiej Damon Knight, zarazem autor i ceniony krytyk, dał wyraz w uniwersyteckim periodyku „Science Fiction Studies”. Oświadczył on, że był w błędzie, odsądzając od czci książki innego Amerykanina, van Vogta, za bełkotliwość i irracjonalizm, skoro bowiem van Vogt cieszy się olbrzymią poczytnością, to t y m s a m y m racja pisarska musi być po jego stronie, a zadań krytyka nie wolno upatrywać w dyskredytowaniu takiej kreacji w imię dowolnych wartości — skoro czytająca publiczność nie chce ich wyznawać. Zadanie krytyka polega na wykrywaniu tych cech dzieła, którym zawdzięcza ono poczytność. Takie słowa w ustach człowieka, który usiłował latami gnębić tandetę w fantastyce, to więcej niż wyznanie przegranej osobistej — to diagnoza stanu ogólnego. Jeśli nawet długoletni obrońca artystycznych wartości złożył broń, to cóż mogą w tej sytuacji uczynić pomniejsze duchy?

W samej rzeczy nie można wykluczyć, że wysokie słowa Conrada o literaturze jako o „wymierzaniu sprawiedliwości widzialnemu światu” staną się anachroniczne, że niepodległość literatury modzie i popytowi szczególnie także poza fantastyką, a wtedy to, co zyskuje od razu poklask, jako bestseller, utożsamia się z tym, co najcenniejsze. Byłyby to ponure rokowania. Kultura każdego czasu jest mieszaniną tego, co zaspokaja gusta i zachcianki oraz tego, co poza nie wykracza — także, by je osądzać. To, co ulega gustom,

---

\* Ph. Dick *Ubik*, Kraków 1975

stanowi rozrywkę, zdobywając sukces natychmiast bądź nigdy: niemożliwy jest bowiem pokaz prestidigitatorski lub mecz piłki nożnej, które, dziś zapoznane, zdobędą sławę za sto lat. Z literaturą jest inaczej. Tworzy ją zachodzący społecznie dobór naturalny wartości, niekoniecznie usuwający w cień dzieła, jeśli są także rozrywką, lecz stracający je w niepamięć, jeżeli są rozrywką wyłącznie. Czemu tak jest? Dużo by o tym mówić. Gdyby pojęcie człowieka jako indywidualności żądającej od społeczeństwa i świata czegoś więcej nad doraźne zaspokojenie uległo likwidacji, znikłaby też różnica między literaturą i rozrywką. Ponieważ jednak wciąż jeszcze nie utożsamiamy zręczności sztukmistrza z osobowym wyrazem stosunku do świata, nie można mierzyć wartości literackich liczbą sprzedawanych książek. Jakże jednak właściwie dzieje się, że to co mniej popularne może się w biegu na długi historyczny dystans ostać wobec tego, co odnosi niezwłocznie sukcesy i potrafi nawet zmuszać do milczenia swych przeciwników? Sprawia to nazwany dobór naturalny w kulturze, zadziwiająco podobny do takiegoż doboru w ewolucji biologicznej. Zmiany na scenie ewolucyjnej, dzięki którym jedne gatunki schodzą z niej na rzecz innych, rzadko kiedy są skutkiem wielkich kataklizmów. Niechaj potomstwo jednego gatunku przeżywa o jedną milionową częściej niż drugiego, a po jakimś czasie ostanie się w żywych tylko gatunek pierwszy — przy czym różnicy ich szans nie można dostrzec z bliska. Tak i w kulturze; książki, w oczach współczesnych tak podobne do siebie, że właściwie sobie równe, rozchodzą się po latach; uroda łatwa, jako przemijająca, ulega z czasem trudniejszej. Tak powstają prawidłowości wschodu i zachodu dzieł, nadające rozwojowy kierunek kulturze duchowej epoki.

Możliwe są wszakże okoliczności, w których ów dobór naturalny ulega porażeniu. W ewolucji biologicznej skutkiem będzie uwstecznienie, degeneracja a co najmniej stagnacja rozwojowa, charakterystyczna dla odciętych od świata populacji, wyjałowionych wsobnym chowem, gdyż takim najbardziej zbywa na płodnej różnorodności, którą zapewnia tylko otwarcie na wszystkie wpływy świata. W kulturze prowadzi analogiczna sytuacja do powstania enklaw zamkniętych w getta, w których produkcja duchowa też popada w zastój od wsobnego chowu, jako bezustannej repetycji tych samych wciąż wzorców i taktyk kreacyjnych. Wewnętrzna dynamika getta może się wydawać intensywna, po latach widać jednak, że to ruch pozorny, bo donikąd nie prowadzi, bo ani nie przyjmuje dopływów z otwartego obszaru kultury, ani sam się jej dopływem nie staje, bo nie tworzy nowych wzorców ani prądów, bo żywi wreszcie najfalszywsze wyobrażenia na własny temat, jako że brak mu idącej z zewnątrz sprawiedliwej oceny poczyniń. Książki getta upodobniają się do siebie, tworząc bezindywidualną masę, przy czym to co lepsze, spychają takie środowiska w dół, ku temu co gorsze; więc utwory różnej jakości spotykają się w wymuszonym na nich uśrednieniu niejako w pół drogi. W takiej sytuacji nakładowy sukces nie tylko może, lecz musi stać się jedynym kryterium wartościowania; niemożliwa jest bowiem kryterialna próżnia, więc tam, gdzie brak ocen merytorycznych, zastępują je uzasadnione merkantylnie. Taka właśnie sytuacja panuje w Science Fiction Amerykanów, obszarze stadnej kreacji. Stadność jej w tym, że książki różnych autorów stanowią jak gdyby różne partie wciąż tej samej gry albo rozmaite figury identycznego tańca. Należy podkreślić, że w kulturze literackiej, jak w ewolucji naturalnej, skutki zjawisk stają się dzięki sprzężeniom zwrotnym przyczynami: bierność artystyczno-intelektualna i miernota dzieł, zachwalanych jako genialne, odtrącają odbiorców i autorów o większych wymaganiach, więc dezindywidualizacja Science Fiction to zarazem przyczyna i skutek gettowego zamknięcia. W Science Fiction nie ma już miejsca dla twórczości, co pragnęłaby się poświęcić niezmistyfikowanej, nie ułatwionej, nie tylko po rozrywkowemu traktowanej problematyce naszego czasu — na przykład refleksji nad pozycją, jaką Rozum może zajmować w Universum, nad granicznym zasięgiem ukutych na Ziemi pojęć — jako instrumentów poznania, czy nad takimi konsekwencjami kontaktów z pozaziemskim życiem, które nie

mieszczą się w rozpaczliwie prymitywnym repertuarze pomysłów Science Fiction (zamkniętych wewnątrz alternatyw „my ich” lub „oni nas”). Pomysły te mają się do serio traktowanej problematyki nazwanego rodzaju niczym powieść kryminalna do problematyki zła, tkwiącego w człowieku. Gdy ktoś wytacza przeciw takim pomysłom działa etnologii porównawczej, antropologii kulturowej i socjologii, słyszy w odpowiedzi, że z armat strzela do wróbli, boż idzie o rozrywkę; kiedy zamilknie, znów podnoszą się głosy apologetów kulturotwórczej, antycypacyjnej, prognostycznej i mitotwórczej roli Science Fiction. Zachowuje się ona niczym sztukmistrz, wyciągający króliki spod pachy, który, zagrożony rewizją osobistą, puka się pod naszym adresem w czoło, wyjaśniając pobłaźliwie, że stosuje triki, po czym wnet słyszymy, że wśród publiczności uchodzi za autentycznego cudotwórcę. Czy możliwa jest w takim środowisku twórczość niezmistyfikowana? Odpowiedzi na to pytanie udzielają powieści Ph. K. Dicka. Jakkolwiek różnią się od tła, na którym powstały, nie jest łatwo uchwycić różnice, Dick używa bowiem tych samych rekwizytów i wątków, co inni Amerykanie. Cały wyświechtany zbiór telepatów, wojen kosmicznych, równoległych światów, podróży w czasie, przejmując Dick ze składnicy, co stała się już wspólną własnością autorów. W jego powieściach zachodzą przeraźliwe katastrofy, lecz i to nie jest żadnym wyjątkiem z reguły, wszak przedłużanie listy wyrafinowanych końców świata należy do standardowych tematów Science Fiction. Lecz podczas kiedy u innych fantastów źródło zagłady jest wyraźnie nazwane i ograniczone, już to jako socjalne (wojna ziemską lub kosmiczną), już to jako naturalne (siły żywiołowe Przyrody), świat Dickowych powieści ulega groźnym przemianom dla przyczyn niepodległych do końca rozpoznaniu. Nie o to więc idzie, że wszyscy giną, bo wybuchła gwiazda lub wojna, bo nadszedł potop, głód, zaraza, susza, bezpłodność, bo Marsjanie przybyli pod okienko, lecz o to, że działa czynnik niedocieczony, widomy w objawach, lecz nie w swoim źródle, a świat zachowuje się jakby zapadł na złośliwego raka, który atakuje przerzutami jedną po drugiej kolejne strefy życia. Jest to, powiedzmy od razu, trafne jako uskromnienie diagnostyki historiograficznej, gdyż ludzkość w samej rzeczy nie rozpoznaje na ogół w pełni do końca sprawczej przyczyny gnębiących ją przypadłości. Dostyc wspomnieć, jak wiele rozmaitych wykluczających się po części czynników podają dziś eksperci za źródła cywilizacyjnego kryzysu. Jest to też, dodajmy, właściwe jako założenie kreacyjne, ponieważ literatura dostarczająca czytelnikowi po bosku zupełnej wiedzy o wszystkich zajściach powieściowych przedstawia dziś anachronizm, którego obrony nie podejmie się ani teoria sztuki, ani teoria poznania.

Siły, wywołujące światową zapaść w książkach Dicka są fantasmagoryjne, nie zostały jednak wymyślone ad hoc, tylko by szokować czytelników — co pokażemy na przykładzie Ubika, który można zresztą uznać też za fantastyczną groteskę (makabreskę) o niejasnych podtekstach alegorycznych, uszmińkowaną na wzór zwykłej SF.

Gdy jednak patrzeć na nią jako na utwór Science Fiction właśnie, najprostsza okaże się taka oto wersja zajść. Zjawiska telepatyczne uległy po ich opanowaniu w łonie społeczeństwa kapitalistycznego takiej samej komercjalizacji, jak każda inna innowacja techniczna. Przedsiębiorcy wynajmują więc telepatów, aby wykraść konkurentom tajemnice produkcyjne, a ci z kolei bronią się przed „pozazmysłowym szpiegostwem przemysłowym” przy pomocy „inercjałów”, czyli ludzi, których psychika poraża „pole psi”, umożliwiające przejmowanie cudzych myśli. Drogą specjalizacji powstały firmy, wynajmujące na godziny telepatów oraz „inercjałów” i Glen Runciter, „mocny człowiek”, jest właścicielem takiej właśnie firmy. Medycyna umie już powstrzymać agonię ludzi, dotkniętych śmiertelną przypadłością, ale nie umie ich jeszcze wyleczyć. Ludzi takich utrzymuje się więc w stanie „półżycia” w specjalnych instytucjach — „moratoriach” (niejako „odwlekalniach” — śmierci, rzecz oczywista). Gdyby spoczywali tam w lodowych sarkofagach nieprzytomni, byłoby to nikłą pociechą dla ich bliskich. Powstała więc technika, podtrzymująca umysłowe życie takich „zamrożenców”. Świat przez nich doznawany nie jest częścią rzeczywistości, lecz fikcji

utworzonej dzięki właściwym zabiegom. Niemniej ludzie normalni mogą się kontaktować z zamrożonymi, gdyż aparatura lodowego snu ma wbudowane po temu środki, coś w rodzaju telefonu.

Koncepcja ta nie jest ze wszystkim absurdalna podług danych nauki; koncept zamrażania nieuleczalnie chorych, by doczekali czasu, w którym powstaną środki na ich dolegliwość, doczekał się już poważnych omówień. Można by też w zasadzie podtrzymać procesy życiowe mózgu u człowieka, którego ciało umiera (co prawda mózg ten uległby wnet psychicznemu rozpadowi w związku z tak zwaną deprivacją sensoryczną). Wiemy, że drażnienie mózgu elektrodami wywołuje u poddanego takiej operacji przeżycia subiektywnie nieodróżnialne od zwykłych doznań. U Dicka spotykamy udoskonalone przedłużenie takich technik, choć nie mówi o tym w powieści wyraźnie. Powstają tu liczne dylematy: czy nie należy „półżywego” powiadomić o jego stanie? Czy wolno utrzymywać go w iluzji, że pędzi normalny żywot?

Zgodnie z brzmieniem *Ubika*, ludzie, przebywający w lodowym śnie od lat, jak żona Runcitera, dobrze o tym wiedzą. Inna sprawa z tymi, co, jak Joe Chip, omal nie zginęli w wypadku i obudzili się, sądząc, że uszli śmierci, gdy tymczasem spoczywają w moratorium. Przyznajmy, że jest to w utworze punkt niejasny, przysłonięty wszakże innym dylematem. Jeśli bowiem świat przeżyć zamrożonego jest jego światem czysto subiektywnym, to każde wkroczenie z zewnątrz w ów świat musi być dlań zjawiskiem naruszającym normalny tok rzeczy. Jeśli więc ktoś odzywa się do zamrożonego jak Runciter do Chipa, to kontaktowi temu towarzyszą w przeżyciach Chipa zjawiska niesamowite i zadziwiające — jest to bowiem tak, jak gdyby jawa włamywała się w głąb snu „tylko z jednej strony”, nie powodując tym samym unicestwienia snu i przebudzenia śpiącego (który nie może się zresztą przebudzić jak normalny człowiek, boż nie jest normalnym człowiekiem).

Czy jednak, idźmy dalej, nie jest też możliwy kontakt dwóch zamrożonych? Nic mu właściwie nie stoi na przeszkodzie. Czy jeden z tych ludzi nie mógłby śnić, że jest zdrów i cały i że ze swego zwykłego świata zwraca się do drugiego — czyli, że jedynie ten drugi uległ nieszczęśliwemu wypadkowi? I to jest możliwe. A wreszcie czy można sobie wyobrazić całkowicie niezawodną technikę? Takiej być nie może. Więc jakieś zakłócenia mogą wpływać na świat subiektywny zamrożonego, któremu wydaje się wtedy, że jego otoczenie ulega obłąkaniu — że może się w nim nawet czas zapada! Tak tłumacząc sobie przedstawione wypadki, dochodzimy do wniosku, że od bomby zginęli na Księżycu wszyscy bohaterowie powieści, zaczem wszystkich trzeba było złożyć w moratorium i od tego miejsca utwór opowiada już tylko ich majaki i zwydy. W powieści realistycznej (ale to *contradictio in adiecto*) odpowiadałaby ta wersja narracji, która doszedłszy do zgonu bohatera, opisuje nadal — jego życie pozagrobowe. Powieść realistyczna nie może opisywać tego życia, bo zasada realizmu wyklucza takie opisy. Jeśli jednak założymy technikę umożliwiającą „półżycie” zmarłych nic nie wzbrania autorowi, by został wierny bohaterom i podążył narracją w ślad za nimi — w głąb ich lodowego snu, odtąd jedynej już dostępnej im formy życia.

Można więc powieść zrationalizować w powyższy sposób, na który nie nastawałbym jednak ze zbytnią powagą, dla dwu naraz powodów.

Po pierwsze, zupełne uspojnienie akcji podług wyżej naszkicowanego jest niemożliwością. Jeśli wszyscy ludzie Runcitera zginęli na Księżycu, to kto zawiózł ich do moratorium? Żadnej racjonalizacji nie poddaje się też talent dziewczyny, co samym wysiłkiem myślowym potrafiła zmieniać teraźniejszość, dzięki przedstawianiu kauzalnych zwrotnic w minionej już przeszłości. (Dzieje się to przed wypadkiem na Księżycu, kiedy brak wszelkich podstaw do uznania przedstawionego świata za czysto subiektywny świat jakiejś „półżywej” postaci). Podobne wątpliwości budzi też sam *Ubik*, „Absolut w sprayu”, któremu poświęcimy uwagę nieco później. Jeśli podchodzić do powieściowego świata pedantycznie, nic go nie obroni, jest bowiem pełen sprzeczności. Gdy jednak powściągnąć takie zarzuty i zapytać raczej o



całościowy sens utworu, przyjdzie wyjawic, że jest bliski sensom innych ksiazek Dicka, jakkolwiek pozornie rozniat sie od siebie. W istocie wystepuje w nich zawsze taki sam swiat — rozpetanej zywiolowo entropii, rozkladu, atakujacego nie tylko, jak w naszej realnosc, lad materii, lecz przezierajacej nawet porzadek uplywajacego czasu. Dick wzmoznit wiec, zmonumentalizowal a zarazem upoczwarnil pewne fundamentalne wlasnosci rzeczywistego swiata, nadajac im dramatyczne przyspieszenie i rozmach. Wszystkie innowacje techniczne, wspaniale wynalazki i nowo opanowane uzdolnienia ludzkie (w rodzaju telepatii, ktora nasz autor niezwykle bogato rozczlonkowal „specjalistycznie”) na nic sie w koncu zdaja w walce z nieublaganym przyborem Chaosu. Jest wiec domem Dicka „swiat dysharmonii przed—ustawnej”, zrazu skrytej i nie przejawiajacej sie we wstepnych scenach powiesci; sa one wlasnie po to prezentowane bez pospiechu, ze spokojna rzeczowoscia, zeby wkroczenie niszczonego czynnika tym wiekszy wywolalo efekt. Dick jest autorem plodnym, mowie tylko o tych powiesciach, co tworza „glowny ciag” jego dorobku; kazdy z owych tytulow (zaliczylym do nich *Trzy stygmaty Palmera Eldritch*a, *Ubik* i *Czekaj ostatniego roku* a tez moze *Druciarza Galaktyki*) jest innym nieco wcieleniem tej samej dramatycznej zasady — obracania, na naszych oczach, ladu wszech—rzeczy w ruine. Wewnatrz swiata razonego obledem, w ktorym konwulsjom podlega nawet chronologia zajsc, normalnosc zachowuja juz tylko ludzie. Dick poddaje ich wiec cisnieniu przerazliwej proby i w jego fantastycznym eksperymencie niefantastyczna pozostaje tylko psychologia bohaterow. Walcza oni do konca, stoicko i zajadle, jak wlasnie Joe Chip, z napierajacym zewszad chaosem, ktorego zrodla pozostaja wlasciwie niedocieczone, tak ze w ich kwestii czytelnik zdany jest na wlasne domysly.

Osobliwosci Dickowych swiatow biora sie zwlaszcza stad, ze doglebmemu rozszczepieniu i powieleniu ulega w nich — jawa. Czasem srodkiem rozszczepiajacym bywaja substancje chemiczne (typu halucynogenow — tak w *Trzech stygmatach Palmera Eldritch*a), czasem „technika lodowego snu” — jak w *Ubiku* wlasnie, czasem — jak w *Czekaj ostatniego roku* — kombinacja narkotykow i „swiatow rownoleglych”. Koncowy efekt jest zawsze taki sam: rozroznienie pomiedzy jawa i zwidem okazuje sie niemozliwoscia. Strona techniczna tego zjawiska jest niezbyt istotna; niewazne czy rozszczepienie jawy wywolala nowa technika chemicznej manipulacji umyslem, czy tez, jak w *Ubiku* — technika dzialan leczniczych. Rzecz w tym, ze swiat, wyposazony w instrument rozszczepiania jawy na jej nieodróżnialne podobizny, stwarza praktycznie dylematy znane tylko teoretycznym spekulacjom filozofii. Jest to swiat, w ktorym ta filozofia schodzi niejako na ulice i staje sie dla kazdego zjadacza chleba sprawa nie mniej palaca, niz dla nas jest nia na przyklad zagrozenie biosfery. Nie o to idzie, zeby porzadna buchalteria faktow racjonalnie zbilansowac powiesc, dzieki czemu zadowolil wymagania zdrowego rozsadku. Obrone „naukowej fantastycznosci” nie tylko musimy, ale powinniemy w pewnej chwili zawiesic takze dla drugiego, nie wypowiedzianego dotad powodu. Pierwszy podyktowala nam po prostu koniecznosc: skoro utwor jest w elementach niezborny, to sie tym samym nie da do konca uspójnic. Drugi powód jest istotniejszej natury: nieuspójnialnosc tekstu zmusza nas do poszukiwania jego sensow calosciowych nie w obrębie samych zajsc, lecz ich konstrukcyjnej zasady, tej wlasnie, ktora niezbornosc ustanawia.

Gdyby takiej sensownej zasady nie dal sie odnalezc, przyszloby nazwac powiesci Dicka mistyfikacjami — gdyz kazdy utwor musi sie obronic albo na planie tego co przedstawia, albo na planie domyslnym — glębszej znaczeniowej zawartosci, nie tyle jawnie obecnej w tekscie, ile przez ow tekst przyzywanej. W samej rzeczy bowiem utwory Dicka roja sie od niekonsekwencji i kazdy ich dostatecznie cierpliwly czytelnik moze bez trudu sporzadzic spisy zajsc uragajacych zarowno logice jak empirii. Czym jednak jest — wyrazimy juz powiedziane inaczej — niekonsekwencja w literaturze? Jest to objaw nieudolnosc albo tez rezygnacji z jednych wartosci (takich jak prawdopodobienstwo wypadkow, jak ich logiczna koherencja) na

rzecz wartości innych. Tu dochodzimy do drażliwego punktu naszych rozważań, ponieważ wartości, o jakich mowa, nie dają się obiektywnie porównać. Nie ma uniwersalnie ważnej odpowiedzi na pytanie „czy w utworze wolno poświęcić ład na rzecz wizji” — wszystko bowiem zależy od tego, jaki to jest ład i jaka wizja. Powieści Dicka wykładane bywają rozmaicie. Są krytycy, jak Sam Lundwall, powiadający, że Dick uprawia „mystyczną odmianę” SF. Nie idzie jednak o mistykę w rozumieniu religijnym, raczej o zjawisko okultystyczne. *Ubik* dostarcza podstawy do takiego wniosku — czyż człowiek, który wypiera z ciała Elli Runciter jej duszę, nie zachowuje się jak „nawiedzający duch”? Czy nie przepoczwarzają się w różne wcielenia, walcząc z Joe Chipem? Więc takie ujęcie jest dopuszczalne.

Inny krytyk (T. Turner) odsądził *Ubika* od wszelkiej wartości, oświadczając, że powieść jest stekiem zaprzeczających sobie absurdów — co można wykazać z ołówkiem w ręku.

Uważam jednak, że krytyk nie powinien być oskarżycielem dzieła, lecz jego obrońcą, takim jednak, któremu nie wolno kłamać. Wolno mu tylko przedstawić utwór w najkorzystniejszym świetle. A ponieważ książka pełna nic nie mówiących sprzeczności jest tak samo mało wartościowa jak książka prawiąca o wampirach i innych dziwolągach pozagrobowych — obie bowiem nie dotyczą problematyki zasługującej na poważne przemyślenie — wolę moją wersję *Ubika* od wszystkich innych.

Motyw zagłady został już w SF tak ograny, że zdawał się jałowy i dopiero książki Dicka stały się dowodem na to, że szło o lekkomyślną mistyfikację. W Science Fiction bowiem koniec świata powoduje albo sam człowiek, np. wojną rozpetaną, albo kataklizm tyleż zewnętrzny, co przypadkowy, a więc taki, którego równie dobrze mogłoby wcale nie być. Dick natomiast, wprowadzając grę na zniszczenie, której tempo gwałtowniej w toku akcji, także narzędzia cywilizacyjne (np. halucynogeny), doprowadza do takiego przemieszania konwulsji techniki z konwulsjami ludzkich przeżyć, że już nie wiadomo, co właściwie sprawia groźne dziwy — *Deus ex machina* czy *machina ex Deo* — przypadek dziejowy czy dziejowa konieczność. O wyjaśnienie Dickowej pozycji w tym względzie dlatego jest trudno, ponieważ poszczególnymi powieściami udzielał na wypowiedziane przez nas pytanie — nie pokrywających się z sobą odpowiedzi. Odwołanie do transcendencji pojawia się bowiem raz jako czysta możliwość domniemań czytelniczych, a raz jako prawie pewność diagnostycznego ustalenia. W *Ubiku*, powiedzieliśmy, domysł odmawiający zgody na wyjaśnienie zająć podług jakiejś wersji okultyzmu czy spirytyzmu znajduje oparcie w technologii — prawda, że dziwacznej — „półżycia”, jako ostatniej szansy, ofiarowywanej ludziom w agonii przez medycynę. Lecz już w *Trzech stygmatach Palmera Eldritch*a promieniuje z tytułowego bohatera transcendentalne zło — będące zresztą metafizyką dość lichej próby, gdyż spokrewnioną z tandetnymi wersjami „nawiedzeń” i „upiorów”, przez co od fiaska ratuje rzecz tylko narracyjna ekwilibrystyka autora. Ale w *Druciarzu Galaktyki* mamy do czynienia z baśniową przypowieścią o katedrze zatopionej na jakiejś planecie i walce o jej podźwignięcie, toczącej się między Jasnością i Mrokiem, więc tam ostatni pozór literalności zająć znika. Dick jest perfidny, jak sądzę instynktownie, w tym, że nie udziela na budzone lekturą pytania jednoznacznych odpowiedzi, że niczego nie bilansuje ani nie wyjaśnia „naukowo”, lecz właśnie gmatwa, nie tylko w samej akcji, ale w nadrzędnej kategorii: k o n w e n c j i literackiej, wewnątrz której toczy się opowieść. Jakkolwiek bowiem *Druciarz Galaktyki* skłania się ku alegorii, nie zajmuje tej pozycji ani jednoznacznie, ani definitywnie i podobna nieokreśloność gatunkowa cechuje też inne powieści Dicka bodajże w wyższym jeszcze stopniu. Spotykamy się tu więc z tą samą trudnością gatunkowego umiejscowienia dzieła, którą objawiła nam twórczość Kafki. Trzeba podkreślić, że wyznaczenie przynależności gatunkowej utworu to nie oderwany problem ważny tylko dla teoretyków beletrystyki, lecz niezbywalna przesłanka lektury dzieła; różnica między teoretykiem a zwykłym czytelnikiem sprowadza się do tego, że ten drugi umiejscawia czytana

książkę w określonym gatunku odruchowo, pod wpływem przyswojonych doświadczeń — podobnie, jak odruchowo posługujemy się ojczystym językiem, także kiedy nie studiowaliśmy jego gramatyki ani składni. Konwencja właściwa konkretnemu gatunkowi krzepnie z upływem czasu i znana jest wszystkim sprawnym czytelnikom; dlatego „każdy wie”, że w powieści realistycznej autor nie może przeprowadzić bohatera przez zamknięte drzwi, natomiast może ujawnić czytelnikowi treść takiego snu bohatera, o którym ten zapomni przed przebudzeniem się (jakkolwiek jedno jest tak samo niemożliwe jak drugie ze stanowiska zdrowego rozsądku). Konwencja powieści kryminalnej wymaga wykrycia sprawcy przestępstwa, konwencja zaś Science Fiction wymaga racjonalnego wytłumaczenia wypadków, dowolnie nieprawdopodobnych, a nawet pozornie sprzecznych z logiką i empirią. Z drugiej strony ewolucja gatunków literackich zasada się właśnie na przełamaniu znieruchomiałych już konwencji narracyjnych. Powieści Dicka w pewnej mierze łamią tedy konwencje Science Fiction, co można mu poczytać za zasługę dlatego, ponieważ uzyskują dzięki temu znaczenia poszerzone o wymowę alegoryczną. Wymowy tej niepodobna ujednoznaczyć dokładnie; właśnie tak powstająca nieoznaczoność sprzyja powstawaniu aury zagadkowej tajemnicy w dziele. Idzie o strategię pisarską nowożytnego pochodzenia, której ktoś może nie cierpieć, lecz na którą nie można obruszać się argumentami rzeczowymi, ponieważ żądanie doskonałej czystości gatunkowej stanowi dziś w literaturze anachronizm. Krytycy i czytelnicy, mający Dickowi za złe genologiczną „nieczystość”, są zakamieniałymi tradycjonalistami, a odpowiednikiem ich postawy w literaturze byłoby żądanie, żeby prozaicy pisali nadal tak i tylko tak, jak czynili Zola z Balzakiem. Dzięki powyższym uwagom lepiej można pojąć osobliwość pozycji zajmowanej przez Dicka w Science Fiction, pozycji jedynej w swoim rodzaju. Jego powieści wprawiają wielu czytelników przywykłych do standardowej fantastyki w trwałą konfuzję i prowokują tyleż niemądre co gniewne pretensje o to, że Dick, zamiast udzielać w epilogu „dokładnych wyjaśnień”, zamiast porozwiązywać zagadki, rzuca końce w wodę. W odniesieniu do Kafki analogiczna pretensja będzie żądaniem, aby Przemianą zamykało wyraźne „entomologiczne uzasadnienie”, wyjawiające, kiedy i w jakich okolicznościach może się normalny człowiek zamienić w robaka; aby *Proces* wyjawiał, o co właściwie oskarżono pana K.

Ph. Dick nie ułatwia życia swoim krytykom, nie tyle bowiem pełni rolę przewodnika po swych fantasmagorycznych światach, ile sprawia raczej wrażenie zagubionego w ich labiryncie. Tym bardziej potrzebował pomocy krytycznej, lecz nie otrzymał jej i z przyklejoną etykietką „mistyka” pisał zdany wyłącznie na siebie. Nie sposób rzec, czy i jak odmieniłaby się jego twórczość, gdyby weszła w centrum uwagi krytyków z prawdziwego zdarzenia. Być może nie zmieniłaby się tak bardzo na lepsze. Drugą po wieloznaczności gatunkowej cechą charakterystyczną Dickowego dzieła jest jego nie wyzbyta wdzięku tandetność, albowiem przypomina ono jarmarczne twory zarazem bystrych i naiwnych prymitywów, mających więcej talentu niż samowiedzy. Lichotę elementów budowlanych przejmował zwykle Dick od rutyniarsko fantazjujących Amerykanów, zawodowców SF, dodając nieraz prawdziwego blasku oryginalności wytartym już conceptom i, co chyba ważniejsze, wznosząc z takiego budulca prawdziwie już własne konstrukcje. Albowiem świat uległy obłędowi, ze spazmującym biegiem czasu i wijącą się — jak w czkawce — siecią przyczyn i skutków, czyli świat o szalonej fizyce, jest niewątpliwym jego wynalazkiem jako odwrócenie znajomej nam normy, podług której my tylko, lecz nigdy nasze otoczenie — ulec możemy psychozie. Bohaterom Science Fiction trafiają się tylko dwie kategorie przypadłości: socjalne, jako „piekła policyjno–tyrańskie”, oraz naturalne, jako kataklizmy wywołane przez Przyrodę. Zło zadają więc ludziom albo inni ludzie (przybysze z gwiazd są po prostu ludźmi zapoczwarzonymi), albo ślepe siły materii.

U Dicka ulega porażeniu sama zasada tak wyraźnego rozczłonkowania stawianej diagnozy. Uświadomimy to sobie, kierując pod adresem Ubika pytania w nazwanym właśnie porządku:

któ sprawił groźne dziwy, rażące ludzi Runcitera? Zamach bombowy na Księżycu był dziełem konkurenta, lecz nie było przecież w jego mocy spowodowanie zapaści czasu. Wyjaśnienie, apelujące do technologii medycznej „lodowego snu”, także, jakżeśmy ukazali, nie wszystko może racjonalizować. Szczeliny zięjące między fragmentami akcji są nie do usunięcia i naprowadzają na myśl o jakiejś konieczności wyższorzędnej, która stanowi fatum Dickowego świata. Czy owo fatum mieszka w doczesności, czy poza nią powiedzieć nie sposób. Kiedy zważyć, jak nam się już nadpsuła wiara w nieomylną dobroć postępu instrumentalnego, pomyślany przez Dicka zrost kultury z Naturą, instrumentu z fundamentem, który nabiera agresywności złośliwego nowotworu, nie wydaje się już tylko czystą fantasmagorią. Nie znaczy to, jakoby Dick przepowiadał jakąś konkretną przyszłość. Rozpadowe światy jego powieści, niejako odwrócenia Genesis, Ład obracające z powrotem w Chaos, to nie tyle przyszłość przewidywana, ile szok przyszłościowy, wyrażony nie wprost, lecz wcielony w fikcyjną rzeczywistość, czyli uprzedmiotowiona projekcja lęków i fascynacji właściwych człowiekowi naszej współczesności.

Kłeskę cywilizacyjną zwykło się utożsamiać — fałszywie i wąsko — z regresem do jakiejś minionej fazy dziejów, choćby do jaskiniowej czy wręcz zwierzęcej. Taki właśnie unik często bywa stosowany w Science Fiction, albowiem niewydolność wyobraźni znajduje ratunek w uproszczonym czarnowidztwie. Najdalszą p r z y s z ł o ś ć pokazują nam wtedy jako roślinność feudalną, rodowo—plemienną czy niewolniczą, bo jakoby wojna atomowa lub gwiazdowa inwazja odrzuciła ludzkość wstecz — aż w głąbię prehistorycznego bytowania. Powiadać wobec takich utworów, że propagują one koncepcje jakiejś cyklicznej (np. Spenglerowskiej) histo—riozofii, to tyle, co twierdzić, że bezustannie w kółko rzępolony motyw gramofonowej płyty jest koncepcją jakiejś „cyklicznej muzyki”, podczas gdy idzie tylko o defekt wywołany tępą igłą i zderciem rowków nagrania. A więc utwory takie nie hołdują cyklicznej historiozofii, lecz obnażają tylko owym chwytem niedomogę wyobraźni socjologicznej, dla której wojna atomowa czy gwiazdowa inwazja okazują się korzystnym pretekstem, pozwalającym snuć nie kończące się sagi o spierwotniałym bytowaniu plemion pod pozorem pokazywania najdalszej przyszłości. Niepodobna więc też utrzymywać, jakoby takimi książkami wygłaszane było „atomowe Credo” w nieuchronność katastrofy, która wnet nam zdruzgoce cywilizację, ponieważ nazwany kataklizm stanowi po prostu pretekst pozwalający wymigać się od poważniejszych obowiązków kreacyjnych.

Sposoby te są Dickowi obce. Rozwój cywilizacji trwa u niego dalej, lecz niejako sam sobą miażdżony, poczwarniejący na osiągniętych wysokościach, co jako prognostyczny punkt widzenia jest bardziej oryginalne od prawdziwie nierewelacyjnej tezy, że jeśli cywilizacja techniczna się załamie, to ludzie będą musieli radzić sobie powrotem do narzędzi prymitywnych, a choćby pałek i krzemieni.

Zatrwożenie rozpędem cywilizacyjnym znajduje dziś wyraz w hasłach „powrotu do Natury”, po strzaskaniu i odrzuceniu wszystkiego, co „sztuczne” — więc nauki i techniki. „Rojenia te można spotkać też w Science Fiction. Szczęśliwie nie ma ich u Dicka. Akcja jego powieści rozgrywa się bowiem w czasie, w którym o żadnym powrocie do natury czy o odwróceniu od „sztucznego” nie może już być mowy, albowiem zrost „naturalnego” ze „sztucznym” był się już dawno dokonał.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na dylemat, w jaki wkracza przyszłościowo zorientowana fantastyka. Zgodnie z dość powszechnym mniemaniem czytelników, winna fantastyka pokazywać świat przyszłości fikcyjnej nie mniej wyraźnie i zrozumiale, aniżeli pisarz w rodzaju Balzaka pokazywał świat swego czasu w *Komedii ludzkiej*. Głoszący ów postulat nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie istnieje żaden świat poza— czy ponadhistoryczny, wspólny wszystkim epokom i wszystkim formacjom kulturowym ludzkości. To, co jako świat *Komedii ludzkiej* wydaje się nam jasne i zrozumiałe do końca, nie jest rzeczywistością całkowicie obiektywną, lecz stanowi tylko pewną (dziewiętnastowieczną

i przez to bliską nam) wersję świata, rozumianego i przeżywanego w konkretny sposób. Swojskość Balzakovego świata nie oznacza tedy nic więcej nad prosty fakt, żeśmy się z tą wersją rzeczywistości doskonale zżyli i dlatego język bohaterów Balzakovskich, ich kulturę, ich obyczaje i sposoby zaspokajania potrzeb ducha oraz ciała, a też ich stosunek do przyrody i transcendencji mamy za przejrzyste. Tymczasem ruch przemian historycznych wlewać może nową treść w pojęcia uznane za fundamentalne i zakrzeple, jak na przykład w pojęcie „postępu”, które zgodnie z postawami dziewiętnastowiecznymi było równoznaczne z ufnym optymizmem, przekonaniem o istnieniu nieporuszonej granicy oddzielającej to, co człowiekowi szkodzi, od tego, co mu sprzyja. Obecnie zaczynamy podejrzewać, że tak ustalone pojęcie dezaktualizuje się, ponieważ szkodliwe rykoszety postępu nie są jego ubocznymi, łatwo usuwalnymi przymieszka—mi, lecz raczej takim kosztem uzyskiwanych korzyści, który w jakimś miejscu drogi wszelką korzyść likwiduje. Krótko mówiąc, absolutyzacja dążenia do „postępu” może okazać się dążeniem do zguby.

Tak więc odstrychnięcie obrazu przyszłego świata od obrazu współczesności, jakby „pomieszanie języków” opisujących świat i stosunek do niego człowieka — nie może ograniczyć się w przyszłościowej wizji do pewnej sumy innowacji technicznych i nie w tym sens przewidywanego zadania, żeby współczesność, naszpikowaną zaskakującymi usprawnieniami bądź rewelacjami, podawać za przyszłość.

Trudności, jakie napotyka czytelnik utworu osadzonego w odległym czasie historycznym, to nie skutek jakowejś samowoli pisarza, skłonności do „udziwnień”, chęci szokowania czy prowadzenia na manowce, lecz nieusuwalna część takiego zadania artystycznego. Sytuacje i pojęcia można zrozumieć tylko poprzez odnoszenie ich do już poznanych, lecz kiedy zbyt wielki interwał czasu rozdziela ludzi, żyjących w rozmaitych epokach, ulega likwidacji baza porozumienia jako wspólnota doświadczeń życiowych, które bezrefleksyjnie i odruchowo uznajemy za niezmiennie. Dlatego autor, któremu prawdziwie udałoby się nakreślić obraz dalekiej przyszłości, nie osiągnie sukcesu literackiego, ponieważ na pewno nie zostanie zrozumiany. Dlatego wartość prawdy można w powieściach Dicka przypisać tylko ich uogólnionej zasadzie, ujmowalnej w takie mniej więcej słowa: kiedy ludzie stają się mrówkami w labiryntach wzniesionej przez siebie technosfery, myśl o „powrocie do Natury” nie tylko staje się utopią, ale nie może nawet zostać sensownie wyartykułowana, ponieważ nie takiego, jak nie przekształcona instrumentalnie Natura, od wieków już nie istnieje. O „powrocie do Natury” możemy dziś jeszcze mówić, ponieważ jesteśmy jej relikdami nieznacznie tylko przetworzonymi pod względem biologicznym w łonie cywilizacji, proszę sobie jednak wyobrazić hasło „powrotu do Natury” w ustach robota: oznaczałoby wszak obrócenie się w złoza rudy żelaznej. Niemożliwość cywilizacyjnego „powrotu do Natury” równa po prostu nieodwracalności historii, prowadzi Dicka do pesymistycznego wniosku, że zagłębienie się w przyszłość stanowi takie ziszczenie rojeń o władzy nad materią, które obraca ideał postępu w monstrualną karykaturę. Wniosek ten nie wypływa z autorskich założeń w sposób nieuchronny, lecz stanowi ewentualność, która t a k ż e winna być brana pod uwagę. Zresztą mówiąc tak, nie streszczamy już Dickowego dzieła, lecz oddajemy się refleksji nad nim, sam autor bowiem zdaje się tak zafascynowany swą wizją, że nie troszczy się ani o jej wiarygodność dosłowną, ani o jej nieliteralną wymowę. Tym większa szkoda, że krytyka nie pokazała myślowych konsekwencji Dickowego dzieła i nie nazwała szans, tkwiących w jego możliwej kontynuacji, szans i konsekwencji korzystnych nie tylko dla autora, lecz dla całego gatunku, Dick bowiem dostarczył nam nie tyle doskonałych spełnień, ile fascynujących zapowiedzi. Tymczasem było właśnie na odwrót — krytyka środowiskowa starała się odruchowo oswoić niejako utwory Dicka, powściągnąć je w sensach, podkreślając to, co w nich podobne do reszty gatunku, a milcząc o tym, co odmienne — jeśli za tę odmienność nie odsądzała ich po prostu od wartości. W postępowaniu tym przejawia się dobitnie patologia doboru naturalnego dzieł, dobór ten winien bowiem

oddalać od siebie rzemieślniczą mierność i dobrze rokującą oryginalność, a nie przybliżać jedno do drugiego, gdyż takie „demokratyczne” działanie w praktyce zrównuje śmieci z kruszcem.

Przyznajmy jednak, że powaby książek Dicka nie są czyste, jest więc z nimi trochę jak z urodą pewnych aktorek, którym nie należy przypatrywać się zbyt pilnie z bliska pod groźbą niemilego rozczarowania. Nie trzeba wymierzać futurologicznego prawdopodobieństwa takich szczegółów, jak owe drzwi mieszkań i lodówek w tej powieści, z którymi lokatorowi przychodzi się wyklócać, są to bowiem składniki fikcji, stworzone tak i po to, aby spełnić dwa zadania naraz: aby wprowadzić czytelnika w świat dobitnie odmienny od dzisiejszego oraz aby za pośrednictwem owego świata wręczyć mu pewne przesłanie.

Dwuskładnikowy w powyższym sensie jest każdy utwór literacki, każdy bowiem ukazuje pewien rzeczowy świat i każdy światem tym coś wypowiada. W rozmaitych gatunkach i dziełach zmienna jest wszakże wzajemna proporcja obu składników. Utwór realistyczny zawiera dużo pierwszego składnika i mało drugiego: pokazuje bowiem rzeczywisty świat, który sam w sobie, to jest poza dziełem, żadnego przesłania nie stanowi, a tylko istnieje i kwita.

W dziele literackim pojawia się wszakże drugi składnik, ponieważ autor dokonuje przecież, pisząc, określonych wyborów i właśnie wybory te nadają dziełu charakter zwróconej do czytelnika wypowiedzi. W utworze alegorycznym znajduje się minimum pierwszego składnika i maksimum drugiego, gdyż jego świat to niejako aparat sygnalizujący właściwą treść — więc przesłanie właśnie — odbiorcy. Tendencyjność utworu alegorycznego jest zwykle jawna, realistycznego — lepiej lub gorzej ukryta. Utworów beztendencyjnych nie ma wcale, jeśli więc ktoś mówi o takich, ma właściwie na myśli dzieła wyzbyte wyrazistej tendencyjności, których nie można „przełożyć” na konkretne Credo światopoglądowe; zadaniem epiki jest właśnie budowanie świata, który można wyklądać na wiele sposobów — podobnie, jak na wiele sposobów można wyklądać rzeczywistość pozaliteracką. Gdy jednak stosuje się do epiki ostre narzędzia krytyki (strukturalnej na przykład), można wykryć ukrytą i w takich utworach tendencyjność, ponieważ autor jest człowiekiem, a tym samym stroną w procesie egzystencjalnym i dlatego pełnia bezstronności jest dlań nieosiągalna.

Niestety, tylko od realistycznej prozy można odwołać się wprost do realnego świata, toteż niedolę Science Fiction stanowi skazana z góry na fiasko chęć pokazywania światów, co byłyby zarazem płodami wyobraźni i nic nie znaczyły, t.j. nie miałyby charakteru przesłania, dorównując niejako stopniem obiektywnej suwerenności — rzeczom naszego otoczenia od mebli po gwiazdy. Oto fatalny błąd tkwiący u korzeni fantastyki, tam bowiem, gdzie nie dopuszcza się tendencyjności z rozmysłem, przesącza się tendencyjność mimowolna. Pod tendencją rozumiemy stronność, czyli punkt widzenia, który nie może być po bosku obiektywny; epika może zdawać się nam aż tak właśnie obiektywna, gdyż w tym, co przedstawia, schowane jest niedostrzegalnie dla nas to, jak (z jakiej pozycji) przedstawia — epika też jest zatem stronniczą relacją zająć, taką jednak, której tendencyjności nie wykryjemy, bo sami ją podzielamy i nie możemy z niej wykroczyć. O stronności epiki dowiadujemy się po wiekach, kiedy upływ czasu przekształci kanon „pełnego obiektywizmu” i w tym, co miało być relacją prawdy, dostrzegamy już sposób, w jaki „relacjonowanie prawdy” było kiedyś rozumiane. Albowiem nie ma ani prawdy, ani obiektywizmu w liczbie pojedynczej; w obu tkwi niepozbywalny współczynnik historycznej względności. Otóż fantastyka nigdy nie dorówna epice, gdyż to, co prezentuje utwór fantastyczny, należy do jednego czasu (przyszłości najczęściej), to zaś, jak relacjonuje, do innego czasu, współczesności. Jeśli nawet wyobraźnia zdoła uprawdopodobnić to, jak będzie (jak może być), nie zdoła zerwać totalnie z właściwym dzisiejszym sposobem ujmowania zająć. Ten sposób to nie tylko artystyczna konwencja, ale znacznie więcej — to typ klasyfikacji, interpretacji i racjonalizacji widzialnego świata właściwy epoce. Dlatego

problemowa zawartość epiki może być głęboko utajona, fantastyki natomiast winna być czytelna, w przeciwnym razie opowieść, rezygnując z niefikcyjnej problematyki a nie osiagając epickiego obiektywizmu, ześlizguje się fatalnie ku byle oparciu — okazuje się nim wtedy stereotyp baśni, sensacyjnej awantury, mitu, szkielet powieści kryminalnej lub ich tyleż eklektyczna co tandetna krzyżówka. Wyjściem z dylematu mogą być dzieła, których analiza składnikowa, mająca oddzielić to, co „rzeczowe” od tego, co stanowi „przesłanie” (widziane od punktu widzenia), okazuje się całkowicie niewykonalna. Czytelnik takiego utworu nie wie czy to, co mu pokazują, ma istnieć niby głąz czy stołek, czy ma też coś poza sobą oznaczać. Nieoznaczoność takiej kreacji nie maleje od autorskich komentarzy, gdyż autor może się w nich mylić niczym człowiek usiłujący wyjaśnić nam właściwy sens swoich snów. Dlatego mam za nieistotne dla analizy dzieł Dicka jego własne o nich uwagi.

W tym miejscu moglibyśmy otworzyć dywagację na temat powstawania fantastycznych konceptów Dicka, niechże nam wystarczy jednak tylko przykład wzięty z *Ubika*, mianowicie nazwa będąca tytułem książki. Pochodzi ona od łacińskiego „ubique” — wszędzie. Jest to zbitka (kontaminacja) dwu różnopochoodnych pojęć: pojęcia Absolutu jako wiecznego i nieodmiennego Ładu wywodzącego się z systemowej filozofii oraz pojęcia „gadgetu” — poręcznego przyrządzika na właściwą okazję codzienną, produktu taśmowych technologii konsumpcyjnego społeczeństwa, którego dewizą jest ułatwianie ludziom wykonywania wszelkich czynności od prania bielizny po ondulowanie włosów. „Puszkowy absolut” to więc skutek zderzenia się i przeniknięcia dwu różnowiecznych stylów myślowych, a zarazem — wcielenia abstrakcji w wygląd konkretnego przedmiotu. Takie postępowanie jest w Science Fiction wyjątkiem z reguły i własnym wynalazkiem Dicka. (Choć idzie o pokrewieństwo bardzo odległe, wspomnę, że włączeniem w poetycką metaforę pojęć konkretnych i abstrakcyjnych współbieżnie osiągał w swych wierszach niezwykle efekty C. K. Norwid).

Wspomnianym sposobem nie można raczej stwarzać obiektów empirycznie wiarygodnych, czyli mających szansę powstania kiedykolwiek. Tym samym idzie w przypadku *Ubika* o zabieg poetycki, to jest metaforyczny, a nie jakiś „futurolologiczny”. Ubik pełni w powieści ważną rolę, podkreśloną jeszcze przez jego „reklamy”, stanowiące motta do kolejnych rozdziałów. Czy jest symbolem, a jeśli tak, to czego właściwie? Odpowiedź nie będzie łatwa. Absolut, zeskamotowany przez technologię, mający ratować człowieka przed zgubnymi skutkami Chaosu czy Entropii tak, jak dezodorant osłania nasz węch przed fetorem przemysłowych wysypisk, to nie tylko unaocznienie typowej dziś taktyki działań (zwalczania np. uboczności jednej techniki — inną techniką), to wyraz tęsknoty za utraconym królestwem doskonałości niewzruszonego ładu, ale też wyraz ironii, gdyż „wynalazku” tego nie da się wszak potraktować serio. Ubik pełni nadto w powieści rolę jej „mikromodelu wewnętrznego”, zawiera bowiem in nuce całą właściwą książce problematykę — walki człowieka z chaosem, w której po chwilowych sukcesach czeka nieodwołalnie przegrana. Puszkowany jak aerzol absolut, ratujący Joe Chipa przed zgonem, lecz tylko chwilowo, byłaby to więc parabola i mane tekel cywilizacji, co zdegradowała Sacrum wtłoczeniem go w Profanum? Kontynuując taki bieg skojarzeń można się na koniec dopatrzeć w *Ubiku* persyflażu tragedii greckiej, w którym rolę antycznych bohaterów, darmo zmagających się z Mojrą, przeznaczono etatowym telepatom (raczej teleataktykom, gdyż porażają telepatię) pod wodzą urzędnika wielkiej korporacji. Jeśli *Ubik* nie jest aż tak zakrojonym przedsięwzięciem, przecież patrzy w jego stronę.

Twórczość Ph. Dicka zasługiwała na lepszy bodaj los niż zgotowany jej przez miejsce powicia. Jeśli nie jest ani monolitowa, ani pełnosprawna, to jednak tylko gwałtem daje się wcisnąć w ową miążgę treści wyzbytych intelektualnego waloru i oryginalnej konstrukcji, jaką stanowi Science Fiction. Jej miłośników pociąga w Dicku to, co podlejsze: typowy dla amerykańskiej fantazji rozmach sięgający gwiazd, potoczystość akcji idącej od zaskoczenia w zaskoczenie, lecz mają mu za złe to, że zamiast rozplatać zagadki, pozostawia w końcu

czytelnika na pobojuwisku zasnutym aurą tyleż groteskowej co dziwacznej tajemnicy. Lecz jego potworne zrosty technik halucynogennych z rezurekcyjnymi nie przysporzyły mu też zwolenników poza murami getta, bo tam odstręcza od niego tandetność rekwizytów przejętych z arsenału SF. W samej rzeczy twórczość ta nieraz kiksuje, a przecież pozostajemy pod jej urokiem, jak to bywa w obliczu zmagania samotnej wyobraźni z nadmiarem rozsadzających ją szans — zmagania, w których już niepełna przegrana może przypominać zwycięstwo. Nie o pobłażliwość dla tej powieści proszę polskiego czytelnika, ta nigdy się książkom nie należy, lecz o uważną a przychylną lekturę, ten nieodzowny warunek pisarstwa, czym byłiby bowiem najbardziej— nawet wytrawni i pilni autorzy bez wytrawnych i pilnych czytelników?

*Kraków, w czerwcu 1974*



## POSŁOWIE DO *NIESAMOWITYCH OPowieści* S. GRABIŃSKIEGO

Ciekawy, a nie przebadany należycie wydaje mi się paralelizm fantastyki naukowej i niesamowitej. Rozróżnik ich jest mechanicznie prosty: pierwsza zakłada wyjaśnienia zająć naturalne, gdy druga — ponadnaturalne. Niezrozumiała pozostaje podrzędność obu na polu literatury, i nie tylko podrzędność aktualna, lecz historyczne jej koleje. Oba rodzaje miały swe wielkie postaci: H. G. Wellsowi odpowiada w niesamowitym temacie — Edgar Allan Poe. Dzieła obu tych autorów pozostały do dziś nie tylko żywotne, lecz pod wieloma względami nieprześcignione przez następców. Gdy zaś skoncentrować się — ze względu na książkę\*, której przydaję te uwagi — na beletrystyce niesamowitej, trudno zrazu wytłumaczyć sobie, czemu pełni ona w naszym wieku funkcje wyłącznie rozrywkowe. Napraszający się najpierw sąd, że wątpliwość tych dzieł wynika z wątpliwego charakteru zjawisk, w nich przedstawianych, bo idzie o wszelakie zjawy, duchy, siły nieczyste itp., należy kategorycznie oddalić. Zjawy, duchy, siły nieczyste znaleźć wszak możemy w pierwszych arcydziełach literatury światowej. Od diabłów np. wprost się w niej roi (diabeł *Braci Karamazow*, diabeł *Doktora Faustusa*). Utrzymuję, że rzecz nie w samej fantastyczności obiektów literackich, lecz w stosunku do nich — autora, więc i dzieła.

Czym są w opowieści niesamowitej widmowe żywioły, magie czarne i białe? O co idzie wkraczającemu w ich sferę bohaterowi? O nic ponad sposoby skutecznego działania. Bohater taki to zatem „nieortodoksyjny technolog”, posługujący się energią „pozagrobową” bądź „piekielną” zamiast chemicznej lub cieplnej, zakłębionym jako „urządzeniem nawodzącym” zamiast celownika optycznego bądź elektromagnetycznego, oraz wtajemniczeniem spirytystycznym czy też czarnoksiężkim zamiast studiów politechnicznych — jako zapleczem teoretycznym działania. A kiedy — tak bywa często w tych opowieściach — podjęte działania zawodzą lub dają koszarne w skutkach rykoszety ciemnych sił — mamy do czynienia z taką żywiołową katastrofą, której w sferze racjonalnych technik będzie odpowiadać na przykład burza piorunami spalająca sieć elektryczną lub powódź znosząca tamy.

Ze względu na te własności literatura niesamowita jest blisko spokrewniona z powieścią produkcyjną. Jak w produkcyjniaku nie idzie o żadne problemy pozawytwórcze, więc też o żadne zagadnienia psychologii postaci, tak w pisarstwie niesamowitym nie liczy się nic prócz pokazów pewnych działań i objawianej w nich sprawności albo niesprawności. I różnica w tym jedynie, że pokazy technik cukrowniczych bądź budowlanych mniej zajmują czytelnika od pokazów starć z żywiołem zaświatowym.

A więc w gruncie rzeczy osądającemu literaturę niesamowitości może być wszystko jedno, czy jej centralne obiekty istnieją, czy nie istnieją, skoro piśmiennictwo to tak samo nie dociera do autentycznych spraw ludzkich, jak nie docierała do nich powieść produkcyjna. Wyrażając to samo nieco brutalniej: dowód istnienia zjaw, strzyg i demonów ani o włos nie polepszyłby marności niesamowitego gatunku. Przecież cukrownie i budowy na pewno są realne, lecz nie wpływa to na wartość produkcyjniaków. Kwestia autentyzmu bytowego sił nadnaturalnych, pozazmysłowych itp. nie należy, jednym słowem, do spraw zajmujących pierwszoplanowo badacza literatury. Nie w tym sęk, czy dziwy te istnieją poza książkami, lecz w tym, jaki użytek robi się z nich wewnątrz książek.

Dzisiaj zjawiska nadnaturalne kolidują przede wszystkim z nauką, jako racjonalnym porządkiem wykrytym w świecie. Powtarzam: kolidują z nauką, a więc niekoniecznie z domniemaniami poszczególnych uczonych. Udajcie się do laboratorium fizyków laserowych z witką leszczynową i powiedzcie im, że sporządziliście z niej laserowy promiennik, a wyrzucą was za drzwi. Przybądźcie jednak z taką witką jako różdżką,

---

\* S. Grabiński: *Niesamowite opowieści*, Kraków 1975

oświadczcie im, że aktem woli zatrzymujecie auta, że myślą umiecie giąć klucze i noże, a zaproszą was skwapliwie na doświadczenia, których kontrolne warunki nie oni, lecz wy będziecie ustanawiali. Nie zmyśliłem sobie tego wcale, tak właśnie działo się ostatnim czasem w Anglii i w Ameryce, ta zaś okoliczność, że zręczny prestidigitator umie to samo, co kandydat do cudownych darów (Uri Geller), nie zlikwidowała wcale sprawy. Liczni naukowcy uwierzyli mu, ponieważ chcieli mu uwierzyć. Skwapliwość takiego ulegania oszustwu wyjaśnić może tylko niedosyt światopoglądowy naukowców, wyspecjalizowanych tyleż głęboko co wąsko, i dlatego poza obwodem swego fachu właściwie bezradnych. O tym, jak naskórkowy jest racjonalizm takich fachowców, świadczy zapal, z jakim gotowi są go się pozbyć po jednym niesamowitym pokazie. Oczywiście nie jest to reakcja całego środowiska naukowego; część uczonych nazywa fenomeny niewyjaśnialnymi, część kwestionuje ich realność, część wreszcie próbuje je „oswajać” racjonalnie.

Nie jest to jednak, jak można by sądzić, po prostu zderzenie fizyki z metafizyką. Proszę zważyć, że owe zjawiska kolidują dziś z nauką, lecz nie zawsze tak było. Dawniej kolidowały z wiarą religijną. A więc nie tylko fizyka, lecz i metafizyka (wiary systemowej) miała we „wiedzy tajemnej” przeciwnika. Gusła, uroki, czary, lewitacje sprawiały teologom kłopoty dużo wcześniej, nim jeły sprawiać je uczonym. Nawet reakcja pierwszych i drugich była dosyć podobna. Jedni usiłowali rzecz niejako przemilczeć, zatuszować, oddalić, skazać na wygnanie, inni natomiast gotowi byli podejmować próby oswojenia tych zjawisk. Oczywiście próba „domestykacji” takich urągliwych fenomenów wewnątrz fizyki wyglądać musi inaczej niż wewnątrz metafizyki. W fizyce mówi się o promieniowaniach, o mechanizmie przyczynowym, o nieznanach formach energii, a w teologicznej metafizyce o duszach pokutujących, o diabelskich konszachtach itp.

A zatem istoty tych zjawisk nie stanowi dla nas ich natura metafizyczna. Istoty tej należy się dopatrywać w wywrotowej robocie, atakującej taki rodzaj ładu, który w danym momencie historycznym zinstytucjonalizował się jako naczelny.

Jest więc tak chyba: pierwaj człowiek wznosi z największym trudem ład, a potem wystawia go na szwank chaosu. Najpierw wymienia ignorancję na wiedzę, a potem gotów jest wyzbyć się tej wiedzy na rzecz porażającej ignoracji, ponieważ jest ona tajemnicą. Jestem przekonany, że gdyby udało się dokumentnie zracjonalizować i przyswoić praktycznej wiedzy zjawiska pozazmysłowe, więc dokonać tym samym aktu ich „naturalizacji”, to utraciłyby natychmiast swą dotychczasową urokliwość i w poszukiwaniu przyprawiającej o zamęt tajemnicy ludzie jęliby szukać Niedocieczonego gdzieś indziej. Chodzi więc, jak sądzę, o określoną potrzebę właściwą człowiekowi, o potrzebę owej h y b r i s, czyli przekraczającego miarę naruszenia ładu społecznego i kosmicznego, którą dawne społeczności zaspokajały zliturgizowanymi praktykami, np. orgiastycznego typu. Jest więc tak, że człowiek sam niejako wprowadza w uporządkowany przez siebie obraz świata porcję tajemniczego nieładu. Kiedy zaś to uczyni, bierze się do uładzenia takich zastrzyków chaosu i ze zmagają tych powstaje osobliwa dialektyka historyczna. Kiedy mianowicie rozpoznana w danej epoce historycznej tajemnicza żywiołowość ulegnie z kolei należytemu, bo właściwemu normalnym ludzkim praktykom, uporządkowaniu — kiedy np. powstaną już tablice astrologiczne, klasyfikacje czarów, zawarte w księgach wiedzy tajemnej, gdy się skryształizuje jakaś „teoria spirytyzmu” lub tp. — czyli kiedy w pierwotny nieład zagadki wkroczy metoda, schemat i klucz, zawłaszczone tym sposobem i jakby oswojone już zjawiska zatracają swą pierwotną atrakcyjność i ulegają stopniowemu unieważnieniu, widomemu w postaci rosnącej na nie obojętności. Potem, w następnym wieku, następne pokolenia z ich nowymi rzecznikami Niesamowitego, wszczynają od nowa trud porządkowań, tak borykając się z Niedocieczonym, jakby nie miały nigdy poprzedników. A ponieważ konkretne oblicze Tajemnicy przyprawia zawsze duch czasu, dawne upostaciowania Zagadkowego Chaosu — widome w magiach, czarach i okultyzmach — obecnie zastępują pseudoracjonalne pogłoski o Kosmicznych

Przybyszach czy Talerzach Latających. Zmienia się forma i treść konkretna, ale nie zmienia się istota pojedynku, toczony z Chaosem zarazem pożądanym i likwidowanym zabiegami porządkującymi. Zapewne wszystkie doznane przez ludzi na tej drodze zawody mogą świadczyć o tym, że taki żywioł widmowy jest bardzo trudno pochwytany. Sądzę jednak, że daremność takich wysiłków (wszak nic nie zrodziła rzeczowego magia, tak samo jak nie dały rezultatu poszukiwania Gości Kosmicznych czy Latających Talerzy) świadczy o czymś całkowicie odmiennym, mianowicie o tym, że poczucie zagrożenia jakby dzikim żywiołem nieznanym jest ludziom niezbędne. Tym samym problem okazuje się poważny, skoro kwestia „potrzeby Niesamowitego” jest bodajże niesamowitsza od wilkołaków czy zjaw, którymi ta potrzeba była żywiona. A zatem opowieść grozy jest namiastką tej h y b r i s , którą dawniej ludzie prokurowali sobie realnie, namiastką słabiutką, dziesiątą wodą po kisielu, toteż może być dziś tylko małokalibrową rozrywką.

Dzięki powiedzianemu możemy teraz udzielić odpowiedzi na wstępnie postawione pytanie. Naczelne funkcje literatury nie są w kulturze namiastkowe. Literatura wysokiego lotu nie daje żadnych surogatowych zaspokojień, lecz jeśli się ku nim w ogóle zwróci, to aby zagłębić się w ich nierozpoznanych, nieuświadomianych mechanizmach. Jeśli, na przykład, w społeczeństwie panuje narkomania, to rzeczą literatury nie jest rywalizacja z narkotykiem, zastępowanie halucynacji wywołanej chemicznie — wizją wywołaną słowami, lecz jest rzeczą literatury zejść w korzenie całego zespołu psychosocjalnych uwikłań, który narkomanię rodzi i żywi.

Przez analogię literatura tematu niesamowitego po to, aby nie pełnić funkcji namiastkowych, winna zrezygnować z tanich uroków i podjąć wysiłek penetracji zjawisk głębszej, to znaczy — potraktować sferę niesamowitości nie metodami produkcyjniaka, lecz antropologicznego rekonesansu. Oczywiście musiałyby wtedy przenieść akcent ze zjawiskowej grozy dziwów na ich prawdziwe socjopsychiczne podglebie. Jednym słowem, byłaby to literatura, zorientowana antropologicznie. Właśnie takie pierwociny orientacji antropologicznej w niesamowitym temacie są do odnalezienia w pismach Edgara Allana Poe jako skryta w licznych jego opowieściach o monstualnej bądź tajemniczej fasadzie — drwina, umiejscowiona nieraz nader perfidnie, bo uczestnicząca na przykład w wykładach o jakimś magnetyzmie zwierzęcym. Są to wykłady tak namaszczone, tak koturnowe, tak uczone, że chyłkiem zaprawione ironią, gdyż ocierają się już o persyflaż, a nie autentyk naukowej postawy. Jednakowoż przymieszki te trudno nam dzisiaj odkryć dlatego, że kontynuatorzy dzieła Poego ową szansę uszlachcenia gatunku ze wszystkim zaprzepaścili. Czy rzecz jest dostatecznie wyraźna? Powiadani, że Poe (analogicznie jak kiedyś na innej, równoległej, drodze — Wells) — stał na rozstaju, który sam był utworzył. Że mogło od niego pójść albo piśmiennictwo niesamowitości tropionej jako wieczny głód człowieka, albo niesamowitości jako łechczywej rozrywki. Jako wniknięcie w uległość narkotykowi lub jako namiastka narkotyku. Ten wybór drogi, nieokreślony w jego czasach, ziścił się sposobem niekorzystnym dla gatunku, dla kultury i dla samego wreszcie prekursora.

Ostatni człon mego wyliczenia może wydać się zaskakujący do absurdu. Jakże to, co się działo po śmierci Poego i nie w jego książkach, mogło mu zaszkodzić? Otóż właśnie zaszkodziło — analogicznie zresztą, jak to zaszło w przypadku Wellsa. Gdyby się bowiem ci prekursorzy okazali inicjatorami nurtu piśmiennictwa wstępującego wzwyż, gdyby ich dzieła oznaczały początek łańcuchowej reakcji zapełniającej biblioteki beletrystyką najwyższej próby w wymiarze artystycznym i intelektualnym, to blask idący od takiego spełnienia padłby również i na nich. A ponieważ stało się na odwrót, ponieważ zapoczątkowane przez nich piśmiennictwo, odcięte od potencjalnych szans, stało się czysto rozrywkowym dopływem kultury masowej, poszedł od tego stanu rzeczy rykoszet wstecz i dlatego ani Poe, ani Wells w oczach szczególnie wymagających znawców literatury nie należą do jej najznamienitszych postaci.

Powyższe wyjaśnia, na czym polega dziś bezbronność literackiej grozy i niesamowitości. Jeśli opowieść taka nie przeraża, to nudzi; jeśli nie poruszy czytelnika do szpiku kości, to nie poruszy go wcale. Dlatego literatura ta z upływem lat ulegała postępującej degradacji. Coraz mniej można w niej znaleźć traktowanej poważnie tajemnicy, a coraz więcej — trików, tasowań i cyrkowych sztuczek. O najlepszych opowieściach współczesnych grozy da się rzec tylko, że są napisane z r ę c z n i e. Kultura pierwotna, praktykująca określoną magię, była jej tak samo wierna, jak Watykan — katolicyzmowi i myśl, żeby ta kultura mogła wymienić swą magię na jakąś inną, jest tak samo nonsensowna jak pomysł, że Watykan może jednego dnia przejść na buddyzm. Tymczasem współczesny autor niesamowitego tematu elementy fikcji tasuje i kombinuje niczym klocki zabawy dziecięcej. Wszelkie chwytły, dowolnie anachroniczne mieszanki są dobre, jeśli wezmą publiczność. Dlatego właśnie udający zgodność z wiarą jeszcze poważną — chrześcijańską — satanizm, tkwiący w *Egzorcycie*, umożliwił tej powieści i temu filmowi zdobycie frenetycznego odzewu, ponieważ szło o wyjątek czysto rozrywkowej reguły, jako nawrót do problematyki, mającej jeszcze pozarozrywkową sankcję autentyczności. Lecz sukces ów zdarzył się podług zasady, że na bezrybiu i rak ryba.

A cóż ze Stefanem Grabińskim, któremu przypisane jest to posłowie? Powiedzmy pierwiej: habent sua fata libelli. Jakże marzył ów lwowski nauczyciel gimnazjalny o wejściu w świat wielkiej literatury i jak późno przyszło się choć w części zrealizować jego marzeniom. Grabiński jest dziś bowiem nie tylko w naszym kraju czytany, ale i obcy znawcy unoszą się nad żywotnością jego dzieła, zapoznawanego przez pół wieku.

Cokolwiek by rzec o przyczynach tej żywotności, jasne jest, że i on nie wstąpił na tak nazwaną przeze mnie drogę antropologicznej penetracji niesamowitego tematu. Nie wstąpił na nią, chcę rzec, w pełni świadomie, konsekwentnie — toż nie posługiwał się ani dystansującą od grozy drwiną, ani dociekliwością psychologiczną. Nie poszedł w tym kierunku, chociaż...

Powieści jego, trzeba to powiedzieć, obwały się nam. Nie wytrzymały próby czasu, ponieważ fbyty wyłącznie stały okultystyczną erudycją. Salamandra, na przykład, to wręcz klasyczny przypadek „magicznego produkcyjniaka”. Magia Salamandry to technika walki, z właściwym sobie „oprzyrządowaniem”, z zapleczem wiedzy fachowej, z urządzeniami celowniczymi, spustowymi itd. Podobnie jak w powieści produkcyjnej, pola uwagi autorskiej nie wypełniają problemy motywacyjne stron działających, ich wysokie racje i wybory, lecz stopień właściwych im sprawności prakseologicznych. Niby mówi się o pojedynku Dobra i Zła, lecz jakże oklepane, mgliste, banalne są owe zwierchnie pobudki starcia na śmierć i życie! Ani one oryginalniejsze, ani celniej zaprezentowane niż w byle powieści produkcyjnej. Tu dobro, a tam zło, tu bezwzględna jasność, tam mrok totalny — i diagnozą tą musi się czytelnik zadowolić. Skoro zaś cały ładunek dzieła sprowadza się do okazanej skuteczności działań, to ładunek ów wart tyle, ile owe działania. Produkcj—niak pokazujący pełną ofiarniczego samozaparcia walkę o uruchomienie smołami jako ostatniego słowa techniki musiałby od razu być nieumyślną humorystyką. Dlatego nieodparta staje się naiwność pojedynku na zaklęcia i czary, którego terenem jest *Salamandra*.

Ocalała przede wszystkim nowelistyka Grabińskiego. Dobrze brzmią nam te zwłaszcza nowe cyklu *Demon Ruchu*, w których pierwiastek ponadnaturalny objawia się dyskretnie, w dwuznacznych upośrednieniach. Nic tak nie uszkadza grozy zaświata, jak pokazy, by tak rzec, panoramicznie otwarte. Sęk w tym, że nienaiwnie skonstruowanego zaświata zaprezentować nie można. Słabość tę dzieli literatura z wszystkimi odmianami okultyzmu: przybywając bowiem na seanse, duchy najpotężniejszych nawet, zza grobu przywołanych, myśliciele zawsze plotły trzy po trzy, jak to poświadczają zachowane protokoły. To, czego się można było od nich dowiedzieć o zaświatach, tkwiło między bezgranicznym prymitywizmem a bezgraniczną banalnością. Specjalnych więc hipotez ad hoc używali spirytyści, by

odtłumaczyć tak niemiły im stan rzeczy, np. głosili, że duchy komunikują się z nami zawsze w stanie umysłowego niedowładu, bo tyle trudu wymaga nawiązanie kontaktów z medium. Były to zresztą hipotezy jawnie nieodpowiednie, co uwidacznia byle przykład (zdarzało się, że zjawa mówiła podczas seansu o swym odzwyczajeniu się od palenia — sugerując tym samym zaświat z wytwórniami wyrobów tytoniowych). Jest więc pierwiastek niesamowity spokrewniony z silnymi jadami tym, że może działać podniecająco tylko w małych dawkach. Nieopatrznie dozowany, zabija — co prawda nie czytelnika, lecz same utwory.

Czas jednak zrezygnować z tak kostycznych uwag, boż nie w nich upatruję sensu mojego posłowania. Opowiem więc po swojemu o jednej ze znakomitszych nowel Grabińskiego, o *Kochance Szamoty* dlatego, ponieważ — mniejsza czy z autorskiej woli! — ujawnia ona tkwiące w gatunku latentnie możliwości prawdy psychologicznej. Są to, jak głosi podtytuł „Kartki ze znalezionej pamiętnika”, więc rzecz opowiada się w pierwszej osobie. Młody, naiwny człowiek — naiwność, a wręcz prowincjonalność wyrazu, aż bije ze stylu — dostał niespodziewanie list od wracającej do kraju niewiasty, pani Jadwigi Kalergis, pierwszej piękności stolicy, słynącej nadto z bogactwa, list, zapraszający go niedwuznacznie na miłosne tête à tête z ową damą, jakkolwiek dotąd nic obojga nie łączyło — prócz jednostronnego uwielbienia, jakie młodzieniec żywił dla niedosiężnej pani. Z dała tylko śmiał się wpatrywać w nią na koncertach, w teatrze, ukradkiem chodził pod oknami jej wytwornego pałacyku, lecz słowem nie ośmielił się do niej odezwać — świadomy niepokonywalnego dystansu. Skądże więc jej domysł — jego uczuć — i skąd łaska listu, przy całej lakoniczności zapowiadającego niebывale spełnienia? Oczom nie wierząc, młodzieniec pokazuje kopertę znajomym, co nie wydaje się skądinąd w najlepszym obyczaju dżentelmeńskim, lecz co wypada kłaść na karb jego naiwności.

Miłosne spełnienia przechodzą wszelkie nadzieje Szamoty, choć z wolna, a naturalnym biegiem rzeczy oswajając się z sytuacją romansu, poczyną coraz wyraźniej dostrzegać dziwaczność jego scenerii oraz, by tak rzec, metody. Jest to romans czysto zmysłowy, tak ograniczony do fizycznego sedna, że toczy się w ogóle bez słów — w sypialni, w „głębokiej niszy na łożu rzeźbionym w giallo antico” (jakkolwiek naiwny, młodzieniec jest przecie, jak widać, znawcą sztuki). Amory są niebывale namiętne, a przy tym stroną aktywną wciąż jest w nich dama, okupująca niejako swe kamienne milczenie wyrafinowaniem pieśczęt. Po paru miesiącach Szamocie poczyną wreszcie dolegać taka forma związku — posiadłszy ciało, domaga się i duszy. Lecz odpowiada tylko milczenie lub przychodzące po miłosnych nocach listy z prośbami, aby nie pytać o nic, nie nękać itd. Tymczasem uszczęśliwiany rozwija bystrzejące obserwacje. Pani Kalergis ma takie same znamiona („myszki”) na ciele, jak on; odznacza się jak i on opalenizną, nie przystojącą raczej damie podług kanonów czasu; gdy raz, podrażniony sposobem bycia kochanki, kłuje ją szpilką, z jego, a nie z jej, ciała tryska krew...

Wreszcie w rok po pierwszym stosunku romans urywa się niesamowitym a jednocześnie makabrycznie sprośnym akcentem. Pani Kalergis przyjmuje go w sypialni po ciemku, wzywa szeptem, lecz mężczyzna nie może znaleźć w pościeli jej głowy, twarzy, rąk — nic oprócz „ogniska płci”, jak mówi nowela. W obrażonej dumie zrywa się, zapala światło i widzi” w zgiełku koronek... rozrzucony bezwstydnie, obnażony po linię brzucha, kadłub kobiecy — kadłub bez piersi, bez ramion, bez głowy...”

Szamota ucieka przerażony — aby w miesiąc potem dowiedzieć się, że Jadwiga Kalergis nie żyje już od dwóch lat, że więc przeżył romans z umarłą.

Historię tę wyklada się podług typowego kanonu spirytyzmu — i tak też czyniła to zazwyczaj krytyka. Najdociekliwszy z badaczy dzieła Grabińskiego, Artur Hutnikiewicz, autor monografii o naszym pisarzu (mało który literat polski niniejszego wieku zyskał sobie równie sumienne i wszechstronne opracowanie całej twórczości), podaje dwie wykładnie rzeczy — jako dwa warianty eksplikacji spirytystycznej. Pierwsza zamyka się w doczesności,

gdyż do niej ogranicza sferę spirytystycznej fenomenalistyki. Szamota uległ obłędowi na tle erotycznym, listy rzekomej kochanki sam pisał do siebie, a będąc obdarzony zdolnościami mediumistycznymi (o czym nie — musi się wiedzieć), materializował „ideoplastycznie” osobę rzekomej Jadwigi Kalergis, która była więc jego fantomem, lecz z upływem czasu wyczerpująca się energia fantomotwórcza dała o sobie znać: coraz dłużej wyczekiwać musiał pojawienia kochanki, aż na koniec zredukowała się zjawia do okolicy narządów płciowych — rzecz zrozumiała, powiada Hutnikiewicz, gdy zważyć naturę podnieć psychicznych, co stały u źródeł zjawiska. Drugi wariant wykładni, także dopuszczamy, sugerowany jest przez zakończenie noweli: oto niepodobna wykluczyć, że Szamota jednak przeżył romans ze zjawą zmarłej, przy czym wtedy (dodaję od siebie) duch Jadwigi tak się posiłkował, dla materializacji, spirytystycznym darem Szamoty, jak typowe zjawy seansów posługują się po temu „ektoplazmą”, emanowaną przez uśpione medium, albo też materializacja zachodziła niejako wprost (czyli bez pośrednika), a jej stopniową redukcję powodowały te „zrozumiałe trudności”, na jakie musi się natykać każdy duch umarłego, który usiłuje przezwyciężyć zapory, oddzielające go od świata żywych.

Dodaje też Hutnikiewicz, że niejako matrycą sprawczą a zarazem alegorycznym zapleczem tej makabrycznej historii może być werset biblijny, podający sposób, w jaki Bóg z części Adamowego ciała stworzył Ewę.

Wszystko to o tyle widzi mi się niewątpliwe, że zacytowane wykładnie odpowiadają zarówno kanonom klasycznego spirytyzmu, jak i autorskim intencjom. Nowela dopuszcza jednakowoż jeszcze inny rodzaj interpretacji, o tyle ciekawy, że będący takim przekreśleniem spirytystycznych wyjaśnień, który wcale jej całościowo nie szkodzi, lecz właśnie przemieszcza rzecz na obszar problematyki zarazem naturalistycznej, racjonalnej i wiarygodnej psychologicznie. Odrzucając zarówno mediumistyczną, jak „pozagrobową” paradygmatykę, nie stajemy wobec utworu, zapadającego się bezsilnie w nicość, lecz zyskujemy taki, który staje się niezwykle przenikliwą analizą zajęć erotycznych na ich pozaświadomym planie.

Postuluję mianowicie przemieszczenie wszystkich zajęć w obręb psychiki bohatera, którego opętanie erotyczne przekroczyło granice umysłowej normy albo, gdyby ktoś wołał, którego fiksacja seksualna stała się treściowym źródłem omamów. Gdy przyjmiemy taką wersję, wyjawia się, że on to sam sobie wszystko wyroił, sam się otoczył fantazmatami, którym nic obiektywnie nie odpowiadało, bo wprowadził się w taką sferę zwidów, w której jego dotąd stłumione rojenia erotyczne mogły się wreszcie rozkiełznać. A mogły się urwać z łańcucha przyzwoitości, mocnego w czasie, w jakim osadzono akcję, właśnie dzięki spirytystycznym pozorom, którym bohater dał sam najgorętszą wiarę. Gdyby to bowiem nie tylko było wszystko z niego, ale gdyby on ponadto o tyrn, że właśnie tak jest, dobrze wiedział, to nigdy by się nie ośmielił dać sobie przyzwolenia na równą czelność wyobraźni. Więc spirytystyczne pozory stanowią konieczną przesłankę zuchwałego romansu.

Interpretacja psychologiczna, którą proponuję, nie jest naciągana, jako że przylega do wszystkich szczegółów narracji. Nazwisko „Kalergis” pada, jak sądzę, nieprzypadkowo — dobrze znamy rolę, jaką autentyczna pani Kalergis odegrała w życiu Norwida. Tym samym stała się ona prawzorem niedostępnego erotycznie ideału kobiety pięknej, której wdziękami napawają się inni — nie była wszak autentyczna pani Kalergis westalką — lecz wara bohaterowi, który najpłomiennie, bo najbezsilniej, kocha. Bohater noweli Grabińskiego nawet nie próbował swojej Jadwidze Kalergis wyznać żywionych uczuć, niechybnie świadomy beznadziejności takiego kroku, musiał więc być jej nierówny socjalnie, boż o braku zapamiętania w uczuciu trudno by go posądzać. Miłość, żywiona sekretnie z odległości, obraca się na koniec przeciwko samej sobie, gdy już w nieświadomości zgromadziły się wżarte w sentyment — resentymenty: pożądanie wykracza więc z rojeń platonicznych, łaknąc spełnienia tym bardziej drastycznego, że niemożliwego. Nie jest to już w tej fazie namiętność

ślągalna, lecz skora do wzięcia pomsty na niedotykalnej wybrance. Odtrąconemu, a właściwie nie dopuszczonemu nawet do pobliża piękności, już nie może wystarczać jako rekompensata — atak erotyczny, uwieńczony odpowiadającą łaskawie przychylnością. Nie — w realizującym się marzeniu on będzie teraz stroną nagabywaną, a ona nagabującą, to ona okaże bezwstydną wręcz aktywność, oddając mu się tak, aby zaspokoić jego żądze w okolicznościach, co ją będą poniżały. (Przypominam tu analogiczny mechanizm odwrócenia ról, widomy w Zbrodni i karze, gdzie Marmeladow śni, że mała dziewczynka usiłuje go uwieść). Właściwe nieświadomości mechanizmy życzeniowego spełnienia łakną takich krótkich zwarć, żeby rojący podmiot doznał najpełniejszej satysfakcji, wyzwolonej z wszelkich konwenansów; więc plan, ukuty przez nieświadomość młodego człowieka, ma sprawić, by wyniosła wybranka nie tylko mu się oddała, lecz by ponadto jeszcze oddaniem tym ujawniła swoją względem niego gorszość; tylko wtedy bowiem rekompensata okaże się zupełna. On, dawniej niższy, będzie wyniesiony, ona, dawniej wysoka, będzie zdegradowana. Wniosek bowiem psychologiczny tak opiewa: „zdobyłem ją, jakem chciał, ale ona mnie nie warta, bo jam rycerski, a ona rozwiązła, więc nawet moich minionych niezaspokojeń już nie muszę żałować”. W samej rzeczy trudno o mocniejsze jeszcze zadośćuczynienie ambicjom — i nie tylko erotycznym — bohatera. Oczywiście nazwanych planów nie mógłby on zrealizować świadomie w imaginacji, boż postępowanie to okazałoby się jawną „delectatio morosa”, wręcz onanistycznym snem na jawie. Dlatego musi użyć systemu samoomamień, musi sporządzić projekcję, w zewnątrzność, swych rozgorzałych chętek, których nawet samemu sobie nie odważyłby się wyjawić, toteż całą odpowiedzialność za wyuzdanie zwali na rzekomą partnerkę. Ona była zimna i nieprzystępna, a on daremnie roznamiętniony; otóż teraz on się okaże dotknięty w swojej prawości męskiej jej rozwiązłością, więc ukarze ją porzuceniem, tym mu smakowitszym, że i sprawiedliwym, i jej uwłaczającym. A czemu wszystko mu się jawi w takiej zgodzie z kanonem spirytyzmu? Odpowiedź będzie prosta: ponieważ w czasie właściwym akcji kanon ten znany był każdemu członkowi „towarzystwa”, ponieważ orientować się w nim należało do dobrego tonu. Toteż i nieświadomość Szamoty kształtuje zgodnie z tym kanonem swoje projekcyjne zwidzenia.

Nowela Grabińskiego może być więc potraktowana jako utwór naturalistyczny, skierowany na demaskowanie nieświadomych mechanizmów erotyki, czyli jako psychologicznie uwierzytelniona analiza rekompensacyjnych samozaspokojeń. Odnajdujemy w niej bowiem wszystkie typowe, a przez psychoanalizę wyodrębnione mechanizmy, w rodzaju stłumienia, przemieszczenia, projekcji, symbolicznej wieloznaczności oraz typowego dla stosunków panujących między „Ego” a „Id” — samookłamywania się i osłaniania autentycznych motywów — systemem przesłaniających je pozorów. Pozorami takimi będzie właśnie całość uruchomionej fenomenalistyki spirytystycznej, która nie może być zatem po prostu odrzucona, ponieważ pełni w noweli rolę niezbędną, jakkolwiek radykalnie odmienną od tej, którą przypisała jej krytyka pospołu z samym pisarzem.

Ten swój sukces — mówię o wielowykładalności opowiadania, które w granicy może być rozumiane jako prawdziwe psychologicznie przy pełnym zanegowaniu wszelkich pretensji spirytyzmu — zawdzięcza ono nieobecności autorskich komentarzy, co by usiłowały uwierzytelniać właśnie spirytystyczne zaplecze zjawisk. Nieobecność tę wywołała forma narracji — biegnącej w pierwszej osobie. Z uwagi tej zdaje się wynikać, że jeśli zabieg przesunięcia znaczeniowych akcentów z podłoża antynaturalistycznego w obręb naturalistycznej prawdziwości (np. ze spirytyzmu w psychologię głębi) okaże się niewykonalny, bo utwór musi podzielić los tego dyskursywnego podłoża, które go породziło. Czyli, z drugiej niejako strony to samo mówiąc, jeśli się autorska wykładnia zajść nierozdzielnie zrasta z samymi zajściami, to żywotności utworu tyle, ile żywotności owej wykładni. Jeśli zaczyna budzić politowanie tajemna wiedza, będąca obszarem

źródłowym narracji, to niesamowitość idzie razem z ową wiedzą do lamusa.

Stąd właśnie bierze się fatalna prawidłowość, rozcinająca nam dziś na dwoje dzieło Grabińskiego. Poszedł on niestety fałszywą drogą, stając się coraz świetniejszym erudytą okultyzmu i coraz bezbronnejszym od tego właśnie autorem, ponieważ im więcej takich wiadomości wprowadzał do utworów, tym gorzej to rokowało.

Zresztą przemiana fascynujących domniemań myśli dyskursywnej w martwą literę nie jest wcale lokalną przypadłością gatunku, w którym tworzył Grabiński, lecz powszechnikiem literatury, toteż ciągle od nowa sprawdza upływ czasu zasadę, nakazującą pisarzom zawierzać samoistnej wymowie zdarzeń, których własną spoistością winno stać dzieło, a nie jakimikolwiek ujednoznaczonymi dyskursywnie a komentującą — interpretacjami owych zdarzeń. Inaczej powiadając, literatura nie powinna nigdy podejmować się ilustrowania jakichkolwiek hipotez czy teorii, poglądów bądź domniemań, ograniczonych do jedyne go mianownika prawdy niepodważalnej, nie powinna widzieć swego posłannictwa w dowodzeniu takiej prawdy historiami, co są wcieleniem partykularnym jedynej systemowo koncepcji. Dyrektywa ta nie może oczywiście dotyczyć komentarzy, pochodzących od postaci powieściowych, te bowiem zawsze mogą podlegać przeuzasadnieniom czy wręcz „odtłumaczeniom” podobnym do tego, jakieśmy powyżej przeprowadzili. Wiedza o podejmowanym temacie jest pisarzowi bez wątpienia niezbędna, rzecz tylko w tym, aby nie stał się jej zbyt zapamiętałym propagatorem, mającym na przykład dzieła za dowody prawdziwości niesamowitych zjawisk. Zapewne: nie sposób całego piśmiennictwa grozy i niesamowitości w tej jego części, która (niczym książki E. A. Poe) skutecznie opiera się niszczącemu działaniu czasu, uznać za podległe wyłącznie przeprowadzonej przeze mnie „naturalizacji” makabry dzięki jej przekładowi na psychologię. Utworom żywotnym właściwe są rozmaite rodzaje głębi znaczeniowej, więc tak alegorycznej jak symbolicznej, bądź też uwikłanej naraz w odległe od siebie strefy ludzkiego doświadczenia. Lecz nie wziąłem się tutaj do omawiania całego gatunku, nastęrczającego sporo dylematów, ponieważ słowami tymi chcę wrócić przede wszystkim do pisarza mojej lwowskiej młodości, który nie przepadł w rywalizacji z rówieśnikami mu Europejczykami. Może nie tyle trzeba biadać nad tym, że sporo jego książek nam się zestarzało, ile raczej wyrazić podziw dla jego wyobraźni już wyzwolonej — skoro płody jej przeżyły zgon wątpliwej metafizyki, co niegdyś świadczyła im służby podporowe.

Grabiński dał niewiele utworów tak świetnych jak *Kochanka Szamoty*, lecz dał ich dość, by nie zostać zapomnianym pisarzem.

*Kraków, w listopadzie 1974*



## CZEŚĆ TRZECIA

## DOKĄD IDZIESZ, ŚWIECIE?

Więc jeszcze jedna próba zajrzenia w przyszłość naszego globu. Próby te są dziś modne, powtarzają się, pod piórami uczonych i publicystów powstały już nawet koleiny, z mnogości usiłowań narodziła się janusowa twarz współczesnego proroctwa: orłem jego jest technologiczna wspaniałość, automatyczny luksus przyszłej cywilizacji, reszką — niewidzialny ogień promieniowania, totalna zagłada. Zapewne, przyszłość będzie musiała wybierać między tymi krańcowościami, czy jednak pewne jest, że nie ma, że nie czeka nas nic oprócz automatycznego nieba bądź wodorowego piekła? Wytworzył się tu już stereotyp: piszący, zależnie od okoliczności, staje się apologetą lub Kasandrą — na koniec można by sądzić, że przyszłość, dobra czy zła, będzie prosta, jak proste są, w ostatecznym wyrazie, oba wymienione rozwiązania. Intencje moje tym razem są skromne: przejrzeć niektóre założenia, przyjrzeć się faktom, zrewidować, być może, wnioski, niczego nie mówić z pewnością nie uzasadnioną, ponastawiać wreszcie, jeśli okaże się to wskazane, znaków zapytania tam, gdzie stawialiśmy dotąd tylko wykrzykniki; coraz dalsza przeszłość, malejąca w wymiarach skromnych hekatomb nieatomowych wojen, zawiera jednak chyba w sobie jakieś ziarno, jakiś cierpki rdzeń doświadczenia, dlatego po prostu, że jest zbiorem faktów, niewzruszoną realnością, i w zygzakach jej znieruchomiałego biegu można odczytać niejedną z tych prawidłowości, które ukształtują nasz przyszły los.

## I

Istniejąca obecnie równowaga atomowa jest, rozumie się, procesem, a nie stanem; posiada swoistą dynamikę, którą można by studiować, w oderwaniu od zagadnień wielkiej polityki nawet, metodami matematycznymi. Po stworzeniu najsilniejszych środków niszczących przyszła, naturalnym biegiem rzeczy, kolej na skonstruowanie narzędzi, środki owe przenoszących do celu. Tak po atomowym przyszedł wyścig raketowy; gdy ładunki wodoru osiągnęły swoiste „optimum” i dalsze ich powiększanie straciło sens jedynie się liczący, strategiczny, gdyż miasto czy kompleks miast, czy kraj cały, można, jak człowieka, zabić (dokładnie) tylko raz — granicę doskonalenia uzyskały i rakiety, przynajmniej w dziedzinie szybkości. Kto chciałby je wysyłać jeszcze szybciej, niż można to czynić już dzisiaj, wyrzuciłby je w niebo, nie wracałyby na Ziemię; po osiągnięciu perfekcji dalsza droga w tym kierunku przestała istnieć. Oczywiście, gorączkowa działalność może trwać nadal, dotyczy jednak głównie szczegółów, więc rozmaitych elementów technicznych i technologicznych, więc sposobów napędu, urządzeń celowniczych czy aparatów obserwacyjno–ostrzegawczych, proces ten jednak nie wnosi w istniejącą sytuację żadnych czynników na tyle doniosłych, by zdolne ją były jakoś zmienić. Że jednak żaden stan nie może na naszym padole nieustającego biegu trwać niezmiennie, wewnątrz pozornie monolitowej (choć dwuczęściowej) równowagi sił wojennego atomu pojawiają się niepokojące, mało na razie wyraźne zjawiska. Rzecz w tym, że „klub atomowy” poczyną z wolna rosnać. Po Anglii — Francja, a słyszymy już i o Niemczech Zachodnich, które wzięły się ze znaną skrupulatnością i dokładnością do pracy i gotowe są dostarczyć niebawem światu atomowych bomb coraz to tańszych i prostszych w budowie. Proces ten, nie zahamowany — a nie wyobrażam sobie, aby mogło go zahamować cokolwiek poza rzeczywistym rozbrojeniem, najwyżej jakieś półzgody i kompromisy potrafiłyby, dajmy na to, spowolnić tę „akcję rozpowszechniania bomb” wśród ludów — po pewnym czasie doprowadzić może do chwili, w której jakiś dyktator południowoamerykański czy jakiś w eleganckim mundurze khaki działający „strong–man” w gatunku płk. Mobutu dostanie do swej dyspozycji jedną z tanich, dumpingowych, niemieckich atomówek. Jest grubą naiwnością sądzić, że mocarstwa, które, jak właśnie producent tych tanich bomb in spe — RFN, ową akcję upowszechnienia atomówki zapoczątkowały, byłyby zdolne regulować ją i kontrolować tak dalece, że szansa rozpalenia radioaktywnego ogniska wojennego w jakimś oddalonym od głównych stolic punkcie planety przestałaby istnieć.

Regulować można tylko pierwociny, zaczątki takich procesów; potem wymykają się inicjatorom z ręki. Dojść wówczas mogłoby do sytuacji tyleż nieprzewidywalnych co groźnych, na koniec pierwszy atomowy wybuch zaskoczyć by mógł jednakowo wszystkich — ale tu zbyt wiele już powiedzieliśmy w trybie warunkowym, zresztą nie zajmujemy się zjawiskami fantastycznymi. Rzecz jest oczywista: nastąpi czas, w którym posiadanie atomowego arsenału nie będzie już źródłem żadnych korzyści, żadnych szans, oprócz jednej — zagłady. Oczekiwać tego stanu biernie niepodobna; będzie sprawą polityki, przewidującej i rozumnej, dostrzec zbliżanie się tego momentu i ukazać światu, w jakiej mierze jedyną jego i ostatnią szansą jest rozbrojenie pod kontrolą. Nie twierdzę, naturalnie, że do pochówku atomowego niebezpieczeństwa musi dojść właśnie w taki sposób, ale wydaje mi się ta szansa wcale realna, gdyż inaczej przez równowagę atomową przeszedłby świat do atomowego chaosu, w którym najmniejsi, a najbuńczuczniejsi usiłowałiby grozą, importowaną z korzystnie produkujących firm RFN, szantażować wielkie mocarstwa, rozwiązywać problemy swoje i swoich sąsiadów — za nich. Byłby to, oczywiście, wstęp do pogrzebu ludzkości; mój — przyznaję: umiarkowany — optymizm co do dalszego rozwoju wypadków opiera się na przypuszczeniu, że z pozycji zbrojeń atomowych zejda nawet dzisiaj najoporniejsi (właściwie wolno by nawet powiedzieć „najobłąkańsi”, gdy wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej Francja

na gwałt stara się uczynić mocarstwem atomowym, dawno po opublikowaniu statystyk, ukazujących, że już posiadanego przez obie strony materiału rozszczepialnego z czubkiem starczy na wszystko i wszystkich — ale epitetami szaleństwa lepiej nie wojować, bo zbyt szybko doprowadziłoby to do kompletnej inflacji) — zejda, powtarzam, najoporniejsi dziś, nie dla wysokich racji moralnych ani nie pod naciskiem opinii publicznej świata nawet, ale tylko dlatego, że ten nóż rzeźnicki przestanie wówczas być obosieczny i będzie już miał tylko jedno ostrze, jednakowo wymierzone we wszystkich.

## II

Gdyśmy takim sposobem nakreślili szansę (albo, mówiąc ostrożniej, jedną z możliwych szans) rozbrojenia i tym samym zdjęli z szali nacisk potencjalnej zagłady, możemy zapytać o przeszłość świata, już nie w wymiarze eschatologicznym.

Dwa dostrzegam fundamentalne błędy w rozumowaniach mających nam zazwyczaj ten przyszły świat ukazać. Pierwszy — to lekceważenie realnych, ludzkich motywów działania. Drugi — to absolutyzowanie, nadawanie rangi ostatecznej współcześnie (a więc w skali globu, chwilowo) egzystującej technice, technologii naszej cywilizacji.

Zacznijmy, aby rzecz ożywić, od tego drugiego, krótkowzrocznego spojrzenia. Każdy z nas oglądał zapewne, i to nieraz, owe zabawne ryciny, miedzioryty i rysunki, na których uwiecznione są technologiczne, przyszłościowe wizje naszych przodków. Z epoki parowej: wszystko na tych (w swoim czasie jak najbardziej serio traktowanych!) obrazkach dymi i buzuje. Parowe karoce, parowe kocze, bryki, windy nawet; parowe dwukółki; krajobrazy w glorii zionących ogniem lokomotyw i nieskończenie długich, żelaznych, kolejowych pociągów; wspaniałe, rzeźbione, żelazne mosty dla nich; parowe armaty i okręty. W równej mierze rozognił wyobraźnię naszych dziadów balon czy trzciniowo—płócienna machina latająca Wrighta; znów te same, przezabawne wymysły, miasta, buczące od śmiesznych, drewnianych nietoperzy, balkony, do których dobijają wdzięczne, balonowe gondole — i nie inaczej działo się z każdym, uzyskującym pewien rozgłos wynalazkiem, jak telefon czy dynamomaszyna; za każdym razem powtarzano dokładnie, skrupulatnie wręcz ten sam błąd: pierwocinie, powiększonej tylko mechanicznie sto czy tysiąc razy, zarazem rozpowszechnionej na wszystkie morza i lądy, przyobiecowano triumf i wyłączne panowanie na dzień jutrzejszy. Czy zatem — chciałbym spytać — nie jest możliwe, że technologiczne apologie naszych czasów nie będą pobudzały naszych wnuków do równie szczerej wesołości? Czy świat przyszłości ma, czy może być sferą nieustających, galaktycznych podróży — albo mrowiących się na Ziemi elektronowych robotów — albo gigantycznych elektrowni atomowych — zupełnie jak gdyby ludzkość powodowała się jedną tylko intencją: zachorowania na jakąś monomanię technologiczną, byle dostatecznie monumentalną?

Tu w rozważania nasze włącza się kwestia zaznaczona już: motywów ludzkiego działania. Idzie o motywy zbiorowości, o zjawiska w skali społeczeństw, więc o zagadnienia z zakresu socjologii i polityki. Pewna autonomiczność rozwoju wynalazków jest niewątpliwa, to znaczy, że raz skonstruowany, pierwszy prymitywny samochód czy pierwsza aparatura telewizyjna wpływały (choćby samą tylko swą niedoskonałością, ułomnością, powiedzmy tutaj, aczkolwiek rzecz nie jest aż tak prosta) na rzesze konstruktorów, tak że rozpoczynał się ten tak ciekawy i godny prześledzenia proces ewolucji, że powstawał szereg kolejnych, coraz doskonalszych form, które można zestawiać z sobą akurat tak samo, jak biolog—ewolucjonista zestawia kolejne formy kopalnego konia czy jaszczura. Analogie takiego, ewolucyjno—biologicznego typu można zresztą (choć to właściwie nawias) mnożyć. I tak panowaniu poszczególnych gatunków, chociażby jaszczurów, przyszedł kres, gdy na scenę weszły ssaki; pierwsze były zwierzętami małymi, słabymi, prymitywniejszymi pod wieloma względami od wysoko wyspecjalizowanych, gigantycznych jaszczurów, a mimo to w toku biologicznego współzawodnictwa przyniosły owym olbrzymom zagładę. Jakże podobnie przedstawiały się dzieje, dajmy na to, maszyny parowej i spalinowej. Gdy pojawiła się ta ostatnia, silnik Ottona, olbrzymie i wspaniałe pociągi pędzone parą przebiegały wszystkie kontynenty, panując na nich niepodzielnie, a pierwsze benzynowymi motorami napędzane pojazdy były nieporadnymi słabeuszami i dziwolągami. I oto w ciągu lat pięćdziesięciu (ewolucja na proces analogiczny potrzebowała setek milionów...) doszło do tego, że w krajach o szczególnie szybkim tempie rozrostu techniki, jak Stany—Zjednoczone, koleje stoją przed obliczem bankructwa, zagłady ekonomicznej, a cały omal transport przejęły od nich samoloty i

samochody, napędzane silnikiem benzynowym.

Ale ta autonomiczność rozwoju wynalazków, bo o niej mowa, jest tylko jedną i, dodajmy, najbardziej rzucającą się w oczy stroną całego złożonego zjawiska. To prawda, że raz skonstruowany samochód w pewnym sensie „rozwiąza się sam” dalej, że jego formy, z roku na rok zmieniające się i nowe, dyktuje tyleż moda (której skrytą sprężyną jest zresztą interes producentów), co wymagania techniczne, i że samochodu z roku 2000 wyobrazić sobie nie umiemy po prostu dlatego, ponieważ — ponad wątpliwość — byłby nazbyt w niezgodzie z dzisiejszymi kryteriami oceny i z podobnych, estetycznych powodów uraziłby nas — przedstawiony nam — obraz człowieka z roku 50 000. Wszystko to jednak (przypominam, że wciąż mowa o autonomiczności, o „własnym życiu” wynalazków) — ważne jest tylko w „obrębie gatunku”, który stanowi auto czy atomowa centrala energetyczna. I nie — wbrew pozorom — rozwój wewnątrzgatunkowy, by tak rzec, wynalazków kształtuje, w ostatecznej instancji, całość naszego życia. Czynią to przede wszystkim te fenomeny, te odkrycia i wynalazki, których wczoraj nikt nie przeczuwał nawet albo, jeśli je sobie jakoś wyobrażał, ich materializację, konstrukcję — to już na pewno efekt ich powstania, potężnie modelujący, rewolucyjny wpływ na oblicze świata pozostawał nieprzewidywalny, poza zasięgiem najśmielszego fantazjowania. Przykłady? Energii atomowej, nieznannej (nie do wiary!) przed laty siedemnastu, będzie dość. A przemysł chemii sztucznych tworzyw? A telewizja, a film, zaledwie znany na schyłku ubiegłego stulecia? Sprawa jest nazbyt oczywista, aby wymagała argumentów.

A zatem winniśmy się spodziewać wejścia na scenę — w ciągu najbliższych lat czy dziesięcioleci — takich nowych właśnie czynników, takich potężnych sił, takich wynalazków czy odkryć, które w skutkach okażą się równie wszechstronne i uniwersalne; mówić o obliczu przyszłości, nie uwzględniając tych niewiadomych — to raz jeszcze kreślić rysunki, z których potomność nie będzie miała nic oprócz uciechy. Tu jednak — zdawałoby się — doszliśmy do granicy naszych możliwości, podcięliśmy samą gałąź, na której siedzimy, bo jakże mówić o czymś, czego nie ma i czego — *ex definitione* — ani istoty, ani wpływów i konsekwencji na życie nie znamy — toż to kwadratura koła. W jakiejś mierze na pewno; i nie będziemy próbowali wynajdywania nie istniejących wynalazków (w tej chwili przynajmniej, gdy rozprawiamy tak serio). W przeciwieństwie do gatunków zoologicznych czy botanicznych wynalazków owych nie rodzi przecież, nie stwarza Natura, lecz człowiek; chciał podróżować, więc wynalazł okręt, pojazd, rakietę; chciał doskonałych niewolników, wynalazł więc maszyny, produkujące dla jego wygody; chciał zabijać, panować, więc...

Wynalazki są oczywistym skutkiem, potrzeby — przyczynami; czy jednak wymyślać mamy — z kolei — potrzeby? Nie — te i owe z zamkniętych drzwi otworzą się, gdy zbadamy nawet potrzeby teraźniejszości, najmocniej nie zaspokojone. Świat będzie potrzebował coraz więcej taniej energii; coraz więcej żywności i odzieży; coraz więcej pewności życia, jego ochrony przed chorobami i śmiercią. Ta fundamentalna trójca będzie przez dziesięciolecia jeszcze mieć prymat nad potrzebami innymi, takimi, które powstają dopiero po jakimś odkryciu czy wynalazku (jak np. telewizja, której dziadowie nasi nie znali, nie mogli więc do niej tęsknić; inna rzecz, naturalnie, z podróżowaniem czy odziewaniem się; stąd wniosek, że wynalazków, których potrzeby nie odczuwamy dziś, wymyślić się nam nie uda).

Skomplikowany, bogaty w przygody, kłęski i niespodzianki proces atakowania nowych dziedzin technologii w zasadzie przedstawia się, to największe uproszczenie, tak:

Przykład pierwszy: energia atomowa. Potrzeba: podyktowana warunkami — pałaca (wojna, konieczność supremacji nad bezwzględny przeciwnikiem). Zrazu znana teoretyczna szansa skonstruowania bomby wodorowej (ale nie było naturalnie nawet tych słów, tego terminu), dzięki znajomości procesów zachodzących w gwiazdach, m. in. w naszym Słońcu. Żadnych szans na realizację. Pierwsze eksperymenty z rozszczepialnym uranem; obwarowana tajemnością czasu wojny, najwyższa koncentracja mózgów i materialnych środków. Praca

zespołowa, równoczesny atak na wielu frontach celem odnalezienia najsprawniejszej metody wydobycia uranu rozszczepialnego, a także stworzenia nowego pierwiastka rozszczepialnego — plutonu; praca w zasadzie oparta już na dobrej teoretycznej znajomości przedmiotu. Powolne kielkowanie i powstawanie techniki atomowej przez kolejne przestawianie procesów laboratoryjno-naukowych, tj. urzeczywistnianych w małej skali, na skalę przemysłową. Pierwsze bomby atomowe. Powrót do idei „sztucznego słońca”, nowa koncepcja: „zwykła” bomba atomowa jako zapalnik bomby wodorowej. Dalsze prace uwieńczone powodzeniem.

Produkt uboczny całej sekwencji tych prac: stos atomowy jako źródło energii. To trzeba powiedzieć. Nie on był bowiem ich celem. Obecnie prace idą, między innymi, w kierunku zrealizowania kontrolowanej reakcji syntezy wodoru, tj. zadaniem jest niejako, „równoległe powtórzenie” historii bomby atomowej. Jednakże „stos wodorowy”, jak dotąd, nie został skonstruowany. Trudności na tej drodze okazały się większe, aniżeli przypuszczano. Sprawa bynajmniej nie jest jednak przegrana. Zaszła potrzeba rozszerzenia wstępnej fazy, teoretycznej: znajomość elementarnych właściwości materii nie jest jeszcze wystarczająca. Stąd — choć nie tylko stąd — gwałtowne tempo prac fizyków, uczonych całego świata, głównie w dziedzinie cząstek elementarnych obdarzonych wielką energią. Budowa ogromnych przyspieszaczy tych cząstek („kosmotrony”, „synchrofazotrony” itp.). Owoców tych prac trzeba jeszcze oczekiwać. Przykład drugi: astronautyka. Potrzeba: podyktowana warunkami wielkiej polityki. Konieczność dostarczenia strategom środków przenoszących broń jądrową. Warunki wyjściowe: osiągnięcia Niemców w dziedzinie budowy rakiet, z tych najdoskonalsza — rakieta V-2. Prace z zakresu balistyki zewnętrznej, teorii napędu rakiet, teorii paliw chemicznych, silników odrzutowych i raketowych. Produkt uboczny: rakiety zdolne do wprowadzania na orbity okołoziemskie sztucznych satelitów. Produkt ten, tak w tym, jak i w poprzednim przykładzie, stopniowo się autonomizuje. Znaczący to, że stos atomowy, który pierwotnie dostarczał wybuchowej materii jądrowej jako tego, czego odeń wymagano, energię zaś wytworzoną rozsiewano, gdyż była zbędna, przeszedłszy technologiczną ewolucję, stał się „stosem pokojowym”, który środków wybuchowych nie wytwarza, wytwarza natomiast energię; analogicznie rakiety — nośniki bomb, przekonstruowane, specjalizowane, stają się — i staną się — statkami kosmicznymi dla ludzi zdolnymi poruszać się w kosmicznej przestrzeni.

Jak widzimy, energię atomową dla celów pokojowych i astronautykę uzyskano zrazu jako „produkty uboczne”. Jest to konsekwencją struktury świata, w jakim żyjemy; można sobie, naturalnie, pozwalać na ocenę moralną tego faktu, ale nie zmieni go ona w żadnej mierze; raczej płodniej można by zastanawiać się nad tym, jakie „uboczne produkty” może w przyszłości rodzić sytuacja tego naszego świata. Naturalnie nie zawsze musi chodzić o produkty par excellence, „uboczne”. Nacisk demograficzny, dynamika wyzwalających się ludów kolonialnych może uczynić problemem nr 1 świata rozbrojonego globalnie — produkcję żywności. Koncentracja sił i środków pozwoli wówczas na rozwiązanie teoretyczne, a potem i przemysłowe, zagadnienia sztucznej syntezy takich środków czy to drogą fotosyntezy z pierwiastków i surowców najtańszych, czy też jakąś inną; tak czy owak będzie szło o zjawiska z zakresu chemii stosowanej, ściślej mówiąc — biochemii. Możliwe jest, że produktem ubocznym „operacji żywność” będą nowe, nie znane dziś substancje syntetyczne, służące np. jako budulec albo jako surowce do wyrobu odzieży.

Ale widzieć świat przyszły jako sferę wolności od lęku wojny, od głodu, nędzy, nawet i od choroby, byłoby, mimo wszystko, minimalizmem niewybaczalnym. Gdybyśmy jednak mieli sięgnąć myślą głębiej w tę dziedzinę nieznanego, musielibyśmy się pierwej rozstać z wieloma wartościami, które uważamy dzisiaj za nienaruszalne.

Jedną z pierwszych takich wartości, na jakie sama przyszłość — swoim kierunkiem rozwoju — przypuści zapewne atak, jest nasze — powszechne dziś, nawet wśród większości uczonych (tak silne są przyzwyczajenia i poza—rozumowe uczucia w człowieku) —

przywiązanie do tego, co „naturalne”. Spośród wszystkich rzeczy „naturalnych” największą — rozumie się — wartość przywiązujemy do naszego własnego ciała, które otulamy co prawda w „sztuczne” futerały i pokrowce, przewozimy „sztucznie zbudowanymi” środkami komunikacji, żywimy niekiedy „sztucznie sporządzoną” żywnością, a nawet podtrzymujemy jego siły i wspomagamy je w walce z „naturalnymi” jego wrogami, jakimi są bakterie, „sztucznymi” chemikaliami lekarstw. Trzeba też niekiedy zastąpić jakąś część tego, w swej naturalności nieoszacowanego, ciała już to protezą, już to wzmagającym działaniem osłabłych zmysłów (słuchu np.) aparatem. Zawsze jednak protezy te uważamy (notabene słusznie) za gorsze od tego, co zastępują, od tego, co było; zrozumieliśmy, że każdy woli włosy od peruki na łysinie i własne, choćby nie dość perłowe zęby od nylonowej sztucznej szczęki. Ale to jest stan przejściowy; przyjdzie czas, kiedy wstawione zęby lepsze będą od tych, jakie wytwarza organizm, przyjdzie też kolej na inne, donioślejsze jego części. Już dziś mówi się, i nie tylko mówi, o zastąpieniu schorowanego serca nowym, o sztucznej nerce, sztucznej aorticie, sztucznych stawach czy kościach. To jedynie początek. Słyszymy też lekarzy mówiących o „banku krwi”, po którym przyjdą podobne inne „banki” — tak że utraconą kończynę będzie można zastąpić kończyną — powiedzmy to wreszcie — trupa, niechby „świeżego trupa”, niechby „utrzymywanego w stanie podobnym do życia poprzez przepłukiwanie jego krwionośnych naczyń płynem podobnym do krwi”. Taki obraz zamąca już nieco nasz spokój. Słyszymy jednak dalej, że pewien biolog uruchomił kończyny psa, sparaliżowanego wskutek całkowitego przecięcia rdzenia kręgowego, w ten sposób, że w głąb nerwów kończyn tego psa wpuścił strumień elektrycznych bodźców zapisanych na taśmie niby-magnetofonowej, bodźców, uprzednio zarejestrowanych — zapisanych — u zdrowego, chodzącego psa. I że to ma być wielka nadzieja na przyszłość dla ludzi, tkniętych paraliżem. Nosiliby w kieszeni małe pudełko z guzikami opatrzonymi napisami „chód”, „w prawo”, „w lewo”, „stop” itp.; i uruchamialiby — samych siebie, własne kończyny, naciśnięciem wybranego guzika. O tym mówi się dziś jako o rzeczy realnej.

A przyszłość? Ta każe się ludziom pożegnać rychło z „naturalnym”, tak skorym do zmęczenia, sercem; być może przyjdzie kolej na podlegający tyłu cierpieniom narząd trawienia; po tej pierwszej inwazji mechanizmów i urządzeń sztucznych — a więc silniejszych, wytrwalszych od „naturalnych”, a także, i to najważniejsze, wymiennych! — przyjdzie kolej na krok następny, na ingerencję, śmielszą jeszcze i bardziej subtelną, w głąb chemizmu, mikroskopijnych procesów naszych ciał. Jak wiele jest z nich jeszcze do udoskonalenia, do zrobienia! Ale to oznaczać będzie właśnie „pożegnanie z naturą” — współczesnego człowieka szokujące, trudne do przyjęcia. Oczywiście, ta wielka fala przemian, ta rewolucja biologiczna doprowadzi do zrealizowania długowieczności, jakiej my sobie nawet wyobrazić dzisiaj nie potrafimy. Ale i z nią bieda, ponieważ mózg nasz zapewne nie zdoła usłużyć ciału przez wieki całe — zbyt rychło, przepelniony masą wspomnień, stałby się mózgiem starca, wegetującego, pozbawionego dynamizmu i żywości myślenia, tracącego zdolność wchłaniania nowych wrażeń. A więc i mózg, owo „nietykalne nietykalnych”, miałby stać się z kolei celem badań i, być może, przekształceń?... Jakich? Genetycznych? Ale tu znowu przychodzi sobie uzmysłowić, w jak dalece szerokim zakresie można by twórczo, kształtujące i zarazem opiekuńczo wpływać na płody, rozwijające się w środowisku sztucznym, poza macicą — i gdzież postawić kres tej inwazji techniki i chemii w głąb tego ostatniego skrawka natury, jakim jest nasze ciało, jaki do dziś jeszcze ostał się przed inwazją techniki w nasze otoczenie, w nasz świat zewnętrzny?

Odpowiedzi na to pytanie nie potrafimy udzielić. Widzimy tylko, że im bardziej próbujemy oddalać się myślą od dnia dzisiejszego, tym więcej przyszłych osiągnięć napawa nas odruchowym sprzeciwem, protestem, niepokojem, niechęcią — choć mówię, mówiłem przez cały czas tylko o zabiegach, o udoskonaleniach, służyć mających życiu! Spojrzawszy szerzej: przyszłość nie może być chemicznie oczyszczoną od trosk, bólów i strachów teraźniejszością,



doskonale wygodnym, luksusowo skrojonym garniturem na nasze obecne nawyki, potrzeby i sądy. Nic podobnego — ona podda je kolejno rewizji, doprowadzi do ostrych starć, do konfliktów, będzie zmuszała do wyboru, będzie żądała płacenia ceny za rozszerzanie fizycznych granic życia, będzie — jednym słowem — odrzucała, niweczyła bardzo wiele z tego, co dziś mamy za bezcenne, nie do zastąpienia, nienaruszalne. I będzie w tym bezlitosna, jak sam postęp i jak on — nieodwracalna. Bo raz dokonanego wynalazku, odkrycia nic już nie może unicestwić, chyba wraz z całą ludzką rasą; sielanka jakiegoś przyszłego „powrotu do Natury” jest fikcją, utopią — i dlatego właśnie drogę, jaka od odkryć współczesnych prowadzi w gąszcz niewiarygodnych nieraz konsekwencji przyszłych, nie tylko wypatrzeć trudno. Jeszcze trudniej się człowiekowi dzisiejszemu z nią pogodzić.

### III

Umyślnie mówiłem dotąd tylko o jednostkowo–biologicznym aspekcie przyszłości, ale przecież inny, socjologiczny będzie, kto wie, czy nie jeszcze bardziej radykalny w stosunku do naszych teraźniejszych marzeń i wyobrażeń. Głosić, w wieku gospodarki planowanej, osobiwą strusią politykę — zacieśniania się do losów żyjącego pokolenia, postulować, jako cel doskonały, ten sam, tak wygodny i miły indywidualizm egalitarny, jaki był (przynajmniej myślowym) udziałem wąskich elit społecznych na przełomie XIX i XX wieku, widzieć w jego upowszechnieniu masowym rozwiązanie podstawowych problemów ludzkiego współżycia — jest, że użyję nie mojego powiedzenia, czymś gorszym od zbrodni: to błąd. To fikcja, dla jakiej po prostu nie ma miejsca w świecie nawet współczesnym, ale dzisiaj można jeszcze udawać, że tak nie jest. Nonsensowność takiej postawy przyszłość udowodni faktami nieodpartymi.

Kwestia pierwsza z brzegu: polityki populacyjnej, inaczej zaś mówiąc — ingerencji państwa, władzy nadrzędnej, w sferę życia rodziny, w głąb tej czcigodnej cegiełki elementarnej ludzkiego bytu, ukazuje, zaledwie tknąc ją ostrzem statystyki, matematyki, konieczność takich właśnie zabiegów, i to coraz radykalniejszych, w przyszłości. Rozrodczość nie ograniczana, przyrost naturalny tamowany tylko perswazją czy apelem, drogami okólnymi, to paliatyw rozwiązania, dobry na dziś. Gdy jednak zwolennicy wolności nieograniczonej w tej sferze życia powiadają nam w dyskusji, że kula ziemską może, jak obliczono, wyżywić nie trzy, lecz osiem, może dziesięć, a nawet piętnaście miliardów ludzi, dość zapytać, co będzie, co ma być p o osiągnięciu tego stanu? A dynamika populacyjna uczy, że każde następne podwojenie ilości istot żyjących na Ziemi będzie następowało w czasie daleko krótszym, aniżeli poprzednie; koniec XXI wieku widziałby Ziemię zatłoczoną do przeraźliwości; co wtedy? Ekspansja na inne planety? Jak gdyby taka kosmiczna emigracja mogła cokolwiek rozwiązać. Jak gdyby nie było oczywiste, że rosnąca liczebność ludzkości prędzej czy później rozsądzi wreszcie ten uniwersalizm, to całkujące świat nasz dążenie, które — bodaj najjawniejszy prąd naszej cywilizacji — z poszczególnych plemion, narodów, ras stwarza pośród starć i sprzeczności gwałtownych — jedną rasę, ludzkość, nie tylko jako hasło i frazes, lecz jako realną treść, mianownik zachodzących przemian.

Ilość przejść może — a raczej musi — w dezintegrujący wybuch, w rozsypkę, która swoją odśrodkowością pokona scalające działania techniki. Technika scala ludzkość, gdyż jest jedna dla czarnych, białych, żółtych, gdyż stanowi naj—racjonalniejszą płaszczyznę porozumienia i współpracy, gdyż odrzutowcami redukuje odległości, miesza, stapia w tyglu wzajemnych kontaktów masowych, wspólnej pracy, współzawodnictwa, pomocy. Ale proszę sobie wyobrazić życie tej dwudziestomiliardowej ludzkości, niechby i nie cierpiącej jeszcze głodu ani nie nękaną męczarniami przeludnienia, bezdomności. Redukcja godzin pracy, zwiększenie godzin wolnego czasu, godzin własnych każdego człowieka, stwarza szansę wielkiego rozwoju kultury. Ale jaka to będzie kultura, wyrosła na gruzach indywidualizmu, uniwersalizmu ziemskiego, na to pytanie musimy szukać odpowiedzi już teraz. Pozornie rzecz to niemożliwa. Tylko pozornie. Ludzie uzdolnieni twórczo stanowią pewien, dosyć stały, odsetek wszystkich zjadaczy chleba; uczeni, myśliciele, artyści pojawiają się w tym większej liczbie, im więcej jest po prostu żyjących. I proszę zważyć: już dzisiaj wszystkich, jako tako uwagi godnych, utalentowanych plastyków, malarzy — jest na świecie zbyt wielu, aby krąg przejawiania się ich indywidualności mógł sięgnąć daleko poza granice jednego kraju; skutek tej liczebności jest zadziwiający i zasmucający zarazem. Oto o wybłyśnięciu, wybiciu się, zyskaniu uznania zaczyna decydować ślepy traf, przypadek, staje się ten sukces artystyczny kwestią „wylansowania w Paryżu” czy w innej stolicy świata; na artystycznych giełdach odbywają się jak gdyby „ciągnięcia na oślep” i co pewien czas masy dowiadują się o nowym jakimś „odkryciu” specjalistów i znawców. Oczywiście przesadzam, ale tylko trochę.

Indywidualność wielka na ogół jakoś się uznania dobieje, choć czasem po latach, ale to, co dziś jest problemem zapoznanych talentów czy na oślep wylansowanych jednostek, więc w końcu marginesowym i drugo— jeśli nie trzeciorzędnym, w przyszłości, w tym wyobrażonym mrowisku dwudziestu miliardów stanie się regułą, prawidłowością nie do obalenia. Wartościowych książek, dzieł sztuki, utworów muzycznych, rozważań i teorii nowych będzie powstawało po prostu zbyt wiele, aby najzachłanniejszy konsument dóbr kulturowych mógł tej lawinie sprostać. To, o czym dzisiaj mówi się z uśmiechem, że poetów nie tylko czytają prawie wyłącznie poeci, ale że nawet nakłady tomików poetyckich warunkowane są liczbą żyjących poetów danego języka, obszaru kulturowego — to stanie się żalonym prawem przyszłego świata — tego świata nieograniczonego rozrostu liczby. Ani żarłoczność czytelnicza, ani głód wiedzy nie zapewnią żadnej jednostce bezpośredniego kontaktu z całokształtem najwybitniejszych nawet owoców twórczości, kiedy Rafaelów, Mozartów, Fermich będą współcześnie działały i tworzyły — tysiące. Zarysowująca się zatem tendencja specjalizacji w zakresie konsumpcji kulturalnej będzie wyrażała, poetów sami już tylko poeci będą czytali, malarze będą malowali dla malarzy, muzycy — tworzyli dla muzyków, skoro całego obszaru życia zaledwie wystarczy, aby tylko zapoznać się z tym, co powstaje wszędzie indziej w tym jednym, danym gatunku. Oczywiście, równolegle rozwijałaby się, powielana sputnikowymi antenami nadawczymi na cały glob, telewizyjno—barwno—dotykalnie—węchowa, czy Bóg raczy wiedzieć jeszcze jaka, kultura masowa i tak powstały rozdziew dwu kultur będzie się mógł tylko poszerzać. Na koniec, gdyby panaceum kosmicznej emigracji w skali masowej miało zostać urzeczywistnione, nastąpiłoby już jawne, nie dające się niczym zakłamać ani przysłonić, rozdziartowanie, pokawałkowanie kultury ziemskiej, skoro nikt, żaden człowiek, nie mógłby w sobie jej owoców najszczytniejszych jednoczyć, znając tylko, przez przypadek pochodzenia, urodzenia, przynależności grupowo—społecznej — jakiś jeden drobny fragment. I z czym miałyby wyruszać na wypełnionym takimi jak on statku, by szukać w gwiazdach nowej ojczyzny — ze świadomością, że kiedyś w czasach prymitywu na poły barbarzyńskiego, wojen, ciemności i lęku — że w tej właśnie przezwyjętej epoce zabłysło ongiś Odrodzenie, i to był czas, w którym można było zjednoczyć w jednym umyśle sumę ludzkich osiągnięć, ludzkiej myśli, po czym nastąpił nieubłagany zmierzch, epoka miliardowych mrówek?

Mówiłem tylko o sztuce. Nie dlatego, abym uważał ją za najważniejszą, ani przez miejsce, w jakim ukazują się te rozważania, ale po prostu dlatego, że w świecie szybkich zmian, gwałtownych skoków, ona, oprócz nauki i filozofii, stanowi łącznik najpewniejszy, pomost wspólnego zrozumienia, narzędzie kształtowania — jeśli nie charakterów, na to nigdy nie starczyło jej sił — to przynajmniej wrażliwości, i jeśli ona pójdzie w rozsypkę, stanie się zjawiskiem o prowincjonalno—lokalnym znaczeniu, zaprzepaszczeniu ulegną i szansę uniwersalizmu przyszłości, i wspólnota ludzkiego odczuwania, a to, co pozostanie, będzie żalonym pomiotem ocalenia „wolności rozrodu”, za jaką cenę?

Rzecz w tym, że o wielkości ceny, jaką płacić będzie musiała przyszłość za decyzje, podejmowane już teraz, już dzisiaj, właśnie dzisiaj, a nie kiedy indziej — trzeba dyskutować.

Mówiliśmy o twórczości, o sztuce; jest to zagadnienie — jeśli nie rozpatrywać go w trybie polemicznym, jakieśmy to uczynili — podporządkowane szerszemu: wolności. Likwidacja wielkiej własności otwiera drogę w sferę wolności osobliwej przez jej hierarchiczność. Wolność to dwojaka: od plag i trosk, oczywiście, ale także — w rozumieniu pozytywnym, aktywnym — wolność działania, niekoniecznie w interesie czyjejs kieszeni czy grupy, klasy — a dalej, w przyszłości — niekoniecznie nawet na rzecz jednego tylko narodu, państwa czy całego kontynentu. Szczególnej integracji planowania i myślenia wymagać będzie ten ostatni rodzaj, ten szczyt swobody, jako konieczność wyboru i decyzji — i jasne jest, że zburzenie murów ograniczających ludzkie możliwości okaże się nie tylko wyzwoleniem, i na pewno nie — otwarciem bram raju, jakiegoś Schlaraffenlandu, lecz problemem na miarę dotąd w historii

nie znanym. Wolność owa okazuje się, w takim świetle, największym, być może, wyzwaniem rzuconym rodzajowi ludzkiemu, próżnią do zabudowania, do zaludnienia, olbrzymią trudnością do pokonania, kto wie, czy nie dorównującą tej, z jaką boryka się świat dnia dzisiejszego. Ale popełnilibyśmy błąd, sądząc, że będzie to punkt zwrotny, rozdroże. Nie, to szereg takich, następujących po sobie punktów, poprzez które ludzkość posuwać się będzie, wciąż inna, wciąż ta sama, skoro, wywalczywszy sobie wolność, będzie musiała nieustannie do niej dorastać.

1960

Przedruk z: S. Lem *Wejście na orbitę*, Kraków 1962

## SUMMA TECHNOLOGIAE WPROWADZENIE DO DYSKUSJI\*

Jako adept cybernetyki chciałbym powiedzieć o powstaniu tej książki, że była rezultatem dwóch procesów: w pierwszej fazie — metody „prób i błędów”, w drugiej — samoorganizacji. Kiedy bowiem przekroczyła wreszcie pewien próg, zaczęła wykazywać „rozwojowe gradienty”, które mi odpowiadały; zaszło więc pożądane od początku „sprzężenie dwukierunkowe”, to jest zwrotne, bo kształtowałem książkę, a ona mnie. W tym sensie miewam nawet wrażenie, że jest ona „mądrzejsza ode mnie”, jeśli zaś nie mądrzejsza od tego, którym byłem, kończąc ją, to już na pewno od tego, który przez kilka lat daremnie próbował ją napisać. Myślę, że udało mi się to także dlatego, iż miałem za sobą niezłe „przedprogramowanie” w dziedzinie metodologii, a zwłaszcza naukoznawstwa, które zawdzięczam w istotny sposób doktorowi M. Choynowskiemu. Wprowadził mi on bowiem do głowy niemałą ilość informacji solidnie uporządkowanej, otworzył mi swój księgozbiór, który wtedy, w latach pięćdziesiątych, był dla mnie tym, czym jest oaza dla spragnionego. W efekcie, po latach, kiedy się nasze drogi rozeszły, coraz więcej kołatało we mnie spraw i pomysłów, dla których nie mogłem znaleźć ujścia w tak zwanej, a uprawianej przeze mnie, Science Fiction. Dlatego właśnie napisałem *Summę*.

Wydaje mi się, że centralną jej sprawą jest pewien slogan, brzmiący, przez skojarzenia, dosyć zabawnie nawet, a mianowicie hasło „dośćnąć i prześcignąć Naturę”. Zakłada on, że technologia jest narzędziem uniwersalnym, że może się stać biotechnologią, jak i socjotechnologią, że można przy jej pomocy zrealizować co najmniej tyle, ile zrealizowała i realizuje siłami swymi Natura. Jest to niewątpliwie wyraz optymizmu maksymalistycznego (czy też maksymalizmu optymistycznego), który domaga się, aby perspektywa, w jakiej widzimy świat, uległa zasadniczej zmianie i aby w związku z tym ulegały zmianie sposób i zakres naszego nań oddziaływania. Domaga się on, abyśmy sobie powiedzieli, że — w granicy przynajmniej — możliwe jest zrównanie twórców człowieka z twórcami Natury pod względem sprawności, niezawodności, trwałości, uniwersalności i tak dalej. Można by nawet spróbować różnicowania faz takiego współzawodnictwa; pierwsza byłaby zasadniczo fazą regulacji, to jest optymalizowania stanów tego, co już jest, co dane (społeczeństwo, nasz mózg, nasze ciało), druga zaś — fazą zwłaszcza kreacji (od usprawnienia rozwiązań danych przechodzimy do stwarzania nowych).

Chciałbym podkreślić, chociaż to może zabrzmieć jak wyzywający paradoks, że mam się za osobę dość sceptyczną, bynajmniej nie skłoną do nieodpowiedzialnych rojeń. Jeśli na przykład w nauce dnia współczesnego dostrzegam „zakazy” o powszechnie uznanej fundamentalności, to nie kwapię się wcale — przynajmniej gdy się nie zajmuję pisaniem utworów z fantastycznej beletrystyki, aby powiadać: „to nic, jakoś się te bariery (np. szybkości granicznej) pokona”. W tym sensie wykazuję respekt wobec nauki, a jeśli niekiedy, jak w tej książce właśnie, śmiało sobie z jej rezultatami poczynam, to tylko w sensie wyolbrzymiania ich, w perspektywie przyszłego rozwoju, wzmacniania czy też postulowania konsekwencji pewnych współczesnych odkryć lub stanów rzeczy. Mówię o tym aż tak wyraźnie, bo zdaję sobie sprawę z tego, że się te rzeczy w oku i umyśle czytelnika ustawiają nader odmiennie. Dosyć typowa jest reakcja wyrażająca się w słowach: „ależ to nader zręczne pomieszanie faktów realnych z rojeniami, z mrzonkami, sugerujące jakby jedno było tym

---

\* 18 grudnia 1964 r. odbyła się w redakcji „Studiów Filozoficznych” dyskusja nad książką S. Lema *Summa technologiae*, w której prócz autora uczestniczyli: Józef Hurwic, Waław Mejbaum, Helena Eilstein, Andrzej Bednarczyk i Władysław Krajewski. Drukowane niżej teksty — *Wprowadzenie i Posłowie do dyskusji*, jak również wypowiedzi innych jej uczestników opublikowane były w 2 i 3 numerze „Studiów Filozoficznych” z 1965 r.

samym, co drugie”. Tak to odczuwa czytelnik, chociaż książka roi się od zastrzeżeń głoszących, że wszystko to najwyżej być może, że to czy tamto jest nawet mało prawdopodobne, że jedynie „w najlepszym razie”, itp.

Cóż, na to już nie mam rady. Wszyscy się dziś zgadzamy, że możliwości nauki są wręcz olbrzymie i chciałem w to słowo ostatnie wpisać szereg bardziej od niego konkretnych obrazów. Nie chciałem jednak wymyślać „za przyszłość” wynalazków, a już tym bardziej — odkryć dziś nie istniejących, gdyż to dopiero byłoby, w moim rozumieniu, jałową spekulacją najczystszej wody. Szanowałem zakazy, tj. prawa fundamentalne, jak np. zasady zachowania, szanowałem, jak umiałem, dyrektywy metodologii. Ponieważ jednak wszystko w ogóle jest w naszej wiedzy po trosze dyskusyjne, to same moje, w nauce współczesnej osadzone, podstawy, które miały podźwignąć konstrukcję, trudno jest uznawać za niewzruszone. Cóż dopiero mówić o samej konstrukcji, po której miałem się wspinać myślą ku przyszłym tysiącleciom. Flna rzecz z owym postulatem współzawodniczenia z Naturą — wydaje mi się, że w postaci embrionalnej, co prawda, realizuje go już nauka współczesna. Na razie jednak płody naszych technologii są z reguły jakościowo gorsze od płodów technologii Natury — ale ponieważ ta ich „gorszość” maleje, i to na przestrzeni dziesiątków lat, uważam, że optymizm, który dopuszcza możliwość odwrócenia sytuacji (proteza ręki „lepsza” od ręki naturalnej), jest dozwolony.

Gdyby zaś tak było, z kolei najistotniejszą okazuje się sprawa, w imię czego i w jakim celu podejmować działania, opatrzone znamieniem może aż „ponadnaturalnej” doskonałości technicznej? Na ten temat książka ma najmniej do powiedzenia, flnteresowała mnie bowiem raczej odpowiedź na pytanie, co można zrobić ze światem, aniżeli, co z nim zrobić należy. Wykrycie tego, co możliwe, więc ograniczeń, winno logicznie poprzedzać rozważanie powinności, która, nie wsparta rzetelnymi szansami urzeczywistnienia, staje się z dyrektywy działania utopią.

Ta rezygnacja z problemu celów rozporządzania quasi-wszecmocą technologiczną, znajduje pewne usprawiedliwienie w tytule książki. Niemniej jest to luka bardzo istotna.

Nie jest to luka jedyna. Aby wymienić dwie inne: o podstawach „socjologii cybernetycznej”, jak i o stosunku wzajemnym etyki i technologii, powiedziało się w książce, jak to teraz widzę, o wiele za mało. Do pewnego stopnia przyczyną tego była niejaka chwiejność, nieokreśloność adresu czytelniczego. Wykład ma swoje miejsca trudniejsze, przez które ciężko przebrnąć laikowi, dla którego zwłaszcza metodologia i naukoznawstwo mogą być dziedzinami nieznanymi nawet z imienia; ma też swoje miejsca łatwe — dla fachowca na pewno już nie to, że łatwe, ale upraszczające złożoność zjawisk (np. biologicznych). Wysokości lotu, że tak powiem, nie udało mi się ustabilizować. Jednakże starałem się nie obciążać tekstu nadmiernym balastem terminologicznym — a jak można było powiedzieć cokolwiek o nie istniejącej zresztą jeszcze owej cybernetycznej socjologii czy etologii, nie przywołując elementów teorii ergodycznej, procesów markowowskich, liniowości i nieliniowości zjawisk, teorii gier, teorii decyzji, teorii planowania czy ogólnej teorii układów? Powstały więc dotkliwe luki i nawet nie wiem, czy odważyłbym się kiedyś, w przyszłości, spróbować ich uzupełnienia.

Czy książka wyraża postawę, którą można by nazwać „apologetyką technologii”? Chyba nie; zbyt wiele tam zastrzeżeń wobec potęg, któreśmy sami uruchomili. Czy jestem ideologiem „scjentyistycznej technokracji”? Tak mniej więcej, jak osoby, znajdujące się na pełnym morzu, w szalupie, są ideologami, są wyznawcami wiary w to, że jeśli nie zrobią możliwie najlepszego użytku z wiosł, żagla, masztu, źle się dla nich ta podróż skończy. Jeśli powtarzałem w książce do znudzenia, że jedynym środkiem na technologię (na jej skutki jakoś fatalne) jest inna technologia, to z przeświadczenia o obiektywności tego stanu rzeczy, a nie z entuzjazmu.

Zacząłem rzecz od odniesienia naszej cywilizacji do hipotetycznego zbioru cywilizacji

kosmicznych; i kwestia „psychozoicznej gęstości” Wszechświata jest chyba tylko w takim aspekcie godna omawiania (jeśli w ogóle przyszedł na to czas). Wyznaję, że wszystkie razem zawarte w Summie na ten temat hipotezy wcale mnie nie zadowalają.

Może jednym z najistotniejszych jest pytanie o realność „kryzysu informacyjnego”. Koncepcja nie jest wcale moja, wziąłem ją od naukowca (D. de Solla Price). Pozwoliłem sobie tylko „przełożyć” jego wywody na język bardziej „cybernetyczny” (mówiąc o ilości, przesyłaniu informacji itp.). Nie mogłem, czy raczej nie śmiałem już wprowadzać do tekstu zestawień statystycznych, wykresów, tablic wspomnianego autora, których kumulatywna wymowa wydaje mi się nieodparta. Doprawdy, fakt „milczenia nauki ziemskiej” na ten właśnie temat (zagrożającego kryzysu informacyjnego) wydaje mi się niewiele mniej godny uwagi i zdumienia, niż „milczenie Kosmosu”. Bibliografie bibliografii są rzeczą normalną, podobnie jak „abstrakty” „abstraktów”, przy czym nikogo to jak gdyby publicznie nie martwi, bo o westchnieniach, jakie się rozlegają prywatnie we wszystkich laboratoriach i pracowniach świata, nie wiemy. Być może, ów nadciągający kryzys informacyjny po prostu przesłaniany jest przez skupiającą na sobie powszechną uwagę trudności aktualne, o znaczeniu dla dalekiej przyszłości daleko mniejszym (przynajmniej jeśli się je uda zaraz zlikwidować). Gdy uznałem, że kryzys ten jest prawdopodobny, poszukiwanie środków zaradczych, właśnie o charakterze technologicznym, było już logicznie najprostszą konsekwencją (hodowla informacji, wzmacniacze inteligencji, automatyzacja twórczości naukowej itp.).

Książka zakłada pewien typ człowieka oraz pewien typ kultury, mianowicie — „maksymalnie racjonalny”. Jej milczącym założeniem jest taki rozwój historyczny, który uczyni ten typ człowieka i kultury coraz bardziej dominującym, coraz bardziej „ogólnoludzkim”. Na tym polega optymizm, którego przejawem jest *Summa*. Bez tego właśnie kierunku rozwojowego kultury nie byłyby możliwe ani optymalizm działań, ani zborność racjonalna wysiłków, ani największe tempo rozwoju czy najwłaściwszy wybór — w interesie powszechnym — spośród możliwości.

Założenia te nie zostały wypowiedziane *explicite* — można się ich tylko domyślić. Znane z historii społeczności i jednostki zachowują się w sposób tak wspinały tylko wyjątkowo. Książka wyjątek ten podnosi do rangi normy. Jest to posunięcie śmiałe, ale sądzę, że niezupełnie utopijne.

Ludzkość nie przedstawia się nam jako obiecujący, prawy i roztropny młodzieniec, pełen uczciwości, lecz przypomina raczej starego grzesznika, lubującego się potajemnie we wszelakich paskudztwach, a gębę mającego pełną frazesów. Niemniej grzesznik ów, tu i tam tknięty niedowładem, chce się leczyć, zmienić, miewa przynajmniej od czasu do czasu rozsądne myśli, szczególnie po większych upustach krwi, tak więc, mimo recydyw, należy mu chyba dać jakąś szansę, tym bardziej że jesteśmy w tym osobiście zainteresowani, a rokowanie złe oznaczałoby, że podejmowanie wszelkich działań nie związanych bezpośrednio z podtrzymaniem funkcji życiowych, nie byłoby warte zachodu.

W ujęciu zaś „nieantropocentrycznym” jest ludzkość wykształconym historycznie aglomeratem szeregu podukładów zgrupowanych w dwa antagonistyczne zespoły, przy czym działania obu są sprzężone zwrotnie, ujemnie jak i dodatnio, dodatnie sprzężenia wywołują reakcje lawinowe (eskalacyjne), które „wygasa” korekcja ujemnych. Tor każdego z podukładów kształtują częściowo jego przebiegi wewnętrzne, a częściowo — procesy zachodzące na antypodach, jak również wypadkowe procesów zachodzących pomiędzy oboma. Z kolei cały układ <sup>^</sup>nadrzędny porusza się torem wypadkowym i nie wiadomo dziś, w jaki sposób stan ten mógłby ulec radykalnej zmianie pokojowej, transformacji w postać globalnego zjednoczenia, które książka zakłada.

To odległe od aktualnego stanu założenie czynię nie dlatego, że zamykam oczy na stan współczesny, lecz dlatego, że poszukuję odpowiedzi na pytanie „co będzie, jeśli osiągnięte zostaną optymalne pozycje wyjściowe?” Gdyż, rozumie się, zjednoczenie planetarne jest

początkiem epoki.

Co jest w książce „istotne”, a co „mało ważne”, jak chciałbym, aby była odczytywana? Chciałbym, aby pewne sprawy traktować jako „chwyty”, które po prostu ułatwiały mi kompozycję i układ materiału — mam na myśli np. „klasyfikację” nie istniejących przedmiotów (wszelkie pantokreatyki itp.). To, co się mówi o „metafizyce eksperymentalnej”, jest, oczywiście, podobnie jak to, co się mówi o „przetelegrafowaniu człowieka”, eksperymentem myślowym, a nie „propozycją dla przyszłych technologów” (takie eksperymenty myślowe robią często fizycy, np. robił je Einstein ze współpracownikami — kiedy usiłował obalić wprowadzone przez Bohra a niemiłe mu koncepcje „świata, z którym pan Bóg gra w kości”). Zaskoczył mnie p. Kołakowski, gdy napisał w „Twórczości” (numer 13, 1964), że kwestia „powielania osobowości” jest moją obsesją, którą „przeniosłem” z jej wariantów sensu stricto literackich do *Summy*. To prawda, że tak było i prawda chyba, że mam na tym punkcie jakąś *idée fixe* („Tajemnica Niepowtarzalnej Osobowości”?) — ale przecież geneza literacka problemu nie dyskredytuje go chyba automatycznie w sensie epistemologicznym czy ontologicznym?

Oto zaś wyliczenie problemów „otwartych”, które, poruszane tak czy inaczej w *Summie*, uważam za godne uwagi.

### 1. Rywalizacja „konstruktorska” człowieka z Naturą

Należą tu takie kwestie, jak: Czy automatyzacja rozwiązywania zadań musi być rezygnacją z pełnej informacji o zjawiskach (jak w metodzie „czarnej skrzynki”)? Czy symbioza człowieka z maszyną w dziedzinie informacyjnej zagraża utratą kontroli nad strategią działań poznawczych? Czy i w jakiej mierze są do uzasadnienia spotykane również ostatnio intuicje lub wywody uczonych (fizyków np.) na temat „jedyności świata” rozumianej jako stwierdzenie, że świat realny nie jest wariantem zrealizowanym jednego z wielu światów możliwych, ale dosłownie jedynym możliwym, w którym mogły powstać istoty rozumne, a nawet, w wersji „silniejszej”, w ogóle jedynym możliwym? Jak w ogóle można by sobie wyobrazić poprawny dowód takiej tezy? (tj. — co właściwie należy i jak udowodnić?)

### 2. Los cywilizacji i jego odniesienia do „tła kosmicznego”

Czy można pomijać w ogóle owo „tło”, omawiając prawdopodobne warianty losu cywilizacji? Czy kryzys informacyjny rzeczywiście nam zagraża i czy można sobie wyobrazić metody jego przezwyciężenia, polegając na takim zastosowaniu „automatyzacji procesów poznawczych”, które nie spowodowałyby totalnej (duchowej, informacyjnej) alienacji człowieka? Czy nie może być tak, że po uzyskaniu „swobody strategicznej”, ograniczenia cywilizacji z „zewnętrznych” stają się „wewnętrznymi”? To jest, że „młoda” cywilizacja ograniczona jest swą bardzo skąpą wiedzą, natomiast „stara” — rezultatami kolejnych wyborów (tym, że wybrała do urzeczywistnienia, powiedzmy, taki a taki typ struktury społecznej, taką a taką drogę „autoewolucji” itp.). Czy nie oznacza to, iż od pewnego punktu rozwojowego, do którego drogi cywilizacji w Kosmosie byłyby względnie zbieżne („faza embrionalna”), rozpoczynałaby się swoista „radiacja” takich dróg, ponieważ — przy olbrzymiej liczbie alternatyw — rozmaite cywilizacje bynajmniej nie muszą dokonywać, w odnośnych sytuacjach, tożsamyh wyborów? National Academy of Sciences w USA zorganizowała w 61 roku konferencję poświęconą „rozumnemu życiu pozaziemskiemu”, na której padła hipoteza, że trwanie „okresu L” — istnienia cywilizacji — jest albo małe, rzędu 1000 lat, albo bardzo długie, rzędu 100 milionów lat. Dowiedziałem się o tym z „N. York Times”, z recenzji książki popularnej (niefachowca) na ów temat; niestety, wygląda na to, że cyfry, jakie figurują w hipotezie, wzięte są z powietrza, bo skąd by? [Alternatywa zaś bierze się stąd, że albo „pokojowe zjednoczenie, albo samozagłada” (one world or none)].

### 3. Technologia a kwestie „wyboru drogi”, „strategicznego manewru cywilizacyjnego” albo „kulturotwórczego”

O sprawach relacji „etyka a technologia”, „socjologia a technologia” może powiem kilka



słów już po dyskusji, aby nie rozpraszać uwagi i tak już nadmiernie rozstrzelonej przez rozległość tematów. Należą one w każdym razie do tego ustępu. Jak również kwestie takie, czy „oprócz innej technologii” jest jeszcze do pomyślenia jakiś sposób na technologię daną? (tj. czy nie dałoby się diabła wypędzić nie żadnym innym reprezentantem piekieł, ale całkiem skądinąd pochodzącą osobą?) Wchodzą tu i paradoksy, np.: nauka jest zasadniczo predykcją, prognozą, ale nie potrafi postawić prognoz samej sobie, t j. przepowiedzieć własnych stanów przyszłych. Nawet kiedy się inwestuje miliardy w nowe, mamutowe akceleratory cząstek, nie wiadomo nigdy, czy i jak wiele to da „zysku informacyjnego”. Czy nie należałoby prowadzić szerszych badań metanaukowych, o tematyce np. takiej: ile odkryć ważkich lub względnie istotnych wypadło dawniej i wypadło teraz przeciętnie na jednego naukowca w poszczególnych krajach. Jaka jest korelacja z wielką ilością czynników, jak: liczebność populacji (jako baza rekrutacyjna nauki), przeciętny dochód narodowy, kierunki uprzywilejowane badań, przeciętny IQ pracownika naukowego itp. A dalej: jaki jest stosunek wydatkowanej energii na jedno „istotne” odkrycie lub osiągnięcie? O ile się orientuję, wzrost jest w ciągu ostatnich lat horrendalny (tzn. że dziesiątki, a nieraz setki razy więcej „kosztuje” energetycznie, ale też informacyjnie, każdy krok następny). Takich tematów naturalnie jest mnóstwo i główną trudnością (poza brakiem funduszy na badania, o którym nie przystoi nawet mówić podczas dyskusji nad książką fantastyczną) jest ustalenie „jednostki miary” dla porównywania poszczególnych odkryć (które są „istotne”, a które nie?). Zdaje się, że bardzo intuicyjny szacunek jest niestety jedynym wyjściem; może się zresztą myłę.

Można też, wracając do górnego lotu fantazji, rozważać niesłychane kłopoty, przykrości i dylematy sytuacji „quasi-wszechmocy” cywilizacyjnej, w rodzaju takich: skoro maximum satysfakcji człowiek uzyskuje w „dążeniu do celów”, a nie w ich osiągnięciu natychmiastowym (bo taka jest, powiedzmy, jego biopsychiczna „natura”) — to czy należy przekształcać raczej środowisko („odlatwiać” życie zewnętrzne, aby „nadmierny błogostan” nie stał się von Hoernerowskim „gascielem psychozoiku”), czy raczej życie wewnętrzne („technologia świadomości”: biochemiczna hedonizacja „centralna”; środki dające jakościowe zmiany stanów świadomości, w rodzaju „doskonalszych” pochodnych psylocybiny; fantomatyka itd.).

Lecz, mówiąc w ten sposób, bardzo łatwo przejść granicę oddzielającą fantazję naukową, jaką stanowi — w pewnym sensie — *Summa*, od fantastycznej baśni. A może już ją przekroczyłem? Najwyższy więc czas zamilknąć.

## SUMMA TECHNOLOGIAE POSŁOWIE DO DYSKUSJI

Pierwej nim zatrzymam się na kilku poruszonych kwestiach, nie tyle po to, by bronić krytykowanych pomysłów, ile aby pewne sprawy uwyraźnić, chciałbym podziękować redakcji kwartalnika za zorganizowanie tej dyskusji, która była dla mnie tym cenniejsza, z wyjątkiem recenzji p. Kołakowskiego w „Twórczości”, książka nie miała — merytorycznych — żadnych właściwie ocen. Dlatego to, co usłyszałem, było dla mnie szczególnie instruktywne, ponieważ nadało określoną, już od mego stanowiska względnie niezawisłą, hierarchię ważności poszczególnym problemom. Było to tym istotniejsze, że nie jestem — zawodowo — specjalistą w żadnej z poruszanych w książce dyscyplin; więc jeśli w ogóle biolog, metodolog czy filozof gotów jest powiedzieć na temat tego, co przedstawiłem, coś więcej oprócz wyrazów ubolewania, jeśli ustosunkowuje się do moich tez rzeczowo, to takie stanowisko jest dla mnie krzepiące — przede wszystkim ze względu na to, co pragnąłbym robić dalej.

1. Pierwszą kwestią do omówienia jest „gęstość psychozoiczna” Kosmosu. Już po wydaniu książki czytałem nową pracę Hoyle’a, który jest, nawiasem mówiąc, pierwszym dziś może fantastą w nauce, jeśli za kryterium brać częstość, z jaką porzuca swoje hipotezy dawniejsze na rzecz nowych. Chodzi o jego nową teorię planetogenezy. Zadanie, jakie sobie explicite postawił i ukazał w przedmowie, polega na usunięciu z obrazu makroswiata maximum elementów losowych. Budowa naszego układu słonecznego zdaje się przejawiać niejaki regularności, więc np. planety wewnętrzne są raczej małe i ciężkie, a zewnętrzne — raczej duże i lekkie itp. Zachodzące tu związki i stosunki liczbowe (mas, odległości od Słońca) dają się też wyrazić w postaci pewnych fenomenologicznych prawidłowości. Hoyle spróbował przejść do teorii wyjaśniającej, w rozumieniu p. Mejbauma. Według niego, praktycznie żadne „przypadki” podczas powstawania układu nie działały w sensie takim, jakiego obrazem byłby losowy rozrzut odłamków szkła ciśniętej na podłogę szklanki. Z teorii jego wynika bowiem, że ciężkość małych, przysłonecznych planet i lekkość olbrzymów układowych jest rezultatem rozsortowywania materiału, wyrzucanego przez gwiazdę macierzystą na początku planetogenezy. Mówiąc w dużym uproszczeniu, jest z tym niemal jak z rzuconym kamieniem — im cięższy, tym bliżej upadnie. Istnieją więc, według niego, wyraźnie rozgraniczone, i to w sposób konieczny, bo uwarunkowany dynamicznymi prawidłowościami, strefy okołosłoneczne konsolidacji grup poszczególnych pierwiastków w planety. Także poszczególne tory planetarne, w ich ukształtowaniu i odległości odsłonecznej, zostały uwarunkowane względnie jednoznacznie; ma on jeszcze, zdaje się, pewne kłopoty z uczynieniem doskonale regularnymi „prawidłowości satelitarnych”, bo chciałby i tego, aby mu wszystkie księżyce spełniały porządnie, tj. w sposób wynikający z predeterminacji, warunki równań. Jest jednak i w tej mierze pełen nadziei. Jeśliby taka teoria „niezmienniczości” rozsortowywania materiału planetogenicznego, wyrzucanego przez gwiazdę, która traci na jego rzecz moment obrotowy, była prawdziwa, stanowiłaby niezmiernie doniosły argument wspierający kosmiczną pospolitość biogenezy, gdyż zgodnie z nią powstawanie planet ziemopodobnych, z grupą pierwiastków „życiorodnych”, do jakich należą C, H, O, N, S i P, byłoby zjawiskiem typowym dla wszystkich układów, w których warunki wstępne, a więc skład i masa gwiazdy macierzystej z jej obrotowym momentem, byłyby zbliżone do słonecznych. Jeśli więc kryteria ekosferyczne miałyby być spełniane wręcz powszechnie, to, siłą rzeczy, silentium Universi staje się już nie to, że dziwną rzeczą, ale wręcz niepokojącą zagadką. Przyjmując, rzecz jasna, z kolei, powszechność wynikania psychozoików z biozoików.

Krytyka, wyjątkowo przenikliwa, p. Eilstein, adresowana do heurystycznej zasady,

ustalającej, że jeśli zaczynamy badać zjawisko nie znając jego rozkładu statystycznego, to przyjmujemy a priori, że jest ono „typowe”, zwykle, uśrednione, nie dotyczy teorii Hoyle’a, ponieważ jego rozważania bynajmniej nie zakładają wstępnie typowości naszego układu. Próbował po prostu usunąć ile się tylko da „losowości” z obrazu genezy naszego układu, jako przeciwnik hipotezy „loterii kosmicznej”, której kolejnych „rzutów” rezultatami miałyby być poszczególne konfiguracje planetarnych torów i mas w układach gwiazdnych. Pytanie tylko, o ile wolno by jego teorię ekstrapolować na pozasłoneczne układy gwiazdowe; lecz znów nie bardzo wiadomo, dlaczego, tj. jakim prawem taką ekstrapolację kwestionować. W końcu, jakoś „biased” jesteśmy zawsze i chodzi tylko o to, aby ten nasz „bias” minimalizować, jak się tylko da. Hipoteza Hoyle’a wyjaśnia masę rzeczy, jakich dawniejsze nie wyjaśniały, więc p. Mejbauuma powinna by zadowolić, a że posiada i wartość predykatywną (dość polecieć do paru innych układów, aby ją poddać próbie falsyfikacji) i mnie się ona wydaje godna przyjęcia. Lecz stąd tylko jeszcze większe kłopoty z tym, czemu sąsiedzi milczą.

Zdaje się, że tu są potrzebne hipotezy nie tyle cokolwiek tłumaczące, ile „odtłumaczające”, w sensie angielskiego to explain away. Naukowcy bardzo takich sytuacji — i nie bez słuszności — nie lubią. Jeśliby Hoyle miał rację, nasza samotność, przynajmniej w kategoriach biogenezy, t.j. jako istot żywych, wydaje się już całkowicie nieprawdopodobna. Trzeba by się zatem przeprowadzić wraz z całym inwentarzem zastrzeżeń na „wyższe piętro”, tj. kwestionować typowość i pospolitość psychogenezy. P. Krajewski ma niewątpliwie słuszność, mówiąc o owych izolowanych społecznościach, które odkrywa się dzisiaj, a które tkwią w środkowym paleolicie. Zdaje się, że „wczesny błogostan”, czyli zespół warunków, możliwie nie zakłócających homeostazy, jest tak samo groźny dla potencjalnie mogącego powstać „psychozoiku”, jak „błogostan późny”, będący konsekwencją technologii zbyt skwapliwie spełniającej wymagania konstruktorów cywilizacji. Mówiąc po prostu, jeśli nic lub niewiele tylko zakłóca egzystencję, poziom paleolityczny może się okazać barierą nie do przekroczenia. Więc stąd pytania już o powszechność takich czynników i zjawisk, jak lodowacenia planetarne — ale nie mogąc kwestii rozstrzygnąć nawet dla Ziemi, nic sensownego powiedzieć w odniesieniu do innych planet nie możemy. W każdym razie wyglądałoby na to, że w raju małpy po wieczność pozostają małpami, skoro brak czynnika selekcji na większą zapobiegliwość wokół spraw bytowych. Z drugiej strony, w teorii Hoyle’a jest miejsce dla zlodowaceń, ponieważ wynikają, według niego, przy określonych ruchach skorupy planetarnej, kiedy zachodzą przemieszczenia kontynentalnych mas względem osi obrotu; zaznaczam przy tym, że sprawą psychozoików czy biozoików Hoyle się w ogóle nie zajmuje, przynajmniej w obrębie budowania tej swojej nowej teorii, więc nie ma mowy o tym, aby on cały materiał przykrywał mając na oku udowodnienie powszechności warunków typu ziemskiego w Kosmosie. Skoro zaś takie warunki jako typowe wynikają z teorii, aby tak rzec, mimochodem, ubocznie, mamy przed sobą tajemnicę do kwadratu. Mimo wszystko, rozpaczać jeszcze nie musimy i zarówno „umoderowane” stanowisko p. Krajewskiego, jak i nawet to skrajne p. Kurwica, czyli wypowiedanie się już to za rzadkością psychozoiczną, już to wręcz za singularnością galaktyczną, jest jeszcze nie—sprzeczne z całokształtem naszej wiedzy. Zatem wybór zależy w końcu od osobistych predylekcji. Mnie by się nasza unikalność wydawała jednak, tego nie kryję, czymś raczej przeraźliwym, gdyż stanowilibyśmy rodzaj lokalnej aberracji, dziwołagu w niesamowitej skali, i żadne mnożenie liczby Ziemiaków żyjących (jako zabieg, mający niejako „dziwność” naszej egzystencji pomniejszyć — skoro tylu nas...) nic tu w moim odczuwaniu nie zmieni. Jasne atoli, że ten, kto by się kategorycznie upierał przy zwykłości zjawiska, byłby jak ten, kto twierdzi, że skoro dzieci mają z reguły iloraz inteligencji około 100, to żadnych innych dzieci być nie może. A przecież rodzą się zarówno idioci, jak i geniusze. Być może, już małpy, które nas poprzedziły, były, w zestawieniu z kosmiczną „stałą intelektualną”, genialne. Przy stosowaniu normatywnej dyrektywy uśrednienia heurystycznego trzeba być niewątpliwie ostrożnym, a to

znaczy: gotowym w każdej chwili do odwrotu.

2. Stanowiskiem p. Mejbauma, w kwestii „czarnych skrzynek”, jego radykalnością, byłem zdumiony. Wyznaję, że zdumiony bardziej niż zmartwiony, ponieważ gdy tak wiele mi wytknął, znalazłem się w nadzwyczaj dobrym towarzystwie. Przypuścił bowiem p. Mejbaum niemal frontalny atak na współczesną cybernetykę. Gdyby każdego, kto „wierzy” w „czarne skrzynki”, okrzyknąć agnastykiem, nie wiem doprawdy, kto by się od takiego miana uchronił? Ale nie chciałbym dyskutować chowając się za plecy innych, choćby byli na pewno bardziej kompetentni ode mnie i nie potrzebowali, razem z całą cybernetyką, mojej obrony. P. Mejbaum podjął się zadania dziś niewdzięcznego, atakuje bowiem cybernetykę, która jest tak bardzo modna, działa więc chyba w niejkiej samotności, za co go szanuję, bo znam jej niewygody z lat pięćdziesiątych, kiedy to moda była całkiem inna. P. Mejbaum próbuje jednak, obawiam się, nie całkiem poprawnie, ustalać, co jest, a co nie jest cybernetyką, mówiąc, że nie jest nią na przykład taka działalność, kiedy ktoś usiłuje naśladować działanie układu o nie znanej mu strukturze — działaniem innego, tak samo „czarnoskrzynkowego” układu. Jednakże p. Mejbaum powinien zgodzić się, że cybernetyka jest po prostu tym, co robią cybernetycy, a przynajmniej ich olbrzymia większość. Co gorsza — dla stanowiska p. Mejbauma — podejście „czarnoskrzynkowe” przekroczyło już nawet granice cybernetyki sensu stricto, ponieważ właśnie taką strategią do zjawisk mikroświata stosują fizycy, uważając, jak sądzę, słusznie, że tym właśnie sposobem można minimalizować wszelkie presumpcje, wszelkie „mimowiedne aprioryzmy”, nawyki zmysłowo–poglądowo–psychologiczne, od których nie jest całkowicie wolny żaden człowiek. I ciekawe, że również filozofowie marksiści chętnie operują w tej dziedzinie nomenklaturą cybernetyczną (np. Nowik). Minimalizacja presumpcji wynika stąd, że badacz ustalić musi tylko, co jest układem badanym oraz gdzie są jego wejścia i wyjścia (np. przy zderzeniach cząstek elementarnych), ale nic ponadto, w szczególności nie trzeba zakładać, że cząstki są punktowe albo, na odwrót, rozciągłe, i daje to dobre rezultaty. Rezygnacja z metody „czarnoskrzynkowej” nie wydaje się już dzisiaj możliwa, chociaż nie ulega wątpliwości, że metoda ta może być stosowana źle, nadużywana, ale któraż metoda empirii nie daje się stosować w sposób niewłaściwy? W samej zaś cybernetyce panuje zgoda, właściwie totalna, fachowców, że systemów o wielkiej złożoności, takich jak mózg, nie da się zbudować sposobami, jakimi buduje się maszyny proste lub domy, tj. kładąc jedną cegłę po drugiej, łącząc elementy zgodnie z porządnie narysowanym planem czy schematem ideowym. Układ trzeba „podprowadzić” do tego progu komplikacji minimalnej, powyżej którego wykazałby on już „sam” tendencję dalszego rozwoju, tj. samoorganizacji — i tym przecież, że takiej właśnie cechy układy dziś budowane nie wykazują, różnią się one podstawowo od mózgow „wykonanych” przez ewolucję. Gdy się zaś ów próg uda przekroczyć, należałoby gradienty rozwojowe układu poddać pewnym restrykcjom — i tą drogą miałyby się dojść właśnie do całkowicie już „czarnych” skrzynek, które robią to, czego chcemy, chociaż nie wiemy, jak to robią, tj. nie wiemy, co dzieje się w ich wnętrzu. To jest między innymi marzenie Gordona Paska i p. Mejbaum ma słuszność, uważając jego „fungoidyczne” próby (w rodzaju tego homeostatu wymoczkowo–magnetycznego, który zacytowałem) za niepowodzenia (bo, istotnie, to nie jest porządna „czarna skrzynka”). Grzech ten jednak obciąża Paska, a mnie o tyle tylko, że się owym przykładem posłużył po prostu dlatego, ponieważ lepszego nie miałem. In nuce cały problem wygląda, jak mi się zdaje, następująco: jedyną właściwie i główną niewiadomą kryje w sobie parametr czasu. Ewolucja miała do dyspozycji parę miliardów lat i rezultaty znamy, bo jesteśmy nimi. Idzie jednak o to, czy się tu da cokolwiek „przyspieszyć”, bo cybernetyki, która by miała przez tak długi okres powtarzać działania typu „prób i błędów”, na pewno nie będzie. Wiadomo, że można przyspieszyć procesy w skali takiej, szacunkowo, w jakiej maszyna elektronowa posiada „krokowe” tempo elementarnych (bitowych, powiedzmy) operacji szybsze od „naturalnego”. Ale jeśli się dało miliardy skurczyć do tysięcy lat,

pociecha z tego naprawdę niewielka. P. Mejbbaum ma prawo do sceptycyzmu — ponieważ nikt dzisiaj nie wie, jak konkretnie mózg nasz ma „przeskoczyć samego siebie”, budując układ „mądrzejszy”, tj. bardziej złożony, zrezygnowawszy z poprzedzenia budowy — rysowaniem schematów blokowych czy ideowych. W tej ignorancji jesteśmy wszyscy zrównani, ale w nauce obowiązuje implicite zasada „optymizmu jak długo się da”. Na razie zakazów (w sensie praw zakazujących) nikt nie wykrył, i to jedyna jak dotąd pociecha. Psychologicznie zrozumiała jest też postawa uczonych, którzy bardzo nie lubią, kiedy ktoś, w sytuacjach jak powyższa, przychodzi, aby im kategorycznie (ale, na szczęście, gołosłownie) oświadczyć, iż „nic się zrobić nie da”. Cóż im pozostaje dla riposty? Oprócz aforyzmu Einsteina, że „Pan Bóg jest wyrafinowany, ale nie złośliwy”, prawdę mówiąc, nic. Dlaczego właściwie nie mógłby być złośliwy, w tym sensie, że pewne procesy są do powtórzenia tak i tylko tak, jak to zrobiła czy robi Natura, nie wiadomo.

3. Przechodzę do sprawy imitowania mózgu i świadomości. P. Mejbbaum i tu jest bardzo kategoryczny, atakuje bowiem także Turinga za jego „grę w imitację”. Metodologiczne niebezpieczeństwa takiego stanowiska są spore. P. Mejbbaum godzi się na ewentualne przypisanie świadomości maszynie, która jest strukturalnie równoważna mózgowi — ale odmienna od niego pod względem budulca. Kryteria takiego wyboru jednak przemilcza. Czy nie można by postąpić dokładnie na odwrót i czy nie byłoby to wyrazem przeświadczenia tak samo empirycznie niesprawdzalnego? Może mózg o strukturze odmiennej od naszego, np. mózg psa, posiada rudymenty świadomości, ponieważ jest zbudowany z tej samej substancji, co nasz? Jeśli by p. Mejbbaum zgodził się z tym, że psy lub szympanse mają jakiś rodzaj świadomości (szympanse dorównują inteligencją dwuletnim dzieciom, którym się na ogół świadomość przypisuje), musiałby chyba uznać, że struktura ich mózgow jest wybitnie podobna do struktury naszych mózgow — jeśli chce dalej trwać na swym stanowisku. Ale takie poszerzenie klasy „układów obdarzonych świadomością” otwiera już drzwi dla paradoksu łysego w całej jego okazałości: jeśli psy, to inne ssaki, a jeśli nawet mysz, to czemu nie krokodyl itp. P. Mejbbaum uważa, jeśli dobrze rozumiem, że skoro aktor może naśladować pijanego nie będąc pijanym, a więc, tożsame stany wejść i wyjść mogą mieć układy o różnych stanach świadomości, to z tego wynika, że może być i tak: jeden układ (człowiek) jest świadomy, a drugi (maszyna) nieświadomy, tj. świadomości pozbawiony, a jednak stany wyjść i wejść obu mogą być tożsame. Jednakże z przykładu tego wynika tylko, że tożsame stany wejść i wyjść mogą współistnieć z nietożsamymi stanami świadomości, a nie wynika, by jej obecność mogła współistnieć z nieobecnością. Na ogół tożsamość stanów świadomości u różnych ludzi, którzy robią to samo, jest rzadkim wyjątkiem, a nie regułą. Wiadomo, w jak rozmaity sposób, co się tyczy uruchamianych mechanizmów psychicznych, rozmaici ludzie rozwiązują takie samo zadanie. Można by próbować odpowiedzi, że stosują oni różne programy działania w obrębie zasadniczo analogicznej struktury (mózgowej). Ale gdy wziąć z kolei pod lupę problem struktury, sprawy przestają być jednoznaczne. Jak wiadomo, automat uniwersalny Turinga, który jest urządzeniem niesłychanie prostym, może naśladować każdy inny automat dyskretny, a więc — w zasadzie — również i mózg ludzki, byle dostarczyć mu odpowiedniego programu działania. Każdy jednak, z Turingem na czele, przyzna, że tożsame mogą tu być rezultaty działania (mózgu i automatu), ale nie samo działanie i że automat Turinga jest doskonale „apsychiczny”. Zasadniczo możliwe jest jednak zbudowanie urządzeń stojących pomiędzy tymi skrajnościami, jakie przedstawiają „na pewno psychiczny” mózg człowieka i „na pewno apsychiczny” automat Turinga. Wspomniałem o tym w *Summie* i świadczyłoby to, że decyzja przypisania danemu automatowi świadomości zależy w pewnej mierze od nas samych, mając charakter konwencjonalny. To po pierwsze. Po drugie, czynnikiem obserwowalnym empirycznie, który pozwoliłby odróżnić automat Turinga naśladowający mózg (dzięki odpowiedniemu programowi) od mózgu, jest parametr czasu, ponieważ to, co mózg robi stosunkowo szybko, taki automat robiłby nadzwyczaj powoli

(ponieważ jest krokowy i dokonuje naraz jednej tylko operacji, tj. jednego kroku, tak że nawet jego „elektronowa natura” nie pozwoliłaby mu „dogonić” mózgu w takim „wyścigu”). Jednakże na tę sprawę rzucają światło nadzwyczaj ciekawe prace Kołmogorowa i współpracowników, którzy wykryli, że skończony, dyskretny automat może zasadniczo naśladować każdy inny automat, jeżeli ilość elementów jego pamięci równa się *cnlgn*. Modelowanie zachodzi jednak z opóźnieniem rzędu *nlg n* razy. Otóż okazało się, że zasadniczo możliwe jest uruchomienie maszyn liczących (automatów) równoległego działania i że w takim wypadku opóźnienie modelowania już nie zachodzi. Stąd śmiało domniemanie Kołmogorowa, że podświadomość człowieka jest „równoległym automatem” takiego typu i że współdziałając ze świadomością, taki dwuczłonowy agregat decyduje o naszych wielkich stosunkowo możliwościach w twórczej pracy umysłowej, np. w nauce czy w sztuce. Wydaje się to podejście niesłychanie ważne, ponieważ najprawdopodobniej podświadomość, jeśli nie jest, jak chce psychoanaliza, Atlasem świadomości, to jest siłą, która ją podtrzymuje i właściwie stwarza, jest ona niewątpliwie „jakoś” dla funkcjonowania świadomości niezbędna, i nie wolno o niej zapominać biorąc się do imitowania mózgu.

Powstaje tu jednak (to po trzecie) pewien bardzo zasadniczy szkopuł.

Dotąd zarówno biologowie jak cybernetycy zwracali uwagę tylko na neuronową strukturę mózgu. Ostatnio jednak zaczyna się mówić o fundamentalnej dla układu nerwowego roli, jaką pełni w nim tkanka glejowa. Niektórzy odgrzebują nawet powiedzenie starego Schleicha sprzed stu niemal lat, jakoby gleja była „koncertmistrzem”, który gra na „neuronowym instrumencie” mózgu. Szlachetna prostota schematu, w którym występują tylko neurony, jako dość łatwe do naśladowania elementy dwójkowe, ustępuje miejsca obrazowi, z którego niepodobna wprost wyrugować już jego strony biochemicznej, to znaczy materiałowej właśnie. Komórki glejowe nie są bowiem przełącznikami typu „wszystko lub nic”, ale co najmniej energetycznymi „podzespołami pomocniczymi” neuronów. Ponieważ zaś okazało się, że pobudzeniu neuronów towarzyszy zmiana ilości kwasów rybonukleinowych zarówno w nich, jak i w otaczającej je tkance glejowej, nie wiadomo, czy chodzi o czysto „energetyczną asystę” glei względem neuronów, czy też może o nawet bardziej jakoś bezpośredni udział jej elementów w procesach neuralnych, stanowiących substrat psychizmów. Za tymi eksperymentami czai się okropnie bezsensowne, przynajmniej dla pozytywistów, pytanie o to, czy aby świadomość nie „siedzi” po trosze także i w tkance glejowej? A jeśli nie „siedzi”, to w każdym razie tkanka ta jest potrzebna neuronowej nie tylko jako rusztowanie podporowe, jakieśmy się tego dawniej uczyli. Czyżby należało zatem naśladować — w naszych urządzeniach elektronowych — także i gleję? Ale w jaki sposób? Sądzę, że należy pozostawić cybernetyków i biocybernetyków z tą przeraźliwą problematyką. Będą niewątpliwie budowali rozmaite urządzenia i układy, przy czym każdy, kto pragnie ustrzec się przed wejściem w paradoks łysego, winien uznać, że miejsce tu tylko na rozstrzygnięcia umowne, oparte o przyjętą definicję (że taki a taki układ ma lub nie ma świadomości). Nieraz konwersuje się w towarzystwie z osobą, której stany wyjść takie są niedorzeczne, że *last but not least*, przypisujemy jej świadomość tylko dlatego, bo zalecają to normy dobrego wychowania. Więc gdyby reguły jego objęły i maszyny, przypisywalibyśmy im świadomość. Nie jest to tylko żart, w tym sensie, że ostatnim kryterium naprawdę jest praktyka i jeśli pojawi się mrowie rozumnych maszyn, ludzie po prostu dla wygody zaczną mówić o nich tak, jakby one miały świadomość. Utrą się więc językowe nawyki i wtedy już ten, kto by maszynom odmówił świadomości, byłby pewno poczytywany za agnostyka.

4. Z kolei, sprawa „głównego zadania” nauki. Myślę, że jest nim jednak predykcja, ale są i warunki dodatkowe, jakie teoria winna spełniać. Można orzec ogólnie, że umysł nasz wykazuje tendencję do wykrywania jedynej zasady różnych zjawisk, to jest poszukuje on niezmienników o możliwie największym przedziale ważności. Jest to pewnym faktem, dającym się wywieść z całokształtu umysłowej działalności człowieka, szczególnie w

zakresie empirii, ale nie tylko w jej zakresie. Umysł dąży bowiem zawsze do wykrycia ładu; Tikopijczycy wierzą, że istnieją dwa rodzaje lwów: takie, które atakują człowieka, to są zwykłe lwy, i takie, które go nie atakują, to są lwy, w które wcieliły się dusze zmarłych. W ten sposób nieporządne zachowanie się lwów, które raz zjadają człowieka, a raz nie, zostaje sprowadzone do określonego ładu. Tylko że zamiast wykryć związek zjawisk realny, uzupełniają oni rzeczywistość „związkiem” zjawisk jej narzuconym, który się, jako metafizyczny, zweryfikować nie daje. Otóż w empirii istnieje ogólna dyrektywa wcielania szczegółowych teorii „lokalnych” w obręb systemów nadrzędnych. Stąd biorą się wszelkie zapędy unifikacyjne, jedne jak najbardziej na czasie, jak próby wykrycia niezmiennika wspólnego dla mikro- i makrozjawisk, inne zaś przedwczesne — ich żałosne rezultaty ukazał Neurath, kiedy pisał o „sfizykalizowanej” socjologii w *Encyclopaedia of Unified Science*.

P. Mejsbaum uważa, że teoria naukowa winna wyjaśniać, a jeśli, jak fenomenologiczna, tego nie czyni, naukowcy odczuwają niedosyt i nie ustają w wysiłkach, póki struktury fenomenologicznej nie przerobią na wyjaśniającą. Uważa on, że rozkład promieniowania ciała doskonale czarnego można oszacować nie korzystając z żadnej teorii. Nie korzystając z żadnej teorii nie można, jak myślę, przeżyć nawet tygodnia, wcale nie zajmując się nauką. Teorię bowiem rozumiem jako rezultat indukcyjnego uogólnienia, przynajmniej *prima facie*, w jej postaci embrionalnej, więc mnóstwo teorii praktykuje się *implicite*, np. wierząc, że po pewnych stanach zawsze nadchodzą inne stany, a zatem, że należy jeść, pić, chodzić, gdy coś boli, do lekarza itp. Jeśli p. Mejsbaum uważa, że kto wierzy w bakterie, winien wierzyć w wirusy, a kto wierzy w wirusy, winien wierzyć w atomy aż po dziwność cząstek i przeciwnoległość fotonów, powinien, przez proste dążenie do konsekwencji, zgodzić się z tym, że kto wierzy w teorie abstrakcyjnie sformalizowane, wierzy i w teorie mające postać modeli związków zjawisk, zbudowane z elementów języka bardziej potocznego, a kto wierzy w takie teorie, powinien wierzyć w jeszcze potoczniejsze, właśnie aż do jedzenia, picia i wizytowania lekarzy, ponieważ zasadnicza struktura formalna wszystkich takich konstruktów jest tożsama, o typie „jeżeli... to”. Właśnie ten, kto sądzi, że życie zwyczajne sobie, a nauka sobie, że jedno z drugim niewiele albo nic nie ma wspólnego, grzeszy przeciwko materializmowi. To neopozytywiści wymyślili tak zwane „fakty elementarne”, w rodzaju odczytań stanu narzędzi pomiarowych, i uznali, że w ten sposób należy odbudować, to jest z takich „elementarnych faktów” odtworzyć całą naukę, aby wypędzić z niej brzydką metafizykę. Jest to stwierdzenie po prostu niezgodne z rzeczywistością, ponieważ żadnych faktów elementarnych nie ma. Jeszcze przed wojną Wundheiler-Kojrański u nas wykazywał kołowy charakter definicji fizykalnych. Jak wszędzie, i w metodologii niezbędny jest umiar, gdyż tendencja dochodzenia do „rzeczy pierwszych” mści się, wyprowadzając aż tak zachłannego na bezdroża.

P. Mejsbaum pisywał w swych pracach rzeczy dziwnie podobne do tego, co tu mówię. Np., że uogólnienia mają płynne przejścia od potocznych do wysoce abstrakcyjnych. Powtórzyłem więc to za nim, przeciwko niemu, ponieważ przytoczonym — dla celów predykcji — szacunkom pomiaru promieniowania odmówił znamienia teoretyczności. O tym, że teorii fenomenologicznej od wyjaśniającej nie dzielą żadne wyraźne granice, świadczy bezlik przykładów. Np. teorię związków dyspersyjnych wielu fizyków ma już za „porządną”, tj. wyjaśniającą, a inni, jak Tamm, za fenomenologiczną. Na czym właściwie polega wyjaśnianie? Na wcielaniu danej teorii w gmach teoretyczny całej nauki albo — jej adekwatnej gałęzi. Ale to wcielanie nie stanowi rezultatu zawsze takiej samej operacji. Ta sama teoria może być w odniesieniu do jednych zjawisk fenomenologiczna, a w odniesieniu do innych — wyjaśniająca. Np. teoria Newtona wyjaśnia prawa Keplera, które mają charakter fenomenologiczny, bo określają zachowanie się planet, ale nie wyjawiają, czemu planety tak się właśnie poruszają. Z kolei sama teoria Newtona, w zestawieniu z teorią względności, okazuje się fenomenologiczna, ponieważ nie wyjaśnia właściwości przestrzeni grawitacyjnej,

a tylko przyjmuje je, jako dane, natomiast Einsteinowska uzależnia metrykę przestrzeni od obecności mas ciężących. Tak więc stara teoria, wcielona w obręb nowej, „demaskuje się” (ale dopiero wtedy) jako fenomenologiczna. Dopóki to nie nastąpi, zdania fachowców mogą być — i są w tej mierze — różne. Czym kierują się — w takich sytuacjach — fachowcy? Bardzo często o ich stanowisku przesądzają czynniki natury psychologicznej. Tak np. Einstein miał mechanikę kwantową za teorię fenomenologiczną, odmawiał zgody na ultymatywny charakter statystyczny mikrozwisisk („Pan Bóg nie może grać ze światem w kości”). Obecnie ta sytuacja powtarza się w kwestii takich procesów, jak dyspersja cząstek elementarnych: obowiązuje podejście, które niektórzy nazywają „cybernetycznym”, „czarnoskrzynkowym”, ponieważ Heisenbergowska macierz  $S$  nie jest niczym innym, jak właśnie „czarną skrzynką” z wejściem i wyjściem. Na wejściu mamy cząstki przed kolizją, na wyjściu — po kolizji, a to, co się dzieje podczas samego zderzenia, znajduje się „wewnątrz czarnej skrzynki” i nic o tym nie wiadomo. Prima facie mamy więc teorię fenomenologiczną. Mamy przed sobą „czarną skrzynkę” i rzeczą przyszłej teorii będzie „zajrzeć jej do środka”. Sprawa nie jest jednak tak prosta. Jeśli mamy do czynienia z makroobiektami, jak np. Hoyle w swej teorii planetogenezy, o której wspominałem, ustalenie, co właściwie jest układem badanym, jest względnie łatwe. W mikrofizyce ustalenia takie są, a przynajmniej mogą być daleko trudniejsze i można sobie wyobrazić przemianowanie wszystkich występujących w teorii „bytów” tak radykalne, że macierz Heisenberga w ogóle zniknie (tj. nie będzie jej wcale w nowej teorii), a tym samym zniknie i owa „czarna skrzynka”, do której środka chcieliśmy się dostać. Podobną „czarną skrzynką”, której wnętrza nikt już nie próbuje nawet badać, jest eter. Jest bowiem zupełnie możliwe, że zadajemy pytania, na które nie ma odpowiedzi — nie dlatego, że teoria jest fenomenologiczna, ale dlatego, że rzeczywistość jest inna, niż to sobie wyobrażamy. Jeśli ktoś chce koniecznie dowiedzieć się, jakie są rozmiary elektronu, i to z „absolutną dokładnością”, czego relacja nieoznaczoności zasadniczo nie zabrania przecież, będzie miotał obelgi na wszystkie teorie współczesne, nazywając je fenomenologicznymi, a tymczasem wcale nie wiadomo, czy w ogóle można mówić o absolutnie dokładnym ustaleniu rozmiarów elektronu. Prawdopodobnie samotny elektron, podstawiający boki do mierzenia, jest tak samo niemożliwy jak perpetuum mobile. A zatem, może być i tak, że teoria „sama w sobie” wcale fenomenologiczna nie jest, a jedynie nam się to, na skutek określonych psychologicznych nawyków, wydaje.

Niemniej pewne teorie, już przestarzałe, wyjawily swa fenomenologiczna naturę w sposób jednoznaczny. Na czym ona polega? Teoria taka jest informacyjną „wysepką”, wskazuje niezmiennik pewnej klasy zjawisk, ale nic ponadto, to jest, nie umiemy przejść z tego miejsca donikąd — przyłączyć go do rozległego ładu teorii już scalonych. Dopiero kiedy się uda przyłączyć teorię do tego ładu nauki dzięki transformacji przemianowującej albo dzięki wprowadzeniu nowych „bytów” (w Ockhamowskim rozumieniu), możemy ją uznać za wyjaśniającą. Chodzi więc po prostu o to, aby możliwe było krążenie informacji po wszystkich teoretycznych labiryntach gmachu nauki, abyśmy mogli np. jeden rodzaj energii zamieniać na drugi, przechodzić od ujęć singularnych do pluralnych, od mikro- do makromechaniki, bez dokonywania matematyką akrobatycznych sztuczek, o których wiemy, że nie służą do opanowywania rzeczywistości, lecz tylko do opanowania wybryków teorii, z której wynikają nieprzyzwoitości, w rodzaju nieskończonego elektronu. I dopiero kiedy możliwe staje się takie krążenie, tak że możemy do przyłączonej Nowej Ziemi stosować uświęcone prawa zachowania, jesteśmy usatysfakcjonowani. O tym, jakie są konsekwencje wcielania teorii do gmachu teoretycznego nauki, pięknie świadczy historia rozgrywająca się obecnie. Val Fitch i J. W. Cronin stwierdzili w roku ubiegłym, że neutralny mezon  $K_2^0$  niekiedy rozpada się na dwa mezony  $\Pi$ , zamiast na trzy mezony  $\Pi$ , czego wymaga zasada zachowania kombinowanej parzystości. Otóż pogodzić z sobą tę zasadę oraz taki typ rozpadu



mezonu  $K_2^0$  można albo poprzez zrezygnowanie z zasady odwracalności upływu czasu (bo dla wszystkich znanych przejawów działania sił — jądrowych, elektromagnetycznych, oddziaływań słabych i grawitacji, czas „nie posiada strzałki”, więc zasadniczo jest odwracalny), albo przez postulowanie istnienia nowego rodzaju siły. Siła ta wywoływałaby właśnie taki rozpad mezonu  $K_2^0$ , jaki zaobserwowano. Chodziło zatem o to, czy poświęcić jedną ze starych zasad zachowania, czy też wprowadzić nowy „byt” (w sensie Ockhamowskim). Większość fizyków decyduje się na wprowadzenie tego nowego „bytu”, nowej, piątej z kolei, siły, która byłaby najsłabszą ze znanych (słabszą od grawitacji). Siła ta miałaby dwa znaki, jeden dla materii, drugi — dla antymaterii. Na przykładzie tym widać, w jakich okolicznościach oraz w jaki sposób wprowadza się pojęcie nowej „siły” w obręb teorii fizycznych. „Siłą” w takim rozumieniu jest czynnik sprawiający, iż pewne zjawisko zachodzi inaczej, aniżeli tego oczekiwano — na gruncie przyjętych już i uświęconych zasad zachowania.

Rzecz można też wyrazić tak oto. Teorie są niezmiennikami pewnych klas zjawisk, reprezentowanymi przez związki „bytów” takich, jak „dobór naturalny” z „mutacjami” albo „kwantów” z „promieniowaniem”. Otóż nie jest aż tak, żeby niezmienniki z kolei tworzyły klasę mającą swój, wyższego rzędu, niezmiennik i tak ad infinitum aż do „kulminacji gnostycznej” albo „ultymatywnej formuły Kosmosu”. Tak prymitywnie się Einsteinowski Pan Bóg do rzeczy nie brał. Niemniej niezmienniki te stoją w stosunkach do siebie wcale określonych, przy czym staramy się te ich relacje ujednoznaczniać, i to właśnie jest wcieleniem nowej teorii do gmachu już istniejących. Pytanie o „byt obiektywny” niezmienników można interpretować rozmaicie. Tak np.: „Czy każdy, kto stosuje takie a takie badania empiryczne, oraz takie a takie heurystyczne hipotezy, odkryje istnienie kwantów?” Nic łatwiejszego, jak przeprowadzić to pytanie w czystą tautologię („Czy każdy, kto wkłada jabłko do szuflady, znajdzie je w niej, gdy ją wysunie?”) Chodzi o to, czy rzeczywistość obiektywna uprzywilejowuje pewne hipotezy heurystyczne, czy też można do niej dopasowywać najrozmaitsze? Otóż, niewątpliwie wtedy uprzywilejowuje, gdy, rozpoczynając działania teoretyzujące, już się cośkolwiek wie, a przecież uczony wie nie cośkolwiek, ale całą masę rzeczy (w tym sensie, że jego zapleczem jest gmach zbudowanej już nauki). A gdy się nic nie wie, wtedy w ogóle nie można teoretyzować. Ale to wygląda na unik. Pytajmy twardo: „Czy formuła  $E = mc^2$  jest stwierdzeniem związku zjawisk obiektywnego?” Otóż tak, ale na gruncie pewnego rodzaju fizyki. Obrazowo: coś jest w szufladzie na pewno. Jeśli otworzymy szufladę kluczem A, znajdziemy jabłko, jeśli kluczem B, gruszkę, jeśli C — ananas. I jeśli spytamy o to, jakie będą praktyczne, empiryczne konsekwencje „otwarcia szuflady dowolnym z kluczy, które do zamka pasują”, odpowiedź zabrzmi: „jako «pożywienie» dla działań empirycznych, każdy ze znalezionych w szufladzie «owoców» będzie miał wartość (informacyjnie) tym bardziej do innych zbliżoną, im bardziej były do siebie podobne klucze”. Więc znów subiektywizm? Nie, ponieważ to są wciąż obrazy cząstkowe. Rezultaty empiryczne dwu fizyk są tym do siebie podobniejsze, im dłużej się te fizyki rozwijały, tj. im szersze są przedziały ważności ich teorii. Wtedy można już mówić o aproksymacji fizyk, które „z różnych stron” (pozycji wyjściowych) podchodzą do jednego i tego samego świata. Ale tym mniej podobne będą do siebie te fizyki, im mniejsze z sobą porównywać ich „kawalki teoretyczne”.

W jaki sposób poznajemy nową dzielnicę miasta, w którym nie byliśmy od lat, tak że wyrosła podczas naszej nieobecności? Na etapie fenomenologicznym powiadają nam: „proszę wsiąść do autobusu numer taki a taki i liczyć sobie przystanki «raz, dwa, trzy» aż do osiemnastu — wtedy pan wysiadzie, i to już będzie Rynek”. Ale my chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób dostać się można do tego Rynku z rozmaitych stron, okólnie albo skrótami, na przełaj, i dlaczego w nowej dzielnicy daje się czuć zapach wody, i czemu wiatry wieją raczej

z zachodu etc. Zaczynamy wędrówki, aż poznajemy topologię dzielnicy i jej połączeń możliwych (ulic) ze znanym poprzednio miastem, orientujemy się, że leży ona nad brzegiem skądinąd znanej nam rzeki, stąd ta woda itp. A więc, jeśli wiedzę izolowaną można wcielić w gmach konstrukcji wypróbowanej albo, żeby być „modnym”, jeśli można dokonać odpowiedniego sprzężenia „wyjść” i „wejść” nowej teorii z całokształtem przyjętych, uzyskaliśmy „wyjaśnienie”. Oczywiście gdyby ktoś chciał koniecznie, można przystać na to, że skoro nawet z zawiązanymi oczami trafia z Bielan na plac Konstytucji, poznał „istotę” (topologiczną) Warszawy. Nie wiem jednak, czym się takie stwierdzenie różni od stwierdzenia, że on po prostu doskonale się w Warszawie orientuje. P. Mejbbaum pyta, „dlaczego nie przyjąć po prostu, że mezony są właśnie takie, jak to zakłada współczesna nauka, a dziwność cząstek jest wielkością równie realną, jak masa czy temperatura?” Otóż z tą temperaturą... Wyobrażam sobie minę mego profesora fizyki, gdyby wstał dziś z grobu; oczywiście jego pierwsze pytanie dotyczyłoby właśnie fizyki; pytałby, jak tam z grawitacją, z temperaturą? „Więc, oczywiście, temperatura — odpowiedziałbym — owszem, w zasadzie nic się nie zmieniło... tylko istnieją teraz temperatury niższe od absolutnego zera, i są to temperatury nadzwyczaj wysokie; przechodzi się do nich przez nieskończoność”. Obawiam się, że mój profesor byłby jednym z bardziej wstrząśniętych ludzi na świecie. Coś się w pojęciu zmieniło, mianowicie jego znaczenie, w sensie operacyjnego zasięgu. A więc czy tylko o to chodzi, aby ustalić, że nie zmieniają się nazwy, jako „puste skóry”, które wypełnia coraz to nowa treść? Zrównując pod względem egzystencjalnym bakterie z mezonami, p. Mejbbaum ułatwił mi zadanie. Jak wiadomo, istnieją też mezony wirtualne, które z punktu widzenia fizyka są takimi samymi uczciwymi cząstkami, jak zwykle mezony, a odznaczają się tym, że ich nikt nigdy nie zobaczy, z tego prostego i całkiem wystarczającego powodu, że one naruszają prawo zachowania (energii), ale robią to tak szybko, że go nie naruszają. Te interesujące cząstki, które zostały wprowadzone jako nieobserwowalne właśnie, bardzo pomogły teorii, która zyskała moc predykcji w niezgorszym zakresie. Ustalanie różnicy pomiędzy wymianą takich cząstek a wymianą duszy zmarłego między dwoma lwami jest niezłym zadaniem na seminarium z epistemologii. Obie teorie „wyjaśniają”, ale tylko pierwsza ma moc predykcji. Druga pozwala tylko na wytłumaczenie ex post, i dlatego teorią empiryczną nie jest. Dziś wierzy się w wirtualność, choć nie wiem, co to oznacza, poza zgodą na wykonywanie pewnych operacji na papierze, ołówkiem, i w bewatronie, narzędziami. Jest jeszcze taka nadwyżka, że teorię można jako tako sprzęgać z innymi. Dajmy na to, że dzięki wprowadzeniu wirtualności można będzie budować kwantoloty. Te wspaniałe statki będą miały być jak najbardziej obiektywne, ale czy z niego wyniknie analogiczna obiektywność cząstek wirtualnych? Czy istniał kiedykolwiek atom Rutherforda–Bohra z jądrem–słoneczkiem i planetami–elektronami? A przecież, gdybyśmy rozmawiali czterdzieści parę lat temu, p. Mejbbaum żądałby twardo, abym uwierzył w jego „obiektywność”. Dlaczego wolno postulować obiektywność bytów fizyki dzisiejszej, a wczorajszej nie wolno? Czym jedna fizyka różni się od drugiej? P. Mejbbaum uważa, że konstruktor jest zmęczony „permanentną rewolucją” panującą w fizyce i „relaksuje” w subiektywizmie filozoficznym. Domyślam się, że p. Mejbbaum liczy na koniec rewolucji, po którym przyjdzie ustalenie, już porządne, takich naprawdę obiektywnych bytów mikrofizycznych. Tak zachowuje się mąż niewiernej żony, który bierze jej przygody za „stan wyjątkowy” i nie może się doczekać powrotu „wierności jako normy”. A może odtąd normą będzie „niewierność”? Od trzydziestu lat słyszy się, że „już, już” powstanie teoria, która dla mikrofizyki będzie tym, czym dla chemii układ Mendelejewa, ale jakoś jej nie widać. Rewolucja jest głębsza, niż się może to wydać. Rozwodzę się na tym, ponieważ chciałbym być dobrze zrozumiany. Bynajmniej nie jestem „schadenfreudystą” i nie mam się za agnostyka. Wolałbym, prywatnie, aby jednak dało się dokonać takiego porządnego zintegrowania fizyki, o jakim fachowcy marzą od tak dawna. Niemniej sytuacja jest następująca: jeśli zmiany kolejno używanych teorii są powolne,

powiedzmy, w skali czasowej mniej więcej równe długości życia czy raczej aktywności poszczególnego pokolenia fizyków, tezy o istnieniu „obiektywnym” — więc najzupełniej tożsamym z istnieniem np. słoni — desygnatów rozmaitych pojęć operacyjnych, wyglądają wielce prawdopodobnie. Zresztą to jest także i wygodne. Trudno mówić stale „ów kompleks zmiennych sprzężonych, plus hipoteza kolegów Iksa i Ypsylona, zwany grawitonem, zachowuje się tak a tak”. Wygodniej daleko mówić po prostu „grawiton”. Gdy jednak tempo zmian wzrasta i gdy zachodzi sytuacja współlistnienia teorii, z których każda przewiduje zjawiska nie tylko w pewnym przedziale parametrów, ale i ze względu na pewne tylko tego zjawiska aspekty (sytuacja komplementarności), i gdy taki stan trwa bardzo długo, to właśnie materialista, który domaga się bezwzględnie „bytów obiektywnych raz na zawsze”, wpadnie w rozpacz, a nie tak zwany „agnostyk”, który będzie go pocieszał, mówiąc: „popatrz, wprawdzie nie wiemy, czy nowe «superony» istnieją «obiektywnie», ale dzięki ich wprowadzeniu udało się uruchomić reaktory wodorowo–helowe i mamy elektryczność za darmo”. Albowiem wczorajsze „wyjaśnienia” są dzisiejszą nieprawdą. Natomiast wczorajsze niedokładne predykcje, wczorajszej teorii, są dalej predykcjami, i dalej niedokładnymi, z tym, że mamy nowszą teorię, która dokładniej przewiduje.

Aby zamknąć wreszcie kontrowersję między materializmem a agnostycyzmem, pragnąłbym powiedzieć, co następuje. Materialista powinien przystać na to, że człowiek nie został stworzony z takim rozmysłem, aby mógł poznać absolutnie wszystko, ale że powstał wskutek naturalnego doboru na optymalne przystosowanie w obrębie grupy parametrów względnie mało liczebnej, wśród których czynnika selekcji (ze trzysta tysięcy lat temu) na „badanie istoty mezonów” nie było. Po czym okazało się, że nadmiarowość mózgu jako przetwornika informacji, niezbędnego dla uporania się z sytuacjami typu „malowanie scen polowania na mamuty”, jest już wystarczająca dla zbudowania cywilizacji z raketami kosmicznymi włącznie. Co jest oczywiście bardzo pocieszające, ale z czego nadal nie wynika, aby człowiek mógł na pewno poznać wszystkie rodzaje możliwych porządków, jakie tylko są do wyróżnienia w Kosmosie. Wyraziłem w książce sąd, że człowiek będzie musiał zbudować między sobą a Naturą szereg „wzmacniaczy inteligencji”, aby tak podźwignąć nimi zadania, którym jego intelekt nie może poddać, jak podnośnikiem dźwiga ciężary, którym nie mogą poddać jego mięśnie. W tym, i tylko w tym, sensie możemy liczyć na to, że poznamy „wszystko” i wydaje mi się, że jak na agnostyka, przejawiałem w ten sposób poznawczy optymizm wręcz otchłanny. Jednakże, rzecz dziwna, materialisty i to jeszcze nie zadowala! Uważa on, że człowiek winien ponadto wszystko zrozumieć, w sensie zyskania „wyjaśnień”, w sensie „pojęcia istoty zjawisk” takich, które będą opanowane dopiero w całej swej złożoności gargantuicznej przez wzmacniacz „n-tego stopnia”, może wielki jak Księżyc\*. Otóż, może dla samego wysłuchania teorii, stworzonej przez ów wzmacniacz, trzeba by pięćdziesięciu lat? Materialista jest pewien, jak widać, że każdą teorię, w każdym czasie, da się zredukować do postaci na tyle prostej, aby człowiek mógł ją „zrozumieć”, w sensie „wyjaśnienia” „istoty” określonych zjawisk. Redukowalność taka jest jednak postulatem badawczym, a nie dogmatem wiary. Pytałem nieraz ludzi, mających się za materialistów, skąd ta ich pewność, że człowiek zawsze będzie mógł wszystko opanować umysłowo „sam”? Mówili coś o materii, z której zbudowany jest nasz mózg, takiej samej jak ta, którą on bada, ale mózg kury jest też z tej samej materii. Mnie się wydaje, że pomiędzy sformułowaniami „redukujmy, póki się da!” a „zawsze będzie można na pewno zredukować” jest taka sama różnica, jak pomiędzy postawą uczonego–empiryka a fideisty. Materializm tak bezpodstawnie

---

\* Można by zgodzić się, że teorie „wyjaśniające” w sensie „dawania modelu, przeżywalnego w akcie jakiegoś naocznościowego «insight»”, możliwe są w zjawiskach skali od nadmolekularnej do przygalaktycznej, a „niżej” (mikrofizyka) i „wyżej” (kosmologia) już nie. I byłoby to, niejednakowo na rozkładzie rozprowadzone, „widmo” semantycznej nadwyżki, ustające powyżej i poniżej „przedziału naoczności” w sposób stopniowy. Co dla jednego byłoby już związkiem „nieprzeżywalnym” w akcie „naocznościowym”, dla drugiego mogłoby jeszcze być (śladowo może) takim przeżyciem. Ale to rozdział psychologii, a nie fizyki.

„optymistyczny poznawczo” pachnie też mocno antropocentryzmem. A nie po to straciło się z piedestału Boga, aby postawić na nim człowieka i jeszcze obdarzyć go analogicznymi do poprzednika atrybutami. Przedstawionego konkretnie w Summie obrazu „hodowli informacji” bronić nie myślę. Fascynująca wydała mi się po prostu idea naśladowania działalności ewolucji jako wielkiego układu, który całkowicie „bezmyślnie” zbiera informację, selekcjonuje ze względu na użyteczność, przetwarza ją, zapamiętuje i przekazuje. Reszta jest bredzeniem może, niewartym nawet ciosu miłosierdzia — jeśli w ogóle czegoś, to rozważania, czy całego tego konceptu nie dałoby się przerobić na wersję rozsądniejszą.

Dodam, że, o ile słyszałem, Ashby ostatnio oszczędził od koncepcji wzmacniacza inteligencji w jego wersji „silnej”, która polegała na tezie, że „wszystkim jest selekcja”, natomiast same „pomysły” są niczym, skoro można je na hektary produkować byle generatorem szumów. Może dlatego, że szanuję Ashby’ego, nie chciałem w książce krytykować tego rozwiązania spekulatywnego, ale wydawało mi się, że trudność podstawowa została nie tyle usunięta, co przesunięta „o jedno miejsce dalej”. Czy, mianowicie, w środku tego wzmacniacza nie siedzi jakiś demon, kuzyn Maxwellowskiego, to znaczy, czy nie jest tak, że cały trud „kreacji teorii” przerzuca się z „generatora pomysłów” na ich selektor? Bo jeśli generator nie musi być „mądry”, to z kolei niezmiernie mądry musi być ten drugi — a sprawa ani o włos nie rusza przez to z miejsca.

Co do kryzysu matematyki, to tutaj p. Mejbbaum, zresztą z mojej winy, niewłaściwie mnie zrozumiał. Nie o to mi szło nawet, że pewnym zjawiskom matematyka nie podoła w ogóle — tj. wszelka matematyka — ile o to, aby matematykę pojmowaną jako system operacji formalnych zastąpić „matematyką naturalną” mózdzka żaby czy po prostu atomu — temu właśnie miała m. in. służyć „hodowla informacji”. Pomysł ten w formie żartu można znaleźć u Infelda, opowiadającego, jak to, gdy się raz obaj biedzili przy całkowaniu z Einsteinem, ów powiedział: „Pan Bóg nie ma naszych kłopotów — on całkuje empirycznie!” Być może, idea takiego „empirycznego całkowania” nie da się nigdy urzeczywistnić, ale jest kusząca, i to bardziej niż perpetuum mobile, ponieważ nie zakazują jej żadne prawa fizyczne.

Aby zamknąć ten ustęp: obawiam się, że totalne fiasko wszelkich prób „wzmocnienia inteligencji” czy „zautomatyzowania informacyjnych transformacji” na poziomie kreatywnym (w sensie kreowania indukcyjnego nowych teorii) wyjaśniłoby w sposób wielce drastyczny fascynujące nas obecnie silentium Universi. Okaże się bowiem, że na przeszkodzie stoi w pewnym miejscu drogi rozwojowej — bariera intelektualna. Jakaś bariera nie do przebicia na naszej drodze wcale by mnie nie zdziwiła. Po kolei okazało się co prawda, że starczyło zapasów energetycznych, by przejść od węgla do atomu, że, wymodelowany warunkami ziemskimi, ludzki organizm może sprostać nie tylko warunkom kosmicznej przestrzeni, ale i przeciążeniom, nieuchronnym podczas przewycięzania grawitacji, czy można jednak uznać takie fakty za coś innego od szczęśliwego zbiegu okoliczności? Alternatywą jest wszak jedynie hipoteza jakiejś Wyższej Przychylności!

5. Wstyd mi doprawdy, że tak niewiele mam do powiedzenia wobec wypowiedzi p. Eilstein, która moje rozmaite intuicje i pojęciowe zbitki wyprowadziła na czystą wodę. Już sam fakt, że moja książka mogła się okazać ostrogą do tak precyzyjnego myślenia, sprawił mi wielką satysfakcję. Zauważę, że „ontologia tautologiczna” była żartem, gdyż i ja doszedłem do tego, iż dla badania starej zelówki, aby z niej wyekstrahować wiedzę wszelaką, rychło okazałyby się niezbędne bewatrony, gigatrony i kosmotrony, nadto zawsze zachodzi relacja dwuczłonowa (zelówka samej siebie nie pozna nigdy, to pewne, a choć to pewnik trywialny, miło pomyśleć, że i takie istnieją, na które zachodzi zgoda prawdziwie powszechna), a więc, oprócz zelówki, mamy jeszcze mózgowy, „drugi kawałek” materii, a gdy go mamy, implicite mamy już całą cywilizację, która przedprogramowała swych uczonych... Dlatego nie próbowałem kwestii tej rozwijać. Z kolei problem „uwięzienia w raju”. P. Eilstein przypuszcza, że dlatego w moich utworach czysto literackich przemilczałem obraz Ziemi i

przeniosłem grupy eksploratorów tam, gdzie w sytuacjach konfliktowych mogłyby przejawiać odwieczne ludzkie cnoty poświęcenia, heroizmu itp. — ponieważ na Ziemi w owym czasie już jest „zbyt dobrze”, to znaczy, że nastąpiło totalne, a nawet nadmiarowe, zaspokojenie potrzeb ludzkich, likwidujące zarazem wszelkie właściwie wymagania, jakie stawia jednostce zbiorowość i powodujące kompletny marazm; gdy wszystko można mieć, więc wszystko jest „za łatwe”, a taki brak kierunkowych napięć motywacyjnych, jakie kształtują i urabiają charakter jednostki przejawiać się może jedynie w zaniku wszelkich w ogóle dążeń. Jednym słowem, doskonała homeostaza, doskonała stabilizacja jest całkowitą stagnacją. Otóż ten problem ma dwa aspekty, literacki, tj. artystyczny, i empiryczny. Wiadomo, że sytuacje pozbawione wyraźnej struktury dynamicznej, a mające — pod względem „przeżyciowym” — charakter pewnych „stanów” po prostu (np. stanu ekstazy), nie są literacko „fotogeniczne”. Wyobraźmy sobie jakąś zbiorowość, która zyskała, w oglądzie całościowym, charakter doskonałego mechanizmu, wszystko tam idzie jak w zegarku i, mniejsza o to w jaki sposób, wszyscy tam są najzupełniej „szczęśliwi”. Przy tym panuje całkowite uśrednienie, w sensie takim, że „tor dynamiczny” każdej jednostki jest reprezentatywny dla „toru” zbiorowości jako układu. Otóż literatura nie jest tam możliwa, przynajmniej taka, jaką znamy i możemy sobie wyobrazić, ponieważ każdy utwór przynosiłby zero informacji (skoro wszyscy przeżywają dokładnie to samo, i to w dokładnie tożsamy sytuacjach). Więc gdyby nawet, powtarzam, „felicytometr”, przyłożony do planety, wykazał jakąś kulminację wszechradości i wszechchrozozy, dla literatury nie ma tam po prostu pola do działania. Jest to pewna skrajność najzupełniej nieprawdopodobna, ale chodziło mi tylko o przedstawienie tego, że się konstatacja: „literatura nie jest tu możliwa” wcale nie musi pokrywać z konstatacją „ludziom jest tu bardzo źle, bo jest im za dobrze”. Teraz aspekt „predykcyjny” czy też po prostu przedmiotowy. Chodzi o „komplikatorkę bytu”, postulowaną jako antidotum na „zbytnie wszechułatwienie” życia. Mam wrażenie, że każda zbiorowość, wchodząca w stan „nadmiarowego zaspokajania potrzeb”, zupełnie „odruchowo” broni się przed „urawniówką” i zaczyna sobie wytwarzać rozmaite rytuały, zabiegi, ceremonie „komplikujące byt” w taki sposób, że grupa jednostek zrazu jednorodna ulega rozwarstwieniu i ustrukturuowaniu. Zachodzi to zaś wyraźnie wtedy, gdy mamy sytuację wyobcowania z procesów jakoś czyniących człowieka odpowiedzialnym przed zbiorowością, np. za efekty pracy. Modelem mógłby tu być nieomal każdy wielki dwór z rozmaitych epok historycznych. Potrzeby materialne dworaków zaspokajane są „nadmiarowo”, nic, w sensie jakoś „produktywnym”, wielmoże ci nie robią, głównym zajęciem są intrygi, wkupywanie się w łaskę pańską, i może to mieć charakter całkowicie „irracjonalny” w takim sensie, że z tej łaski nawet realnie nie da się skorzystać, że to są jakieś tytuły, do niczego nie uprawniające, jakieś nawet całkiem fikcyjne miana etc. Zachodzą przy tym działania „dodatnie” i „ujemne” (wywyższanie się lub spychanie w dół innych, na skali przyjętych grupowo wartości). Dana grupa ma przy tym własne układy odniesienia (pozycja majątkowa, genealogiczna, erotyczna), zaś indywidualna ważkość przeżyć jest bezwzględna psychologicznie, a względna przy porównaniu różnych grup (ich układów) ze sobą (można wpaść w rozpacz i nawet popełnić samobójstwo, bo się wydało osobę najbliższą w ręce kata albo nie dostało się zaproszenia na bal). Otóż wygląda na to, że jest jakiś elementarny układ odniesienia, pod postacią „konfiguracyjnej” czy „fazowej” przestrzeni zaspokajania potrzeb elementarnych (fizjologicznych) i są nadto, już warunkowane funkcyjnie sytuacjami grupowymi, układy „pochodne”, niejako „równoległe”, wyżej i wyżej od tego „zera egzystencjalnego”: jeść trzeba koniecznie i tym się nikt nie pochwali, ale jeść homary, to bardziej „wywyższa”, niż jeść pierogi itp. Można by to wyrazić też i tak: człowiek posiada pewien, warunkowany biologiczną konstytucją, „potencjał odreagowywania” (z niemieckiego abreagieren) — i stara się jakoś go „urzeczywistnić”, „wyżyć” w takich konkretnych formach, w jakich mu to umożliwiają normy jego grupy.

Jeśli to wszystko razem, co powiedziałem, rzutować z kolei (z powrotem) na płaszczyznę

literatury, to, w zależności od przyjętych konwencji, pewne egzemplifikacje przeżyć, realizujące się w określonych formach, są „godne opisu”, artystycznego odwzorowania, a inne — nie. (Zależy to między innymi od aktualnego „ideału piękna” — dlatego w dawnych romansach tylko pewne choroby bohaterów były dopuszczalne: od pasa w górę itp., ale nie mogą tu w to wchodzić). Jednym słowem, grupa sytuacjom zrównującym jej członków na ogół się przeciwstawia i procesy takie mogłyby też zachodzić w owych sytuacjach „kompletnego zapieszczenia elektronowego”. Wszelako w czytelniku współczesnym budziłoby to poczucie śmieszności takich sytuacji, gdyby nawet skądinąd były zupełnie psychosocjologicznie prawdopodobne.

Aby teraz spojrzeć na tę sprawę z innej strony — to, co w powieści wspaniałe, co daje przeżycie emocjonalne i estetyczne, może być — jako propozycja dla czytelnika, aby analogiczną sytuację sam przeżył — w najwyższym stopniu odstręczające. Heroizm jest, a przynajmniej może być, z zewnątrz piękny, ale „ze środka” diabelnie niewygodny, przykry — więc zrozumiałe, że działający jako „selektor” pisarz będzie poszukiwał pewnych sytuacji odmiennych od tych, jakich poszukuje „predyktor” czy po prostu badacz, aspektem estetycznych zjawisk w ogóle się nie zajmujący.

Wszystko to razem sprawia, że moje wybory kolejne jako pisarza (literata) nie pokrywają się koniecznie z wyborami jako owego „empiryka–predyktora”.

Co można powiedzieć o „komplikatoryce” nad to, co się już powiedziało? Otóż sytuacje, jak już widzimy, w oglądzie „ładne”, „porywające” nawet, mogą być — w przeżyciu autentycznym — wysoce nieprzyjemne; a przecież nie o to chodzi, aby procesy społeczne były generatorem „pięknych”, tj. moralnie godnych najwyższego podziwu i estetycznie też wspaniałych postaw, ale o to chyba głównie, aby się ludziom po prostu „jakoś”, tj. „możliwie dobrze” („mniej ciekawie...”) żyło, i wcale jedno nie musi być tym samym, co drugie. Można orzec, że istnieje chyba jakieś minimum (zero?) komplikacji życiowych, czyli oporów do przezwyciężenia, które „rozkłada duchowo” — grupa broni się wytwarzając autonomiczną skalę „pozycji” dla wartościowania i dla sprokurowania „protezy” oporów, skoro ich w egzystencji obiektywnie brak), jakieś maximum (np. w czasie okupacji: sytuacje bezustannie rozwarstwiały na „bohaterów” i „szmaty” — gdy wybierać się musiało między śmiercią, mękami w „postawie uczciwości”, a zdradą, zaprzaństwem, dezercją) i że istnieje chyba jakieś optimum komplikacji życiowych, które leży daleko od obu krańców tej skali. Trzeba wreszcie dodać, że z powodów psychologicznych nie można „systemu komplikującego” narzucać jako czystej konwencji, jako przeszkód, stawianych na drogach dążeń ludzkich wyłącznie wskutek arbitralnej decyzji władz, które ustanowiły te przeszkody (normy, zakazy, reguły) tylko dlatego, że sama komplikacja bytu „jako taka” okazała się potrzebna dla optymalizacji funkcjonowania grup i jednostek. Gdyby jednak pozorować wprowadzenie komplikacji czynnikami nieistotnymi, oznaczałoby to sytuację „podwójnego języka” (zarządzenia mają swój cel ukryty, wyrażalny w języku „tajnym”, i swój cel podany do wiadomości publicznej, a więc wyrażony w języku „jawnym”), a to prowadzi prostą drogą do kryptokracji. Jak wiadomo, można ją stosować tylko wobec dzieci, a i to niezbyt długo, bo kiedy uświadomią sobie, jak bardzo umowny właśnie, konwencyonalny jest charakter wszystkich „kompliakcji”, które im narzucają dorośli, od razu zaczynają tak ustanowione normy czy zakazy przekraczać. Jednym z narodowych kłopotów Polaków jest notabene nonszalancja wobec wszelkich norm współżycia, które — w pewnym sensie — można uważać za „zbędne komplikacje”. Wiadomo, że gdy jeden człowiek przejdzie na przelaj przez gazon, nic się trawie nie stanie, ale gdy przejdą wszyscy, pozostanie goła ziemia. Dopóki nieliczne jednostki wykraczają przeciwko normie („nieprzechodzenia przez trawnik”), wszystko jest dobrze, lecz gdy każdy powie „niech sobie inni komplikują życie, ja nie będę” — staniemy przed sytuacją znaną nam doskonale, i to nie tylko ze sfery ogrodnictwa.

Czy można próbować sformalizowania problematyki, tak tu spieszenie i grubo

przedstawionej? To jest, czy dałoby się ustalić „jednostki komplikacji” niezawisłe od ich „treści egzystencjalnej” (analogiczne rozdzielanie „bytów” mamy w teorii informacji, na selektywną i semantyczną)? Byłoby cenne, gdyby się to okazało możliwe, ponieważ taka obiektywizacja pozwoliłaby socjologowi „felicytologowi” zorientować się, czy stan danej zbiorowości pod względem „komplikatorem” pokrywa się z wyliczonym dla niej optimum złożoności przebiegów życiowych. Być może, związki ilościowe nie wyznaczają jednoznacznie takich stanów optymalnych, ale rzecz mogłoby dopiero rozstrzygnąć solidne badanie. Myliłby się ten, kto by uważał, że wszystko to jest mnożeniem i dzieleniem liczby śrubek na plecach robotów, których nikt nawet nie zabiera się jeszcze budować. Do nadmiaru powszechnego daleko nam, a jednak gwałtowny spadek egzystencjalnych oporów w pewnych dziedzinach życia wywołał już zjawiska osłabienia motywacyjnego („czy się stoi, czy się leży” też jest trochę z tej parafii). Jakże gniewa to człowieka, pamiętającego przedwojenne stosunki, gdy widzi, że młodzież tak często nie potrafi docenić sytuacji, w której „praca się należy”. „Teoria względności egzystencjalnej” wyjawia, że ta młodzież reaguje zupełnie normalnie w sensie psychologicznym. To są rzeczy bardzo stare, niczego nie odkrywam, wiadomo, że nikogo nie cieszy brak wystających w bucie gwoździ, jeśli sam nie nosił długo takich gwoździatych butów. Rzecz wszakże w tym, aby od napomnień i opisów „odtłumaczających” przejść do ścisłej roboty, mogącej mieć kolosalne znaczenie praktyczne (przykład: jak bardzo, to jest w jakim stopniu, należy ułatwiać, powiedzmy, studia wyższe).

Generalnie rzecz biorąc, chodzi o to, aby komplikować właściwie, tj. zbędne komplikacje usuwać (najpotężniejszą zbędną komplikacją naszej epoki, globalnie, jest instytucjonalno-biurokratyczna), a użyteczne wprowadzać. Przy tym mogą być one wszak użyteczne w rozumieniu podwójnym: dobre dla jednostki, że ją urabiają (jej charakter), i dobre dla zbiorowości, że nadają jej gradienty rozwojowe (dążenie w określonym kierunku). Można by myśleć i o tym, aby poszczególne „komplikowania” z wynikającymi rozwarstwieniami (na ludzi „lepszycy i gorszy”) zrównoważyć, a to tak, że równocześnie wprowadza się inny układ odniesienia, ze względu na inne wartości, i w tym zajmą polaryzacje wręcz odwrotne (np.: A jest lepszy od B jako sportowiec, a B jest lepszy od A jako tancerz — zakładamy, że jednemu i drugiemu tak samo na „pierwszej lokacie” w obu „dyscyplinach” zależy). Idealem byłoby, gdyby „generałowie” byli „generałami” tylko w jednym sektorze rzeczywistości społecznej, a ci, co są w tym sektorze ich „podkomendnymi” — mogli być „generałami” w innym sektorze. Mielibyśmy rozkład dominacji i submisji złożony, jako sumę rozkładów w poszczególnych dziedzinach jednostkowych i zbiorowych egzystencji, przy czym cały kłopot w tym, aby taka sytuacja miała in toto charakter stabilny. Bo inaczej rozpocznie się ciężenie w pewnych kierunkach i rychło stan optymalny „moralnie”, ale nietrwały, przejdzie w „niemoralny”, nieoptymalny, ale za to względnie trwały. To już właściwie nie jest sensu stricto „czysta komplikatoryka”, której adres jest raczej „singularny”, apeluje ona bowiem zwłaszcza do jednostki, lecz wariant „pluralny”, domagający się stworzenia sytuacji, które — wzięte oddzielnie — są zróżnicowane (w sensie polaryzacji na „lepszycy” i „gorszy”, „pierwszy” i „ostatni”), ale które razem, w integracji społecznego życia, zróżnicowane nie są (tj. powstaje pewne uśrednienie totalne) — a tym samym okazuje się, że to jest jeszcze jeden do napisania rozdział „ogólnej teorii systemów społecznych, cybernetycznie ujętej”.

6. Dalsza kwestia — to „informacyjne otorbienie”, które p. Eilstein wydaje się zupełnie nieprawdopodobne. Więc, w jego postaci „totalnej” — mnie właściwie też, ale wszak cywilizacja mogłaby być jak ktoś, kto kładąc się spać smacznie, powiada do służącego „budź mnie tylko, jeśli się będzie paliło!” Tym służącym byłaby cybernetyczna skorupa, ingerująca w „słodki sen” jedynie, gdyby — np. — miał grozić wybuch (jako Nowej) jakiejś bliskiej gwiazdy. Czy jednak odcięcie nie jest pozorne, pyta p. Eilstein, skoro w gruncie rzeczy i ów „kawałek Kosmosu”, jaki cywilizacja zamieszkuje, jest, w sensie informacyjnym, jako źródło wiedzy, niewyczerpalny? Otóż siłą niewątpliwie wiodącą nauki Współczesnej jest fizyka,

dostarczycielka źródeł energetycznych. Fizyka teoretyczna przy tym jest niemożliwa bez eksperymentalnej, a w tej ostatniej sytuacja ukształtowała się tak: mniej więcej od ćwierć wieku, albo i dłużej, trwa „ortoewolucja” coraz większych i coraz kosztowniejszych urządzeń do przyspieszania cząstek elementarnych, wywołana tym, że dalekosiężność predykcji, opartych na materiale uogólnień teoretycznych, jaki dotąd zdobyto, jest bardzo mała. Fizycy domagają się dziś już budowania urządzeń o mocy tryliona (!) watów; wymagałoby to funduszków inwestycyjnych, porównywalnych z rozwojem całych nowych gałęzi przemysłu. Fizyka staje się więc nie tylko coraz bardziej globalna, internacjonalna, ale i coraz kosztowniejsza. Nie ma na razie żadnych widoków na to, że ten postęp kosztów o skali wręcz logarytmicznej nagle ustanie. Gdyby więc nauka miała stać się w wysoko rozwiniętej cywilizacji głównym pozeraczem dochodu narodowego, dość byłoby nie obciążenia nawet dotacji, lecz tylko ich utrzymywania na pewnym niezmiennym poziomie, aby badania stosunkowo szybko się wyjałowiły; za wielkie, przyszłe odkrycia trzeba — jak się wydaje — płacić cenę nie nawet wielką już, ale wręcz gigantyczną. Obecne akceleratory pokrywają już setki hektarów powierzchni; przyszłe może będą wielkości całych miast. Jak widać, kryją się tu poważne dylematy i rezygnacja z kontynuowania tak niesamowicie żarłocznych badań nie musiałaby wcale być rezultatem bez—rozumności rządów. Rezygnacja taka byłaby już pierwszym krokiem na drodze „informacyjnego otorbienia”. Czy można sobie wyobrazić jakiś proces, już to w postaci rewolucji technologicznej, porównywalnej z atomowo—cybernetyczną, już to w postaci całej serii powolnych przemian, który mógłby się okazać następnym krokiem w tym samym kierunku — totalnego „wyalienowania” człowieka z Natury (bo o to wszak w „otorbieniu” chodzi)?

Myślę, że zależy to od odpowiedzi na jedno właściwie pytanie, o charakterze zasadniczym dla przyszłych losów cywilizacji, a mianowicie: czy mogą płody „maszynowego myślenia” przekroczyć pułap intelektualnych możliwości ludzkich?

Należy chyba wyliczyć warianty odpowiedzi, zastrzegając się, że nie wiemy, czy to są wszystkie warianty ani też, który jest prawdziwy.

a) *Myślenie maszynowe nie może przekroczyć „ludzkiego pułapu intelektualnego” z pewnych względów zasadniczych.* Np. dlatego że żaden układ nie może być „rozumniejszy” od człowieka: osiągnęliśmy już sami ów pułap, w skali kosmicznej, a tylko o tym nie wiemy. Albo, ponieważ do układów myślących typu „człowiek” wiedzie tylko jedna droga, ewolucji naturalnej, i można by ją najwyżej „powtórzyć”, mając za poligon doświadczalny planetę, albo wreszcie, ponieważ układy niebiałkowe są „czemuś” zawsze intelektualnie s—gorsze” od białkowych itp.

Wszystko to brzmi bardzo nieprawdopodobnie, chociaż wykluczyć się na razie nie daje. Mówiąc tak, posługuję się wytycznymi heurystyki, które sugerują mi, że człowiek jest jednak istotą rozumną dość sobie zwykłą, że mogą być od niego „rozumniejsze”, że procesy Natury można naśladować i różnymi drogami dochodzić do pewnych stanów, do których Natura doszła sekwencją innych stanów. To jest właśnie stanowisko, jakie zajmowałem w Summie. Gdy się z nim nie zgodzić, problem upada, powstają za to groźne widma kryzysu informacyjnego i innych kłopotów (o których zaraz).

b) *Myślenie maszynowe może przekroczyć ludzki „pułap intelektualny”, w tym sensie, w jakim nauczyciel matematyki jest „rozumniejszy” od swych pupilów.* Ale ponieważ człowiek może rozumieć to, do czego nie może sam dojść (dzieci rozumieją geometrię euklidesową, chociaż same jej nie wymyślają), człowiekowi nie grozi utrata kontroli nad „poznawczą strategią maszyn”, ponieważ zawsze będzie rozumiał, co one robią i dlaczego.

Z kolei to stanowisko wydaje mi się nie do przyjęcia.

Co to w ogóle znaczy, że „myślenie maszynowe może przekroczyć intelektualny pułap człowieka”? Jeśli może tak, jak nauczyciel wobec dzieci, to przykład jest zły, ponieważ nauczyciel też geometrii „nie wymyślił”. Chodzi o stosunek twórców nauki do innych ludzi



— on jest tutaj analogiem relacji „maszyna — człowiek”. A zatem maszyna może stwarzać teorię, tj. wykrywać niezmienniki klas zjawisk w zasięgu większym niż człowiek.

Wspomniałem, że Ashby odszedł od tej postaci swego „wzmacniacza inteligencji”, która ustala, iż „wszystkim jest selekcja”, natomiast „możliwe rozwiązania” — niczym (bo może je produkować byle generator szumowy). Praca uczonego wcale nie jest równoważna selekcji, opartej na metodzie prób i błędów (a tak by działał ów wzmacniacz). Maszyna Ashby’ego mogłaby czynić elementami sytuacji wyboru daleko większą ilość członów alternatyw naraz, niż to może człowiek. Taki układ byłby wcale realny i przydatny, ale tylko w sytuacjach, w których właśnie stoimy na rozdrożu i mamy wybierać dalszą drogę, a nie w sytuacjach, w których mamy się dopiero domyślić tego, że jakaś droga istnieje (np. „droga kwantowania procesów”).

Wzmacniacz Ashby’ego nie może więc stanowić nawet pierwszego przybliżenia maszyny, automatyzującej kreacyjną pracę uczonego. Zasadniczo uczonego nie robi nic innego, jak tylko wykrywa to, co w zjawiskach izomorficzne. Tak np. obecnie w zjawiska gazu plazmowego i gazu elektronowego w ciele stałym „rzutuje się” zjawiska zaczerpnięte zupełnie skądinąd, na przykład akustyczne. Gdy się mówi o fali akustycznej w gazie elektronowym, chodzi o pewną analogię postaci, o izomorfizm matematyczny, a także fizyczny, określonych grup różnopoziomowych procesów. Jest to izomorfizm relacji.

Spróbujmy w analogiczny sposób poszukiwać izomorfizmu zjawisk społecznych. Szukamy niezmienników, a więc, *prima facie*, podobieństw. Zestawimy pewien typ współczesnego społeczeństwa ze społecznością „jaskiniową”. Zaczniemy od zbadania, czy i jaką rolę pełni w funkcjonowaniu „maszyny społecznej” parametr „osobniczej wymienności”. To znaczy, o ile „prywatna indywidualność” danego osobnika jest istotna w procesach materialno-informacyjnego krążenia w obrębie grupy społecznej.

W społeczeństwie współczesnym aspekt „prywatny”, „personalistyczny” jednostki jest zredukowany niemal do zera. Jeśli ktoś pełni określoną funkcję, jego zachowanie determinuje ta funkcja, a nie jego temperament, upodobania, charakter. Rezultatem nacisków technologicznych jest bowiem gradient maksymalnej, depersonalizującej wymienności osobniczej w obrębie „stanowisk pracy”, jakie przedstawia społeczna struktura. Instytucje zwracają się do instytucji, jednostki do instytucji i instytucje do jednostek w sposób zasadniczo bezosobowy, oczekując zgodnego z przyjętymi normami reagowania (produkcyjnego, usługowego itp.). W społeczeństwie jaskiniowym natomiast „wszystkim jest osoba”, w bardzo prostym i dość trywialnym rozumieniu. Przy kontakcie każdy osobnik podlega klasyfikacji, według klucza „swój” czy „nie swój”. Jeżeli „nie swój”, można go zjeść. „Swój” znaczy po prostu „znajomy” — bo wszak grupa społeczna jest niewielka i wszyscy się w niej znają.

Otóż jeśli w społeczeństwie współczesnym zaczyna się stosować analogiczne kryterium, jeśli krążenie materialno-informacyjne zależy nie od pełnionej bezosobowej funkcji, ale od tego, czy się osoby znają, czy to są „znajomi” — mamy wyraźny izomorfizm relacji współczesnej z tą sprzed ok. 250 000 lat.

Cóż nam jednak z odkrycia takiego „izomorfizmu”? W fizyce ujęcia fenomenologiczne dają zwykle podstawy dla predykcji, np. typowo fenomenologiczne zastosowanie roboczej hipotezy „niby-cząstek” do zjawisk nadciekłości. W socjologii ujęcia fenomenologiczne pozbawione są mocy predykcyjnej, stanowiąc — jak w podanym wyżej przykładzie — czysto idiograficzne konstatacje, z którymi nie wiadomo, co począć. Matematyzująca się socjologia działa zasadniczo albo stosując metody analizy klasycznej do wielkich zbiorów ludzkich, licząc niejako na uśredniający wpływ wielkiej liczby, który pozwala pomijać zjawiska singularne, albo — w odniesieniu do zbiorów mało liczebnych — stosując metody stosunkowo nowe — reprezentacji macierzowej relacji strukturalnych, teorii mnogości, procesów stochastycznych i matematycznej teorii gier. Widać wysiłki zjednoczenia tych ujęć,

np. klasyczna metoda poprzez systemy równań różniczkowych (jak w fizyce matematycznej) prowadzi do konstytuowania przestrzeni fazowych, co z kolei wiedzie do zagadnienia stabilności określonych stanów. Te zaś kwestie wiążą się z pewnymi istotnymi problemami w obrębie teorii gier. Jednakże cała ta matematyczna aparatura nie pozwala pójść dalej aniżeli, powiedzmy, analogiczna aparatura, stosowana w teorii ewolucji naturalnej (poczynając od Volterry).

Inaczej mówiąc to, co się daje przedstawić czysto idiograficznie, tj. „opowiedzieć słowami” na temat pewnych zjawisk społecznych, w niektórych przypadkach można i sformalizować matematycznie. Mowy nie ma jednak o tym, aby dało się, powiedzmy, sformalizować, zamiast zjawiska względnie prostego, w rodzaju powstania dyskryminacji pewnego typu albo lawinowego rozszerzania się paniki czy plotki, zjawisko takie np., jak jakiś przewrót społeczny (chodziłoby więc o jakąś „matematycznie ujętą i zinterpretowaną Rewolucję Francuską” lub tp.). W fizyce można oddzielać od siebie poziomy zjawisk (fizyka atomowa, jądrowa, ciała stałego, cząstek elementarnych). W socjologii to nie jest możliwe, ponieważ decydującymi o torze dynamicznym systemu, mogą się okazywać naprzemiennie rozmaite poziomy (singularny, pluralny). Główny bodaj szkopuł tkwi w ilości zmiennych istotnych do uwzględnienia. Otóż gdyby „maszyna gnostyczna” potrafiła stworzyć „teorię układu społecznego”, musiałaby ta teoria uwzględniać wielką ilość zmiennych, i tym różniłaby się od znanych nam formalizmów fizykalnych. „Maszyna” taka może stworzyć model społeczeństwa językowy lub materialny. Jeśliby to był model językowy, problem cały w tym, czy człowiek mógłby ogarnąć ów językowy system, jaki maszyna stworzyła, aby z jego pomocą skonstruować ową teorię? A jeśli to nie jest model językowy, ale maszyna modeluje procesy społeczne w jakiejś np. zawieszinie samoorganizujących się cząstek, to w jaki sposób człowiek miałby ów model właściwie zrozumieć? Maszyna ma wejścia i wyjścia; przez wejścia otrzymuje materiały informacyjne, przez wyjścia dostarcza nam teorii, ale to nie jest system równań, tylko naczynie z „fermentującą zupką informacyjną”. Ta zupka jest dynamicznym planem rozwoju społeczeństwa, czyli jego genotypem, w takim samym sensie, w jakim dynamiczny plan osobniczego rozwoju znajduje się w zapłodnionym jaju. Wygląda na to, że po raz drugi, z godnym lepszej sprawy uporem, powtarzam za książką to, co w niej napisałem. Otóż, być może, żadnej hodowli informacyjnej nigdy nie będzie, chodzi mi jednak o zwrócenie uwagi na fakt, że jeśli mamy uczyć się z Natury, trzeba przede wszystkim zbadać, w jaki sposób opanowuje ona sytuacje nadzwyczaj złożone — jak ona „całkuje empirycznie”. Zapłodniona komórka jest „teorią” organizmu, który z niej powstanie: jak wiadomo, sama teoria nie wystarczy, konieczne są jeszcze warunki brzegowe, należy podstawić wielkości realne, wymierne, do równań, ażeby się — dla predykcji — spełniły. Komórka jest teorią; jej wyjściem staje się po pewnym czasie organizm i to jest zweryfikowana empirycznie — jego powstaniem — predykcja. Komórka jest więc „prognozą” organizmu, który z niej się wyłoni, a warunki brzegowe nakładają świat, realne otoczenie. A jeśli naszym celem byłby optymalny model społecznej struktury, „informacyjna zupka” może się okazać teorią tego stanu pożądanego.

Ale skąd wzięła się ta materialna „teoria społecznego organizmu” w maszynie? Powstała dzięki procesom kolidujących z sobą zjawisk samoorganizacji. Albowiem nauka u Natury prowadzi nas do wniosku, że Natura nie rozdziela procesów formalnych od empirycznych, jak my, ale że ona robi „jedno i drugie naraz”, ponieważ ona produkuje także „równania”, takie przekazy informacyjne, których elementy mogą bezpośrednio wchodzić ze sobą w reakcje (fizyczne, chemiczne) i w ten sposób „formalny” język genów jest równocześnie materiałem do podstawiania w określonych miejscach „genowych równań”. Może my nie będziemy umieli stworzyć żadnej „hodowli informacji”, ale Natura ją stworzyła. Myślę, że inaczej nie można było tego rozwiązać. Natura miała przed sobą twarde orzech matematyczno-informacyjny do zgryzienia i rozgryzła go doprawdy tak, jakby czytała Ockhama, ponieważ

dalej, niż do molekularnego poziomu zapisu informacji, i to takiej, co sama z sobą reaguje, będąc własnym budulcem, nie można już pójść w oszczędności środków i „bytów”.

Tak zatem na wyjściach obu układów, które są „gnostycznymi kreatorami”, uzyskujemy teorie, raz w postaci zakodowanej „nieformalnie”, a raczej nie tylko formalnie, a raz w postaci, do jakiej nawykliśmy, pewnego systemu równań.

Różnica jest w końcu mało istotna, ponieważ także i to, co zakodowane w „teorii–genotypie”, można dekodować. Jednakże konia z rzędem temu, kto, mając przed sobą te już „zdekodowane” równania, mógłby je „zrozumieć”!

Jeśli informacyjna pojemność jajowej komórki człowieka dorównuje ilości informacji encyklopedii, to przecież taką encyklopedię, na jaką kiedyś się na pewno „przełoży” genotyp, można będzie odczytać tylko dlatego, że czytelnik będzie znał fizykę, chemię, biochemię, teorię embriogenezy, teorię układów samoorganizujących się itd., itd. Jednym słowem, będzie znał język i reguły jego stosowania. W wypadku teorii, którą „zrodzi” maszyna, nie będzie znał ani języka, ani jego reguł; jednego i drugiego musi się dopiero uczyć. I pytanie, w ostatecznej postaci, brzmi: czy może się nauczyć?

Otóż tu, w tym miejscu, wchodzi w rozważania nasze czynnik czasu, ponieważ jasne jest chyba, że trzeba więcej czasu, aby odczytać całą informację, zawartą w komórce bakteryjnej, a przekodowaną na język aminokwasów czy nukleotydów, aniżeli trzeba czasu komórce, aby się podzieliła. Podczas jednej lektury, której dokonujemy „oczyma i mózgiem”, tekstu „sformalizowanej i przekodowanej bakterii”, ona tymczasem podzieli się setki razy, bo odczytuje wszak „samą siebie”, w kolejnych podziałach, niezrównanie szybciej. W wypadku „teorii społeczeństwa” — czy, już ogólnie — układu nadzwyczaj złożonego — czas lektury może okazać się taki, że czytelnik po prostu już dlatego tylko nie rozumie, co czyta, ponieważ nie jest w stanie operować umysłowo elementami „równań” — zbyt wielkie, wymykają mu się z pola świadomości, przekraczają rozpiętość jego skoncentrowanej uwagi — jest to zaiste trud Danaid — i Syzyfowy zarazem — a problem brzmi wtedy: czy teoria, w jej postaci danej przez maszynę, będzie redukowalna do postaci dość prostej, aby człowiek mógł ją ogarnąć?

Obawiam się, że to nie będzie możliwe. To znaczy, oczywiście, to jest możliwe, a jedynie każda kolejna postać jej, wynikająca z następnej redukcji, okaże się zarazem zbyt jeszcze „rozległa” dla człowieka, choć już — względem „oryginału” — uboższa o utracone elementy.

Maszyna będzie wtedy robiła to, co robi fizyk wyjaśniając szerokiej publiczności teorię fal grawitacyjnych przy pomocy skąpego arsenału matematyki gimnazjalnej. Albo to, co robi mędrzec w bajce, który przynosił łaknącemu wiedzy królowi kolejno — bibliotekę na grzbietach stada wielbłądów, potem — setkę tomów w jukach muła, a wreszcie — grube księgi, które niósł niewolnik, bo dla króla te kolejne „redakcje” wciąż jeszcze były „zbyt obszerne”.

Z tego widać, że nie musimy już rozpatrywać takiej (trzeciej) możliwości:

c) *Maszyna może przekroczyć pułap intelektualny człowieka, zarówno w zakresie tego, co człowiek może jeszcze, jak i w zakresie tego, czego człowiek już nie może ogarnąć.* Możliwość ta wynikła bowiem jako wniosek, przy obaleniu drugiej.

Prawdopodobnie tam, gdzie człowiek będzie mógł dojść umysłem sam, nie będzie potrzebował maszyny inaczej, aniżeli jako niewolnika, który by wykonywał zań pracochłonne operacje pomocnicze (liczenie, dostarczanie żądanych informacji, a więc „pomocnicza pamięć” i „asysta w operacjach krokowych”). Tam gdzie umysłem sam nie dotrze, maszyna dostarczy mu gotowych modeli zjawisk, gotowych teorii. Pytanie wtedy — antynomiczne — o to, „jak można kontrolować to, czego nie można kontrolować”? Może należałoby stworzyć „maszyny antagonistyczne”, które by się wzajem (w rezultatach działania) kontrolowały? Ale co robić, jeśli przedstawią na wyjściach rezultaty sprzeczne? Ponieważ w końcu od nas zależy, co zrobimy z teoriami zrodzonymi przez maszyny, w tak konfliktowej sytuacji można by te płody kreacji automatycznej i do pieca wrzucić. Inna sprawa z maszynami

zarządzającymi, to jest tymi, które są najprawdopodobniejszym, w gruncie rzeczy, wcieleniem wzmacniacza Ashby'ego. P. Eilstein kwestionowała budowę „elektronowego Boga”. Istotnie, myślę, że jej obiekcje są słuszne, ale nikt chyba nie będzie nigdy budować „syntetycznego Boga” (który jako nie-wszechwiedny i nie-wszechmocny, byłby „Bogiem ułomnym”).

Science Fiction sporo nagrzeszyła, a jednym z jej występków największych jest totalne, jako norma, fałszowanie realnych okoliczności, w jakich i z jakich wynikają odkrycia czy wynalazki. W Science Fiction nie ma najpierw nic, potem nagle pojawia się jakiś wielki umysł i buduje „sam” raketę, na której polecą, i to jeszcze od razu na Księżyc; albo znów grupa jakichś ludzi buduje maszynę, która „od razu” zabiera się do tego, aby opanować ludzkość. Ja sam też jestem tu nie bez grzechu. Otóż, owszem, myślę, że takie rzeczy można pisać, bo to, między innymi, w końcu także i baśń scjentyficyzyczna, rozrywka; jednakże z realnością nie mają takie obrazy nic wspólnego. Robotów obdarzonych ludzką osobowością nie będzie się budować, chyba w celach takich, jakie Fritz Leiber przedstawił w swojej powieści *The Silver Eggheads*, gdzie są nawet wspaniałe lupanary z elektronowymi damami, które podczas „tego” organowym głosem nuca Bacha, albo mają ogon jak Chimery. Natomiast powstaną i będą się rozrastać ośrodki maszynowe, zarządzające produkcją, obrotem towarowym, dystrybucją, usługami, jak również zarządzające badaniami (koordynacja wysiłków uczonych, wspomaganych, w fazie wczesnej, „symbiotycznie” maszynami pomocniczymi). Otóż takie koordynatory lokalne wymagają nadrzędnych, w skali, powiedzmy, kraju bądź kontynentu. Czy możliwe są sytuacje między nimi konfliktowe? Jak najbardziej możliwe. Zachodzą będą konflikty w płaszczyźnie decyzji inwestycyjnych, badawczych, energetycznych, bo wszak trzeba będzie określać prymat rozmaitych działań i kroków, ze względu na mrowie powiązanych wzajem czynników. Trzeba będzie takie konflikty rozstrzygać. Oczywiście, powiadamy szybko: to będą robili ludzie. Bardzo dobrze. Otóż decyzje będą dotyczyły problemów ogromnej złożoności i ludzie — kontrolerzy Koordynatorów — będą musieli, aby rozeznąć się w przedstawionym im morzu matematycznym, uciec się do pomocy innych maszyn, mianowicie optymalizujących decyzje. Nad wszystkim tym istnieje aspekt gospodarki globalny; należy ją także koordynować. Planetary Koordynator jest maszyną, z „radą przyboczną” złożoną z ludzi, którzy sprawdzają lokalne decyzje układów „kontrolerzy-maszyny” poszczególnych kontynentów. Jak to robią? Mają własne maszyny do optymalizowania decyzji. I oto: czy możliwe jest, że ich maszyny dublując, w celach kontroli, pracę maszyn kontynentalnych, dadzą odmienne wyniki?

I to jest zupełnie możliwe, ponieważ każda maszyna, podczas dokonywania określonej sekwencji kroków, z których składa się rozwiązywanie zadania (metodą, powiedzmy, kolejnych przybliżeń, bo materiał zmiennych jest olbrzymi), staje się jakoś stronna. Wiadomo, że żaden człowiek zasadniczo nie może nie być niestronny; dlaczego ma być unbiased maszyna? Stronność nie musi stanowić rezultatu emocjonalnych predylekcji — wynika już z nadania rozmaitej wagi konfliktującym z sobą członom alternatywy. Czy możliwe są takie „wyceny” tych członów przez kilka maszyn, pracujących niezależnie, które by się między sobą różniły? Ależ tak, ponieważ te maszyny, będąc siłą rzeczy układami probabilistycznymi, nie działają tożsamościowo. Nie zawsze rozrzut rezultatów będzie duży, bo to zależy od charakteru rozwiązywanych zadań; jeśli zadanie brzmi: „czy można wysłać na Marsa dalszych 100 milionów ton wody”, odpowiedź może będzie dać nietrudno; inna rzecz, gdy trzeba uwzględnić sytuację, stanowiącą istną piramidę konfliktujących z sobą interesów mniej i bardziej lokalnych. Co zrobić ze sprzecznymi wycenami maszyn, które miały wesprzeć człowieka mającego rozstrzygnąć spór Koordynatorów? Regressus ad infinitum jest niemożliwy, należy coś począć. Ale co? Wygląda to tak: albo elektronowe Koordynatory nie umieją uwzględnić więcej zmiennych naraz od człowieka, a wtedy nie trzeba ich w ogóle budować, albo umieją, a wtedy człowiek nie może się sam w rezultacie „rozeznąć”, tj. nie

umie powziąć niezawisłej od maszyny decyzji, w oparciu o „własne zdanie” o sytuacji; Koordynator daje sobie radę z zadaniem, ale człowiek—”kontroler” niczego nie kontroluje, a tylko tak mu się zdaje. Czy to nie jest jasne? Maszyna, do której pomocy odwołuje się człowiek—kontroler, jest w pewnym sensie dublerem Koordynatora i człowiek jest w tym miejscu gońcem na posyłki, który taśmę informacyjną przenosi z miejsca na miejsce. Jeśli zaś dwie maszyny dają niejednakowe rezultaty, człowiek nie może zrobić nic innego, jak tylko rzucić monetą, aby wybrać: staje się, z „najwyższego nadzorcy”, mechanizmem losowym wyboru! A więc znów, i teraz przy maszynach tylko zarządzających, mamy sytuację, kiedy one stają się „bystrzejsze” od człowieka. Prima facie należałoby im to uniemożliwić, na mocy takiej oto np. ustawy: „Zabrania się budowania i użytkowania maszyn koordynujących, których potencjał przerabiania informacji udaremnia człowiekowi—kontrolerowi merytoryczny wgląd w rezultaty ich działalności”. To czysta fikcja jednak, bo kiedy obiektywna dynamika procesów do regulowania będzie wymagała dalszego rozrostu Koordynatorów, „barierę ludzkich możliwości” należy przekroczyć; i oto znów antynomia.

Można spytać, czy nie zmystyfikowałem problemu? Przecież radzimy sobie dzisiaj bez żadnych w ogóle maszyn! Tak, ale żyjemy w społeczeństwie jeszcze, w takim ujęciu, prostym. Między cywilizacją taką jak nasza, względnie prymitywną, a wysoce złożoną, jak przyszła, jest taka różnica mniej więcej, jak pomiędzy maszyną w sensie klasycznym i w sensie organizmu żywego. Maszyny w sensie klasycznym i cywilizacje „proste” wykazują rozmaite rodzaje oscylacji samowzbudnej, niekontrolowalne wahnięcia parametrów, które powodują tu kryzys ekonomiczny, tam głód, ówdzie zatrucie thalidomidem lub nagłe odkrycie, w dwadzieścia lat po pierwszym wybuchu atomowym, że to wcale nie stront promieniotwórczy jest najbardziej szkodliwy, ale izotop jodu, o czym ci, którzy zapewniali ludzkość, że próby są zupełnie nieszkodliwe, sami wtedy nie wiedzieli. Aby uświadomić sobie, jak funkcjonuje maszyna złożona, proszę wziąć pod uwagę, że poruszamy się, chodzimy, mówimy, jednym słowem, żyjemy, dzięki temu, iż w każdym ułamku sekundy w bilionach miejsc naszego ciała naraz szeregi krwinek biec muszą „gęsiego” z drobinami tlenu, że we wszystkich bilionach komórek ciała zachodzą dalsze biliony procesów, i że takich procesów, które muszą być utrzymywane w niezwykle wąskim przedziale parametrów, są krocie — inaczej rozpoczęłyby się natychmiast rozpad, ich rozpręga—nie. Im układ bardziej jest złożony, tym bardziej regulacja musi być totalna, w tym mniejszym stopniu można parametrom pozwolić na lokalne wahnięcia. Czy mózg nasz panuje nad ciałem regulacyjnie? Bezsprzecznie tak. Czy każdy z nas panuje nad swoim ciałem? Jasne, że tylko w wąziuteńkim przedziale parametrów — reszta jest nam „dana” przez rozważną Naturę. Ale nikt nie może nam dać, tj. za nas podjąć się, regulacji bardzo złożonego systemu społecznego. Niebezpieczeństwo, o którym mówił Wiener, w tym, że do sytuacji, w jakich musimy już żądać „intelektuonowych posiłków”, do takich sytuacji rozwój doprowadzi nas stopniowo, bo w chwili, kiedy pocniemy tracić „ogład” całościowy, a przez to kontrolę, nie będzie można zatrzymać cywilizacji jak zegarka — ona musi iść dalej.

Ale będzie przecież szła chyba „sama” tak, jak dotąd? Niekoniecznie. Są to aspekty, aby tak rzec, negatywne — postępu, w sensie homeostatycznym. Ameba jest daleko mniej wrażliwa na chwilową utratę dopływu tlenu do mózgu. Miasto średniowieczne potrzebowało tylko wody i żywności; współczesne, gdy zabraknie mu elektryczności, staje się piekłem, jakim był Manhattan parę lat temu, kiedy stanęły windy w drapaczach i kolejki pod ziemią. Homeostaza ma bowiem dwa oblicza, jest wzrostem niewrażliwości na „perturbację zewnętrzną”, tj. wywołaną zakłóceniami „naturalnymi”, i zarazem wzrostem wrażliwości na „perturbację wewnętrzną”, tj. wywołaną zakłóceniami wewnętrznych sprzężeń systemu. Im większa bowiem „sztuczność” otoczenia, w tym większym stopniu skazani jesteśmy na technologię, na jej sprawność — i na zawodność, jeśli jest zawodna. Otóż może być zawodna. Antyperturbacyjną odporność jednostki można rozpatrywać też dwojako: jako elementu

izolowanego i jako elementu struktury społecznej. Cała „odporność antyperturbacyjna”, jaką przejawiał Robinson Crusoe, była rezultatem czysto informacyjnego „przedprogramowania” go przez jego cywilizację, nim stał się „izolowanym elementem” na wyspie bezludnej. Podobnie zastrzyk, który otrzymuje noworodek, dający mu pewną odporność na całe życie, wywołuje wzrost jego „odporności antyperturbacyjnej” czysto osobniczy, jako elementu izolowanego. Natomiast wszędzie, gdzie interwencje muszą być powtarzane, społeczne sprzężenia winny funkcjonować bez zarzutu; a więc, jeśli chorego z blokiem serca ratuje od śmierci wszczepiony pod skórę elektryczny aparat, protezujący bodźce nerwowe, musi on otrzymywać regularnie ładunki energetyczne (ew. baterijki) dla tego aparatu. Tak więc, z jednej strony, cywilizacja ratuje człowieka od śmierci, ale z drugiej, uzależnia go dodatkowo od swego sprawnego funkcjonowania. Na Ziemi organizm ludzki sam reguluje stosunek wapnia w kościach do wapnia we krwi, ale w Kosmosie, gdy w warunkach bezgrawitacyjnych wapń zostaje wyplukiwany z kości do krwi, już nie Natura, ale MY musimy ingerować regulująco. W znanych z historii formacjach ustrojowych przejawiały się gwałtowne nieraz zaburzenia homeostazy, wywoływane zarówno perturbacjami zewnątrzpochodnymi (epidemie, klęski naturalne), jak i wewnątrzpochodnymi, których czysto idiograficznym katalogiem są właśnie kroniki historyczne. Struktury ustrojowe posiadały różną odporność na takie zaburzenia i niektóre z nich, wyprowadzając system jako całość poza obszar stabilności w strefę przejść nieodwracalnych, prowadziły, poprzez rewolucje, do zmian struktury na inną; zawsze jednak ludzie wchodzili w relacje społeczne z ludźmi, rządili nimi lub byli przez nich rządzeni, eksploatowani; cokolwiek się zatem stało, było konsekwencją ludzkich działań. Prawda, że obiektywizujących się ponadjednostkowo i ponadgrupowo w określone siły ustrukturowane; w zmiennych formach działały podobne sprzężenia materialnoinformacyjne; działały też peryferyjne ostoje układowej stabilizacji — z rodziną, jedną z najstarszych, na czele. W miarę rozwoju technologii złożoność procesów do regulowania narasta, tak że niezbędne staje się wreszcie dla ich opanowania — zastosowanie regulatorów dysponujących większą ilością różnorodności niż mózg ludzki. Jest to, w gruncie rzeczy, problem metaustrojowy, ponieważ konieczność taką odczuwać zaczynają kraje o odmiennych ustrojach, byle tylko na dostatecznie wysokim szczeblu technoewolucji. Otóż regulatory „nieludzkie”, tj. ludźmi nie będące, według wszelkiego prawdopodobieństwa będą mogły zadaniom sprostać lepiej od ludzi — a więc efekt meliorujący technologicznego rozwoju i w tej dziedzinie będzie dobitny. Niemniej zmieni się całkowicie sytuacja w sensie psychologicznym, ponieważ coś innego jest wiedzieć, że ze stosunków, w jakie ludzie muszą ze sobą wchodzić, tworząc społeczność, rodzą się prawidłowości statystyczno-dynamiczne, mogące nieraz godzić w interesy jednostek, grup, całych klas — a co innego wiedzieć, że los nasz wymyka się nam z rąk, w sposób widomy przekazywany elektronowym opiekunom. Powstaje bowiem wtedy szczególny stan, którego odpowiednikiem singularnym byłaby sytuacja człowieka wiedzącego, iż wszystkimi procesami życiowymi jego ciała zawiaduje nie on, nie jego mózg, nie prawidłowości ustroju wewnętrzne, ale jakiś ośrodek poza nim, który wszystkim komórkom, enzymom, włóknom nerwowym, wszystkim molekułom jego ciała przepisuje najwłaściwsze, najbardziej optymalne zachowanie; a chociaż regulacja taka mogłaby być nawet (powiedzmy) doskonalsza od naturalnie realizowanej przez „somaticzną mądrość ciała”, chociaż w perspektywie niosłaby z sobą zdrowie, siły, długowieczność, przecież każdy zgodzi się chyba z tym, że odczuwamy ją właśnie jako coś „przeciwego naturze”, w rozumieniu „naszej, ludzkiej natury” — i chyba to samo da się powiedzieć o relacji „społeczeństwo — jego «intelektowne koordynatory»”. Im bardziej będzie rosła złożoność wewnętrznej budowy cywilizacji, w tym większym stopniu trzeba będzie (w tym liczniejszych dziedzinach) zezwolić takim regulatorom na baczny nadzór i interwencję — dla utrzymania homeostazy — ale subiektywnie będzie się ów proces mógł wydać przejawem „zachłanności” owych maszyn, opanowujących jedną po drugiej domenę czysto ludzkiego

dotąd bytowania. A zatem, mamy przed sobą nie „Boga elektronowego” ani takiegoż władcę, lecz tylko układy, które, powołane zrazu do baczenia na procesy wyodrębnione, wyjątkowej wagi lub komplikacji, z wolna — w toku swoistej ewolucji — obejmują pieczę nad całą społeczną dynamiką. Nie będą owe układy usiłowały „opanować ludzkości” w jakimkolwiek antropomorficznym znaczeniu tego słowa, gdyż nie będąc „osobami”, nie przejawia i rysów jakiegoś egoizmu czy żądzy władzy, które tylko „osobom” można przypisać. Inna rzecz, że ludzie mogliby owe maszyny personifikować, przypisując im — nieobecne w nich — intencje i doznania, na prawach nowej, ale już wieku elektrycznego, mitologii. Nie demonizuję wcale tych bezosobowych regulatorów; przedstawiam tylko zadziwiającą sytuację, w której, jak w polifemowej jaskini, dobiera się do nas Nikt — ale, tym razem, dla naszego dobra. Moc decyzji ostatecznych może pozostać na zawsze w ręku człowieka; cóż z tego, kiedy próby korzystania z takiej wolności wyjawia, że odmienne — gdyby takie były — decyzje maszyn były korzystniejsze, bo bardziej wszechstronne. Po kilku bolesnych lekcjach ludzkość mogłaby się zamienić w grzeczne dziecko, słuchając zawsze dobrych rad — Nikogo; w tej wersji Regulator jest o wiele słabszy niż w wariacie „władcy”, bo nigdy nie nakazuje niczego, jedynie doradza — ale czy ta jego słabość staje się naszą siłą?

7. P. Eilstein poruszyła wreszcie kwestię, która mnie od dawna pali, mianowicie probabilizmu i statystyki. Niczego roztropnego tu nie powiem, poza tym, że mam bardzo mroczne i całkowicie niematematyczne intuicje, iż coś w tym wspaniałym aparacie, ale w jego głęboko w grunt wkopanych fundamentach, jest niewłaściwe. Bardzo interesujące wydały mi się wywody na ten temat Stafforda Beera w jego *Cybernetics & Management*. Jak również to, co pisał o tych problemach Spencer Brown (obaj cytowani w bibliografii *Summy*). Widać z ich wypowiedzi, że takie niepokoje nie są ani moim koszmarem prywatnym, ani p. Eilstein, ale że jest chyba coś na rzeczy, tylko trudno się zorientować co właściwie; myślę, że dotyczy to stosunku statystyki jako narzędzia badawczego do świata, a główne niebezpieczeństwa czyhają tam, gdzie się operuje nieskończonościami, gdyż one w sensie operacyjnym nic po prostu nie znaczą, poza ułudami poprawności logicznej. Jakoż i niejeden fizyk „pierwszej klasy” dzisiaj nie podpisze się pod Eddingtonowskim oczekiwaniem na zamrożenie garnka wody na ogniu, byle tylko czekać kwadrylion lat. Z drugiej strony, wydaje mi się, że pewne ślady sztywnych determinizmów zbyt jeszcze natarczywie kołaczą w systemach filozoficznych, że brak jakiejś „filozofii statystyki”, w sensie takim, w jakim można mówić o opracowaniach filozoficznych determinizmu. Ponieważ rewolucja, jaką uruchamia aspekt statystyczny zjawisk, podniesiony do rangi bardzo wysokiej, bo kosmicznej powszechności, nie została bodaj w pełni przez zawodowych filozofów doceniona. Tak więc, jako krakowianin, nie z urodzenia co prawda, ale zamieszkania, próbuję na równi „obciążyć” konta filozofii, za niespenetrowanie statystycznych problemów, i statystyki, za jej jakieś może aż ontologiczne słabości.

8. Zarzuty p. Bednarczyka są natury dwójakiej. Co do „prztelegrafowania człowieka” — wcale nie chodziło o realizowalność fizyczną, a tylko o eksperyment myślowy. To bardzo dobra metoda, jak myślę, bo kiedy z mego wywodu wynika, w planie czysto logicznym, że przekazem informacji (rysopisu atomowego) nie prześle się człowieka, tj. „oryginału”, ani o centymetr z miejsca, na którym stał, to wszelkie dalsze rozwodzenia się na tematy już operacyjne, techniczne, już instrumentalne (że ustalając koordynaty atomowe zabijamy człowieka etc.) są całkowicie zbędne.

Jest to wtedy owo „po drugie, po trzecie, po czwarte”, którego nie był już ciekaw Napoleon, usłyszawszy, że „po pierwsze” nie było — dla powitalnego salutu — armat.

Chciałbym gorąco zaoponować przeciwko cytowaniu specjalistów z fizyki dla poparcia pewnych tez w biologii (et vice versa). To, co Bohr ma do powiedzenia o umieraniu organizmów pod wpływem badania i o tym zwłaszcza, że istnienie życia jest takim elementarnym faktem, „jak kwant” jest, obawiam się, w gruncie rzeczy, „czystą liryką”. Nie

sądzę, bym się stawał bezczelny, mówiąc, że kompetencja na jednym polu nie implikuje jej na innych.

W sprawie kryzysu informacyjnego p. Bednarczyk powiedział: „skoro nauka raz sobie uświadomiła swoje niebezpieczne położenie i skierowała część sił (prawda, że niewiele na razie) na zapobieżenie katastrofie, należy jej chyba ufać”. Nie jestem pewien, jak należało to rozumieć. Można bowiem i tak: „nie należy się mieszać tam, gdzie nas nie proszono. Nauka da sobie i bez Lema radę”. Otóż, jeśli takie było znaczenie, to doprawdy się z nim zgadzam. Z jednym zastrzeżeniem. Nauka da sobie radę beze mnie, ale tylko wtedy, jeśli się okaże, że w ogóle może sobie dać radę. Jak świadczy o tym książka, jestem raczej optymistą, ale nie aż jakimś „opatrnościowym”, tj. wierzącym w opatrność. Obecnie mamy przed sobą „bombę populacyjną”, która eksploduje w najlepsze i jakoś niewiele się robi, aby eksplozji przeciwdziałać. Słyszy się natomiast, że będzie można przerabiać masowo glony morskie na pożywienie dla ludności krajów przeludnionych a ubogich, przy czym autor (amerykański) dodaje wyjaśniająco, że, oczywiście, w USA się tych glonów jeść nie będzie, bo bardzo niesmaczne, ale przecież nie zważa na smak ten, kto może z głodu umrzeć. Wyraził to innymi słowami, lecz sens był właśnie taki. Są to konsekwencje nie tylko istnienia nie zjednoczonej ludzkości, ale zarazem i rozdrobnienia, rozrzutu specjalizacyjnego, w której to sytuacji uczony, jak kelner w zakładach żywienia zbiorowego, najchętniej odpowiada: „Kolega!” Kłopot z tym tylko, że kolegów, którzy by się tymi palącymi kwestiami zajęli jako swoją specjalnością wyłączną, jakoś nie widać.

Najwyżej zabawia się nas obliczaniem, w którym to roku następnego tysiąclecia wszyscy żyjący będą się musieli zmienić w bibliotekarzy. Bardzo to zabawne rachunki i bardzo niezabawna sytuacja.

W sprawie *Paszkwilu na ewolucję*. Cóż, jeśli wywody *Summy* nie przekonują, nie widzę potrzeby, aby je powtarzać. Gdyby p. Bednarczyk, który — jak się zdaje — szanuje autorytety, gdyż chętnie je cytuje, był skłonny wysłuchać ich i wówczas, jeśliby przemawiały za mną, mógłbym wyliczyć długą ich listę, poczynając od J. B. S. Haldane’a, z jego *Evolution, and our weak points* (J. B. S. Haldane, Science Advances, London 1947) i *Is Evolution a Myth?* (D. Dewar, L. Merson Davies, J. B. S. Haldane, London 1949), aż po G. G. Simpsona. Jednakże obawiam się, że i autorytety nie pomogą. Sformułowanie, że cokolwiek ewolucja uczyniła, uczyniła najlepiej, jak tylko można, przypomina mi tezę filozofa Panglossa, że żyjemy na najlepszym z możliwych światów. Ze stanowiskiem takim nie umiem dyskutować.

P. Bednarczyk powiedział nadto, że zasada „zbędnej komplikacji” nie istnieje, i to w odniesieniu do chemicznej indywidualności, że indywidualność biochemiczna jest „wyrazem dyskretnego charakteru życia”. Doprawdy, non sequitur. Przecież mogłyby istnieć nieliczne typy takiej indywidualności, jak grupowe czynniki u człowieka, powiedzmy, sto czy dwieście typów białek ustrojowych. Można by wtedy przeszczepiać organy brane od właściwych dawców, a nie tylko u jednojajowych bliźniąt. To, że mamy biochemiczną indywidualność, jest rezultatem ewolucyjnego „leseferyzmu”, ponieważ informacja genotypowa nie predeterminuje takiej cechy, jak osobnicza swoistość ustrojowego białka, a jedynie daje ogólnikową dyrektywę syntezy białka „ludzkiego”, tj. typu mieszczącego się w pewnym przedziale parametrów, przy czym w obrębie tego przedziału czynniki czysto już losowe powodują powstanie takich lub innych konfiguracji finalnych. Przy tym powtórzenie się tej samej konfiguracji u dwu osobników różnych jest wręcz nieprawdopodobne. Tak więc biochemiczna indywidualność jest rezultatem takiej sytuacji, w której niedobór informacji przekazywanej genotypowo powoduje rozrzut losowy rezultatu końcowego embriogenezy w polu parametrów biochemicznych. Z dyskretnym charakterem życia sprawa ta nie ma nic wspólnego



\*

Chciałbym, korzystając z okazji tak wyjątkowej, wyjaśnić mój stosunek do filozofii. W książce *explicite* tego zrobić nie mogłem, ponieważ miała być o wszystkim, tylko nie o mnie. Wiedziałem, pisząc *Summę*, że gdy się podejmuje taki temat i w takim zasięgu, ani trochę nie być filozofem nie można, ale starałem się być nim w stopniu możliwie najmniejszym. Może dlatego, że sam byłem kiedyś zarażony bakcyłem filozofowania, że dużo czytałem filozofów, a w najcięższym stadium odczuwałem groźną pokusę, aby samemu stworzyć „nowy system” i musiałem się ratować nakładając sobie najsurowsze powściągi, a ocalenia szukając w nauce, A to, ponieważ doszedłem do przeświadczenia, że tylko ona może być naszą przewodniczką, też, oczywiście, nie obchodząc się bez filozofowania, ale nie autonomicznego, jako że empiria posiada moc wyzwania się spod zamknięć i ograniczeń nakładanych na nią przez to, co w systemach filozoficznych jest ich „nadwyżką zdeterminowania” w sensie angielskiego *overdetermination*. Istnieje bowiem coś takiego, jak tendencja wszelkich w ogóle systemów, zarówno materialnych, jak pojęciowych, do samoorganizowania się, jeśli tylko są dostatecznie skomplikowane. Gdy jednak system materialny samym faktem istnienia „gwarantuje” to, że posiada „autentyczny byt”, to system filozoficzny jest tylko naszą propozycją przedstawianą światu — żeby był taki, jak system mniema. A ponieważ system taki, w przeciwieństwie do wiedzy empirycznej, która jawnie przyznaje się do wszystkich dziur i luk, nie może być równie dziurawy i fragmentaryczny, musi się go jakoś uzupełniać, aby się zamknął w swej spójności, niesprzeczności itd. Jest to konieczne i niedobre, w bardzo praktycznych konsekwencjach, bo potem okazuje się, że od filozofa, zbyt pewnego siebie czy systemu raczej, do *besserwissera* jeden krok. I dlatego myślę, że pierwszą zasadą filozofii winno być hasło medycyny *primum non nocere* — w rozumieniu silnym, a w słabszym: „nie przeszkadzać”. Ponieważ, niestety, nie myśli ani intencje złośliwe liczą się, nie to, co ludzie myślą, że robią, ale to, co robią naprawdę. Nie tak dawno temu Einstein był dla idealistów materialistą, dla materialistów idealistą, a teraz wszyscy go pospołu zaanektowali. Powiedziałbym, że każda filozofia w ogóle, która w takim sensie ingeruje lub usiłuje ingerować w procesy poznania świata, tę zasadę „nieprzeszkadzania” narusza. Stąd niejaka niechęć uczonych–empiryków do filozofów, ponieważ ci ostatni chcą czuć się równie pewnie w zbiornicach teorii już uznanych i zastygłych w dostojeństwie, stanowiących głębokie zaplecze nauki, którym ona żywi swoje rozwijające się fronty, jak na tych frontach właśnie. Filozof udający się na front jest wszakże jak wojenny korespondent, który ma już z góry „nastawienie”, tj. wie zasadniczo, co napisze, potrzeba mu tylko paru faktów; pyta więc, jak tam idzie? W odpowiedzi słyszy o rezonansach i wektorach; zaraz je sobie wciąga do posiadanej już listy „bytów obiektywnych”. Ale tak nie można. Owszem, one istnieją — na gruncie pewnych teorii. Dlaczego tak uparcie to powtarzam? Dlatego, że rzeczywistość, ta „naprawdę obiektywna”, istnieje, i widać ją nawet jednoznacznie, przez szkła danej teorii. Ale gdy się teorie za ich cząstkową ważność odrzuci na rzecz powszechniej ważnej, może się okazać, że rezonansy i wektory były tylko różnymi „wcieleniami” pewnego „bytu” jedyne, który postuluje nowa teoria. I tak dalej. Obiektywizowanie zaś „najświeższych konstruktów” fizyki jest właśnie, gdy się je wyjmuje z kontekstu teorii, typowo fenomenologiczną robotą, bo ujęcie fenomenologiczne jest *ad hoc*, dla „tu i teraz” bez związków z resztą wiedzy; i dlatego w pośpiechu, party imperatywem obiektywizacji, filozof, który by szóstego grudnia obserwował ulice, musiałby na listę „bytów obiektywnych” wpisać po kolei mnóstwo świętych Mikołajów, ażeby mu się utworzył cały ich zbiór statystyczny. Tymczasem to są przebrani nasi znajomi, i podobnie właśnie fizycy gotowi są, jeśli zażądają tego dalsze fakty, uznać, że wektory są „przebraniem” innych jakichś zjawisk. Jeśli filozofowi wystarczy, że jednak dalej „są”, tj. istnieją (obiektywnie, jako „przebrane X”), to

nie ma rady: musi się zgodzić także i na świętego Mikołaja\*. Jeśli nie chce, musi przystać na to, że różne znaczenia „istnień” nie są rezultatem czyjejs perfidii h agnostycyzmu, ale tego, że taki jest świat.

Fikcyjnemu bohaterowi mojej książki, Konstruktorowi, przyszło usłyszeć tu zarzut, klasyczny już właściwie, że nie jest materialistą, a tylko bywa nim; godzi się na obiektywne i niezależne od nas istnienie rzeczywistości, ale za chwilę mówi, że nie wie, czy elementarne cząstki istnieją obiektywnie. Jakże gniewa taka niekonsekwencja filozofa! I jak nielogiczny wydaje się ten, kto, akceptując obiektywność całej rzeczywistości, odmawia jej — tejże rzeczywistości „kawałkom”. A przecież właśnie do takiego poglądu zmusza nas praktyka, ponieważ teorie i ich konsekwencje — treść fizyczna pojęć — zmieniają się, skoro atom z niepodzielnego stał się podzielny, elementarność cząstek — ich nieelementarnością, i nawet nie można powiedzieć, że własności przechodzą tu w swoje przeciwieństwa, w sensie „wewnętrznej sprzeczności” samych zjawisk, bo to my po prostu myliliśmy się, kilkadziesiąt czy kilkanaście lat temu, w kwestii atomu i elementarności. Nie jest przypadkiem, że fizycy używają coraz chętniej pojęć, które wykazują pewną „luźność” ontologiczną, w rodzaju pseudocząstek, pseudodziurek, i podejście „pseudocząsteczkowe” okazało się coraz bardziej powszechnie stosowaną metodą (od „wyjątkowego” zjawiska nadciekłości do zjawisk gazu plazmowego i gazu elektronowego w ciałach stałych). Rzeczywistość istnieje obiektywnie i to jest założenie fizyki, jak w ogóle empirii, ale na pytanie „a jak i czym ona to robi?” padają po sobie odpowiedzi w czasie zmienne. Czy zmienne — aproksymatywnie? Konwergująco? Na ten temat można dyskutować, w każdym razie wydaje się, że zmienność ta nie jest byle jaka, chaotyczna, ale — jakoś, po swojemu — porządna, uporządkowana; daleko jesteśmy od Huygensa, który zadanie fizyki upatrywał w sprowadzeniu „wszystkiego” do przyciągania i odpychania; jednakże praw ewolucji pojęć fizyki, która nie byłaby ani popularyzacją, ani wykładem „wtórnym”, tj. posłusznym notowaniem zmian, jakie zaszły od Greków, nikt nie wyraził, przedstawia się nam transformizm, a nie teorię ewolucji, był tu już Linneusz, ale nie było Darwina. Tu widzę, że jestem na najlepszej drodze do napisania następnej po *Summie* książki, więc zamknę to, co powiedziałem, uwagą o charakterze osobistym. Philosophari necese est, sed valde periculosum. Kiedy p. Eilstein skrytykowała, i słusznie, passus, w którym mówiłem o teorii jako o drabinie do wchodzenia „na górę”, przypomniał mi się ten Mojżesz neopozytywizmu, jakim był Wittgenstein, bo on też kazał uznawać swój *Tractatus* za drabinę, którą, wszedłszy po niej, wciąga się za sobą — zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że ta drabina jest metafizyczna i chciał się jej jakoś pozbyć, ale w ten sposób nie da się uniknąć krytyki, że to, co się mówi, jest bezsensowne właśnie w świetle kryteriów ustalonych przez mówiącego. Moja drabina była inna, teoretyczna, ale też mi nie pomogła; widać jest w drabinach coś fatalnego.

Zauważę wreszcie — zamykając tę „część filozoficzną” — że w polemice z p. Mejbbaumem stałem się w wyższym stopniu konwencjonalistą, aniżeli jestem nim „w normie”. Ale to już rezultat prawidłowości ogólnej; postawa jednego z oponentów nie tylko „polaryzuje” mocniej postawę drugiego, ale zarazem w „ciągłym widmie” sztywności doktrynalnej spycha go z zajmowanego na „skali” miejsca w stronę przeciwną tej, którą zajmuje oponent. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w dyskusji z niejednym diamatykiem (niekoniecznie zaraz aż jednym z autorów pamiętnego *Słownika filozoficznego*) p. Mejbbaum z kolei okazałby się subiektywizującym agnostykiem.

9. Aczkolwiek moja wypowiedź nabiera już kosmicznych rozmiarów, chciałbym, kończąc „definitywnie”, poruszyć jeszcze jedną kwestię — stosunku etyki i technologii, na marginesie recenzji p. Kołakowskiego z *Summy* („Twórczość”, nr 11, 1964). Istotnie, zajmowałem w książce stanowisko, przez p. Kołakowskiego wynotowane, iż etyka jest z technologii niewywiedlna, ale zdaje mi się, że od tego czasu trochę je zmieniłem. Trochę, bo pewna

---

\* Musi zgodzić się na równanie: „Święty Mikołaj istnieje” = „Przebrany wujek wygląda jak święty Mikołaj”.

„wartość” ustalona być musi a priori. Kiedy się cokolwiek robi, a nie jest się martwą masą materialną, posłuszną prawom fizyki, lecz „homeostatem”, można wybierać także między działaniem i niedziałaniem, czyli między trwaniem a ustaniem (gdyby przestać jeść np.). Ale powstawanie wartości jest redukowalne do terminów fizycznych, bo na poziomie sieci neuronowej konflikty wartości są to switching problems, kwestie udzielania „prawa pierwszeństwa”, i można śledzić ich genezę od automatycznego celownika działań przeciwlotniczych, który mając przed sobą dwa naraz cele popada w sytuację konfliktową. Wartości są porównywalne, jeśli dany jest cel dążenia, drogi ku niemu alternatywne, jak również można „wycenić koszty” przebycia każdej w „jednej walucie”, np. energetycznej, informacyjnej albo „jednostek algedonicznych”, gdyby takie istniały.

Dreszcz rozkoszy przeszywa fizykałistę-behawiorystę, kiedy słyszy takie rzeczy. I dreszcz oburzenia — filozofa. Mi się wydaje, że najistotniejsze byłoby ustalenie praktyczny konsekwencji wszelkiego „cybernetyzowania” zagadnień sfery etycznej. A więc, np., czy można próbować z sukcesem wyprowadzania normatywizmów etycznych z empirii, a poszukując — przy pomocy „maszyn strategicznych” — optymalnych rozwiązań dynamicznej konstrukcji „maszyny społecznej”, zakładając jako warunek do spełnienia — jedno tylko, homeostatyczną jej trwałość. Mniemanie, jakoby maszyna musiała dążyć — konstytuując ów „kodeks etyczny” do minimum stopni swobody jednostkowej i zarazem maximum kompulsji zewnętrznej, jako motoru działań osobnika, w interesie całości, mniemanie to jest fałszywe, ponieważ zasada oszczędności środków, stanowiąca z powodów czysto technologicznych wstępną część programu działania uczyni strategię maszyny odmienną od „strategii policyjnej”. Maszyna nie działałaby oczywiście z pobudek „humanistycznych”, ale wyłącznie z takich, z jakich koledzy architekta — który zamiast optymalizować konstrukcję, daje obliczone wytrzymałościowo lekkie stropy i ściany, podpira wszystko belkami i kłamuje — nazwałiby jego robotę partactwem. A więc w pewnej mierze przynajmniej zasada oszczędności środków może zastąpić zasadę „największej życzliwości” (tj. stanowiłaby ona „fizyczny odpowiednik” tej ostatniej). A gdyby mogła uczynić to tylko częściowo, na początek dobre i to. Inna rzecz już, jak ten „optymalny kodeks” wprowadzić w życie, aby to nie wiodło do antynomii (jak można przymusem wcielać w życie zasady dobrowolności działań np.).

Lecz to ledwo pierwszy etap. Na drugim życzylibyśmy sobie, aby maszyna przedstawiła nam taką konstrukcję dynamiczną, taki jej wariant, żeby „zbudowane” według niej społeczeństwo, wskutek powstających w nim prawidłowości dynamicznych, całkiem obiektywnych („maszynowych” w rozumieniu cybernetycznym) „zrodziło” niejako „mimoходом”, a w sposób konieczny, pewien postulowany kodeks etyczny jako praktykę, jako zasady współżycia, i żeby to się stało podobnie, jak w dynamomaszynie, która, uruchomiona, „musi” „rodzić w sobie” prąd elektryczny. Oczywiście, mówimy wciąż o modelach, a nie o realnych społeczeństwach. I zdajemy sobie sprawę z tego, że im więcej w strukturze predeterminacji, im ona bardziej liniowa, tym i „sztywniejsza”, a im mniej sztywna, tym bardziej „niepewna”, w sensie: nie do obliczenia i nie do predykcji. Więc albo struktura „usztynwiona”, lecz trwała, albo niepewna, nietrwała, lecz „luźniejsza”.

Znów mamy więc antynomię, ponieważ „sztywność” oznacza ograniczenia swobód zewnętrzne, czyli restrykcje, które miałyby zrodzić etykę w sytuacji „dobrowolności (życzliwości powszechnej np.) pod przymusem”. A jeśli znosimy ograniczenia, tracimy z nimi pewność, czy rzeczywiście wyniknie z procesów nieliniowych społecznego „gazu ludzkiego” — etyka, jako „moderator zderzeń” tego „gazu”, zoptymalizowana także w stosunku do systemu jako całości (pod względem homeostatycznym). To samo powtórzone na przykładzie z dynamomaszyną: jeśliśmy przyrównali etykę „samorodzącą się” z dynamicznych prawidłowości do prądu — dynamomaszyną może wytworzyć prąd, który ją zniszczy, czyli, wracając do społeczeństwa, od nadmiarowości jakichkolwiek swobód może się rozlecieć cała

struktura systemu albo degenerować w niewiadomym kierunku.

Nie brzmi to zachęcająco. Nie braliśmy dotąd pod uwagę realnego społeczeństwa, w którym jako tako (ale też bardzo jako tako, w sensie „dość byle jako”) funkcjonuje etyka pozytywnie w małych grupach (powiedziałyby ów fizyk-behawiorysta: przejawiają się jej dodatnie wpływy tylko w „słabych oddziaływaniach lokalnych”). Albowiem im większe wchodzi w grę (w rozumieniu nie przenośnym, lecz teorii gier) grupy, poprzez społeczne, aż do bloków Wschód-Zachód łącznie, tym większy staje się wpływ „silnych oddziaływań”, jakimi są rezultaty procesów masowo-topologiczno-samoorganizacyjnych (zaraz to wyjaśnię), który albo słabe oddziaływania w ogóle zacierają (znosi), albo ich ujemną komponentę wzmacnia. Znaczący to po prostu tyle, na obrazowym przykładzie: im mniejszą ilość ludzi, wchodzących z sobą w kontakty z pewną częstością, bierzemy pod uwagę jako układ względnie izolowany, tym mniej ten układ przejawia cech „maszyny” w rozumieniu cybernetycznym (układ o regularnej jakoś sekwencji stanów) zdeterminowanej. A to ponieważ ludzie mogą w tej małej skali postępować także na przekór ogólnemu polu oddziaływań „silnych”, więc może biała kobieta poślubić w Stanach Zjednoczonych Murzyna, może fabrykant podarować fabrykę robotnikom, może pewien ksiądz stale odwiedzać ateistę-przyjaciela bez misjonarskich intencji, może rasista zmienić przekonania itp. Jednym słowem, oscylacje w obrębie małych lokalnych układów mogą być duże — łącznie z diametralnymi zmianami postaw (etycznych). Natomiast jasne jest, że nie podarują wszyscy fabrykanci fabryk robotnikom (ani ich znaczna ilość), nie ukocha Kościół ateistów, nie staną się mieszane małżeństwa w USA normą w najbliższym czasie itp. Jak z tego widać, przekładam pewne elementy socjologii marksistowskiej na cybernetykę fizykalistycznie ujętą. Silne oddziaływania bowiem są tym samym, czym uwarunkowania obiektywnymi prawidłowościami systemowymi [systemu klasowego, kulturowego, więc relacji baza — nadbudowa, jak również procesów pochodnych, takich jak samowzmacnianie się pewnych zjawisk (przebiegi lawinowe, przebiegi typu reakcji łańcuchowej, które się bada na powstawaniu paniki albo zaciętrzewienia fanatycznego, „polowania na czarownicę”, w zmatematyzowanej psychologii grup etc.)]. Otóż „jakoś” tak jest, że „ujemne” komponenty etyki są wzmacniane łatwo — a przynajmniej łatwiej — w polu oddziaływań silnych (wielkiego układu, wielkich systemów), a dodatnie są raczej wygaszane. To „jakoś” wymagałoby naturalnie uszczegółowienia i analizy — co o tyle będzie trudne, a nawet niezmiernie trudne, że pomiędzy „grupami lokalnymi”, które są tylko bardzo względnie izolowane od grup nadrzędnych (rodzina, przyjaciele, środowisko zawodowe jednostki etc.), a układem jako całością dają się jeszcze, po pierwsze, wyróżnić aglomeraty pośrednie (więc jest hierarchia cała systemów pod względem wielkości i złożoności), po drugie, te same jednostki naraz należą do różnych układów (instytucjonalnych, grupowych), a po trzecie, zachodzi krążenie, informacyjne zwłaszcza (ale i materialne, np. dóbr) w całym tym systemie, zwrotne, z pętlami lokalnymi, aż do sprzężeń, jakie łączą obie komponenty układu Wschód-Zachód.

Heurystyka podpowiada, że gdzie przeważa kooperacja, powinno zajść wzmocnienie komponent „pozytywnych” etyki („wszechzyczliwości”), a gdzie przeważa konfliktowość — tam „ujemnych” (wrogość, rywalizacja). Obawiam się, że takie proste to nie jest i że etologia cybernetyczna, gdy się narodzi, będzie miała dość twardych orzechów, aby do ich rozgryzania zażądała budowania maszyn modelujących problemy socjalne, większych od tych akceleratorów cząstek, które zajmują dzisiaj po kilka mil przestrzeni.

Prawda, że te akceleratory buduje się, aby poznać tajemnice materii, co nie jest bez związku z potencjałami militarnymi państw. Socjologów zaś, którzy by też zażądali, w ślad za fizykami, miliardów na „maszyny do modelowania procesów społecznych”, jeszcze nie ma, nie mówiąc już nawet o etologach, którzy są w najlepszym razie Pascalowskimi trzcinieczkami na wielkich wichrach świata. Ale chciałbym wierzyć, że się ta sytuacja

radycznie kiedyś odmieni; i tym akcentem optymistycznym zakończę.

## ROZMYŚLANIA NA ÓWIERĆWIECZE

W roku 1944 miałem 23 lata. Wnet będę miał 48. A więc minęło ćwierć wieku. To istotnie może skłonić do refleksji Na początku tego okresu o literaturze, jako zawodzie, nawet nie myślałem. Nie myślałem o niej zbyt poważnie, nawet kiedy dwa lata później, jako repatriant ze Lwowa i student medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, zacząłem pisać jakieś historyjki. Pisałem je, ponieważ mogłem je sprzedać, a związanie końca z końcem było trudne. Moje intelektualne dojrzewanie w ogóle było bardzo powolne. Najpierw jako maturzysta, tuż przed wojną, nie zdawałem sobie sprawy z peryferyjności mojego kraju. Zapewne tak właśnie nas wychowywano, i dlatego wrześnieowa katastrofa była takim wstrząsem. Do myśli, że Polska jest daleką prowincją świata, zwłaszcza jeśli oglądana z wielkich stolic, dochodziłem opornie. Zresztą, żeby obiektywnie ustalić własne położenie, trzeba znacznego wysiłku. Z wyobrażenia o tym, że znajdujemy się w pewnym środku rzeczy, najtrudniej jest zrezygnować. Toteż nie przez przypadek ludzie sądzili najpierw i to długo, że cały kosmos obraca się wokół ziemi, potem, że w jego centrum tkwi przynajmniej nasza galaktyka. Ale tym razem nie o galaktycznych sprawach chcę pisać. Na początku mojej drogi drukowałem w „Świecie Przygód”, a teraz raczej w „Studiach Filozoficznych”. Zaszedłem dość daleko, zwłaszcza jeśli liczyć podług takiej skali. Ale nie zaszedłem sam. Kraj też ruszył z tego dołu, w którym tak długo tkwił. Oczywiście, to musi być dopiero początek. Obecnie wiele mówi się o patriotyzmie. Ale jeśli to by znaczyło, że patriotą jest ten, któremu wszystko w ojczyźnie się podoba, to patriotą nie jestem. Podoba mi się tylko generalny kierunek ruchu. Z masą zastrzeżeń, adresowanych przeważnie do tego, co nazywa się charakterem narodowym. To nieprawda, że wielkie przewroty społeczne i historyczne kompletnie odcinają naród od dawniejszego jego charakteru. Przeciwnie nawet, bo może musi być tak, że przywary zrazu się rozpowszechniają. Widzę ich wiele dokoła, a walki z nimi mniej, niżby sobie należało życzyć. Czasem myślę, że najważniejsze jest, w dzisiejszym świecie, dostać się wreszcie na miejsce startu, zostać jako naród chwyconym w karby ruchu postępowego, a już sam rozwój tak zwanej „bazy” z czasem zrobi swoje. Ale nie jestem pewien, czy na takim automatyzmie można polegać. W latach pięćdziesiątych, usiłując nagiąć samego siebie do tego, co budziło najpoważniejsze zastrzeżenia, wymyśliłem na prywatny użytek teorię, że jeśli nawet budowanie nowej Polski nie idzie na zdrowie kulturze, to z tym trzeba się pogodzić, jako z fenomenem przejściowym. Bo szkoły, fabryki, drogi, kopalnie pozostaną, a politykę kulturalną można zmienić. Ale wiem teraz, że to była teoria fałszywa. Kultury nie można po prostu powstrzymać, a potem uruchomić, jak zegara. Kultura zatrzymana jest kulturą zniszczoną. Odrodzenie musi być procesem powolnym i trudnym, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę warunki startu. Wojna zniszczyła nam nie tylko nasz i tak ubogi majątek, ale zniszczyła też wielu ludzi, których już się nie dało zastąpić. Nie każdego człowieka można zastąpić. Zwłaszcza w kulturze: tyle, że tego, w skutkach, nie dostrzega się ani łatwo, ani od razu. Można przez to dojść do przekonania, że kultura stanowi w życiu narodowym rodzaj albo luksusu, albo przyjemności, z której jeśli się rezygnuje, bywa to nieco przykre, zwłaszcza ambicjonalnie, względem innych narodów, ale nic strasznego wyniknąć stąd nie może. To jest mała prawda, na lata, i straszliwy fałsz na okres długi. Mówiąc tak, myślę o wielu rzeczach naraz. Pracuję teraz nad książką o futurologii. Jestem obłożony odpowiednią literaturą. Mogę się uważać sto razy za obywatela świata, propagować „galaktocentryczną postawę”, ale nic nie poradzę na to, że jest mi przyjemnie, kiedy w tabelach i wykresach pokazujących stany roku 2000, a sporządzonych w Hudson Institute, widzę Polskę wśród krajów czołówki. Europejskiej, co prawda, nie aż światowej; na czele mają się znajdować Stany Zjednoczone, Japonia, ale już to, że Polska się w ten sposób liczy, że tak jest traktowana, nie może nie cieszyć. W świecie, do którego idziemy, powstaje podział, dawany

potencjałem przemysłowym i państwową samowystarczalnością. Oczywiście, kooperacja, koegzystencja, ale kooperować i koegzystować można tylko, jeśli się ma po temu warunki. Takie są moje pociechy. Należy do nich także mój własny dorobek. Nie wszystko w nim jednakowo cenne, zapewne. W każdym razie ośmielam się liczyć na trwałość przynajmniej niektórych pozycji. To wydaje się najważniejsze na własnym podwórku. Natomiast troską napawa stan kultury. Mamy do zanotowania straty spowodowane konfliktem typowo politycznym, straty, na które po prostu nie możemy sobie pozwolić. Kiedy jest energetyczny szczyt, nie można wyłączać wielkich elektrowni, bo sieć tego nie wytrzyma. A kiedy szczytuje wyż demograficzny, potrzebni są wszyscy, którzy tworzą wartości nieprzeliczone bezpośrednio na walcówkę i na węgiel. Nie myślę tu o żadnych konkretnych ludziach. Są wśród nich tacy, z którymi polemizowałem, ale w skali globalnej to nie jest ważne. Może z jeszcze większym nawet niepokojem notuję zjawiska, których nie rozumiem do końca. Jestem znany jako pisarz w wielu krajach. Poczta (która jest moją zmorą i wyrzutem sumienia) przynosi mi listy także od startujących kandydatów na pisarzy, z różnych stron. Tylko nie z Polski. Wiem, że nie stanowią tu wyjątku: pytałem kolegów. Młodzi nie próbują się nawet zwracać do starszych, jakby starsi nie mieli im nic do przekazania i nic do powiedzenia. Jakby nie istnieli dla nich, jakby ich nic nie obchodzili. A równocześnie wykazują ci młodzi okropne lenistwo. W pismach literackich panuje styl albo plotki, zrozumiałej dla stu wtajemniczonych z Warszawy (do których nie należę, przez co też perły aluzji, zawarte w wielu publikacjach, uchodzą mojej uwadze), albo wielkiego zadęcia. Jedno i drugie jest wyrazem kompletnego nieautentyzmu. Zapewne — to nie jest stan, który siebie sam urodził, takich zjawisk w społeczeństwie nie ma, wszystko posiada swoje konkretne przyczyny. Ale jeśli się rzeczy nie zmieniają — a na pewno nie mogą ulec zmianie z dnia na dzień — epidemia ignorancji będzie się szerzyła wśród tych, którzy winni stanowić następne ogniwo łańcucha, podtrzymywać ciągłość kulturowego rozwoju. Lecz jeśli ktoś sam nic nie wie i niczego nie rozumie, to wszelkie jego pisanie musi być pustką. Dziwna rzecz, niemal cały kraj się uczy, w technikach, na wyższych uczelniach, na kursach, tylko kandydaci literatury nie uważają tego za swój obowiązek. Wyjątki potwierdzają regułę; ogólnie bowiem panuje intelektualna posucha.

Można, być może, uważać, że to jest stan przejściowy, który minie, że chodzi o czasową zapaść. W końcu wydaje się książek więcej niż przed jaką dekadą, powiedzmy. Przygotowuje się natarcie masówek. Ale jak każda maszyna przekazu informacyjnego, jak telewizja, jak radio, także i poligrafia jest tylko kanałem przesyłowym, a nie treścią, którą ten kanał przepuszcza. Nie żyjemy w średniowieczu i nie uważamy, że choroba to coś takiego, jak dopust Boży, że jak sama przyszła, tak sama odejdzie. Choroby trzeba rozpoznawać i leczyć. Kiedy zboże nie obrodzi, lukę można zapełnić importem, chociaż to godzi w budżetową równowagę. Ale kiedy brak własnych treści, własnych książek, import może je tylko częściowo zastąpić. Na tym polu jestem już nacjonalistą zdeklarowanym: ani Francuzi, ani Anglicy, ani Rosjanie, nikt nie może pomóc nam w łataniu kultury narodowej, tę muszą tworzyć Polacy dla Polaków, przy czym kiepska jakość oznacza powstawanie w kulturze dziur. Źle wypieczony chleb jest dalej kaloryczny, ale jak w ogóle nie jest kiepska produkcja naukowa — nauką, tak nie zalicza się kiepska literatura — do literatury. Nie jest ona neutralna, nie jest tylko okazjonalną przykrością, jest ona szkodą. Na tym polu mamy straty i jeśli coś takiego jak patriotyczny obowiązek w dziedzinie kulturowego rozeznania istnieje, to dzisiaj polega on na tym, aby rzecz tę wyraźnie powiedzieć. Pociechy są, istotnie, ale gdzie indziej; i jak deficytu energetycznego nie wyrówna nadmiar produkcji żywca, tak deficytu informacyjnego nie wyrówna nic — poza przyływem ożywczej informacji właśnie. Oportunizm mści się tutaj, ponieważ odrabianie zaległości bywa tym trudniejsze, im dłużej zapoznawane.

Spółeczeństwo może istnieć dzięki temu, że współistnieją w nim różne specjalności. Moje zawodowe poszerzałem w ciągu lat; nie jestem jednak uniwersalnym fachowcem. Toteż nie twierdę wcale, jakobym doskonale wiedział, co takiego należy efektywnie zrobić, żeby nam kultura skoczyła, tak jak nam skaczą poszczególne wskaźniki produkcji. Wszystko, co sam mogę, to robić swoje. Mogę przedstawiać rozliczenia za miniony czas: tyle a tyle książek, w takich a takich nakładach, tyle a tyle tłumaczeń na języki obce itd. Ale nie jestem takim wariatem, żeby sądzić, że gdybym pracował jeszcze dziesięć razy wydajniej, ja i ta garstka ludzi, co sądzą, że należy mierzyć siły na zamiary, to tym samym już mielibyśmy załatwioną problematykę dalszych perspektyw rozwoju narodowej kultury. Jeżeli jest zgodne z tradycją — przy okazji dojsia do okrągłej liczby lat — świętowanie takiej rocznicy i jeśli mamy podstawy do satysfakcji z owej pracy, której terenem był kraj w minionym ćwierćwieczu, to roztropność nakazuje porozdzielać role. Prognoza futurologiczna na rok 2000 nie jest tak zwaną samorealizującą się prognozą. Jest szansą, którą można wykorzystać. To wszystko. Konflikt polityczny, jakiego terenem stał się w ubiegłym roku kraj, był, powiedziałem, zbyt kosztowny w kulturowych skutkach, jak na nasze możliwości. A to tym bardziej, że sama struktura funkcjonowania narodowej kultury nigdy nie była właściwa. Przypadłości na tym polu są starsze niż nowy ustrój Polski. Co to znaczy, że obecnie pojawia się mozolna rekonstrukcja powieści z dwudziestolecia międzywojennego, której nigdy nie wydano i która zaginęła? Co to znaczy, że trzeba więcej niż ćwierci wieku, aby się szanowne zagranice zainteresowały różnymi Witkiewiczami czy Schulzami? Co to znaczy, że dzieło polskiego filozofa, też z dwudziestolecia pochodzące, zyskało sobie światowe uznanie, ponieważ on je po niemiecku napisał? Że nie mamy monograficznych opracowań wielu wielkich własnych pisarzy? Że często w naszych dziejach najlepsze polskie mózgi zasilaty nie narodowy potencjał intelektualny, ale szansę promieniowania na świat zyskiwały poprzez emigrację, pozostawiając ojczyznę jako prowincję przez uboższych krewnych zamieszkałą? Znaczy to, że skłócenia rywalizacyjne, że personalne animozje, że wręcz zwykła głupota, jako zaślepienie lub jako ślepotą intelektualnego rozeznania, podług najstarszych warcholskich tradycji, uniemożliwiały systematyczne rozpoznawanie wartości powstających w kraju, bo prywata stawala nad ogólnonarodowym interesem. Skoro zaś tych wartości sami rodacy nie szanowali, skoro ich nie propagowali i nie rozpowszechniali, skoro nie było bezinteresownych mechanizmów transmisyjnych, to jakże wypada narzekać na to, że obcy za mało nas szanują? Systematyczność nazwanych zapóźnień, strat, potrzeba rekonstruowania tak życiorysów ludzi, jak ich dzieł, co przepadły, poświadczają istnienie głębokiej nieomogi, na którą już żadne administracyjne zarządzenia ani żadne nadzwyczajne luzy kreacyjne nic by nie pomogły.

Chodzi o naród przeszło trzydziestomilionowy, niewątpliwie utalentowany i niewątpliwie szczodroblivy — w marnowaniu wartości, imponderabilia stanowiących tylko *przez* jakiś czas. Gdyż owe walory są „nieważkie” właśnie tylko, jeśli nie rozpoznawane; trwałość polskiej sławy, polskiego imienia w świecie, jaką można by zawdzięczać szczytowym intelektualnym dokonaniom, jest większa niż każda inna forma rozgłosu i dlatego wcale nie jest powodem do dumy pokazywanie zagranicy tekstów takich twórców nieżyjących, którzy prekursorami byliby na skalę globu właśnie ćwierć wieku temu, a obecnie mają nam, żyjącym, posłużyć za przepustkę na umysłowy Olimp świata. To naprawdę nie są sytuacje uprawniające do jakiegokolwiek chwalby. Nie chodzi wcale o takie nieomaganie diagnostyki rodzących się w kraju wartości, które byłoby podległe jakiegokolwiek szybkiej terapii. To jest właśnie słabość umiejscowiona w jakimś punkcie tworu, który zwie się charakterem narodowym — słabość manifestująca się w polu twórczych wysiłków poznawczych i artystycznych jednakowo. Godzi się pomyśleć o tym wszystkim w rocznicę odzyskania niepodległości, a w nadziei, że historia zaoszczędzi nam już na zawsze świętowania odzyskań



następnych.

*Kraków, w styczniu 69*

Przedruk z: „Miesięcznik Literacki” nr 4 1969

## NAUKA ZIEMSKA I CYWILIZACJE KOSMICZNE

Problem cywilizacji kosmicznych wszedł na drogę poważnych, rzeczowych dociekań kilkanaście lat temu, kiedy w środowisku astrofizycznym uświadomiono sobie możliwość nawiązania łączności na dystansach międzygwiazdnych, i to używając takich środków technicznych, jakie (przynajmniej w pierwocinach) i już teraz stosuje się w astrofizyce. Problem ten, przyznajmy, miał swoje antecedencje w poprzednich wiekach, lecz jeśli nawet rozważali go uczeni, a nie filozofowie lub zgoła fantaści, nie stał się wówczas niczym nad osobliwe hobby takich jednostek, jak sławetny odkrywca kanałów na Marsie — Schiaparelli. Tak więc obecnie techniczna szansa obserwacji, powiadamiającej o istnieniu „braci w rozumie” człowieka, była pierwszym impulsem prac fachowych, których bibliografia przedstawia się dziś wcale imponująco. Można zwrócić uwagę na pewną odległą co prawda paralełę zjawiska, mianowicie na narodziny mikrobiologii, ponieważ nie biologowie, niejako zawodowo predysponowani do zajmowania się zjawiskami wszelkiego, więc i mikroskopowego życia, ale optycy amatorzy (jak np. Leuwenhoeck), którzy budowali pierwsze mikroskopy, dokonali odkrycia bakterii i reszty żywego świata, niedostrzegalnego nie uzbrojonym okiem. Podczas jednak gdy pierwsi konstruktorzy mikroskopów rychło przekazali całą dziedzinę mikrobiologii przyrodowcom, bardziej kompetentnym, fachowo, sprawa cywilizacji kosmicznych po dzień dzisiejszy jest niejako monopolem astrofizyków. Zjawisko to powinno wydawać się przynajmniej o tyle dziwaczne, że wszelka próba uważniejszego roztrząsania problematyki kosmiczno–cywilizacyjnej rychło wikła się w mnóstwie kwestii, pod każdym względem obcych dla astronoma jako specjalisty. Z racji bowiem uprawianej specjalności astronom jest niezaprzeczalnym autorytetem zaledwie w dwóch segmentach tego kompleksowego zagadnienia, a mianowicie w zakresie fizyki łączności międzygwiazdnej oraz w zakresie teorii planetarnych systemów i ich obserwacji. Natomiast zagadnienia warunków spełnianych ekosferycznie dla umożliwienia narodzin życia oraz jego naturalnej ewolucji, gradientów tejże ewolucji, mających zmierzać ku powstawaniu coraz bardziej złożonych organizmów, z rozumnymi na czele, prawidłowości dynamiki socjalnej rozwoju stworzeń rozumnych, a zwłaszcza jego fazy naukowo–technicznej, razem z mnóstwem problemów jeszcze bardziej specjalnych, ale dla sedna sprawy nie mniej doniosłych (np. dotyczących motywacji wszelkich prób nawiązania łączności) — wszystko to niewątpliwie wymyka się spod kompetencji astronoma tak z racji jego wykształcenia i przygotowania zawodowego, jak i z powodu niezwyklej wagi zagadnienia. Zarówno bowiem pod względem zawartości treściowej, jak struktury, wszystkie hipotezy skierowane na problem cywilizacji kosmicznych różnią się w bardzo istotny sposób od tych hipotez oraz praktyk heurystycznych, jakimi tradycyjnie operują astronomia i astrofizyka. Różnica ta wyrażona lapidarnie sprowadza się do dystynkcji pomiędzy wykrywaniem zjawisk naturalnych, generowanych przez materię ukształtowaną rozmaicie, lecz zawsze nieożywioną, a wykrywaniem zjawisk o charakterze intencjonalnym, bez względu na to, czy będą nimi sygnały sensowne, wysyłane przez istoty żywe, czy też obiekty instrumentalnych prac owych istot (oraz, ewentualnie, dostrzegalne skutki bytowania w kosmosie owych sztucznych obiektów).

To, że przedstawiciele dyscyplin bardziej kompetentnych nie próbują w zasadzie przejść od astrofizyków i astronomów problematyki cywilizacyjnej, a jedynie (jak np. lingwiści) godzą się współpracować z nimi w tej dziedzinie, można tłumaczyć w ten sposób, że nasza realna, na faktach obserwacyjnych stojąca wiedza o cywilizacjach kosmicznych równa się zeru. Tak więc stanowisko zachowawcze, ową rezerwę tych naukowych dyscyplin, które powinny by z racji specjalności uczestniczyć w badaniach, można dobrze usprawiedliwić. Zresztą nawet w samym środowisku astrofizycznym ludzie zajmujący się sprawą cywilizacji

kosmicznych stanowią znikomą mniejszość.

Wydaje się natomiast, że istnieje dyscyplina, która od samego początku powinna partycypować w omawianym przedsięwzięciu. Mam na myśli tę gałąź naukoznawstwa, która systematycznie zajmuje się wszechstronnym badaniem wszystkich możliwych teorii naukowych, poszukując typowych prawidłowości ich powstawania i obumierania, potwierdzania i obalania, a także wiodących w danym czasie modelowych struktur myśli naukowej.

Hipotezotwórczość w temacie cywilizacji kosmicznych powinna być dla naukoznawstwa dlatego cennym obiektem badań, ponieważ różnorodność opinii na ten temat, dorównująca jedynie różnorodności poglądów na temat postrzegania pozazmysłowego, tworzy wyjątkową sytuację dla nauki, gdzie przy kompletnym braku faktów najzupełniej pewnych, czyli takich, których ogół badaczy nie kwestionuje, trwa przecież konstruowanie teorii naukowych. Taka sytuacja jest dla nauki empirycznej tym, czym dla oka sytuacja doskonałej ciemności; to, co oko w niej wówczas widzi, nie jest sygnałem pochodzącym z zewnątrz, lecz jedynie czystą pracą „luzem” mechanizmów optycznych naszego ustroju.

To owa praca „luzem” sprawia, że oko dostrzega pewne plamy, fantazmaty, a badanie ich pozwala z czasem lepiej zrozumieć sam mechanizm zmysłu wzroku od gałki ocznej aż po korę mózgową. Tak jak pogrąża się oko w doskonałym mroku, tak też nauka pogrąża się w doskonałej niewiedzy jako stanie zerowym nasycenia faktami obserwacyjnymi, kiedy przystępuje do rozważenia ewentualnego bytu oraz jakości tego bytu — cywilizacji kosmicznych. Dla naukoznawcy jest to sytuacja bardzo cenna. Uczony bowiem nie może się wewnątrz niej kierować niczym innym jak tylko wszystkimi owymi dyrektywami naczelnymi i założeniami często przemilczanymi, często wręcz do nieuświadomienia intuicyjnymi, które powodują jego myślą w postępowaniu hipotezotwórczym. Ponadto naukoznawca mógłby dostarczyć astrofizykom oraz innym uczonym pochłoniętym problematyką cywilizacji kosmicznych pewnych generalnych wskazań w zakresie poprawności budowania hipotez na ten temat, poprawności dlatego wzorcowej, ponieważ została wypróbowana w niezliczonych dziedzinach takiego badania, w których i faktów było mnóstwo, i prace zaowocowały mocno potwierdzonymi, a zatem cennymi, teoriami.

Na temat cywilizacji kosmicznych zwykło się wypowiadać w ten sposób, że najpierw streszcza się historyczne kształtowanie zagadnienia, a potem przedstawia poglądy większości zainteresowanych badaczy, dodając ewentualnie, jaki pogląd reprezentuje sam piszący. Od zwyczaju tego chciałbym niniejszym odstąpić jak najdalej. W omawianym temacie dlatego nie ma żadnych autorytetów i, co za tym idzie, nie ma na kogo się powoływać jako na instancję ostatecznego odwołania (tj. rozstrzygnięcia o prawdzie, fałszu lub wiarygodności pewnej tezy), ponieważ autorytetem w nauce jest ten, kto poznał najwięcej faktów i dochodził ich najskuteczniej działającego jako predyktor uogólnienia (czyli naukowej teorii). Lecz tam, gdzie właśnie nie ma faktów niezbitnie ustalonych, tym bardziej nie mogą istnieć silnie wiarygodne teorie, toteż można ewentualnie rościć sobie pretensje do statusu autorytetu w zakresie hipotezotwórstwa, będąc naukoznawcą, który bada postępowanie uczonych, ale nie można chcieć uchodzić za znawcę cywilizacji kosmicznych, albowiem takowych nikt nigdy nie widział, kontaktu z nimi nie nawiązał, obiektów będących skutkami ich prac nie dostrzegwał itd. Ustalenie, że w naszym temacie żadnych autorytetów nie ma, uważam za doniosłe. W sytuacji niewiedzy tak wyjątkowo wielozakresowej, jak w tym zagadnieniu, rzeczą wstępnie najważniejszą jest ustalenie, czy dotychczasowe hipotezy wyczerpują zbiór wszystkich możliwości realnych. Rzeczą zgubną może być wszelkie zawężanie pola dociekań poprzez formułowanie określonych mocnych restrykcji. Zawężając tym sposobem a priori pole dalszych poszukiwań, można łatwo wylać dziecko z kąpielą i zapaść się w ślepią uliczkę koncepcji po prostu całkowicie dowolnych. W takim wypadku już może byłoby lepiej nawet decydować o istnieniu bądź też o nieistnieniu cywilizacji kosmicznych poprzez

ciągnięcie z kapelusza, sposobem loteryjnym, kartek z różnymi hasłami („Istnieją” — „Nie istnieją” — „Jest ich wiele” — „Jest mało” etc.).

Na czym bowiem właściwie opierają się ci, którzy śmia w naszym temacie wypowiadać sądy apodyktyczne, że np.

cywilizacje rodzą się w kosmosie często, ale będąc układami samozgubnymi niezwykle krótko bytują (von Hoerner), że cywilizacje te, choć mogą bytować astronomicznie długo, powstają niesłychanie rzadko, jako niebywałe wyjątki z żelaznej reguły martwoty całego wszechświata? Hipotezy takie opierają się ostatecznie na tej wersji prawdopodobieństwa uwikłanych w sprawę czynników, którą konkretny autor hipotezy uprzywilejowuje. A czym się powoduje w takim wyborze rozkładu probabilizmów? Ustalonym przez siebie, czysto intuicyjnym, subiektywnym prawdopodobieństwem, które z obiektywnym prawdopodobieństwem, jedynie uprawnionym do bytowania w nauce, nie ma nic wspólnego. To, że hipotezy na nasz temat są tak kontrowersyjne, przede wszystkim trzeba przyjąć do wiadomości. Sytuacja, w której nawzajem oponują sobie tak mocno kolizyjne przeświadczenia subiektywne, wynika, rzecz jasna, z braku tego powietrza nauki, jakim dla niej są fakty dostrzeżone. Sytuacja ta nie śmie jednak wyrodnieć w rojowiska nieprzywiedlnych stanowisk, które nawzajem się jałowo znoszą, z konieczności bowiem prowadziłoby to do nastania sporów, przypominających niemile spory średniowiecznych scholastyków. Nie jest tedy sprawą rozsądku opowiedzenie się — podług osobistej opinii piszącego — po stronie „cywilizacyjnych pesymistów” czy na odwrót — „optymistów”. Sprawą rozsądku jest skonstatowanie najpierw rozpiętości stanowisk, następnie rozważanie, czy artykułowane z owych stanowisk hipotezy istotnie wyczerpują zbiór możliwości realnych, i wreszcie — last but not least — sumienne stwierdzenie, czy owe hipotezy nie wynikają z takich milcząco przyjmowanych założeń, które są albo dowolne, albo wręcz przedstawiają nowowieczne wcielenia antropomorfizmu czy też kulturocentryzmu jako czynników urabiających i nakierowujących intelektualny wysiłek badaczy.

Właśnie wydaje się, że w naszej sprawie można wykryć niemało wstępnych założeń, niekoniecznych albo dla samego problemu wręcz poznawczo niebezpiecznych, nie wyrażanych jawnie dlatego, ponieważ są uznawane widać za bezwzględne, uniwersalnie ważne oczywistości. Tymczasem historia nauki przekazuje nam, że największe rewolucje i rewelacje wynikały zazwyczaj z zakwestionowania tego, co dotychczas uznawano za trywialną wręcz oczywistość. Tak np. „oczywiste” pojęcia absolutnej równoczesności fizycznej zdarzeń musiało być obalone, aby mogła się narodzić teoria względności.

## II

Uważam za cenne, dla roztrząsania naszego problemu nieobojętne, wykrycie tych wszystkich presumpcji (stronniczości nie uświadamianych), jakie można rozpoznać w historii astronomii na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Myślę, że dałoby się ich odnaleźć więcej niż tylko te, jakie wymienię. Lecz nie opieram się na systematycznych badaniach porównawczych, a tylko na przelotnych własnych spostrzeżeniach. Generalna prawidłowość rozwoju modeli ciał niebieskich i modeli całego kosmosu, które astronomia historycznie tworzyła, daje się określić jako wyjściowy geocentryzm badaczy. Geocentryzm ten przejawiał się w planeto—logii tak, że modele planet, zwłaszcza zaś Wenus i Marsa, nie tworzą zbioru, w którym panuje rozrzut losowy, ale stanowią zbiór, którego elementy (czyli kolejno tworzone obrazy planet) są tym bardziej ziemiopodobne, do im wcześniejszych okresów astronomii się cofamy. Planety obserwowano za pomocą przyrządów, a pomiary wykonywane w toku obserwacji odznaczały się zawsze błędem, którego przedział można było z grubsza ustalić. Astronomowie opierając się na takich danych konstruowali modele planet, uprzywilejowując takie modele, które czyniły planetę ziemiopodobną tak bardzo, jak na to tylko przedział wartości błędu obserwacyjnego pozwalał. Wynikiem było to, iż systematycznie przeceniano gęstość atmosfery Marsa i na odwrót, tak samo systematycznie nie doceniano gęstości atmosfery Wenus. Wobec tego uporczywie trzymano się hipotezy, jakoby polarne czapy Marsa były ze śniegu (jako wody zamrożonej), a nie z pewnych tlenków węgla. Dlatego też zmiany zabarwienia, jakie podczas pór roku przechodzi powierzchnia Marsa, interpretowano jako wynikające z takich przekształceń, które są typowe dla ciała pokrytego jak Ziemia roślinnością. Przeceniano też wyjściowo zawartość wody i tlenu w atmosferach tych planet. Tak się przejawiała stronniczość badaczy często, by tak rzec, odruchowa. Jakkolwiek naturalnie żaden z nich takiego postulatu by nie sformułował, przecież milcząco wszystkim budowanym modelom. zdawała się asystować wiedza o Ziemi, traktowanej jako pewien „wzorzec”, jako pewna „norma” własności ciała planetarnego. Zresztą przekonanie o obecności życia na Marsie, a nawet życia rozumnego, było tak rozpowszechnione wśród elit intelektualnych ubiegłego wieku, że powstawały wtedy nagminnie projekty podejmowania działań, w których wyniku miało się sygnalizować Marsjanom obecność na Ziemi istot rozumnych. Znany był np. projekt Gaussa (1820 r.), aby w okolicach ‘równikowych utworzyć olbrzymie uprawy rolne o formie trójkątów albo inny — sporządzenia ogromnego kanału o formie dokładnie kołowej. Na powierzchnię wody w kanale miało się wylać ropę naftową i zapalić ją, aby tak powstała płomienista obręczka mogła być z Marsa dostrzeżona. Nie będę się tu rozwodził nad sprawą kanałów Marsowych, o których się dzisiaj pisze jako o ciekawostce czysto historycznej, ponieważ jest to zagadnienie dobrze znane; jednak zajmowało ono w dawniejszych podręcznikach astronomii obserwacyjnej większość miejsca poświęconego tej planecie. Model Marsa, konstruowany przy założeniu obecności tam kanałów, uderzał w rozmaite empirycznie nonsensy. Tak np. już w chwili wykrycia przez Schiaparellego kanałów wiedziano skądinąd, że po to, aby były z Ziemi dostrzegalne, muszą mieć co najmniej 400 km szerokości. Zarazem wiadomo było, jak szybko znikają wraz z nadejściem wiosny białe polarne czapy Marsa. Przy znanym jego napromieniowaniu czapy te nie mogły składać się z grubych mas śniegowych; myśl o olbrzymich kanałach, które miałyby rozprowadzać wodę powstałą z tajania czap polarnych, była zatem sprzeczna, jako że dla nikłej ilości wody niepotrzebne byłyby tak olbrzymie urządzenia. Zresztą zagadkowość tych obiektów powiększały różne zjawiska tajemne, np. powstawanie kanałów podwójnych. Wszystko to, jak już na pewno wiemy, było po prostu złudzeniem wzroku, wynikiem pracy oka, działającego na granicy rozdzielczości obiektów postrzeganych. Lecz charakterystyczna jest znów uporczywość, z jaką do hipotezy kanałów różni badacze wciąż powracali, oraz wręcz jawny żal, z jakim się przychodziło astronomii i z

ową hipotezą definitywnie rozstać.

Geocentryczną stronniczość można wykryć jednak nie tylko w planetologii. Tak np. zarówno kolejne szacowania wieku Ziemi, jak i rozmiarów kosmosu wykazują pewien określony, prawie liniowy trend o następującej charakterystyce. Jeszcze u schyłku ubiegłego wieku przypisywano Ziemi wiek rzędu kilkuset milionów lat, a odpowiednio sądzono, że życie na niej rozwijało się od ok. 400 mln lat. Gdy chodziłem do szkoły, tj. w latach trzydziestych, uczono mnie, że wiek Ziemi wynosi 2 mld lat, a wiek jej biosfery — około miliarda.

Obecnie uważa się, że Ziemia liczy co najmniej  $4\frac{1}{2}$ , jeżeli nie aż 5 mld lat istnienia, a życie na niej trwa grubo ponad 2 czy nawet  $2\frac{1}{2}$  mld lat. Odpowiednio też (choć w zupełnej niezawisłości od tej sekwencji oszacowań) „powiększali” stopniowo astrofizycy promień kosmosu (jeśli naturalnie stali na stanowisku kosmosu skończonego). Promień ten „wydłużono” wcale poważnie raz w pierwszej ćwiartce naszego stulecia, a powtórnie — w latach pięćdziesiątych.

O czym te wszystkie tendencje razem wzięte świadczą? Świadczą one o tym, że tzw. „hipotezy zerowe”, „hipotezy minimalne”, jakie nauka przykłada na samym początku badań do obiektów jeszcze nie znanych, nie są względem tych obiektów adekwatne i z reguły nie doceniają ich faktycznej różnorodności. Wyjściowo więc zdaje się nauka przyjmować (milcząco!) założenie, że „Ziemia nie jest bardzo stara”, że „kosmos nie jest bardzo wielki”, że planety „nie są za bardzo różne od Ziemi” itd. I dopiero pod naciskiem kumulujących się, precyzowanych danych obserwacji i pomiaru przeprowadza się odpowiednie rewizje modeli zbyt prymitywnych, zbyt ciężących ku skali tego, co ziemskie. Warto w tym kontekście postawić pytanie: a czy szacowane dzisiaj parametry średnicy wszechświata, wieku Ziemi, fizycznych cech planet i inne, tu nie wymienione, już ustalono ponad wątpliwość dokładnie podług tego, co jest obiektywnym stanem rzeczy? To, jakobyśmy mieli dysponować definitywnymi danymi we wszystkich owych sferach, wydaje się wielce wątpliwe. Toteż nie był tak całkowicie absurdalny żart pewnego znanego matematyka rosyjskiego, który powiedział mi, że podług kolejnych oszacowań wieku Ziemi można nakreślić krzywą, pokazującą, w którym roku odległej przyszłości wiek ten będzie uznany za nieskończenie długi...

Powyższy ogląd „z lotu ptaka” tendencji o obrębie astrofizyki obserwacyjnej i teoretycznej nie może być obojętny dla problemu cywilizacji kosmicznych. Jeżeli bowiem stronniczość badaczy nieświadomiona przejawiała się tam, gdzie przecież dysponowano środkami obserwacji bezpośredniej lub chociaż pośredniej, gdzie można było wykonywać pomiary, robić zdjęcia fotograficzne, badać widma, albedo itd. — jakiej dopiero nieświadomionej stronniczości, jakiej wstępnej presumpcji możemy spodziewać się w temacie odnoszącym się do obiektów, jakich nikt nigdy nie obserwował, z jakimi nikt się nie kontaktował, ponieważ samo ich istnienie jest czysto hipotetyczne? Przy budowaniu hipotez na temat cywilizacji kosmicznych przyjmuje się bezdyskusyjnie pewne założenia, które teraz wymienimy. Zaczniemy przy tym od szczegółowych dyrektyw interpretacji materiału obserwacyjnego, by przejść do dyrektyw najbardziej uniwersalnych.

A. Uznaje się, że rozkład cywilizacji kosmicznych wewnątrz naszej galaktyki jest zasadniczo równomierny, czyli że ich gęstość na jednostkę miary — np. na jeden sześcienny parsek — jest stała. Presumpcji tej zazwyczaj tak się nie wyraża, lecz o jej mocnym uwzględnieniu świadczy fakt, że przyjęte obecnie mniemanie, jakoby przeciętny między cywilizacyjny dystans na pewno przekraczał dziesięć lat świetlnych i mógł wynosić nawet więcej niż sto lat świetlnych (zdaniem niektórych autorów tysiąc), oparte jest wyłącznie na nieobecności wykrywalnych z Ziemi nadajników w promieniu co najmniej kilkunastu lat świetlnych od Ziemi. Skądinąd atoli jest przecież możliwe, że nasz układ słoneczny znajduje się w swoistym „rozrzedzeniu lokalnym” i przez to wnioskowanie o cywilizacyjnej gęstości

całej galaktyki podług cech ziemskiego pobliza kosmicznego przedstawia sytuację analogiczną do takiej, w której ktoś na Saharze, zbadawszy pustkę tej pustyni, uznaje, że na Ziemi nie ma żadnych znacznych skupisk ludzkich. Presumpcja ta jest jednak metodologicznie poprawna: zawsze bowiem, ilekroć przystępujemy do badania zbioru obiektów nieznanych, zetknąwszy się z pierwszym obiektem tego zbioru zakładamy, że jego własności są typowym uśrednieniem własności wszystkich elementów całego zbioru. Sąd taki może być obalony dopiero dzięki wykryciu innych elementów zbioru, które nie mają własności pierwszego obiektu. Mimo iż presumpcja ta jest poprawna, jest jednak równocześnie mocno ryzykowna, tj. niepewna i wymagająca dalszych potwierdzeń w materiale obserwacyjnym. Można więc wniosek o rozrzedzeniu cywilizacyjnym całej galaktyki uważać za hipotezę tymczasową.

B. Uznaje się powszechnie, że każde zjawisko astrofizyczne, spostrzeżone a niezrozumiałe — nie dające się wyjaśnić znanymi nam już mechanizmami fizycznymi, nie może być uznane przez samą swoją niezrozumiałość za przejaw rozmyślnej działalności (więc np. za sygnalizację intencjonalną albo za objaw „prac inżynierii gwiazdnej”), ale winno być uznane za taki fenomen naturalny, którego mechanizmów przyczynowych jeszcze nie znamy. Przez posłuch dawany tej dyrektywie nie wolno zjawisk o nieznanym mechanizmie — np. periodycznego, cirkadialnego oscylovania mocy emisji grawitacyjnych fal z centrum galaktyki albo wyglądu pewnych mgławic dalekich lub pulsarów czy kwazarów — uznawać za urzeczywistnienie intencjonalnej sygnalizacji dopóty, dopóki nie uda się pozytywnie wykazać, że takie zjawisko jest rzeczywiście sygnałem. Nastąpiłoby to dopiero wówczas, gdyby zjawisko takie, potraktowane jako kod informacyjny, jako zaszyfrowane przesłanie, udało się rozłamać, czyli odczytać jego sensowną treść.

C. Uznaje się, że bieg procesów ewolucji życia w kosmosie, jak również bieg procesów ewolucji socjalnej razem z jej fazą naukowo–techniczną żadną miarą nie wpływały i nie mogą wpływać na ten obraz wszechświata, do którego nauka dochodzi. W tym sensie — owej presumpcji, która stanowi nigdy nie zakwestionowane założenie, oczywiste bez względu na to, czy zjawiska życia są w kosmosie częste, czy rzadkie, bez względu na to, czy na drodze rozwoju naukowo–technicznego istnieją bariery nieprzekraczalne, czy ich nie ma, uważamy fenomeny porządku biosocjalnego razem z ich pochodnymi (np. „inżynieryjnymi”) za czysto epifenomenalne w całym wszechświecie. Znaczy to, że mogą się one rodzić z materii martwej, jej rozwojowi towarzyszyć, ale nie mogą tego rozwoju żadną miarą odmieniać w skali astronomicznej. To, z czego kosmos się składa, jak jest zbudowany, jakim prawom poddany i w jakim kierunku ewoluuje — nie ma w ogóle nic wspólnego ze zjawiskami ewentualnie wegetującego w nim życia i rozumu. Życie ani rozum w tym ujęciu epifenomenalnym powszechnie uważanym za pewnik — nie mogą wpływać na wygląd, kształt, działanie obiektów kosmicznych. Dlatego hipotezy w rodzaju tej Kardaszewa, jakoby kwazary stanowiły obiekty albo „sztuczne”, albo „sztucznie przerobione”, nie są z reguły szerzej poważnie rozpatrywane przez ogół badaczy. Sytuacja obiektu niezrozumiałego jest zupełnie podobna do sytuacji podsądnego przed sądem sprawiedliwym: domniemanie winy nie wystarcza dla skazania, dopóki oskarżonemu nie udowodni się winy, należy go uważać za niewinnego. Analogicznie dowolny obiekt czy grupa obiektów o niezrozumiałej strukturze i działaniu jest uznawana za produkt naturalnej ewolucji kosmosu dopóty, dopóki nie udowodni się jej sztucznej genezy.

Te obydwie presumpcje, które milcząco, lecz absolutnie panują nad całym polem „psychosocjologii kosmosu”, są bardzo silne jako filtry wybiórcze tego, co może zostać dostrzeżone. Podług pierwszej — z góry wiemy, że zarówno objawy życia, jak i objawy wszelkiej innej organizacji intencjonalnej nie mogą efektywnie kształtować materii kosmicznej w skali astronomicznej. Podług drugiej — wszystko, co może być w ogóle zinterpretowane jako skutek działania sił Natury (czyli bezintencjonalnych), musimy

wykładać tak i tylko tak. Podług tej presumpcji zatem rozkład prawdopodobieństwa wewnątrz alternatywy „fenomen X jest naturalny” lub „fenomen X jest sztuczny” nie jest jednakowy (1:1), bowiem z góry ustalamy, że jedna ewentualność (pochodzenie naturalne) obarczona jest nieporównanie większym prawdopodobieństwem niż druga.

Należy stwierdzić, że nie mamy żadnych danych, które pozwalałyby podważyć słuszność presumpcji C (o epifenomenalnym charakterze zjawisk cywilizacyjnych w kosmosie), z tym jednak zastrzeżeniem, że wyrazimy ją w tak mocnej postaci, w jakiej ją sformułowaliśmy. W tej mocnej postaci presumpcja powiada bowiem, że ani praw materii kosmicznej, ani głównego kierunku jej ewoluowania żadne zabiegi inspirowane rozumem nie mogą odkształcać. Jakoż w samej rzeczy brak nam wszelkiej wiedzy o tym, aby takie oddziaływanie było możliwe. Przypatrzwszy się uważniej obu presumpcjom generalnym (B i C) dostrzegamy jednak, że mają charakter dychotomiczny; pewne obserwowane X jest obiektem albo sztucznego, albo naturalnego pochodzenia.

Dopóki chcielibyśmy rozważać, czy X jest, czy nie jest intencjonalnym sygnałem, ta logiczna forma dychotomii nie wydaje się możliwa do zakwestionowania, gdyż nie możemy wyobrazić sobie takiego zjawiska, które jest „sygnałem tylko w 20%”. Zgodnie bowiem z naszą wiedzą nie istnieje nic takiego jak ułamkowy sens (semantyczny). W sygnale mogą być sensory, jeżeli ich jednak nie ma — nie odebraliśmy także żadnego sygnału.

Lecz X może też być objawem istnienia cywilizacji kosmicznej o charakterze sygnału nieintencjonalnego. Takimi sygnałami na Ziemi są: luna na niebie od światła wielkiego miasta, grzyb wybuchu jądrowego, zmiana stosunków proporcjonalnych tlenu i dwutlenku węgla w atmosferze itp. Charakter sygnałów nieintencjonalnych, jako oznak świadczących o istnieniu życia, ma też mnóstwo fenomenów biosfery ziemskiej. Biosfera ta przekształciła całkowicie skład atmosfery ziemskiej i po części oceanów, przemieniła skład chemiczny gleby oraz doprowadziła do powstania określonych uwarstwień mineralnych, wpłynęła na powstanie w atmosferze warstwy ozonu, utrzymuje w równowadze proporcjonalne stosunki gazów w tejże atmosferze itp. Życie doprowadziło więc na Ziemi do zmian i transformacji w skali całoplanetarnej. Bez niego obecność wolnego tlenu w powietrzu nie byłaby możliwa przez czas dłuższy. Zarazem nie można mówić, jakoby skutki prac biosferycznych były po prostu intencjonalne, tj. jakoby koralowce z rozmysłem tworzyły atole koralowe albo inne żyjątko — wapienne, z jakich teraz m. in. jest zbudowana część Tatr, albo jakoby rośliny „dążyły” do utworzenia tej ilości wolnego tlenu, jaki się obecnie znajduje w atmosferze. Człowiek z kolei budując przemysły, dobywając kopaliny z głębi Ziemi — zmienia w toku tych prac skład atmosfery, wód powierzchniowych, nawet oceanów, tworzy hałdy wydaliny wytwórczych, a w końcu zmierza wręcz ku naruszeniu cieplnego bilansu planety. Tak więc objawy uboczne (nieintencjonalne) działań rozumnych mogą nieraz skalą wielkości albo dorównywać temu, co było właściwym (intencjonalnym) celem działania, albo wręcz przewyższać to, co było intencjonalne. W zasadzie więc można pomyśleć, że działaniom cywilizacji, bardzo zaawansowanej w stosunku do naszej, towarzyszą liczne zjawiska typu „ubocznego” czy niejako „odpadowego”, które dałyby się postrzegać nawet astronomicznie. Zważmy bowiem, że stosunek cywilizacji kosmicznej do otoczenia jest bardziej podobny do relacji między hydroelektrykiem a naturalnymi zbiornikami wód aniżeli do stosunku pomiędzy energetykiem atomowym a elektrownią atomową (stosunek ten może się przynajmniej tak kształtować). Hydroelektryk przecież w stosunkowo niewielkim stopniu odmienia naturalne stany środowiska (budując np. tamy), podczas gdy atomista tworzy coś, czego dotąd w ogóle na Ziemi (jako układu z samopodtrzymującą się reakcją jądrową) nie było. Cywilizacja kosmiczna, mając dostęp do źródeł energii gwiazdowych, wcale nie musi samych gwiazd bardzo radykalnie „przerabiać”, bowiem może jej wystarczyć tylko takie sterowanie procesami gwiazdowymi, które odpowiada sterowaniu — przez hydroelektryka ziemskiego — spływami wód powierzchniowych. Mówimy o tym, gdyby bowiem taka relacja



istotnie zachodziła, musiałaby mieć swój ważny wpływ na dostrzegalność prac cywilizacyjnych w kosmosie. Nie możemy się przecież spodziewać obserwowania w nim obiektów, które w naszych oczach będą się wyraźnie odcinały od tła naturalnego, jak traktor na sawannie, jak autostrada przecinająca skalne rumowiska czy jak elektrownia atomowa na polu. Winniśmy raczej sądzić, że taka cywilizacja może obiekty typu gwiazdowego w ich naturalnym biegu naruszać c z ą s t k o w o , wykorzystując je przez to dla własnych celów. Otóż wykrycie takiej względnie słabej ingerencji wydaje się prawie niemożliwe w skali astronomicznej. Poświadcza to historia odkrycia pulsarów. Przed ich odkryciem słyszało się głosy kompetentnych astrofizyków, którzy powiadali, że wykrycie emitora kosmicznego radiacji z charakterystyką o wysokiej regularności emisji promieniowania będzie niewątpliwie uznane za odkrycie obiektu zbudowanego (lub powodowanego) sztucznie. Lecz mimo ich wręcz niezwyklej regularności działania emisyjnego, pulsarów, które niedługo potem odkryto, nie uznano powszechnie za takie właśnie obiekty, czyli za nadajniki cywilizacyjne. Rozpoczęto bowiem poszukiwania takich naturalnych mechanizmów fizycznych, które umożliwiają wysyłanie promieniowania z dowolnie doskonałą regularnością periodyczną. Otóż należy zauważyć, że w zasadzie taki mechanizm czysto fizyczny z a w s z e można w końcu postulować! Odkryte przed pulsarami kwazary też nastroczały ogromnych trudności astrofizykom swoją wielce rozrzutną i potężną energią. Właściwe im mechanizmy generowania mocy wypromieniowywanych zdają się dzielnością bić wszystkie znane nam reakcje z anihilacją włącznie, należało więc uciec się do hipotezy kollapsu grawitacyjnego, aby wytłumaczyć trwanie takiej rozrzutności emisyjnej. Lecz kollaps nie może trwać długo w skali astronomicznej, czemu tedy postrzegamy go w tak licznych postaciach? Właśnie w tego typu trudności eksplikacyjne jest dziś uwikłana astrofizyka.

Co by jednak było, gdyby kosmos obfitował w miejsca, w których może i nie ma cywilizacji kosmicznych, ale bytowały tam przed milionami lat i utworzyły „pola odpadowe” i „reliktywne” astronomicznych rozmiarów? Mogłyby to być np. strefy energetycznie bądź materiałowo od prawników wyeksploatowane. M „zna sobie wyobrazić ogromną ilość wariantów takiego postępowania. Dla swoich celów cywilizacja może obrócić jakąś gwiazdę w Nową i przez pewien czas, bardzo krótki astronomicznie, korzystać z gwiazdowej erupcji, a potem tak ową gwiazdę „porzucić”, jak porzucamy kopalnię, której eksploatacja się już nie opłaca, albo jak krajowcy porzucają drzewo kauczukowe, z którego nacięciami pnia wydobyli sok i nie troszczą się więcej o to, co się potem z tym drzewem stanie. Gdyby tak gdziekolwiek miało być, znajdowałibyśmy przed sobą obiekty ani jednoznacznie „naturalnego”, ani jednoznacznie „sztucznego” pochodzenia, czyli takie, wobec których dychotomia, implikowana przez presumpcje wyżej nazwane, nie obowiązuje, skoro „naturalne” i „sztuczne” jest właśnie w obiekcie nałożone na siebie i niejako przemieszane. W tym sensie „odpady” oraz jakoweś „ruiny” cywilizacyjne w skali g w i a z d o w e j mogłyby w kosmosie być nawet daleko liczniejsze niż cywilizacje wegetujące aktualnie. Nie zachęcam bynajmniej do bezkrytycznego przyjmowania takich wyobrażeń, chcę jedynie zwrócić uwagę na niedoskonałą prawomocność uniwersalną alternatywy „sztuczne albo naturalne”, kiedy mowa o zjawiskach kosmicznych. Wyobraźmy sobie uczonego z XIX wieku, który postrzega grzyb eksplozji atomowej. Musiałby on uznać ją za przejaw naturalnej katastrofy żywiołowej o mechanizmie fizycznym, którego zupełnie nie zna. Jeśli tedy rodzaj nieprzenikliwej dla pojmowania zasłony rozpościera się między uczonymi dziewiętnastowiecznymi a nami, ludźmi wieku dwudziestego, jakież rozerwanie kategoriałno–pojęciowe w zakresie wiedzy empirycznej musi być między nami a takimi cywilizacjami kosmosu, które oddzielają od nas tysiące lub może i miliony lat rozwoju!

Teoretycznie, tj. podług oznajmień fachowców zajmujących się problematyką cywilizacyjną, panuje niejaka gotowość afirmatywnego dostrzegania tego, co J. Szklowski nazwał „cudami kosmicznymi”, czyli zjawisk zdradzających swym charakterem, że nie będąc

sygnałami są artefaktami, czyli produktami prac rozumu innocywilizacyjnego. Lecz taka generalnie założona predyspozycja pozytywna do wydzielania z tła niebios „cudów kosmicznych” (czyli „fenomenów astroinżynierskich”) nie może nam wystarczać. Jest ona bowiem obietnicą złożoną gołosłownie, dopóki nie usłyszymy, jakie kryteria odsiewu astrofizycy mają zamiar stosować, by dojść tego, czy postrzegają „naturalne” czy „sztuczne”. Otóż zestawu takich uniwersalnie ważnych kryteriów po prostu nie ma. Wszelkie kryteria tego typu są bardzo silnie zrelatywizowane do stanu naszej aktualnej wiedzy, jak o tym świadczył dobitnie przykład z uczonym zesłowiecznym, postawionym wobec wybuchu jądrowego. Można więc wypowiedzieć coś w rodzaju futurologicznej przepowiedni, odniesionej do przyszłego zachowania astrofizyków, twierdząc, że wyliczonym poprzednio presumpcjom będą się nadal dokładnie podporządkowywali, a tę ich pozycję odmieni dopiero wykrycie faktu egzystencji psychozoiku kosmicznego, spowodowane odebraniem sygnałów, jakie da się odczytać na Ziemi. Innymi słowy: żadnych „cudów kosmicznych” astrofizyka w przewidywanym czasie nie wykryje dlatego, ponieważ z góry uznaje de facto, iż cokolwiek można postrzegać kosmicznie, zawsze jest to nieintencjonalne oraz na domiar jest to zjawisko wywołane naturalną ewolucją materii.

### III

Tak zatem praktycznie na nic nie możemy liczyć oprócz sygnałów „innych”. I ta też część zagadnienia doczekała się na j sumiennie j szych opracowań, opierając się zwłaszcza na teorii informacji. Omówienie rzeczy wymagałoby już dzisiaj obszernej monografii. Może więc należy powiedzieć tylko tyle, że w galaktyce mogą pracować nadajniki tak izotropowe, jak anizotropowe, czyli wysyłające sygnały wszechkierunkowo (bezaadresowo) oraz adresowo. W drugim wypadku chodzi o kanał łączności między dwiema co najmniej cywilizacjami, kanał z wykorzystywaną znacznie lub w pełni przesyłową pojemnością. Wykrycie takich sygnałów wydaje się bardzo mało prawdopodobne, ponieważ Ziemia musiałaby przez czysty przypadek znaleźć się na drodze „igłowego” pęku promieniowań sygnalizujących; dla tego, kto kodu nie zna, impulsowa zawartość kanału przedstawia się jako zwyczajny szum. Ten „szum” w zasadzie już dzisiaj dokładna analiza statystyczna pozwoliłaby przecież odróżnić od rzeczywiście losowej emisji naturalnych obiektów kosmicznych, lecz w praktyce znów przedsięwzięcie takie byłoby nie do wiary mozolne. Trzeba by bowiem po kolei analizować gigantyczną ilość szumowych porcji, które spływają na Ziemię ze wszystkich stron czaszy niebieskiej. Jesteśmy tedy faktycznie zdani na łaskę takich „życzliwych” cywilizacji, które są gotowe przemawiać do „analfabetów łączności kosmicznej” izotropowo, z niskim wykorzystaniem pojemności kanału przesyłowego. Lecz znów nie mamy prawa spodziewać się a priori, że takich życzliwców jest w galaktyce wielu, ponieważ emisja izotropowa jest przedsięwzięciem niesłychanie marnotrawczym energetycznie: aby można było odebrać sygnały nadajnika z dystansu rzędu 1000 lat świetlnych, musi on być prawie gwiazdowej mocy i pracować do tego nieustannie lub przynajmniej z niewielkimi przerwami. Niektórzy sądzą, że cywilizacja mogłaby wykorzystywać dla emisji to promieniowanie, które ma w jej energetyce charakter niejako odpadowy. Jednak nie każde promieniowanie odpadowe będzie się jednakowo dobrze nadawało do emitowania sygnałów. Jeśli degradacja energii jest maksymalna, „odpady” stanowi promieniowanie cieplne, dla nawiązania łączności najgorsze ze wszystkich możliwych. Ponadto w tym sygnalizacyjnym zagadnieniu czynnik relatywizacji wykrywalności sygnałów do poziomu naszej wiedzy (zwłaszcza technicznej) jest decydujący. Ze stanowiska wysoko rozwiniętej cywilizacji nie ma bowiem żadnych racjonalnych przesłanek, dla których miałaby ona trwonić energie rzędu gwiazdowego tylko po to, aby usłyszeć ją mogła cywilizacja, która nie dysponuje jeszcze odbiornikami o bardzo wysokiej czułości. Taka cywilizacja może uważać, że kto nie dysponuje podobnie zaawansowaną techniką nawet w strefie odbioru (czyli ten, kto w ogóle nie może odpowiedzieć na odebrany sygnał: i to jest właśnie nasza sytuacja!), jeszcze niejako „nie dojrzał”, by zostać kandydatem do klubu łączności kosmicznej. Wydaje się zatem, że w omawianej dziedzinie nie obejdzie się bez wielkich wysiłków oraz poważnych inwestycji. Filtrowanie materiału odbieranego (tj. promieniowań) będzie także ogromnie trudne dla ludzi-badaczy: ich szeregi będą musiały być zasilone licznymi automatycznie pracującymi urządzeniami, oczywiście odpowiednio zaprogramowanymi. Podług wielu futurologicznych prognoz kontakt uda się nawiązać, czy raczej uda się nam odebrać sygnały innych, w pierwszej ćwiartce XXI w. Szacunek ten, wysoce naturalnie niepewny, byłby bardziej realistyczny, gdyby prognozy mogły uwzględnić to, co jest niewiadomą, a mianowicie wielkość inwestycji ludzkich i materiałowych w tej dziedzinie. Jeśli bowiem nie uruchomi się tu środków dość znacznych, aby powstały arsenał (uzbrojenie techniczne) dorównywał w skali całemu już istniejącemu arsenałowi aparatów służących astrofizyce „pozacywilizacyjnej”, odebranie sygnału może być jedynie nader szczęśliwym trafem, rodzajem wielkiej wygranej na loterii przypadku.

## IV

Unikalność cywilizacji ziemskiej w całej naszej galaktyce wydaje się dotąd czymś wysoce nieprawdopodobnym, jakkolwiek nie aż całkowicie niemożliwym. Lecz unikalność życia ziemskiego w całym wszechświecie (tj. w postrzegalnej metagalaktyce) wydaje się już po prostu niemożliwością. Z pozoru pomysł nawiązania łączności międzygalaktycznej zdaje się beznadziejny, lecz wcale tak nie jest. Jak słusznie zwrócił uwagę Kardaszew, cywilizacja nadająca sygnały ze swej galaktyki w kierunku innej pod pewnymi względami jest w położeniu lepszym niż taka, która nadaje dla mieszkańców tylko własnej galaktyki, ponieważ w pierwszym, wypadku emisja może być anizotropowa: galaktyka–adresat przedstawia się wszak jako obiekt o średnicy tak małej, że w całości pokryje go pęk najmocniej skoncentrowanego przy nadajniku emitowanego promienia. Lecz znów niezbędna jest ogromna czułość jako rozdzielczość i sprawność aparatury odbiorczej, żeby można było odróżnić sygnał od szumu jego tła galaktycznego. Tak więc i na tym polu nie możemy się obejść bez znacznego postępu technicznego. Co prawda tak urzeczywistniona łączność musiałaby mieć trwale jednokierunkowy charakter. Ze względu na dystans międzygalaktyczny o żadnym oczekiwaniu odpowiedzi na sygnał nie może być mowy; na odpowiedź taką trzeba by wszak czekać przez czas rzędu milionów lat! W tym więc wymiarze do „dialogu kosmicznego” nie dojdzie na pewno nigdy. Galaktyki mogą sobie przysyłać wieści, ale z taką jeszcze dodatkową restrykcją, która jest analogiem restrykcji wewnątrz—galaktycznej — teraz już w skali całego kosmosu. Gdyż znowu możemy liczyć tylko na odbiór sygnałów wysyłanych przez dowolną galaktykę w kierunku naszej własnej (ponieważ emisja izotropowa w cały kosmos, czyli w obszar całej metagalaktyki, wydaje się przedsięwzięciem energetycznie i sygnałowe całkowicie nieurzeczywistnialnym).

## V

Nie mówiliśmy nic o nowych technikach łączności, dzisiaj nie znanych tak, jak wczoraj były nie znane techniki typu laserowego i maserowego. Pojawienie się takich technik w przyszłości jest jednak możliwe. Ich uruchomienie może w zasadzie przekształcić w znacznej mierze (lub nawet w całości) wymienione dotąd uwagi natury jakoby uniwersalnej, gdyż wciąż nie możemy wykluczyć z zupełną pewnością istnienia takiej techniki i takiego kanału łączności, do jakich po prostu jeszcze nie dorośliśmy, czyli jakich istnienia nawet nie podejrzewamy, jak nie podejrzewał

Morse możliwości utworzenia łączności bezprzewodowej. Przewidywanie przewrotów takiego typu w ich konkretnym wyglądzie jest zupełną niemożliwością: wypada sobie jednak uświadomić samą szansę takiego zrewolucjonizowania całej sfery łączności kosmicznej. Jako istota historyczna, w danej chwili historycznej ograniczona, jej horyzontem pojęciowym uwięziona, człowiek nie może tak po prostu aspirować do kosmosu, nie może tak się zabierać do rozgryzania kwestii cywilizacji kosmicznych, jak to czynił dotąd — wyrywkowo i niezbyt planowo. Jest możliwe, że do nauki ziemskiej stosują się słowa Biblii: „Mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą”. Być może „cuda” prac innych jaśnieją na nieboskłonie. Być może, pracują nadajniki łączności międzygwiazdnej i międzygalaktycznej, innokanałowe niż te, jakie uwzględnialiśmy dotąd. Ani skrajny pesymizm, ani skrajny optymizm nie jest tu jeszcze wskazany: oba stanowiska są po prostu przedwczesne.

Przedruk z: „Problemy” nr 11 1970

## REFLEKSJE 1974

### I

Kryzys energetyczny schyłku 1973 mamy już poza sobą. Tak się przynajmniej może wydawać. Wstrząs wywołał wszakże nie sam tylko głód energetyczny, lecz nagłość odwrócenia relacji silnych i słabych. Odwrócenie to nie jest przejściem od starych, przekreślonych reguł gry do nowych, lecz tylko porażeniem pierwszych i poszukiwaniem drugich. Słabi nie znają jeszcze granic swej siły, a silni — granic przymusu, pod jakim się znaleźli. Tradycyjnie gra dłużej toczyć się nie może, lecz nie wiadomo, jak się potoczy jej nowa odmiana. Musi być zawiła, ponieważ słabi, zniewalający do posłuchu silnych, to nie cały Trzeci Świat, lecz tylko jego część dysponująca surowcami. Dlatego stoimy być może przed nowym podziałem sił, rynków i wpływów; dlatego dyspozytorzy surowców zawiadują narzędziem obosiecznym. Gdy jednak dalszy bieg zajść wymyka się przepowiedniom, samo przesilenie, co zaszło, można było przewidzieć. A jednak nikt nie przewidział tego, co się stało. Nikt się nie domyślił, że choć zwykle pies macha ogonem, w specyficznej sytuacji ogon może machać psem.

## II

Gdy zważyć, jaki tłum prognoz i scenariuszy wyprodukowali futurologowie, brak choć jednego celnego trafienia zdumiewa. Jeśli nie rozumem, to chociaż mechanicznym tasowaniem wariantów ktoś winien był się natknąć na kształt przemiany. Wygląda na to, że przepatrywaczom przyszłości maści rachuby jakiś bies, oślepiając ich na to, co pod nosem. Liczono się z drożeniem surowców, lecz na tyle miarowym, aby technologiczne przestrojenia zaszły bezboleśnie. Czy nie było to jednak myślenie podług życzeń? Cóż naturalniejszego nad ochotę, z jaką eksploatowani, bo słabi, skorzystali z okazji, żeby choć na jakiś czas stać się eksploatującymi sytuację? W skali historycznej to tylko wet za wet. A jeśli nawet wzrost cen puściłby bogatych z torbami, to gdzie jest powiedziane, że ekonomia polityczna musi się rządzić chrześcijańską miłością bliźniego? W podstawach futurologii tkwią jakieś fatalne niedowłady, jeśli ślepotą na powyższe oczywistości była w niej powszechna.

### III

Oto trzy skazy myślenia o przyszłości: efekt Diora, Titanika i Archimedes. Nazywani je tak dla wyrazistości, a też, by porozdzielać zjawiska różnych poziomów — od konkretnego do abstrakcji.

EFEKT DIORA — to nacisk stadności, więc mody. Nie pomyślałem o tym, boś ty nie pomyślał, a ty nie, bo on, i tamten — a może przemknęło mi przez głowę, lecz jakże wypowiedzieć zdanie tak sprzeczne z panującymi? Cóż zresztą znaczy „wypowiedzieć” — przecież nie — wyjawić rodzinie przy śniadaniu. Ogłosić drukiem? Lecz artykuł, który nie pociągnie za sobą kometowego ogona innych, rozdmuchujących, zniknie niepostrzeżenie jak kamień w wodzie. Ósrodek, w którym rozchodzą się prognozy, jest zarazem spolaryzowany i mętny. Spolaryzowany, przepuszcza bowiem ze wzmocnieniem to tylko, co zbieżne z kierunkiem którejś z głośnych szkół. Mętny, bo zanieczyszczony nie mniej niż atmosfera nad fabrykami. To fabryki myśli przerabiają dotacje na elaboraty, których nikt nie ma czasu zgłębiać. To, co trochę głośne, staje się dzięki efektowi Diora coraz głośniejsze, aż zyska kilkutygodniową monumentalność. — Wtedy musi być prawdą, skoro na wszystkich ustach. Nic trudniejszego w naszej nonkonformistycznej epoce, niż dostać się pod właściwy adres — jakiemuś Kolumbowi czy Robinsonowi przepowiadania. Łatwo się można zwrócić tylko do szczupłego grona ekspertów. Jeśli rozciąga się od Kamczatki po Patagonię, to choćby złożone z geniuszy, reaguje z bezwładnością, proporcjonalną do liczby. Eksperci skleją się z innymi ekspertami i żywią się ich myśleniem. Niechaj nas nie zwiodą ich spory! Spierać się gotów ekspert tylko z tym, kto jako inny ekspert jest głośny. Nie całą prawdę powiedziałem, użalając się nad milczeniem futurologii o kryzysie energetycznym. Autorzy prac, antycypujących taki właśnie kryzys, odezwali się z końcem 1973 roku, podtykając te swoje, dawno ogłoszone prace, komu się dało. Czemu więc nie zwracano na nie uwagi przedtem? Wskutek efektu Diora; takie prognozy nie należały do „liczących się”, a tym samym — rozpowszechnionych. Ekspert, nie szanowany przez innych, nie jest prawdziwym ekspertem. Zapadłszy na stadność, futurologowie wpatrzyli się w ruch wskaźników i w trendach widzieli trwałość równą obiegom ciał niebieskich. Ekspertów rodzi potrzeba a nie umiejętność, spierając się z innymi ekspertami tym samym właśnie poświadczając ekspert ich kompetencję. Oddalaniu pomysłów samotnego ekonomisty lub socjologa nie poświęci ani jednego wiersza. Ekspertem — i to może decyduje o fiaskach — zostaje się na całe życie, także gdy nie ogłasza się niczego prócz chybień. Owszem, piramidalnymi błędami zyskuje się rozgłos.

EFEKT TITANIKA to skutek zadufania. Zbyt potężny, zbyt wielki wydawał się „Titanik”, żeby jakaś tam góra lodowa mogła mu coś zrobić. Zbyt potężny, nieustępliwy był wzrost Zachodu, żeby mógł nagle ustać. W istocie idzie nie tylko o zadufanie, lecz o zawężający wzrok nacisk okoliczności doraźnych. Kapitan „Titanika” miał tak odpowiedzialne zadanie — doprowadzić do portu największy statek świata — że pominął lodowe ostrzeżenia. Politycy i eksperci mieli tyle kłopotów z rozpędzoną machiną ekonomiki, z rynkami, walutami, inflacją i zatrudnieniem, że nie patrzyli dalej tych właśnie zadań. Było to irracjonalne, lecz zrozumiałe psychologicznie. Człowiek, uwikłany w ryzykowną operację giełdową, nie myśli o tym, że może się okazać niewypłacalny, bo, współnik ucieknie z pieniędzmi. Uważa niejako, że i bez tego ma dość kłopotów. Ponadto politycy działają w okrążeniu palących spraw doraźnych, eksperci zaś starają się patrzeć dalej. Toteż gotowi byli przyznać, że przemysłowy moloch zadusi świat, że sam się kiedyś załame pod własnym ogromem i zafascynowani tym obrazem ponurym, lecz monumentalnym — samobójstwa potęgą — nie uwzględnili czegoś tak trywialnego jak rozkaz, od którego garść umazańców zakreśliła koła zaworowe przy rurociągach. Gdyby któremuś pomyślało się inaczej, jego głos nie przedostałby się przez sieć łączności, zatkaną efektem Diora.

EFEKT ARCHIMEDESA to poszukiwanie oparcia dla myśli. Nonsensem jest mniemać,



jakoby pełnia wolności, czyli brak ograniczeń, obdarzała myśl polotem. Gdyż jak nieważkość tylko zdaje się obdarzać kosmonautów pełnią swobody ruchów (skoro nic nie waży, nie przyciąga, czyli nie ogranicza) — naprawdę bowiem p o r a ż a orientację i obraca człowieka w wijące się niemowlę — tak też myśl bez oparcia w swojskich wzorach nie szybuje w bezkres, lecz czepia się byle czego.

Epoka nasza unieważnia wszystkie tradycyjne opoki, bo i doświadczenie poprzednich generacji, i zakazy obyczajowe, i wiarę w bezwzględną korzyść gospodarczych wzrostów, pozbawiając tym samym myśl, patronującą działaniu, wypróbowanego oparcia. Dlatego efekt Archimedesesa przejawia się dziś w sposób kurczowy. Im więcej zachodzi takich rzeczy, które we wczorajszym jeszcze mniemaniu na pewno nie mogły zajść, tym rozpaczliwiej cofa się myśl w przeszłość, szukając w niej wskazań.

Dlatego tak modne są historyczne paralele, dlatego tak namolnie przypomina się dziś, że jesteśmy rodem z małp, mówi się o fatalizmie cech wrodzonych — stąd nagłe zainteresowanie historią i etiologią. Może uratujemy się, badając zachowanie Rzymian u schyłku cesarstwa? A może raczej — antropoidów? Może busola w zachowaniu szczurów, lemingów, drapiezców? A może człowiek to takie zwierzę domowe, co samo siebie zdomestykowało? A zatem w krowie i w baranie szukajcie jego rozwiązania. Czemu światła publiczność z takim zapalem czyta dziś bestsellery o swych małpich cechach, przecież sto lat temu analogiczne rewelacje wywoływały jej antydarwinowską wściekłość? Ponieważ małpie ograniczenia lepsze aniżeli żadne.

Odruch czwarty, nie zapowiedziany, można nazwać EFEKTEM KATONA („Ceterum censeo Carthaginam delendam esse”). Jest to destrukcja, opatrzona godnością szlacheckiej racji. Najpierw jako negacja: kiedy NIEporządkiem (odzieży), NIEkonformizmem, NIEodmiennością wyglądu płci, Niecywilizowanym wyglądem (jaskiniowe włosy), NIE—posłuchem także i na sali wykładowej młodzież daje odprawę zastanemu światu. Ponieważ jednak ta zacna w intencjach negacja ma w sobie więcej entuzjazmu niż rozumu, zbrzydzenia światem niż wiedzy o świecie, prędko dziwaczeje lub wyrodnieje. Efekt Katona zrodził hippisowskie komuny, w których młodzi, z pogardy dla ciasnego konwenansu rodziców, NIE wychowując własnych dzieci, NIE troszcząc się o nie, doszli, cóż, że nieumyślnego — maltretowania ich — obojętnością (konwenans rodzicielski wyrzucili za burtę jako system ograniczeń, lecz tym się właśnie człowiek różni od zwierząt, że ograniczenia sam sobie koncytuje i uwewnętrznia, gdy zwierzętom są one zadane z góry — dziedzicznością). Całość subkulturowych innowacji na przestrzeni ostatnich lat można wyłożyć, przyjmując, że każde „tak a tak” obracała subkultura, gdziekolwiek napotkane, w „nie i nie”! Ten negatywizm mógł trwać w aktywności, póki były jeszcze jakieś „tak a tak” do przekreślenia. Skoro drogowskazem był zakaz, tam wypadało zmierzać, gdzie zakaz najtrwalszy. Stąd — zamiast własnej religii — obce, egzotyczne; zamiast ojców bądź pastorów — joga bądź guru; we własnej religii — tylko herezja lub dziwactwo; seks zamiast wojny; narkotyk zamiast kariery itd. Efekt Katona, czyli „nie” w eskalacji, wypala się już na naszych oczach, ale też dzieciom nie ma się co dziwić — dziwaczne to, że dorośli, wychowawcy, profesorowie uwierzyli w możliwość naprostowania dróg świata owym infantylnym sposobem. Żaden świt nie zajaśnieje od milionkrotnego choćby „nie”, bo więcej w nim strachu przed światem niż umiejętności jego naprawy.

Destrukcja porządku cywilizacyjnego znajduje nieporównanie sroższy wyraz w terroryzmie, który z ruchu o politycznym ostrzu, więc osadzonego w tradycji, zmienia się łatwo w autonomiczną licytację na okrucieństwo. Terroryzmu może być zawsze i wszędzie tyle, ile — poza nim — jest jednocześnie p o m i a r k o w a n i a w etosie walki. Z hitleryzmem nie można było walczyć, porywając garść zakładników: cóż ona waży, jeśli przeciwnik uprawia ludobójstwo i tym samym nie daje się już w przetargach przelicytować? Dlatego efekt Katona prowadzi do destrukcji dla destrukcji, czyli skazuje polityczną rację czynów na

pozorność. Taką logikę zmiany obserwujemy właśnie w świecie: sprawność działania ze środka do celu sama staje się celem.

## IV

Obserwujemy rozpad Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, przykrywany zażenowanym frazesem polityków. Obserwujemy dezorientację w Trzecim Świecie, trzeba bowiem rzecz wyraźnie: sytuacja, w której silni wykorzystują słabych jest niemoralna, lecz bardziej stabilna od sytuacji, w której słabi powodują silnymi. Obserwujemy wzrost d o r a ż n o ś c i poczynań, jako akrobację, balansowanie i prestidigitatorstwo w polityce; jako łatanie dziur bilansów płatniczych, dozbieranie wypłacalnych surowcem, a nie pieniądzem, lecz wzrost gospodarczy, który tymi sposobami ma być ocalony, nie stanowi już takiej samej atutowej karty jak dotąd. Światowa czołówka walczy o zwłokę, żeby się przestroić technologicznie, i to jest właśnie następne zagrożenie. Konkurencję ekonomiczną będzie bowiem zaostrzała technologiczna, naciski inflacyjno—zatrudnieniowe będą przyspieszały „ucieczkę bogatych w przyszłość” — nowymi technologiami. Tym samym „zaciskanie pasa” dawać będzie szansę najsilniejszym (Ameryka, nie Japonia), średnich zepchnie do tyłu, a ubogich wtrąci w ruinę.

Proces, zapoczątkowany przez dysponentów ropy, jakkolwiek zawiera w sobie wymiar sprawiedliwości, oddala świat od stanu równowagi, zwiększa niepewność przyszłości, czyniąc ją wysoce nieobliczalną. Proces ten byłby zasługą dziejową, gdyby sprzyjał solidarności w globalnej gospodarce, gdyby ułatwiał przejście od konfrontacji do kooperacji.

Wygląda jednak na zwiastunowy model nasilenia się polityki „bliższej ciała koszuli”, tradycyjnie jak najbardziej naturalnej, a zarazem przeraźliwie nieodpowiedniej. Kluczem do losu świata nie będzie bowiem pytanie o gotowość ratowania siebie kosztem innych. Tę gotowość dostrzegamy powszechnie. Kluczem do losu świata będzie pytanie o to, czy nawet najfatalniejszym kosztem innych będzie się w ogóle można uratować. Sytość cudzym kosztem będzie coraz trudniejsza do osiągnięcia, a jednocześnie sprawiedliwy podział dóbr będzie coraz trudniejszy, ponieważ nie stanie ich dla wszystkich. Dlatego ilość zadań, rozwiązywalnych albo globalnie, albo wcale, będzie rosła. Bilansów wodnych, surowcowych, ciepłych, polucyjnych, żywnościowych żadna technologia, żadna politycznie lokalna decyzja nie zamknie w państwowych granicach. Z gradientem technologicznym nie można walczyć, jeśli się go nie uwzględni w rachubie politycznej na skalę świata. Wtedy, ale też tylko wtedy, można mu świadomie ulec — albo go świadomie przestroić. Tradycyjna polityka działań krótkodystansowych obezradnia się na naszych oczach. Czy zastąpi ją dalekowzroczna — oto pytanie.

Przedruk z: „Kultura” nr 26 1974

## O POZNANIU POZAZMYSŁOWYM

### I

Ostatnim czasem okultyzm powraca do łask na całym niemal świecie. Przybywa w nowym wcieleniu, poddany nowej klasyfikacji, odrzekając się od miana wiedzy tajemnej, tak że sama nazwa „okultyzm” może w wielu uszach zabrzmieć dziś głucho. To, co w nim na pewno nieoswajalne naukowo, więc jego rozkorzenia w „tamnym świecie”, uległo dyskretnie amputacji. Odrąbany człon, razem ze swym obszarem źródłowym, nie został jednak wyrzucony na śmietnik, a tylko przyjęty przez sztukę — bo znalazł sobie azyl w wytwórniach filmowych. Tam może sobie straszyć i tumanić, dostarczając silnych wzruszeń publiczności, wyzbytej zażenowania, boż to nie jest na serio. Natomiast odpreparowana reszta pospiesznie się na naszych oczach racjonalizuje. Formy zmieniły się gruntownie: żadnych transów, mediów, ektoplazmy, uchowaj Boże spirytyzmu i duchów, a tylko jasnowidzenie, w oparciu o dowody rzeczowe i zawartą w zdjęciach informację, przesył telepatyczny, telekineza, czyli powodowanie myślą zmian materialnych, kryptestezja albo wreszcie psychotronika. Zabieram głos w tych sprawach, wiecznie grząskich i wiecznie powracających, niechętnie. Nie dlatego, abym nie miał tu urobionego sądu, lecz od świadomości, jak mało wazą na tym terenie argumenty rzeczowe, a jak dominują emocje. Jednakowoż w podjazdowym sporze felietonistów, toczonym wokół pamiętników jasnowidza, jakie ogłaszała „Literatura”, padło moje nazwisko, przywołane na odsiecz kwestionowanym zjawiskom pozazmysłowym. Powstała stąd sugestia, jakoby nie tylko nie wątpił w owe zjawiska, lecz miał za złe ich kategoryczne oddalenie. W tak poruszonej kwestii mogę tylko powiedzieć, że problem się do felietonowych starć nie nadaje. Cz. Klimuszki nie znam, jego pamiętników nie czytałem, i nie sądzę też, by uchodziło zbywać je (a też inne teksty podobnozakresowe) drwinami, gdyż od tego zwiększa się tylko polemiczny zamęt. Ale skoro mnie już przywołano — uznałem dalsze milczenie za rzecz niewłaściwą.

## II

Nie będę skrywał tego, że piszę te słowa przede wszystkim z uczuciem znużenia. Prawdziwie jest okultyzm wańką-wstańką historii albo jej niepozbywalnym współczynnikiem, jakby to modniej, bo bardziej po filozoficznemu dało się powiedzieć. Gorączkę tę przeszedłem, mam ją za sobą, a pozostały mi po niej grube tomiska fachowych dzieł w bibliotece i paczki kart Zenera w szufladzie, bo się sam tymi sprawami zajmowałem w powojennym Krakowie, bez mała trzydzieści lat temu. Literatury tej ani nie ogarnąć, ani nie streścić w próbie tak skromnej jak niniejsza, więc ograniczę się do anegdoty. Na przełomie wieku święcił triumfy mediumizm. Były media tak sławne jak Eusapia Palladino, z pochodzenia wieśniaczka włoska, która na seansach skupiała wokół siebie naukowe sławy czasu i doprowadziła do konwersji na okultystyczne przekonania paru bodaj świetnych uczonych. Potem zdemaskowano ją w oszustwach, lecz nie straciła od tego wszystkich zwolenników, wierni utrzymywali bowiem, że oszukiwała tylko gdy słabły jej przyrodzone umiejętności, ażeby nie rozczarować uczestników seansu. Jak widać, volenti non fit iniuria. Ale nie w tym pointa anegdoty. Media życzyły sobie gęstego mroku, a właściwie były tu jedynie rzecznikami zjaw i fenomenów ektoplazmatycznych, które nie chciały przy świetle doprowadzić stolików do wirowania ani wykonywać tysiąca innych zagadkowych czynności, dokładnie skatalogowanych w bezliku protokołów. Na argumentację racjonalną — że światło jest wąskim wycinkiem widma elektromagnetycznego, i jeśli nie szkodzi zjawiskom promienie podczerwone byle kaflowego pieca, to nie mogą im też zaszkodzić promienie wysyłane przez lampę — fenomeny nie odpowiadały, uparcie tkwiąc na zajętych pozycjach. Cóż się z nimi stało w końcu? Toż były ich, jak powiedziałem, literalnie tysiące, a przy tym większości tajemniczych objawów seansowych nie udało się rozszyfrować jako mistyfikacji. Zaszła rzecz dość trywialnie śmieszna: wynaleziono mianowicie noktowizory oraz inne urządzenia do widzenia w mroku i od tego wynalazku wszystkim mediom ich dar jakby ręką odjął.

### III

Z powyższego można by wysnuć wniosek, że jestem zdeklarowanym przeciwnikiem okultyzmu — czy też psychotroniki — lecz tak wcale nie jest. Owszem, przyznaję się do sceptycyzmu, lecz to jednak coś innego niż kategoryczna i totalna refutacja. Przytoczyłem anegdotę, aby ukazać, chociaż w sposób wrywkowy, że chodzi o domenę, mającą swoją długą a zawiłą historię, i jest to przy tym historia nadziei i zawodów, powracających dość cyklicznie, przez co można wykryć właściwe jej, godne uwagi, a też zastanowienia, prawidłowości.

Dostrzegam ich co najmniej dwie i gotów byłbym wyprowadzić z nich trzecią w postaci zarazem wniosku i określenia na przyszłość.

Pierwsza prawidłowość owych zjawisk, jeśli rozpatrywanych wzdłuż osi historycznego czasu w tym, że nie tylko nazwy, nie tylko sens, a też klasyfikację i uszczegółowione mianownictwo, lecz ponadto jeszcze to, co nazwać by można „samą istotą rzeczy” przyznaje całej tej fenomenalicyście każdorazowo — duch czasu. A więc najpierw była to wiedza po prostu tajemna, najwyższa i gdziekolwiek jedyna; potem zeszała w podziemie bądź przeszła do opozycji przeciwko nauce i powoływano się wtedy na nią jako na sferę faktów, mających poświadczać, że poznanie naukowe nie jest kompetentne uniwersalnie, skoro są *rzeczy* na ziemi, których nauka wyjaśnić nie jest w stanie, które tym samym dowodzą jej ograniczenia. Pod schyłek wieku dziewiętnastego wreszcie pojawiły się pierwsze wyraźniejsze próby naukowego oswojenia tych zjawisk, to znaczy obrócenia ich w osobną może, lecz należącą do korpusu wiedzy dyscyplinę. Niemcy, którym należy przyznawać szczególną zawsze systematyczność i dokładność proceduralną, działali na tym polu szczególnie wiele. Pozostały po ich encyklopedycznym wysiłku pękate tomiska, katalogi, protokoły, tablice klasyfikacyjne, taksonomie i sążniste bibliografie, operujące pięknie unaukowanym mianownictwem, które dziś pokryła już gruba warstwa kurzu. Nie znaczy to wcale jakoby autorzy tacy byli po prostu wyznawcami scjentyficznego okultyzmu. Taki choćby profesor Max Dessoir, z wykształcenia psycholog, zajmował się okultyzmem przez kilkadziesiąt lat i przyznając, że nie we wszystkim dopatrywał się mistyfikacji, złudzenia, nieporozumień lub wręcz oszustwa, przecież zachował do końca działalności swój silny sceptycyzm, albowiem nie poznał żadnych eksperymentów pozytywnych, które wytrzymałyby ogień krytyki. Zagadek nie udało się tedy ani zlikwidować jako fikcyjnych, ani rozwiązać jako realnych. I to jest właśnie druga prawidłowość historii okultyzmu: wszystko się w niej zawsze tylko zapowiada, zaczyna, urasta, obiecuje, budzi nadzieje, lecz nic ich definitywnie ani nie spełnia, ani nie rozstrzyga.

Podczas kiedy Dessoir i jego współcześni chodzili na seanse, uczestniczyli w rozmowach z mediami, co przebywały w transie, obserwowali poświatę ektoplazmatyczną, przedmioty unoszące się w zaciemnionym pokoju, doznawali lewitacji stołu, przy którym siedzieli z rękami na blacie, a potem wszystko to opisywali jak umieli najwierniej i dyskutowali bez końca, w latach trzydziestych i czterdziestych naszego wieku powiał nowy, niejako bardziej jeszcze naukowy, wiatr i odtąd, za przykładem szkoły Amerykanina Rhine’a, eksperymentatorzy z badanymi przeprowadzili się do laboratoriów, pod nadzór światła, tablicy statystycznej, doświadczenia przeprowadzanego w silnej izolacji i pod srogą kontrolą, tym samym więc zaczęła się już matematyzacja badanego obszaru, słownictwo badaczy pomnożyło się bowiem o terminy w rodzaju poziomu ufności, odchylenia statystycznie ważkiego, średniej losowej, normalnego rozkładu Poissona i tak dalej.

Rhine, odwrotnie wręcz aniżeli Dessoir, był wyznawcą pozazmysłowych talentów i nawet wierzył w życie pozagrobowe, w duchy („spirits survival”), lecz choć o tym pisał w doniesieniach swego instytutu, nie udało mu się wykoncypować ani sytuacji eksperymentalnych, ani skal pomiarowych, które by pospołu umożliwiły realizację niejakej

spiryrometrii. Natomiast wpłynęła szkoła Rhine'a odświeżająco oraz innowacyjnie na analogiczne, lecz dość wtedy jeszcze tradycyjnie prowadzone badania Anglików. Tamże, to jest w Anglii, doszło podówczas (a było to już koło lat pięćdziesiątych) do konwersji na „wiarę pozazmysłową” kilku dosyć renomowanych naukowców, nie tylko psychologów, co uprzednio kategorycznie oponowali realności wszelkich zjawisk poznania pozazmysłowego. Głównym narzędziem badaczy były wówczas karty Zenera, podobne do zwykłych kart do gry, ale z rysunkami gwiazdy, koła, krzyżyka itd.; badacz przekładał karty, a badany miał nie widząc ich wcale, odgadywać ich rysunek, zaczem w samej rzeczy znajdowali się tacy, co wykraczali ilością trafień poza średnie oczekiwanie losowe bardzo wyraźnie, a niekiedy wręcz — podług statystycznego standardu — zdumiewająco. Sytuację doświadczną doskonalono, już nie badacz mieszał karty, lecz maszyna, a też same karty, narzędzia zdawałoby się do prymitywizmu proste, pozwalały na dociekanie wcale rozmaitych umiejętności pozazmysłowych badanego. Gdy bowiem badacz patrzył na kartę, a badany miał ją odgadnąć, szło o wykrycie telepatii, jako czytania myśli; kiedy badacz kart sam nie oglądał, a tylko przekładał je z jednej strony na drugą, szło o jasnowidzenie, o kryptestezję (mianownictwo nie ujednoznaczyło się ze wszystkim dokładnie). Wreszcie okazało się, że niektórzy z badanych potrafią jak gdyby nie tyle tę kartę odgadnąć, którą badacz do ręki bierze, lecz tę następną, którą weźmie dopiero za chwilę, a to już była premonicja, przewidywanie przyszłości, czyli tym samym fenomen jeszcze bardziej zdumiewający.

Co do tego, że odchylenia od statystycznych oczekiwań zachodziły, najmniejszych wątpliwości być nie może. Wykryto nawet jako regularność swoiście ukształtowaną krzywą przebiegu doświadczenia. Osoba, która wyjątkowo dobrze czytała myśli (czy też zakryte karty), na początku seansu odgadywała je w procencie wyższym od losowego, ale jednak dość niskim; mniej więcej w połowie godzinnego seansu trafienia częstotliwiały, ażeby potem dosyć raptownie opaść aż do poziomu czystej losowości. To jakby szło o umiejętność, która budzi się, narasta, tężeje, by się w końcu wyczerpać jak gdyby od zmęczenia nieustanną koncentracją.

Co prawda wszystkie owe dane — a badanymi byli przeważnie studenci, opłacani za uczestnictwo w seansach, więc chętni, gdyż zawsze potrzebujący — stały, aby tak rzecz na miejscu. Rhine miał pono raz trafić na kogoś, kto odgadnął bodajże 90 procent wszystkich kart, a szansę takiej zgodności czysto losowe są wręcz astronomiczne (czyli gdybyśmy brali wciąż po dwie talie przemieszanych kart i wykładali karty parami, biorąc z każdej talii po jednej, to trzeba by czekać miliony lat na taką serię wyłożeń, w której by się skutek ślepego trafu znaki na kartach obu szeregów zgadzały z sobą w 90%). Lecz w laboratorium nigdy się taki fenomen nie powtórzył i rzecz szła zawsze tylko o odchylenia od rozkładu losowego, wyrażające się co prawda liczbami, imponującymi każdemu przyrodnikowi — rzędu 1:10 000 lub nawet 1:100 000 — lecz były to jednak zajścia taką moc dowodową zyskujące tylko w dłuższych seriach doświadczeń. W pojedynczej serii odgadniętych kart (na 25) nie było zwykle więcej niż 7,8, z rzadka 9 — przy losowej równej pięciu. Rozwodzę się tak nad tym, gdyż trzeba powiedzieć z naciskiem, że to są jedyne dane zupełnie pewne, zgoła już niepodważalne, jakimi po dziś dzień w nauce dysponujemy. Nic znacznieszego sposobem niezbitym odtąd już nie zaszło. Więc gdy studenci umęczeni się, gdy się wyczerpały fundusze przeznaczone na badania, a zarazem też pierwszy entuzjazm badaczy — wszystko się pomału rozeszło po kościach.

Najradykalniejszą hipotezę, negującą istnienie wszelkich w ogóle zjawisk pozazmysłowych w kontekście badań szkoły Rhine'a wygłosił Anglik, dość ekscentryczny zresztą myśliciel i po trosze filozof nauki, Spencer Brown. Utrzymywał on, że tym, co się obserwuje w opisanych wyżej badaniach nie są żadne zjawiska realne, żadne więc fenomeny pozazmysłowego poznania, lecz całkowicie puste, wyzbyte wszelkiego substratu długie serie losowe. To właśnie takie serie — głosił Brown — mają tendencję do rozbudowywania

odchyłeń od losowego uśrednienia, odchyłeń, które najpierw powstają, a potem po prostu zanikają. Mówiąc zarazem grubo a całkiem już potocznie, miałyby iść o rzadkie przypadki, o raczej wyjątkowe trafy, za którymi absolutnie nic nie stoi, podobnie jak nic nie stoi za ośmiokrotnie pod rząd wychodzącym na ruletce czerwonym kolorem.

Otóż godzi się przyznać, że coś może być na rzeczy. Wypadki, pod względem statystycznym nadzwyczaj nieprawdopodobne, zdarzają się każdemu człowiekowi, ale zwracają na siebie uwagę tylko w specjalnych okolicznościach. Parę tygodni temu, będąc na Targach Książki we Frankfurcie, umówiłem się z pewnym Amerykaninem, ale zabłądziwszy wśród pawilonów (a to jest teren tak duży, że zwiedzających obwozi po nim specjalna kolejka samochodowa), uznałem, że go nie odnajdę na umówionym miejscu, bo właśnie mijała wyznaczona godzina. Zrezygnowany, bodaj o trzy czwarte kilometra w linii powietrznej od umówionego miejsca, wpadłem nań nagle — a kiedy zważyć, że stało się to w tłoku, wśród wielu tysięcy ludzi, i że gdyby któryś z nas spóźnił się o dwie lub trzy sekundy, lub przeszedł przez to miejsce z analogicznym wyprzedzeniem, toby do spotkania na pewno nie doszło — wypada uznać zajście za nader nieprawdopodobne, jakkolwiek nie podległe ścisłej rachubie.

Nie od rzeczy będzie uwaga, że Amerykanin nie zwrócił uwagi na okoliczności naszego spotkania, w przeciwieństwie do mnie, co tłumaczę tym, że się niejako wytrenowałem w myśleniu kategoriami statystyki. Gdy traf jest błahy, niczym opisany, ulega zapomnieniu, gdy natomiast wiąże się z zajściem dramatycznym, jak czyjaś choroba, śmierć, katastrofa itp., wówczas koincydencja trafów staje w łunie tajemniczej niezwykłości i skłania do wyjaśnień, wykraczających poza czysty przypadek, skąd już tylko krok do podejrzewania o ingerencję czynników rodem z parapsychologii.

Serie losowe występują też w grach (np. w grach hazardowych) jako tak zwane „passy” powodzenia lub niepowodzenia. Ponieważ gracz jest motywowany i zaangażowany uczuciowo nie mniej silnie od zwolennika parapsychologii, w obu przeważa nad tendencją statystycznej oceny szans — skłonność doszukiwania się w zjawiskach ukrytej przed profanem więzi. Dlatego temu, kto ostatnią koszulę stracił na ruletce, grając „pewnym systemem”, nie wytłumaczycie, że posługuje się strategią bezwartościową, gdyż szansę wygranej są właśnie losowe, i dlatego ten, kto wyśnił śmierć brata na dwa tygodnie przed jej zajściem, nie uwierzy w to, by między jego snem a tym wydarzeniem nie było żadnych związków.

Jednakowoż (pisałem już o tym w *Fantastyce i futurologii*) może być tak, że sny wieszczce czy inne premonicje zarazem zachodzą i nie zachodzą. Zachodzą mianowicie w sensie subiektywnym, a nie zachodzą jako zjawiska, które wymagają odwołania do czegokolwiek poza statystyką koincydujących liczebnie silnych zbiorów. Jeśli dziesięć milionów mieszkańców wielkiego miasta co noc śni, to jest właśnie zupełnie prawdopodobne, czyli normalne, że niewielki ułamek tych milionów, np. 24 000, wyśni śmierć jakiejś bliskiej osoby. Z kolei jest też prawdopodobne, że w ciągu najbliższych tygodni komuś z tych 24 000 ludzi zemrze bliska osoba. Któż bowiem nie ma schorowanych krewnych i wśród czyich znajomych nie zdarzają się nigdy nieszczęśliwe wypadki?

Lecz powyższym statystycznym sposobem nikt oczywiście nie myśli. Nikt nie powiada o sobie, że jest elementem bardzo silnie liczebnego zbioru, toteż zamiast uznać sen i jawę za dwie zmienne niezależne, chodzi rażony niesamowitym uczuciem, że przewidział nieszczęście nim do niego doszło. A jeśli się komuś w toku życia koincydencja taka przytrafi dwa razy, nie ma już wówczas rady: nic nie wybije temu człowiekowi z głowy przeświadczenia, że nachodzą go wieszczce sny. Rozumowanie nie dotyczy oczywiście jedynie snów, lecz wszelkich zbiorów, przecinających się, chociaż przyczynowo nie związanych. Życie nasze biegnie, aby tak rzec, w morzu niezliczonych naraz statystyk, przy czym cywilizacja jest urządzeniem mającym losowość rugować z powszechnej egzystencji realnie (np. profilaktyką leczniczą oraz bezlikiem zabiegów porządkujących, np. ruch na drogach, lub



co najmniej, np. ubezpieczeniami, minimalizujących skutki losowych zająć), kultura zaś w znacznej mierze likwiduje losowość swoistym jej „odtłumaczeniem”. Między innymi dlatego wizje ontologiczne wiar mają zwykle buchalteryjny charakter (nic się nie dzieje przypadkowo, Opatrzność wszystko zliczy i za wszystko przyjdzie kara lub nagroda na tamtym świecie). Dlatego podejrzewanie zjawisk losowych o pozorność, skrywającą w swoim wnętrzu mechanizmy kauzalne, jakkolwiek byłyby to mechanizmy, których się wytłumaczenie naukowe nie ima, nie stanowi żadnego wyjątku z reguły zachowań kulturowych, lecz właśnie ich normalną, co prawda nadmiernie spotęgowaną, konsekwencje.

## IV

Nie twierdzą, że po odcedzeniu czysto losowych trafów ze zbioru dziwacznych koincydencji na dnie naszych pojemników statystycznych nic już nie pozostanie. Twierdzą natomiast, że oddzielenie frakcji takich zajęć „obciążonej czynnikiem pozamysłowym” od zajęć pustych, czyli jedynie rzadkich (jako zbiegi okoliczności), stanowi jedno z najtrudniejszych zadań, jakie można w ogóle postawić nauce. Uważam też — a nie jest to mój sąd prywatny, lecz niejako głos nauki, której służę chwilowo za rzecznika prasowego — że wszelkie niesamowite przeżycia, owe historie jak gdyby niewytłumaczalne podług praw znanych już natury, którym opowiadający je przypisują znaczną wagę, ze względu na emocjonalny do nich stosunek, są jako surowiec dociekań nad parapsychologią wyzbyte wszelkiej wartości. Skazując na wygnanie ze swego obszaru takie opowieści bez względu na osobę opowiadającego, nauka nie działa ani z doktrynerstwa, ani ze sceptyzmu, lecz podług właściwej sobie metody.

Tego, że pamięć ludzka jest zawodna, dowiedzieliśmy się już sposobem niezbitym. To samo dotyczy wartości naszej obserwacji zajęć. Wspomniana już Eusapia Palladino manipulowała jak chciała uczonymi, którzy byli skądinąd zawodowcami obserwacji i eksperymentu, wyprowadzając na manowce ludzi, którym umysłowo nie dorastała do pięt.

Tego, że zachodzą zajścia sprzeczne z dotychczasową wiedzą przyrodniczą, w rodzaju czytania myśli lub jasnowidzenia, nie jesteśmy pewni tak samo niezbitym już sposobem. Jeśli więc zestawiamy pewność doskonałą z niedoskonałą, to zmuszeni jesteśmy optować na rzecz pierwszej. Właśnie przez to żadne wspomnienia nie mogą być poczytywane w naukach ścisłych za fakty rzeczowe. Uprawnień takich nie udziela nauka nikomu, więc oczywiście uczonym także nie. Jeśli jakiś fizyk ogłosi, że wykonał eksperyment, w którym uległy naruszeniu prawa zachowania energii, to inni fizycy nie będą badali ani stopni naukowych, ani dyplomów tamtego, lecz po prostu wezmą się do powtórzenia rzeczonego eksperymentu, co nie stanowi objawu podejrzeń o oszustwo, lecz zwykłą w nauce procedurę. Jeśli zaś doświadczenie z dowolnych powodów powtórzyć się nie da, nie zostanie w ogóle uwzględnione. To należy podkreślić: zajścia niepowtarzalne nie są substratem nauki. Dlatego byłem zdumiony, czytając niedawno w prasie zapis dyskusji nad parapsychologią, podczas której jakiś naukowiec przytaczał niesamowite swe przeżycia na dowód, że „coś w tym jest”. Zaiste niezwykła niefrasobliwość. Ponieważ prawa fizyki spełniają się tylko statystycznie, to takie przeniknięcie ołówka przez kartkę papieru, które nie pozostawia w niej śladu (więc dziury), jest nad wyraz nieprawdopodobne, lecz nie jest całkowicie niemożliwe. Inna rzecz, że szansę takiego zajścia, to jest wystąpienia efektu kwantowo-tunelowego w skali makroskopowej, są horrendalnie nikłe. Kosmos musiałby zapewne trwać miliard razy dłużej, niż będzie trwał w istocie, po to, żeby taki jeden wypadek mógł się zdarzyć. Niemniej chodzi o mikroskopijne, lecz nie o zerowe prawdopodobieństwo. Fizyk jednak, który by zaobserwował takie przenikanie, nie odważyłby się opowiedzieć o nim kolegom jako o fakcie, bo zostałby wyśmiany. Należy zrozumieć, że istnieje olbrzymi zbiór łączny losowych zdarzeń zachodzących nadzwyczaj rzadko, niejako więc zbiór samych wyjątków z reguły, a my mamy rozstrzygać hipotezę, czy w tym zbiorze nie ma czasem zajęć całkiem odmiennych jakościowo, mianowicie wywołanych takim mechanizmem przyczynowym, którego nauka dotąd nie rozpoznała, więc nie respektuje go oficjalnie. Z tego zaś, że poszczególni naukowcy — już to wewnątrz własnej specjalności, już to gdy poza nią wykraczają — próbują konstruować hipotezy, mające wyjaśnić mechanizm czytania myśli, jasnowidzenia itp., zgodnie z kanonem racjonalizmu, nic jak dotąd nie wynikało takiego, co by zaproponował ogół ekspertów. Osobiście uważam to wszystko, co się mówi o podłożu elektromagnetycznym (mózg jako nadajnik), neutrinowym czy też inaczej falowo-cząsteczkowym telepatii, za nieodpowiednie względem faktów. Wszelka emisja ma swoje

prawa, których ad hoc nikomu nie wolno zmieniać dla podratowania miłego mu pomysłu, a jeśli tak, to np. wyniki odbioru nadawanych myśli powinny być tym lepsze, im większa jest ilość odbiorców–telepatów (którzy mogliby po akcji transmisji pospołu korygować odebrane w pojedynkę myśli). Będzie to oczywiste nawet dla laika. Przy wysokim poziomie szumów w kanale przesyłowym i przy niskiej selektywności odbiorników, odbieranie komunikatu większą ilością aparatów naraz zwiększa szansę odtworzenia oryginalnego komunikatu, ponieważ oprócz szumu w kanale zewnętrznym jest szum własny każdego odbiornika, przy czym szumy te uszkadzają nietożsame fragmenty przesłania. Tymczasem efekt takiej dodatkowej kumulacji wcale w telepatii nie zachodzi. Podobnie zdroworozsądkowy jest eksperyment, w którym poruszenia np. zwierciadła umieszczonego na kwarcowej nici galwanometru domagamy się nie od jednego człowieka w doświadczeniu nad telekinezą, lecz od stu albo od stu tysięcy takich ludzi naraz. Jeśli zmówią się, że będą aktami woli popychali zwierciadło w lewo, to powinno dlaboga ruszyć się tym wydatniej, im większa ilość „telekinetycznych atletów” uczestniczy w teście, tworząc siły składowe. Otóż zwierciadło ani myśli drgnąć.

## V

Przedstawiłem dotąd w bardzo szkicowy sposób dwie prawidłowości, jakie przejawia historia zjawisk pozazmysłowych: ich podległość duchowi czasu oraz ich ulotność. Dzięki owej podległości irracjonalna wiedza tajemna przeistoczyła się nam w zrationalizowaną psychotronikę, ponieważ zjawiska te idą pod taką opiekę, której w danej epoce przysługuje najwyższy status socjalny. Genius temporis przydawał też owym zjawiskom niejako luźną otoczkę innych, co się później od rdzenia mogły odłuszczać. Tak było na przykład z magią sensu stricto, tak było potem z „magnetyzmem zwierzęcym” oraz z hipnozą. Ow „magnetyzm” zginął niejako śmiercią naturalną, hipnozę natomiast przejęła w spadku medycyna. Dzięki ulotności zaś owych fenomenów nie możemy ich niejako zagęścić, skoncentrować, wzmocnić tak, żeby spełniły minimum doświadczalnych kryteriów, więc by stały się powtarzalne i odłączalne od losowego odchylenia długiej serii zajęć zasadniczo bezładnych.

Z reasumpcji tej wynika wniosek deprymujący, zapowiedziany uprzednio jako coś na kształt prognozy na przyszłość. Sądzę, choć nie umiałbym tego udowodnić, że w ciągu najbliższych 50 czy 80 lat nic zasadniczego w omawianym obszarze nie nastąpi. Znaczy to, że nadal będą oscylowały zainteresowania, przechodząc od zwyczajów do zniżek, że nowe metodyki badawcze, wykluwające się w ostrych dyscyplinach przyrodniczych, dalej będzie się wprowadzać w to pole, że jednak w dalszym ciągu powstawać będą wyniki niejednoznaczne, raz budzące więcej nadziei, a raz — sceptycyzmu, lecz nic się tu w sposób definitywny nie objawi, nie rozstrzygnie, a tym samym góra ta dalej będzie z trudem rodziła mysz. Inaczej mówiąc, sądzę, że praktyczne efekty badań okażą się przyzerowe i niewiele lepiej stanie się też w obrębie teorii. Wszystko pozostanie nadal w półświatle i w półmroku, na granicy przyjęcia przez naukę i relegowania z niej, a zarazem, rzecz prosta, będą się dalej pojawiały buńczuczne zapowiedzi rychłego sukcesu, wspaniałego przełomu, który właśnie się już zbliża, nadzwyczajnych odkryć, korzystnych wielce dla rozmaitych dziedzin życia, i nadal będzie je wieńczyć to porażenie, które, nie będąc ani ostateczną klęską, ani zwycięstwem, nosi w szachach miano pata.

Jednakowoż antycypacja ta patrzy na unik, bo nie wiadomo z niej, czy przewidywane dreptanie w miejscu oznacza trudność dowodu prawdy parapsychologii, czy jej fałszu? Otóż oznaczać może, jak sądzę, oboje. Jest bowiem niesłychanie trudno udowodnić definitywnie, że coś zachodzi, bądź że nie zachodzi nawet szczątkowo, jeśli, a tak jest z parapsychologią, stoi w bardzo silnej sprzeczności z całym niemal korpusem naszej podstawowej wiedzy. W falsyfikacyjnym członie alternatywy utrudnia nam życie to, że prawa naukowe zawsze są przybliżeniami zajęć realnych, jakkolwiek niekiedy są niemal styczne z rzeczywistością. Lecz i wówczas nie można utrzymywać, że owa „niemal-styczność” w SFORMUŁOWANIU DNIA DZISIEJSZEGO jest pokrywaniem się teorii z faktami NA PEWNO OSTATECZNYM. Wynika to zarówno z samej natury naszych teorii, jak i z tego, co one jako fakty ogarniają. Znaczy to, a rzecz nie ma już nic wspólnego z konkretną kwestią parapsychologii, że gdybyśmy nawet mieli kiedyś osiągnąć jakowyś „szczyt poznania”, czyli gdybyśmy zbudowali teorie takie, że już nie może być dokładniejszych w prawdziwości, to nie będzie żadnego sposobu, którym ten fakt — zaszłej kulminacji poznania — można by niezbitnie udowodnić.

W weryfikacyjnym członie mają się rzeczy równie fatalnie, ponieważ zadanie, opiewające na dowód istnienia zjawisk parapsychologicznych, roi się wprost od kolizji między naszą ścisłą wiedzą przyrodniczą a postulowanym jej uzgodnieniem z owymi zjawiskami. Jak postaram się ukazać, kolizje te nie tylko nie mają tendencji słabnięcia, lecz na odwrót właśnie, nasilają się i są obecnie drastyczniejsze, aniżeli jakichś trzydzieści, czterdzieści lat temu. To właśnie pozwala uszeregować zjawiska parapsychologiczne podług stopnia nasilającej się

sprzeczności między nimi a twierdzeniami nauki. Lista, nie pretendująca zresztą do zupełności, tak się przedstawia.

1. Telepatia ma być pozazmysłowym przekazem informacji z jednego umysłu do drugiego. W przekazie może uczestniczyć ewentualnie więcej umysłów. Ponieważ przekaz taki zakłada istnienie międzymózgowej łączności oraz umiejętności, właściwej jednemu mózgowi, odnajdywania w drugim informacyjnie istotnych danych, to wydaje się a priori niewiarygodne, żeby taka łączność i takie odszukiwanie danych (czyli „information retrieval” w mianownictwie informatyki) mogły się u różnych telepatów urzeczywistniać na różne sposoby.

Zadanie bowiem sporządzenia pozazmysłowej łączności, w lot trafiającej właściwe dane właściwego mózgu, jest tak horrendalnie trudne, że nie potrafimy zaprojektować nawet w przybliżeniu chociażby jednego tylko sposobu jego realizacji, a tymczasem z obserwacyjnych danych ma wynikać, że różni telepaci różnie je realizują. Że raz łączność zachodzi na poziomie językowym, a raz na pozajęzykowym — np. symboli bezsłownych lub obrazów, albo znów głębokich czuć cielesnych (czyli proprioceptywnych), że raz się telepata kontaktuje z umysłem osoby bliskiej, a raz obcej sobie, że raz dochodzi do przesyłu na mały dystans, a raz znów mają być rozmiary odległości bez znaczenia dla przekazu. Tym samym szłoby nie o jedno zadanie, lecz o cały ich zbiór, boż mieć przed sobą kogoś dla odczytania jego myśli, to jakby już trzymać zamkniętą książkę, natomiast wiedzieć tylko, że ktoś na świecie zna poszukiwany fakt, to jakby wiedzieć za ledwie, że właściwa książka stoi w jednej z miliona ziemskich bibliotek. Jakże można utożsamiać tak różne zadania? Jest więc tak, jakby ogół ludzi w ogóle nie umiał latać, natomiast niektórzy ludzie nie tylko umieli latać, lecz ponadto jeszcze każdy z nich robił to na inną modłę: ten niczym ptak, tamten jak rakieta, ów jak helikopter, jeszcze inny jak odrzutowiec itp. A przecież zawsze jest tak, że im zadanie trudniejsze, tym mniej metod jego rozwiązania. Tymczasem podług danych parapsychologii to, co mamy za niemożliwe nie tylko można wykonać, ale jeszcze na wiele rozmaitych sposobów, przy czym każdy z nich zaprzecza naszej wiedzy i nauce, a nie wszystkie pozostałe! Znaczyłyby to, że nasza wiedza nie tkwi w JEDNYM błędzie, lecz w ich ogromnym kompleksie, że jej błędność jest tym samym wielozakresowa, wręcz wszechstronna!

Konkretnie zaś należy sobie uświadomić różnicę pomiędzy tym, co wydaje się do niemożliwości nadzwyczajne nie wyuczonemu rozsądkowi — oraz nauce. Dla laika samoistne „zrośnięcie się” na jego oczach rozbitej szklanki byłoby czymś niezwykle, lecz nie byłoby jednak takim cudem, za jaki poczytuje zmartwychwstanie Łazarza. Dla uczonego nie ma wszakże zasadniczej różnicy pomiędzy oboma tymi zajściami, ponieważ jako potężne naruszenia praw termodynamiki są jednakowo niedopuszczalne. Badaczom parapsychologii z lat trzydziestych, którzy nic nie wiedzieli o termodynamicznych ograniczeniach przesyłu informacji, wydawało się czytanie myśli człowieka żyjącego czymś zawsze daleko łatwiejszym od czytania pamięci zmarłego. To pierwsze mieli — jak np. Max Dessoir — za zjawisko w zasadzie wytłumaczalne naukowo, i to w KAŻDYM PRZYPADKU, podczas gdy to drugie miałyby już ich zdaniem poświadczać istnienie życia pozagrobowego. Dlatego starali się w każdym wypadku stwierdzić, czy dane, jakie uzyskali od telepaty, mogły być znane choć jednemu człowiekowi żyjącemu, czy też mógł je być znać tylko ktoś zmarły. Jednakowoż podług dzisiejszej wiedzy trudność pierwszego i drugiego zadania może być w określonych okolicznościach taka sama. Dajmy na to, że ktoś żyjący zna fakt, o który zapytaliśmy telepatę. Dessoirowi zdawało się, że jeśli poszukiwana informacja tkwi w mózgu żywego człowieka, to jej telepatyczne zdobycie musi być nieskończenie łatwiejsze od dotarcia do niej, jeśli ją ktoś zabrał do grobu. Otóż tak wcale być nie musi. Sytuacja przedstawia się następująco: telepata ma dotrzeć do konkretnego wspomnienia, tkwiącego w pamięci niewiadomego człowieka. Najpierw musi on więc odnaleźć pozazmysłowym

sondażem tego człowieka pośród miliardów ludzi na Ziemi, a potem musi przetrząsnąć jego pamięć, aby znalazłszy informację podać ją badającemu. Między padającym z ust badającego pytaniem a odpowiedzią telepaty czasem nie mija jakoby nawet jedna minuta.

Otóż wyczyn taki jest ze stanowiska teorii informacji cudem. Nawet prowadzone z szybkością światła skanowanie miliardów mózgów musiałoby trwać godziny gdy zważyć, że każdy mózg musi być wszak z osobna wysondowany w poszukiwaniu danych. Jeśli proces kauzalny (a takim jest ów sondaż) biegnie z szybkością większą od świetlnej (skoro świetlna nie wystarcza), jest to cud ani mniejszy, ani większy od czytania pamięci umarłego. O tym, by telepata mógł skanować miliard mózgów naraz, nie może być mowy. Wiemy bowiem, że bez względu na to, jak się toczą, procesy psychiczne podlegają prawom teorii informacji. Psychika to kanał przesyłowy o konkretnie granicznej przepustowości, z konkretnym pułapem bitowym przetwarzania danych w jednostce czasu itp. Można usłyszeć na to, że telepata wcale nie musi pokonywać problemów nawodzenia umysłu na drugi umysł, czyli identyfikacji poszukiwanego, jako też problemu selekcji danych (information retrieval), ponieważ łączność zachodzi między psychikami takim krótkim zwarciem, w którym ograniczenia nakładane przez prawa informacji nie obowiązują. Jest to co prawda argument już wczorajszy, bo jak się rzekło wiemy, że procesy psychiczne podlegają tak samo ograniczeniom termodynamicznym jak nerwowe (obwodowo–zmysłowe), zawieśmy jednak na chwilę tę naszą wiedzę. Argumentujący nie uświadamia sobie, że do rozwiązania mamy DWIE zagadki, a nie jedną; pierwszą stanowi mechanizm TYPOWEGO AKTU TELEPATYCZNEGO, a drugą jego nadzwyczajną wyjątkowość wśród ludzi. Są to dwie osobne sprawy, bo wszak moglibyśmy wszyscy być telepatami, a mimo to nadal nie znać mechanizmu zjawiska tak, jak to właśnie zachodzi. Jeśli niektóre psychiki mogą nawiązywać kontakt, wyzwalając się spod powszechnych praw Natury, to czemu nie wszystkie? Można usłyszeć z kolei, że chodzi o indywidualne różnice analogiczne do różnic inteligencji, talentów itp. Lecz każdy normalny człowiek dysponuje funkcjami umysłowymi, których SPOTĘGOWANIE jest u innych podłożem talentów twórczych czy i genialności. Natomiast normą uzdolnień telepatycznych jest u każdego normalnego człowieka zero.

Różnica między telepatą a zwykłymi ludźmi jest albo natury fizycznej, albo pozafizycznej. Jeśli to jest różnica fizyczna dotycząca materialnej budowy mózgu, to fizyczna musi też być natura łączności telepatycznej, a tym samym podlega ona prawom przesyłu informacji. Jakże inaczej? Jakżeby to, co fizyczne („organ mózgowy” telepaty) miało NIE podlegać prawom fizyki? Jeśli zaś dopuścimy, że ta różnica NIE JEST FIZYKALNA, to tym samym wykraczamy z tego świata tam, gdzie już wszystko jest możliwe. Lecz wtedy trzeba zrezygnować na zawsze z unaukowania telepatii, podobnie jak powstrzymujemy się od informatycznego pomiaru świętych obcowania. Oto *reductio ad absurdum* zbyt silnego postulatu.

Rozumowanie moje sprowadza się do założenia, że cokolwiek zachodzi, nie zachodzi sprzeczność, czyli że telepata nie może zarazem podlegać i nie podlegać prawom Natury. Jeśli tym prawom podlega, to nie może m o m e n t a l n i e odnaleźć na świecie potrzebnych danych bez względu na to, czy tkwią w mózgu żywym, czy w martwym, który się w proch obrócił. Nie może, gdyż ze stanowiska fizyki jest to tak samo niemożliwe w obu wariantach. Niemożliwości nie są mianowicie STOPNIOWALNE. Zmartwychwstanie dorównuje niemożliwością czytaniu pamięci w rozpadłym mózgu, a ono dorównuje niemożliwością naruszeniu termodynamiki i działaniu z szybkością dowolnie większą od świetlnej. To, co nigdy nie zachodzi, nigdy nie zachodzi i na tym koniec.

Należy więc uznać telepatię za zjawisko naturalne a tym samym uznać, że większość też o okolicznościach zdobywania informacji przez telepatów polega na błędzie doświadczenia i obserwacji. Utrzymuję więc, że co najmniej część owych zadań, które jakoby rozwiązuje telepata podług protokołów parapsychologicznych stanowi fikcję, której w rzeczywistości nie

odpowiada nic oprócz błędnej interpretacji zajść. Że momentalne dotarcie umysłem do określonego człowieka, lokalizujące go wśród miliardów innych, stanowi niemożliwość fizyczną, a tym samym ostateczną, o ile ma doprowadzić do wychwycenia z głowy tego człowieka konkretnych danych tak, jakby ktoś magnesem wodząc po miliardach pyłków, wychycił nim kilka tkwiących w pyle żelaznych opiłków. Minimalny czas takich poszukiwań można dziś obliczyć w przybliżeniu, bez względu na mechanizm mentalny, jakim posługuje się telepata, ponieważ znamy graniczne sprawności WSZELKIEGO przesyłu informacji oraz WSZELKIEGO przetwarzania danych, zupełnie tak samo, jak znamy graniczną wydajność maszyn energetycznych, której nie przekroczą nigdy żadne maszyny przyszłości. To, że nadal nie znamy mechanizmów kodowania pamięciowego, jakich używa mózg, nie ma istotnego znaczenia, ponieważ chodzi o wytyczenie PUŁAPÓW osiągalnej sprawności, a nie o konkretny schemat czynnościowy mózgu, automatu logicznego czy innego urządzenia informacyjnego.

Tym samym wiemy, co jest telepatycznie na pewno niemożliwe, o ile ma podlegać racjonalnemu wyjaśnieniu. Lecz sfera telepatii, choć tak uszczuplona, zawiera nadal zbiór zadań, których nie umiemy rozgryźć. Są to jednak zadania ze wszystkich parapsychologicznych najłatwiejsze do rekonstrukcji i zrozumienia.

2. Na drugim miejscu listy narastających kolizji między omawianymi fenomenami a wiedzą naukową umieszczam telekinezę. Żaden nadajnik dowolnego typu energii nie może wywierać działania większego, aniżeli wynosi jego moc własna, moc zainstalowana w nim, jakby rzekł technik. Gdyby wywierał działanie większe od mocy zainstalowanej znaczyłoby to, że albo funkcjonuje jako urządzenie SPUSTOWE, czyli uruchamia tylko akcję, energii natomiast na jej urzeczywistnienie dostarcza OSOBNE ŹRÓDŁO, albo że narusza prawa zachowania. Otóż na prawach zachowania stoi cała nasza wiedza. Nie wykryliśmy ani na Ziemi, ani w Kosmosie niczego, co by je naruszało. A więc przechyliamy się na rzecz wariantu spustowego. Lecz skąd ma się właściwie brać uruchamiana energia? Bez względu na to, jakie byłoby jej źródło konkretne, można by w doświadczeniach wykryć przepływ tej energii, jako jej ubytek w jednym miejscu. O niczym podobnym nigdy jeszcze nie słyszałem. Nikt nie postulował jakoś w parapsychologii tego, żeby telekineza działała na zasadzie spustowej, na przykład, żeby „atleta duchowy” uruchomił aktem woli sflonkę bomby atomowej. To zresztą patrzy na niemożliwość, ponieważ moc własna mózgu jest rzędu kilku watów, więc nie starczy nawet na zgięcie szpilki, a tymczasem na Zachodzie pewien Izraelczyk demonstruje zginanie, aktami woli, widelców. Wydaje się to bezwzględnie niemożliwe, czyli pokazy te muszą być oszustwem.

Pozostaje jeszcze „mikrotelekineza” jako zdalne działanie mocy własnej mózgu. O wariacie polegającym na próbach ruszenia z miejsca struny galwanometru jużśmy mówili: nie dały żadnego pozytywnego efektu. Słyszało się natomiast o zmianach dynamiki cząstek elementarnych, wywołanych aktami woli obserwatora. I to uważam za niemożliwe podług następującego rozumowania. Gdyby tak mogło być, to wówczas należałoby oczekiwać nieumyślnego fałszowania wyników doświadczalnych w laboratoriach przez takich fizyków–atomistów, którym bardzo zależy na określonym wyniku przeprowadzanego właśnie eksperymentu. Zwolennicy jednej teorii uzyskiwaliby jeden typ wyników, a przeciwnicy tejże teorii — inny typ wyników, ponieważ każda ze stron inaczej przemieszczałaby tory poruszających się w polu doświadczenia cząstek elementarnych. Co prawda nie wszyscy są obdarzeni talentem telekinetycznym, lecz trudno przypuścić, żeby zbiór fizyków nie mógł się w ogóle przecinać ze zbiorem „duchowych atletów”. Tymczasem nic z powiedzianego nie zachodzi. A więc i „mikrotelekinezy” najprawdopodobniej także nie ma wśród realnych zajść.

3. Następnym wyższym z kolei stopniem kolizyjności danych nauki z danymi parapsychologii odznacza się jasnowidzenie, przynajmniej w niektórych zaprotokołowanych wypadkach. Ponieważ nie sposób uwzględnić całego repertuaru dokonań, postulowanych

przez akty jasnowidztwa, powiedzmy konkretnie, że chodzi o umiejętność umiejscowienia osoby, której fotografię pokazuje się jasnowidzowi. Osoba ta może znajdować się w drugim pokoju lub na drugim końcu świata, może być żywa lub umarła, przebrana lub poddana zabiegom chirurgicznym, co ją odmieniły nie do poznaki, może być starcem, podczas gdy fotografia przedstawia dziecko itd. Już z tego wyliczenia jasno widać, że znowu nie idzie o jakiegokolwiek jedno zadanie, lecz o cały zbiór zadań do siebie nawzajem niesprowadzalnych, a zatem takich, że nie może istnieć jedyna a tożsama metoda pokonania wszystkich. Tymczasem nazwane różnice nie mają jakoby sprawiać autentycznemu jasnowidzowi jakichś szczególnych trudności. Jakże więc on to robi? Proszę tylko dlaboga nic nie mówić o „energii psychicznej” emanującej z fotografii identyfikacyjnie, bo są to bajki dla małych dzieci. Racjonalizacja takich dokonań implikuje błędność naszych fundamentalnych poglądów na istotę kauzalizmu, na relacje czasu i przestrzeni, na charakter wszelkich realnych procesów, tak biologicznych, jak fizycznych, jednym słowem, po to, żeby jasnowidztwo zaakceptować i wchłonąć w siebie, musiałaby się nauka pierwaj od samych podstaw przeinaczyć, żeby z niej kamień na kamieniu nie pozostał. Fatalne, to, ale nie ma rady: jasnowidztwo nie tyle zdaje się implikować inną naukę niż ta, jaką dysponujemy, lecz inny typ świata, a mianowicie jakiś typ bardzo silnie deterministycznej rzeczywistości, w której żaden ślad nie ginie, w której nie zachodzi ani dyssypacja energetyczna, ani nie jest w mocy zespół praw zachowania, ani nie jest ważna zasada nierekonstruowalności pryncypialnej zająć w stopniu, wprost proporcjonalnym do rosnącej dawności tych zająć. Zgodnie z całokształtem naszej wiedzy, nie istnieje nic materialnie wykrywalnego na ziemi i na niebie, co by stanowiło łącznik pomiędzy starą migawkową fotografią małego dziecka a zakopatymi pod drzewem w lesie zwłokami starca, którym to dziecko stało się po siedemdziesięciu latach. Wszelkie tropy, związki, ślady, musiały się już dawno rozproszyć do nieodtworzalności. Chodzi o procesy na pewno nieodwracalne zgodnie z II prawem termodynamiki i mnóstwem innych praw, które stanowią epokę naszej wiedzy.

Zamykając listę powiadam więc wyjaśniająco, że nie spodziewam się żadnych przełomów w parapsychologii ani za osiemdziesiąt lat dlatego, ponieważ w tym czasie nieprawdopodobne jest zająć nie to, że jednego rewolucyjnego odkrycia, lecz takiej gruntowej przebudowy całej nauki, która jest bezwzględnie konieczna jako przesłanka ogarnięcia wymienionych fenomenów (a choćby tylko telepatii) przez metody racjonalnego poznania. Sądę, że i stu lat tutaj mało. Po prostu nie ma żadnych zgodności, żadnych połąci pokrywania się pomiędzy wiedzą, jaką nagromadziliśmy wielowiekowym trudem, uprawomocnioną bezlikiem odkryć także technologicznie, więc dowodnie skutecznych, a tą wiedzą, która jest niezbędna dla zasymilowania w swój obręb parapsychologii. Dlatego właśnie uważam sytuację aktualną i przyszłą za odpowiednik pata w szachach.

Alternatywa powyższego sprowadza się do uznania, że cokolwiek podawane jest za objaw parapsychologiczny, stanowi skutek zbiorowej zmywy oszukańczej, fałszowania protokołów, zestawień statystycznych, obserwacji i podobnych niegodziwości, w których uczestniczą ludzie o nieposzlakowanych skądinąd opiniach i o niemałym dorobku naukowym, jako zaangażowani w sprawę badacze. Jest to więc sytuacja zaiste niełatwego wyboru — między powszechnym oszustwem w nauce lub cudem w nauce. To jakby nam powiedziano, że MUSIMY wybierać między tezą, że słońce jest sporządzone z buraków, a tezą, że słońce jest sporządzone ze słomy, przy czym tertium non datur. Mamy bowiem albo zrezygnować z wszelkiego zaufania, pokładanego w pracujących na tym froncie ludziach nauki, albo z samej nauki prawie w całości. Tak się przedstawia w streszczeniu zrekonstruowany logicznie naczelnaj dylemat parapsychologii.

Jak powiedziałem, aktualnie nauka wcale nie jest względem parapsychologii bierna. Głównym argumentem przeciw tej naturze zjawisk parapsychologicznych, jaką im przypisują ich zwolennicy, jest ewolucyjnaj. Co do tego, że korzyść przeżywalnościowa daru



jasnowidzenia musi być dla każdego gatunku olbrzymia, nie może być dwóch zdań. Na cóż zmysły, skoro można się jasno widząc w lot przystosować do warunków środowiska? Korzyść telepatii musi też być ogromna, choć zapewne mniejsza od tamtej.

Rozumować trzeba tu następująco. Wstępnie głównym zadaniem rozrodu dwupłciowego jest odnajdywanie się samców i samic gatunku. Dla ułatwienia i umożliwienia takich odnalezień ewolucja w toku miliardoletnich robót wykształciła bogaty repertuar specjalnych technik sygnalizacyjno–przywoławczych, obdarzając zwierzęta wyspecjalizowanymi po temu narządami, wyglądami etc., co wszystko razem byłoby zupełnie zbędnym, bo zmarnowanym, wysiłkiem, gdyby się mogły kontaktować telepatycznie. A więc samo niesłychane bogactwo sygnalizacyjnych narządów, właściwe światu zwierzęcemu od owadów po antropoidy świadczy przeciwko funkcjonowaniu wśród nich łączności telepatycznej. Nie może się ona przejawiać w świecie zwierzęcym nawet ułamkowo, ponieważ to, co byłoby uzdolnieniem dowolnie mikroskopijnym, dobór naturalny wyselekcjonowałby dodatkowo, czyli spotęgowałby, skoncentrował i utrwalił w przeciągu setek milionów lat swojego ewolucyjnego działania. Argument ewolucyjny przemawia tedy za tym, że jeśli telepatia zachodzi, to musi być jedynie funkcją mózgów wysoko rozwiniętych, bo inne zrealizować jej nie są w stanie. Lecz znów, jeśli byłaby ona korelatem inteligencji podludzkiej czy ludzkiej, także było dość czasu na jej dodatnie wyselekcjonowanie. Telepatia na poziomie antropologicznym zakłada szczególne korzyści przeżywalnościowe dopiero przy wykształceniu się mowy, bo cóż to za przekaz myśli, który nie ma żadnych myśli do przekazywania, a wszak bez mowy nie może być logicznie uporządkowanego myślenia. Otóż mowa wykształciła się co najmniej kilkanaście, a raczej kilkadziesiąt tysięcy lat temu, więc czasu na objawienie skutków doboru naturalnego było już dość. Nawet postępy tych uzdolnień w czasie historycznym, rzędu 10–13 000 lat, powinny być wykrywalne, o czym nic nam absolutnie nie wiadomo. Wygląda więc na to, że chodzi wprawdzie o cechę dziedziczną, lecz o taką, która doborowi naturalnemu nie podlega. Cóż to może być za cecha? Chyba tylko taka, która telepatii, pojmowanej jako przekaz myśli, albo jasnowidzenia, pojmowanego jako pozazmysłowe poznanie środowiska, w ogóle nie wyznacza. Stąd się naprasza nieuchronnie wniosek, że te własności zjawisk parapsychologicznych, które budzą nasze najwyższe zainteresowania, są w nich czymś ubocznym, postronnym, podług następującego przykładu.

Istnienie fal grawitacyjnych jest dziś w nauce hipotezą ani nie potwierdzoną, ani nie obaloną. Zachodzi jednak najprawdopodobniej taka dychotomia: albo te fale istnieją realnie, albo nie istnieją, i zostanie to rozstrzygnięte w nadchodzących latach. Natomiast analogiczna dychotomia nie w każdym wypadku zagadkowym obowiązuje. Może być tak, jak gdyby sobie filozof neandertalski powiedział, dostawszy w ręce radio od podróżnika w czasie: „albo w tym pudełku siedzą maleńcy ludzie, albo nikt do mnie z niego nie mówi, bo to jest tylko czarami utrwalony głos”. Tymczasem właśnie ani tak, ani owak: ludzi wprawdzie w pudełku nie ma, lecz mówią jednak z niego, tyle że znajdują się całkiem gdzieś indziej. Oto prosty przykład niestosowalnej (fałszywej więc) dychotomii. Gdyby ten Neandertalczyk i jego współplemieńcy nie robili nic innego, jak tylko uganiali się za owym głosem, próbowali wysysać go z pudełka, zastawiali nań wnyki, łapali go do pustych orzechów itp., to rzecz jasna choćby się tak tysiąc lat zmagali z zagadką, o włos nie ruszą jej z miejsca. Uważam więc za możliwe, że wciąż całkiem fałszywie bierzemy się do parapsychologicznych rzeczy. Uganiamy się za jakimś wtórnikiem, za ubocznością, bo szukamy sedna tajemnicy tam, gdzie go nie ma. Gdzież by miało tkwić? Poza owymi zjawiskami, które są skutkiem, a nie przyczyną, zgodnie z następującą analogią. Po to żeby rozgryźć zagadkę radia, potrzeba wprawdzie teorii, ale to jest teoria elektromagnetyzmu Maxwella, a nie teoria fal akustycznych. Badając to, co się donosi z radia, nie dotrzecie do teorii Maxwella nigdy. Badając natomiast zjawiska elektromagnetyzmu dotrzecie, niejako ubocznie po tej drodze do technik radiowego przekazu. Ze stanowiska samych teorii akustyki to, co sprawia radio,

zakrawa na czysty cud. Teorie akustyczne nijak się mają do sprawczych mechanizmów zjawiska. Więc może trzeba od niego odejść na dobre, zająć się ogólną teorią systemów, w jej działaniu, poświęconym układom częściowo izolowanym od otoczenia, ale zdolnym do sprzężeń informacyjnych. Może trzeba się zająć bazowymi kategoriami teorii gier, z kategoriami losowości, stochastyki, ergodyki na czele, ponieważ z tego regionu bierzemy wszak statystyczne miary także dla pokalibrowania i wykrywania objawów parapsychologicznych. Może trzeba liczyć na uzyskanie pomocy dopiero od tej generacji komputerów, które będą zdolne wielozakresowo modelować funkcje ludzkiego mózgu. Może w toku takich dociekań pękna nam i runą pojęcia dziś bazowe i nienaruszalne oraz także opozycje, w rodzaju opozycji pomiędzy pełną losowością a zdeterminowanym kauzalizmem. Może przebijemy się idąc tym szlakiem do takiego poziomu zjawisk, na którym już owe kategorie należy zastąpić jakimiś najzupełniej odmiennymi, mianowicie takimi, które nazwanego wyłączenia się (ładu i losowości) nie dopuszczają. Podobnie wszak (choć w znacznie mniejszej skali) stało się w fizyce, kiedy z klasycznej przeszła w kwantową.

Uważani zatem (podsumowując), że jeśli zjawiska parapsychologiczne są realnością, to po to, ażeby taką realność sobie przyswoić, nauka będzie musiała pierwszej przebudować się od podstaw. A ponieważ wszystko, co zachodzi i co będzie nadal zachodziło wewnątrz domeny owych zjawisk, okaże się zawsze bodźcem niedostatecznym, jako impulsem mającym spowodować taką totalną transformację całego gmachu nauki, względy zarazem praktyczne i teoretyczne przemawiają za tym, że jeśli do inkorporacji owych dziwów w obręb nauki dojdzie, to tylko dzięki takiemu przeistoczeniu się nauki, które wyniknie z postępów ani nie zainspirowanych przez samą parapsychologię, ani jej frontalnie nie atakujących. Nauka, mówiąc obrazowo, w swoich nieustępliwych wzrostach poznawczych dotrze wreszcie na taką wysokość, z której się natura pozazmysłowych realiów objawi niejako mimochodem, ubocznie, stanowiąc zysk okazjonalny, lecz nie wyłączny, nie ten, o który szło w całym postępowym ruchu. Takie są przynajmniej moje przeświadczenia w tej materii. Sed tamen potest esse totaliter aliter.

*Kraków, październik 74*